

Campbell Armstrong



UKŁADANKA

Przełożył J. Słomkowski

Campbell Armstrong

UKŁADANKA

Prószyński i S-ka

Campbell Armstrong

Układanka

Patrickowi Janson-Smithowi, Księżciu Ciemności

Londyn

Bryce Harcourt powiedział dobranoc oficerowi dyżurnemu - uprzejmemu, energicznemu żołnierzowi piechoty morskiej z Alabamy - i wyszedł z gmachu amerykańskiej ambasady. Na Grosvenor Square od razu ogarnął go przenikliwy chłód wczesnego wieczoru. W całej Europie panowała niespotykane sroga zima. W bałtyckich portach stały puste statki unieruchomione w zamrożonej wodzie, nad Niemcami oraz krajami Beneluksu szalały bezlitosne zamiecie i nawet południowe rejony Włoch skuł mróz - nigdzie nie można się było ukryć przed dokuczliwością arktycznej aury. Zalodzony Londyn chłostany przez porywiste wiatry przypominał miasto zahibernowane.

Spieszący na pociąg metra Harcourt niezależnie od pogody uważał to miasto - pełne szarych, rozległych i opustoszałych parków oraz ludzi kryjących się w autobusach lub metrze przed wiatrami wyjąłymi po ulicach Mayfair z zaciekłością psów - za godne pożałowania.

Jedynie gdy pojawiają się świąteczne lampki, bywa tu weselej, bo wtedy ma się przynajmniej złudzenie przytulności i radości. Jednak dekoracje już dawno zdjęto, a pierwszy miesiąc nowego roku upłynął bez żadnych optymistycznych zmian w wyglądzie.

Harcourt, opatulony w gruby czarny płaszcz, rozpaczliwie tęsknił za ojczystą Florydą, za upałem Miami, za palmami, za błękitnym niebem i kolorowymi domami. Wyobrażał sobie, jak w bawełnianej koszuli oraz krótkich spodenkach wychodzi na balkon i obserwuje skąpany w słońcu ocean. Na języku czuł niemalże cytrynowy smak daiquiri. Widział flamingi na tle czerwonego słońca i opalone dzieci hasające po piasku. To tylko fantazja, ale jak, do diabła, inaczej przetrzymać te okrutne czasy, kiedy rano jest ciemno, a po południu zimno i szybko zapada zmierzch?

Gdy wszedł na stację metra, po plecach przeszły mu ciarki. Dokoła kłębił się typowy dla godzin szczytu tłum rozsierdzonych ludzi, chcących jak najszybciej dostać się do domów na przedmieściach. W ścisku dotarł do bramek prowadzących na perony. Miasto kretów, pomyślał. Wszyscy są przygnębieni i wszyscy mają blade twarze. Choć otacza ich ponura, wroga zima, troszczą się o swe sprawy z typowym angielskim stoicyzmem, którego on, Harcourt, nie potrafił zrozumieć. Bez szemrania czekają na spóźniające się autobusy lub stoją w wagonach metra, tak zatłoczonych i przegrzanych, że uwłacza to ludzkiej godności. Oto duch Anglii, imperium, w którym zapanowała obojętność i niekompetencja.

Mocniej przycisnął aktówkę i zszedł na ruchome schody. Tam zderzył się z próbującą go wyprzedzić kobietą. Pomimo czerwonego wełnianego szalika zasłaniającego dolną część twarzy wydała mu się znajoma.

Spojrzała na niego, lecz zaraz, przepychając się między ludźmi, zbiegła po schodach w dół.

Harcourt spoglądał za nią z zaciekawieniem. Był pewien, że już gdzieś ją widział. Nie potrafił

tylko powiedzieć, kiedy i gdzie. Z uwagi na pracę w ambasadzie spotykał się z wieloma ludźmi, więc trudno byłoby mu spamiętać wszystkich. Często chodził na kolacje, przyjęcia i inne imprezy. Rozchwytywały go też zamężne kobiety, które potrzebowały czasem uprzejmego kawalera jako asysty przy obiedzie w Knightsbridge lub Swiss Cottage. On sam również lubił przebywać w towarzystwie kobiet i pokazywać się z nimi.

Po zejściu ze schodów znów dostrzegł tamtą kobietę. Miała krótko ostrzyżone, zaczesane na bok czarne włosy. Po prawej stronie głowy rzucał się w oczy jasny kosmyk mający szokować swym wyglądem. Było w tej fryzurze coś ze stylu punk. Nosiła małe, okrągłe okulary i pomimo dziwacznie wyglądających włosów wydawała się Harcourtowi atrakcyjna.

Sprawiała wrażenie inteligentnej, śmiałej i sympatycznej.

Reakcja Harcourta nie ograniczyła się jedynie do zainteresowania. Niepokoił się, że zawodzi go pamięć, spisująca się zazwyczaj doskonale. W tej kobiecie było coś intrygującego, coś, o czym powinien wiedzieć i przypomnieć sobie.

Przez chwilę rozglądała się i w końcu wyłowiła z tłumu jego spojrzenie. Wnioskował po jej minie, że go rozpoznaje, a może nawet oczekuje, aby podszedł do niej porozmawiać. Czy my się skądś znamy? Jednak pomysł zatrzymania się na pogawędkę uznał za szalony. Nie miał

wyboru i musiał iść naprzód w stronę peronu za podążającym w jednym kierunku tłumem kretów. Pomyślał, że być może kobieta ta wsiądzie do tego samego wagonu co on, stanie gdzieś niedaleko i w tej wymuszonej atmosferze intymności nadarzy się okazja do wyjaśnienia, skąd się znają. Być może nawet, gdy pociąg szarpnie, będzie musiała go potrącić.

Skąd my się znamy? - zapyta wtedy. Nie jest to najlepszy sposób na zawieranie znajomości, lecz trzeba sobie jakoś uprzyjemnić koszmar jeżdżenia metrem w godzinach szczytu. A może ona mu przypomni, gdzie się spotkali, staną koło siebie, ona muśnie piersiami jego rękę i... kto wie, do czego to doprowadzi.

Gorące powietrze podziemnego tunelu utrudniało oddychanie. W wagonie będzie jeszcze gorzej - jak w saunie na kółkach. Cały czas myślał o tej kobiecie. Zastanawiał się, dlaczego ni stąd, ni zowąd poczuł się nagle tak zaniepokojony. Czyżby z powodu swojego ciągłego zdenerwowania?

Ostatnio źle sypiał. Prezentowany codziennie w ambasadzie spokój był tylko powierzchowny. Harcourt palił zbyt dużo papierosów i do późna w nocy nerwowo wertował

czasopisma, jak człowiek, którego nie są w stanie zmóc środki nasenne, czyli brandy i tabletki uspokajające. W chwilach letargu i błogosławionych momentach płytkiego snu, który przychodził tuż przed świtem, pojawiały się chaotyczne majaki. Czasami przewijał się w nich przerażony grubas, Jacob Streik.

Zawsze gdy śnił mu się Streik, budził się zmęczony. A znużony umysł potrafi płatać figle.

Po pewnym czasie człowiek zaczyna wyobrażać sobie, że jest śledzony albo że ma podsłuch w telefonie. Wówczas dochodzi się do punktu zatarcia różnic pomiędzy urojeniami a rzeczywistością.

Gdzie w życiu Harcourta umiejscowić tę kobietę o dziwacznej fryzurze? A może na skutek zmęczenia uległ tylko zwykłemu złudzeniu? Jak to możliwe, że nie potrafi sobie przypomnieć przystojnej i najwyraźniej rozpoznającej go kobiety?

W ciemnym tunelu rozległo się dudnienie nadjeżdżającego pociągu. Tłum ruszył ku krawędzi peronu. Harcourt został zmuszony do tego samego. Czuł się bezsilny jak patyk na wodzie.

Dostrzegł pociąg i usłyszał odgłos hamowania. Wagony były już przepełnione - wszystkie miejsca zajęte, żadnych wolnych uchwytów, tłok na pętnostach. Harcourt zastanawiał się, dlaczego zamiast cierpieć tu katusze, nie zamówił po prostu taksówki. W ostatnich tygodniach zaczęła go już nudzić rutyna przejazdów autobusami, metrem, taksówkami albo własnym mercedesem. Samochód zresztą, na skutek niedawnego aktu wandalizmu, chwilowo nie nadawał się do jazdy.

Nigdy dwa dni z rzędu nie wracał tym samym środkiem lokomocji. Biorąc pod uwagę niepewną sytuację, w jakiej się znalazł, dla zachowania ostrożności zmieniał środki lokomocji. Czasami wydawało mu się, że Streik podjął słuszną decyzję, i idąc za jego przykładem, także należałoby zniknąć. Jednak bardzo różnił się od Streika. Choćby tym, że w przeciwieństwie do niego ma w ambasadzie stanowisko, które musi utrzymać. Streik jest strachliwy, poddaje się losowi, a po czwartym martini widzi diabła. Ostatnio, cztery tygodnie temu, spotkali się pod starym wiaduktem w Camden Town, bo grubas miał skłonności do umawiania się w dziwnych miejscach.

- Bryce, oni chcą nas zabić - powiedział wtedy Streik. - Chcą nas odsunąć na boczny tor.

Był tego dnia pijany, zrozpaczony i opętany strachem.

- Dlaczego mieliby nas zabijać? - zapytał Harcourt.

- Bo za dużo wiemy.

- A niby co takiego? Zwinęliśmy tylko kilka papierów i to wszystko. Na tyrn koniec.

Streik napił się wódki.

- Bryce, nie chodzi tylko o zwiniecie papierów. Przestań, na miłość boską, chodzić z głową w chmurach. Tu chodzi o forszę. O gotówkę. Dla tamtych facetów to gra o przetrwanie. Im wystarczy tylko podejrzenie, że wiemy za wiele. Śledzą mnie. Dokoła dzieją się jakieś cholernie dziwne rzeczy. Zdaje się, że przestaliśmy być potrzebni i zagrażamy int.

Streik nie wyjaśnił, jakie dziwne rzeczy dzieją się wokół. Był pijany i bełkotał. Dalsza rozmowa nie miała sensu.

Później Harcourt myślał o pieniądzach. Owszem, przychodziły nieregularnie, ale robił, co mu kazano, i nie wychylał się. Człowiek wykonuje rozkazy, nic go więcej nie interesuje i nie zadaje niepotrzebnych pytań. Kilka dni temu zaczął się jednak niepokoić, kiedy Streik postanowił zniknąć, a

on sam poprosił o spotkanie z trudno uchwytnym ambasadorem Williamem J. Caanem. Przyjął go w swoim gabinecie sekretarz ambasadora, Al Quarterman, lecz nie zamierzał bynajmniej rozwiewać jego obaw.

- Bryce, takie są konsekwencje naszych działań. Do tej pory powinieneś to zrozumieć.

Teraz już trochę za późno na skrupuły. Nie sądzisz?

Skrupuły, pomyślał Harcourt.

Nagle, z aktówką przy piersiach, zmuszony został do wciśnięcia się pomiędzy stojącą już w wagonie wysoką Karaibką i mężczyzną trzymającego w górze bukiet kwiatów. Harcourt zawsze był wrażliwy na zapachy i teraz ogarnął go melanz woni róż, potu, nieświeżych oddechów i wilgotnych ubrań. Trochę za późno na skrupuły, pomyślał. Zdawało się, że słowa Quartermana zawierają pewne ostrzeżenie, jak gdyby gdzieś w głębi tego prostego stwierdzenia czaiła się ukryta groźba.

Popadam w paranoję, pomyślał Harcourt.

W pewnej chwili zamigwały w wagonie jarzeniowe żarówki. Brak prądu, pomyślał, coś strasznego. Potrzeba nam jeszcze tylko awarii światła i opóźnienia pociągu. A do tego paniki.

Odwrócił głowę w kierunku zamykających się drzwi. Zauważył, że stojąca na skraju peronu kobieta w czerwonym szaliku cofa z wagonu rękę, wypuszczając z dłoni czarną, skórzaną torebkę, która zostaje w środku. Kobieta nie uczyniła nic, żeby odzyskać torebkę, nie okazała też niepokoju z powodu straty, tylko energicznie cofnęła rękę tuż przed całkowitym zamknięciem drzwi. Gdy pociąg ruszył, Harcourt dostrzegł, że kobieta z peronu patrzy na niego. Opuściła szalik, uśmiechnęła się i w chwilę po odjeździe pociągu zniknęła mu z oczu.

Coś tu jest nie tak, pomyślał. Coś tu nie ma sensu. Nie bardzo jednak wiedział, co.

Torebkę podniósł stojący przy drzwiach skinhead i popatrzył na nią niepewnie. Za późno, żeby zwrócić ją właścicielce, i co on, na miłość boską, ma teraz zrobić z damską torebką.

Taki przedmiot nie pasuje do wytatuowanych rąk i złotego kolczyka w nosie.

Pociąg wtoczył się w ciemny tunel i nagle niespodziewanie stanął. Pasażerowie, tracąc równowagę, wpadali na siebie i gniewnie kręcili głowami.

Harcourt cały czas myślał o tej kobiecie. O jej uśmiechu. Miał wrażenie, że kierowała go wyłącznie do niego. Energicznie penetrował pamięć. Gdzie ja ją, na miłość boską, już widziałem? Co ma znaczyć ten uśmiech? Pociąg gwałtownie ruszył do przodu.

- Jasna cholera - odezwał się mężczyzna z bukietem róż. - Gdzie ten pociąg jedzie? Do Dachau?

Harcourt odwrócił głowę od człowieka z nierozumnym spojrzeniem sfrustrowanego podróżnika. Jedne ciała przyciskały się do nie-przyjaźnie nastawionych innych ciał, a ludzie w wagonie wyglądali jak niechętnie usposobieni goście na zatłoczonym przyjęciu.

Pociąg zatrzymał się znowu. Harcourt odwrócił głowę w stronę bukietu róż. Bryce, powąchaj kwiaty i nie przejmuj się. Ciekawe dla jakiej kobiety są przeznaczone?

- Jak transporty nazistów - mówił mężczyzna z kwiatami. - Jak podróż do piekła.

Na ponad pięć sekund przygasły górne światła. Zrobiło się zupełnie ciemno. Światła włączyły się z powrotem, lecz pociąg nadal stał bez ruchu. Aby oderwać się jakoś od rzeczywistości, Harcourt studiował na mapie podziemnej kolei kolorowe linie prowadzące do takich zapomnianych miejsc jak Cockfosters, Harrow-on-the-Hill, czy Ray-ner's Lane.

Tajemnicze pomieszanie z poplątaniem.

Tajemnicza kobieta w czerwonym szaliku i z dziwnym, białym pasmem włosów oraz zagadkowym uśmiechem. Wyolbrzymiasz trochę to wszystko, pomyślał Harcourt. Ostatnimi czasy przestajesz być sobą.

Na czole zaczęły mu się gromadzić kropelki potu. Chciał poluzować krawat i spróbował

podnieść rękę, ale był zablokowany pomiędzy Karaibką a roslym, długowłosym młodzieńcem w brązowej budrysówce. Na chwilę poczuł pewną jasność umysłu. Skoncentrował myśli na mapie. Yictoria Linę. Circle Linę. Jubilee Linę. W końcu kolory zaczęły zlewać mu się przed oczami.

Ta kobieta.

Jakby pod przymusem nasunęło mu się nazwisko i zdjęcie z dokumentu figurującego w kartotece wydziału bezpieczeństwa. Wstrząsnęło nim nagłe olśnienie. Zaszło mu w gardle.

Poczuł neodparte pragnienie wydostania się z pociągu. Kobieta zmieniła się z wyglądu, miała teraz inne włosy i inne okulary, ale on ją znał. Ze strachem w oczach bezmyślnie wpatrywał

się w kropelki wody uwięzione między płatkami róż. Pot zaczął spływać mu do oczu i przesłaniać wzrok. Myślał o torebce, którą kobieta upuściła tuż przed zamknięciem drzwi.

Nie. Otworzył usta, jak gdyby chciał się zwrócić do człowieka z kwiatami.

Nagle pojawił się błysk ognistego światła i przez sekundę Harcourtowi wydawało się, że uległ złudzeniu, jednakże błysk zamieniony w ogień momentalnie rozprzestrzenił się po całym wa jonie. Karaib-ka krzyknęła, człowiek z bukietem rozglądał się zdziwionym wzrokiem, a młodzieniec w budrysówce wrzeszczał gniewnie.

Róże stanęły w ogniu.

Harcourt przypomniał sobie nazwisko kobiety oraz wszystko, co się z nią łączyło, i w tej samej chwili poczuł rozdzierający ciało ból. Dookoła zapanował chaos, krzyk i gorąco.

Wszędzie latały kawałki szkła. Czuć było okropny odór przywodzący na myśl dawno zapomniany, stary swąd palącego się ludzkiego ciała.

2 Londyn

Do wychodzącej na ulicę kobiety, legitymującej się amerykańskim paszportem na nazwisko Karen Lamb, doleciał stłumiony odgłos odległej eksplozji, przypominającej lekkie tąpnięcie podczas słabego trzęsienia ziemi, które bardziej się wyczuwa niż słyszy. Kobieta szybkim krokiem maszerowała z ronda Piccadilly w kierunku Shepherd Market.

Weszła do zatłoczonego, rzęsiście oświetlonego pubu, w którego wystroju dominował

mosiądz, a goszczący tam biznesmeni próbowali nakłonić swoje sekretarki do nadobowiązkowych czynności. Ruszyła prosto do toalety. Zamknęła za sobą drzwi na zasuwkę, ściągnęła perukę i wcisnęła ją do zbiornika z wodą. Zdjęła okulary, w kilku miejscach połamała oprawkę, wrzuciła wszystkie kawałki do sedesu i spuściła wodę. Jedno szkło zostało wessane, a drugie unosiło się na powierzchni wody, przypominając dziwne, przezroczyste oko.

Wyszła z pubu i wąskimi uliczkami skierowała się w stronę swego hotelu. Chociaż nie zapadł jeszcze całkowity zmrok, po alejkach i pasażach już kręciło się kilka - przeważnie czarnoskórych - dziewczynek z wyżełowanymi włosami, przesadną ilością szminki na ustach oraz minami wyrażającymi amalgamat znudzenia i nonszalancji. To były twarde dziewczyny.

Nic nie było w stanie ich zszokować. Nie dziwiły się żadnym ludzkim postępkiem.

Karen Lamb myślała o pociągu metra. O ogniu, zniszczeniach i masakrze pasażerów uwięzionych w metalowej rurze położonej setki stóp pod poziomem ulicy. O feerii światła, niosącego śmierć. Nagle coś w niej zawrzało, poczuła mocniejsze bicie serca i rozplywającą się po żyłach adrenalinę.

Weszła na szeroką aleję. Zagubiona we własnych fantazjach, nie czuła chłodu wczesnego wieczoru. Wystawy sklepowe jarzyły się światłami, do pubów wchodzili ludzie, z barów -

gdy otwierano drzwi -dobiegała muzyka rockowa. Życie toczyło się powoli, nierealnie, gdzieś w oddali. Karen Lamb miała wrażenie odcięcia od rozgrywających się spraw; była tylko widzem. Zatrzymała się przy jakiejś witrynie i bez zainteresowania oglądała scenki myśliwskie na wiktoriańskich obrazkach.

Przycisnęła czoło do szyby. Uświadomiła sobie nagle znajome poczucie niespełnienia i niedosytu. Człowiek z zapalem i w napięciu do czegoś dąży, lecz później czuje się zawiedziony, czuje, że czegoś nie dokończył. Tak działało się zawsze. Przekroczyła pewną granicę i teraz nie było już odwrotu. Doskonalone od dawna rzemiosło, polegające na sianiu spustoszenia, przestało wystarczać i rozpalało tylko inne żądze.

Wolnym krokiem wędrowała wąską uliczką. Opuściło ją poczucie niespełnienia. P1fn został zrealizowany, robota wykonana. Weszła do budki telefonicznej, wsunęła kartę do aparatu i wystukała numer. Po drugiej stronie linii podniósł słuchawkę mężczyzna.

- Jeden zero dla mnie - powiedziała Karen Lamb. Wyobrażała sobie swego rozmówcę w hotelowym apartamencie. On zawsze wynajmował apartamenty, bo zwykły pokój po prostu nie pasował do jego

wizerunku.

- Wspaniale - odparł i dodał po chwili: - Niedługo się spotkamy. Uważaj na siebie.

Zanim zdążyła odpowiedzieć, odłożył słuchawkę. Wyszła z budki i ruszyła tą samą ulicą dalej. Zatrzymawszy się na rogu, obserwowała spacerującą po chodniku prostytutkę.

Dziewczyna ubrana była w czarną, krótką skórzaną spódnicę i kurtkę z imitacji futra lamparta. Miała utapirowane włosy i usta pomalowane jaskraworóżową, błyszczącą szminką, która w ciemności prawdopodobnie fosforyzowała. prostytutka wyglądała na szesnaście, może siedemnaście lat. Była jeszcze dzieckiem. Karen obserwowała ją dłuższą chwilę.

- Chyba ci tu zimno - odezwała się w końcu. Dziewczyna podniosła wzrok.

- Przemarzałam do szpiku kości - powiedziała. - Jest pani Amerykanką?

- O Boże. Czy to widać?

- Poznałam po akcencie - powiedziała dziewczyna, stawiając kołnierz kurtki.

- Niczego nie da się ukryć.

Karen Lamb dotknęła jej ręki. Myślała o słowach mężczyzny, z którym przed chwilą rozmawiała. „Uważaj na siebie”. O co właściwie mu chodziło? O unikanie kłopotów? O

zachowanie zimnej krwi? W typowy dla siebie sposób nie pytał o żadne szczegóły. Zdobył

kiedyś w życiu umiejętność odsuwania przykrych obrazów gdzieś na obrzeża myśli, dzięki czemu wszystko, co nieprzyjemne, stawało się dlań nierealne, natomiast to, czego nie uważał

za prawdziwe, nie mogło budzić w nim wstrętu. Miał własne miejsce składowania niemiłych spraw, coś na kształt złomowiska samochodów.

- A pani ma coś do ukrycia, prawda? - zapytała dziewczyna.

- Chyba jak wszyscy - odparła Karen Lamb i parsknęła śmiechem.

Dziewczyna też się uśmiechnęła i przez chwilę wyglądała nadzwyczaj niewinnie. Z jej twarzy można było wyczytać, z jakiego pochodzi środowiska, że wyrzucono ją ze szkoły, gdy zaszła w ciążę, że rodzina jej się wyrzekła, a po szybkiej aborcji gdzieś w Luton albo Nor-thampton wróciła na ulice Londynu, gdzie jedyną rzeczą, jaką miała do zaoferowania, było jej własne ciało.

- Jak się nazywasz?

- Candice.

Candice. No pewnie. Równie dobrze mogłoby być Rita lub Ange-la. Candice to pseudonim. One

wszystkie przybierają wyszukane, egzotyczne imiona ze swych snów.

- Candice, masz jakieś lokum?

- Tak, mam pokój.

- Gdzie?

Dziewczyna wyraźnie się zawahała, zwilżyła językiem wargi i popatrzyła z ukosa na Karen, która zastanawiała się, czy czasem nie czuć od niej krwią. Czy jest we mnie coś niebezpiecznego? Jakaś zaciekłość? A może po prostu ciągle osamotnienie dziewczyny nauczyło ją nieufności wobec ludzi?

- Tam - powiedziała w końcu Candice i ruszyła przed siebie. Idąc za nią, Karen Lamb obserwowała w świetle padającym z witryn podkreślone skórzaną spódnicą kształty.

Dziewczyna odwróciła się. - Nie miałam zbyt wielu takich jak ty.

- Takich jak ja? - zapytała Karen.

- No... wiesz, o co mi chodzi.

Karen nie odpowiedziała. Szły razem ulicą, iż znalazły się przy wąskim budynku. Do drewnianych schodów prowadził korytarz oświetlony słabym światłem kinkietu w kształcie muszli. Przy ścianach stały puszkę z farbą, a w powietrzu unosił się zapach smażonego bekonu, wapna i terpentyny. Wszędzie widać było ślady butów. Karen weszła po schodach za Candice i na piętrze chwyciła ją za udo.

- No, no, no - powiedziała dziewczyna, wkładając klucz do zamka. - Cierpliwość jest cnotą.

- Co ty możesz wiedzieć na temat cnoty? - zapytała Karen.

- Trochę bym panią zaskoczyła.

Znalazły się w zwyczajnie urządzonym pokoju. Podwójne łóżko, na toaletce sterta grzebieni i szczotek, waciki do zmywania makijażu, pudełeczko z kremem nawilżającym oraz popielniczka pełna niedopałków. W oknie wisiała skromna brązowa aksamitna zasłona.

Dziewczyna wysypała popielniczkę do kosza na śmieci.

- To ta Sandra - stwierdziła.

- Jaka Sandra?

- Wynajmuję ten pokój wspólnie z nią. Pali papierosy, a ja muszę po niej sprzątać.

Karen Lamb oparła dłonie w rękawiczkach na biodrach Candice i przyciągnęła ją do siebie.

Czuła w głowie pulsowanie krwi.

- Najpierw to zrzucę - powiedziała Candice. Zdjęła kurtkę i powiesiła ją na krześle z taką starannością, jak gdyby było to prawdziwe futro.

Karen usiadła na brzegu łóżka.

- Zdejmij wszystko - poleciła. - Wszystko.

- Aleś napalona - stwierdziła dziewczyna. Energicznymi ruchami zdjęła skórzaną spódnicę, a potem bluzkę. Szybko się pozbyła ciemnozielonej atłasowej halki. Zdejmując majtki, z trudem utrzymywała równowagę na jednej nodze. Bez żadnych oznak skrępowania stanęła przed Karen. Ona wpatrywała się w białe piersi, ledwie widoczne sutki i wystające kości biodrowe. Dotknęła dłonią brzucha dziewczyny i przesunęła palce wzdłuż małej blizny po operacji ślepej кишки. Potem obie ręce wsunęła jej między uda.

- Golisz się - stwierdziła.

- Tak, wtedy jest higieniczniej - odrzekła dziewczyna.

- Podoba mi się. - Przytuliła twarz do brzucha Candice, zamknęła oczy i przez dłuższą chwilę trwała w bezruchu. Rozkoszowała się miękkością i zapachem jej ciała. W takim miejscu zapomina się o osamotnieniu, o świecie wiecznych maskarad i fałszywych paszportów, o ciągłych kontaktach z przemocą i śmiercią. Wszystko to zamienia się w ulotne złudzenie.

Kłopot pojawia się dopiero wówczas, kiedy trzeba powrócić do rzeczywistości. Słyszała już w głowie szum napierającej krwi. Ty znasz się tylko na przemocy - nie na miłości.

- Musimy porozmawiać o pieniądzach - Candice usiadła na łóżku.

- Później - odparła Karen.

- Nie. Od razu. Zanim posuniesz się dalej.

Karen rzuciła dziewczynę na materac i usiadła na niej okrakiem. Zwykła dziwka.

Ulicznica. Ludzkie ciało do wynajęcia. Chwyciwszy dziewczynę za nadgarstki, rozłożyła jej ręce na boki i pocałowała w chłodne, niechętne wargi. Silny smak szminki przypominał cukierek.

- Czekaj - zaskomlała Candice.

- Niby na co?

- Myślisz, że ja to robię za darmo, co? Ja tu nie prowadzę działalności charytatywnej.

Najpierw forsa, potem towar.

Karen przycisnęła dziewczynie jej własne dłonie do twarzy. Towar potem. Znow myślała o metrze. Później o oczach tamtego mężczyzny i o jego zmieszaniu. Widziała, jak znika w ciemnościach tunelu i jedzie pociągiem donikąd.

- To boli -jęknęła Candice.

- Nie chciałam. Nie mam zamiaru robić ci krzywdy. - Krew pulsowała, chciała rozsadzić głowę, jakby w mózgu płynęła rozgrzana rtęć.

- To puść mnie, do cholery.

Karen mocniej przycisnęła dłonie do policzków dziewczyny. Candice próbowała odwrócić głowę.

- Ej, ja tego nie lubię. Nie mam zamiaru bawić się w coś takiego. Lepiej już sobie idź.

Karen wygięła palce jak szpony i przycisnęła je do ust Candice. Z niezbyt daleka dolatywały odgłosy syren. Karetki pogotowia oraz wozy strażackie i policyjne zmierzały po ulicach Mayfair w stronę Piccadilly. Było za późno.

Przyglądała się twarzy dziewczyny, w której oczach czaił się strach i niepewność. Klient sadysta stanowi koszmar każdej prostytutki. Nie ma nic gorszego jak znaleźć się w łóżku z szaleńcem. Candice próbowała się uwolnić. Zadarła nogi i usiłowała kopać.

- Nie rób tego - ostrzegła Karen.

Dziewczyna patrzyła na nią z błaganiem w oczach. Karen pochyliła głowę, aby musnąć ustami jej czoło. Kusiło ją, aby opowiedzieć temu dziecku o metrze i o ładunku wybuchowym schowanym w torbce. Cóż może oznaczać to idiotyczne pragnienie rozmowy? Poczucie winy? Co za absurd! Karen nigdy z żadnego powodu nie czuła się winna. Nie miała się z czego spowiadać. Być może więc w grę wchodziła potrzeba zaszokowania kogoś i zrobienia wrażenia?

Nagle puściła dziewczynę. Candice przesunęła się na drugą stronę łóżka i usiadła, zakrywając rękami piersi.

- Ja tego nie robię. Nie toleruję żadnych zbroczeń. Nie rajcuje mnie ból. Znajdź sobie kogoś innego. Mogę ci podać parę nazwisk. Sporo dziewczyn lubi takie rzeczy.

- Nie potrzebuję żadnych nazwisk. - Karen wstała, podeszła do okna i odsunęła zasłonę.

Nie licząc żółtawego światła pojedynczej latarni, na ulicy było ciemno. Czy szukanie kontaktu z innym człowiekiem można nazwać zbroczeniem? Czy pragnienie zapełnienia czymś pustki to choroba? Czuła, że hałas w jej głowie nagle się zmienia. Teraz był to już zgiełk innego rodzaju.

- Idź stąd - powiedziała dziewczyna. - I to już. Karen zaciągnęła zasłony i zbliżyła się do łóżka.

- Nie chcę ci zrobić nic złego.

- W porządku. Nie chcesz mi zrobić nic złego, ale mi robisz. -Candice dotknęła ust takim gestem, jak gdyby spodziewała się znaleźć tam krew. - Mówię ci, że ból mnie nie rajcuje.

- Każdy lubi ból - powiedziała Karen.

- Ja nie. - Dziewczyna wskazała ręką drzwi. Strach zmuszał ją do stawienia oporu. - Idź

stąd. Zrobiłaś mi krzywdę. Wynoś się w diabły.

Karen ani drgnęła. Pokój nagle wydał jej się ciasny, a leżące na łóżku dziecko przestało być niezwykle i pociągające. Co ja tu robię? Niepotrzebnie poddaję się swoim namiętnościom i doprowadzam do takich sytuacji. Zawsze przecież wyciągała z nich jednakowe wnioski - że pochodzi z zupełnie innego świata. Ze świata jednakowych terminali lotniczych, nudnych dworców kolejowych, nocnych podróży, betonu i stali, ze świata obcych ludzi i pasażerów zmierzających w nieznaną. Ze świata rzadkich, lakonicznych rozmów z próbującymi narzucać jej się mężczyznami, których nigdy do niczego nie zachęca.

Usiadła na łóżku i sięgnęła po dłonie Candice, lecz dziewczyna odsunęła się.

- Odpieprz się, na miłość boską. - Przyłgnęła plecami do ściany.

Karen chwyciła ją za podbródek i odwróciła jej głowę w swoją stronę.

- Odejdę, kiedy będę chciała. Kiedy ja będę chciała. Rozumiesz?

- Znowu robisz mi krzywdę, do jasnej cholery.

Ścisnęła palcami wargi Candice. Nagle niespodziewanie z ust dziewczyny na rękę Karen wypadł sztuczny ząb. prostytutka bezskutecznie szarpała głowę. Zaczęła na oślep walić rękami. Wierzyła nogami, miotła się i próbowała ugryźć Karen w rękę. W pokoju znów rozległo się wycie syren.

Karen przyglądała się twarzy Candice myśląc, że człowieka poznaje się najlepiej, zadając mu cierpienie. Czuła na dłoni ciepłą ślinę ciekącą z ust dziewczyny. Oto istota ludzka: strach, ślina i, pożałuj Boże, złamany sztuczny ząb. Na dłuższą metę niewiele z tego wszystkiego pozostaje.

Puściła Candice, a ta ledwie zipiąc próbowała zwlec się z łóżka. Z białymi wypiętymi pośladkami wyglądała żałośnie i nie budziła pożądania. Karen złapała ją, przyciągnęła bliżej i przycisnęła do materaca. Z oczu dziewczyny popłynęły łzy.

- Przestań beczeć. Nie lubię, jak ktoś płacze. Przestań. - Dźwięki w głowie znów uległy zmianie. Teraz rozlegało się monotonne buczenie. Wyobraziła sobie wykres działania swego mózgu w postaci ciągłej zielonej linii na ekranie skanera i usłyszała dźwięki: Pip, pip, pip, piiiip.

Chcąc coś powiedzieć, Candice otworzyła usta, lecz szybko -jakby nagle przypomniała sobie o brakującym zębie - zacisnęła wargi i odwróciła głowę na bok.

- Nie chcę ci zrobić krzywdy - powiedziała Karen. - Naprawdę. - Okręciła jej ramiona prześcieradłem, a potem podniosła i ścisnęła w palcach poduszkę. Słyszała mroźny wiatr hulający po ulicach May-fair, słyszała stukanie okiennic i sklepowych szyldów, a także szelest poniewierających się śmieci.

Kiedy było już po wszystkim, usiadła w fotelu przy oknie, zdjęła rękawiczki i położyła je sobie na kolanach. Przez pewien czas powoli, z zamkniętymi oczami, kołysała się do przodu i do tyłu, a później wstała i podeszła do łóżka. Na lampie przekrzywił się abażur i gdy poprawiała go starannie, zauważyła na nim kilka kropel krwi. Przez chwilę przyglądała im się z perspektywy poszukującego śladów policjanta. Później znów włożyła rękawiczki, z uśmiechem klepnęła się w uda i pod wpływem nagłego impulsu wykonała rzecz, której pierwotnie nie planowała.

3Dublin

Westybulu hotelu Shelburne przy St Stephen's Green siedział Frank Pagan. Mijał szósty tydzień bezpłatnego urlopu okolicznościowego, o który wcale nie prosił. To tu, to tam grupki zmęczonych amerykańskich turystów - znęconych posezonowymi cenami, dzięki którym mogli zwiedzić Europę w zimowej szacie - popijały herbatę lub porter. Mlaskali z taką przesadą, jak gdyby właśnie odkryli eliksir życia. Hol sprawiał wrażenie oderwanego od rzeczywistości; tutaj zupełnie nie liczyły się zegary. Jedynie ciemność za oknami przypominała, że na zewnątrz panuje zimowa noc.

Pagan sączył piątego guinnessa. Czas kończyć, pomyślał. Wstawaj, idź na górę do pokoju i kładź się spać. Jednak nie ruszył się od stolika. Wyciągnął z wewnętrznej kieszeni beżowej wełnianej marynarki pocztówkę znad zatoki Bantry i napisał kilka słów do swojego współpracownika z Londynu, Robbiego Foxwortha. To, co w Sco-tland Yardzie nazywają bezpłatnym urlopem okolicznościowym, przypomina bardziej kryzys wieku średniego. Moja przyszłość wygląda równie wesoło, jak przyszłość akwizytora instrumentów ginekologicznych. Odłożył pióro i pomyślał, że ton jego listu kojarzy się nie tyle z nonszalancją, co - z uzalaniem nad sobą. Chociaż starał się zachowywać dystans i obojętność wobec wydarzeń, to jednak czuł się przygnębiony. I chociaż guinness w pewnym stopniu potrafił ukoić zmysły, to jednak nie poprawiał humoru.

Cokolwiek by się rzekło, Pagan pozostawał pozbawionym pracy gliniarzem, a rzeczywistość była ponura - zdziczenie obyczajów w gabinetach polityków, walka o władzę i wojny międzywydziałowe. Kiedy anioł stróż Pagana, komisarz Martin Burr, odszedł na emeryturę, jego miejsce zajął brutalny karierowicz, George Nimmo, którego „radikalną restrukturyzację” wydziałów można by porównać ze stalinowskimi czystkami. Posypały się głowy, wielu ludzi ubrudziło sobie ręce krwią, a Nimmo - udając, że sam wznosi się ponad podziały -zwołał konferencję prasową i oficjalnie poinformował o konieczności przeprowadzenia reform. W rezultacie tych pseudoprzemian Pagan wyleciał na bruk. „Frank, należą ci się wakacje. Weźmiesz sobie bezpłatny urlop okolicznościowy, a pod twoją nieobecność zadecydujemy o twojej przyszłości”.

Nigdy nie potrafiłem włązić ludziom w tyłek, pomyślał Pagan. I nigdy nie lubiłem tego Nimmo.

Tak więc przez sześć tygodni włóczył się bez celu po zmarzniętych bezludziach Europy, jak człowiek szukający swego przeznaczenia. W wynajętym nissanie - jakże odmiennym od czerwonego camaro, którym jeździł w Londynie i do którego był w niewytłumaczalny sposób przywiązany - słuchał

nastawionych na cały regulator kaset z rock and roilem, przemierzając Niemcy od Hamburga po Frankfurt i Monachium, gdzie wiele nocy spędzał w piwiarniach i restauracjach, w których ludzie z godziny na godzinę stają się bardziej sentymentalni, śpiewają piosenki, opowiadają dowcipy, dużo się śmieją, a czasami milkną w nagłym przygnębieniu, jak gdyby spadł na nich obłok wszechogarniającego smutku. Kiedy złapał się na myśli, że w tych samych piwiarniach bywali wrzaskliwi członkowie oddziałów brunatnych koszul, na których czele Hitler niemal odniósł triumf, zrozumiał, że czas stamtąd wyjeżdżać.

Z Niemiec pojechał do Austrii i w mrocznych kawiarniach wiedeńskich zabijał czas, przeglądając zagraniczne gazety, ale tylko pobieżnie - jak człowiek nie znający języka.

Uważał czytanie gazet w niezrozumiałych językach za niezwykle wygodne, ponieważ zapewniało ono dystans do wydarzeń ze świata, z którego czuł się wyłączony. Czytał więc gazety greckie, węgierskie i włoskie, a unikał francuskich i niemieckich, ponieważ te dwa języki jako tako znał. Czuł się trochę jak człowiek pozostawiony sam sobie na zapomnianej, krążącej wokół Ziemi badawczej stacji kosmicznej.

Jadąc do Włoch, nie wyznaczał sobie żadnego konkretnego celu. Były dla niego tylko jeszcze jednym krajem na mapie i niczym więcej. Odwiedził Mediolan, Florencję, a pewnej nocy ocknął się w tanim rzymskim hotelu, chodząc po pokoju od ściany do ściany, jak człowiek uwięziony w dźwiękoszczelnej klatce. Co ja tu, do diabła, robię? - zastanawiał się.

Czego ja tu szukam? Nawet wiszący nad drzwiami Chrystus spoglądał na niego bez żalu czy współczucia, lecz z pewnego rodzaju zaintrygowaniem.

Z nikim nie rozmawiał. Żył głęboko zamknięty w sobie. Cztery dni temu w miasteczku zwanym Alba - po co on właściwie pojechał do tej Alby? - doszedł do spóźnionego wniosku, że całe jego niezadowolenie z życia wynika z uciekania od własnej historii, od własnych rocznic, od wspomnień o stracie.

Obserwując pełnię księżyca, zmierzającego w stronę Morza Śródziemnego, wyraźnie czuł, że próbuje uciekać przed samym sobą. Smutny jak panująca pora roku księżyc był równie zubożniały jak Chrystus w rzymskim hotelu. Pagan wrócił do Francji i popłynął promem do Irlandii z myślą, że zajmie się łowieniem ryb, ale kilka nudnych dni nad brzegiem rzeki w Cork przekonało go, że zimą wszystkie ryby zamarzają, a jemu zdecydowanie brakuje cierpliwości. Nie nadawał się na samotne połowy z rozkołysanej łódki, bombardowanej przez krople deszczu.

Nie dokończył pisania kartki. Z powrotem schował ją do kieszeni, przetarł oczy i przeciągnął się. Zdał sobie sprawę, że upił się bardziej niż planował i stał się zbyt sentymentalny. Pragnę rzeczy nieosiągalnych, myślał. Chcę, żeby wróciło to, co już dawno minęło. Żeby Roxanne zmartwychwstała, żebym odzyskał pracę, żeby wszystko ułożyło się od nowa. Patrząc w lustro, dumiał nad przygnębiającym faktem, że nie sposób całkiem zapomnieć o minionych żalach, a terażniejsze smutki dodatkowo ranią żądłem goryczy.

Zaniepokojony napływem tyłu myśli zapalił papierosa, ale zaraz go zgasił. Weź się w garść, Pagan. Spójrz prawdzie w oczy. Świat nie jest taki, jaki byś chciał. Nie ty go budowałeś. Nie zmieni go też

pięć szklanek guinnessa. Pięć szklanek, a on prawie stracił

głowę - najwyraźniej nie nadaje się do tego czarnego świństwa.

Niepewnie podniósł się z miejsca i „krokiem starego Guinnessa” wyszedł z holu, stanął

przy windach i nacisnął guzik. Wjechał na piąte piętro. Otworzył swój pokój, wszedł do środka i zapalił światło. Zrzucił buty, a potem padł na łóżko. Nie chciało mu się spać, więc wziął pilota, włączył telewizor i patrzył na migający ekran, choć od wielu dni nie czuł już potrzeby oglądania telewizji ani czytania gazet.

Na ekranie pojawił się zakątek Belfastu otoczony taśmą rozwijaną przez techników wokół

miejsca wypadku; w tle widać było zarumienione od chłodu twarze policjantów. Lojaliści Ulsteru zastrzelili katolickiego taksówkarza.

Jak zwykle ta sama nienawiść. Ta sama żądza krwi. Pagan wspomniał własne doświadczenia z irlandzkim terroryzmem, kiedy prowadził śledztwo przeciw irlandzko-amerykańskiemu mordercy zwanemu Jig. Od dawna już o nim nie myślał. Ten zabójca reprezentował terroryzm o twarzy możliwej do przyjęcia - o ile w ogóle takie zjawiska muszą istnieć. On nie miał nic wspólnego z niepotrzebną przemocą, zabijaniem przypadkowego taksówkarza z powodu jego przekonań religijnych, czy też rzeziami dokonywanymi na niewinnych ludziach podczas strzelanin i zamachów bombowych. Jig pogardzał takimi postępami. Pagan uważał cele, stawiane sobie przez tego młodego człowieka, za w pewnym sensie szlachetne i zbliżone do tych, jakie w dawnych czasach miała stara IRA. Były to cele wyłącznie polityczne. Jig zawsze się upewniał, że jego poczynania nie skrzywdzą niewinnych ludzi.

Podobnie jak tysiące Amerykanów irlandzkiego pochodzenia z Nowego Jorku, Chicago, z Kalifornii i ze stanów Nowej Anglii Pagan pojechał do Albany na pogrzeb Jiga. Był wiosenny dzień, trumnę przykrywała flaga republiki irlandzkiej, a samotny koziarz grał pieśni żałobne.

Wpatrzony w trumnę znikającą pod czarną, wilgotną ziemią, Pagan obarczał winą za śmierć Jiga jego własny entuzjazm, pasję i wiarę w słuszność irlandzkiej sprawy. Podczas pogrzebu wydawało mu się, że w rozgrzanym powietrzu unosi się widmo daremności. Zmarnowane pieniądze wykładane przez źle poinformowanych Amerykanów irlandzkiego pochodzenia, którzy chcą służyć Sprawie; zmarnowane ich gorące oddanie; a przede wszystkim zmarnowane życie tego młodzieńca.

Słuchając koziarza i obserwując wiszącego w powietrzu skowronka, Pagan zdał sobie sprawę, że w innych okolicznościach zaprzyjaźniłby się z przedwcześnie zmarłym Jigiem. Z

młodzieńcem, który zginął w gruncie rzeczy na próżno. To prawdziwa tragedia.

Przypomniał mu się Artie Zuboric, zgryźliwy agent FBI, z którym prowadził śledztwo przeciwko Jigowi.

- Pagan, ja nie wiem, o co ci chodzi - odezwał się Artie podczas pogrzebu. - Przecież ten facet to zaszary morderca. Terrorysta. Po cośmy tu przyszli? Dlaczego dałem ci się namówić na wzięcie

udziału w tym klanowym spotkaniu? Za kogo oni go mają? Za jakiegoś świętego, czy co?

- Jeśli sam tego nie wiesz, ja ci tego nie potrafię wytłumaczyć - odparł cicho Pagan.

- Czasami bywasz cholernie tajemniczy - powiedział Artie Zuboric i sapnął zdenerwowany.

- Chyba musiałem przeoczyć jakąś kwestię.

Pagan wyłączył telewizor. Wstał, podszedł do okna i wyjrzał na Stephen's Green. W

świecie latarni przechadzali się mężczyzna i kobieta, objęci ramionami niczym zimowi kochankowie. Ich światła nie zatrzymał terroryzm. Oni byli ze sobą bezpieczni. Pagan poczuł

ukłucie w sercu i falę napierającej krwi. On wie aż za dobrze, że terroryzm może zagrozić każdemu i o każdej porze, bo pojawia się znikąd i potrafi zmienić świat nie do poznania.

Niespodziewanie pomyślał o Roxanne. Dawno już zrezygnował z regularnych wizyt na cmentarzu i składania kwiatów na grobie swej żony. Chodził na grób tylko dwa razy do roku -

przy okazji urodzin Roxanne i w rocznicę ich ślubu. Wyprawa na cmentarz zawsze kosztowała go wiele zdrowia. Czuł się sparaliżowany przez miłość, która już dawno przestała istnieć. Stawał wpatrzony w wyryte na tablicy litery i zawsze odczuwał wstrząs z powodu śmierci żony i z powodu końca pewnego stylu życia. W jakiś czas po śmierci Roxanne wyczuwał jeszcze w mieszkaniu jej obecność, słyszał jej głos, szukał jej po pokojach i wołał

ją po imieniu.

Frank, to już minęło. Wszystko może się zmienić. Zamknął oczy; czuł, że myśli wirują mu w głowie bez konkretnego celu.

Nagle przestraszył go niespodziewany dzwonek telefonu. Podniósł słuchawkę.

- To ty Frank? - Z Londynu dzwonił Robbie Foxworth.

- Foxie - odezwał się zdziwiony Pagan. - O Boże, jak mnie tu namierzyłeś?

- Łatwo nie było - odparł Foxie. Dalsze jego słowa zamieniały się jakby w świszczące dźwięki. - Zafundowałeś sobie trochę skomplikowaną podróż. Dzwoniłem dzisiaj wieczorem prawie do wszystkich hoteli od Cork po Connemara.

- W końcu mnie znalazłeś. Co się stało?

- Mamy problem. Chodzi o sprawy, w których jesteś specjalistą.

- Myślałem, że jestem na bezpłatnym urlopie okolicznościowym na czas nieokreślony.

- Widocznie coś się zmieniło. Potrzebne jest twoje doświadczenie. Frank, oni chcą, żebyś przyleciał

najbliższym samolotem.

- Jacy oni?

- Rozkaz przyszedł z samej góry. Od wielce szanownego Nimmo.

- Ten palant mógłby sam do mnie zadzwonić - burknął Pagan.

- Nimmo nigdy nie prosi o przebaczenie. Frank, nie wyzywaj się na mnie, bo jestem tylko posłańcem.

- A więc chcą, żebym wrócił.

- Zadzwoń, jak będziesz wiedział, o której przylatujesz, to po ciebie wyjadę.

- A jeśli powiem, abyś powtórzył Nimmowi, żeby się odpieprzył?

- Nie wiem dlaczego, ale nie powiesz tak. Za dobrze cię znam.

Pagan uśmiechnął się. Jakież to zadziwiające, że nigdy nie wiadomo, co przyniesie człowiekowi radość, i że w tak krótkim czasie krążenie krwi może wrócić do normy.

- Słuchałeś dzisiaj wiadomości? - doleciał go głos ze słuchawki.

- Staram się unikać takich rzeczy.

- Jak się zobaczymy, to trochę cię podszkolę, żebyś był bardziej na bieżąco. Przedtem jednak poczytaj sobie gazety. Mamy poważną sprawę.

- Jak poważną?

- To katastrofa.

- Zadzwonię do ciebie. - Pagan odłożył słuchawkę.

Chcą mojego powrotu, pomyślał. Uznali, że moja obecność jest konieczna. Ho, ho, ho, naprawdę coś się zmieniło. Choćby to, że wracał do domu.

Durban, Republika Południowej Afryki

Na północ od Durbanu klimatyzowaną limuzyną z przyciemnianymi szybami jechał Tobias Barron. Siedział obok przedstawiciela Departamentu Edukacji - drobnego człowieka o nazwisku Mpande, który ciągle ścierał pot z okularów. W pewnej chwili na przedmieściach Durbanu Barron opuścił elektrycznie otwieraną szybę i spostrzegł, że tłum czarnoskórych dzieciaków w amerykańskich dżinsach obserwuje limuzynę niemal z wrogością w oczach. Do wnętrza samochodu zaczęło przenikać nieprzyjemne, ciężkie, wilgotne i gorące powietrze z ulicy. Mpande pochylił się, nacisnął przycisk i zamknął okno.

- Taki samochód budzi nieufność i wrogie nastawienie - powiedział z uśmiechem.

Dla niego uśmiech to poważna sprawa - pomyślał Barron. Pewnie chce się pochwalić dwoma wstawionymi z przodu złotymi zębami. Barron rozsiadł się wygodnie, a po kilku kolejnych milach, gdy zjechali z brukowanej nawierzchni na polną drogę, poczuł, że samochód podskakuje inaczej. Mpande cały czas coś mówił, przeważnie o statystykach, i choć wielce to nudziło Barrona, słuchał jednak i co jakiś czas przytakiwał. Do ulubionych tematów Mpandego należał odsetek czarnoskórej ludności zapisującej się na uniwersytety oraz zestawienia liczby studentów nauk humanistycznych, politechnicznych i medycznych.

Mpande mówił grobowym tonem agenta ubezpieczeniowego, który przeszedł śmierć kliniczną.

Dwie godziny za Durbanem samochód wreszcie się zatrzymał.

- Proszę zachować ostrożność - powiedział Mpande. - Przyjmie nas komitet powitalny i niektórzy jego członkowie mogą okazywać trochę nadmierny entuzjazm. Trzeba ich zrozumieć. Chcą uczcić pańskie przybycie. W końcu jest pan ich dobroczyńcą. Można powiedzieć, że tchnął pan nadzieję w ich życie.

Barron nie odpowiedział ani słowem, zastanawiał się tylko, czy w głosie Mpandego nie dosłyszał odrobiny sarkazmu i kpiny. Gdy kierowca otworzył drzwi, wysiadł z samochodu.

Na zewnątrz panował straszliwy upał, z nieba lała się gorąca jasność. Nie przyzwyczajony do takiego oślepiającego blasku Barron dopiero po chwili zaczął cokolwiek widzieć; w cieniu niebieskiej, brezentowej wiaty ujrzał ludzi oczekujących go z powitaniem. Mpande przedstawił go uroczyście burmistrzowi miasteczka, starszyźnie, pastorowi i nauczycielowi.

Barron nie był w stanie zapamiętać wszystkich twarzy i nazwisk. Później, z dystansu, doszedł

do wniosku, że wszystko to było nijakie - uśmiechy, gorące słońce, porośnięta chaszczami okolica, zapach odchodów z pobliskiego kanału i budy sklecone z wszelkich dostępnych materiałów, takich jak tektura, blacha falista, kiepskie drewno i metalowe rurki. Jedna porządna burza mogłaby tę zaimprovizowaną osadę zrównać z ziemią.

Burmistrz wygłosił po angielsku mowę, wyrażającą wdzięczność mieszkańcom miasteczka za nadzwyczajną hojność Barrona, dzięki której miejscowa młodzież może zdobywać wykształcenie. Teraz najzdolniejsze dzieci pójdą do college'ów i na uniwersytety. Teraz mają one... tu burmistrz zamilkł na moment i przymknął oczy, jakby chciał podkreślić staranność doboru odpowiedniego słowa... mają dobroczyńcę. Wśród tłumu rozległ się pomruk zadowolenia i radości. Pocąc się w białym garniturze, Barron słuchał tego wszystkiego z niechęcią i zniecierpliwieniem. Chciał jak najszybciej wrócić do klimatyzowanego hotelu w Durbanie. Bycie filantropem nie sprawiało mu zbyt przyjemności. Miał za sobą tego typu przedstawienia w wielu upośledzonych przez życie zakątkach świata, na przykład w Gwatemali, Somalii i Etiopii, gdzie brakowało pieniędzy jak nie na edukację, to na lekarstwa, a jeśli nie na lekarstwa, to na żywność. Działalność charytatywna była tylko jedną z dziedzin, którymi się w życiu zajmował.

Dzięki swemu szybkiemu refleksowi zdążył się uśmiechnąć do fotografii. Potem wszyscy przeszli zakurzonym placem do miejscowej szkoły, stanowiącej dumę mieszkańców miasteczka pomimo wybitych okien, pęknięć na szarym betonie i chwastów zarastających boisko. Pokazano mu ciasne salki z prostymi ławkami i krzesłami, najwyraźniej wstawionymi tylko z okazji jego wizyty. W salach śmierdziało rdzą i kredą, a wszędzie fruwało pełno much. Barron zauważył na tablicy dwa zdania: „Witamy pana, panie Barron”, oraz

„Dziękujemy panu, panie Barron”.

Dzieci pchały się do niego, jak gdyby nawet zwykłe dotknięcie go miało zapewniać szczęście.

- Niech pana Bóg błogosławi - powiedziała irlandzka pielęgniarka, której piegi spłwiałały po latach spędzonych w klimacie tak różnym od rodzinnego Clare. W zielonych oczach miała łzy. Barron skromnie umniejszał swój udział, mówiąc, że to kropla w morzu potrzeb, a pielęgniarka zgodziła się, że na świecie pozostało jeszcze wiele do zrobienia, lecz gdyby inni ludzie tak chętnie dzielili się z bliźnimi jak on, to życie stałoby się łatwiejsze.

- Edukacja - powiedziała z żarliwym przekonaniem - może powstrzymać przemoc.

Barron przyznał jej rację.

Przeszli następnie pod wiatę, gdzie miał wygłosić przemówienie do mieszkańców miasteczka. Spojrzał na ponad pięćset czarnoskórych twarzy i jak zwykle przy takich okazjach zaczął pleść banały o spełnieniu swych ambicji i o tym, że jeśli ktoś przyjmuje w życiu odpowiednią postawę, to wszystko jest dla niego możliwe. Zastanawiał się, czy ktokolwiek naprawdę zrozumiał coś z jego słów i czy nie jest w swym optymizmie zbyt amerykański i zbyt dla nich obcy. Zawsze jednak wszyscy bili mu brawo i cieszyli się z jego przemówień. Teraz podeszła do niego mała dziewczynka w kraciastej sukience i wręczyła mu na pamiątkę ręcznie robiony, miedziany medal z jego inicjałami.

Pod koniec wizyty, trwającej zaledwie jakieś trzy kwadranse, Barron pokiwał do zgromadzonych ludzi i w towarzystwie uśmiechniętego Mpandego wsiadł do samochodu.

- Uszczęśliwił ich pan - odezwał się przedstawiciel Departamentu Edukacji.

- Możliwe.

- Dając ludziom nadzieję, rozjaśnia pan ich życie.

Rozsiadając się wygodnie na drogę do Durbanu, Barron wyprostował nogi i zauważył smużkę czerwonego kurzu na mankiecie białych spodni.

Z hotelowego apartamentu rozciągał się widok na przystań w Durbanie. gdzie stały na redzie statki najrozmaitszych bander. Słońce schodziło już z nieboskłonu, lecz upał nie zelżał

ani trochę. Nad przystanią wisało mgliste niebo. Rozgrzanych szyb w oknach nie dało się dotknąć ręką. Barron nalał sobie szklanekę lodowatej wody i usiadł przy stole obok okna, gdzie znajdował się

wentylator.

Rozłożył przed sobą kilka teczek z informacjami na temat przyszłych projektów. Oprócz przekazania funduszy na cele edukacyjne w miejscowościach leżących na północ od Durbanu, zamierzał wesprzeć na Haiti klinikę leczącą jaskrę i dofinansować ośrodek badań rolniczych na Kubie, o ile oczywiście uda mu się pokonać oporną biurokrację Fidela Castro.

Przeglądając pliki, oceniał raporty pisane przez ekspertów i bankowców tak nużącym językiem, że mogłyby zastąpić środek nasenny. Zmęczony czytaniem odsunął na bok papiery i spojrzął na zegarek. Brakowało kilku minut do siódmej - miał opuścić Republikę Południowej Afryki za godzinę.

Wstał od stołu, wszedł do pierwszego pokoju i nasłuchiwał. Punktualnie kwadrans po siódmej do drzwi zastukał Nofometo - dwa spokojne stuknięcia, przerwa i trzy stuknięcia.

Barron otworzył drzwi i do pokoju wszedł wysoki, czarnoskóry mężczyzna z twarzą przeciętą zygawkowatą blizną, ciągnącą się od prawego ucha aż do kącika ust. Miał na sobie czerwony podkoszulek, luźne, beżowe szorty i sandały na bosych stopach.

Uścisnęli sobie ręce. Nofometo podszedł do stołu, przejrzał dokumenty i wybuchnął

śmiechem. Jego głos zawsze przypominał Barronowi jakiegoś egzotycznego ptaka.

- Widzę, że ciągle zajmujesz się filantropią - odezwał się Nofometo. Miał akcent wychowanka angielskiej szkoły publicznej. Położył się na sofie i zadarł nogi do góry. Z

zamkniętymi oczami dodał: - To-bias, ty chyba jesteś zbyt perfekcyjny. Idealny człowiek w niedoskonałym świecie. Jak ci się to udało?

- Kwestia praktyki - odparł Barron.

Nofometo podniósł powieki, odsłaniając różowawe białka, i spojrzął na Barrona.

- Święty budzący u innych kompleksy. Święty Tobias. Chociaż chyba lepiej brzmiałoby święty Toby.

Barron usiadł naprzeciw gościa w fotelu i nie odzywał się.

- Nie zaproponujesz mi drinka? Gdzie twoje maniery? - W głosie Nofometry pobrzmiwał

ton nagany.

- Spiesz mi się na samolot - rzekł z uśmiechem Barron.

Nofometo usiadł na sofie i zabębnił palcami po gołych kolanach. Po chwili wyjął z kieszeni szortów i wręczył Barronowi złożoną szarą kopertę. Gospodarz otworzył ją i przejrzał

znajdujące się w środku dwie kartki papieru zapisane odręcznym pismem.

- W porządku - powiedział.

- Teraz powinienes poprosić o pieniądze - rzekł Nofometo.

Barron milczał i spokojnym wzrokiem spoglądał na czarnoskórego mężczyznę. Czasami bawiła go cisza wprawiająca innych w zakłopotanie. Nofometo wstał z sofy, podszedł do stołu i nalał sobie z dzbanka pełną szklankę lodowatej wody. Napił się i otarł usta grzbietem dłoni.

- Normalny przelew - powiedział. - Jak sądzę, do tego samego banku co zwykle.

- Masz mój numer konta.

- Na trwałe wyryty w pamięci - powiedział Nofometo. Spojrzał na kopertę w dłoni Barrona.

- Kiedy mogę się spodziewać dostawy?

- Za trzy, może cztery dni. Czarnoskóry skinął głową.

- Robi się coraz gorzej. Procesy polityczne trwają długo, a ludzie zaczynają się niecierpliwic i złościć. Nie ustają morderstwa - rzekł poważnie.

- Nofometo, zrobię wszystko, co w mej mocy.

- Jak zwykle?

- Jak zwykle - odparł Barron. „Święty Tobias”, pomyślał.

Wenecja

W prywatnym odrzutowcu, który wylądował na lotnisku Marco Polo, Tobias Barron przespał prawie cały lot. Na motorowej łodzi o nazwie Desdemona popłynął w stronę Canal Grandę. W żadnym miejscu na świecie - którego spory kawałek miał na własność, między innymi posiadłości w Telluride, w Hongkongu, na Kostaryce i w Coral Gables - nie czuł się tak zadomowiony jak w Wenecji. Apartamenty i domy kolekcjonował w ten sam sposób jak inni łapią motyle, zbierają rzadkie monety albo zaliczają kobiety. Stał obok kierującego łodzią weneccjanina imieniem Alberto i wdychał nocne, chłodne - w porównaniu z Durbanem -

powietrze zalatujące trochę starymi śledziami. Widoczny na niebie księżyc oświetlał

stłoczone wzdłuż brzegów pałace.

- Witamy w domu, signor Barron. Sam pan zobaczy, że w Wenecji wszystko po staremu.

Czy ona zmieni się kiedykolwiek? - zagadnął Alberto.

Tobias Barron stwierdził tylko, że cieszy się z powrotu. Na biały garnitur narzucił czarny kaszmirowy płaszcz, a na szyi miał jedwabny szalik. Zaniepokojone odgłosami silnika mewy

podrywały się z przystanków tramwajów wodnych, mporetti, i leciały w stronę księżycy niczym wielkie ćmy zahipnotyzowane światłem. Spoglądając na ciągnące się wzdłuż wody budowle, Barron podziwiał ich piękno i majestat, z jakim wznosiły się nad podmywającą je trującą wodą.

Mamy tu do czynienia z odzwierciedleniem natury człowieczej, pomyślał. W Wenecji widać zarówno wyniki ludzkiej kreatywności, jak i destrukcji. Nie dostrzegał w tym paradoksu. Ten sam tajemniczy organ ciała, który potrafi budować, równie łatwo sieje zniszczenie. W ludzkim sercu ciemność współistnieje ze światłem.

Poprawił szalik na szyi. Jak dla niego w Wenecji było zimno. Des-demona wypłynęła z Canal Grandę i, minawszy kilka niskich mostków, skierowała się na spokojniejsze wody. Z

barów oraz kafejek sączyło się światło, kochankowie stali na mostkach i przypatrywali się płynącym dołem gondolom. Na sznurach schła bielizna, puste plastikowe butelki po aqua minerale huśtały się na falach wzbudzanych przez gondole, a od czasu do czasu wpadały w wir. Na bocznych kanałach zapach stał się intensywniejszy niż na Canal Grandę, jak gdyby tutaj dziwnym sposobem ryby rozkładały się inaczej.

- Jesteśmy na miejscu - rzekł Alberto. Przycumował łódź do brzegu, upewnił się, że stoi stabilnie i signor Barron będzie mógł swobodnie wysiąść. Później zabrał wszystkie bagaże i postawił je na nabrzeżu, gdzie czekał już Schialli, małomówny służący, od wielu lat pracujący u Barrona. Podobnie jak Alberto, Schialli był uzbrojony. Obydwaj mieli karabiny maszynowe. To przykre, myślał Barron, że mam tylu wrogów i że moi rywale są tak bardzo żądni krwi.

Schialli i Alberto zabrali walizki i poszli za swym pryncypałem uliczką o nazwie Calle dei Avocad, gdzie pod numerem 3720 Barron miał swój dom. Korzystał tylko z dwóch górnych pięter zamienionych w ogromny apartament. Reszta domu, choć umeblowana, pozostawała zazwyczaj nie używana.

Schialli zawsze dużą wagę przykładął do ciężkich kluczy, więc również teraz z całą ceremonią potrząsnął nimi, po czym otworzył potężne, szesnastowieczne drzwi ozdobione rzeźbionymi łbami rozwścieczonych lwów. Cała trójka weszła do wykładanego kamiennymi płytami westybulu. Wsiadli do windy, a Schialli nacisnął guzik i dźwig z cichym szumem ruszył w górę.

- Czy jest tutaj pani? - zapytał Barron po zatrzymaniu windy.

- Jest - odparł Schialli z lekkim skinieniem głowy.

Barron wyszedł z windy pierwszy, za nim podążyli obaj mężczyźni z bagażami. Dwa najwyższe piętra budynku łączyły kręte schody, tak że sypialnia Barrona znajdowała się dokładnie nad salonem. Poleciał rozpakować walizki, a sam wszedł do salonu, gdzie system centralnego ogrzewania rozprowadzał po apartamencie ciepłe powietrze. Zdjął płaszcz i szalik, podszedł do nie rozpalonego, marmurowego kominka i stanął plecami do paleniska, jak gdyby to ono było źródłem ciepła. Alberto wycofał się po cichu, a Schialli rozpakował w sypialni bagaż, rozwiesił ubrania, po czym przyniósł Barronowi negroni z wodą sodową.

- Odczekaj piętnaście minut, a potem przyślij do mnie panią.

- Tak jest - rzekł Schialli i wyszedł.

Popijając drinka, Barron przechadzał się po salonie eklektycznie umeblowanym sprzętami kupowanymi na miejscu, w Wenecji. Mógłby polecić antykwariuszowi zdobycie mebli z określonej epoki, on jednak wolał kupować to, co mu się podobało. Pokój należy do ciebie wówczas, gdy sam go urządzisz. Podobnie rzecz się ma ze światem, pomyślał. Jest taki, jaki zechcesz... o ile posiadasz dość władzy i siły perswazji, aby go własnoręcznie ukształtować.

Przez jakiś czas spacerował, uderzył w kilka klawiszy siedemnastowiecznego szpinetu stojącego przy oknie z zasłonami wyszywanymi wiśniowo-bursztynowym brokatem. Ach, te piękne przedmioty - można się nimi cieszyć tylko do chwili zdobycia ich na własność. Koniec końców nie ma bowiem rzeczy niezastąpionych i wszystko można wystawić pod młotek w salonie aukcyjnym. Podszedł do kominka, gdzie stały oprawione w ramki fotografie.

Na jednej z nich Barron ścisnął się z podstarzałym Ferdinandem Marcosem w hotelu Raffles w Singapurze. Marcos uśmiecha się do zdjęcia, lecz pod pogodną twarzą widać zestresowanego człowieka, którego władza została wystawiona na poważną próbę. Na innym zdjęciu w surrealistycznej epoce władzy Imeldy Marcos, kiedy to odrywała się od budowania na własny użytek monumentalnych budynków tylko po to, aby potaćzyć i zaśpiewać „The Imposible Dream”, Barron tańczy z nią w prywatnej dyskotecie pałacu Malacanang. Do tej pory na święta wysyła jej kartki ręcznie drukowane na specjalne zamówienie w niewielkiej firmie w Macon w stanie Georgia. Trzecie zdjęcie przedstawiało Barrona z Fidelem Castro na dziedzińcu białego domu w kubańskiej prowincji Granma. Fidel z poważną miną trzyma jedną rękę na ramieniu Barrona w geście sugerującym powstrzymanie go przed czymś. Na ostatniej fotografii Barron występuje w towarzystwie Williama J. Caana, ambasadora Stanów Zjednoczonych w Wielkiej Brytanii. Stary, pocziwy Bili uśmiechając się szeroko, po ambasadorsku, obejmuje Barrona ramieniem.

Ktoś kiedyś powiedział z odrobiną zazdrości, że Barron zna wszystkich na świecie. Był na ty z rozmaitymi politykami i gwiazdami show businessu. Znał Yiscontiego i Truffaut. Bywał

w towarzystwie Ronalda Reagana, George'a Busha i Jerry'ego Browna. Wyglądało na to, że Barron żyje w krainie marzeń, w której sława polityków oraz gwiazd rozrywki staje się jednym i tym samym, czyli miejscem sprawowania władzy i spełniania snów. Oczarowany urokiem tego miejsca, wpadł w szpony jego powabów. Ludzi władzy pociągają specyficzne sprawy. Oni idą przez świat, nie zważając na banalne, przyziemne potrzeby życiowe. Oni wznoszą się ponad przeciętność i wstępują do swych własnych rajów.

Przejrzał się w wiszącym nad kominkiem lustrze. Bez względu na porę roku zawsze był

opalony. Nosił białe lub beżowe garnitury podkreślające ciemną cerę. Nie było po nim widać zbliżającej się starości. Z uśmiechem zaprzeczał wszystkim plotkom na temat chirurgicznych operacji plastycznych. Pomimo wykreowanego wizerunku osoby publicznej, pozostał

człowiekiem na wskroś prywatnym. Był sympatyczny, bogaty, przystojny i miał nadzwyczaj

fotogeniczną twarz, lecz nikt właściwie nie wiedział nic na jego temat. Skąd na przykład ma tyle forsy? Jak się dorobił takich kokosów?

Podczas przyjęć wydawanych od Gstaad po Aspen i Monte Carlo jedni mówili, że odziedziczył ogromne pieniądze, inni zaś twierdzili, iż przez dwadzieścia lat poszerzał swój portfel udziałów w często podejrzanych i niepewnych firmach. Niektórzy ekscytowali się niewiarygodną historią o tym, że ma dostęp do legendarnych zasobów japońskiego złota, posiadanego przez Marcosa. Żadna z tych plotek nie opierała się na prawdzie.

Co do pochodzenia, to zawsze powtarzał, że wychował się w brzydkim kalifornijskim miasteczku San Louis Obispo, lecz nigdy tam nie był ani nawet nie widział pochodzących stamtąd zdjęć. Stanowił nieprzeniknioną zagadkę.

I dokładnie o to mu chodziło.

Odwrócił się od fotografii i otworzył drzwi do małego, chłodnego pokoju. Na jednej ścianie znajdowała się elektroniczna mapa świata otoczona kilkoma zegarami wskazującymi czas w różnych miejscach globu. To tu, to tam migwały czerwone, żółte i zielone diody. Oznaczały poziom zaawansowania różnych projektów w danej chwili. Czerwony kolor oznaczał tereny budzące wiele wątpliwości, zielony - sytuację już opanowaną, a żółty - miejsca, gdzie właśnie trwały negocjacje. Na powierzchni oceanów widniały białe kursory oznaczające szlaki płynących statków; obecnie jeden z nich znajdował się u wybrzeży Madagaskaru, drugi na Karaibach, sto mil od Kuby, trzeci na Morzu Bałtyckim, jakieś siedemdziesiąt mil od Tallina, a czwarty płynął przez Atlantyk. Kierunki ruchu naziemnego - pociągów i ciężarówek -

zaznaczone były kolorem pomarańczowym i w takich miejscach jak Afryka Południowa, Gwatemala, Angola oraz Afganistan błyskały diody.

Na półkach stał sprzęt komputerowy, konsolety do obsługi sprzętu wideo, kilka laserowych drukarek i trzy fakсы. Barron miał podobne pomieszczenia w każdej ze swych posiadłości.

Wszystkie urządzenia współdziałały ze sobą, stanowiąc coś w rodzaju elektronicznej poligamii. Był połączony z całym światem i z całego świata zbierał informacje. Przejrzał

wiadomości, które nadeszły faksem.

Dzielił je na trzy szeroko rozumiane kategorie. Pierwsza to szczegółowe sprawozdania z wypadków w różnych częściach świata, na przykład odkopanie w Bośni świeżego masowego grobu kobiet i dzieci, reaktywowanie partii komunistycznej w różnych krajach należących kiedyś do Związku Radzieckiego, krwawe powstanie Armii Ludowej w południowej części Filipin, zabicie siedemnastu czarnych przez prawicowych ekstremistów z Durbanu, dwieście ofiar śmiertelnych podczas zamieszek etnicznych we wschodnim Zairze. Doniesienia te zadowolilyby najdoskonalsze biuro informacyjne, tylko że jego korespondentów nie zatrudniała Agencja Reutera ani Associated Press. Informacji tych nie zdobywali też dziennikarze.

Do drugiej kategorii zaliczały się analizy opracowywane przez opłacanych z pieniędzy Barrona

ekspertów. Komputerowe programy rozważały wszelkie możliwe skutki kryzysów w takich miejscach jak Gruzja, Nigeria, Liban, Bośnia, Somalia czy Irlandia Północna.

Wszystkie kluczowe postacie zaangażowane w konflikty - politycy, dyktatorzy, potentaci finansowi, żołnierze i rozmaite społeczne szumowiny - były szczegółowo opisywane, a Barron zawsze uważnie czytał te raporty.

Do trzeciej kategorii należały prośby o wsparcie, czasem pieniężne. W ostatecznej klasyfikacji liczyły się one nie mniej niż inne, dotyczące działań logistycznych czy ruchów pociągów, ciężarówek i statków.

Dłuższy czas przeglądał wszystkie doniesienia. Uderzyły go zawarte w nich ludzkie marzenia i aspiracje. Przez chwilę zastanawiał się, jaką on w nich odgrywa rolę, i doszedł do wniosku, że dostarcza tym marzeniom pożywki. Jakie znaczenie ma zatem ich podłoże?

Czasami postrzegał siebie jako iluzjonistę, jako magika potrafiącego wcielić w życie marzenia i kształtować świat innych ludzi. Wydawało mu się, że znajduje się w centrum gry planszowej, w której sam ustala reguły. Analizował swoją planszę, to tu, to tam coś zmieniał, rozważał konsekwencje każdego ruchu; tę grę różnił od innych tylko brak czarnych i białych pionków, brak przeciwników i brak strony, za którą on by się opowiadał.

Wyłączył światło i zamknął pokój na klucz. W salonie czekała na niego kobieta. Podeszedł

i pocałował ją w rękę.

- Zmarzłaś - odezwał się.

Kobieta uśmiechnęła się z odrobiną politowania. Tkanina jej bluzki ziębiła go w dłoń, gdy pociągnął ją do stojącej obok kominka sofy. Obserwował piękną twarz, na której pojawiły się już delikatne oznaki starzenia - drobne zmarszczki dodające jedynie jej doskonałej urodzie ludzkiego wymiaru. Niektórym kobietom pisana jest efektowna dojrzałość.

- Napijesz się czegoś? - zapytał.

- Nie, dziękuję - pokręciła głową. - Nie jestem w zbyt dobrym nastroju.

Barron dokończył negroni.

- A w jakim?

- Trudno powiedzieć - wzruszyła ramionami.

- Ambiwalentne uczucia?

- Można by tak powiedzieć.

- W Wenecji nie można sobie pozwalać na coś takiego - zauważył. Przyjrzał jej się uważniej. W tym

pomieszczeniu brakuje prawdziwego ognia, brakuje płomieni, które oświetliłyby jej twarz. A malowało się na niej coś niebezpiecznego. Barron wiedział, że ona potrafi wyłączać się z rzeczywistości i czasami opuszcza wszystkie znane wymiary, chowając się we własnym, stworzonym przez siebie świecie, a Barron nie potrafi jej tam wytropić.

Nigdy nie umiał wyobrazić sobie, co się dzieje w umyśle tej kobiety. Niczym przybysza z obcej planety, nie sposób ją było zakwalifikować do żadnej kategorii.

Przygotował sobie drugiego negroni - campari zmieszał z odrobiną wermutu i sporą ilością ginu. Kobieta natomiast, obserwując go, myślała, że tego rodzaju uwaga jest dla Barrona tak typowa, iż mogłaby się stać jego znakiem firmowym. W Wenecji nie można pozwalać sobie na ambiwalentne uczucia. W zdaniu tym zawarta była bezkrytyczna wiara w treść tych słów.

Barron o wielu rzeczach mówił z taką pewnością siebie. Wstała i przycisnęła dłonie do ud.

Wełniana spódnica wywołała gęsią skórę na nogach. Podeszła do Barrona i położyła mu dłoń na ramieniu. Jego brązowa skóra zdawała się emanować jakąś formą energii.

Objął dłońmi jej głowę. Kobieta ta stanowiła pewne wyzwanie dla jego wiedzy. Pod jej wpływem zastanawiał się nad dziwną naturą biochemii, pożądania i przyciągania się dwojga ludzi. Zastanawiał się, czy o miłości decydują pewne zapachy stymulujące poszczególne strefy mózgowie. Kocha ją? Odpowiedź na to pytanie nie istniała. Mógł jedynie przyznać z całą pewnością, że go do głębi zafascynowała, że w jej obecności popada w nietypowe zaślepienie, które w dziwny sposób zmusza go do chronienia jej zarówno przed światem, jak i przed nią samą.

- Chyba niezbyt podoba mi się ten twój nastrój - stwierdził. - Jesteś za bardzo zamknięta w sobie. Zachowujesz się zbyt introwertycznie. To chyba odpowiednie słowo.

Odeszła od niego, aby przyjrzeć się stojącym na kominku fotografiom.

- Po co ci to wszystko? - zapytała.

- Takie rzeczy są potrzebne do kreowania wizerunku publicznego.

- Czy naprawdę aż tak wielka różnica istnieje między Barronem prywatnym a publicznym?

- Do tej pory już sama powinnaś się zorientować. - Zamieszał drinka.

- Sama nie wiem, czy w ogóle w czymkolwiek się orientuję.

Nie odpowiedział. Nigdy nie zadawała pytań dotyczących jego życia ani pochodzenia, jak gdyby chciała, żeby nie miał za sobą żadnej przeszłości.

- Zawsze mi się wydaje, że takie zdjęcia są oznaką słabości - powiedziała.

- Sugerujesz, że w ten sposób zaspokajam swoją potrzebę uznania? Jeśli tak, to się mylisz.

Ja dokładnie wiem, co te zdjęcia oznaczają. Nie ma w nich żadnej tajemnicy. Po prostu mam ego, które lubi być czasem połamane.

- O tak. Ego to ty masz.

Wziął ją za rękę i przycisnął jej dłoń do swej muskularnej piersi.

- Tak samo rozbudowane jak twoje.

- Być może - odparła.

- Tylko że ty jesteś bardziej chimeryczna. Wykonujesz więcej teatralnych gestów.

- A ty nie? Więc jak inaczej to nazwać? - wskazała palcem na fotografię. - Zbierasz fotki ze sławnymi ludźmi. Co można uznać za gest bardziej teatralny?

- Dobry wizerunek publiczny jest bardzo przydatny.

Wyrwała mu się, przeszła przez salon i postawiła stopę na schodach prowadzących do sypialni. Spojrzała w górę na krętą, ginącą w cieniu metalową konstrukcję. Pomyślała o dużym łóżku Barrona, o jedwabnym baldachimie i o gobelinie na ścianie. Zawróciła, rozsunęła zasłony i wyszła na balkon z widokiem na kanał.

Barron poszedł za nią i przez jakiś czas stali w milczeniu. Gondole z brezentowymi daszkami przypominały trochę pływające po wodzie czarne trumny. Księżyc świecił jasnym blaskiem, dzięki czemu ciemność nocy wydawała się jeszcze gęstsza niż zwykle.

Barron pocałował tajemniczą kobietę. Odwróciła się, odepchnęła go delikatnie i pokręciła głową.

- To chyba coś gorszego niż mieszane uczucia - powiedział.

- Czuć od ciebie gin.

- A od kiedy to ci przeszkadza?

Przesunęła dłonią po zimnej balustradzie balkonu. Spojrzała w ciemność. Noc kojarzyła jej się z obecnością wielkiego, niebezpiecznego kota. A w Wenecji było coś szczególnie kociego, jak gdyby ciemne place i zaułki stanowiły tereny łowieckie głodnych lampartów.

Wziął ją za rękę i lekko uściśnął.

- Wejźmy do środka. Na górę.

Zawahała się, ale poszła za nim. Na krętych schodach spojrzała w górę i zatrzymała się w połowie drogi. Popatrzyła na opaloną, przystojną twarz Barrona. Jego doskonałość trochę ją przerażała. Nikt nie ma prawa wyglądać tak jak on. W tej jego urodzie jest coś nierealnego. I jakim cudem zatrzymał wewnętrzny zegar i nie dopuścił do starzenia się?

Ruszyła w górę. W sypialni położyła się na łóżku ze zgiętą w kolanie nogą.

- Barron, nie jestem w najlepszym nastroju.

- Powtarzasz się. - Stał przy łóżku i popatrzył na nią z góry. W jednej chwili wydała mu się słaba i nieporadna. Problem polegał jednak na tym, że jej słabość potrafi się błyskawicznie zamienić w prawdziwą hardość. Pod tym względem była kapryśna jak pogoda, a Barron nie miał barometru pozwalającego postawić prognozę.

Zapalił stojącą na nocnym stoliku czerwoną świeczkę, usiadł na brzegu materaca i przesunął dłoń po łydce kobiety.

- Powiedz, co czujesz - odezwał się.

- Co ja czuję...

Położył dłoń na jej kolanie. Drugą ręką podniósł świecę i przesunął nad łóżko.

Odwróciła się, aby spojrzeć Barronowi w oczy. Wiedziała, że mu się odda, i rozumiała nieuchronność sytuacji. Wpatrywała się w płomień świecy. Pierwsza kropla wosku spadła jej na przedramię; Barron przesunął świeczkę i druga kropla poleciała na dłoń. Wosk parzył, twardniał na skórze, a potem gorąco mijało. Pociągnęła go za rękę, aby przybliżył świeczkę do jej twarzy. Gorący wosk kropla po kropli kapał na policzki, za każdym razem sprawiając krótkotrwały ból. Czowała, że Barron lekko się opiera, jak gdyby chciał już odstawić świeczkę na bok.

- Bliżej - poprosiła. - Jeszcze bliżej.

Zsunął jej bluzkę z ramion i przesunął świeczkę ze skapującym, gorącym woskiem ku piersiom. Palcami drugiej ręki gładził ją po wewnętrznej stronie ud, z każdą chwilą coraz mocniej. Zamknęła oczy, aby się skoncentrować na jego dotyku i wosku zastygającym na skórze. W myślach jednak nadal widziała świeczkę i czuła na twarzy i szyi parzące gorąco.

Oddychała coraz ciężiej. Dłoń Barrona powędrowała na jej brzuch, aby zatrzymać się na płaskim miejscu poniżej pępka. Pociągnęła jego dłoń, wsuwając ją sobie między nogi. Jak w hipnotycznym transie otworzyła do połowy oczy. Chwyciła Barrona za przegub i zmusiła go, by przeniósł świeczki bliżej sutków. Gdy wosk spadał na piersi, spływał na brzuch i zastygał, czuła przenikliwe gorąco z niezwykłą intensywnością. Płomień skwierczał i migotał, a ona chciała się znaleźć w samym jego jądrze. Barron jednak odstawił świeczkę na stolik i pochylił

głowę nad jej brzuchem. Czowała jego oddech przesuwający się w kierunku pępka; ujęła Barrona oburącz za głowę, popchnęła niżej - ku sekretnym miejscom, które dla niego nie stanowiły już żadnej tajemnicy, lecz były tak znajome, że z pamięci mógłby wykreślić ich mapę.

Jak ślepiec pozbawiony nagle zmysłu wzroku, przesunęła pomiędzy nogami jego głowę, czując na skórze dotyk ust, języka i zębów. Wszelkie opanowanie i wola zostały odsunięte na bok, równowaga zachwiana, świadomość nie wysyłała już ostrzeżeń do układu nerwowego; była zupełnie wolna. Podniosła się z zamkniętymi oczami, uklękła i przyłgnęła twarzą do jego pachwiny. Wzięła go do ust,

gdzie czekał już miękki język, a potem Barron łagodnym ruchem przyciągnął jej głowę do góry.

Chwilę obserwował włoski na jej brwiach, później zaczął odpinać guziki bluzki, lecz według niej robił to zbyt wolno, więc ponagliła go, pomogła mu, a potem przestała się kontrolować, wszystko zaczęło się obracać wokół nieznanej osi; świat przestał docierać do jej zmysłów.

Czucie powróciło dopiero na ułamek sekundy przed wsunięciem penisa. Ułyszała własne słowa, lecz wydobywający się z gardła głos nie należał do niej, mówiła za kogoś innego, za istotę pozostającą poza jej jaźnią. Ona sama stała się kłębkim bezładnych bodźców i reakcji, niby barwny kieliszek rozbity strzałem z pistoletu. Poczwała, że Barron w nią wchodzi, i w jej umyśle zerwał się mroczny powiew.

Trzymała go mocno i namiętnie odpowiadała na jego ruchy. Wbiła mu palce w plecy, pragnąc, aby wchodził w nią jeszcze głębiej. Czwała, że unosi się w górę, ponad łóżko i ulatuje niesiona tajemniczym powietrznym prądem. Wołała Barrona głośno po imieniu. Słyszała współbrzmiające samogłoski i konsonanty, lecz w namiętności nie ma żadnej gramatyki, żadnej logiki, ani żadnej treści innej, niż sama namiętność. Była na granicy szaleństwa. Upadek trwał

długo i ranił serce, a kiedy się skończył, leżała w ciszy, jaka następuje po sennym marzeniu lub dzieli sen od jawy.

Przez dłuższy czas trwała w bezruchu. Wiedziała, że Barron na nią patrzy, więc odsunęła się od niego, speszona nieładem swego ubrania i widokiem penisa błyszczącego w kroczu na tle kępkę włosów. Żałowała, że nigdy jej się nie udaje zapanować nad zniewalającym ją pożądaniem.

Zerknęła na Barrona, przeczesała palcami włosy i przeniosła wzrok nad płonąca świeczkę.

Nienawidziła zadowolenia malującego się na jego niezwyklej twarzy. Nienawidziła jego satysfakcji. Miała wrażenie, że bezwolnie ofiarowała mu jakiś dar. Lub raczej, że on mimo sprzeciwu wyrwał jej podarunek z rąk.

- Dlaczego ja się przy tobie tak zachowuję? - zapytała.

- Zawsze robię tylko to, czego pragniesz - odparł. Wstała z łóżka.

- Potrafisz mną zawładnąć, a ja nie rozumiem, dlaczego tak się dzieje. Dlatego pogardzam samą sobą.

- O jakim ty mówisz zawładnięciu? Jesteś wolna. Nie mogę mieć cię na własność.

Wolna. Roześmiała się.

- Dla ciebie jestem tylko małą, grzeszną tajemnicą. Kobieta wyłaniająca się z cienia i tam znikająca.

Barron w milczeniu odrywał wosk z palców.

- Nigdy nie rozmawialiśmy w świetle dnia, nie chodzimy do teatrów ani restauracji. Wiesz dobrze, do diabła, że nie gadam bzdur. Ty tylko chcesz, żeby ludzie cię uwielbiali, żeby padali ci do stóp.

- Znowu wrócił ci kiepski nastrój - stwierdził Barron.

- A skąd ty możesz wiedzieć cokolwiek o moich nastrojach?

- Z doświadczenia. Z obserwacji. Ponieważ troszczę się o ciebie. -Zastanawiał się, ile czasu pozostanie w defensywie, zanim go zaatakuje. - Jesteś kapryśna. Popadasz z jednej skrajności w drugą.

Obeszła łóżko, kierując się do łazienki.

- Możesz mi wsadzić, Barron, ale nie możesz się dostać do mego wnętrza.

Zniknęła w łazience. Na pokrytych lustrami ścianach widziała swe odbicie pod różnymi kątami. Nigdzie nie rozpoznawała siebie. Stwardniały wosk na skórze przypominał świeże blizny.

Zamknęła drzwi łazienki na zasuwkę, weszła pod prysznic, puściła parzącą wodę i namydliła się energicznie, aby zmyć z siebie wosk i dotyk rąk Barrona. Czy jednak na pewno chodziło jej o zmycie dotyku Barrona? A może stara się usunąć z siebie tę swoją ciemną stronę, do której jemu zawsze udaje się dotrzeć? Z zamkniętymi oczami wsłuchiwała się w szum wody.

Dublin

Wczesnym rankiem na lotnisku w Dublinie Frank Pagan kupił „Timesa”. Pierwszą stronę zajmował artykuł z niewyraźnym zdjęciem, na którym widniało coś w rodzaju okopconych szczątków wagonu metra. Bez przeczytania tekstu trudno było określić, co ta fotografia przedstawia. Wygięte i powyrywane szyny utworzyły szczypcę ściskającą wagon, pozbawiony swej pierwotnej formy. Przy wraku krzżeli się strażacy o twarzach błyszczących w ostrym świetle reflektorów. Zdjęcie przywodziło na myśl wojenne filmy o bestialskich rzeziach.

Przez dłuższy czas Pagan przyglądał się i nic nie rozumiał. Widział tylko chaos, tragedię, okrucieństwo i ludzkie cierpienie. Przeniósł wzrok na tekst artykułu. Wyłapywał kluczowe wyrazy i zwroty. Godziny szczytu. Metro. Piccadilly. Nie ustalono liczby ofiar. Nikt się nie przyznał do odpowiedzialności za podłożenie ładunku, zdradzającego wysoki poziom wiedzy technicznej.

Ech, odpowiedzialność, pomyślał. Spróbował wyobrazić sobie wybuch bomby w godzinach szczytu w londyńskim metrze. Po co ktoś miałby się przyznawać do takiego czynu? Mógł wyliczyć wiele -aż nazbyt wiele - aktów terroryzmu, lecz nigdy nie był w stanie w pełni zrozumieć ich istoty, nawet jeśli zostały popełnione z powodów politycznych. Nie potrafił też opanować gniewu wywołanego takimi zbrodniami. Czy ci lunatycy wierzą, że taka przemoc wzbudzi sympatię dla ich sprawy, choćby nie wiadomo jakiej? Czy sądzą, że masakrując niewinnych ludzi zyskają sobie respekt? Wiedział, że powinien się wykazać większym spokojem i bardziej profesjonalnym podejściem, lecz nigdy nie potrafił się zdobyć na taką obojętność.

Niecierpliwie spacerował po terminalu. Do startu samolotu pozostało pół godziny. Kupił

sobie kawę, rozłożył na stoliku gazetę i znów zaczął oglądać fotografię. A więc wraca do Londynu zając się tym zamachem. Dlatego Nimmo - a raczej szanowny pan Nimmo, jak go nazwał Foxworth -

weszał go do powrotu. Praca akurat dla mnie, pomyślał. Moja specjalność to śmierć i krew. Rzeź i masakra. Czy to rzeczywiście jest sprawa dla niego? Czy posiada pancierz osłaniający go przed okrucieństwem? Cieszył się z powrotu do pracy i z tego, że znów będzie trzymał rękę na pulsie, ale obawiał się, że beczynność ostatnich tygodni oraz brutalny sposób, w jaki Nimmo potraktował go podczas swej „restrukturyzacji”, mogą osłabić jego zapał.

Westchnął, złożył gazetę, odsunął na bok, ale niemal natychmiast podniósł ją z powrotem i znów zaczął przyglądać się zdjęciu. Wciągało go do środka i miał wrażenie, że sam znajduje się gdzieś w tym wraku i jest ofiarą przemocy. Wyobrażał sobie gorące światło lamp świecących mu w twarz i roztopiony metal parzący palce. Złożył gazetę tak, aby nie było widać fotografii. Odsunawszy ją na bok, zaczął rozmyślać o powrocie do świata, gdzie wszystko, co się rusza, czyni to pod osłoną cienia.

Londyn

Tuż przed południem, gdy lądował samolot Pagana, na lotnisku Heathrow czekał już Foxworth. Od wielu lat - nie licząc kilku odde-legowań do innych śledztw kryminalnych - był

asystentem Pagana. Przedtem pracował w słabo opłacanym policyjnym Oddziale do Walki z Fałszerzami. Kiedyś krótko miał też posadę w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych, lecz nie był to zbyt szczęśliwy okres w jego życiu, ponieważ nie potrafił się przystosować do panującej tam atmosfery. Teraz pracował z Paganem w wydziale antyterrorystycznym, w tej mrocznej strefie zaludnionej przez sztucznie tworzone, niewielkie zespoły przybierające sobie skrótowe nazwy, jakby dodając w ten sposób wzniosłości swym - często nieczystym -

metodom. Lubił też pracę z Paganem, który czasem, jak sam Pan Bóg, kroczył niezbadanymi drogami.

- Frank, jak to miło znów cię widzieć. - Uścisnął rękę Paganowi i zauważył, że chociaż ten jest błądy i wygląda na zmęczonego, to jego szare oczy nie traciły wyrazu zaciętości i uporu.

- Proszę. Weź moją torbę. Przydasz się na coś.

- Zawsze do usług - powiedział Foxie. Wziął od Pagana bagaż. - Lekka.

- A komu potrzeba więcej bagażu? Bóg mi świadkiem, że zabrałem ze sobą wszystko, co się może człowiekowi przydać do życia.

Ruszył za Foxiem w kierunku wyjścia. Nad Londynem bezbarwne, zimowe słońce zmagало się z chmurami.

- Mamy samochód - rzekł Foxie. Poszli na parking.

- Foxie, wyglądasz jakoś inaczej - powiedział Pagan. - Tylko nie bardzo wiem dlaczego.

Foxie pomyślał, że mógłby obciąć włosy, a Pagan zauważyłby co najwyżej, że ma potarganą czuprynę.

- Lepiej zmienmy temat - rzekł. Miał na sobie garnitur w jodełkę, taki jak wszystkie inne, które wisiały w jego szafie. Lubił trzyczęściowe klubowe garnitury z Savile Rów i staromodne krawaty. Pagan wolał swobodniejsze stroje, dżinsy, jasne koszule i lniane garnitury szyte przez krawca urzędującego w piwnicy przy Greek Street. Lubił wyglądać młodzieżowo i taki gust szedł w parze z jego napiętym budżetem. Foxie natomiast czerpał

dodatkowe wpływy z funduszu powierniczego.

Czekał na nich czarny rover. Foxie wrzucił bagaż na tylne siedzenie i zasiadł za kierownicą.

- Zimno jak cholera - powiedział Pagan. Foxie włączył ogrzewanie.

- Podobno to najcięższa zima od dwudziestu pięciu lat. Tych biedaków z metra nie obchodzi już pogoda, pomyślał Pagan.

- Foxie, co wiadomo na temat tego wybuchu? Od razu do rzeczy, pomyślał Foxie. To dla niego typowe. Puste gadanie go denerwuje.

- Właściwie wiadomo tylko tyle, że ktoś podłożył bombę w metrze. Jeszcze nie wiemy, co to był za ładunek. Laboranci pracują nad tym. Jak zwykle dużo czasu zajmuje rekonstrukcja wydarzeń. Osobiście muszę powiedzieć, że jeszcze nigdy w życiu nie widziałem czegoś takiego. Ciała są tak zwęglone, że nie sposób określić, do kogo należały. To była prawdziwa masakra.

- Wyobrażam sobie. - Myślał o tunelu, klaustrofobii, śmierci i ludziach uwięzionych w stalowej puszcze.

- Poważnie niepokoi nas brak typowych w takich sytuacjach telefonów. Gdybyśmy mieli do czynienia z IRA, w jakiś zawołowany sposób daliby znać przed wybuchem, aby zostało kilka minut na ewakuację ludzi. Tutaj było inaczej, nie w stylu IRA. Właściwie w niczym stylu.

- Chciałbym obejrzeć miejsce zdarzenia.

- Mam wyraźny rozkaz, żeby zanim podejmiesz jakiegokolwiek kroki, zawieźć cię do Nimma. Sam chce ci nakreślić sytuację.

Pagan wyglądał przez okno. Rover sunął ulicą ku centrum Londynu.

- Foxie, powiedz mi, dlaczego zostałem przywrócony do łask?

- Nimmo potrzebuje twojego doświadczenia.

- Tak nagle? - Pagan wsunął ręce do kieszeni płaszcza. Pomimo włączonego ogrzewania wciąż było mu zimno.

- Przypuszczam, że nie ma doświadczenia w takich sprawach -mówił Foxie - i chce, żeby do akcji wkroczył ktoś doświadczony. Frank, on nic nie traci. Pomyśl, jeśli ty odniesiesz sukces, większa część chwały przypadnie jemu. Jeśli \ 'jegrasz, posłużysz mu za chłopca do bicia.

- Ale ja się nie nadaję. Za szybko leci mi krew.

- Taka już jest polityka - stwierdził Foxie.

- Pieprzyć politykę. Ja się w takie rzeczy nigdy nie bawię, bo nie potrafię. Za mało we mnie krwiożerczości. Brakuje mi też zdolności do hipokryzji i wolę nie kłamać. Nie nadaję się na polityka.

W zadumie wyglądał przez okno. Rozmyślał o wybuchu w metrze. W wyobraźni niemalże słyszał ludzkie krzyki rozlegające się w ciemnym tunelu. Usiłował stłumić kotłujące się w myślach hałasy. Tylko spokojnie. Zachowaj zimną krew. Jeśli poddasz się emocjom, to zagonią cię w ślepy zaułek i tam zaduszą na śmierć. Czasami za bardzo popuszczasz wodze fantazji.

- Co słysząc u Martina Burra? - spytał Pagan, gdy zbliżali się do Hammersmith.

- Podobno pół życia spędza na hodowli róz, a drugie pół u siebie w Knightsbridge - odparł

Foxie. - Korzysta z emerytury, jak tylko może.

- Koniec świata.

- I początek nowego - rzekł Foxie.

- Niekoniecznie lepszego.

- A jak określić jakość świata?

- „A jak określić jakość świata?” Foxie, co ty ostatnio czytujesz?

- Tomasza z Akwinu. To widać? Pagan westchnął i założył ręce na piersi.

- Tomasza z Akwinu. Zrezygnowałeś z powieści szpiegowskich?

- Po upadku muru berlińskiego bardzo się zmieniły.

- Wszystko się zmieniło po upadku muru berlińskiego. - Pagan był zmęczony.

Foxie zatrzymał samochód na światłach. W nastroju Pagana dostrzegł coś dziwnego, chociaż nie potrafił dokładnie określić, co to jest. Jako jego długoletni partner widział go już w najrozmaitszych nastrojach. Widział go aroganckiego, brutalnego, współczującego, a czasami nawet wielkodusznego. Teraz jednak był inny, zaszła w nim trudna do określenia zmiana. Sprawiał wrażenie człowieka bardziej powściągliwego, jak gdyby wymuszone wakacje uświadomiły mu, że może wylecieć ze stanowiska, i teraz czuł się zagrożony przez brutalne, polityczne machinacje, które mogą mu usunąć grunt spod nóg. Być może boi się o swą przyszłość? To w stu procentach uzasadnione obawy, myślał Foxie.

Pagan był uzależniony od kaprysów Nimma, a Nimmo nie powinien mieć prawa do kaprysów.

Łatwo można było poznać, że po spartańsku urządzone biuro należy do despoty. Nie stały tu ani nie wisiały żadne rodzinne zdjęcia, bo George Nimmo przypuszczalnie wcale nie miał

rodziny, a jeśli nawet miał, to trzymał ją daleko w Berkshire, czy gdzie on tam mieszkał. Na ścianach nie wisiały żadne zdjęcia przedstawiające Nimma podającego dłoń premierowi czy ministrowi spraw wewnętrznych, żadne dyplomy ani żadne listy dziękczynne. Czekający samotnie na komisarza Pagan dostrzegał w tym pomieszczeniu jedynie dziwną pustkę. Można by wysnuć wniosek, że z tego miejsca nikt nie korzysta - przypominało długą, zamrożoną chłodnię. W środku stało zwyczajne biurko, półka z prawniczymi książkami i czarne krzesło obite skórą. Gdzie w tym gabinecie ascetycznego urzędnika podziały się nie uporządkowane dokumenty i ogólny nieład spotykany za rządów Martina Burra? Pagan z pewnym żalem wspominał otwartego, przystępnego i przyjacielskiego Martina, który niejednokrotnie nadstawiał za niego karku.

Chociaż próbował nie uprzedzać się do George'a Nimma, to już sam gabinet budził w nim niechęć. Podczas ich ostatniego spotkania tutaj komisarz jawnie okazywał mu wrogość.

Frank, postaramy się znaleźć w tym nowym układzie rzeczy jakieś miejsce dla ciebie. Nie obiecuję, że nastąpi to szybko, ani że pójdzie łatwo... ple, ple, ple. Wyrzucenie z pracy, to wyrzucenie, myślał Pagan, jakkolwiek się je nazywa. Po prostu mocniejszy kopniak w tyłek.

Patrząc w sufit, bębnił palcami w poręcz fotela. Nimmo w typowy dla siebie sposób kazał

mu na siebie czekać. Zawsze chciał sprawiać wrażenie, że spotkanie z kimś stanowi dla niego tylko chwilowy przerywnik pomiędzy załatwianiem ważniejszych spraw.

Na otwarcie drzwi Pagan nie odwrócił głowy ani nie wstał z fotela. Nimmo przeszedł za biurko i usiadł.

- Cześć Frank, jak tam wakacje?

Nieźle wakacje, pomyślał Pagan. A więc to takie określenie znalazł sobie Nimmo. Spojrzał

na potężnego mężczyznę sprawiającego pozornie sympatyczne wrażenie - do tego stopnia, że ktoś nieznajomy mógłby pomyśleć, że ma do czynienia nie tylko z człowiekiem bardzo taktownym, lecz wręcz potulnym. Okrągła twarz, różowa cera, wysunięta dolna warga i wysokie czoło. Kędzierzawe potargane włosy dotykały kołnierzyka marynarki. Fryzury nie zmieniał prawdopodobnie od szkoły podstawowej. Na jego twarzy dawało się odnaleźć resztki dzieciństwa i cień chłopca, którym kiedyś był - dzieciaka próbującego bezskutecznie, pomimo starań i rozdawania prezentów, zaprzyjaźnić się z innymi. W dawnych czasach mógł

być podobny do cherubinka o okrągłych policzkach. Te resztki chłopięcości stanowiły teraz maskę i prowadziły do mylnych ocen.

- Wakacje się udały, panie Nimmo - rzekł Pagan. Zachował spokój i zdobył się na uprzejmość. Gdyby teraz zaprezentował jakąkolwiek inną postawę, gdyby nie powstrzymał

gniewu i pretensji, to straciłby punkt na rzecz Nimmo, a nie o to mu chodziło.

- Ależ Frank, nie bądź taki oficjalny. Mów mi George. - Nimmo nie dostrzegł ironii w oficjalnym tonie Pagana i roześmiał się. Był to śmiech sztuczny, wynikający nie tyle z potrzeby serca, co z konieczności. Jedni to dostrzegali, inni zaś dawali się nabrać i dziwiło ich wesołe usposobienie Nimma.

- Byłeś w Europie, prawda? We Francji? W Szwajcarii?

- We Włoszech, Szwajcarii, Niemczech, Austrii, a na koniec w Irlandii. - Pagan zastanawiał się, co by było, gdyby przywiózł ze sobą setki wakacyjnych zdjęć i rzucił je George'owi pod nos. „Tu jest centrum Dijon i ja z kubkiem miejscowej musztardy. A tutaj bar Floria-ni Winę w hotelu Weitzer w Grazu. Tutaj stoję w Lindau przed Baye-rischer Hof

marznie mi tyłek”.

- Ach, Szwajcaria - rzekł Nimmo, jak gdyby tylko to usłyszał z wypowiedzi Pagana. -

Zawsze mi imponował ten kraj. Można by oczywiście długo rozprawiać o jej neutralności.

Było to charakterystyczne stwierdzenie dla Nimma. Przyprawiał swoje wypowiedzi mechanicznymi „oczywiście” i miał dziwną manierę wtrącania pomiędzy wyrazy dźwięku

„io” w taki sam sposób, jak inni wtrącają „eee” lub „yyy”. Pagan przypuszczał, że nawyk ten został wyniesiony z jakiejś szkoły publicznej lub z uniwersytetu. Być może Nimmo uważał, że w ten sposób staje się odrobinę ekscentryczny?

- Zastanawiasz się, po co z powrotem wezwałem cię do pracy - rzekł Nimmo. Zrobił minę prezentera czekającego na odpowiedź uczestnika teleturnieju.

- Przeglądałem gazety - rzekł Pagan.

- Mamy dość skomplikowaną sytuację.

Skomplikowana sytuacja? - pomyślał Pagan. Dla Nimma Hiroszima byłaby chyba pokazem sztucznych ogni.

- Nawet bardzo skomplikowaną. Frank, chciałbym, żebyś ty się nią zajął.

- Dlaczego akurat ja?

- To zupełnie niepotrzebna skromność. Masz w tej dziedzinie doświadczenie.

- W jakiej dziedzinie?

Na twarzy Nimma znów pojawił się uśmiech.

- Starasz się utrudnić mi rozmowę?

- Wprost przeciwnie, George - odrzekł Pagan. Słyszał w swoim głosie nutkę irytacji. -

Zadaję jasne pytania. W jakiej dziedzinie mam doświadczenie? Znam się trochę na działaniach antyterrorystycznych. Jednak, o ile mi wiadomo, żadne ugrupowanie nie przyznało się do podłożenia bomby. Skąd w takim razie możemy mieć pewność, że mamy do czynienia ze zorganizowanym terroryzmem?

- A kto inny, na miłość boską, bawiłby się w podkładanie bomby | w metrze? Gotów jestem postawić spore pieniądze, że to sprawka IRA.

- Możliwe. Równie dobrze można jednak wysunąć wielu innych kandydatów. Szaleniec-samotnik. Psychopata z bombą i z urazą do londyńskich środków transportu. Po świecie chodzi wielu niezadowolonych ludzi. Wkurzają się, bo rosną ceny biletów, pociągi się spóź-

niają albo po prostu stracili posadę kontrolera biletów. Popadają w obsesję i po krótkim czasie mamy do czynienia z człowiekiem zionącym gniewem i żądzą niszczenia. Na przedmieściach łatwo znaleźć różnych wariatów. Nawet w tej chwili wielu dziwaków w wojskowych kurtkach cierpliwie montuje w różnych komórkach niewielkie bomby. Sam dobrze o tym wiesz. Dlaczego więc zakładasz, że to dzieło IRA albo jakiegoś innego ugrupowania terrorystycznego?

- Frank, jakieś założenia trzeba poczynić. Nie możemy kręcić się po omacku.

- Z mojego doświadczenia wynika, że zorganizowane jednostki terrorystyczne zawsze przyznają się do odpowiedzialności. Wyjątki zdarzają się niezwykle rzadko. Ich działalność polega na wydawaniu groźnych oświadczeń, a stosowanie przemocy jest tylko spełnianiem gróźb. Same zamachy nie mogą ich satysfakcjonować.

Przez chwilę Nimmo milczał. Położył dłonie płasko na biurku i obserwował Pagana, zdenerwowany jego tonem.

- Oj Frank, Frank, musimy postawić sprawę jasno. Rozumiem, że uważasz, iż źle z tobą postąpiono. Nie mam ci za złe poczucia krzywdy. Współczuję ci. Uważasz, że zostałeś odsunięty niesprawiedliwie. Wcale nie było łatwo podjąć taką decyzję. Restrukturyzacja często wiąże się z trudnymi posunięciami.

Trudne posunięcia, pomyślał Pagan i podniósł wzrok na Nimma. Dla ciebie nie ma trudnych rzeczy, George.

- Jednak to, co ty uznałeś za wydalenie, było tylko, i o, rozwiązaniem tymczasowym. Nie będę zaprzeczał, że zawiesiliśmy cię w czynnościach. Przyznaję też, że można to było uczynić z większą, że tak powiem, delikatnością. Ale to nie była wyłącznie moja decyzja.

Wbrew powszechnemu mniemaniu moje decyzje nie biorą się z sufitu. Przeprowadzam konsultacje, badania, wywiady. To normalny sposób postępowania na moim stanowisku.

- Trzeba iść na kompromis.

- Żebyś wiedział. Niektórzy z twoich kolegów, nawet ci, co cię podziwiają, przyznają, że niezupełnie nadajesz się do działań zespołowych. Myślę, że zgadzasz się z tą opinią. A w świecie działań kolektywnych człowiek samodzielnie prowadzący piłkę wydaje się nieco podejrzany. Masz skłonności do robienia wszystkiego po swojemu. To właśnie wpłynęło na decyzję o zawieszeniu. Frank, nie zapominaj o tym. Ja nigdy nie miałem zamiaru wyrzucić cię na stałe. Bynajmniej.

Pagan zastanawiał się, czy w ogóle warto żyć w owym świecie działań kolektywnych.

Wymusza on bowiem konformizm i ogałaca z inicjatywy. Pozbawieni talentu ludzie, kompensując swój brak wyobraźni, łączą się w stada kastratów zwane gremiami.

- W obecnej sytuacji przyda się twój talent - rzekł Nimmo, odruchowo otworzył szufladę, zajrzał do środka i zamknął ją z powrotem.

- Myślę, że ty najlepiej poradzisz sobie z tą sprawą.

Pagan nie dał się nabrać na to drobne pochlebstwo. Było już za późno, aby uwierzyć, że Nimmo choć odrobinę żałuje wyrządzonej mu krzywdy. Poza tym wzmianka o kolektywnym działaniu sugerowała, że Nimmo wcale nie bierze na siebie pełnej odpowiedzialności za rozkaz wydalenia Pagana. Na to był za sprytny. W cwany sposób przerzucał winę na innych.

Trudno jednak rozrzucić gnój i nie ubrudzić się przy tym.

- Dlaczego MIS tym się nie zajmie? - zapytał Pagan. - Myślałem, że antyterroryzm to ich sprawa.

- Oczywiście, węższą dokoła, ale jak sam zauważyłeś, nie ma dowodów na udział

zorganizowanych terrorystów. Rzeczywiście żadne ugrupowanie terrorystyczne oficjalnie nie wzięło na siebie odpowiedzialności. Dlatego właśnie nasi przyjaciele na razie uznali, że ta sprawa, i o, w mniejszym lub większym stopniu należy do policji. Oczywiście nie stracili całkiem zainteresowania i mogą chcieć się wtrącać. Nie spuszczą nas z oczu.

Nimmo wstał, podszedł do biblioteczki i przyglądał się książkom, skubiąc mięsistą dolną wargę. Pagan uznał, że jest w nim coś z upadłego anioła. Być może zawarł pakt z niejednym diabłem.

- Nigdy nie podpisałbym się pod stwierdzeniem, że działania antyterrorystyczne to sprawa wyłącznie MIS. Zajmuje się tym całe mnóstwo jednostek. Sztab Ochrony Wywiadu, Korpus Wywiadu Wojskowego, Połączona Komisja Wywiadu i tak dalej, i tak dalej. Zawsze optowałem za tym, aby antyterroryzmem zajęła się tylko jedna organizacja, a mianowicie Oddział Specjalny. Jesteśmy wystarczająco dobrze wyposażeni, żeby wszystkiemu podołać.

Ciągle to powtarzam. Niestety mój głos pozostaje w Whitehall wołaniem na puszczy.

A więc to tak. W głowie Pagana rozbłysło światełko. Teraz wszystko zrozumiał. Nimmo dostrzegł w tej katastrofie okazję do postawienia na swoim i do pokazania ważnym osobom z Whitehall, że dzięki niemu policja potrafi sama dać sobie ze wszystkim radę. Ludzka tragedia służyła Nimmowi za afisz, na którym krzykliwymi kolorami mógł wypisać swoje hasło.

„Patrzcie na mnie, oto ja George Nimmo!

- Ja też tutaj jestem!" Dlaczego to mnie nie zaskakuje? - zastanawiał się Pagan. Przecież mamy wyraźnie do czynienia z jakże ludzką potrzebą dowartościowania. Z rozpaczliwym pragnieniem zdobycia uznania, choćby nie wiadomo jakim kosztem. Domyślał się, że w szkole dzieci były Nimma i nie chciały się z nim bawić na podwórku. Dzieci zawsze potrafią wyczuć osobę odstającą od przeciętności. Teraz Nimmo czuł potrzebę pokazania twardogłowym z Whitehall, że on również ma swoją wizję. Było to z jego strony sprytne zagranie polityczne.

- Oczywiście będziesz odpowiadał tylko przede mną. Każdą zdobytą informację przekażesz mnie. Nie wolno ci bez konsultacji podjąć żadnej ważniejszej decyzji. Frank, czy to jasne?

Tak, to było bezlitośnie jasne. Nimmo zamierzał rozpocząć prowadzenie tej sprawy, zanim upomni się o nią jakaś agencja wywiadowcza. Chciał jak najwięcej zagarnąć dla siebie, aby w razie roszczeń wysuwanych przez chłopców z wywiadu, jego śledztwo - prowadzone przez znakomitego specjalistę Pagana - było na tyle zaawansowane, że próby ingerencji musiałyby wywołać dyskusję dotyczącą zakresu jurysdykcji. Piękne - o ile komuś odpowiadają takie lisie, brutalne ambicje.

- A jeśli to jednak sprawka terrorystów? Co wtedy? Śledztwo przejmą ludzie z wywiadu? -

zapytał Pagan.

- To już zostaw na mojej głowie. Myślę, że ja mam lepsze przygotowanie w kwestiach intryg. Tych z wywiadu trzeba umieć podejść. A ty, wybac mi to określenie, nie jesteś zbyt dobrym dyplomata. - To mówiąc Nimmo roześmiał się, jak gdyby myśl, że Pagan miałby zrozumieć delikatną kwestię podziału władzy pomiędzy oddział specjalny i agencje wywiadowcze, stanowiła niewiarygodny absurd. Pagan nigdy nie byłby w stanie pojąć, czego dotyczą dyskusje przy zielonych stolikach w salach zamkniętych na klucz. Nie nadawał się do spraw zahaczających o politykę. Oczywiście doskonale sprawdzał się w terenie, ale nie ukończył przecież odpowiednich szkół.

Po tym wybuchu śmiechu Pagan miał już dosyć dalszej rozmowy.

- Mam tylko jedną prośbę - powiedział. - Chcę, żeby pracował ze mną Foxworth.

- Bierz go. I kogo tylko zechcesz. Oczywiście w granicach rozsądku.

- Chcę też z powrotem swój gabinet.

- A po co? Przecież możesz zainstalować się tutaj. Zresztą w twoim starym gabinecie jest chyba teraz jakiś magazyn.

- Muszę mieć gabinet na Golden Square - nalegał Pagan. Chociaż Nimmo wyglądał na trochę zdenerwowanego, zrezygnował ze sprzeciwu.

- W porządku.

- W takim razie zaczynam od razu.

Nimmo powrócił do biurka i usiadł na skórzanym krześle. Pagan przez chwilę milczał.

- Czy są jakieś aktualne informacje - zapytał w końcu - na temat ładunku wybuchowego, z którym mamy do czynienia?

- Jeszcze nie. Ale od chłopaków z laboratorium płyną obiecujące wieści. Tylko nie pytaj, dlaczego obiecujące. W każdym razie niedługo możemy się spodziewać kompletnych informacji. - Nimmo wstał i spojrział na zegarek. - Frank, pogadaj z Johnem Downeyem. On jest ze wszystkim na bieżąco. Od samego początku przebywa na miejscu wybuchu.

Zorganizował tam centrum operacyjne.

- Będziemy w kontakcie - rzekł Pagan. Wyszedł z gabinetu. Idąc przez korytarz, a potem naciskając guzik windy, myślał o Johnie Downeyu. Ten człowiek zawsze był jego przeciwnikiem, zawsze był do niego wrogo nastawiony.

Wsiadł do windy, drzwi zasunęły się za nim. Jadąc na parter, czuł dziwną wesołość. Miał wrażenie nierealności całego otoczenia - zdawało mu się, że przebywa w zupełnie innym miejscu.

- I jak poszło? - zapytał Foxie.

- Jedziemy na stację metra - powiedział Pagan. - Zawieź mnie do tej dziury.

Burgundia

uż od kilku tygodni Jacob Streik jeździł wynajętym saabem z automatycznym pistoletem w schowku. Jego potężne dłonie wyglądały na kierownicy jak dwa bochny chleba. Nie było wiatru i tereny, przez które przejeżdżał, spowijała mgła. Streik był otyły, jego wylewający się zza paska brzuch wyglądał jak sztucznie wypchany. Pocił się. Dmuchawa bez względu na ustawienie regulatora bezlitośnie pompowała gorące powietrze.

Streik spojrział w lusterko wsteczne. Droga była pusta, a rosnące na poboczach topole niknęły we mgle. Włączył radio i bezmyślnie słuchał serwisu informacyjnego. Bardzo słabo mówił po francusku, lecz zrozumiał, że gdzieś w Londynie wybuchła bomba.

Na myśl o Londynie od razu przypomniał sobie Bryce'a Harcour-ta. Ciekawe, jak Bryce radzi sobie z nieciekawą sytuacją, w jakiej obydwaj się znaleźli? Bryce miał pewien dystans do świata, charakterystyczny dla Ivy League, pewną nonszalancję właściwą jedynie posiadaczom wielopokoleniowych fortun i absolwentom starych szkół. Harcourt senior dorobił się majątku na uprawie i wyciskaniu soku z pomarańczy. Pomarańcze. Jak można zbijać kasę na czymś, co ma pestki?

Streik nie zazdrościł Bryce'owi dzieciństwa. Na swój sposób bardzo go lubił, chociaż pochodzili z dwóch różnych światów. Streik urodził się w Bronksie, ojciec włóczęga opuścił

go, a on wychowywał się - o ile można tym słowem nazwać dorastanie pośród walących się

czynszówek i zniszczonych placów zabaw - pod opieką matki, surowej kobiety o chłodnym głosie. Jezu, ciekawe, co ona sobie teraz o nim myśli? Prawie słyszał jej zrzęczenie: „Jake, wiedziałam, że nigdy do niczego nie dojdiesz. Jesteś zupełnie taki sam, jak twój ojciec”.

Głos w radiu mówił coś o liczbie ofiar. Streik jednak nigdy nie nauczył się francuskich liczebników, toteż teraz nie zwrócił na tę informację większej uwagi. Zjechał saabem na pobocze drogi i schylił się pod fotel po schowaną przed kilkoma godzinami butelkę taniego czerwonego wina, kupioną w jednej z wielu bezimiennych wiosek, które mijał w ciągu kilku ostatnich tygodni podróży. Człowiek nie wytrzyma ciągłej jazdy naprzód, bo taki tryb życia wykańcza nerwowo i niszczy organizm. Może powinien pójść za radą Harcourta, zachować spokój i pozostać w Stanach albo w Wielkiej Brytanii? Jeszcze nie ma potrzeby się ukrywać, mówił Bryce. Jake, chyba nie jest tak jak myślisz. Streik jednak nie zgadzał się z tym. Siedząc w Londynie i prowadząc zwykłe, uregulowane życie, Harcourt prowokuje katastrofę. Jemu zbyt zależy na świecie, na placu przed pałacem św. Jakuba, na przyjęciach, na całym życiu towarzyskim, na kobietach. Zwłaszcza na kobietach. Uważa, że jeśli zachowa zimną krew, nic mu nie grozi.

Streik był innego zdania. Ktoś śledził go na Manhattanie. W Londynie ktoś poszczuł go psami. Ciągłe jacyś faceci obserwowali go wzrokiem pełnym udawanej obojętności. Jego jednak niełatwo nabrać. Za długo w tym wszystkim siedzi.

Wyciągnął korek, podniósł butelkę do ust i napił się. Przez ostatnie kilka dni stale miał

kaca. Lubił balansować na krawędzi rzeczywistości. Według niego ludzie przeceniają wartość świata realnego.

Z właściwą sobie niezdarnością wysiadł z samochodu. Wpatrując się w mgłę nasłuchiwał, czy coś nie nadjeżdża. Było tak cicho, jakby stał w próżni. Nie śpiewały żadne ptaki, nie wiał

wiatr, drzewa stały nieruchomo. I gdzie ty, grubasie, prześpisz dzisiaj noc? - zastanawiał się.

Znów w jakimś pension na zadupiu? W jakimś brudnym pokoiku nad pdtisseriel Rozejrzał się na prawo i lewo. Widoczność ograniczała się do trzydziestu metrów. Jednym haustem wypił całą zawartość butelki i wyrzucił ją w krzaki, ale nie słyszał, jak upadła. Oni chcą mojej śmierci, myślał. Mojej i Bryce'a. Chcą nas uciszyć i pochować. Prosta sprawa.

Mordercy wyłaniający się z mgły.

Poczuł, że trochę się upił. Zataczał się, idąc pod drzewo zrobić sika. Rozpinając guziki szarych płóciennych spodni, nasłuchiwał okolicznych odgłosów. Załatwił się i wrócił do samochodu.

Na fotelu dla pasażera rozłożył mapę. Trzymał się z daleka od autostrad i dużych miast, bo chodziło mu o to, by jeździć po wioskach i miasteczkach bez żadnego planu i nie dać się wyśledzić. Koczownik w saabie. Sam sobie wybrał właśnie taki sposób na przetrwanie.

Lepszy bowiem saab niż trumna.

Przesunął palcem po mapie. W Lyonie miał dawną współpracownicę, Audrey Roczak, ale nie

wiedział, czy w dzisiejszych czasach można jeszcze wierzyć dawnej współpracownicy.

Ktoś mógł do niej dotrzeć i uprzedzić ją do niego. Na świecie nie ma teraz nic pewnego, chociaż z Audrey zawsze mu się dobrze układało i zawsze była dla niego miła. Nie zwracała uwagi na jego wygląd. Była pełna ciepła i spokoju, a w sprzyjających warunkach, kto wie, może mogłoby między nimi do czegoś dojść.

Zapalił silnik i skręcił w krętą drogę nie figurującą na mapie. Tuż przed południem znalazł

się w wiosce położonej przy szosie. Oprócz poczty i rzeźnika znajdowała się tu tylko pusta kawiarenka ze stolikami na chodniku. Złożone na zimę parasole przypominały upiorne ptaszyska z utraconymi skrzydłami. Umierając z pragnienia, Streik zaparkował przed pocztą i dokładnie zamknął samochód. W bagażniku miał pewną ilość ważnych dokumentów zwiniętych i schowanych w rękawy brudnych koszul lub w skarpetki przeznaczone do pralni.

Dokumenty te opisywały szczegóły każdej zawartej transakcji. Kilka razy kusilo go, aby je spalić, miał jednak niejasne przeczucie, że któregoś dnia przydadzą mu się jako karta przetargowa. Stanowiły miecz obosieczny. Mogły uratować mu życie albo skazać go na śmierć.

Schował pistolet do wewnętrznej kieszeni marynarki i wszedł do kawiarni. Zamierzał

usiąść przy oknie i obserwować drogę. Z takiego stanowiska dostrzegłby każdy dziwny, obcy samochód i wszystkich ludzi wyglądających na ciekawskich turystów. Tylko że ci turyści wcale nie są turystami, prawda? Ano, prawda. Nie o takiej porze roku.

W kawiarni na okopconej, drewnianej boazerii wisiały lampki przerobione z gazowych na elektryczne. Czarny sufit zdawał się ograniczać przestrzeń nad głową. Właściciel spojrzał na gościa z pewną galijską gburowatością. Nie lubią tu obcych - pomyślał Streik. Czuł, że Francuz - niski facet z małą, łysą głową przypominającą cebulę - rozkłada go wzrokiem na czynniki pierwsze. Co on widzi? - zastanawiał się Streik. Otyłego, zmęczonego Amerykanina w brudnym szarym garniturze; włóczkę, który zasapał się, wtaczając cielsko do salki. Mógł

też zauważyć puciołowate policzki, zaczerwienione oczy i bladą twarz, której na pierwszy rzut oka szyja nie dzieli od tułowia. Wieloryb z nogami. No cóż, Streik już się do tego przyzwyczaił. Przynajmniej nie miał powodów, aby popaść w próżność. Jakiego mnie, panie Boże, stworzyłeś, takiego mnie masz.

- Wino - powiedział i przyglądał dłonią przetłuszczone włosy.

- Rouge ou blanc?

- Czerwone - odrzekł Streik. Z premedytacją mówił po angielsku, a nie po francusku, bo dlaczego miałby udawać kogoś innego niż jest w rzeczywistości? Znał francuski tak słabo, że gdy tylko spróbował coś powiedzieć w tym języku, splawiano go z pogardą. Wszyscy widzą, że jest Amerykaninem, więc po co to ukrywać?

Na barku pojawiła się butelka wina i szklanka. Streik zabrał je do stolika przy oknie. Był

jedynym klientem. Wypił szybko dwie szklanki, złożył ręce i wyrztał na drogę. Z zaplecza dolatywały strzępki rozmowy. Streik słyszał takie słowa jak poisson i mai. W kuchni toczyła się jakaś sprzeczka. Francuzi zbyt poważnie traktują kwestię jedzenia i jeżeli nie uda im się suflet, zachowują się, jakby nastąpił koniec świata.

W pewnej chwili po całym pomieszczeniu rozszedł się zapach czosnku. Streik uświadomił

sobie nagle, że jest głodny, chociaż nigdy nie uważał, że picie wina musi iść w parze z jedzeniem. Lekko czknął i wyrztał przez okno. W małych francuskich miasteczkach zawsze panuje ospała atmosfera. Nalał sobie trzecią szklankę, zapalił papierosa i zadumał się nad popieprzeniem tego świata. Od rzeźnika wyszła przygarbiona kobieta z papierowym pakunkiem przesiąkniętym krwią. Pewnie łeb byka albo koński ozór, pomyślał Streik.

Francuz strawi wszystko.

Gdzieś głęboko w jego głowie odezwał się cichutki głosik, że nie powinien się całkowicie upijać. Lecz jak inaczej bez żadnej pomocy ma sobie radzić z napięciem i strachem? Oni wydali na niego wyrok śmierci i gdzieś tam w świecie polują na niego egzekutorzy. Jeśli żyje się z taką świadomością, to trzeba od czasu do czasu wyłączyć się z rzeczywistości. Na chwilę ujrzał przed sobą Montgomery Rhodesa z twarzą jakby ulepioną z gliny przez kiepskiego plastyka; Rhodes zawsze miał pod oczami ciemne wory. Już sam jego widok był

przerażający, a historia jego życia to był czysty horror.

Nagle nie wiadomo skąd pojawił się młodzieniec z plecakiem. Typowy wysoki wiking z blond włosami i rzadkim zarostem wchodząc do kawiarni zasłonił wpadające przez drzwi światło. Streik, na ile był w stanie, starał się mieć na baczności. Mordercy przychodzą w różnych przebraniach. Nie wszyscy wyglądają na zbirów. Nie wszyscy noszą futerały od skrzypiec. Nigdy nie wiadomo, kim może być taki autostopowicz w długim czarnym płaszczu. Z dłonią w kieszeni, ściskając pistolet, Streik obserwował, jak młodzieniec podchodzi do barku. Chłopak płynną francuszczyzną zamówił piwo i paczkę papierosów disque bleu. Zamienił kilka słów z właścicielem i usiadł przy stoliku naprzeciw Streika, który zanim odwrócił głowę, spojrzał młodzieńcowi w niebieskie oczy.

- Français? - odezwał się chłopak.

- Pan mówi do mnie? - zapytał Streik.

- A, Amerykanin, - Autostopowicz uśmiechnął się. Streik bez słowa napił się wina.

- Pozwoli pan, że podszlifuję trochę swój angielski? - zagadnął młody człowiek.

- A co ja jestem, jakiś cholerny lektor, czy co?

- Słucham?

- Nic. - Opryskliwość zawsze przychodziła Streikowi bez trudu. Wierzył w ochronną moc grubiaństwa. Nieuprzejmością można zbudować wokół siebie twardy klosz.

Odwrócił głowę. Zaczynał widzieć podwójnie. U rzeźnika na wystawie wisiała jagnięca tusza i przez sekundę Streik miał wrażenie, że mięso się skrzy. Przystopuj trochę z tym winem, powiedział sobie w duchu.

- Uczę się angielskiego od siedmiu lat - powiedział młodzieniec sztywną angielszczyzną, świadcząca o długich godzinach spędzonych nad podręcznikami. - Pochodzę z Hamburga.

Czy pan wie, gdzie to jest?

Streik wyciągnął zapalną. Spojrzał na błogo uśmiechniętego młodego Niemca.

- Studiuję w Holandii, w Utrechcie. Postanowiłem wziąć sobie trochę wolnego i pojeździć autostopem po Europie. Uniwersytet podoba mi się, ale myślę, że istnieją także inne sposoby zdobywania wykształcenia. Być może pojedę do Maroka. Czy pan tam kiedyś był?

Jezu Chryste, myślał Streik.

- Posłuchaj, bez obrazy, ale siedzę sobie tutaj, popijam to wino i wcale nie mam ochoty do rozmowy.

Niemiec spojrzał na niego smutnym wzrokiem.

- Gdziekolwiek pojedę, znajduję przyjaciół.

- Hm, tak, to straszne.

- Na ogół ludzie są nastawieni przychylnie.

Streik uznał, że młodzieniec ma zadatki na misjonarza. Może został zatrudniony do reklamowania niemieckiej życzliwości albo odgrywa rolę chodzącego folderu biura podróży.

Streik spojrzał na stojący przy krześle chłopaka plecak pełen naszywek z całej Europy - z Tallina, Kopenhagi, Petersburga. Dzieciak zwiedził trochę świata.

Niemiec zapalił papierosa, a nieprzyjemny zapach dymu natychmiast dotarł do nozdrzy Streika, który zaczął się zastanawiać, dlaczego postanowił podróżować akurat po Francji, skoro nie lubi ani tutejszego języka, ani potraw, ani papierosów? Być może uznał, że tutaj na pewno nie będą go szukać, bo doszli do wniosku, że nadal przebywa w Ameryce, gdzie łatwiej jest się ukryć.

Niemiec z urzędniczą pedanterią wypytywał go nadal.

- Czy przyjechał pan tutaj w interesach? Streik podniósł szklanę.

- Chłopcze, to moja sprawa. Ja nie wychodzę do ludzi z sercem na dłoni.

Niemiec wyglądał na zmieszanego.

- Z sercem na dłoni?

- Jestem socjopatą - stwierdził Streik.

Chłopak zgasił papierosa. Amerykanin najwyraźniej stanowił dla niego swego rodzaju wyzwanie; za wszelką cenę postanowił wciągnąć go do rozmowy.

- Widzę, że sporo pan popija.

- Nic nie widzisz - odburknął Streik.

- Ja też nieraz byłem na cyku, więc wiem, jak to jest.

- No dobra, wiesz, jak to jest. Zostawmy już tę sprawę. - Spoglądając na Niemca, Streik zastanawiał się, czy ten niebieskooki młodzieniec zamierza go zamordować. Bardzo możliwe.

Nigdy nic nie wiadomo. Poczul, że potrzebuje czegoś mocniejszego niż stojący na stole sikacz.

Podszedł do baru, zamówił koniak i wrócił z nim do stolika. Był już porządnie wstawiony.

Zaraz stanie się rozmowny, a może nawet sentymentalny. Kiedy pije się zbyt dużo, trudno przewidzieć rezultat. Od ponurego nastroju do dobrego humoru bliska droga.

- Posłuchaj, chłopcze - usłyszał swój głos. - Mam pewne zmartwienie.

- Wszyscy mamy jakieś troski - odparł młodzieniec. - Ale przecież jutro także będzie dzień, prawda?

- Uśmiechnął się do Streika i jak gdyby zachęcony jego łagodniejszym tonem, przysunął się bliżej.

- Filozof z ciebie - zauważył Streik.

- Dużo rozmyślam.

- Ja także.

- A o czym najczęściej?

- O śmierci - odparł Amerykanin. Usłyszał wylatujące z własnych ust słowo i nie mógł

uwierzyć, że wdał się w rozmowę z obcym człowiekiem. Jednak stało się, i to nie pierwszy raz, bo czasami nie potrafił się powstrzymać. Alkohol rozwiązuje język i choćby nie wiadomo jak się pilnować, to i tak w pewnym momencie człowiek się rozgada.

- To wielka tajemnica - rzekł Niemiec.

- Gówno, nie tajemnica. Umierasz i tyle. Robaki cię zżerają.

- Według pana nie istnieje życie pozagrobowe?

- A komu ono potrzebne?

Streik wychylił koniak. Dręczyła go myśl, że powinien wstać i wyjść. Zjrzał do pustego kieliszka. Zamówić jeszcze jeden? Dylemat rozwiązał Niemiec, stawiając mu drugi koniak.

- Twoje zdrowie - powiedział Streik z podniesionym kieliszkiem.

- Niech mi pan powie, po co myśleć o śmierci, skoro wokół nas toczy się życie? -

Młodzieniec zatoczył ręką. - Na świecie jest tyle dobra. Tak wiele rzeczy, dla których warto żyć. Teraz w Europie mamy do czynienia z wieloma niesamowitymi wydarzeniami.

- Czyżby? Może więc powiesz mi, dlaczego warto żyć? Serbowie z Chorwatami wycinają się nawzajem. U was w Niemczech odradzają się faszyci. Jedna grupa etniczna napada na drugą, we Włoszech szerzy się korupcja, w Irlandii same problemy. - Streik grubym kciukiem kolejno zaginał palce.

- Przyznaję, są kłopoty - rzekł Niemiec - ale z czasem da się je przezwyciężyć.

- Tak. Ku chwale świata. - Streik zastanowił się, czy nie mówi za głośno. - Z wiekiem stracisz naiwne i niewinne poglądy. Gdy człowiek patrzy śmierci w oczy, zmienia mu się perspektywa.

Nagle gwałtownie zapragnął skontaktować się z Bryce'em. On rozumiałby jego uczucia.

Harcourt miał dar słuchania ludzi i znajdowania rozwiązań. Jacob, powiedziałby, wokół jest tyle powodów do strachu, że trzeba się nauczyć żyć z tym strachem.

Streik spojrzał na młodzieńca skubiącego podbródek. Na nowo odżyły w nim podejrzenia.

- A więc to ty?

- Proszę? Nie zrozumiałem pytania - rzekł Niemiec.

- A niby dlaczego? Przecież jest bardzo proste. Ciebie nasłali?

- Kto miałby mnie nasyłać?

- Już ty dobrze wiesz, o czym mówię.

- Niestety, nie wiem, przykro mi.

- Dobra, już dobra, dajmy spokój. - Streik znów poczuł, że jest inną osobą, jak gdyby istniało ich dwóch - jeden za dużo pijący, a drugi potrafiący krytycznie spojrzeć na świat.

Przestań pić, mówił jeden z nich, bo potrzebujesz trzeźwego umysłu. Streik purytański z przerażeniem

patrzył, jak Streik zapijaczony wyciąga z kieszeni pistolet i pokazuje go Niemcowi.

- Noszę go ze sobą, rozumiesz? Bo jak ci wpadną do głowy jakieś zwariowane myśli...

rozumiesz?

- Zwariowane myśli? Zupełnie nie wiem, o co panu chodzi.

- Nie będę nic wyjaśniał.

- Ach, ci Amerykanie ze swoimi pistoletami - rzekł ponuro młodzieniec. - Długo trwa ten wasz romans i sieje dużo zniszczenia. - Nie wyglądał na wstrząśniętego widokiem broni, którą Jacob Streik zdążył już z powrotem schować do kieszeni.

- Chciałem, chłopcze, żebyś o nim wiedział. - Dobrze się poczuł, pokazując pistolet, chociaż wewnętrzny głos podpowiadał mu, że robi głupio.

- Chciał pan zrobić na mnie wrażenie?

- Tak, właśnie taki miałem zamiar. - Na chwilę Streik zamknął oczy. Usłyszał kołaczące mu się po głowie dźwięki niespójnej muzyki. Duet wina i koniaku.

- No cóż, skoro to takie ważne, to przyznaję, że zrobił pan na mnie duże wrażenie.

- To dobrze. - Streik uznał, że z tej mętnej rozmowy jednak coś wynikło. Później pomyślał

o starym, dobrym Brysie i zastanowił się, czy w kawiarni jest telefon. Niezgrabnie odsunął

krzesło i poczłapał w stronę baru. Przywołał wzrokiem właściciela i na migi - zakreślając kółko palcem wskazującym i przyciskając do ucha zaciśniętą dłoń - pokazał, że chce skorzystać z telefonu.

- Telefon - powiedział. - Wiesz, o co mi chodzi.

Właściciel wskazał wnękę po drugiej stronie sali. Streik ruszył w tamtą stronę i wpadł na stół. Słyszał, że za jego plecami właściciel rozmawia po francusku z młodym Niemcem.

Wyłapywał niektóre słowa. Mówili coś o Amerykanach i bynajmniej nie brzmiało to przyjaźnie. Potem obydwaj parsknęli śmiechem, a Streik odwrócił się, aby zmierzyć ich wzrokiem. Obydwaj patrzyli na niego z zainteresowaniem.

- W czym problem? - zapytał. Starał się spojrzeć im w oczy, ale nie panował już nad swym wzrokiem. W końcu udało mu się skupić uwagę na uśmiechniętym autostopowiczu.

- Nie ma żadnego problemu - odrzekł Niemiec.

- To dobrze. - Streik zlekceważył sprawę. Jeśli chcą obgadywać Amerykanów, to już nie jego zmartwienie. Równie dobrze on mógłby krytykować Europejczyków, miał jednak na głowie

ważniejsze sprawy. Odwrócił się, wszedł do wnęki z telefonem i podniósł słuchawkę.

Odezwała się telefonistka znakomicie władająca angielskim. Podał jej numer telefonu Harcourta w Londynie i numer swojej karty kredytowej.

- Po usłyszeniu sygnału proszę podać nazwisko i numer telefonu. Dziękuję. - Usłyszał głos Bryce'a Harcourta.

Niech diabli porwą automatyczne sekretarki, pomyślał.

- Bryce, tu mówi Jake Streik. Jeśli tam jesteś, podnieś słuchawkę. Muszę z tobą koniecznie porozmawiać. Co tam u ciebie słychać? Ja mam kłopoty. Posłuchaj, jak dam radę, to zadzwonię jeszcze wieczorem. Radzę ci. posłuchaj mnie i spieprzaj z tego Londynu. Uciekaj przed Grabarzami, rozumiesz mnie? Jak najszybciej wyrwij się z tego gówna. W przeciwnym razie już po tobie... Bryce? Jesteś tam? Bryce? - Wzruszył ramionami i odłożył słuchawkę.

Rozczarował się. Chciał porozmawiać jak człowiek z człowiekiem, a co miał zamiast tego?

Parę elektronicznych impulsów.

Nie od razu wyszedł z wnęki. Dokładnie przyjrzał się dwóm mężczyznom na sali.

Właściciel beznamiętnym wzrokiem wyglądał na drogę, Niemiec robił to samo. Nagle uderzyło Streika, że obydwoj czekają w napięciu, aż coś się wydarzy. W ich pozornie spokojnym zachowaniu wyczuwał spisek.

Może to właśnie ten Niemiec? Może on go śledzi? A może nawet właściciel kawiarni również jest w to zamieszany? Chociaż nawet Streik nie potrafił sobie wyobrazić, w jaki sposób.

Wyszedł z wnęki. Młody autostopowicz zwrócił wzrok w jego stronę. W głowie Streika zaskoczyła jakaś zapadka. Tak, to ten chłopak, to musi być on. Pozornie zachowuje się przyjaźnie, ale zadaje zbyt wiele pytań i jego głos brzmi fałszywie. A więc wysłali mordercę z plecakiem.

Na tyle dostojnie, na ile go było stać, powrócił do stolika. Usiadł, wypił resztkę koniaku i obracał w palcach kieliszek. Jake, nie komplikuj spraw. Ten Niemiec może być zwykłym studentem podróżującym tanio po Europie. Po co jednak rzucać losowi wyzwanie? Podniósł

rękę do piersi i poczuł pod palcami pocieszającą twardość pistoletu. Mógłby wstać, wrócić do samochodu i odjechać. Gdyby Niemiec wyszedł za nim, wówczas jego podejrzenia okazałyby się uzasadnione. Odstawił kieliszek i wstał od stołu. Z trudem utrzymywał równowagę. Czuł

się jak spasiony bocian stojący na linie na jednej nodze.

- Dobra, spadam - odezwał się.

- Miło się z panem gawędziło. - Niemiec wstał ze swego miejsca.

Streik ruszył do drzwi. Po chwili znalazł się na dworze, gdzie opadła już mgła i zza szarych chmur wyglądało jasne słońce. Panowało przenikliwe zimno. Pospiesznie przeszedł obok poczty. Nikomu nie mogę ufać, myślał.

Gdy znalazł się na parkingu, usłyszał za sobą kroki Niemca. Nie obejrzał się, szedł dalej, a kiedy dotarł do samochodu, chłopak dogonił go.

- Czego chcesz? - zapytał Streik. Niemiec patrzył przeprasząco.

- Trochę obawiam się zapytać, bo mógłby pan uznać moją prośbę za nieuprzejmą. Może zechciałby mnie pan podrzucić?

- Podrzucić?

- Nie mam na myśli żadnego konkretnego miejsca.

- Nie obraż się, chłopcze, ale nie potrzebuję towarzystwa.

- W tych okolicach niełatwo jeździć autostopem. - Plecak miał zarzucony tylko na jedno ramię. - Pomyślałem sobie o amerykańskiej życzliwości. Proszę mi wybaczyć.

- W porządku, nie ma sprawy. Chłopak uśmiechnął się.

- Mam dziwne wrażenie, że bierze mnie pan za kogoś innego. Prawda?

Streik przyjrzał mu się uważnie. Czuł się zdezorientowany. Umysł odmawiał mu posłuszeństwa.

- Proszę mi pozwolić rozwiać wątpliwości - powiedział chłopak i wsunął rękę w zanadrze.

Nagle przed oczami Streika zaczęły majaczyć zmieniające się obrazy - kościste palce młodzieńca, gawrony zlatujące z bezlistnego drzewa, na wpół zwałona ściana z kamieni, kieliszek z koniakiem - i wszystkie budziły grozę. Gdy Niemiec trzymał rękę w kieszeni, Streik wyciągnął pistolet. Autostopowicz popatrzył ze zdziwieniem.

- Ależ nie ma takiej potrzeby - powiedział.

Streik wystrzelił mu prosto w pierś. Niemiec osunął się na ziemię i legł z twarzą wciśniętą w plecak, który pociągnął za sobą bezwładne ciało. Otwarte usta w dziwnym pocałunku dotknęły trójkątnej naszywki z napisem „Copenhagen”. Streik podszedł do samochodu.

Musiał odjechać z tego miejsca jak najszybciej. Czuł jednak, że jego ciało stawia opór i porusza się zbyt wolno.

Otwierając drzwi po stronie kierowcy, spojrział na młodego Niemca. Po jasnym zaroście chłopaka spłynęła strużka krwi. Z kieszeni płaszcza wyleciał czarny skórzany portfel. Streik schylił się, podniósł portfel i chociaż w przeblysku świadomości zrozumiał, że czas nagli, nie mógł się oprzeć ciekawości. W środku znalazł laminowaną kartę identyfikacyjną ze zdjęciem chłopaka i nazwiskiem

W. Mueller oraz legitymację studencką wystawioną przez uniwersytet w Utrechcie. Wyrzucił portfel, wsiadł do samochodu i ruszył drogą, mijając tablice z nazwami, które nic mu nie mówiły. Jechał prosto przed siebie. Jechał i jechał. Okej, student miał kartę identyfikacyjną, ale takie plastikowe cudo nic nie znaczy. Nie można temu ufać.

Dopiero po przejechaniu jakichś dwudziestu mil zatrzymał samochód, schował tłustą twarz w dłonie i zaczął się zastanawiać na popełnionym czynem.

Londyn

W podziemnym tunelu, jakieś sto metrów od peronu, ostry blask lamp oświetlał wrak wagonu. Fotografia, którą Pagan widział w Dublinie, nie przygotowała go na to, co zastał w rzeczywistości. Poszarpany, pogięty wagon bez okien leżał na boku i wyglądał na zmiażdżony jakąś potężną żelazną dłonią. Przypominał trochę szaloną rzeźbę obłąkanego artysty, uzbrojonego w dynamit i zapalnik. Strażacy poprzecinali szyny wyrwane wybuchem.

To tu, to tam dało się jeszcze znaleźć metalowe odłamki.

Pagan widział ludzi penetrujących wrak. Przez otwory wycięte palnikami w karoserii wagonu wyciągano ofiary i wynoszono je na peron. Rzędy worków ze zwłokami robiły przygnębiające wrażenie. Wokół unosił się mdły, natarczywy, śmiertelny zapach, o którym wolał nie myśleć.

Włożył dłonie do kieszeni płaszcza i wstrząsnął się. W tunelu było zimno i wilgotno.

Spróbował wyobrazić sobie ruch panujący tu w godzinach szczytu i nagły wybuch. Czy wszystko odbyło się błyskawicznie, czy też skazani na śmierć pasażerowie mieli świadomość, co się z nimi stanie? Wstrząsnął się raz jeszcze. Eksperci sądowi, ci archeolodzy badający śmierć, przeszukiwali szczątki ciał.

Gdzieś z cienia wyłonił się John Downey.

- Zdaje się, że to teraz twoja sprawa - powiedział.

Pagan spojrzał na jego mały, idiotyczny wąsik. Uważał go za durnia i tępego lizusa niezdolnego do samodzielnego działania. Downey miał na sobie bury płaszcz i bezbarwny szalik.

- Ile ofiar? - zapytał Pagan.

- Sto siedem.

- Nikt nie przeżył?

- Popatrz na tę jatkę - rzekł Downey. - Kto mógłby się uratować? Pagan zrobił kilka kroków w stronę wagonu.

- Jak tam z identyfikacją?

- Przeważnie opieramy się na zeznaniach ludzi twierdzących, że ktoś z ich krewnych jechał

tym pociągiem. Inaczej nie dalibyśmy rady. Mamy kilka przypadków poważnego zwęglenia oraz rozcłonkowania.

Rozcłonkowania; Pagan zastanowił się, dlaczego Downey dodał to słowo tak lekko, jakby mimochodem.

- Daj mi listę dotychczas ustalonych nazwisk. Downey wyjął z kieszeni chusteczkę. Głośno wydmuchał nos i złożył chusteczkę z powrotem.

- Cieszę się, że nie ja będę się tym zajmował. Bez obrazy, ale zupełnie nie rozumiem, dlaczego Nimmo przydzielił akurat ciebie. Szukał chyba kozła ofiarnego.

Paganowi nie chciało się odpowiadać na zaczepki Downeya. Animozje między nimi trwały już wiele lat, od czasu gdy prowadzący sprawę Jiga Pagan otrzymał do własnej dyspozycji antyterrorystów z Oddziału Specjalnego. Downey uznał się wtedy za pokrzywdzonego i odtąd zawsze chodził nadąsany. Kiedy później sekcję antyterrorystyczną rozwiązano, najgłośniej cieszył się właśnie Downey i jego poplecznicy. Koniec panowania Pagana uczcili w pubie Sherlock Holmes przy Strandzie, gdzie podobno aż do zamknięcia śpiewali Paganowi pieśni pożegnalne. Jego niedawne zawieszenie Downey z kolegami przyjęli z dużą radością. Nie lubili go z wielu powodów -ponieważ Martin Burr go faworyzował, ponieważ nosił swobodne stroje, inaczej dobierał kolory koszul, jeździł camaro i miał skłonności do robienia wszystkiego po swojemu. Do diabła z nimi wszystkimi, myślał Pagan. Komu potrzebni tacy zawistni frajerzy otaczający się murem zazdrości i nienawiści? Komu potrzebne uznanie u takich wypierdków? Nie zabiegał o powodzenie, bo miał do wykonania swoją robotę. Reszta to bzdury.

-Downey odwrócił się i spojrzał na Foxwortha.

- Ho, ho, ho, mamy tu całą bandę. Niebezpieczna dwójka. Flip i Flap.

Pagan z drwiną uśmiechnął się do Downeya.

- Kompletny z ciebie idiota, John - powiedział.

Obelga najwyraźniej sprawiła Downeyowi radość. Wzruszył ramionami i wydobył z gardła ochrypy śmiech. Zakrztusił się.

- No, chłopaki, uważajcie, żeby nie pobrudzić sobie garniturów. Nie wyszłoby im to na dobre. - Odszedł tunelem w kierunku peronu.

- Ciężki przypadek skurwiela - stwierdził Foxie.

Pagan zdążył już zapomnieć o Johnie Downeyu i spoglądał na pociąg. Nachylił się i zajrzał

w otwór wycięty przez strażaków. Pomimo tysięcy galonów wody, jakie wylano na wagon, blacha nadal była ciepła.

W środku zobaczył poczerniałą płataninę przewodów, roztopiony plastik foteli, powyginane kawałki metalu i okopconą ulotkę reklamową - bardzo dziwne, że przetrwała pożar - wychwalającą zalety agencji doradztwa zawodowego. Gdzieś tam poniewierały się resztki zwęglonych, nie nadających się do identyfikacji ubrań. W świetle lamp lśniły kałuże wody. Wśród spopielałych szczątków można było wyodrębnić resztki aktówek, torebek i teczek. Pagan był ciekaw, co w tych anonimowych torbach można znaleźć - zapewne przedmioty codziennego użytku w rodzaju spinek do włosów, notesów z adresami, a także listów i wizytówek, które nie sposób już teraz odszyfrować. W środku zapach był ostrzejszy i Pagan zaczął się krztusić. Tu jest jak w krematorium, pomyślał. Na pewno nikt nie przeżyłby tego dymu, ognia i gorąca.

Wysunął głowę i stanął obok Foxiego.

- Od czego zaczniemy?

Przez chwilę Foxie obserwował specjalistów od ładunków wybuchowych. Pracowali ostrożnie, w skupieniu, by nie zniszczyć czegoś, co mogłoby zawierać jakiś ślad.

- Wszystko bym oddał za listę pasażerów - mruknął.

- Nie ma lekko - powiedział Pagan, odwrócił się i ruszył w stronę peronu. Foxie poszedł za nim.

Otoczony czarnymi workami ze zwłokami Downey wyglądał jak pracownik zakładu pogrzebowego. Przy ścianie stały stoliki, a na nich telefony. Właśnie jeden zadzwonił i policjantka w cywilu podniosła słuchawkę. Po jasno oświetlonym peronie krzątało się mnóstwo ludzi - policjanci, biegli sądowi, specjaliści od materiałów wybuchowych, a także przedstawiciele londyńskiego przedsiębiorstwa komunikacyjnego; chcieli oczyścić tunel i jak najszybciej przywrócić normalny ruch, chociaż dręczył ich niepokój o bezpieczeństwo pasażerów. Paganowi miejsce to kojarzyło się z jakimiś upiornymi wykopaliskami archeologicznymi.

Spojrzał na mężczyzn badających potworne pobojuwisko. Potem mimo woli popatrzył na jakieś zwłoki. Wbrew sobie przyglądał się szerniałej twarzy, czaszce ze spalonymi włosami i ubraniu naruszonemu przez ogień. Dobry Boże, i jak tu dokonać identyfikacji czegoś takiego?

- Paskudne, co? - zagadnął Downey. - Kisiel z ludzi. Pagan nie odpowiedział.

- Mam nadzieję, że wytrzyma ci żołądek. Proszę. - Downey wręczył Paganowi kartkę papieru. - Jak dotąd zidentyfikowaliśmy sześćdziesiąt trzy osoby. Niektóre ciała już przewieziono do kostnicy.

- Sprawdziłeś je?

- W jaki sposób?

- Chodzi mi o to, czy mamy coś na ich temat w aktach?

- Jeszcze nie sprawdzałem - odparł Downey. - Jak na razie mamy dosyć brudnej roboty z rodzinami i tymi cholernymi dziennikarzami...

- Powinieneś sprawdzić nazwiska - rzekł Pagan. - To prosta procedura.

- W tym piekle nie ma rzeczy prostych - odparł Downey i podkręcił wąs.

Pagan spojrział na kartkę z nazwiskami i adresami ofiar. Dlaczego zginęli? Jakiż to niezgłębiony motyw jest przyczyną ich śmierci? Zrobiło mu się smutno, gdy wyobraził sobie pociąg wjeżdżający do tunelu. Ludzie jak zwykle jadą z pracy do domu. Normalny pociąg metra odjeżdża tak samo jak setki razy dziennie. Z tą jednak różnicą, że potem zamienia się w trumnę.

- A co z naocznymi świadkami?

- W godzinach szczytu? Pagan, daj sobie siana. Jeśli chodzi ci o to, że ktoś przyjdzie i powie, że widział szaleńca z bombą, to nie ma szans. W takiej sytuacji, gdy mamy do czynienia z setkami ludzi, nikt nic nie widzi.

- Zawsze ktoś coś tam zobaczy - powiedział Pagan. - Tylko nie zdaje sobie z tego sprawy.

- W każdym razie puściliśmy w mediach ogłoszenie z numerem telefonu. Parę osób dzwoniło, ale sam wiesz, jak to jest.

- Wiem, wiem - rzekł Pagan.

Downey zagrzechał drobnymi w kieszeni płaszcza.

- Takie tragedie budzą w ludziach potrzebę wspierania prawa. Dzwonią do nas i mówią, że widzieli podejrzanego faceta na peronie.

A dlaczego sądzi pani, że był podejrzanym? Ano, bo miał czarną brodę i złowrogie spojrzenie. Tyle w tym treści co w rozwodnionej zupie.

- Jak się dobrze poszuka, to i w rzadkiej zupie można trafić na warzywo - stwierdził Pagan.

- Warzywo? - rzekł z pogardą Downey. - Pagan, ty masz szukać jeszcze dymiącego pistoletu, a nie kawałków kalafiora. Będziesz mnie do czegoś potrzebował?

- Nie sądzę.

Downey poprawił grzywkę i odszedł. Pagan przejrzał listę z nadzieją, że przypadkiem któreś nazwisko z czymś mu się skojarzy, ale nie znalazł niczego, co wydałoby mu się znajome. Ot, po prostu spis osób. Wręczył listę Foxworthowi, który także przejrzał ją kilkakrotnie.

- Niestety - rzekł.

Pagan złożył kartkę i schował ją do kieszeni. Podeszedł do młodej policjantki rozmawiającej przy stoliku przez telefon. Wyglądała na zmęczoną; pracowała prawdopodobnie już od wielu godzin. Miała przed sobą duży notatnik zapisany równym pismem.

Pagan odczekał, aż odłoży słuchawkę.

- Co słyszeć?

Policjantka wskazała na jeden z plików kartek ze stolika.

- Proszę zobaczyć samemu, sir.

Pagan podniósł plik i przejrzał kartki. Kobieta rzetelnie zapisała każdy odebrany telefon.

Przy każdym numerze znajdowało się nazwisko, adres i krótkie streszczenie przekazanej informacji. Ktoś widział na peronie długowłosego mężczyznę z walizką. Jakaś kobieta zauważyła dziwnego skinheada. Ktoś inny widział rozmowę trzech podejrzanych Jamajczyków. Takie wiadomości najczęściej mówiły o samych informatorach, o ich lękach, uprzedzeniach i fobiach. Były właściwie nic niewarte - stanowiły spis obaw ludzi zamkniętych na klucz w swych podmiejskich domach. Odkładając plik notatek, zdał sobie naraz sprawę z ogromu stojącego przed nim zadania, z czekającej go papierkowej roboty, fałszywych tropów, błędnych informacji i pustej gadaniny w eterze.

- Nie tracę nadziei - powiedziała policjantka - że któryś telefon przyniesie coś pożytecznego.

- Znam to uczucie - odparł Pagan. W swojej pracy policjant musi się dużo nachodzić, zanim zbierze drobne cegiełki informacji dające nadzieję na zbudowanie zadowalającej konstrukcji.

Do Pagana podszedł utykający mężczyzna o siwych włosach. Trzymał bezładnie zwinięty plik dokumentów i czarną, wypchaną aktówkę. Sprawiał wrażenie człowieka wiecznie zajętego, nieuporządkowanego, nie dającego sobie rady.

- Słyszałem, Pagan, że ty będziesz prowadził to śledztwo - powiedział. - Cieszę się z twojego powrotu.

Był to Dick McCluskey, ekspert od ładunków wybuchowych. Znali się z Paganem ponad piętnaście lat. McCluskey uchodził za swego rodzaju anarchistę trzymającego się z daleka od międzywydziałowych rozgrywek politycznych. Pagan mógłby go polubić już z tego jednego powodu. Poza tym McCluskey miał ciekawe hobby - zajmował się bowiem sztuką iluzjonistyczną. Konstruował skomplikowane skrzynki, w których znikwały przedmioty, a nawet ludzie. Pagan zadał sobie pytanie, czy za pomocą hokus-pokus dałoby się przywrócić wagon metra do dawnego stanu.

- Co o tym sądzisz? - Wskazał ręką wjazd do tunelu.

- Mały ładunek o ogromnej sile, to jasne. Musiał zostać wniesiony do wagonu w jakimś pojemniku. Nie da się wcisnąć do zatłoczonego pociągu coś wyglądającego podejrzanie, bo zbyt rzucałoby się w oczy.

- Jaki to mógłby być pojemnik?

- Jakiś zwyczajny, na przykład walizka, torebka. Przeprowadziliśmy kilka prób, ale jak dotąd bezskutecznie. Trzeba też pamiętać, że sam wybuch spowodował niewiarygodną eksplozję gorąca. Jeśli ktoś po nim przeżył, to wykończył go ogień i dym. Można by pomyśleć, że zawsze powinienem mieć odpowiedź na pytanie o jakość i typ ładunku, ale nie należy zapominać o cholernie szybkim postępie technicznym. Zwłaszcza jeśli chodzi o sprzęt siejący zniszczenie. Wystarczy, że jakiś psychopata okaże się geniuszem w elektronice, doda do tego wiadomości z jakiejś innej dziedziny i może osiągnąć niewiarygodne rezultaty.

- Ktoś podłożył w wagonie ładunek na jednej z wcześniejszych stacji, a potem wysiadł...

- Może tak, a może i nie. Rozważmy też inne hipotezy - rzekł McCluskey.

- Chyba wiem, o co ci chodzi, Dick.

- O jakiegoś kamikaze.

- Żywa bomba. - Pagan pokiwał głową. - Tego nie lubię.

- Przemysłmy to. Powiedzmy, że jesteś szalony, chcesz popełnić samobójstwo, skonstruowałeś miniaturową bombę o ogromnej mocy i zamierzasz ją wypróbować. Co więcej, chcesz być w samym epicentrum wybuchu, bo chcesz go poczuć. Gdzie będzie do tego najodpowiedniejsze miejsce? Oczywiście w metrze. Tam nie ma ochrony, nie ma kontroli bagaży. Ludzie wchodzą i wychodzą, kiedy chcą.

- Na razie nie posuwałbym się tak daleko - powiedział Pagan. McCluskey odszedł kilka kroków.

- Dam znać, gdy już będę miał coś pewnego. Do zobaczenia. Pagan podszedł na skraj peronu. Nie mógł uwierzyć, że to dzieło kamikaze. Obok niego stanął Foxie.

- Ktoś wysadza pociąg - odezwał się Pagan. - Po co? Czy chce zabić wszystkich znajdujących się w środku ludzi? Czy może mieć jakieś pretensje do stu osób? Ja tego nie rozumiem. To mi się nie mieści w głowie.

Foxie dosłyszał w jego głosie nutkę rozgoryczenia.

- Frank, może zamachowcowi chodziło tylko o jednego człowieka?

- A śmierć pozostałych ma być tylko przypadkiem?

- To tylko teoria.

Pagan zastanawiał się przez chwilę nad taką koncepcją, ale mogła ona wpędzić człowieka w obłąd. Kto miałby wymyślić taki scenariusz? W głowie Pagana pojawiła się okrutna myśl.

- Sądzę, że to nie musi być tylko teoria.

- Tak czy inaczej, Frank, jest to możliwe.

- Wszystko jest możliwe. - Wyjął z kieszeni listę nazwisk i wręczył ją Foxworthowi.

- Możesz się skontaktować z Billym Ewingiem? - zapytał. Ewing był ich starym, wypróbowanym i oddanym współpracownikiem. Cierpiał stale na zatoki, przez co zyskał

sobie przydomek Świszczący Billy.

- Jakoś sobie poradzę.

- Foxie, powiedz mu, że znów jest w naszym oddziale, i poproś o przejrzenie tych nazwisk.

Spojrzał w kierunku tunelu. Wlot przypominał wielkie, złowrogie oko o bezlitosnym spojrzeniu. Pagan ujrzał w nim swoją przyszłość i wcale mu się nie spodobała.

- Potrzebuję kilku godzin wypoczynku; bo wykończę się nerwowo.

Nie zaskoczyło to Foxwortha. Przyzwyczał się już, że Frank tylko od czasu do czasu poddaje się policyjnej dyscyplinie i przed podjęciem konkretnych działań musi się pozastanawiać w samotności. Pagan miał w sobie coś z mnicha. Przypominał Foxiemu Tomasza z Akwinu.

Gdy Pagan wychodził ze stacji metra, zapadł już zmrok. Foxworth podwiózł go do domu.

Mieszkał w Holland Park w kilkupokojowym mieszkaniu z widokiem na niewielki park, w lecie zielony i zarośnięty, a teraz bezlistny i nieciekawym. Otworzył drzwi, wszedł do środka i zapalił światło. W powietrzu czuć było stęchlizną. Wszedł do saloniku, położył walizkę i nalał sobie szklaneczkę ulubionej whisky au-chentoshan. Usiadł w fotelu i rozejrzał się po pokoju. Na kominku stały stare zdjęcia: portret ślubny z Roxanne oraz amatorska, czarno--

biała fotografia Roxanne z rozwianymi włosami i nieprzenikniętym uśmiechem na ustach na tle zachodzącego słońca. Ściany zdobiły plakaty ze starych koncertów rockowych - Rolling Stones na Wembley i Fats Domino w sali Palladium.

Powoli sączył drinka. Nie podobał mu się panujący w mieszkaniu spokój. Temu miejscu potrzeba dźwięków, czas zerwać pajęczyny ciszy. Nigdy nie zrezygnował ze swej namiętności do muzyki. Przejrzał kolekcję płyt - nie uległ modzie na płyty kompaktowe, bo nie chciało mu się wierzyć, że te małe, błyszczące płytki potrafią przenieść autentyczność muzyki, skoro nie ma na nich szumów - i położył jedną z nich na stereofonicznym gramofonie. Little Richard zaśpiewał starego rock and roila „Good Goily Miss Molły”.

Dobrze znane dźwięki dawały Paganowi poczucie komfortu. Nie pociągały go ani new wave, ani rap, ani grunge, ani żaden inny krzyk mody. Uwielbiał starego rocka nie tylko z przyczyn sentymentalnych, lecz także dlatego, że w tej muzyce była dzikość i wolność. Potrafiła rozruszać milczące serce. Little Richard albo Jerry Lee umieli porwać publiczność.

Pobudzony ostrym rytmem muzyki zaczął się bezwiednie przechadzać po mieszkaniu.

Wszedł do sypialni, kuchni i łazienki. W wannie znalazł rozkładające się ciało martwej myszy. Wziął

ją za ogon i podniósł do góry.

Nagle usłyszał pukanie do frontowych drzwi. Bez otwierania wiedział, że to panna Gabler z dołu. Otworzył. Stała na progu, trzymając kołnierz szlafroka zaciśnięty pod samą szyją.

- Znowu puszcza pan tę murzyńską muzykę - odezwała się. Była to drobna, siedemdziesięcioletnia staruszka, która dorastała w Indiach, gdzie jej ojciec pracował jako jakiś kolonialny administrator. - Kilka tygodni panował spokój. To były wspaniałe dni, panie Pagan, ale teraz muszę zaprotestować. Mam zszarpane nerwy, a do tego złapałam jeszcze anginę. - Ze swym kruchym głosem przypominała znerwicowanego zwierzaka wymagającego troskliwej opieki.

- Obiecuję przyciszyć, panno Gabler - rzekł przepaszająco Pagan.

- Mogłabym zrozumieć, gdyby miał pan bardziej wyrafinowany gust. Powiedzmy, trochę Haydna, odrobinę Mozarta. Przeciwno temu nic bym nie miała.

- Przyciszę muzykę. Daję pani słowo.

- Bardzo dobrze. Właśnie o to mi chodziło. - Cały czas trzymała pod szyją szlafrok, jak gdyby widziała jakiś związek pomiędzy „murzyńską muzyką” a dybaniem na jej cnotę.

Pagan podsunął jej pod nos złapaną mysz.

- Proszę zobaczyć, co znalazłem.

- O Boże - jęknęła panna Gabler i otwierając usta cofnęła się o kilka kroków.

- I to w wannie. Może się biedaczka utopiła.

- Bawi pana czarny humor, panie Pagan. - Poprawiła szlafrok i odeszła kłapiąc pantoflami.

- Ach, ci ludzie - odezwała się bardziej do siebie niż do Pagana.

Z uśmiechem zamknął drzwi. Lubił pannę Gabler, choćby dlatego, że budziła w nim łobuzerskie skłonności. Wyrzucił mysz do śmieci i wyłączył muzykę. Znow zapanowała cisza. Właśnie skończył drinka, gdy rozległ się brzęczyk domofonu.

Podszedł do aparatu i zapytał:

- Kto tam?

- Czy to pan Frank Pagan? - usłyszał z ulicy głos z amerykańskim akcentem. Pagan uznał, że przybysz pochodzi z Południa, a ściślej mówiąc z Alabamy lub z Georgii. - Nazywam się Al Quarterman. Jestem z ambasady amerykańskiej. Chciałbym z panem zamienić kilka słów.

Z ambasady amerykańskiej? Po co? Naciśnięciem guzika Pagan otworzył drzwi od ulicy, a potem nasłuchiwał, jak gość wchodzi po schodach. Uchyliwszy drzwi, ujrzał cherlawego, czterdziestokil-

kuletniego mężczyznę. Quarterman sprawiał wrażenie człowieka schorowanego. Miał ponure, ciemne oczy i żółtawą skórę, a w poprzednim stuleciu powiedziano by, że cierpi na suchoty. Ściskając mu dłoń, Pagan poczuł niemal kości pozbawione ciała.

- Przepraszam, że nachodzę pana w domu. Próbowałem skontaktować się przez biuro i pański partner Foxworth odmówił mi podania adresu. Poczulem się jak pies, któremu odbierają kość. Kiedy wyjaśniłem mu powody, złagodniał. - Quarterman rozejrzał się po pokoju i zwrócił uwagę na plakaty z koncertów. - O, widzę, że mam do czynienia z prawdziwym miłośnikiem muzyki. Pamiętam, jak dawniej szalało się przy „Rock Around the Clock”. Jak zagrali Bili Haley i The Comets, życie nabierało sensu.

- Pamiętam - rzekł Pagan. - Napije się pan czegoś?

- Nie obraż się, ale tak. Frank, mogę ci mówić po imieniu?

Pagan nie miał żadnych obiekcji, bo podobała mu się bezpośredniość Amerykanów. Nalał dwie szklaneczki auchentoshan i podał jedną Quartermanowi.

- Za utraconą młodość i rock and roila - rzekł Quarterman i jednym haustem wychylił zawartość.

- Al, tym się można delektować - stwierdził Pagan.

- A trzeba?

- Nie, ale mnie tak bardziej smakuje. - Pociągnął słodkawy trunek o posmaku torfu, płynnego dymu i tajemniczych wrzosowisk. - Dlaczego tak bardzo chciałeś się ze mną zobaczyć?

Quarterman odstawił szklaneczkę na stolik do kawy.

- Zaginął jeden z naszych ludzi - stwierdził. - Być może jechał metrem.

- Jesteście pewni?

- Nie. Nie mamy żadnej pewności. Co więcej, mamy nadzieję, że całkowicie się mylimy.

Nie przyjechał do pracy samochodem, a jednej z sekretarek powiedział, że chyba będzie wracał metrem. Poza tym nie odbiera telefonów. I właśnie dlatego musimy rozważyć taką ewentualność. - Na twarzy Quartermana malowała się smutna niepewność. - Ambasador uznał tę sprawę za związaną z protokołem dyplomatycznym. Musimy wiedzieć o Harcourcie, zanim opublikujecie listę ofiar. Nie chcielibyśmy, aby rodzina po prostu natknęła się na jego nazwisko w telewizji albo w gazetach. Jeśli rzeczywiście jechał tym metrem, to ambasador czuje się w obowiązku jako pierwszy przekazać tę informację najbliższemu krewnym.

- Mówisz... Harcourt? - zapytał Pagan.

- Tak, Bryce Harcourt.

Pagan wyjął długopis i zapisał personalia.

- Jeśli Bryce zginął w tym wypadku, to naturalnie będziemy chcieli przetransportować jego szczątki do kraju. Rodzina... - Quarter-man spojrzał na butelkę whisky. - Mogę jeszcze?

- Proszę bardzo.

- Cholernie smakowite. - Quarterman nalał sobie sporą porcję. - Rodzina chciałaby sprowadzić go na Florydę. Harcourtownie to stary i wpływowy ród, a do tego osobiście przyjaźnią się z prezydentem, co sprawia, że śmierć Harcourta staje się bardziej... znacząca.

Jeśli możliwie najszybciej nie przetransportujemy zwłok - o ile w ogóle są zwłoki - z różnych stron możemy się spodziewać silnej presji. Pewnie wiesz, o co mi chodzi.

- Tak. Obawiam się, że widok... szczątków nie będzie dla nich zbyt przyjemny.

- Wyobrażam sobie. Gdzie przetrzymywane są ofiary?

- Głównie na stacji, tylko nieliczne zostały już zabrane.

- Wyślę tam kogoś w sprawie ewentualnej identyfikacji. W razie potrzeby dysponujemy różnymi jego danymi, takimi jak analizy medyczne i stomatologiczne, i tak dalej. Mogą się okazać przydatne... - Quarterman nie dokończył i napił się whisky zgodnie z instrukcją Pagana. - A jak posuwa się śledztwo?

- Dopiero zaczynamy.

- Domyślasz się już, kto to zorganizował?

Zorganizować, pomyślał Pagan, to bardzo neutralne słowo.

- Jeszcze nie. - Dokończył drinka. Czuł w myślach pewne zaćmienie, czuł, że ciało zaczyna mu odmawiać posłuszeństwa i marzył o kilku godzinach snu.

- Przypuszczam, że to będzie dla was trudna sprawa - rzekł Quarterman. - Macie jakieś hipotezy? Jakież godne uwagi ślady? Pagan pokręcił głową.

- Początki zawsze są ciężkie.

- Zupełnie tak samo jak w układaniu potwornie skomplikowanych puzzli.

- Tylko że tutaj nie wiemy, jak ma wyglądać ostateczny obraz - rzekł Pagan. - Czym Harcourt zajmował się w ambasadzie?

- Przygotowaniem i analizą informacji. Jeśli na przykład ambasador przyjmował delegację,

powiedzmy, firmy z Norwich zainteresowanej budową fabryki mikroprocesorów w Des Moines, to Harcourt przygotowywał materiały na temat tej firmy, aby ambasador Caan co nieco o niej wiedział. Podlegał bezpośrednio Caanowi. - Quarter-man spojrział na swą szklaneczkę. - Przyjaźniliśmy się ze sobą. Gra-74

liśmy w sausa. Był bardzo towarzyski, prawdziwy lew salonowy. Biedaczysko.

- Być może wcale nie jechał tym metrem - powiedział Pagan.

- No to co się z nim stało? Należał do tych, którzy jak tylko zachorują, zaraz dzwonią do biura. Był bardzo odpowiedzialny, może nawet do przesady. Nie wyobrażam sobie, żeby wyjechał gdzieś tak bez słowa. Bardzo dbał o swoją karierę.

- Niemniej istnieje ewentualność, że jednak nie było go w metrze.

- Tak, to możliwe. Posłuchaj, gdybym tylko mógł ci w czymś pomóc albo gdyby ambasada mogła służyć jakimś wsparciem, to wal do nas śmiało. Możesz się zwrócić do sekcji bezpieczeństwa. Dzięki za whisky.

Pagan odprowadził Quartermana do drzwi i powiedział dobranoc. Słyszał na schodach kroki Amerykanina. Kolejna potencjalna ofiara na listę - Bryce Harcourt. Wszedł do sypialni, usiadł na łóżku i próbował ułożyć w całość wszystkie kołaczące mu się po głowie wrażenia i myśli. Widział jednak przed sobą tylko pustkę, nie pojawiały się żadne hipotezy, jak gdyby opuściła go muza. Wpatrując się w sufit, przypomniał sobie pozostające bez odpowiedzi pytanie Foxwortha: Frank, może zamachowcowi chodziło tylko o jednego człowieka?

Kuba, Prowincja Villa Clara

Tuż przed zmrokiem do miasteczka Santa Clara zawitał konwój składający się z dziesięciu rozklekotanych dżipów, należących do kubańskich sił zbrojnych. Gdy samochody wjeżdżały na główny plac obok parku Leoncia Yidal, w powietrzu unosiły się kłęby czarnych spalin. To właśnie w tym mieście w styczniu 1959 roku powstańcza armia Castro pod dowództwem Che Guevary wygrała decydującą bitwę z kontrrewolucjonistami uzbrojonymi w amerykańskie karabiny. Santa Clara nadal żyła mitem wydarzeń sprzed ponad czterdziestu lat, kiedy to Che wraz ze swoimi partyzantami wykoleił pociąg przewożący żołnierzy wroga. Wspomnienia te podsycaly mury nafaszerowane kulami oraz liczne wystawy poświęcone Che i jego czynom.

Tutaj, podobnie jak w wielu innych kubańskich miastach, zwietrzały już rewolucyjne ideały, a o triumfie Fidela Castro przypominały tylko zamknięte w muzeach zdjęcia i pamiątki. Echa dawnej chwały egzystowały obok współczesnego bezprawia. Santa Clara miała żalosny wygląd miasta, którego marzenia się nie spełniły.

Rafael Mendoza, młody porucznik dowodzący konwojem, wysiadł z dżipa i stał pałac papierosa. Patrzył na park, gdzie na ławkach pod krzewami poinciany starzy mężczyźni drzemali lub rozprawiali o szachach. To tu, to tam grupki studentów z Uniwersytetu Centralnego gawędziły o jakichś błahych sprawach. Wszystko wydawało się Mendozie jak najbardziej normalne, a jednak czuł jakieś napięcie.

Spoglądając na plac i park, końcami palców gładził wąsy, co z nawyku czynił zawsze w chwilach niepokoju.

Odwrócił się do siedzących w samochodach żołnierzy. Na ogół byli młodszy od niego i nie znali żadnej innej formy władzy państwowej poza rządami Fidela Castro. Owszem, czasami narzekali, zwłaszcza podczas oglądania przemyconych z Florydy kaset wideo albo czytania listów od krewnych żyjących po jankesku w Miami. Mendoza jednak, chociaż przeszedł

dogłębną indoktrynację i wierzył w ostateczne zwycięstwo rewolucji, żywił pewną sympatię do swoich ludzi. Przeważnie pochodzili z biednych środowisk, gdzie brakowało jedzenia, i o reglamentacji oraz malejących przydziałach żywności często wyrażali się krytycznie. Z

prawdziwym oburzeniem odnosili się też do kanadyjskich, hiszpańskich albo niemieckich turystów opływających w kubańskie luksusy, niedostępne zwykłym obywatelom. Od czasu rozpadu Związku Sowieckiego niedostatki występowały nawet w artylerii. Brakowało amunicji, sprzęt był przestarzały, i z dnia na dzień pogarszało się życie żołnierzy. Fidel ciągle powtarzał, że wszystko się zmieni, że nadejdą lepsze czasy, a największą cnotą rewolucji jest cierpliwość. Mendoza jednak wiedział, iż jego podwładni traktują słowa Fidela jak nic nie znaczący bełkot, jak rżenie zdychającej w beczce ryby.

Podtrzymując opadający pas z kaburą, podszedł do Mendozy mały, gruby sierżant Estevez.

Podrapał się w łysą głowę i wzruszył ramionami.

- Nic się nie dzieje - oznajmił.

Estevez pochodził z Hawany i uważał miasteczko Santa Clara za prowincjonalną dziurę zabita dechami. Co z tego, że były tu szpitale i zakłady przemysłowe? W porównaniu z Hawaną to naprawdę nic.

Mendoza nie odpowiedział sierżantowi ani słowem. Badawczym wzrokiem lustrował plac, park i zniszczone samochody. Jakiś starzec podniósł głowę znad szachownicy i obojętnym wzrokiem spojrzał na żołnierzy. Przyzwyczał się do wizyt wojska o niezwykłych porach.

Mendoza przydeptał niedopałek.

- Właściwie po co tutaj przyjechaliśmy? - zapytał Estevez.

Porucznik wsłuchiwał się w śpiew skowronka, który wydał mu się bardzo melancholijny.

Odgonił trzepoczącego mu przed twarzą pomarańczowego motyla. Zastanawiał się nad pytaniem Esteveza.

- Pojawiły się pewne plotki - odpowiedział mu w końcu.

- Zawsze te plotki - rzekł sierżant. - Co tym razem? Powstańcy? Bojownicy o wolność?

- Estevez, bojownicy o wolność to na pewno niestosowne określenie.

Sierżant czknał w zwiniętą dłoń.

- Przejęczyłem się. Oczywiście chodziło mi o kontrrewolucjonistów.

- Oczywiście.

Estevez zmartwił się trochę swoim faux pas. Musiał coś zrobić, aby zrehabilitować się w oczach Mendozy, którego uważał za chłodnego, opanowanego, prawdziwego twardziela służącego partii.

- Dajmy im popalić - powiedział łapiąc za pistolet w kaburze. - Dajmy im popalić, tylko tyle mam do powiedzenia.

- Ta gorliwość przemawia na twą korzyść - odparł osche Men-doza.

- Przecież musimy bronić Rewolucji - rzekł Estevez, próbując przypomnieć sobie jakiś odpowiedni frazes z propagandowej ulotki, którą powinien był przeczytać. Nic jednak nie przychodziło mu na myśl. Zazwyczaj szybko wyparowywały mu z głowy polityczne dogmaty, które zawsze były zawile, nudne i nie miały nic wspólnego z jałową rzeczywistością Kuby.

- Tak, bronimy Rewolucji - przyznał Mendoza. - Zawsze warto pamiętać, jaką pełnimy funkcję.

Estevez milczał. Z opuszczoną głową wpatrywał się w czubki zniszczonych butów.

Uwierały go w pięty i było mu niewygodnie. Dwa miesiące temu poprosił o przydział nowej pary, lecz prośba pozostała bez odpowiedzi i najprawdopodobniej do tej pory zginęła już gdzieś pod lawiną codziennych rozporządzeń.

Mendoza zastanawiał się, czy nie pojechać z konwojem dalej - okrążyć plac, pokazać się pod zarządem miejskim i minąć stację kolejową. Uważał, że taka demonstracja siły przyda się nawet, jeśli w pobliżu nie ma żadnych kontrrewolucjonistów. Miał mgliste informacje o istnieniu ugrupowań przeciwników Fidela Castro w Remedios, pięćdziesiąt kilometrów od Santa Clara. Mogły to być jednak tylko plotki, choć w politycznym klimacie Kuby w plotki wierzono jak w ewangelię. Mendoza wiedział na pewno, że w południowej części prowincji, w górach Escambray, zlikwidowano przed kilkoma tygodniami podziemną drukarnię. Kilku obsługującym ją studentom skonfiskowano karabiny AK-47. Jednak co do reszty...

Przyglądając węża omiół wzrokiem plac i odwrócił się do wiecznie poprawiającego pasek Esteveza. Postanowił zrobić objazd. Co za sens tkwić w jednym miejscu?

- Jedziemy - rzucił do sierżanta i ruszył w stronę pierwszego dżipa. Usiadł obok wymizerowanego młodego kierowcy z wiecznie zaniepokojoną miną. Dżip ruszył, reszta podążyła za nim. Minęli fasadę hotelu Libre, teatr Caridad, restaurację El Pavito i skierowali się w stronę stacji kolejowej, gdzie wciąż stał wystawiony na pokaz pociąg odebrany przez Che siłom Batisty.

Mendoza oglądał domy, okna i arkady. Jak na jego gust w mieście tym było zbyt dużo cienia. Z

trudem przychodziło mu podjęcie teraz jakiegokolwiek decyzji. Chwycił dłonią za pas i odwrócił się, aby spojrzeć na samochody jadące za nim. Siedzący w drugim dziupie Estevez skręcał cienkiego jak długopis papierosa i na czynności tej najwyraźniej koncentrował całą swą uwagę. Miał minę dewota pogrążonego w modlitwie. Zdenerwowany trochę obojętnością sierżanta Mendoza odwrócił się z powrotem do przodu...

Pierwszy strzał roztrzaskał mu czaszkę. Drugi, którego już nie słyszał, ugodził go w serce.

Impet kuł prawie wyrzucił go z dziupa. Młody kierowca zahamował i niemal natychmiast pochylił głowę, lecz w chwili gdy sięgał po swój pistolet, długa seria roztrzaskała przednią szybę i oślepiły go lecące na oczy okruchy szkła. Samochody jadące z tyłu miały mało miejsca do hamowania i doszło do kilku drobnych stłuczek. Żołnierze pod dowództwem wrzeszczącego Esteveza chowali się za pojazdami. Strzały najwyraźniej jednak padały ze wszystkich stron - z dachów, z drzwi, zewsząd. Estevez wyciągnął pistolet, lecz zanim zdążył

strzelić, został ranny w nadgarstek, choć przez kilka sekund nie przyjmował tego do wiadomości. Chciał, żeby to nie była jego ręka, żeby to nie on odczuwał ból. Ogień nie słabł

ani na chwilę, raz za razem padał strzał wycelowany w odsłonięte dziupy i bezbronych żołnierzy. Okna rozpadły się w pył, z opon uszło powietrze, silniki zaczęły dymić.

Estevezowi pociemniało w oczach, czuł nadchodzącą śmierć. Ledwie uświadamiał sobie, że próbujący odpowiadać ogniem żołnierze wiele ryzykują, bo z każdej strony grozi im postrzał.

Płonące paliwo i guma wydzielały duszący dym. Żołnierze rzucali karabiny oraz pistolety i z krzykiem uciekali, gdzie się dało. Pomiedzy domami jednak odbijał się echem nie milknący huk strzałów. Kilku przechodniów, którym nie udało się zejść z linii ognia, leżało na ulicy w kałużach krwi.

Dużo czasu minęło, zanim powróciła cisza i strzelcy potajemnie rozpląnęli się w ciemności. Gdy po godzinie przybyli zaniepokojeni policjanci i oficerowie kubańskiego wywiadu G2, podczas przeszukiwania miejsca zdarzenia znaleźli tylko jednego z zamachowców – na wpół żywego młodzieńca postrzelonego w klatkę piersiową. Nie miał

żadnych dokumentów. Przerażony i bliski śmierci leżał na ulicy. Kilka stóp obok niego znaleziono niezwykłą, nie znaną dotąd wywiadowi broń - wsparty na dwunożnym statywie karabin Tejas kalibru 0,50. Wyprodukowany w Stanach półtorametrowy karabin świetnie się nadawał do strzałów na odległość z jednej mili.

Wenecja

Od kilku godzin Barron przebywał w małym pomieszczeniu stanowiącym centrum jego różnorodnych przedsięwzięć. Własnymi, prywatnymi liniami dzwonił w różne części świata do współpracowników z Tibilisi, Johannesburga, Hawany, Nowego Jorku i Kijowa. Czytał

nadchodzące faksy i sortował je w pliki opatrzone kryptonimami realizowanych projektów -

Slimacznica, Hibiskus, Chryzantema, Cierń. Miał słabość do poetycznych określeń, zwłaszcza nazw drzew i kwiatów. Lubił porównywać własne przedsięwzięcia do uprawy roślin, najpierw musiał bowiem zasiać ziarno, a potem poświęcić mu wiele troski i uwagi, zanim wzeszło.

Wreszcie wyszedł z ciasnego i chłodnego pokoiku, zamknął za sobą drzwi i stanął przy spiralnych schodach prowadzących na górę. Goszcząca u niego kobieta spała jeszcze w sypialni na piętrze. Przypomnił sobie, jak minionej nocy szybko zostawiła go samego i zapadła w głęboki sen. Zdarzały się jej przedziwne pragnienia i szybkie zmiany nastioju; potrafiła koncentrować się jednocześnie na różnych, często bardzo różnych sprawach, dzięki czemu stanowiła intrygującą zagadkę. Zastanawiał się, czy wejść na górę i obudzić ją. Trudno było przewidzieć konsekwencje próby wyrwania jej ze snu.

Podniósł zasłonę i obserwował chłodny wenecki poranek. Nad dachami unosiła się błękitna mgiełka, przy brzegach kanałów gromadziły się gołębie. Opuścił zasłonę, gdy -jak zwykle o tej porze dnia - zapukał Schialli i wszedł z poranną prasą. Ułożył gazety na stole i nie spojrzawszy na Barrona wyszedł do kuchni przygotować dwie filiżanki cappuccino i wycisnąć metalową praską sok z czerwonych pomarańczy. Skoro Barron zamierza obudzić tę kobietę, to najlepiej za pomocą domowych specjałów, a więc jej ulubionej kawy i soku z cytrusów.

Barron zabrał tackę z kawą i sokiem, wziął gazety pod pachę i wszedł na górę. W sypialni zatrzymał się zaskoczony. Kobieta nie spała, siedziała w łóżku i paliła papierosa. Spojrzała na niego bez większego zainteresowania i wypuściła obłoczek dymu.

- Chciałem cię tym obudzić - rzekł Barron i postawił na stoliku tackę, a potem podał jej gazety.

Sięgnęła po szklankę i łapczywie wypila sok z czerwonych pomarańczy.

- Dobrze spałaś? - zapytał.

- Coś mi się śniło.

- Dobrego czy złego? - położył jej dłoń na nagim ramieniu.

- Kto by się przejmował snami.

Patrzył na nią, próbując przeniknąć jej myśli, lecz najwyraźniej sen przywrócił jej twarzy obojętność. Była blada, rozkojarzona i nic poza tym.

- Przyniosłem ci gazety.

- Twoja uprzejmość, Barron, zawsze budzi we mnie podejrzenia.

- Dlaczego?

- Zdawało mi się, że wszystko, co w tobie dobrego, zarezerwowałeś dla trędowatych na Saharze albo głodujących dzieci z Peru.

- Jesteś dla mnie niesprawiedliwa - powiedział, kładąc się na chwilę obok niej. Delektował

się jej bliskością, zapachem skóry i dotykiem ciała. Ogarnął go błogi spokój i mógłby tak bez ruchu przeleżeć cały dzień, udając, że poza tym domem nie istnieje żaden inny świat.

Pocałował ją w czoło, a potem sięgnął po „Timesa”.

Przyjrzał się widniejącej na pierwszej stronie fotografii z miejsca zamachu bombowego w londyńskim metrze. Zmasakrowany pociąg leżał na boku, a spomiędzy płataniny metalu wydobywał się dym podświetlany ostrym światłem reflektorów. Odłożył „Timesa” i rzucił

okiem na inną gazetę. We wszystkich dziennikach angielskich, francuskich i włoskich znajdowało się to samo zdjęcie. Wszystkie artykuły powoływały się wzajemnie na siebie, twierdząc, że z dużym prawdopodobieństwem można zakładać, iż zamachu dokonała IRA, chociaż nie ma żadnej pewności, ponieważ dotąd nikt się do tego nie przyznał.

- Patrz - powiedział.

Odwróciła głowę i bez zainteresowania spojrzała na gazetę. Fotografia masakry w Londynie nie przykuła jej uwagi. Barron usiadł doparty o poduszkę i przez moment nic nie mówił. Czuł zbliżającą się lekką depresję. Londyńskie metro, godziny szczytu, ofiary.

Kobieta oparła się na łokciu i odgarnęła z czoła kosmyk włosów. Odstawiła pustą szklankę na stolik i sięgnęła po filiżankę. Napiała się kawy, a potem zlizwała mleczną piankę z górnej wargi.

Barron znów oglądał zdjęcie. W ciemnym wnętrzu wagonu widać było sylwetki strażaków, policjantów i oficerów dochodzeniowych.

- Jeśli to nie IRA, to kto? Kto jeszcze zdobyłby się na coś takiego?

- O, znalazłoby się paru kandydatów. Irańczycy, Irakijczycy, zawiedzeni Argentyńczycy nie mogący pogodzić się z porażką na Falklandach i wielu innych ludzi mających na pieńku z Angolami.

Odwrócił głowę. Obserwując jej dłoń wędrującą po gazetowym zdjęciu, przypomniał sobie ich pierwsze spotkanie, gdy przed wielu laty pojechał do Palestyny na rozmowy z Arafatem, podczas których ten drobny człowieczek uznał konieczność zaprowadzenia pokoju na Bliskim Wschodzie, mimo że był zwolennikiem zbrojeń. Potraktował Barrona jako półoficjalny kanał

do przekazania tej informacji Zachodowi. Poza tym pragmatyczny Palestyńczyk doszedł do wniosku, że warto sfotografować się z Barronem, który często bywa opisywany w plotkarskich rubrykach. Na przyjęciu wydanym wtedy przez Arafata około północy pojawiła się ona. Sprawiała wrażenie obojętnej na egzotyczne otoczenie.

Tej pierwszej nocy poszła z Barronem do łóżka.

Od samego początku wiedział, że jest w niej coś dziwnego. Była niewolnicą własnych nastrojów. W jednej chwili z osoby delikatnej potrafiła stać się okrutna. Czasami trajkotała jak karabin

maszynowy, a innym razem była mrukliwa, sarkastyczna, wrogo usposobiona.

Nigdy nie było wiadomo, czego akurat się spodziewać. Istniało w niej jakby kilka zupełnie różnych kobiet.

Barronowi nie udało się zgromadzić zbyt wielu informacji na jej temat, prócz tego, że dzieciństwo spędziła w Północnej Karolinie i miała dziwnych rodziców, których nazywa czasem parą potworów. Mówiła o swej przeszłości rzadko i zawsze obojętnie. On musiał

uszanować tę powściągliwość, stanowiącą warunek trwania ich związku. Nie nalegaj, nie posuwaj się zbyt daleko, nie urządź mi przesłuchania. Tak więc nie udało mu się poznać jej całego życia i znał tylko drobne fragmenty jej dziejów.

To mu jednak wystarczało. Przez następne lata zbierał o niej informacje i kompletował dossier, którego istnienia ona nawet się nie domyślała.

Wstał z łóżka i z zaciśniętymi pięściami zaczął chodzić po sypialni. Cały czas zastanawiał się nad wypadkiem w Londynie.

- Muszę zadzwonić w parę miejsc - powiedział. Zszedł po schodkach na dół, otworzył

drzwi gabinetu i podniósł słuchawkę telefonu. Wykręcił numer do Belfastu. O'Neill podniósł

słuchawkę po pierwszym sygnale. Siedział w swym małym, prowizorycznym biurze nad sklepem tytoniowym w pobliżu Smithfield Market. Belfast, ta strefa śmierci i nienawiści, to przeklęte miasto, nie należał do ulubionych miejsc Barrona.

Zapytał o Londyn i o wybuch w metrze.

- Panie B., tutaj nikt nic o tym nie wie - powiedział O'Neill twardym akcentem z Ulsteru. -

Przetrzepaliśmy miasto na wszystkie strony i nie znaleźliśmy nawet grama informacji. Mogę stwierdzić tylko, że to nie nasza robota. Nie wierzę też, żeby nasi przeciwnicy coś takiego wywinęli. Gdyby to była ich sprawka, już udzielaliby przez telefon wywiadów. Niech pan tylko pomyśli, co lojaliści mogliby zyskać na wykręceniu takiego numeru w londyńskim metrze. Wiem, że to głupie bydlaki, ale nie aż tak głupie.

Przez chwilę Barron milczał.

- A może to jakaś organizacja odszczepieńcza? - zapytał. Słyszał, jak O'Neill zapala zapalniczkę i zaciąga się papierosem.

- Nie ma mowy. Za cholerę. Coś byśmy na ten temat wiedzieli. Jesteśmy dumni z naszej siatki wywiadowczej, panie B. To szatańsko trudna zagadka. Ale na pewno Prowincja nie ma z tym nic wspólnego.

- W razie czego proszę dać mi znać - rzekł Barron.

- Pan będzie pierwszy, któremu przekażę ewentualną informację. Czyż nie działamy zawsze w duchu szczerzej współpracy?

- Działamy - odparł Barron. -1 chciałbym, żeby tak pozostało.

Odłożył słuchawkę. Odczekał kilka sekund i wykręcił następny numer do Irlandii Północnej, tym razem do Derry. Telefon zadzwonił kilka razy, zanim odebrała kobieta mówiąca, w przeciwieństwie do O'Neill, akcentem miękkim i soczystym. Barron znał ją jako Sophie McGuire, lecz było to tylko nom de guerre. Ta wdowa w średnim wieku z gromadką małych wnuków wiodła na pozór nudne życie w jednym z szeregu przysadzistych domów wzniesionych w pobliżu centrum miasteczka. Tylko dzięki temu przez tyle lat nie ściągnęła na siebie uwagi sił bezpieczeństwa Ulsteru. Dumnie paradowała z wnukami po ulicach, w niedzielę obowiązkowo chodziła do kościoła prezbiteriańskiego, we wtorki grywała w bingo i regularnie płaciła datki na manifestacje pokojowe. Raz nawet z wieńcem kwiatów i ponurym spojrzeniem przejechała Pociągiem Pokoju z Dublina do Belfastu. Barron uważał jej kamuflaż za idealny.

- Domyślałam się, że pan zadzwoni - powiedziała. - Powiem wprost. Nikt z nas nie ma nic wspólnego z tą rozróbą w Londynie. Gdybym coś wiedziała, powiedziałabym. W innej sytuacji podejrzewałabym Provos, bo to barbarzyństwo w ich stylu. Ale nie teraz. Nie tym razem. Nie mam bladego pojęcia, kto może za tym stać. Nie sądzę też, żeby pan znalazł jakąś odpowiedź w Ulsterze.

Barron rzucił okiem na diody migające na mapie. Patrząc na światełka, poczuł pewien niepokój -jeśli za zamachem w metrze nie stali Irlandczycy, to miał do czynienia z zagadką, która ani trochę mu się nie podobała. Zawsze chlubił się swobodnym dostępem do tajnych informacji z całego świata, a teraz stało się coś za jego plecami i czuł się odcięty od wydarzeń.

- Chyba musi pan rozpocząć poszukiwania w innych kręgach niż zazwyczaj - powiedziała Sophie McGuire. - Tu w grę wchodzi ktoś nieznajomy. Nic więcej nie mam do powiedzenia.

Barron westchnął. Inne kręgi niż zazwyczaj. Zdawał sobie sprawę z niepewnej sytuacji w Ulsterze. Zmasowana akcja powstrzymania walk prowadzona przez Scotland Yard, Królewską Policję Ulsteru i Wywiad Armii Brytyjskiej może zostać wstrzymana. Do śledztwa w sprawie wybuchu mogą być włączone wszystkie te organizacje. Kto wie, co zrobią i co poświęcą w imię własnych interesów i chęci przetrwania? Barron długo i ciężko pracował w Ulsterze. Jego przyszłe interesy w Prowincji zależały od delikatnej równowagi w tamtych stronach.

- To mógł być jakiś samotnik - mówiła kobieta. - Jakiś zidiociały morderca, którego tożsamości nigdy nie poznamy. Jakaś wredna mysz, która wróci pod miotłę i zniknie z oczu.

- Możliwe - rzekł Barron. Odłożył słuchawkę. Zamknął gabinet i wrócił do sypialni, gdzie kobieta czytała w łóżku gazetę. Gdy Barron wszedł, podniosła wzrok.

- I co? - zapytała.

- Nic - wzruszył ramionami.

- Biedny Tobias. Nie lubisz sytuacji, kiedy czegoś nie wiesz, prawda? Zawsze wolisz być doskonale poinformowany, no nie? Najlepiej, żebyś wszystko wiedział z góry. A niejasności po prostu nienawidzisz. Zgadłam?

Barron usiadł na łóżku. Jeżeli, jak twierdzi Sophie, masakry pociągu dokonał szalony samotnik, to szansę na odkrycie jego tożsamości wydają się niewielkie. W takim wypadku pocieszenie stanowiłby fakt, że nie zawiodła jego prywatna sieć informacyjna. Niemniej jednak myśl o tragedii w metrze nie dawała mu spokoju.

- Piszą, że do śledztwa w sprawie zamachu bombowego przydzielono niejakiego Franka Pagana - powiedziała, podsuwając mu gazetę

- Frank Pagan? - nie wziął gazety do ręki. - Chyba ma reputację wytrwałego i dociekliwego.

Kobieta nie odpowiedziała. Obróciła się na bok, sięgnęła po zapalniczkę i zapaliła świeczkę. Barron poczuł na całym ciele napięcie; przysunął się ostrożnie i przyciągnął do siebie jej głowę; gazety zsunęły się z łóżka i spadły na podłogę, a wraz z nimi odleciał cały świat, łącznie z zamachem bombowym w londyńskim metrze, i nie pozostało nic prócz pokoju oświetlonego małym, spokojnym płomieniem świecy.

Londyn

Pchany niecierpliwością i nękaną wizją tunelu Pagan włożył płaszcz i wyszedł z mieszkania. Zabrał ze sobą butelkę ginu gordon's kupioną w bezcłowym sklepie w Dublinie i wsiadł do camaro. Jego fascynacja amerykańskimi samochodami sięgała czasów, gdy na kiepskim filmie o zapomnianym tytule zobaczył Elvisa Presleya jadącego długim, czerwonym cadillakiem.

Zanim samochód zapalił, Pagan musiał kilka razy przekręcić kluczyk w stacyjce, a potem ruszył wzdłuż Holland Park. Jadąc bocznymi uliczkami w stronę Battersea, zastanawiał się nad upadkiem niektórych dzielnic. Przyglądał się rzędem pięknych starych domów, pokrytych gdzieś graffiti, z których większości nie rozumiał, bo młodzi gniewni sprayowcy posługiwali się językiem hermetycznym. Narożne były obskurne i odstręczające.

Niektóre domy - z zamkniętymi okiennicami, zapuszczonymi ogródkami i stertami śmieci -

wyglądały na opuszczone. Grupki dzieci bawiły się w posępnych skwerkach, nie będących niczym więcej jak kępami drzew zasadzonymi między kilkoma betonowymi płytami. Co będzie dalej ze starym, dobrym London Town? Dzielnicą ta przypominała starą, zaniedbaną i ubogą wdowę w zaśniedziałej koronie.

Zaparkował w zaśmieconym zaułku, niedaleko domów, w których miały siedziby różne firmy, czasami podejrzanej konduity. Na pobliski zakład mechaniki samochodowej przez ostatnie trzy lata co najmniej dwukrotnie robiono nalot, gdyż przemalowywano w nim kradzione samochody. Mieściła się tutaj także znana Paganowi drukarnia fałszująca dokumenty. Okien w domach broniły żelazne

okiennice. Minał puszki ze śmieciami, zaparkowane samochody i po kilku metrach dotarł do drzwi z napisem „Znaczki pocztowe.

Kupno - sprzedaż". Nacisnął dzwonek i po chwili usłyszał szuranie stóp. Drzwi uchyliły się zaledwie na kilka cali.

Zobaczył przed sobą przypominającą zjawę kobietę w rozpinanym swetrze i spódnicy w szkocką kratę z nieokreślonej tkaniny. Miała surową minę i dziwnie wykrzywione wargi, jak gdyby kiedyś otrzymała w nie silny cios.

- Czy macie znaczki z Kajmanów? Interesuje mnie też Egipt z podobizną króla Faruka z czasów, gdy był u szczytu swej tuszy. Kobieta roześmiała się.

- Mam parę interesujących egzemplarzy z okresu panowania Imperium Brytyjskiego w Indiach, panie Pagan.

Wszedł do pomieszczenia pełnego brudnych szklanych gablot z celofanowymi pakietami znaczków pocztowych przedstawiających kolorowe motyle, ptaki i żuki. Gdzeniegdzie pojawiały się pojedyncze trójkątne egzemplarze pochodzące z nie istniejących już państw.

Zza celofanu wyglądały głowy zmarłych monarchów i obalonych despotów - szacha perskiego, generała Franco, Stalina i Hitlera. Na jednej z gablot stała nie dopita szklanka z alkoholem.

- Pracowałam dzisiaj na noc - odezwała się kobieta. Podniosła szklankę i napiła się brązowego płynu. - Napije się pan, panie Pagan?

- Przyniosłem dla pani prezent. - Wyjął z kieszeni płaszcz butelkę ginu.

- Ależ pan jest wspaniałomyślny. - Kobieta przyjęła butelkę, natychmiast otworzyła i rozlała do dwóch szklanek. Jedną podała Paga-nowi, a on przyjął ją niechętnie, ponieważ gin, zwłaszcza czysty, nie należał do jego ulubionych trunków. Niemniej jednak napił się.

- Na zdrowie - powiedział. - Jest w domu druga połowa?

- Zdaje się, że drzemie przed telewizorem. - Kobieta podeszła do drzwi, otworzyła je i krzyknęła: - Freddie! Freddie! Mamy gościa!

W drzwiach pojawił się mężczyzna w luźnych spodniach na staromodnym, skórzanym pasku. Był nie ogolony, a gęste włosy miał potargane. Wyglądał na człowieka, który zapadł w sen sto lat temu i teraz po obudzeniu dziwi się na widok świata.

- Właśnie mi się śniło - odezwał się do Pagana - że odkryłem tajemną recepturę alchemiczną. Długo to trwało, ale byłem już tak bli-dziuteńko - pokazał dłonią. - Już taki brodaty facet miał mi pokazać, jak się zamienia ołów w złoto, gdy nagle się obudziłem.

- Co za brodaty facet? - zapytał Pagan.

- Przypuszczam, że jakiś mędrzec. - Freddie poprawił pasek. Miał na sobie stary bezrękawnik w serek.

- Jemu ciągle coś się śni - powiedziała kobieta, popijając gin. - Czasami wygrywa na wyścigach konnych, czasami w totalizatora piłkarskiego, ale zawsze budzi się w najważniejszym momencie.

Freddie ruszył w kierunku Pagana, lecz w tej samej chwili przyciągnęła jego uwagę butelka ginu.

- Zdawało mi się, że jest pan na urlopie okolicznościowym, panie Pagan.

- Zmiana planów. - Z jakichś dziwnych powodów Pagan bardzo lubił Freddiego i Wilnę Scarfe'ów, pomimo ich flirtów z przestępczym światem. Być może darzył ich sympatią dlatego, że jak na przestępców byli parą niezwykłą. Nie mieli nic wspólnego ze stosowaniem przemocy, a gdy popełniali przestępstwo, to zawsze w niewinny sposób i tak, żeby nie obciążyć siebie winą. Przywłaszczenie cudzej własności wyglądało w ich wykonaniu na zaopiekowanie się daną rzeczą w jak najlepszej wierze i nigdy nie mieli pojęcia, że sprzedawane przez nich znaczki są fałszywe.

- Prawda, że to miło ze strony pana Pagana, że wpadł do nas z butelczyną? - zapytała Wilma, pokazując gin.

- Królu złoty - rzekł Freddie, nalewając sobie do szklanki sporą porcję trunku. Tręcili się z Paganem.
- Proszę nie mówić, po co pan przyszedł. Sam zgadnę.

- Nie będzie trudno - odrzekł Pagan. Wilma Scarfe smutno pokręciła głową.

- Straszna sprawa z tymi biedakami w metrze. W dzisiejszych czasach strach wyjść na ulicę.

Przeglądając znaczki, Pagan przechadzał się po pokoju. W powietrzu unosił się mdlący zapach, jakby rozkładała się ślina wszystkich tych, którzy kiedykolwiek te znaczki lizali.

- Jak tam interesy? - zapytał, popijając gin.

- Znaczki ciężko schodzą - rzekł Freddie i podniósł butelkę, żeby obejrzeć naklejkę.

- Filatelistyka to hobby na wymarcu - rzekła Wilma. - Dzisiaj, panie Pagan, królują gry wideo. Pip, pip, trach. Nieroby ślęczą przed monitorami. Ciekawe, dlaczego nie ślępną przed dwudziestką? •

- Słyszałeś coś? - zapytał Pagan. Freddie podrapał się w brodę.

- Ech, panie Pagan, przecież dobrze pan wie, że to nie moja działka.

- Ale masz oczy i uszy otwarte. - Pagan oparł się o ścianę i założył ręce na piersiach. -

Usłyszysz każdy szmer w płucach.

- To już nie te czasy - odparł Freddie. Sięgnął po butelkę, dolał ginu Paganowi, żonie, a na końcu sobie.

- Freddie, daj spokój, przed tobą stoi zdesperowany facet. Nie słyszałeś nic ciekawego?

Może ktoś rozpytywał o semtex? Albo o inne materiały wybuchowe? Może o detonatory?

Freddie nachylił się i wyjął z gabloty kilka bloków filatelistycznych. Jeden znaczek wysunął się i upadł na podłogę, a Freddie schylił się i podniósł go.

- Południowa Rodezja - powiedział w zadumie. - Księżniczki Elżbieta i Małgorzata podczas królewskiej podróży w 1947 roku. Wówczas były to piękne młode dziewczyny. A teraz? Cała ta cholerna monarchia to jeden wielki skandal.

- Nie przyszedłem tutaj gawędzić o monarchii - powiedział Pagan. Na ten temat Scarfe'owie, gdyby im nie przerywać, potrafili rozprawiać całymi godzinami.

- Pańskie pokolenie inaczej patrzy na te sprawy - rzekł Freddie. -Kwestia monarchii przestała mieć dla was tak wielkie znaczenie.

- Bez obrazy, Freddie, ale prawdę mówiąc, gówno mnie to wszystko obchodzi.

- Co za czasy. - Dłuższą chwilę patrzył na Pagana w taki sposób, jakby nagle zapomniał o jego nazwisku i wykonywanym zawodzie. Na moment popadł w głęboką zadumę. Dokończył

drinka i ruszył w kierunku butelki.

- No, no - odezwała się Wilma marszcząc brwi - tylko żebyś nie przedobrzył.

- Czy nie można nawet wypić kielicha z przyjacielem? - Freddie mrugnął do Pagana. Znów nalał sobie ginu. Pagan z przerażeniem stwierdził, że tym razem po same brzegi szklanki.

- Zdrówko - rzekł Freddie. - Jakies trzy tygodnie temu facet szukał semtexu. Chyba jakiś Arab. Nic więcej nie słyszałem, nie mogę też powiedzieć, od kogo to wiem.

- Znalazł? - zapytał Pagan.

- Nie sędzę. Ale to nic pewnego. Czasem człowiek pozna początek historii, a już zakończenie do niego nie dotrze. Sam pan rozumie, panie Pagan.

- A co z Irlandczykami? Wiesz coś na ten temat?

- Irlandczycy nie muszą szukać semtexu w Londynie, no nie? Mogą go mieć z wielu innych miejsc.

- Słyszałeś jeszcze coś? - Pagan czekał cierpliwie, ponieważ czasami długo trwało, zanim Freddie pogrzebał w pamięci. Spojrzał na szklankę i zdał sobie sprawę, że wypił trochę więcej niż zamierzał. Gin od razu uderzał mu do głowy.

- Chodzą plotki, że to podobno ktoś z zagranicy.

- Z zagranicy, ale skąd dokładnie? Freddie wzruszył ramionami.

- Samo „z zagranicy” może znaczyć wszystko - rzekł Pagan.

- Przecież mówię, że to tylko plotki. I to bardzo ciche, prawie niedosłyszalne.

- I to już koniec? O niczym więcej nie wiesz?

- O niczym.

- A o tym Arabie?

- Słyszałem tylko, że szuka materiałów wybuchowych. Ale sam pan wie, że nie we wszystkie informacje można wierzyć.

Pagan poczuł się osaczony przez ludzi siejących plotki i pogłoski. Palestyńczyk pyta o materiały wybuchowe? Tego typu rozmowa mogła się odbyć w jakimś pubie tuż przed zamknięciem, gdy ktoś po jednym głębszym poczuł się bohaterem. Potrzebuję semtexu. Czy ktoś może mi pomóc? Marzyciele o skorodowanych pragnieniach nabierają odwagi po pijanemu, a ich deklaracje częściej kończą się kacem i awanturą z żoną niż zamachem.

- A więc nic z tego - powiedział, przechadzając się między gablotami. Opróżnił do końca szklankę i odstawił ją. Czuł już pewne otępienie i szumek w głowie, które miną po wyjściu na świeże powietrze.

- Może pan być pewien, że będę czujny. Jeszcze drinka? Wilma Scarfe wyrwała Freddiemu z ręki butelkę.

- Już masz dosyć.

- Jeszcze tylko jednego. Wilma pokręciła głową.

- Nigdy nie wyjdiesz z tego dołka. Idąc do drzwi, Pagan obejrzał się.

- Dlaczego nie założycie sobie tutaj telefonu?

- Boimy się podsłuchu - rzekł Freddie. - Zawsze bezpieczniej dzwonić z budki.

Pagan wzruszył ramionami, wyszedł i skierował się do samochodu. Miał w Londynie jeszcze wiele wtyczek, ale Freddie i Wilma Scarfe'owie zazwyczaj byli poinformowani najlepiej. Jaki sens tłuc się przez pół miasta tylko po to, żeby dowiedzieć się o istnieniu jakiegoś tajemniczego nieznanego poszukującego materiałów wybuchowych? Poza tym ładunek użyty w metrze nie został jeszcze zidentyfikowany i na dobrą sprawę nie wiadomo nawet, czego szukać. Był jak gracz mający na ręce karty o nie oznakowanych wartościach.

Dojechał do bulwaru Embankment, zaparkował samochód i wysiadł. Zimowe powietrze orzeźwiło go nieco, ale i tak czuł, że jeszcze nie doszedł do siebie. Znalazł budkę telefoniczną, wykręcił numer

na Golden Square i poprosił Foxwortha.

- Jest coś ciekawego? - zapytał.

Foxie odrzekł, że nie otrzymał żadnych nowych wiadomości.

- Będę teraz u siebie w domu - powiedział Pagan. - Obudź mnie o szóstej rano. Gdyby coś wydarzyło się do tego czasu, wiesz, co robić.

- Nic ci nie jest?

- Nie. Dlaczego?

- Masz taki wesoły głos.

Pagan odparł, że wcale nie jest mu do śmiechu, i odłożył słuchawkę. Przeszedł kilka kroków. Spojrzał na Tamizę i obserwował przez chwilę zimną wodę zmierzającą w stronę mostu Tower. Pomyślał, że poznać tożsamość zamachowca będzie równie łatwo, jak odnaleźć przedmiot rzucony w czarne odmęty rzeki płynącej do morza.

Odwrócił się i, idąc w kierunku camaro, zauważył samochód mknący bulwarem z nadmierną prędkością po niedozwolonej stronie jezdni. Wypadek był nieunikniony. Gdy -

odrobinę za późno - kierowca zdecydował się zmniejszyć prędkość, Pagan usłyszał pisk hamulców i po chwili rozległ się przykry odgłos rozbijanego szkła i zgrzyt metalu. Biały samochód uderzył w bok camaro. Boże drogi, pomyślał Pagan i ruszył biegiem, jednocześnie starając się oszacować uszkodzenia. Z drzwi po stronie pasażera wysiadła młoda kobieta i z przerażeniem spoglądała na kolizję.

- Cholera jasna, cholera jasna - powtarzała. Spojrzała na Pagana, który oglądał szkody.

Chromowana kratka camaro była wgnieciona, tylne światło rozbite, a na bagażniku uszkodzony lakier.

- Czy pani nie widzi, gdzie jedzie, do diabła ciężkiego? - odezwał się Pagan. Urwana z jednej strony tablica rejestracyjna kołysała się wahadłowym ruchem. Pagan podniósł resztki czerwonego szkiełka i położył sobie na dłoni. - Wyleciała pani z za zakrętu, jak... - Wstał i mimo rozdrażnienia starał się zapanować nad złością. To tylko samochód, myślał, to nie życie ludzkie, tylko zlepek gumy, drutu i polakierowanego metalu. Jednakże od wielu lat był bardzo przywiązany do swego wozu. Odnawiał go, reperował, poświęcał mu wiele uwagi i czuł, że choć to trochę śmieszne, samochód zastępuje mu prawdziwy kontakt z innym człowiekiem.

Niemniej jednak...

- Bardzo mi przykro, przepraszam bardzo. Trochę za szybko wjechałam w zakręt, a w dodatku nie jestem przyzwyczajona do tej cholernej jazdy lewą stroną - mówiła roztrzęsiona kobieta. - Prawie na całym świecie jeździ się prawą stroną, tylko w tym kraju... - Mówiła z amerykańskim akcentem, lecz

Pagan potrafił tylko ogólnie stwierdzić, że pochodzi gdzieś ze wschodniego wybrzeża, z Connecticut. -W każdym razie nic wielkiego się nie stało. Kilka nowych świateł, trochę pracy przy kratce i trochę klepania na bagażniku. Natomiast mój samochód... - wskazała ręką forda escorta, z którego buchały kłęby pary. - Zdaje się, że poszła chłodnica.

Pagan podszedł do escorta. Maskę była lekko uszkodzona, a z chłodnicy wydobywało się złowieszcze syczenie. Rozgania wiatrem znad Tamizy para otaczała prawie cały samochód.

- Zakład ubezpieczeniowy pokryje koszty naprawy. Jeśli o to chodzi, pan nic na tym nie straci.

- To dla mnie żaden problem. - Podniósł głowę i pomimo słabego światła po raz pierwszy zobaczył ją wyraźnie. Z jasnobłond włosami uroczo kontrastowały ciemnopiwe oczy.

Okolona zaczesanymi do tyłu włosami twarz odznaczała się delikatną strukturą kostną, spotykaną czasem u baletnic. Dziewczyna prawie wcale nie miała makijażu, a jeśli miała - to niewidoczny. Jediną jej biżuterię stanowił cieniutki srebrny łańcuszek na szyi.

- Naprawdę bardzo mi przykro. Domyślam się, że ten samochód wiele dla pana znaczy. Na swoją obronę mogę powiedzieć tylko tyle, że po wyjechaniu z zakrętu byłam zupełnie zdezorientowana. Instynktownie zjechałam na prawy pas. Typowe dla amerykańskich turystów, co? Nie powinno się wypuszczać nas z kraju, prawda? Nie powinniśmy dostawać paszportów.

Pagan położył dłoń na boku camaro, jakby chciał pocieszyć zranionego konia. Dziewczyna podeszła trochę bliżej i obejrzała samochód.

- Który to rocznik? Sześćdziesiąty trzeci?

- Sześćdziesiąty drugi. Egzemplarz kolekcjonerski.

- Podam panu numer polisy - powiedziała. - Ten ford jest wynajęty, ale w pełni ubezpieczony. Nie wiem, jakie tu panują zwyczaje, ale chyba powinniśmy wymienić adresy.

A może trzeba zadzwonić po policję, żeby spisali protokół zajścia?

Pagan wyjął portfel i pokazał dziewczynie legitymację Oddziału Specjalnego.

- O kurczę, tylko nie to. Więc pan jest gliniarzem? Zakuje mnie pan i wsadzi za piractwo drogowe?

- Właśnie coś takiego mnie kusi - odrzekł.

Milcząc przez chwilę, spoglądała w kierunku rzeki. Zobaczył w jej oczach autentyczne zmartwienie. Dłonią w rękawiczce otarła usta i odwróciła się do Pagana.

- No i co teraz? Mam sobie poszukać adwokata?

- Adwokata? Boże uchroni - powiedział Pagan. Według niego prawnicy siedzieli w tym samym bagnie co politycy. - Zrobimy tak jak pani mówi. Wymienimy się polisami, a protokół

spiszę sam.

- A co potem?

- Resztą zajmą się firmy ubezpieczeniowe.

- To wszystko? Nie zaniknie mnie pan za niebezpieczną jazdę?

- Zrobiła pani błąd i tyle.

- Jest pan bardzo wyrozumiały.

- W naszej gospodarce turystyka odgrywa ważną rolę - rzekł Pagan, próbując rozładować sytuację, chociaż myślami cały czas był przy wgnieceniu bagażnika, które traktował jak ranę.

Z maski od-stawały płatki czerwonego lakieru. Pamiętaj, że to tylko samochód, a sam w życiu przecierpiałeś więcej niż ta rozbita karoseria. Samochód można naprawić, a człowiekowi nikt nie przywróci życia.

- Pani też musi się udać do mechanika - powiedział. - Ten samochód raczej daleko nie zajędzie.

Spojrzała na wciąż syczącego escorta i wzruszyła ramionami.

- Zadzwoń do wypożyczalni samochodów i chyba dadzą mi w zamian jakiś inny.

- To może trochę potrwać, a czekać w tym miejscu nie byłoby zbyt bezpiecznie. Dokąd pani jechała, zanim postanowiła pani staranować mojego camaro?

- To chyba niezbyt trafne określenie - powiedziała. - Mam pokój wynajęty w Hiltonie przy Park Lane.

- Podrzucę panią.

- Nie trzeba...

Pagan otworzył drzwi i przekręcił kluczyk w stacyjce. Samochód zapalił od razu.

Dziewczyna zamknęła escorta i usiadła na fotelu dla pasażera.

- Wie pan, teraz jeszcze bardziej będę czuła się winna. Zawsze wykazuje się pan taką tolerancją i uprzejmością?

- Nie, zazwyczaj jest ze mnie kawał sukinsyna.

Siedząc z dłońmi na kolanach, wpatrywała się przed siebie.

- Rozumiem. Jest pan takim policjantem zwanym w Anglii „bob-by”?

- Niezupełnie. Oszczędzono mi wstydu paradowania w mundurze. Moją specjalnością jest antyterroryzm. Łapię szaleńców z bombami i przeróżnymi innymi ładunkami wybuchowymi.

Są to przeważnie ludzie zwariowani na tle politycznym.

- Niebezpieczna robota.

- Owszem, różnie bywa.

Skręcili na Trafalgar Square i minęli zgromadzoną pod kolumną Nelsona grupkę pijaków.

Przypominali spiskowców, którzy zapomnieli powodów swego spotkania i kręcą się teraz bez celu w poszukiwaniu trzeźwego mówcy.

- Nie zauważyłam na tej imponującej legitymacji... Jak się pan nazywa?

- Frank Pagan. - Samochód wypełnił się wonią jej perfum o delikatnej, ledwie uchwytej cynamonowej nucie.

- Pagan - powtórzyła. - Ja jestem Brennan.

- To twoje imię?

- Ja go sobie nie wybierałam. Dostałam takie przy urodzeniu.

Pagan wsłuchiwał się w pracę silnika. Wydawało mu się, że z tyłu dochodzi inne niż zazwyczaj drżenie. Straszne. Znowu w tym gracie coś się psuje. Na Park Lane zaparkował

możliwie najbliżej hotelu Hilton. Dziewczyna otworzyła drzwi.

- Jedyne, co mogę dla ciebie zrobić, to zaprosić cię na drinka - powiedziała.

Pagan zawahał się. Być może przydałoby mu się czyjeś towarzystwo? Być może potrzebuje wyrwać się na chwilę z samotności i pooddychać innym powietrzem niż smród tunelu metra?

- Chodźmy - dodała, wysiadając z samochodu.

Idąc za nią, Pagan zadumał się nad nagłą zmianą planów na wieczór. Weszli razem do holu i skierowali się do baru. Dziewczyna zdjęła płaszcz, szalik i rękawiczki, a potem powiesiła wszystko na krześle. Miała na sobie czarną, krótką jedwabną sukienkę.

Pagan spojrzał na rozjaśnione barowym światłem doskonałe rysy jej twarzy. Zniknęła gdzieś delikatność, którą dostrzegł na bulwarze, i dziewczyna wydała mu się nagle osobą silną i zdecydowaną. Zauważył pewne cechy świadczące o jej uporze, a nawet zawziętości, lecz wrażenie to łagodził wesoły błysk w oczach.

- Czego się napijesz? - zapytała.

- Chcesz zagrać kelnerkę?

- To moja specjalność.

- Szkocką z wodą sodową. Bez lodu.

Obserwował, z jaką swobodą i gracją dziewczyna idzie do baru. Zaciekawilo go, ile może mieć lat. Dwadzieścia? Może dwadzieścia jeden? Byłaby więc o z górą połowę od niego młodsza. Uświadamiając sobie tak smutny fakt, człowiek zawsze zaczyna się głowić, co przez te wszystkie lata robił z czasem. Cudza młodość może budzić przerażenie. Zastanawiał się, kogo ta dziewczyna widzi, patrząc na niego. Lniany garnitur, pognieciona niebieska koszula, szpakowate włosy i nie ogolona twarz. Typowy przykład gościa, do którego nie można mieć zaufania.

Dziewczyna wróciła z dwoma drinkami. Podała mu szkocką z wodą sodową, usiadła przy stoliku i uniosła kieliszek z wódką.

- Na zdrowie.

- Co cię sprowadza do Londynu? - zapytał. Był do niczego, gdy przychodziło prowadzić luźną pogawędkę. Nienawidził przyjęć i źle się czuł, prowadząc wymuszone konwersacje.

- To ostatni etap mojej podróży. Całe życie marzyłam o obejrzeniu Europy. Pałac dożów w Wenecji, katedra Notre Dame i Monte Carlo, bo uwielbiam grać, chociaż zazwyczaj nie dopisuje mi szczęście. Poza tym zawsze chciałam zobaczyć Londyn.

- Podróżujesz sama?

- Cóż w tym dziwnego?

Pokręcił głową i pociągnął łyk ze szklanki. Na moment zapadła cisza.

- Jesteś Amerykanką?

- Tak, mieszkam w Nowym Jorku. Znasz to miasto?

- Trochę.

- Prowadzę firmę gastronomiczną na Manhattanie. Przeważnie organizuję prywatne przyjęcia z okazji ślubów i uroczystości barmicwy. Mam też paru stałych klientów z Wall Street, którzy urządzają długie lunche dla swych najlepszych kontrahentów. Oni wcale nie zauważyli recesji.

- Paszteciki z drobiu i jaja na ostro dla bogaczy - rzekł Pagan.

- Może jeszcze koreczki na wykałaczkach? - roześmiała się melodyjnym głosem. - Mylisz się na całej linii. Nasi klienci preferują amerykańską kuchnię.

- Czyli jaką? Pasztet z grzechotnika i dżem z kaktusów?

- Przestań się nabijać. My serwujemy dania dla dbających o zdrowie Amerykanów. Dla ludzi uprawiających jogging. Jeśli mięso, to białe i chude. Sałatki komponowane przez dietetyków takich jak Radicchio, Arugula, Mache. Furorę robią kiełki mniszka. Czemu się śmiejesz? Bawi cię mój zawód?

Pagan wzruszył ramionami.

- Jakoś nie mogę sobie ciebie wyobrazić w kuchni przy siekaniu zieleniny. Nie widzę cię w fartuchu przy zrywaniu liści z łądyg.

- Dlaczego?

- Właściwie dokładnie nie wiem. Piękna młoda dama w czarnej jedwabnej sukni przy stoliku w Monte Carlo kłóci się z kobietą w fartuchu. To spory kontrast.

Przez chwilę przyglądała mu się, jak gdyby chciała go zaklasyfikować do jakiejś kategorii.

- Pozwól, że ja zgadnę. Należysz do staromodnych facetów, lubiących, gdy wszystko jest jasne i nieskomplikowane, zgadza się? Według ciebie kobieta pracująca w domu przy garach nie powinna się włóczyć samopas po Europie. Mam rację?

- Ja czegoś takiego nie powiedziałem.

- W takim razie nie wiem, co powiedziałeś.

- Że jestem po prostu zaskoczony.

- Niby czym? Pracuję na własną rękę i na własną rękę odpoczywam.

Patrząc na nią, zdał sobie sprawę, że całkowicie pomylił się w jej ocenie. Dobry Boże, czyżbym zupełnie zatracił wyobraźnię przez sześć tygodni przebywania sam na sam ze sobą?

Co się ze mną dzieje? Staromodny facet? To by oznaczało zramolenie i przedwczesną starość.

Przecież wcale taki nie jestem. Pagan, musisz stać się bardziej otwarty na życie.

- W każdym razie - spojrzała na swój kieliszek - odciągam cię od jakichś zajęć. Pewnie spieszyles się do domu, gdy cię stuknęłam. Nie musisz nikogo uprzedzić, że się spóźnisz?

Pagan pokręcił głową.

- Nie muszę. - Przez chwilę milczał, a potem nie wiadomo skąd poczuł nagłą potrzebę dodania kilku słów. - Moja żona nie żyje.

- Och, tak mi przykro.

- Stare dzieje. Przestałem się już tym przejmować. - Zastanawiał się, czy kłamstwo wypadło

przekonywająco. Z biegiem czasu z niezrozumiałych powodów myślał o Roxanne coraz częściej. Być może to właśnie nigdy nie przemijająca żaloba wywołuje uczucie ciągłego braku, które pobudza człowieka do życia i działania.

- Frank, przepraszam za to pytanie.

- Została zamordowana w zamachu bombowym pod Harrodsem. - Napił się whisky. - IRA urządziła prezent gwiazdkowy.

- O Boże. - Ujął go głęboki smutek w jej głosie.

- Tak to z życiem bywa - stwierdził. - Trzeba brać, co daje. Czasem dobro, a czasem zło.

Różne rzeczy zdarzają się na świecie i niewielki mamy na nie wpływ. A życie toczy się dalej...

Odwróciła głowę. Nie widział jej twarzy, a gdy znów na niego spojrzała, dostrzegł w jej oczach łzy.

- Nie chciałem cię zasmucić.

- To tylko... - Nie kończąc zdania, podniosła kieliszek do ust i napiła się. - Czasami się rozklejam. A wszystko dlatego, że nienawidzę tragedii, nie znoszę bezsensownych, niepotrzebnych śmierci. Na cukiernice zabieram chusteczki higieniczne i w niektórych momentach płaczę jak bóbr. Taką mam już wadę.

- Według mnie to wcale nie wada.

- Naprawdę? Skinął głową.

- Na świecie jest pełno twardzieli. A przecież nie ma nic złego w byciu sentymentalnym.

- Niektórzy uważają tę cechę za oznakę słabości. - Nachyliła się nad stołem i uściśniła go za dłoń. - Przykro mi z powodu twojej żony. - Uścisk nie trwał długo, ale pozostawił uczucie nagłej, niespodziewanej intymności. Pagan nie potrafił sobie przypomnieć, kiedy poprzednio dotykała go jakaś kobieta. Ostatnio szedł przez życie samotnie. Kilka razy wdawał się w różne związki, lecz żaden z nich nie przyniósł mu satysfakcji. Każdy z tych romansów - o ile to stosowne słowo - od samego początku zawierał w sobie ziarno samodestrukcji.

- Napijesz się jeszcze? - zapytała, dopiwszy wódkę.

- Nie, dziękuję, powinienem już iść - rzekł. W jego głosie brakowało stanowczości i zastanawiał się, czy ona to zauważyła. Nagle niczym gęsta mgła spłynęła na niego melancholia i poczuł, że nie ma ochoty zostać sam. Popatrzyli sobie w oczy, zmniejszając w ten sposób dzielącą ich fizyczną przestrzeń. Pagan przeniósł wzrok na szklaneczkę z drinkiem i kontakt wzrokowy został zerwany.

- W każdym razie jeszcze raz dziękuję za wyrozumiałość w sprawie wypadku i przepraszam. Postąpiłeś bardzo szlachetnie.

Bardzo szlachetnie, pomyślał. Rzadko słyszał skierowane do siebie te słowa. Czasami potrafił miło się zachować, starał się nie być złośliwy, ale szlachetne postępowanie kojarzyło mu się tylko ze starymi kobietami wysyłającymi pieniądze dla biednych dzieci z państw Trzeciego Świata.

Dziewczyna wstała od stolika.

- Pójdę już spać.

- Właśnie zdałem sobie sprawę, że nie powiedziałaś mi, jak się nazywasz? - powiedział.

- Carberry.

- A więc Brennan Carberry. Ładnie brzmi.

- Tak myślisz? Zawsze wydawało mi się, że bardziej pasowałoby to do mężczyzny. Sama nie wiem, chyba za dużo tu „r” i brzmi trochę za twardo. - Przerzuciła włosy na jedną stronę twarzy. Pagan odstawił szklaneczkę. Doszedł do punktu, w którym było trudno mu się zebrać do wyjścia. Wstał z krzesła dziwnie przygnębiony.

- Ile czasu będziesz jeszcze w Londynie? - zapytał. Chyba jestem trochę za szybki, pomyślał. Jednak czasami samotność, której przez ostatnie tygodnie miał już trochę za dużo, potrafi złamać najtwardsze zasady.

- Czemu pytasz?

- Nie mogę pozwolić, żebyś jeżdżąc samochodem, stanowiła zagrożenie na ulicach Londynu. Jeśli zostaniesz w mieście jeszcze na kilka dni, to dam ci swój numer telefonu i jak będziesz miała ochotę - zadzwoń. Może uda nam się gdzieś razem wyskoczyć. Oczywiście pod warunkiem, że ja prowadzę.

- Jasne. Zgadzam się - odpowiedziała.

Zapisał swój numer telefonu na pudełku zapalek. Odprowadziła go do wyjścia; przed drzwiami obydwójce poczuli się niezręcznie. Przez moment Pagan miał wrażenie, że dziewczyna podniesie głowę i pocałuje go w policzek. Ona jednak wyciągnęła rękę i skończyło się tylko na uścisku dłoni. Doszedł potem do wniosku, że myśląc o pocałunku, zatracił poczucie proporcji i zbyt wiele wyobraził sobie po jednym krótkim spotkaniu.

Wyszedł do holu z rękami w kieszeniach.

- Dobranoc - usłyszał.

Ruszył w kierunku wyjścia z hotelu, ale przed drzwiami zatrzymał się i odwrócił.

Dziewczyna jednak jakby się zdematerializowała i w holu było już pusto. Wyszedł na ulicę, spojrzął na nieprzenikniony gąszcz Hyde Parku, a potem wolnym krokiem ruszył w kierunku potłuczonego camaro.

Londyn

Sierżant śledczy Scobie przyglądał się leżącemu na łóżku zwłokom kobiety ze skrępowanymi prześcieradłem rękami i nogami. Rany na jej twarzy pochodziły najprawdopodobniej od nożyczek poniewierających się na dywaniku przy łóżku. Pościel pod ofiarą nasiąkała czerwoną, brązowiejącą krwią. Sądząc po brutalności ciosów, Scobie doszedł

do wniosku, że zabójcą musi być ktoś psychicznie chory. Na pierwszy rzut oka nie dało się określić liczby ran.

Sierżant podniósł głowę i spojrzał na lampkę nocną, gdzie widniały wypisane krwią czerwone litery. Odczytanie słów nie nastęczyło trudności, ponieważ pismo było tak staranne, jakby morderca wiedział, że ma mnóstwo czasu. Scobie próbował wyobrazić sobie wskazujący palec maczany we krwi i przesuwany po powierzchni abażura. Jednakże pewnych rzeczy nie sposób pojąć i pewne sprawy znajdują się poza zasięgiem ludzkiej wyobraźni.

Obok sierżanta stała dziewczyna z jasnym makijażem oraz tak czarnymi i grubo wytuszowanymi rzęsami, że wyglądały jak z zastygłej galarety. Nerwowo paliła papierosa.

- Jak przyszłam, to zastałam ją w takiej pozycji jak teraz - powiedziała. - Tak leżała i dokładnie tak samo wyglądała. O Boże.

- Jak ona się nazywa? - zapytał Scobie.

- Zdaje się, że Andrea Brown. - Strząsnęła przed siebie popiół.

- Zdaje się pani?

- Słabo ją znałam, a używała różnych imion.

- Ale przecież mieszkaliście razem - rzekł Scobie.

- W pewnym sensie tak.

Scobie odszedł od łóżka.

- Albo mieszkaliście razem, albo nie. Innego wyjścia nie ma.

- Powiedziałabym raczej, że dzieliliśmy ze sobą mieszkanie. Wie pan, nie byliśmy sobie bliskie. Nic z tych rzeczy.

- Czy ona ma rodzinę?

- Nie wiem.

Scobie, policjant z dwudziestotrzyletnim stażem, wpatrywał się w przesadny makijaż dziewczyny. Wyglądała w nim jak w masce. Wyjęła z kieszeni dzinsów paczkę papierosów i rozdygotanymi

rękami odpaliła jednego od drugiego. Z cichutkim świstem zaciągnęła się dymem.

- Skąd pochodziła? - zapytał Scobie.

- Nigdy o tym nie opowiadała. Kiedyś tylko wspomniała o Hove, ale nie wiem dokładnie co. Może tam mieszkała, a może nie. Trudno powiedzieć.

- Jest pani jak mała encyklopedia w skrócie.

- Jak ja mam panu w czymś pomóc, skoro nic nie wiem, co? Nigdy nie opowiadała o swojej rodzinie ani o narzeczonych.

Spojrzała na abażur lampy i wstrząsnęła się.

Scobie podszedł do okna i wyjrzał na ulicę. Zobaczył ciemny narożnik ulic na tyłach rozmaitych sklepów i zakładów usługowych. Na chodniku piętrzyły się foliowe worki ze śmieciami. Pomyślał o wybuchu na stacji metra, znajdującej się o pół mili od tego zaniedbanego pokoju. Zbyt dużo przemocy na tym świecie. Kiedy on był dzieckiem, najgorszym przestępstwem było walnięcie pięścią w latarnię, gdy ktoś w sobotę wieczorem wyszedł się załatwić przed pub.

Wrócił do łóżka. Dziewczyna była naga, a nagość zawsze go szokowała. Z jakichś niewytłumaczalnych powodów lepiej znosił widok ubranego trupa. Obnażonym zwłokom brakuje godności, zwłaszcza gdy wyglądają tak przerażająco jak ciało tej biedaczki. W pokoju unosiły się echa tej potwornej zbrodni. Scobie wyobrażał sobie kolejne ciosy nożyczek, rozdierane ciało i całą dzikość tej sceny.

Znów spojrzał na pismo szaleńca pokrywające abażur. Rzecz osobliwa, że nic, co znajdowało się w pokoju, nie miało żadnej logiki.

- Rozumie pani znaczenie tych słów? - zapytał. Błada dziewczyna pokręciła głową.

- Może któremuś z jej klientów odbiło - zasugerowała.

- Klientów? Co pani chce przez to powiedzieć?

- Niech pan nie będzie dzieckiem.

- Coś pani insynuuje?

Czasami w stosunkach z ludźmi Scobie wykazywał się niewinną naiwnością. Położył dziewczynie rękę na ramieniu.

- Moja droga - rzekł. - Potrafię zrozumieć pewne sprawy. Dziewczyna dmuchnęła na niego dymem.

- Ja mam adwokata.

- Podobnie jak połowa ludzi.
- Zadzwoń do niego.
- Proszę bardzo. Nie poruszyła się.
- Teraz wszystko spisujemy czarno na białym, dobrze? - Scobie wyjął notes. - Jak się pani nazywa?
- Czy naprawdę koniecznie musi pan to wiedzieć? Scobie westchnął.
- Prowadzę śledztwo w sprawie morderstwa i muszę wiedzieć wszystko, co tylko się da.
- Sandra - odpowiedziała z ociąganiem dziewczyna.

Nowy Jork

Na Manhattanie grube płatki śniegu migwały w świetle ulicznych latarni. Od strony Syracuse, Albany i Saratoga Springs nadciągała burza. Generał pospiesznie wysiadł z buicka, postawił

kołnierz płaszcza i szybkim krokiem wszedł do budynku na terenie zakładu Tribeca. Kiedyś mieściła się tutaj firma odzieżowa, ale dawno już upadła i przez wiele lat miejsce to pozostawało opuszczone. Później nowy właściciel całkowicie odnowił budynki i tam, gdzie kiedyś terkotały staroświeckie maszyny, a słabo opłacane szwaczki traciły wzrok, teraz we wnętrzach urządzonych z przepychem godnym Południa na ścianach lśniły ceramiczne płytki, a w glinianych doniczkach rosły prawdziwe drzewka palmowe.

Wchodząc do windy, generał otrzepał ze śniegu płaszcz. Nie dopisywał mu humor. Po pierwsze dlatego, że w Stanach Zjednoczonych, będących długoletnim wrogiem jego kraju, czuł się nieswojo i w głębi duszy żywił nadal dawną podejrzliwość. Po drugie, prowadzony biznes nie należał do najprzyjemniejszych, a dobroduszny z natury generał nie miał

przekonania do rzeczy brudnych i złych. W swej długoletniej karierze musiał podejmować bolesne decyzje, skazując na śmierć kobiety i mężczyzn, ponieważ tego wymagał od niego system, jednak choć podpisywał dokumenty i wydawał rozkazy, czasami wydawało mu się, że trzymająca pióro dłoń nie należy już do niego, lecz stała się narzędziem państwa, i to wcale nie on wydaje wyroki śmierci.

Wjechał windą na najwyższe piętro. Gdy otworzyły się drzwi, powitał go radośnie mężczyzna w kraciastym garniturze i czerwonym krawacie. Tak silnie pachniał wodą po goleniu, że było to aż rażące.

- Pan generał Schwarzenbach? Generał skinął głową.

- Proszę tędy.

Długim korytarzem o brzoskwiniowych ścianach przeszli na szklany pomost biegnący do sąsiedniego budynku. Generał zatrzymał się na chwilę, aby spojrzeć z podziwem na panoramę miasta. Widok wydawał mu się cudowny, chociaż oświetlanie nocą wielkich miast uważał za rozrzutność. Jednak

społeczeństwo amerykańskie również w innych kwestiach okazywało marnotrawstwo i wiele powinno się nauczyć na temat skromności.

- Fajny widoczek, co? - zapytał wystrojony mężczyzna.

- Niezwykły - odparł generał.

- Proszę za mną. - Doszli do końca pomostu i minęli drzwi prowadzące ku krótkim schodkom. Na ścianach wisiały realistyczne wizerunki bażantów i kuropatw. Ile musiała kosztować ta renowacja -te wszystkie ceramiczne płytki, freski i szklany pomost?

Generał wiódł oszczędne życie. Nawet w złotych latach swej kariery w Berlinie Wschodnim całymi godzinami liczył grosze, bilansował budżet i zarządzał kontrole. Pewnie teraz powinien już zerwać ze starymi nawykami, lecz człowiekowi trudno odejść od raz utrwalonego sposobu myślenia. Ameryka jest krainą obfitości? Jeśli tak, to zbyt wiele w niej paradoksów. Dlaczego bowiem tak wielu ludzi sypia w kartonowych pudłach? Dlaczego tak często zdarzają się rozboje dla kilku dolarów, a nawet centów?

- Tutaj - rzekł mężczyzna z nieokreślonym uśmiechem. Otworzył drzwi do oślepiająco białego pokoju. Nad kominkiem wisiały białe obrazy, a sterylna biel przypominała generałowi mormoński film o życiu przyszłym, który oglądał podczas wycieczki do Salt Lake City.

Zmrużył oczy, podczas gdy pachnący wodą po goleniu mężczyzna zamknął za nim drzwi i odszedł.

Na białej skórzanej sofie siedział człowiek, którego generał poznał już wcześniej. Nazywał się Saxon i roztaczał wokół siebie aurę dyskretnej megalomanii.

- Dobry wieczór, panie generale. - Wstał z sofy. Miał grube okulary powiększające oczy, przez co wyglądał na wiecznie zaskoczonego.

Generał bez słowa skinął głową. Obwisłe powieki nadawały jego twarzy wyraz zmęczenia.

- Obawiam się, że nasz przyjaciel właściwie nic nie wie - rzekł Saxon. - Przycisnęliśmy go, ale srodze się rozczarowaliśmy. - Zdjął okulary, podniósł je do światła, a potem chuchnął na szkła i pedantycznie przetarł je końcem krawata. - Proszę, niech pan zobaczy sam, panie generale.

Po drugiej stronie pokoju w błyszczącej białą ścianie otworzyły się drzwi. Do środka wszedł mężczyzna w skromnej koszuli i dżinsach oraz trzymający go za ramię potężnie umięśniony osobnik w czarnym podkoszulku. Mężczyzna w dżinsach został zmuszony do zajęcia miejsca na krześle. Miał potargane włosy, granatowe wory pod oczami, a z kącika ust ciekła mu krew. Najwyraźniej był torturowany, i to umiejętnie. Generał długo miał do czynienia z ludźmi posiadającymi talent do zadawania bólu bez pozostawienia trwałych śladów.

- Charlie, możesz nam już powiedzieć, co wiesz o Jacobie Streiku?

- O Boże, przecież powiedziałem już i tobie i temu osiłkowi wszystko, co wiem. Jeśli Streik

wyjechał, to nie zostawił adresu. -W głosie Charliego pobrzmiwała nutka buntu. -

Przecież to absurd jak jasna cholera. Po kiego diabła nasyłacie na mnie tę kupę mięśni, skoro i tak nic wam nie mogę powiedzieć?

- Być może nie wierzymy ci, Charlie - powiedział Saxon.

- Gównu prawda.

- Masz złe nastawienie - stwierdził Saxon. - Wydaje nam się, że byliście sobie ze Streikiem bliscy.

- Jedyne, co o nim wiem, to że ożeniłem się z jego siostrą, która okazała się chodzącą katastrofą. Święty by z nią nie wytrzymał. Streik nigdy się u nas nie pokazywał. Nigdy nas nie odwiedzał.

- Jakies sześć tygodni temu widziano cię w jego towarzystwie -rzekł Saxon. Było w nim coś z prawnika i jego zarzuty brzmiały jak na sali sądowej. Generał zdawał sobie sprawę, że swego czasu Saxon związany był z Departamentem Sprawiedliwości, gdzie z ramienia rządu piastował wiele stanowisk doradczych. Być może nadal utrzymuje tę współpracę.

- Widziano cię z nim w HoJo's na Times Square. Opowiedz nam o tym, Charlie -
powiedział Saxon.

- Kim wy właściwie jesteście?

- Co on ci mówił?

-Nic.

- Spędziłeś w jego towarzystwie pół godziny i nic ci nie powiedział? O czym rozmawialiście?

- O koniach.

- Rozmawialiście ze Streikiem o koniach?

- Tak, o wyścigach, o wierzchowcach. Jedyne, co mamy ze sobą wspólnego, to że z entuzjazmem tracimy pieniądze. Spotkaliśmy się przypadkowo. - Charlie rozmasował sobie klatkę piersiową, a na jego twarzy pojawił się wyraz cierpienia. - Słuchaj, jak będziesz mnie tak traktować, to sobie pójdę.

- Charlie - odezwał się generał. - Rozmawiamy tutaj zupełnie poważnie. W twoim najlepiej pojętym interesie leży poinformowanie nas, dokąd Streik pojechał.

- Ile razy mam jeszcze powtarzać, że powiedziałem wszystko, co wiem? Na litość boską, czy wy myślicie, że kryję Streika? Miałbym niby nadstawiać karku za tego grubego jołopa?

Generał nie znał wcześniej określenia jołop. Chętnie poznawał coś nowego, a słowo jołop wyraźnie mu się spodobało.

- A czego właściwie się po nim spodziewaliście? - zapytał Charlie.

- To już nie twoja sprawa - odparł generał. Usiadł na podłokietniku fotela Charliego i położył mu dłoń na ramieniu. Charlie drgnął. Tyle hałasu o Jacoba Streika, który był

zwykłym posłańcem, a okazał się słabym punktem całego planu i teraz stanowi zagrożenie.

- Chcemy się tylko dowiedzieć, gdzie on jest. Pomyśl trochę o sobie, Charlie. Jego nie warto kryć.

- Wcale go nie kryję. Po co miałbym osłaniać takiego spaślaka? On mnie wcale nie interesuje.

Generał zrobił zmartwioną, potulną minę. Łatwo można było go sobie wyobrazić, jak siedzi z innymi rencistami na placu Waszyngtona i gra w szachy lub warcaby.

- Charlie, przecież my chcemy ci pomóc.

- To bardzo dobrze.

- Człowieku, pomyślże trochę.

- Myślę, myślę.

Generał złapał Charliego za ucho i pociągnął tak mocno, że zmaltretowany nieszczęśnik wcisnął twarz w podłokietnik fotela. Wtedy generał walnął go pięścią w kark.

- Lepiej przestań kryć tego jołopa, Charlie, i ratuj siebie. Mów, dokąd wyjechał?

Charlie podniósł głowę. Po policzkach spływały mu łzy.

- Przysięgam na Boga, że nie wiem.

Generał wstał, nagłym ruchem złapał przesłuchiwanego, podniósł z fotela i rzucił nim o ścianę. Charlie odbił się od ściany i zsunął na podłogę; był zaskoczony, że człowiek w wieku generała potrafi czegoś takiego dokonać. Mankietem koszuli otarł z twarzy łzy.

- Szkoda czasu - powiedział generał. Drobne akty przemocy męczyły go i przygnębiały.

Stanowiły już dla niego spory wysiłek, choć kiedyś przezywano go Bysior, a o jego sile fizycznej krążyły legendy. - Jestem już za stary, żeby tracić czas. Zlikwidować go - zwrócił

się do mężczyzny w czarnym podkoszulku. - Zrzuć go z jakiegoś wysokiego budynku albo zrób, co ci się podoba. Mnie się już znudził.

- Ej, chwileczkę - odezwał się Charlie.

- O co chodzi? Coś sobie nagle przypomniałeś?

- Niewykluczone, że Streik wspominał coś o wyjeździe za granicę. - Charlie wpatrywał się w

generała. - Ale on zawsze wiele opowiadał o swoich podróżach. Nigdy nie zwracałem na to uwagi, bo właściwie nigdy go nie słuchałem. Zawsze chciał uchodzić za ważniaka, za kogoś wtajemniczonego w jakieś ważne sprawy. Musiałem go ignorować.

- „Za granicę” to dość ogólne określenie.

- Nic więcej nie wiem.

- To za mało, Charlie. - Generał skinął na człowieka w czarnym podkoszulku. - Bierz go.

- Nie - rzekł Charlie.

- Bierz go, i to już.

Osilek wyprowadził protestującego i szamoczącego się Charliego z pokoju. Przez chwilę generał wpatrywał się w zamknięte drzwi. Założył z tyłu ręce i zastanawiał się nad sprawą Jacoba Streika, którego, choć dobrze znał ze zdjęć, nigdy nie poznał osobiście. Pamiętał jego tłustą, jowialną twarz; była bardzo brzydka, lecz malowała się na niej jakaś zwierzęca przebiegłość.

- Zdaje się, że zabrnęliśmy w ślepią uliczkę - odezwał się Saxon. - Rozmawialiśmy z siostrą Streika, ale też nic nie wie. Miał jeszcze kilku znajomych, lecz nie kontaktował się z nimi.

Najwyraźniej wiódł dość marne życie. Jedyńm jego prawdziwym przyjacielem, jeśli naciągnąć trochę definicję tego słowa, był Bryce Harcourt. Ten związek jednak miał, rzecz można, charakter podskórny. Spotkali się chyba nie więcej niż cztery, pięć razy. Pochodzili z dwóch różnych światów i poznali się dzięki przypadkowemu zbiegowi okoliczności.

Generał w milczeniu patrzył na ścianę. Zastanawiał się, co mogą oznaczać te białe obrazy.

Być może jakiś stan psychiczny albo załamanie duchowe. Tę zachodnią sztukę każdy może sobie interpretować, jak mu się podoba. Wspomniał swój gabinet w Berlinie Wschodnim z czasów przed okrutnym procesem tak zwanego ponownego zjednoczenia. Ciekawe, co się stało z jego obrazami? Najbardziej podobał mu się realizm, a w jego kolekcji najczęściej pojawiały się sielskie sceny z końmi, stogami siana i pracującymi w polu chłopami.

- Dlaczego Harcourt nie został przesłuchany? - zapytał.

- Pełnił ważną funkcję w ambasadzie i dlatego był dla nas użyteczny. Przesłuchanie równałoby się ostrzeżeniu. Niemniej jednak śledziliśmy go dość dokładnie. Nawet bardzo dokładnie - dodał Saxon. - Czytaliśmy jego listy, przeszukaliśmy mieszkanie, cały czas ktoś przy nim był i nie istniał taki aspekt jego życia, którego byśmy nie poznali. Nie mamy żadnych powodów sądzić, że Streik skontaktował się z nim przed swoim zniknięciem.

Naprawdę żadnych.

- Nic się nigdy nie da powiedzieć na sto procent - rzekł zmęczonym głosem generał. - Nie można śledzić kogoś cały czas. Zdarzają się przecież pomyłki, chwilowe rozproszenie uwagi i zawsze coś można przeoczyć. Byle drobnostkę, a jednak. - Generał usiadł i zabębnił palcami w kolana. - Wciąż uważam, że Harcourta powinno się było przesłuchać...

- To już teraz nie wchodzi w rachubę - odpowiedział Saxon.

- Nieprawda! - krzyknął generał; nie lubił, gdy mu przerywano. Zdenerwowany wstał z miejsca. Biel pomieszczenia irytowała go, niczym natrętne pukanie dziecka w blaszany bębenek.

- Streik zniknął - mówił Saxon - a Harcourt nie. Wnioski nasuwają się same. Streik nie powiedział Harcourtowi, że zamierza zniknąć, i można założyć, że Harcourt nic nie wiedział

o jego decyzji. W przeciwnym bowiem razie Harcourt prawdopodobnie poszedłby w ślady swego grubego przyjaciela.

- To tylko hipotezy - orzekł generał. Nie lubił tego słowa najbardziej ze wszystkich. Źle się czuł w świecie hipotez, bo pozostawiała one zbyt wiele niejasności.

- Panie generale, każdą dziedzinę życia Harcourta dokładnie przeczesał. - Saxon odkaszlnął w dłoń. - Poznaliśmy jego kobiety, jego pracę, jego zwyczaje, wszystko. Od świtu do nocy był pod obserwacją.

Generał dopiero teraz zdał sobie sprawę, że w tym pomieszczeniu brakuje okien.

Znajdowali się w swego rodzaju białym pudełku zawieszonym na szczycie budynku.

- Życie Harcourta stanowiło dla nas otwartą księgę - mówił Saxon.

- Z otwartej księgi tylko wtedy jest pożytek, gdy potrafisz czytać w języku, w którym została napisana. - Generał zamknął oczy i dał się ponieść myślom do czasów, kiedy wszystko trzymał pod kontrolą, kiedy miał władzę i swobodę korzystania z niej. W dawnych, dobrych czasach stary Honecker przed swoim haniebnym końcem powiedział mu tak: „Mieć władzę, to jak żyć we wspaniałym domu, któremu może zaszkodzić zła pogoda”. Historia obeszła się z biednym Honeckerem złośliwie; w nowym, bezprawnym ustroju został wyklęty i rozchorował się. Generał czuł, że ma ograniczone pole działania i musi współpracować z ludźmi o przeszłości tak bardzo różnej od jego własnej, z ludźmi, którzy według niego często załatwiają sprawy w dziwny sposób. Tacy jak Saxon nigdy w życiu nie poznali prawdziwego strachu, toteż postrzegają świat w zupełnie innym wymiarze. Oni nie rozumieją codziennego terroru, nie spotkali się nigdy z wezwaniem o północy i nie mają pojęcia o możliwościach państwowej bezpieki. Czasami wydawało mu się, że Amerykanie uważają się za nieśmiertelnych, jakby Bóg obdarzył ich jakąś szczególną łaską.

- W każdym razie domyślam się - mówił Saxon - że sprawa z Bryce'em Harcourtem jest już zamknięta.

Generała ogarnęła nagła apatia. Co on ma teraz powiedzieć i co zrobić? Ciekaw był, jak zorganizowano zabójstwo. W dawnych czasach osobiście nadzorował takie szczegóły, ale teraz... teraz musiał się liczyć z planami innych ludzi. Harcourt nie żyje, nie zadawaj żadnych pytań, sprawa skończona, a ty nie potrzebujesz wiedzieć, w jaki sposób.

- Znajdź Streika - generał klasnął w dłonie. - Nie chciałbym, aby coś zagroziło Ślimacznicy.

- Poszukuje go ogromna rzesza ludzi z wielu krajów. Znamy personalia wszystkich jego współników, a nie ma ich zbyt wielu. On prowadzi raczej samotnicze życie. To odludek.

Mamy na oku każdego, z kim mógłby się skontaktować. To naprawdę nic trudnego, panie generale.

- Znajdź go. - Generał chwilę wpatrywał się w rozmówcę, a potem ruszył w stronę drzwi.

Saxon szybkim krokiem dogonił go i zamachał wyciągniętą z kieszeni kopertą.

- Oto pańskie bilety. Lepiej o nich nie zapominać. Oczywiście są na lot pierwszą klasą.

Generał odebrał kopertę i ostrożnie wsunął do wewnętrznej kieszeni płaszcza. Opuścił

pokój, przeszedł szklanym pomostem do windy i zjechał na parter. Stale padający gęsty śnieg okrywał chodniki bielą. Generał wszedł do samochodu i odjechał.

Kilka kwartałów dalej stały dwa samochody policyjne z migającymi na dachach światłami.

Generał zerknął w ich stronę i dostrzegł leżącą na chodniku sylwetkę człowieka przysypanego cienką warstwą śniegu. Ach, Charlie, pomyślał, miałeś pecha, że tak mało wiedziałeś o tym złym człowieku.

Generał jechał przez oświetlony Manhattan, mijał postacie śpiące przed wejściami do sklepów, pijaczków zgromadzonych na rogach ulic i bezdomne kobiety popychające wózki z supermarketów. Oto Ameryka, pomyślał. Kraj ogromnych kontrastów. Dziwiła go ogromna ilość wyraźnie bezużytecznych dóbr konsumpcyjnych w rodzaju uchwytów do papieru toaletowego, wygrywających hymn narodowy podczas odwijania rolki, albo kuchennych gadżetów do rozdrabniania, ścierania, miażdżenia lub krojenia wszystkiego, co się bierze do ust. Ale przecież niektóre rzeczy w Ameryce podobały mu się - na przykład Disneyland, a szczególnie hologramy w Domku Myśliwskim. Lubił też emitowane od rana w telewizji maratony kreskówek, a zwłaszcza Mago, który stanowił pewien symbol kierunku obranego przez naród amerykański.

Czasami zastanawiał się, jaki czeka go los. Pewnie sfingowany proces, wieloletnie więzienie i brutalne traktowanie ze strony trwających w błędzie ludzi, którzy będą nim pogardzać. A ludzi tych bardzo łatwo wprowadzić w błąd, myślał. Zrezygnowali z porządku społecznego w imię nieokreślonej idei wolności, choć w gruncie rzeczy składają hołd staremu bóstwu zwanemu Chaos, z którym idą w parze bezrobocie, ubóstwo i zbrodnia.

Dojechał do typowego nowojorskiego budynku o elewacji z czer-wono-brązowej cegły przy Osiedzi Siódmej Zachodniej. Podczas parkowania buick wpadł w lekki poślizg.

Generał wysiadł z samochodu i stanął po kostki w śniegu. W jego stronę ruszył czarnoskóry mężczyzna w sfatygowanym płaszczu i z szuflą do odśnieżania w dłoni.

- Szefuniu, odpali pan parę drobniaków? Generał pokręcił głową. Nigdy nie wspierał żebraków. Natrętny właściciel szuflki stanął mu na drodze.

- Nie musi być dużo. Dolca, może dwa. Przecież wygląda pan na dzianego. Co panu szkodzi?

Generał spojrzał żebrakowi w oczy.

- Z drogi - rzekł cichym głosem.

Czarny mężczyzna początkowo myślał, że ma do czynienia z przyjaźnie nastawionym do świata staruszkim, lecz teraz dzięki nabytemu na ulicach doświadczeniu dostrzegł w twarzy generała wrogość. Uniósł ręce w geście spoko, spoko i rozpląnął się w ciemności.

Ach, ten Nowy Jork, pomyślał generał, idąc przed siebie. Złodzieje, żebracy, szaleńcy.

Porządek społeczny rozsypał się tutaj w gruzy.

Wszedł po schodkach, nacisnął dzwonek, a gdy usłyszał w domofonie głos, przedstawił się i na odgłos brzęczyka pchnął drzwi. Wspiął się po schodach na pierwsze piętro, gdzie zastał

uchylone drzwi do pokoju. W środku owionął go zapach prażonej kukurydzy. W telewizorze migają scenki z „Fantazji” z Myszka Miki. Generał zdjął płaszcz, usiadł i zaczął oglądać żywą miotłę goniącą myszkę. Nadzwyczajne.

Na widok wychodzącej z kuchni młodej kobiety w obcisłych dzinsach i z czerwoną wstążką we włosach generał uśmiechnął się. Kobieta postawiła przed nim dużą, szklaną misę prażonej kukurydzy. Od razu zabrał się do jedzenia. Ponieważ pobrudził sobie palce tłuszczem, dziewczyna podała mu papierową serwetkę.

- Fajny film - powiedział.

- Wiedziała, że lubisz „Fantazję” - odparła i usiadła obok niego. - Według mnie jest już trochę oklepana.

- Przecież to dzieło sztuki - stwierdził. - Cudowna kompozycja muzyki i obrazu. Miałem tę kasetę w Berlinie. - Zatluszczoną ręką dotknął dłoni dziewczyny. - Za często myślę o Berlinie. Wspominam Europę i tamte układy. Ciekawe, jak tam jest teraz? Czy w moim wieku można sobie pozwalać na nostalgię?

- Nie jesteś jeszcze stary. Tyle że pochodzisz z prehistorii. - Klepnęła go w kolano. - Jak brontozaur. Też tak o sobie myślisz.

- Sześćdziesiąt lat to jeszcze nie starość?

- Wiek zależy od tego, co masz tutaj. - Dotknęła palcem jego piersi. - W sercu.

Generał uważał, że w metafizycznym sensie jest to prawda. Problem polega jednak na prawidłowym odczytaniu głosu serca. Ogarnęła go melancholia i przypomniał sobie starych towarzyszy, spośród których wielu zginęło z jego własnej ręki, wielu siedzi w więzieniu, a wielu po prostu zniknęło. Nie wszyscy jednak stracili wolę trwania, nie wszyscy dali się porwać wiatrowi historii. Wspominał wszystkich tych, którzy pozostali na polu walki, którzy z oddaniem wypełniali zadania, którzy całe swe życie poświęcili Staatssi-cherheit i Stasi.

Yanderwerker w Genewie, Bohl we Frankfurcie -drogi Bohl zmienił nazwisko i przyjął nową tożsamość. Pomyślał też o Lisience w Leningradzie (generał nie przyjmował do wiadomości świętokradczej zmiany nazwy tego miasta), o Wasiliju nadal mieszkającym w samym centrum Moskwy, o Szeszkinie w Helsinkach. Czuł się, jakby studiował mapę dzikiej rzeki zasilanej niezliczonym mnóstwem dopływów.

- Wyglądasz na przygnębionego - odezwała się dziewczyna.

- Nie, to nie smutek - pokręcił głową. - Raczej niepokój.

- Czym się niepokoisz?

Generał zastanawiał się przez chwilę.

- Niepokój to chyba też niezbyt precyzyjne słowo. Chodziło mi raczej o coś w rodzaju zniecierpliwienia.

Położyła mu dłoń na kolanie, jakby chciała go uspokoić.

- Moja matka zawsze powtarzała, że jutro też będzie dzień. Wtedy myślałam sobie: cholera, po co takie gadanie. Teraz jednak rozumiem już, że matka wiedziała, co robi.

Generał patrzył w ekran telewizora. Jutro też będzie dzień. I po każdym następnym dniu będzie jakieś jutro. Spróbował wyobrazić sobie przyszłość i zobaczył tylko chmury z gdzieniegdzie przebłyskującymi promieniami zachodzącego słońca. Przez chwilę myślał o Jacobie Streiku, ale ten problem go irytował, więc postanowił czym prędzej o nim zapomnieć.

Nie było to jednak łatwe, ponieważ Streik, niczym drobinki pyłu, zalegał w każdym zakątku jego umysłu. I dokąd w końcu ten Streik wyjechał? U kogo mógł się skryć? Jest samotny i bardzo przestraszony, a generał wiedział, że człowiek ogarnięty strachem potrafi być niebezpieczny. Jeżeli Streikowi uda się w jakiś sposób skontaktować z nieodpowiednimi ludźmi...

- Jesteś głodny? - zapytała dziewczyna.

- Mam apetyt na trochę inne rzeczy.

Dziewczyna wzięła z miski kilka ziarenek kukurydzy i nie spuszczać wzroku z generała wsuwała ziarenka do ust.

- Ja również, panie generale.

- To się nazywa szczęśliwy zbieg okoliczności.

- Za dużo masz wigoru, żeby mówić o starości - powiedziała. Odsunęła miskę z kukurydzą i w sugestywny sposób oblizwała sobie palce. Generał obserwował, jak odpina guziki koszuli, a potem z rozkoszą podziwiał jej piersi - miała sutki w kolorze różowych śliwek. Pomyślał o wynagrodzeniu tej wspaniałej istoty, która dawała mu tak wiele radości. Jednak podniecenie szybko wyparło mu z myśli tę sprawę.

Pewnych kwestii nie da się rozpatrywać w kategoriach finansowych.

Londyn

Po pierwszej nad ranem Frank Pagan wydzwaniał pod numery telefonów zapisane w małym notesiku zwanym czasem przez Foxiego Czerwoną Książeczką Przewodniczącego Franka. W spisie tym znajdowały się nazwiska paskudnych typów związanych z prowadzonymi kiedyś sprawami - czasem umorzonymi, czasem tragicznymi, a czasem wręcz powieściowymi. Informacje czerpane z tych źródeł przeważnie okazywały się bezwartościowe, jednakże Pagan trzymał się zasady, że nie wolno poniechać żadnej szansy.

Od czasu do czasu, choć rzadko, udawało mu się z tych skrawków informacji ułożyć coś interesującego.

Układanie listy zajęło mu kilka lat, a i tak ciągle się zmieniała, gdy ludzie umierali, wyjeżdżali za granicę lub po prostu znikali. Trzeba było wiele cierpliwości i optymizmu - lub raczej przesadnej nadziei - aby współpracować z właścicielami tych nazwisk. Zadawał te same pytania co Freddiemu i Wilmie Scarfe'om, i musiał wysłuchać odpowiedzi nawróconego zachodniemieckiego terrorysty, który wygłosił apologię wegetarianizmu, karmienia piersią oraz pacyfizmu; byłego dyplomaty irańskiego, który kiedyś rzekomo próbował przemycić do Wielkiej Brytanii oddział szturmowy; wysłuchał również członka IRA zwanego Charlie Locklin z Kilburn, który ledwie cedząc słowa, gdyż zmagął się właśnie z butelką whisky, zaklinał się na wszystkie świętości i na wieczny żywot swej nieboszczki matki, że IRA nie brała udziału w zamachu.

Pagan zdążył porozmawiać z ponad tuzinem ludzi, zanim doszedł do wniosku, że tego wieczoru nie dowie się niczego nowego. Zmęczony zamknął w końcu czerwoną książeczkę, przeszedł przez całe mieszkanie do sypialni, położył się na łóżku i zamknął oczy. W uszach rozbrzmiewał mu niespójny chór, przechodzący w żałobny lament. „Nie, panie Pagan, zupełnie nic na ten temat nie wiem”. Zapadł w płytki sen i przyśniła mu się Brennan Carberry w jakiejś surrealistycznej scenerii: śledził ją w speluncie opiumistów w Limehouse, a chińska klientela mówiła dokładnie tak samo jak rdzenni mieszkańcy Brooklynu. Oto właśnie szaleństwo podświadomości - kupujesz bilet wstępu, lecz nigdy nie wiesz, dokąd z nim trafisz.

Przed świtem obudził się z chłodu w wygniecionym ubraniu i zrobił sobie filiżankę paskudnej, czarnej, mocnej kawy rozpuszczalnej. Szybko wziął prysznic i włożył czyste ubranie. Z półki w garderobie wyjął pistolet bernardelli i wsunął go do niewielkiej kabury na plecach. Choć od wielu

lat próbował się przyzwyczaić do chodzenia z kaburą w jakimś jednym miejscu, nigdy nie było mu z nią wygodnie. Nie potrafił właściwie określić, po co bierze broń, lecz czuł, że potrzebuje jakiegoś ubezpieczenia.

Foxie przyjechał roverem jak zwykle punktualnie i dwukrotnie zatrąbił klaksonem. Pagan wziął płaszcz i zszedł na dół. Ulica była śliska od lodu, a wokół latarki opalizowała rzadka mgiełka.

Siadając na fotelu dla pasażera, Pagan poczuł pistolet ugniatający go w plecy. Spróbował usiąść wygodniej.

- Na Golden Square? - zapytał Foxworth.

- Jasne.

- Jak za starych czasów.

Pagan nie był pewien swej sympatii do starych czasów, wiedział jednak, że jego dawne biuro zapewni mu przynajmniej złudzenie niezależności i fizyczny dystans od George'a Nimma. Złudzenie stanowiło tutaj kluczowe słowo, gdyż Nimmo wyraźnie dał do zrozumienia, że on sprawuje zwierzchnictwo i z nim trzeba się we wszystkim konsultować.

Jeszcze zobaczymy, pomyślał Pagan. Z rozkoszą obmyślał preteksty do przeciwstawienia się George'owi w sprawach dowodzenia. Czuł w sobie ogień i hardość - oznaki powrotu do życia.

- Jest coś nowego? - zapytał.

Foxworth, wyczuwając nastrój Pagana, odpowiedział krótko:

- Nie, Frank, nikt nie dzwonił. Ktokolwiek dokonał zamachu, siedzi cicho. Niedługo powinniśmy dostać raport od McCluskeya. Powiedziano mi, że za godzinę, dwie.

Frank wiedział, że takie raporty przypominają szkielety ukazujące strukturę kości, lecz nie dające żadnego pojęcia na temat obrastającego je ciała. Na szkieletach jednak często się kończy. Opowiedział Foxiemu o odwiedzinach pracownika amerykańskiej ambasady Quartermana i o Harcourcie, który być może zginął w metrze.

- Frank, ja wcale nie miałem zamiaru dawać mu twojego adresu. Ale odwoływał się do swojego stanowiska, straszyl, że ambasador zadzwoni do Nimma i tak dalej. - Foxie zrobił

przepraszającą minę.

- Nie szkodzi - powiedział Pagan.

- Czy śmierć tego Harcourta może mieć jakieś znaczenie?

- Wątpię. Zajmowałem się tylko zbieraniem różnych informacji. Odniosłem wrażenie, że nie był nikim

ważnym. Czy Billy Ewing przejrzał już nawiska z listy ofiar?

- Siedzi teraz na Golden Square i oczywiście narzeka na nadgodziny.

- Świetnie. To znaczy, że dopisuje mu forma, bo zmartwiłbym się, gdyby nie psioczył.

Pagan myślał o podziemnym tunelu ze swej wyobraźni; wydawał mu się on przejściem wydrążonym we własnym mózgu, budowlą, którą sam wzniósł i w której został uwięziony.

Być może całe śledztwo sprowadzi się w końcu do poszukiwania siebie samego, do tropienia własnej tożsamości i własnej wolności. Ciężka sprawa, pomyślał. Jak na pusty żołądek - za ciężka.

Gdy Foxie zajechał na Golden Square, niebo było jeszcze ciemne i paliły się uliczne latarnie. Niewielki i niczym nie wyróżniający się Golden Square leżał na obrzeżach dzielnicy Soho. Z jednej strony przechodził w niewielką arterię, a po drugiej stronie kończył się brzydkim neonem z napisem Piccadilly Circus; na chodnikach poniewierały się gazety i pojemniki po daniach barowych.

Foxworth zaparkował przed budynkiem nie oznaczonym żadnym szyldem. Dawniej znajdowały się tutaj biura przedsiębiorstwa produkującego muszki do garniturów, a jeszcze wcześniej londyński oddział nowojorskiej agencji literackiej, która upadła po skandalu z niepłaceniem honorariów i kombinacjami księgowymi. Pagan uśmiechał się na myśl o pisarzach okupujących budynek i wywieszających plakaty i afisze z hasłami typu „Precz z agentami literackimi”.

W budynku Pagan i Foxworth wjechali siatkową kabiną windy na piętro, gdzie panowała krzątanina rozpoczęta właśnie na polecenie Nimma. Technicy instalowali komputery i telefony, a elektrycy jarzeniowe oświetlenie. Po wąskim korytarzu niósł się dźwięk wiertarki drążącej beton. Pagan próbował się dostać do pomieszczenia będącego dawniej jego gabinetem, lecz kartonowe pudła z aktami blokowały przejście.

- Podobno był tutaj magazyn - rzekł Foxworth. - Prawdziwe cmentarzysko biurokracji.

Pagan otworzył jedno z pudeł, wyjął jakąś teczkę i zdmuchnął z niej kurz. W środku znajdowały się zapiski ze sprawy przeciwko Ja-mesowi Sixsmithowi, który w 1934 roku został oskarżony o morderstwo.

- Prehistoria - orzekł. Odłożył teczkę, odsunął pudła z aktami i utorował sobie drogę do dawnego gabinetu. Tutaj na podłodze leżała reszta pudeł z teczkami. Przy samej ścianie stało jego dawne biurko.

- Bieg z przeszkodami - powiedział Foxie.

- Czuć tu jakimś gównem. - Pagan wciągnął nosem powietrze przesiąknięte zapachem wilgotnej tektury i spleśniałego papieru. Pod oknem chrząścił i syczał staroświecki grzejnik. -

Nimmo nie namęczył się przy organizacji naszego biura, prawda? Skończony łajdak. Miał czas na zaprowadzenie tu porządku.

- Mogło być gorzej - odpowiedział Foxie.

- Słusznie. Mógł na przykład zapomnieć podłączyć prąd. - W końcu Pagan dotarł do swego biurka. W poprzednim wcieleniu tego pomieszczenia na ścianie wisiał wielki plakat Buddy Holly'ego. Teraz na wyblakłym, beżowym tynku wyróżniał się żałośnie tylko jaśniejszy prostokąt.

Usiadł za biurkiem, na którym stały dwa telefony i nic poza tym - żadnych tacek na dokumenty, żadnych notatników ani żadnych ołówków. Najwyraźniej Nimmo ograniczał się do minimum, co świadczyło w pewien sposób o budowanym przez niego imperium.

Oczywiście Paganowi wolno korzystać z różnych sprzętów, lecz tylko do pewnego stopnia, bo na posiadanie luksusów typu pióra i długopisy musiał otrzymać pozwolenie chyba od samego Fihrera.

Siedząc w płaszczu i szaliku, Pagan obserwował własny oddech zamieniający się w kłąb pary. Zatarł ręce, odpiął kaburę z pistoletem i chowając ją do szuflady, po cichu westchnął z ulgą.

- Widzę, że się uzbroiłeś - zauważył Foxie.

- Zasłużyłem na naganę?

- Nie ode mnie. Wiem, że żyjemy na niepewnym świecie. W drzwiach pojawił się zasmarkany Billy Ewing z czerwonym nosem.

- Frank, miło znów cię widzieć.

- Prawie cieszę się z powrotu.

- Da się włączyć jakieś ogrzewanie? - zapytał Ewing. - U mnie na górze jest zimno jak w kostnicy. Czuję się jak kawał zamrożonego miecha. - Wyjął z kieszeni inhalator, wsunął do lewej dziurki w nosie i zaciągnął się. Potem zrobił to samo z prawą dziurką.

- Znów się odzywają zatoki? - zapytał Pagan.

- Straciłem na nie jakikolwiek wpływ. Chyba zapiszę je na cele naukowe.

- Masz coś dla mnie?

- Owszem. - Ewing wszedł do gabinetu tak daleko, jak pozwoliły mu pudła. Z jego miny można było wyczytać smutek i przygnębienie; przypominał aktora grającego rolę pantoflarza.

Pod pachą trzymał spory plik wydruków komputerowych. - Jak na razie osiemdziesiąt dwie identyfikacje, Frank. Całe cztery godziny zeszyły mi na sprawdzaniu nazwisk. Nie było łatwo.

- Billy, wiesz, że jesteśmy ci bardzo wdzięczni.

Ewing spojrzał na Pagana i zmarszczył brwi. Czasami nie potrafił rozszyfrować jego tonu.

Niekiedy Pagan umiał zachować obojętność trupa i trudno było odgadnąć jego intencje.

- Co przyniosły poszukiwania?

- Spośród dotychczas zidentyfikowanych w policyjnych kartotekach figuruje dwanaście osób.

Pagan zacierał ręce, aby je rozgrzać. Grzejnik wydawał z siebie urywane dźwięki, a gdzieś z dalszych części budynku dochodziło stukanie w rury; nie przestawała warczeć wiertarka.

- Dwanaście z osiemdziesięciu dwóch.

- No właśnie - rzekł Ewing. - Spójrz sam. - Położył na biurku Pagana kartki wypełnione komputerowym drukiem.

- Billy, zatrzymaj to dla siebie. Mnie wystarczy streszczenie.

- Streszczenie - powtórzył Ewing takim tonem, jakby słowo to oznaczało podjęcie nadludzkiego wysiłku. Wsunął ręce do kieszeni i wyjął zawiniątko złożone z inhalatora, dwóch chusteczek i małego notesika.

- Widzę, że jesteś dobrze zorganizowany - powiedział Foxie.

- Ciekawe, jak ty byłbyś zorganizowany, gdybyś przez całą cholerną noc ślęczał nad klawiaturą i gapił się w ekran. Nie wstąpiłem do policji, żeby robić za sekretarkę. Gdybym tego chciał, zostałbym w Glasgow i poszedł do specjalnego college'u. - Otworzył notes. -

No dobra. Sześć osób notowanych za jazdę z nadmierną prędkością, a dwie z pozostałych sześciu za niepłacenie zobowiązań.

- Typowe wykroczenia.

- Kolejne dwie osoby miały na sumieniu fałszerstwa.

- Dwóch fałszerzy w jednym pociągu?

- Może byli razem - powiedział Ewing. - Może jechali na jakiś zjazd fałszerzy albo coś w tym rodzaju.

- Co dalej? - zapytał Pagan.

- Jeden człowiek był sądzony za kradzież samochodu, ale został uniewinniony.

- Zostaje jeszcze jeden.

- Ten ostatni jest trochę stuknięty. Nazywa się Joseph Dracowitz i strzelał do Margaret Thatcher z pistoletu na wodę.

- Ciekawe, że to zostało uznane za przestępstwo - zauważył Pagan.

- Żelazna Dama tylko się przestraszyła, a stary Dracowitz dostał za swój żart trzydzieści dni odsiadki. Należał do rozrabiających radykałów, którzy na demonstracjach walczą z policją. Wszyscy znamy tego typu gagatków. Incydent z panią Thatcher tylko dopełnił miary.

Pagan wstał, czując pewien podziw dla Dracowitza. Zastanawiał się, czy nie trafił przypadkiem pani premier wodą w oko.

- To już wszystko?

- Jak na razie - odparł Ewing.

- Czy Dracowitz należał do którejś ze znanych nam organizacji politycznych? - zapytał

Foxworth. Z rękami założonymi na piersi opierał się o ścianę. Pagan zauważył, że bez trudu można sobie wyobrazić Robbiego Foxwortha przechadzającego się po salonie wiejskiej rezydencji pośród mężczyzn w czerwonych kurtkach myśliwskich i dam w bryczesach, popijających grzaną whisky. W jaki sposób udało mu się zachować w nienaruszonym stanie wyniesione z domu maniery? Pewnie dzięki typowej dla odszczepieńców sile charakteru, pomyślał Pagan.

Billy Ewing dotknął czubka nosa, jakby próbował powstrzymać kichnięcie.

- Dracowitz uchodził za niestałego w poglądach i wędrował z jednej skrajnej organizacji do drugiej. Przeważnie były to niegroźne ugrupowania przyciągające stronników możliwością wzięcia udziału w mordobiciu. Znamy je na wylot. Sami awanturnicy, demagodzy i postrzeleńcy.

Pagan przycisnął palcami powieki.

- Raczej nie nadawał się na kamikaze z londyńskiego metra?

- Nie sądzę, ale nigdy nic nie wiadomo. Czasami odbija i porządny ludzom.

Masz jego adres?

- Proszę bardzo. Mieszka w Cricklewood. - Ewing wyrwał kartkę z notesu i podał ją Paganowi, a ten przyjrzał się gryzmołom: Sho-ot-Up Hill 38.

Nagle w drzwiach pojawił się George Nimmo w czarnym kaszmirowym płaszczu i brązowym szaliku.

- Frank, już się zadomowiliście?

- Robimy, co możemy. - Pagan gestem ręki wskazał gabinet.

- Za kilka godzin znikną stąd te wszystkie pudła - rzekł Nimmo.

- Miło to słyszeć.

Za szefem stało dwóch mężczyzn prawie nie znanych Paganowi. Jeden był gruby i łysy i miał nadzwyczaj bujne brwi, przez co wyglądał jak jakiś nawiedzony myśliciel. Drugi wyróżniał się czerwoną cerą i nosił pognieciony, rozpięty prochowiec z widoczną metką

„Aqua-scutum”.

- Frank, chyba znasz już Teda Wrighta - powiedział Nimmo, wskazując ręką łysego.

Wright z poważną miną skinął głową. -1 Jo-ego Gladstone'a. - Mężczyzna w prochowcu beznamienne wpatrywał się w Pagana. - Przydzielam ci ich.

- Jak mam to rozumieć? - zapytał Pagan.

- Tak, że będą w twoim oddziale.

Strzeż się Nimma, gdy przynosi dary, pomyślał Pagan. George podsuwa mi dwójkę swoich chłopców, swoich lojalnych sług. Wystarczy, że kiwnę palcem, a on już się o tym dowie.

Zaszeleszczę papierem, a on usłyszy. Tak to już jest - władcy potrzebują do obrony imperium własnych pretorian i szpiegów.

- Znajdziemy dla nich na górze jakieś pomieszczenie - powiedział. Ześlemy ich na strych, pomyślał.

- Wystarczy im - odparł Nimmo. - To chyba dziwne uczucie wracać tutaj znowu.

- Rzeczywiście. Budzi się wiele wspomnień. - Pagan wstał, przeszedł przez pudła i wręczył

Joemu Gladstone'owi kartkę od Billy'ego. - Proszę, Joe. Jedźcie z Tedem pod ten adres i dowiedzcie się czegoś na temat niejakiego Dracowitza. - Zamierzał poradzić sobie z ludźmi Nimma, wysyłając ich do nudnych robót na krańcach Londynu.

Gladstone spojrział na adres, a potem na Nimma, jakby szukał u niego aprobaty. Komisarz skinął w ledwie widoczny sposób. Pagan wyczuwał w powietrzu jakiś spisek. Potrafił

odczytać wszystkie oznaki i odebrać wibracje świadczące o więzach łączących Gladstone^ i Wrighta z ich panem.

- Frank, kim jest ten Dracowitz? - zapytał Nimmo.

- Ktoś, kogo trzeba sprawdzić.

- O, masz jakąś poszlakę? - Na twarzy Nimma pojawiło się zadowolenie.

No właśnie, pomyślał Pagan, tylko taki człowiek jak Nimmo może żyć w świecie szybko znajdowanych poszlak, spektakularnych akcji i sprawców aresztowanych w kilka godzin po

dokonaniu przestępstwa. Marzyciel.

- Na razie trudno powiedzieć - odparł i spojrzał na Gladstone'a. - Wiesz, jak znaleźć Cricklewood? Masz plan miasta?

- Znam Cricklewood - oschle odpowiedział Gladstone. Mówił z akcentem Yorkshire.

- Aha - zwrócił się Pagan do Nimma - potrzebujemy dobrego hydraulika.

- Hydraulika?

- Tak. Kogoś, kto się zna na ogrzewaniu pomieszczeń. Zimno tu jak diabli.

- Na pewno coś się da załatwić. - Nimmo uśmiechnął się z wysiłkiem. Po jego minie można było poznać, że z trudem powstrzymuje chęć obsztorcowania niepokornego podwładnego.

Pagan wyszedł na korytarz; Nimmo położył mu łagodnie dłoń na ramieniu i powiedział:

- Będziemy w kontakcie.

Odszedł, a za nim podążyli Wright i Gladstone, który trzymał kartkę z adresem tak, jak gdyby była czymś zakażona.

Pagan oparł się o ścianę i westchnął, spoglądając za odchodzącą trójką. Był wytrącony z równowagi. Czuł presję wywieraną na różne sposoby głupimi kartonowymi pudłami, warkotem wiertarki, przenikliwym zimnem, a teraz nagłym pojawieniem się kapusiów Nimma. Jak tu, kurwa, można pracować? Jak poprowadzić śledztwo w wielu kierunkach?

Nagle wrócił myślami do tunelu i zionącego śmiercią wraku pociągu. Jeśli to konieczne, da się pracować w każdych warunkach. Trzeba tylko wierzyć w to, co się robi, i w to, kim się jest.

- Znam tego Gladstone'a - odezwał się Billy Ewing. - O ile wiem, kawał z niego dupka.

Wrighta nigdy nie spotkałem, ale... - Nagle postanowił zmienić temat. - Mam na górze w swoim gabinecie wszystkie informacje napływające na specjalnie podłączone numery telefonów. Jeśli chcecie je przejrzeć...

- Nie teraz - powiedział Pagan.

- Niewiele z nich wynika - rzekł Ewing.

- Wiem, widziałem kilka. - Pagan przypomniał sobie młodą policjantkę z notesem i telefonem na stacji metra. Poczuł nagłą ochotę, aby wyjść na chwilę z budynku, przespacerować się i zastanowić, bo panujący wokół chaos działał na niego przygnębiająco.

Powiedział Foxworthowi, że wróci za kilka minut, a ten wyraźnie się przejął tym postanowieniem.

- Frank, potrzeba ci czegoś?

- Przejrzyj wiadomości telefonicznie - rzekł Pagan. - Może znajdziesz coś choć trochę interesującego.
- Jadąc windą na parter, myślał o minie Foxiego. Uważny z niego policjant, potrafi odczytywać humory Pagana i zaniepokoił się wyjściem swego partnera.

Pasemka szarości nad Soho zaczynały rozjaśniać ciemność nocy. Pagan szedł przez Golden Square obok pierwszych urzędników wychodzących ze stacji metra przy Piccadilly Circus. Na Beak Street skręcił w lewo, szybkim krokiem przeszedł ulicą Carnaby, która przeżywała swój renesans, kiedy Londyn stał się Mekką mody w stylu „beatlesów”, bokserów w barwach amerykańskiej flagi i fryzur a la Mary Quant. Wąska ulica na pierwszy rzut oka wydała się Pagano-wi przepelniona tandetą. Dawno minął już złoty wiek tych okolic i teraz przechodzili tędy jedynie turyści albo sentymentalni dziwacy szukający nastroju, który nigdy już nie powróci.

Przy Regent Street Pagan zatrzymał się. Z Oxford Circus pędziły autobusy wypuszczające w powietrze poranną porcję spalin. Poczekał na zmianę świateł, przeciął Regent Street i boczną uliczką skierował się w stronę Piccadilly Circus. Zdał sobie sprawę, że chociaż opuszczał biuro bez żadnej przyczyny, teraz podświadomie zmierza w kierunku tunelu.

Ciągnie mnie na miejsce zdarzenia, pomyślał, szukam jakiegoś haczyka, o który można by się zaczepić.

Na Piccadilly zatrzymał się z dziwnym uczuciem, że ktoś go śledzi. Nie potrafił jednak dokładnie określić tego wrażenia. Nie rozejrzał się dokoła. Na ulicach pojawiało się coraz więcej ludzi - urzędnicy spieszyli do biur, właściciele otwierali sklepy, wszędzie zapalały się światła, a z autobusów wyłaniali się pasażerowie.

Ruszył dalej i zatrzymał się dopiero przy straganie z prasą, ażeby spojrzeć na nagłówki gazet. POLICJI BRAK POSZLAK W SPRAWIE ZAMACHU, przeczytał w jednej. Brak poszlak, pomyślał. Czego te pismaki chcą od policji? Błyskawicznego rozwiązania zagadki, i to najlepiej na forum publicznym? Przejrzał pierwszą stronę i znalazł wzmiankę o George'u Nimmo, a kilka linijek dalej o sobie samym. Przedstawiano go jako oficera oddelegowanego przez Nimmo do nadzorowania śledztwa. Spodobało mu się słowo nadzorowanie.

W „Sun” nagłówek na pierwszej stronie brzmiał: PRZEŻYŁAM KOSZMAR W METRZE.

Była to napisana w pierwszej osobie opowieść zmyślonej kobiety, która jechała metrem przed samym wybuchem. Pagan przeczytał kilka słów i szybko doszedł do wniosku, że jest to tylko stek ckliwych frazesów.

Gdy ruszył dalej, uczucie, że ktoś go śledzi, nasiliło się. Stając przy drogerii, zastanawiał

się, czy zamachowiec przebywał tę samą drogę co on. Na chwilę pojawiło się ulotne przecucie, że wystarczy odwrócić głowę, aby kilka kroków za sobą zobaczyć człowieka winnego zamachu w metrze.

Stojąc przed wystawą drogerii, bezmyślnie oglądał oprawki szminek, próbki cieni do oczu i pudełeczka z tuszem do rzęs. Spojrzał w bok i dostrzegł tylko tłum spieszących do pracy ludzi, opatulonych przed zimnem w grube ubrania. Ruszył dalej w kierunku stacji metra.

Naprzeciwko hotelu Ritz udał, że studiuje menu wystawione w oknie libańskiej restauracji.

Przecucie, że ktoś go śledzi, znów się nasiliło i nie dawało mu spokoju.

Kobietę tę zauważył dopiero, gdy stanęła obok niego.

- Proszę udawać, że mnie tu nie ma - odezwała się. Pagan nie odwrócił głowy.

- Okej, już udaję.

- Pan nazywa się Frank Pagan?

Wciąż wpatrując się w spis libańskich potraw, skinął głową.

- Muszę z panem porozmawiać, ale nie tu i nie teraz. - Mówiła przeciągając samogłoski. -

Niech pan przyjdzie do hotelu Athenaeum, bo tu jest zbyt niebezpiecznie. Za jakieś piętnaście minut proszę zapytać o mnie w recepcji. Zameldowałam się pod nazwiskiem Canningsby.

Dopiero gdy odeszła, odwrócił za nią głowę. Była wysoka, ubrana w eleganckie futro, skórzane buty i jasną, jedwabną chustkę na głowie. Szła energicznym krokiem, choć bez pośpiechu, jakby zmierzała na spotkanie z kimś, na kim jej szczególnie nie zależy.

Nazwisko Canningsby nic mu nie mówiło. Kobieta zmknęła z pola widzenia za stacją metra, gdzie zgromadziło się wielu umundurowanych policjantów. Mówiła, że tu jest niebezpiecznie. Ciekawe, dlaczego, myślał Pagan. Dlaczego nie przyszła porozmawiać do biura? Zaintrygowany ruszył przed siebie i zatrzymał się dopiero przy metrze.

- Dzień dobry, panie Pagan - odezwał się jeden z policjantów. - Zimno, prawda?

Wciąż myśląc o nieznanym, skinął tylko głową, wszedł na stację i zjechał ruchomymi schodami na peron. Zamachowiec musiał przemierzać tę samą drogę, myślał, musiał jechać tymi samymi schodami - o ile oczywiście nie umieścić ładunku wybuchowego na którejś z wcześniejszych stacji. Skąd się brało przecucie, że morderca przyniósł bombę jednak tutaj?

Intuicję rzadko kiedy można umotywować, nasuwanych przez nią rozwiązań nie da się rozsądnie wytłumaczyć, niemniej jednak Pagan zazwyczaj liczył się z nią. Zamachowiec zjechał więc schodami, wszedł na peron... I co dalej?

Pagan rozejrzał się po peronie. Telefony odbierali dwaj umundurowani policjanci, zastępujący pracującą tu wczoraj młodą dziewczynę. Urzędnicy londyńskiego przedsiębiorstwa komunikacyjnego cicho rozmawiali, paląc papierosy i popijając z kubków herbatę. Na tym samym miejscu co poprzednio pozostało już tylko około dziesięciu plastikowych worków ze zwłokami.

W stojącym na skraju peronu mężczyźnie w cywilu Pagan rozpoznał sierżanta śledczego, Benny'ego Banfortha.

- Dołączący widok - powiedział Banforth, odwracając się od tunelu w stronę Pagana.

Wskazał worki ze zwłokami. - Tych biedaków jeszcze nie udało się zidentyfikować. Parę godzin temu był u mnie facet z amerykańskiej ambasady - mówił zapalając papierosa. - Zdaje się, że ktoś z ich ludzi był w pociągu.

- Zidentyfikował kogoś? - zapytał Pagan.

- Tak. Zabity nazywał się Harcourt.

Pagan spojrział w ciągnącą go do siebie czarną, wrogą otchłań tunelu. Klepnął Banfortha w ramię i ruszył wzdłuż peronu. Zszedł na tory i zaczął się przyglądać wciąż oświetlonemu ostrym światłem wrakowi. Gdzieś w oddali widać było iskry palników do cięcia metalu.

Wagon trzeba będzie wreszcie usunąć, a więc należy go pociąć na po-ręczniejsze kawałki, które da się wywieźć na złom.

Zamachowiec stoi na peronie, myślał Pagan, wpatrzony w tryskające iskry, nadjeżdża pociąg, staje, otwierają się drzwi, ludzie wysiadają. wsiadają -jak zwykle w godzinach szczytu. I co dalej? Nikt nie zauważa podkładania ładunku? A może morderca trzyma bombę w walizce, jak sugeruje McCluskey? Pagan usilnie przywoływał na myśl te obrazy, jak gdyby liczył, że gdzieś z głębi duszy wyłoni się przed nim twarz zamachowca. Przydałby mu się jakiś szósty zmysł -o wiele skuteczniejszy niż sama intuicja. Daj spokój, Frank, kryształowe kule, karty tarota, odczytywanie pisma runicznego i wszystkie te czary mary nie przydają się w rutynowych działaniach policyjnych. Pieczone gołąbki nie wlatują same do gąbki.

Podszedł do wraku, który nie był już tak przerażający, jak przed kilkoma godzinami.

Wpatrując się w zgliszcza, próbował wyobrazić sobie tok myśli zamachowca i odtworzyć stan jego umysłu, lecz nie mógł się skoncentrować i wszystko mu się rozmywało. Z całą pewnością morderca musiał być spięty. Nawet jeśli był to profesjonalista -denerwował się.

Tylko pozbawiony uczuć amator nie czułby absolutnie nic. Tylko ktoś ogarnięty szaleństwem zatraciłby typowy w takiej sytuacji niepokój.

Nieważne, czy amator, czy profesjonalista - znalazł sobie okrutny środek wyrazu. Jednak jeśli ten zamach miał coś wyrażać, to dlaczego zamachowiec nie dał o sobie znać? Pagan znów poczuł, że jest w kropce, i skonsternowany wrócił na peron. Fala gorąca bijącego z tunelu była tak silna, że aż naruszyła reklamowe plakaty na ścianach. Zdjęcia wymalowanych modelek łuszczyły się na ceglanej powierzchni.

Doszedł do wyjścia, wjechał schodami na górę i ruszył w kierunku hotelu Athenaeum. Od strony Green Park coraz intensywniej wiał zimny wiatr, więc z przyjemnością wszedł do ciepłego holu.

Przy kontuarze recepcji zapytał o pannę Canningsby, choć właściwie nie wiedział, czy chodzi mu o pannę, czy panią. Recepcjonistka przycisnęła kilka klawiszy na klawiaturze komputera i pokręciła głową.

- Nie mam takiego nazwiska na liście gości.

- Jest pani pewna?

- Sprawdzę jeszcze raz. - Po chwili dodała: - Niestety. Czy na pewno podał pan właściwe nazwisko?

- Raczej tak - odparł Pagan, niecierpliwie stukając palcami w kontuar.

- I chodziło właśnie o nasz hotel?

Pagan przyjrzał się uważniej ładnej recepcjonistce.

- Tak mi się zdawało.

Odszedł od recepcji i minął grupkę podstarzałych amerykańskich turystów zwiedzających Europę w tak zwanym martwym sezonie. Pochodząca z środkowego zachodu staruszka o zarumienionych policzkach narzekała na pogodę. Pagan skierował się do wyjścia.

Nagle z prawej strony pojawiła się kobieta, której szukał.

- Proszę mi wybaczyć - powiedziała. - Musiałam się upewnić.

- Upewnić? O czym?

Miała czterdzieści kilka lat, nieskazitelny makijaż i przyjemną powierzchowność, o ile ktoś lubi urodę trochę wyzywającą.

- Chciałam mieć pewność, że nie jesteście śledzeni.

- Panno Canningsby, o ile to prawdziwe nazwisko, właśnie siedzę po uszy w cholernie trudnym śledztwie. Nie mam czasu na zabawy.

- Musimy porozmawiać - oznajmiła. - Wiem coś, co może się panu przydać.

- Skoro tak, to słucham panią.

- Tuż za rogiem jest turecka kawiarnia. Spotkajmy się tam za pięć minut.

Pagan westchnął.

- Proszę mi podać chociaż jeden powód, dla którego miałbym się fatygować.

- Czy mówi panu coś nazwisko Harcourt? Bryce Harcourt? - Uśmiechnęła się wyniośle, a zarazem uprzejmie. Taki uśmiech spotykało się z pewnością w wytwornych salonach, gdzie kumoszki z

towarzystwa wieszaly psy na wszystkich dokoła, popijając herbatę z cieniutkich porcelanowych filiżanek.

- Owszem, już je słyszałem - powiedział Pagan.

Kobieta wyszła z hotelu. Drzwi otworzył przed nią boy w wysokiej czapce. Pagan przyjrzał

się własnemu odbiciu w szybie i doszedł do wniosku, że wygląda jak zjawia wkraczająca tylnymi drzwiami na nieznane lądy świata targanego mediumicznymi mocami.

Odczekał dziesięć minut w hotelu, a potem wyszedł na ulicę i skręcił za róg. Doszedł do małej, mrocznej kawiarenki, którą łatwo przeoczyć, jeśli nie szuka się właśnie jej.

W środku panował półmrok i było dość cicho. Tajemnicza kobieta siedziała przy stoliku i przeglądała się w miniaturowym lusterku. Pagan zajął miejsce naprzeciw niej i zamówił

filiżankę tureckiej kawy.

- Przepraszam za te wszystkie fortele - odezwała się, wyciągając dłoń zbyt delikatną, aby ją uścisnąć. Pachniała tak mocnymi perfumami, że dłuższy pobyt w jej towarzystwie wymagałby maski tlenowej. - Nazywam się Yictoria Canningsby.

- Wspominała pani o Brysie Harcourcie - powiedział Pagan. Napił się kawy i serce zaczęło mu bić żywiej.

- Od razu przechodzi pan do rzeczy - zauważyła.

- Nie bawię się w ceregiele, panno Canningsby, bo zajmują za dużo czasu.

- Właściwie „pani Canningsby”. Pagan odstawił filiżankę.

- Wracajmy do Bryce'a Harcourta.

- Chciałam przyjść do pańskiego biura - powiedziała lekko zmienionym tonem, jakby wyłączyła się z otoczenia i poszukiwała czegoś w pamięci, przymykając niebieskie oczy. -

Tylko że nie czułabym się wówczas bezpiecznie. Sam pan rozumie.

- Szczerze mówiąc, nic nie rozumiem.

- Jeśli pan chce, może się pan ze mną przekomarzać. - Znów się uśmiechnęła, lecz uśmiech zamarł jej na ustach. Miała w twarzy coś uwodzicielskiego, jakiś wyraz przeznaczony jednak nie dla Pagana, lecz przybierany raczej z nawyku. Pagan odniósł wrażenie, że kobieta ta sypia z mężczyznami o wiele młodszymi od siebie.

- Znałam Bryce'a od dwóch lat - powiedziała. - Byliśmy... dobrymi znajomymi. I nie mówmy o tym więcej. Rozmowa o sprawach osobistych jest dla mnie kłopotliwa. W każdym razie byliśmy ze sobą

bardzo blisko.

Pagan spojrział na swą kawę, a kobieta otworzyła torebkę, wyjęła papierosy i podsunęła mu zapalniczkę. Dziwiąc się swojej reakcji, podał jej ogień. Pani Yictoria Canningsby najwyraźniej przywykła do odźwiernych, usłużnych taksówkarzy i zapalania jej papierosów.

Przy tak światowych damach Pagan odkrywał u siebie nieznane zasoby dobrych manier.

- Jechał tym metrem - oznajmiła.

- Skąd pani wie?

- Wiem wiele na jego temat.

- Rozumiem, ale skąd pani wie, że jechał tym metrem?

Podniosła głowę i wypuściła w górę strużkę dymu. Dopiero przy tym gościu Pagan zauważył na jej szyi zmarszczki. Pewnie czasami przeżywa przed lustrem katusze, pomyślał.

- Mam znajomości w amerykańskiej ambasadzie. Wystarczył jeden telefon, aby któryś z jego współpracowników potwierdził moje obawy.

- No dobrze. Jechał metrem, zginął, to wielka tragedia. Po co jednak ta aura tajemniczości?

Czego się pani boi?

- Pewnych obaw nie da się sprecyzować - zauważyła.

- Boże, nienawidzę takich mistyfikacji.

- Czyżby? A ja myślałam, panie Pagan, że stanowią one nieodłączną część pańskiej profesji.

- To jeszcze nie znaczy, że muszę je lubić. Odłożyła papierosa.

- Bryce Harcourt był człowiekiem czarującym. Miał pewną słabość do płci pięknej, chociaż bynajmniej nie można go było nazwać uwodzicielem. Wiedział, jak postępować z kobietami, i czynił to z prawdziwym wdziękiem.

- Do czego pani zmierza?

- Przygotowuję tło, choć zdaję sobie sprawę, że nadużywam pańskiej cierpliwości. Ale już dochodzę do sedna. - Pociągnęła łyk kawy i odstawiła filiżankę ze śladem szminki na brzegu.

- W ciągu ostatnich kilku tygodni widziałam się z Bryce'em trzy, może cztery razy i zauważyłam, że najwyraźniej coś go gnębi. I to bardzo.

Nagle odezwała się szafa grająca i damski głos zaczął śpiewać turecką wersję piosenki

„Smoke Gets In Your Eyes”. Pagan starał się nie słyszeć tych dźwięków.

- A co go gnębiło? - zapytał.

- Twierdził, że ktoś go śledzi i że jego telefon jest na podsłuchu. Chyba nie skłamię, mówiąc, że obawiał się o swoje życie. Bał się też o jakiegoś swojego współpracownika. A nie należał do osób lękliwych. Był raczej człowiekiem beztroskim.

- Dlaczego ktoś miałby go śledzić? Lekko wzruszyła ramionami.

- Na to pytanie nie potrafię odpowiedzieć. Odniosłam wrażenie, że chodziło tu o jego pracę. Poza tym... - Znów wzruszyła ramionami.

- O ile wiem, zajmował się w ambasadzie zbieraniem i analizą różnych informacji.

Yictoria Canningsby roześmiała się.

- Bryce? Miałby być analitykiem?

- Co w tym śmiesznego?

- Wszystko. Gdyby pan go znał, sam by pan się przekonał. On mógłby analizować co najwyżej budowę anatomiczną kobiety.

- W takim razie co robił w ambasadzie?

- Nigdy nie mówił mi tego wprost. Jeśli ktoś powiedział panu, że Bryce był analitykiem, to chyba... został pan wprowadzony w błąd. Czasami niewinna nazwa wykonywanej pracy może stanowić przykrywkę dla mnóstwa grzechów.

Jeżeli Yictoria Canningsby się nie myli, pomyślał Pagan, to Quar-terman kłamał, przedstawiając funkcje Harcourta. Niestety amerykańska forteca przy Grosvenor Square była dla Pagana niedostępna, bo personel dyplomatyczny cieszy się takimi samymi przywilejami, jak święte krowy spacerujące nad brzegami Gangesu. Quarterman nie bez powodu wprowadził Pagana w błąd - o ile ta kobieta mówi prawdę. Być może Harcourt zajmował się delikatnymi sprawami, których Quarterman ani nie popierał, ani nie chciał odsłaniać.

- Dlaczego bała się pani przyjść do mojego biura, pani Canningsby?

- Z tej prostej przyczyny, że ostatnio ja również jestem śledzona. Przed moim domem przejeżdżają dziwne samochody. Raz czy dwa razy zdarzyły się też głuche telefony.

Jedni ludzie śledzą innych, pomyślał Pagan. Cienie podążają za cieniami. Świat pełen jest tajemnic i wszystkie rzeczy mają podwójne znaczenie.

- Z powodu pani związku z Bryce'em?

- Przypuszczam, że tak.

- I czuje pani, że zaszkodziłoby, gdyby widziano panią w moim towarzystwie?

- Wydaje mi się, że nawet to dzisiejsze spotkanie może mi zaszkodzić. Panie Pagan, takich przeczuć nie można lekceważyć.

Pagan przez chwilę nic nie mówił. Szafa grająca zlitowała się i zamilkła.

- Zapytam panią wprost. Czy uważa pani, że eksplozja w metrze ma bezpośredni związek z tym, że jechał tam Harcourt?

- Czy ja cokolwiek zasugerowałam możliwość takiego związku?

- Opowieścią o Harcourcie, którego coś ostatnio dręczyło - powiedział. - Pani Canningsby, po świecie chodzi mnóstwo udręczonych ludzi.

Przesunęła krzesło lekko do tyłu.

- Mówiłam przecież, że on się bał o swoje życie. Panie Pagan, proszę zrobić z tą informacją, co pan uzna za stosowne. Mnie się wydało dziwne, że ktoś obawiający się o swoje życie traci je podczas zamachu bombowego. To tyle. Pan jest detektywem, a nie ja.

- Zbieg okoliczności. - Mówiąc te słowa, Pagan przypomniał sobie pytanie Foxiego:

„Frank, a może zamachowcowi chodziło tylko o jedną osobę?”

- Skoro pan tak twierdzi. - Wstała i włożyła futro. - Wypadki chodzą po ludziach.

- Pani Canningsby, w takiej sytuacji bardzo trudno zaakceptować inne wyjaśnienie niż zbieg okoliczności. - Spojrzał jej w oczy, znów chłodne i wyniosłe. - Czy w razie potrzeby mógłbym się z panią jakoś skontaktować? - zapytał.

- Proszę zajrzeć do książki telefonicznej. Mieszkam w Wivelsfield, w Sussex. Ostrzegam jednak, że nie chciałabym nagłaśniać swojego udziału w tej sprawie.

Chodzi o męża, pomyślał Pagan, o jakiegoś zapracowanego rogarza z City, który nie ma pojęcia o wyczynach swojej żony.

- Zachowam dyskrecję - powiedział.

- Wierzę, że pan potrafi. - Odeszła do drzwi i nie oglądając się za siebie wyszła na ulicę.

Pagan odczekał kilka minut i opuścił kawiarnię dopiero, gdy z szafy grającej rozległ się męski głos, wyśpiewujący turecką wersję utworu „My Way”.

Wrócił taksówką do biura na Golden Square, gdzie właśnie sprzątacze usuwali kartonowe pudła. W

jego gabinecie było pusto i tylko kobieta w chustce na głowie odkurzała podłogę.

Na jego widok natychmiast wyłączyła elektroluks.

- Własnych myśli nie słyszeć - powiedziała. - Już kończę, złociu-teńki. - Znow włączyła odkurzacz i Pagan przez chwilę obserwował kłęby kurzu. Usiadł za biurkiem i zmusił się do zachowania cierpliwości. Chciał w ciszy przemyśleć sobie informacje od Yictorii Canningsby. Czy coś wyjaśniają? Czy też stanowią tylko kolejną poszlakę w śledztwie, które jeszcze się nie rozkręciło? W kłębówisku zwłok pogrzebane zostały setki tajemnic, więc i Bryce Harcourt zabrał ze sobą kilka.

- No już, złociuteńki. Zrobione. - Sprzątaczką wyłączyła odkurzacz i wyciągnęła go z gabinetu.

- Bardzo dziękuję - powiedział Pagan. Miał na biurku plik wiadomości telefonicznych zebranych przez Ewinga czy jednego z mundurowych policjantów działających na gorze.

Przejrzał je pośpiesznie, ale nie znalazł nic ciekawego. W gabinecie pojawił się Foxie z jakimś nieznanym.

- Frank - powiedział energicznie - znasz sierżanta śledczego An-drew Scobiego? Ma interesującą wiadomość.

- Bardzo mi się przyda coś ciekawego - rzekł Pagan, podając rękę Scobiemu, który miał

posturę szafy i uścisk dłoni wytrawnego żeglarza. Sierżant należał do policjantów starszego pokolenia, zbliżał się już do emerytury, a swoją karierę rozpoczynał od sąsiedzkich bijatyk w czasach, kiedy na świecie wszystko było o wiele prostsze, a posterunkowi znali po imieniu wszystkich mieszkańców swojego okręgu. W owych czasach rzadko zdarzały się napady z bronią, czy inne przejawy bezsensownej przemocy i na ziemi nie zapanował jeszcze znany obecnie klimat brutalności.

- Panie Pagan, w Mayfair zamordowano prostytutkę. Brutalność tej zbrodni przekracza wszelkie granice. Całe ciało pokiereszowano nożyczkami.

Słuchając słów sierżanta Pagan zastanawiał się, co to może mieć wspólnego z jego dochodzeniem.

-No i...?

Scobie był skrępowany. Niezgrabnie przestępował z nogi na nogę.

- Nie bardzo wiem, jak mam to powiedzieć.

- Jakkolwiek.

- No cóż, z tym się łączy pańskie nazwisko.

- Jak się łączy? Nic nie rozumiem.

- Chyba najlepiej będzie, jak sam pan to zobaczy.

Zawidowo, Rosja

Na pagórek porośnięty sosnami wjechało konno trzech mężczyzn w grubych paltach. Ząbki śnieżne mieniły się w jasnym, zimowym słońcu. Buchające parą z pysków, zdyszane konie brodziły po boki w śniegu. Okolica była pusta i sprawiała tajemnicze wrażenie. Co jakiś czas zrywał się wiatr i strącając z sosen płaty śniegu, tworzył na tle wszechobecnej bieli zielone plamy.

Jadący z przodu ochroniarz prezydenta, uzbrojony w karabin automatyczny, badał teren.

Chociaż jego sześciu ubranych na biało ludzi krążyło pomiędzy drzewami, pozostawali niewidoczni nawet dla niego. Ściągnął lejce i zatrzymał potężnego, karego konia.

Obejrzał się i dostrzegł jadącego na gniadej klaczy Gurienkę oraz jego kompana Budionnego, dosiadającego kasztanowego wałacha. Obydwaj palili papierosy.

Zbliżający się do sześćdziesiątki Gurienko przypominał gniewnego poetę wyniszczonego przez alkohol. Mieszkając za młodu w Kazaniu, próbował krytykować błędy sowieckiego marksizmu w alegorycznych wierszach, które z perspektywy czasu uważał teraz za naiwne i kompromitujące. W czasach studenckich był również kimś w rodzaju eksperta od dzieł

Tintoretta i opublikował na jego temat krótką monografię, której prawdopodobnie nawet nikt nie przeczytał. Jego wrażliwość artystyczna osłabła, gdy zaczął brać udział w brutalnym życiu politycznym. Początkowo zajmował się złożonymi kwestiami przetrwania kraju po rozpadzie Związku Sowieckiego, a później walką o fotel prezydenta i rozwiązywaniem nieprzyjemnego konfliktu zbrojnego - krwawych zamieszek w centrum Moskwy - który zakończył się uwięzieniem oponentów i oskarżeniem ich o zdradę stanu.

Chociaż od czasu do czasu Gurienko sprawiał wrażenie zachłyśniętego władzą i zapatrzonego w siebie ponuraka, to był człowiekiem ambitnym i miał żelazną wolę. Długo i ciężko walczył o władzę, a potem bronił jej zażarcie, choć zdarzały mu się rzadkie chwile melancholii, kiedy myślał o zatraceniu swego dawnego ja i wspominał niemal zapomnianą niewinność. Niewinność to niestety łatwo psujący się towar i nie ma na nią miejsca w świecie brutalnej polityki.

Budionny, szef bezpieczeństwa, nieco starszy od prezydenta, zawsze był gładko ogolony i roztaczał wokół siebie silny zapach wody kolońskiej. Słynął z nienasyconego upodobania do młodych dziewczyn, ubierał się w garnitury od Armaniego oraz ręcznie malowane jedwabne krawaty i, podobnie jak Gurienko, miał w Zawidowie daczę. Nawet w postkomunistycznej Rosji władza polityczna zapewniała dawne przywileje.

Gurienko zaciągał się błękitnym dymem i odruchowo klepał konia. Budionny wpatrywał się w ośnieżone drzewa. Wyrzucił niedopałek, który zaskwierczał na śniegu.

Wiatr ucichł i nieruchomy krajobraz ukazał całe swe piękno. Gurienko podniósł głowę ku jasnemu niebu z nagłym uczuciem lekkiej melancholii.

- Cudownie - powiedział wskazując na białe połacie. Zawsze potrafił odczuć swój związek z naturą i romantykę pustych przestrzeni.

Brednie. Budionnemu wcale się w tym miejscu nie podobało. Było mu zimno i ponuro.

Koń wiercił się, jakby wyczuwał jakieś niebezpieczeństwo, więc jeździec musiał go uspokajać szpicrutą. W przeciwieństwie do Gurienki nie był miłośnikiem natury. Źle się czuł

w lesie, na koniu, z tyłkiem utyłanym w śniegu. Wolał bary, domy publiczne, ciepłe kominki i towarzystwo uległych, pachnących dziewczynek.

- Chciałbym ci zapewnić skuteczniejszą ochronę - odezwał się.

Gurienko nie chciał teraz rozmawiać o pracy, chociaż wiedział, że szef ochrony tylko z tego powodu zgodził się towarzyszyć mu w przejażdżce - czego szczerze nienawidził -

pomimo że to pustkowie wykluczało podsłuch, który był jego obsesją.

- Wszystko zostawiam twojej decyzji - rzekł. - Ufam ci pod każdym względem.

- Wolałbym silniejszą ochronę niż normalnie - mówił Budionny. - Zalecałbym przydzielenie większej liczby ludzi.

Gurienko roześmiał się. Budionny przesadzał czasem ze swoimi obawami.

- A możemy sobie pozwolić na dodatkowe bilety lotnicze i pokoje w hotelach? Mimo wszystko jesteśmy biedakami.

- To nie jest kwestia pieniędzy - powiedział Budionny, któremu nie podobało się, że Gurienko ważne sprawy traktuje czasem z lekceważeniem. - Tu chodzi o bezpieczeństwo.

Gurienko miał pulchną, różową twarz. Przez kilka sekund milczał, pocierając rękawiczką nos.

- Rób, co uważasz za konieczne. Wiesz, że uważam całą tę ochronę za bzdurę. - Wciągnął

ostre powietrze głęboko do płuc. Nie zamierzał się poddawać obawom Budionnego.

Obserwował jastrzębia, strącającego skrzydłami płatki śniegu z czubków najwyższych drzew.

- Pewnie, że ochrona to bzdura - mówił Budionny - ale jeśli chodzi o twoją ochronę, to nie mogę pozwolić na uchybienia. Po świecie krąży pełno wariatów.

Gurienko wysunął się do przodu. Budionnemu niewygodnie było w siodle, pośladki bolały go od anglezowania, swędziały go jądra, ale ruszył za prezydentem. Nienawidził tego przeklętego miejsca, śpiew ptaków denerwował go do szaleństwa, a kwiaty i drzewa dobre były według niego jedynie dla ogrodników ze stwardniałymi dłońmi. Chciał, żeby ta wycieczka skończyła się jak najprędzej i żeby

miał już ten dzień za sobą.

Dogonił rozpromienionego prezydenta, który był w swoim żywiole. Gurienko miał

skłonność do zamykania się w świecie marzeń i tracenia kontaktu z rzeczywistością, co Budionnego poważnie niepokoiło. Niemniej prezydent był wspaniałym mówcą i czasami jego słowa potrafiły zrekompensować Rosjanom życiowe niedostatki. Prawda jednak wyglądała tak, że kraj wyniszczały pseudoreformy Gurienki, wszechobecne bezprawie i zanik patriotyzmu, przez co Rosja nieuchronnie staczała się na dno. Oczywiście Gurienko uciszył

wielu swych oponentów, panował nad wojskiem i prawie wszyscy generałowie byli mu posłuszni jak myśliwskie psy, lecz Rosja w głębi duszy była niezadowolona, a on zdawał się nie słyszeć złowieszczych pomruków.

Budionny zaczął myśleć o czymś innym. Miał na wieczór wspaniałe plany - ona była Łotyszka, ale to mu zupełnie nie przeszkadzało. Wyobraził sobie, co go niebawem czeka: gorąca sauna, musujące wino i piersi łotewskiej dziewczyny. Na pewno będzie udawała, że nie zna rosyjskiego, i zacznie mówić tym swoim zabawnym ojczystym językiem. A co to szkodzi? Przecież i tak nie interesował go jej głos.

Gurienko znów zatrzymał konia i przez jakiś czas podziwiał krajobraz. Budionny niezdarnie zapalił kolejnego papierosa. Koń, prawdopodobnie przestraszony płomieniem zapalniczki, poruszył się i zarżał. Co za skurwiele z tych koni.

Prezydent wyglądał na strapionego, jak gdyby nagle przyszła mu do głowy smutna myśl.

- Zastanawiam się chwilami... - Nie dokończył zdania. Budionny wyczuł, że Gurienko znów ma ochotę na zwierzenia, i zrobiło mu się nieswojo.

- Nad czym się zastanawiasz? - Szef ochrony czuł się zobowiązany zadać to pytanie, chociaż nie chciał wysłuchiwać odpowiedzi. Nie lubił wdawać się z Gurienką w skomplikowane dysputy o naturze ludzkiej. Traktował je jak formę kary. Owszem, lubił

prezydenta i przyjaźnił z nim się na prywatnym gruncie, wszystko jednak ma swoje granice.

- Całe życie poświęciłem jednej sprawie, ale czasami przychodzi mi do głowy, że mógłbym pójść inną drogą, jakąś... że tak powiem, spokojniejszą. Gdybym miał jakiś mniej odpowiedzialny zawód, na przykład profesora albo nauczyciela...

O Boże, pomyślał Budionny, przecież kryzys wieku średniego Gurienko powinien mieć już za sobą. Jego słabość polegała na skłonności do rozpamiętywania decyzji i wyborów podejmowanych wiele lat wcześniej. Nie rozumiał prostego faktu, że czasu nie da się cofnąć i raz podjętej decyzji nie można zmienić.

- W polityce najgorsze jest to - mówił prezydent - że czasami trzeba być absolutnie bezlitosnym.

- Na brak tej cechy nie musisz narzekać - odparł Budionny.

- Owszem, być może nie brakuje mi stanowczości, ale nie przychodzi mi ona w sposób naturalny. Kiedyś musiałem się jej po prostu nauczyć. Musiałem też rozwinąć w sobie instynktowną umiejętność słyszenia w ciemności świstu noża. Człowiek musi się chronić i budować wokół siebie skorupę. Uprawiając politykę, nie ma się żadnych przyjaciół. Pod każdym uśmiechem kryje się jakiś podtekst i czyjaś ambicja. Zadaję sobie pytanie, w jaki sposób odbiło się to na mnie? Na człowieku, który znajduje się we wnętrzu mnie? - Gurienko spojrzał na Budionnego i uśmiechnął się. - A może w środku nie ma nikogo? Co, Budionny?

Być może od dawna istnieje już tylko moja własna pycha?

Budionny sam nie lubił uzewnętrzniać swoich uczuć, a gdy ktoś inny czynił to przy nim, zwłaszcza gdy był to Gurienko, natychmiast czuł się źle. Kim on do diabła jest? Jakimś pieprzonym księdzem, który musi wysłuchiwać paplaniny Gurienki na temat duszy?

Budionny miał nieskomplikowany pogląd na świat. Podejmujesz decyzję, a potem zgodnie z nią działasz. Nie ma po co później zawracać sobie głowy ani zastanawiać się nad wątpliwościami lub obawami. Robisz, co należy, i masz, co chcesz.

- Uważasz, że gadam bzdury, prawda? - rzekł Gurienko.

- Nie, skądże - Budionny pokręcił głową.

- Nie umiesz kłamać. Myślisz sobie, że Gurience znowu zebrało się na sentymenty. Co za nudy, co za brednie. - Gurienko ścisnął mocno cugle. Zwierzę szarpnęło łbem. - Budionny, ty przynajmniej udajesz, że mnie słuchasz. I za to ci dziękuję.

Spadający z drzewa śnieg wleciał Budionnemu za kołnierz, roztopił się i lodowato zimna kropla spłynęła po kręgosłupie w dół.

- Jeśli chcesz roztrząsać swoje skrupuły, proszę bardzo. Kiedy zaczniesz się zbliżać do punktu załamania nerwowego, daj mi znać, żebym mógł w inny sposób zorganizować rządy w kraju.

Gurienko roześmiał się.

- Jest w tobie coś zabawnego, Budionny. Chyba ta pewność siebie.

- Nabyłem jej w rodzinnej wsi - odparł szef ochrony. - Gdy krowa ma się cielić, to nie siedzisz na tyłku i nie dumasz o cudzie narodzin. Kiedy wschodzi kukurydza, nie rozpląwasz się w zachwytach nad niezwykłością nasion.

- Będę o tym pamiętał - powiedział Gurienko - gdy następnym razem najdzie mnie chwila refleksji. - Zaciął konia i przejechał przez zaspę, a Budionny, czując, że pośladki ma obtarte do żywego mięsa, niechętnie ruszył za nim.

- Czas się czegoś napić - powiedział Gurienko, odwracając głowę. - Powinniśmy zdjąć te mokre ubrania.

- Na ten temat nie będę się z tobą kłócił. - Budionny uderzył konia szpicrutą i pogrążył się w myślach o Łotyszce, próbując przypomnieć sobie jej imię, na czym zleciał mu czas aż do końca przejażdżki. Jednakże miał też do przemyślenia sprawę mniej rozrywkowej natury niż uciechy z pulchną szesnastolatką z Rygi.

Gdy Gurienko wyszedł z łazienki, Świetłana wytarła mu plecy gorącym ręcznikiem.

Wydawało mu się, że są małżeństwem od zawsze, a ona zna wszystkie jego miny, nastroje i myśli, zanim on zacznie je sobie uświadamiać. Małżeństwo stanowiło dla niego istotę życia, a Świetłana - choć przez lata roztyła się, a jej kruczoczarne, nadal długie włosy posiwiały - nie była żoną tylko dla ozdoby. Unikała wielkich świąteł, rzadko pozwalała się fotografować, wymawiała się zazwyczaj od tradycyjnych funkcji pierwszej damy, była jednak dla Gurienki prawdziwym partnerem, doradcą i zausznikiem. Prezydent nie podejmował bez niej żadnej decyzji i nawet nigdy nie przyszłoby mu to na myśl. Zastanawiał się czasami, jak poradziłby sobie z samotnym życiem, gdyby Świetłana umarła przed nim, lecz myśli te napawały go przerażeniem.

Stojąc teraz i ociekając wodą, rozkoszował się ruchami jej rąk na ręczniku. Wycierała mu ramiona, plecy, nogi i cicho podśpiewywała. Później odłożyła ręcznik i narzuciła mężowi płaszcz kąpielowy.

- Gotowe - powiedziała.

Dawniej, w czasach, do których już nie sięgał pamięcią, pisał dla niej wiersze. Były zbyt naiwne i romantyczne i prosił o ich spalenie, ona jednak obwiązała je tasiemką i zamknęła w małej mahoniowej szkatułce, a kluczyk nosiła na szyi. Gurienko nic o tym nie wiedział, bo była to jej słodka tajemnica. Innych sekretów przed sobą nie mieli. Wziął ją za rękę, przyciągnął do siebie i uśmiechnął się. Wyglądała na zasmuconą i miała oczy bardziej przygaszone niż zwykle.

- Ty go nigdy nie lubiłaś, prawda?

- To okrutny człowiek. Ma w sobie zbyt dużo dzikiej energii. Strasznie traktuje kobiety i lubi dyrygować ludźmi.

- Od wielu lat zapewnia mi ochronę - rzekł Gurienko. - A przecież nie można kwestionować jego lojalności ani skuteczności.

- Nie można. - Pokręciła głową. - I ja wcale nie chcę tego kwestionować, tylko... -

Podwinęła grubą zieloną spódnicę i usiadła na brzegu wielkiej wanny. - Nie martwi mnie Budionny, tylko ta twoja podróż. Pomysł wyjazdu...

- To tylko trzy krótkie dni...

-Wiem, wiem...

- Nie wyjeżdżam przecież po raz pierwszy - powiedział. - Czym ta podróż różni się od innych?

Przez chwilę milczała ze strapioną miną.

- Nakładasz na siebie zbyt dużo obowiązków - odezwała się w końcu. - Pięć krajów i Bóg wie, ile spotkań w przeciągu trzech dni. Te straszne kolacje i przemowy wykończą cię.

Parsknął śmiechem, usiadł obok niej i wziął ją za rękę. Zwrócił uwagę na szklistość skóry -
oznakę nadchodzącej starości.

- Muszę przekonywać ludzi do naszego kraju. Trzeba rozwiewać ich wątpliwości i niepokoje co do naszej stabilności. Muszę to robić. Rozglądam się dokoła i widzę, jak delikatna jest sytuacja, staram się zrozumieć punkt widzenia Anglików, Niemców i Francuzów - oni bardzo się o nas niepokoją. Muszę ich zapewniać o naszych dobrych intencjach.

- Jak zwykły handlowiec.

- Można to tak nazwać - przyznał.

- Chcesz ich przekonać do swego towaru.

-Tak.

- A kto będzie przekonywał mnie, gdy wyjedziesz? - zapytała. Poglądził ją po dłoni. Nie chciał dawać do zrozumienia, że traktuje ją z wyższością, wiedział jednak, iż ona tak ten gest odbiera.

- To tylko trzy krótkie dni - powiedział.

- Trzy długie dni.

Wstała i podeszła do lustra. Bez makijażu widać było zmarszczki, obwisłe powieki i zwiotczałe wargi. Odwróciła się do męża z myślą, że najlepiej będzie okazać teraz odrobinę nonszalancji; przecież nie chciała przysparzać mu zmartwień swoimi wymówkami. On i tak miał na głowie wystarczająco dużo problemów.

- Wiesz co podejrzewam? - zapytała. - Że ta podróż to tylko wymówka, aby obejrzeć swojego ukochanego Tintoretta. Mam rację?

- Ty zawsze potrafisz mnie przejrzeć na wylot.

- To prawda. - Szturchnęła go trochę mocniej niż zwykle i przytuliła trochę dłużej niż normalnie. - Pamiętaj podczas wyjazdu łykać witaminy.

- Obiecuję.

Burgundia

Półprzytomny Jacob Streik nie wiedział, ile godzin minęło od zastrzelenia młodego Niemca; czuł jedynie potworne znużenie. Kilkakrotnie zatrzymywał samochód, aby zwymiotować na poboczu. Gdy wysiadał po raz drugi i oświetliły go ostre reflektory przejeżdżającej ciężarówki, doszedł do

wniosku, że człowiek wymiotujący przy drodze, musi wyglądać upiornie i głupio.

Nie miał pojęcia, gdzie się znajduje, bo od wielu godzin nie patrzył na mapę, myśląc jedynie o przejechaniu kolejnej mili. Czasami ogarniało go dziwne poczucie samotności i pragnienie zatrzymania się w jakimś francuskim miasteczku, żeby pogadać z miejscowymi o piłce nożnej i o tym, czy Paris St-Germain zwycięży w rozgrywkach ligowych, a może też, żeby napić się jeszcze trochę czerwonego wina. Nie wiedział jednak, czy do pościgu za nim nie włączyła się już także policja. Zabił młodego turystę na kompletnym odludziu, ale przecież ktoś mógł za nim pojechać, ktoś mógł zapisać numer rejestracyjny saaba i przekazać go żandarmerii. Być może wszyscy Francuzi z tego regionu poszukują już Amerykanina z nadwagą. Owszem, przydałby się kamuflaż - zwłaszcza, gdyby udało mu się w cudowny sposób stracić ze czterdzieści kilo. Nikt jednak nie wymyślił jeszcze na tyle doskonałej diety.

Dlatego też z burczeniem w brzuchu i opadającymi powiekami jechał w nieznane.

Z tego, że coś potracił, zdał sobie sprawę dopiero, gdy usłyszał głucho uderzenie o maskę samochodu. Chociaż było już za późno, wcisnął hamulce, wysiadł i poszedł z powrotem ciemną drogą. Potracony przez saaba czarny kundel odleciał na odległość trzech metrów i teraz leżał przy drodze z połamanymi łapami i żałośnie przekreśloną głową. Z różowej mordy płynęła krew. Zwrócił oczy ku przykucniętemu obok przerażonemu Streikowi.

I ja się nad tym rozczulam, myślał Streik. Żałuję zdychającego psa. Tracisz nad sobą kontrolę, Jake, zaczynasz szukać przebaczenia w oczach zdychającego zwierzęcia.

Położył rękę na głowie psa i poczuł pod palcami mokrą od krwi sierść. Nie można tak go tutaj zostawić i pozwolić, aby zmiażdżyły go ciężarówki. Wziął zwierzę na ręce i z niemałym wysiłkiem zniósł je na trawę, po czym pospiesznie wrócił do samochodu. Przez chwilę trwał

w bezruchu i czuł ogarniającą go senność. Jeśli nie zdrzemnie się na chwilę, to wkrótce zamieni się w żywego trupa.

Za bezlistnymi drzewami dostrzegł pierwszy przebłysk poranka. Właśnie wtedy zdał sobie sprawę, że całą marynarkę ma usmarowaną krwią psa. Jak tu się pokazać w jakimś pensjonacie? Biemenu, proszę się wpisać do księgi, oto klucz, pokój numer dziesięć, pierwsze piętro - i jak tylko odwróci się plecami, właściciel zaraz chwyci za słuchawkę telefonu i zanim Streik zdąży przyłożyć głowę do poduszki, wpadnie po niego żandarmeria.

Wysiadł z samochodu, otworzył bagażnik i pogrzebał w środku, żeby znaleźć coś do przebrania. Wyszukał czarną, pomietą marynarkę, parę starych, flanelowych spodni i szarą koszulę. Wszedł do lasu i drząc z zimna zdjął pokrwawiony garnitur. W spodenkach musztardowego koloru wyglądał jak człowiek bojący się skoczyć z trampoliny. Nie bez trudu wciągnął za ciasne flanelowe spodnie, a potem włożył marynarkę z metką od Ralphi Laurena.

Schował do kieszeni pistolet, zabrał zakrwawione ubranie, wszedł głębiej między drzewa i przykrył garnitur kupą liści. Później wrócił do samochodu i odjechał.

W końcu, gdy nie mógł już dalej prowadzić, bo oczy wychodziły mu z orbit i coraz gorzej widział, zajechał do małej wioski, gdzie jedynym otwartym lokalem na rynku była kawiarenka. Postanowił zaryzykować i wejść, aby coś zjeść i trochę odpocząć. Zaparkował

samochód na skraju rynku, podciągnął flanelowe spodnie i wszedł do kawiarenki. Usiadł sobie, rozluźnij się, zamów kanapkę i coś do popicia.

Jednak gdy znalazł się w środku, nie mógł znieść ponurych od rana spojrzeń wieśniaków, którzy na jego widok podnieśli głowy. Zastanawiał się, czy wydrukowano już listy gończe z jego podobizną i czy pokazują go w telewizji. Wyobrażenia zaczęła działać w przyspieszonym tempie. Co ci wszyscy ludzie robią w kawiarni o tak nieludzkiej porze?

Podszedł do baru, kiepską francuszczyznę zamówił kanapkę z szynką -jambon sur lepain -

a do tego zimne piwo, bo dręczyło go pragnienie. Czekał, aż kobieta w siatce na włosach obsłuży go, popatrzył na ekran telewizora. Dwóch mężczyzn w ubraniach koloru khaki z przejęciem grzebało w jakichś ruinach. Interesujące, pomyślał Streik. Czyż życie nie byłoby sielanką, gdybym martwił się tylko o odnalezienie skorup jakichś starożytnych greckich waz?

Gdy właścicielka zrealizowała zamówienie, Streik usiadł przy narożnym stoliku i szybko zjadł kanapkę. Piwo przebyło tę samą drogę do głowy, co przedtem wino i koniak, i zadziało ożywczo. Wstał, aby zamówić drugie. Tylko spokojnie, myślał, z nikim nie rozmawiaj, rób swoje i wynoś się stąd w diabły.

Następne piwo znów sprowadziło senność. Zaczął się zastanawiać nad pozostaniem tutaj na nocleg, ale takie rozwiązanie wydało mu się zbyt ryzykowne. Na jakąś minutę zapadł w płytki sen, a po przebudzeniu zdał sobie sprawę, że siedzi z głową zwisającą nad stolikiem.

Muszę jechać do Audrey Roczak, pomyślał; znajdę ją, a ona -jak zawsze - wesprze mnie dobrą radą. Gdzie ona, do diabła, teraz mieszka? Jak się nazywa to miasto? Zarzucił w pamięci gęstą sieć i jak śledzie łowił w nią oderwane obrazy i wspomnienia. Widział już twarz Audrey Roczak oraz wielkie, okrągłe kolczyki, które w czasach zimnej wojny nosiła w Pradze i Berlinie Wschodnim. Dlaczego więc nie może sobie przypomnieć, gdzie ona mieszka?

Nagle coś mu zaświtało w głowie. Lyon. To właśnie tam. Ciekawe, jak daleko jest stąd do Lyonu?

Otworzyły się drzwi i do kawiarni wszedł umundurowany policjant. Ruszył prosto do baru, zamówił kawę i z łokciem opartym o kontuar rozejrzał się po sali. Wymienił serdeczne pozdrowienia z kilkoma ludźmi, a potem spojrział wprost na Streika.

Amerykanin cały czas myślał o chłopaku zabitym po drodze. Natychmiast przypomniał

sobie także o pistolecie, który nielegalnie kupił od drobnego handlarza w barze na Montmartrze, i o braku pozwolenia. Przetarł oczy, położył dłonie na stole, rzucił okiem w kierunku policjanta, a potem zajął się oglądaniem telewizji. Policjant skończył kawę, powiedział do widzenia i wyszedł.

Jake, on prawdopodobnie czeka na ciebie przed wejściem, bo nie chce aresztować cię na oczach wszystkich. Chryste Panie, co za kanał, co za cholerny kanał - chociaż od samego początku coś w tej sprawie śmierdziało. Już parę miesięcy temu, kiedy po raz pierwszy spotkał Bryce'a Harcourta, powinien był wyczuć specyficzny smrodek unoszący się nad tą sprawą i powinien zrozumieć, że na dłuższą metę z tego interesu nie wyniknie nic dobrego.

Dlaczego wówczas nie posłuchał swego wewnętrznego głosu? Dlaczego zlekceważył mądrego doradcę, gnieźdzącego się gdzieś w zakątku umysłu?

Powody były takie same jak zwykle. Duże pieniądze, żądza przygód, zagraniczne podróże, chęć uczestniczenia w czymś ważnym, a oprócz tego jakiś wewnętrzny niedosyt człowieka wychowującego się w biedzie. Teraz jednak wyszło z tego jedno wielkie szambo.

Wstał od stolika, zapłacił rachunek i wolnym krokiem wyszedł na ulicę. Na rynku było pusto, a latarnie rozświetlały jeszcze resztki uchodzącej ciemności. Podszedł do samochodu, otworzył drzwiczki i już miał wsiadać, gdy nie wiadomo skąd pojawił się policjant.

Nadwerężone serce Streika zaczęło się miotać z przerażenia.

- Bonjour - powiedział żandarm.

Uśmiechał się przyjaźnie, lecz Streik wiedział, iż w przypadku policjantów trzeba uważać na zwodnicze pozory.

- Jest pan turystą? - zapytał policjant.

- Amerykańskim turystą - rzekł Streik, jak gdyby określenie tożsamości narodowej miało go chronić przed prawem obcych krajów.

- Znam trochę angielski.

- O, to świetnie - powiedział z entuzjazmem Streik. I co teraz? Powiniennem się przyznać do zabicia cholernego psa, żeby odciągnąć tego gliniarza od zadawania innych pytań? Czyżby ktoś widział, jak przebieram się w lesie? Ktoś podglądał, jak trzęsę się w samych majtkach?

- Pański punkt docelowy. Gdzie on jest?

-On?

-Tak.

Streik zadumał się nad rodzajami gramatycznymi języka francuskiego. Tutaj każda rzecz ma rodzaj męski albo żeński i każdy Francuz ma to zakodowane w głowie. Jak tu zapamiętać, czy rower albo koperta to facet czy kobieta? Ciekawe kto ustalał płeć przedmiotów nieożywionych.

- Jadę do Marsylii - odpowiedział z uśmiechem Streik. Akurat to miasto przyszło mu na głowy.

- Aha, do Marsylii. - Policjant z zainteresowaniem przyjrzał się twarzy Streika, a potem poprosił o prawo jazdy.

Zaskoczony Streik wyciągnął portfel, wyciągnął prawo jazdy wydane przez stan Nowy Jork, a policjant obejrzał dokument z nadmierną uwagą.

- Paszport proszę - powiedział, nie oddając prawa jazdy.

Co jest? O co tu chodzi? Wyjął paszport z kieszeni i żandarm z szyją pokaleczoną przy porannym goleniu przejrzał po kolei wszystkie strony, a potem porównał zdjęcie paszportowe z twarzą Streika, jak gdyby natknął się na pewną niezgodność pomiędzy rzeczywistością a jej fotograficznym odwzorowaniem. Streik wyciągnął rękę po dokumenty, ale policjantowi najwyraźniej się nie spieszyło. Flegma-tycznie przekładał jedną kartkę po drugiej, aż Streik zaczął się denerwować. Podejrzewa mnie, pomyślał, czując ucisk w gardle. On coś wie.

- Nie najlepszą mamy porę roku na podróż - odezwał się żandarm.

- Rzeczywiście, ale jest przynajmniej cicho - powiedział Streik z uśmiechem, chociaż miał

wrażenie, że policjant chce mu uniemożliwić dalszą drogę. - Poza tym w hotelach i restauracjach są niższe ceny. Wszędzie mniejszy tłok i mniejsza drożyzna. - Zmuszał się do swobodnej pogawędki.

Policjant wzruszył ramionami. Prawdopodobnie uznał jazdę po mrozie za rzecz bardzo dziwną. Chcąc okazać zniecierpliwienie, Streik potrząsnął kluczykami w dłoni.

- Mam kilka pytań - powiedział policjant.

- Jakich pytań?

- Jak długo przebywa pan w naszym kraju?

- Od kilku tygodni.

- Gdzie pan przebywał?

Streik zaśmiał się, a w jego głosie można było dosłyszeć nutkę szaleństwa.

- To tu, to tam, sam pan wie, jak to bywa. Cóż w tym złego? A może nie działają mi światła stopu albo coś w tym rodzaju? Policjant jakby nie rozumiał wypowiedzi Amerykanina.

- Będzie pan musiał pójść ze mną...

- Proszę?

- Mam jeszcze kilka innych pytań.

- Chwileczkę - powiedział Streik. - Jestem obywatelem amerykańskim i tylko tędy przejeżdżam.

Proszę o zwrot paszportu i prawa jazdy.

Policjant schował dokumenty do kieszeni munduru.

- Później. Teraz poproszę pana ze sobą.

Jasna cholera, pomyślał Streik; powoli zaczęła go ogarniać panika. Czy policjant został już powiadomiony o śmierci tamtego Niemca? Czy rozesłano już nakaz aresztowania mnie?

Nagle ujrzał przed oczami list gończy z napisem: żywy lub martwy. Rozejrzał się po rynku.

Kiepska sprawa, pomyślał. Nigdzie nie widział drogi ucieczki. Co by było, gdyby nie poszedł

za żandarmem? Spojrzał na samochód i zastanowił się nad wskoczeniem do środka, przekręceniem kluczyka i odjechaniem prosto przed siebie. Element zaskoczenia jednak daje niewielki margines swobodnego działania. Dokoła słychać było szum suchych liści poruszanych porannym wiatrem.

- Bądźmy rozsądni - odezwał się. - Muszę przecież dokładnie wiedzieć, za co pan mnie chce zatrzymać. Zgadza się?

- Chcę panu zadać kilka pytań - odparł żandarm.

- Tak, już pan to mówił. Proszę w takim razie zadać te pytania od razu tutaj. I tak nie zamierzam na nie odpowiadać. Policjant z uporem pokręcił głową.

- Proszę do mojego samochodu - skinął ręką w kierunku przeciwnej strony rynku.

Streik zawahał się. Musiał działać, i to szybko. Jeśli ten dupek w mundurze myśli, że dostanie medal za złapanie mordercy, to grubo się myli. Na tyle szybkim ruchem, na ile pozwalała Streikowi tusza, wyciągnął zza paska pistolet i wycelował w policjanta, który z przerażoną miną zrobił krok do tyłu.

- Zaraz łeb ci rozpiardolę - powiedział Streik.

- Proszę odłożyć pistolet.

- Jeszcze czego. Masz mnie za skończonego durnia?

Trzymając żandarma na muszce, wsiadł do samochodu, wsadził kluczyk do stacyjki, otworzył okno i zatrzasnął drzwi. Chryste, dokąd to wszystko mnie zaprowadzi? Przez moment rozważał, czy się nie poddać i nie trafić do francuskiego więzienia, lecz doszedł do wniosku, że któregoś dnia ktoś dorwie go nawet za kratkami i wtedy będzie już po nim.

Nawet gdyby nie trafił do więzienia, to proces nabrałby rozgłosu i zostałaby poinformowana ambasada amerykańska, z którą bynajmniej nie chciał mieć do czynienia. Nie pozostało mu żadne wyjście. Nie miał szans na wyrażenie ostatniego życzenia przed śmiercią.

Zastanawiał się nad zastrzeleniem policjanta, ale zrezygnował z tego. Zabicie niemieckiego

autostopowicza to już problem, lecz dopiero martwy policjant ściągnąłby mu na głowę masę kłopotów. Z całej siły nacisnął pedał gazu i wyjechał z rynku, chcąc znaleźć się możliwie najdalej od żandarma. W lusterku wstecznym dostrzegł, że policjant biegnie do swego samochodu.

Dojechał do wąskiej i krętej drogi. Za wszelką cenę starał się koncentrować. Miał

zamiłowanie do samochodów i był bardzo dobrym kierowcą - to jedno mógł powiedzieć o sobie z całą pewnością. Kradł samochody i jeździł nimi w Bronksie od trzynastego roku życia.

Nie spuszczać oka z lusterka wstecznego, mknął szosą. W odległości pół mili za sobą dostrzegł samochód policjanta. Dodał gazu, usłyszał pisk opon i poczuł, jak samochód podskakuje na wybojach. Wyobrażał sobie policjanta podnoszącego w samochodzie telefon i mówiącego: „Mam podejrzanego w sprawie zabójstwa Niemca. Jedzie w kierunku Route 89.

Przyślijcie posiłki i ustawcie blokady". Ja-cob Streik został wzięty na cel. Zagubiony w obcym kraju, bez paszportu i prawa jazdy... ale co tam, byle do przodu, trzeba dalej ciągnąć tę pieprzoną podróż. Wcisnął gaz do dechy, lecz mimo to policjant nie schodził mu z ogona.

Na sporym odcinku droga była prosta, szybkościomierz wskazywał dziewięćdziesiąt siedem mil na godzinę i saab zaczynał wpadać w wibracje. Nie puszczać pedału gazu, Streik chciał wymusić większą prędkość. No dalej, dalej, jeszcze trochę! Kolejny zakręt, kolejny ruch kierownicą i kolejne zerknięcie w lusterko. Policjant był już o sto metrów za nim i zbliżał się coraz bardziej, a Streik usiłował jeszcze coś wycisnąć ze swego wozu. Ścisnął

rękami kierownicę i czuł, że w gardle ma tak sucho, jak na prerii podczas upałów.

Policjant zbliżał się coraz bardziej, a Streik zdał sobie sprawę, że nie prześcignie francuskiego wozu. Saabowi brakuje zrywności, a renault policjanta jest być może podrasowany. I co teraz? Zatrzymać się? Złożyć broń? Jechał dalej przed siebie. Krajobraz budził szereg absurdalnych wrażeń - gęsi spacerujące koło płotu, różowe świny tarzające się w błocie, opuszczone zamki z powybijanymi szybami i oknami zabitymi deskami. Nic nie miało sensu. Zwierzęta, drzewa, domy sunęły po ziemi, jakby nie obowiązywało ich prawo grawitacji.

Na wąskiej drodze policyjny samochód dogonił go. Streik zobaczył spiętą twarz policjanta dającego ręką znak do zjazdu na pobocze, on jednak skręcił lekko w lewo i usłyszał zgrzyt metalu o metal, gdy zetknęły się ze sobą dwa pędzące koła. Kołpak z koła renault spadł z hałasem. Hurra! Jadę dalej!

Policjant wycofał się, ale potem znów podjechał do przodu i Stre-ik zaczął się zastanawiać, czy go nie zastrzelić. Pistolet miał na kolanach, więc wystarczyło strzelić przez szybę, jednak przy takiej prędkości szansa trafienia w cel równała się zeru. Jeszcze raz ruszył kierownicą w lewo, saab uderzył w renault i policjant zjechał na pobocze, choć nie stracił panowania nad wozem. Twarde bydlę, pomyślał Streik, nie tak łatwo go wykosić. Wziął pistolet i prowadząc tylko jedną ręką, strzelił w kierunku renault, ale kula, nie czyniąc żadnych szkód, poleciała w las.

Policjant znów jechał równo ze Streikiem i wykrzykiwał coś, co Amerykanin brał za przekleństwa.

Zdesperowany Streik strzelił jeszcze raz i tym razem trafił w maskę, wywołując fontannę iskier. Trafiony, pomyślał. Poszły przewody elektryczne i coś musi przestać działać. Renault zwolnił, twarz policjanta oddaliła się i Streik widział we wstecznym lusterku, jak Francuz bezsilnie wpada w kępę rosnących przy drodze drzew, nad którymi po chwili uniosły się kłęby czarnego dymu.

Streik nie zwolnił ani trochę, nie zamierzał uczcić swego zwycięstwa, me spoczął na laurach. Mknął przed siebie, aby znaleźć się jak najdalej od policjanta. W końcu zaczął się rozglądać za boczną dróżką, prowadzącą z pewnością przez jakąś ospałą wioskę lub pomiędzy uprawnymi polami, gdzie tylko od czasu do czasu można spotkać ponurego rolnika przy jakiejś pracy.

Naprzód. Nie zatrzymuj się.

Kiedy osiągnął taki stan umysłu, że zabrakło mu adrenaliny na dalszą jazdę i czuł się całkowicie rozbity wewnątrz, zjechał z drogi, stanął pod gołymi drzewami, rozłożył fotel i zwinięty w kłębek, zapadł w sen.

Śnił o Audrey Roczak ubranej w tradycyjny cygański strój, która tuląc go do siebie, szeptała ciche słowa: „Jake, ze mną jesteś bezpieczny jak we własnym domu”. Jednakże sen, który zaczął się tak spokojnie, nagle zmienił kierunek o sto osiemdziesiąt stopni i Streik wyraźnie teraz czuł, że to Audrey Roczak ukradła mu paszport i prawo jazdy. „Jake, teraz jesteś człowiekiem bez przynależności państwowej. Jakie to uczucie?”

Londyn

W pokoju cuchnęło śmiercią i papierosami. Nasiąknięte krwią prześcieradła, którymi związane było ciało dziewczyny, zmieniły kolor z purpurowego na ponuro brązowy. Pagan uniósł jedno prześcieradło i spojrzał młodej dziewczynie prosto w zionące pustką oczy, osadzone w bladej, pozbawionej krwi twarzy, wyrażającej typową dla zmarłych obojętność.

Na widok wybitego zęba i ust pobrudzonych tuszem do rzęs, poczuł lekki smutek -

przydałoby mu się jakieś szczepienie uodparniające na widok okrutnie zadawanej śmierci.

Obcowanie z morderstwami jednych policjantów hartowało, u innych wywoływało poczucie czarnego humoru, a jego nadal wytrącało z równowagi i skłaniało do pesymistycznych refleksji nad ogólnie złą kondycją gatunku ludzkiego.

Foxworth stał przy łóżku i tupał w podłogę, jakby chciał czym prędzej opuścić pokój.

Pagan odłożył prześcieradło, spojrzał na stojącego przy oknie Scobie'ego i podszedł do lampy. Przyjrzał się abażurowi, a potem z rękami założonymi na piersi stanął oparty o ścianę po drugiej stronie pokoju.

Wypisany palcem umaczanym w krwi napis był wyraźny. Pagan czuł w skroniach dziwnie silne pulsowanie.

- Sam pan widzi, co miałem na myśli. - Scobie wskazał brodą na lampę.

- I to dość wyraźnie - zauważył Pagan. Jeszcze raz spojrzął na lampę, a później przeniósł

wzrok na Foxiego, który przez zaciśnięte wargi wydawał jakieś niewyraźne dźwięki.

- Co to może znaczyć - odezwał się w końcu. - Domyślasz się?

Pagan wrócił do łóżka. Na powierzchni nocnego stolika pozostały ślady proszku, rozsypanego przez specjalistów od daktyloskopii. Pokój zasypano proszkiem, obfotografowano, założono teczkę i wprowadzono odpowiednie dane do komputera - nawet morderstwo obrasta biurokracją. Sierżant Scobie stwierdził już, że z płataniny odcisków palców nic się nie da odczytać, ponieważ ślady należą nie tylko do denatki i współlokatorki, lecz także do ich licznych klientów. Część odcisków znaleziono w całości, w przypadku innych tylko fragmenty - a sprawdzenie wszystkich zajmie dużo czasu.

- Natychmiast sprawdziliśmy i ustaliliśmy, że na abażurze pisał ktoś w rękawiczkach -

powiedział Scobie. - Ściśle mówiąc, w jedwabnych rękawiczkach.

Pismo rękawiczkowe, pomyślał Pagan. Ciekawe tylko, na czyjej dłoni znajdowała się ta przeklęta rękawiczka. Jeszcze raz spojrzął na komunikat, pozdrowienia lub szaradę - bo sam nie wiedział, jak traktować ten krwawy napis. Dotknął taniego, papierowego abażura, kupionego zapewne na wyprzedaży w sklepie z lampami. Zaskoczyły go staranne i precyzyjne kształty liter. Od Heathrow minął szmat czasu. Czy pan jeszcze pali, mister Pagan" Starał się wyobrazić sobie wskazujący palec, maczany co chwila w krwi zamordowanej dziewczyny.

- Frank, co to znaczy? - powtórzył pytanie Foxie.

Pagan pozwolił sobie na chwilę wrócić myślami do wczorajszego spotkania z Brennan Carberry, jak gdyby pomimo uszkodzenia samochodu to krótkie spotkanie stanowiło jedyną przyjemną rzecz, jaka zdarzyła mu się od wielu miesięcy. Zdał sobie teraz sprawę, jak niemądry był, myśląc o pocałunku z Brennan. Chyba coś mi odbija, pomyślał.

- Nie wiem - powiedział, kręcąc głową.

- Jedno jest pewne - podsumował Scobie, patrząc na Pagana osowiałym wzrokiem. -

Morderca pana znał.

- A w każdym razie moje nazwisko - rzekł Pagan. Atmosfera w pokoju zaczynała go przyprawiać o mdłości. Zaprzagnął otworzyć okno i zaczerpnąć zimnego powietrza.

- O co chodzi z tym nawiązaniem do Heathrow? - zapytał Fox-worth.

- Nie bardzo wiem - odparł Pagan.

- A z rzuceniem palenia...

- Też nie wiem. - Pagan usłyszał w swoim głosie złość, lecz nie na Foxiego, tylko na własną niemożność rozszyfrowania napisu. Był na to zbyt spięty, pomieszczenie wydawało mu się zbyt małe, ściany zbyt ciemne, a dodatkowo wytrącała go z równowagi bliskość zwłok.

- Musiałeś poznać kiedyś tego kogoś - zasugerował cicho Foxie. Przyjrzał się literom na lampie i dodał: - Można powiedzieć, że mamy do czynienia z umysłem, przynajmniej pod jednym względem, uporządkowanym. Frank, znasz kogoś pasującego do takiego opisu?

Pagan przyłożył dłoń do czoła. W głowie miał pustkę. Słyszał jak Scobie ostrożnie odchodzi i zawadza połą płaszczą o ścianę.

- Ktokolwiek zabił dziewczynę, chciał, aby pan się o tym dowiedział - rzekł Scobie.

- Na to wygląda.

- Dziwna sprawa - orzekł sierżant.

Słowo „dziwna”, pomyślał Pagan, chyba nie najlepiej tu pasuje. Ktoś popełnił morderstwo i zostawił wizytówkę. Tylko po co? Po co? Po co... Chodził po pokoju, kręcąc głową. Myślże, Frank. Czasami, gdy człowiek chce odszukać coś w pamięci, wszelkie próby kończą się fiaskiem. Pagan podszedł do drzwi, otworzył je i wyjrzał na schody. W chłodnym korytarzu na najwyższym stopniu stał umundurowany policjant.

Niestety, mordercy przybierają zatrważające mnóstwo postaci -bywają pokorni i o łagodnym charakterze, miewają wściekłe oczy i bełkoczą w obłędzie, czasem są brzydce, a czasem piękni, niekiedy uwielbiają rozwiązywać problemy i są świetnymi graczami, czasem piszą bardzo osobiste listy, a czasem dzwonią anonimowo - nie ma tu żadnych reguł. Gdyby chodzili ze znaczkiem wytatuowanym na czole, to łapanie ich nie sprawiałoby trudności.

Niestety świat wygląda inaczej.

„Czy pan jeszcze pali?”

Żałował, że nie ma ze sobą papierosów, że nie ma czym zająć rąk i nie może wprowadzić do organizmu nikotyny. Wrócił do pokoju, zamknął drzwi i spojrzał na napis. Zastanawiał się, dlaczego ktoś zwrócił się do niego „mister Pagan”, a nie po prostu „Pagan”. Czy ma to oznaczać sarkazm? A może złośliwość? Zdjął abażur z lampy i przez chwilę trzymał go oburącz, jak czaszkę dawno zmarłej istoty, którą trzeba zidentyfikować.

„Heathrow”. Środkowe h było jaśniejsze, bo autorowi najwyraźniej zabrakło „atramentu” i z pewnością w tym momencie nabrał krwi na palec, ponieważ „rów” były już wyraźne.

Można by cały dzień analizować ruchy ręki mordercy i w najmniejszym stopniu nie przybliżyć się do rozwiązania zagadki.

- Proponuję, żeby pokazać to pismo Gundersonowi - powiedział Foxie.

Scotland Yard zatrudniał już wcześniej znakomitego grafologa Hansa Gundersona. Pagan nie wierzył za bardzo w jego ekspertyzy, ponieważ analiza pisma wydawała mu się ąsasi-nauką, opierającą się na spekulacjach, a sam Gunderson - aroganckim, zbyt pewnym siebie facetem, przeceniającym własne umiejętności. Z całą powagą oświadczył kiedyś, że ręczne pismo w większym stopniu niż oczy stanowi odzwierciedlenie ludzkiej duszy, a jego rozmówcy często musieli wysłuchiwać tego typu pompatycznych stwierdzeń. Grafologów, frenologów i numerologów Pagan na ogół uważał za szarlatanów.

- Dobrze wiesz, co myślę na temat Gundersona - odparł.

- Nie zaszkodzi spróbować. - Foxworth wzruszył ramionami.

- Foxie, to trochę tak, jakbyśmy poszli do pedikiurzysty i poprosili o zoperowanie raka mózgu.

- Możliwe, ale nie mamy nic do stracenia.

- Z wyjątkiem czasu. - Pagan westchnął, podszedł do okna i spojrział na biegnącą dołem uliczkę. Przyszło mu na myśl, że pokój mieści się niecałą milę od miejsca wybuchu i być może morderstwo dziewczyny ma coś wspólnego z zamachem w metrze. Typowy umysł

gliniarza, pomyślał, zawsze szukam związków, zawsze łączę jedno z drugim, jak gdyby zbrodnie rządziły się jakąś logiką.

- Frank, nigdy nic nie wiadomo, Gunderson może rzucić na sprawę nowe światło. Masz jakieś inne propozycje?

Pagan chciał zyskać czas na spenetrowanie pamięci i zgodził się -choć z wyraźnym oporem

- na sugestię Foxwortha. Postanowili zabrać abażur do Gundersona i posłuchać, co guru ma na ten temat do powiedzenia. Foxie niezgrabnie wziął od Pagana abażur.

- Jeśli stracimy czas, Foxie, to winnego nie trzeba będzie daleko szukać.

- Frank, przecież pracujesz ze mną tylko dlatego, żeby zawsze mieć pod ręką kozła ofiarnego.

Patrząc na współnika, Pagan zastanawiał się, czy w głosie jego młodego partnera nie zabrzmiał czasem wyrzut. To prawda, myślał, Foxie często zbiera cięgi za moje frustracje.

Ale tak to już jest, że ten niepisany układ stanowi integralną część naszej pracy, i Foxie dobrze o tym wie. Być może czasem zbyt mocno go ranie swoimi szorstkimi manierami.

Podszedł do Foxiego i położył mu dłoń na ramieniu.

- Wydaje mi się, że bardziej szczekam niż gryzę - powiedział.

- Mnie też - odparł Foxie.

- Chcesz, żebym cię przeprosił?

- Frank, przecież to byłoby wbrew twoim zasadom. - I Foxie ze śmiertelnie poważną twarzą wybuchnął śmiechem.

Zostawili Scobiego w mieszkaniu i wyszli na ulicę do samochodu. Foxie delikatnie ułożył

abazur na tylnym siedzeniu, włączył silnik i ruszył w kierunku Regens Park. Patrząc w milczeniu przed siebie, Pagan starał się pobudzić umysł do działania. Coś ciągle mu umykało, coś cały czas chowało się pod powierzchnią. Niecierpliwił się również nową komplikacją, odciągającą go od sprawy zamachu bombowego. W pewnym momencie spojrzął do tyłu na abazur, który, absurdalnie, wydał mu się dodatkowym pasażerem w samochodzie. Miał

wrażenie, że zabójca przewidział, iż ta głupia, zwyczajna rzecz będzie traktowana i analizowana niczym rękopisy znad Morza Martwego. Dobry dowcip, o ile ktoś lubi tego typu humor.

Przy Gloucester Place Foxie zatrzymał się na światłach.

- No i co? - zapytał Pagana. - Przyszło ci na myśl coś nowego? Pagan nerwowo bębnił palcami w kolana.

- Foxie, powiem ci, co czuję. Czuję się głupio, wioząc tę przeklętą rzecz przez Londyn.

Dlaczego morderca nie zostawił informacji w mniej śmiesznym miejscu? Przecież doskonale nadałby się zwykły kawałek papieru. Dlaczego, na litość boską, akurat abazur?

Foxie pojechał Baker Street w stronę Regens Park. Zaparkował samochód na ulicy, przy której w suterenie starego domu mieszkał Gunderson. Zabrał z tylnego siedzenia abazur i poszedł za Paganem śliskimi, kruchymi schodkami do wejścia. Pagan zadzwonił do drzwi, po chwili otworzył im drobny, niski mężczyzna z wiecznie nadąsaną miną. Gunderson ubrany był w stary rybacki sweter z łatami na łokciach, luźne spodnie i stare klapki. O dziwo, pachniał marcepanem.

- Nie przypominam sobie, żebym zamawiał abazur - odezwał się.

- Śmieszne jak cholera - powiedział Pagan, po czym wziął abazur od Foxwortha i wcisnął grafologowi w rękę.

- Wejdźcie do środka - powiedział Gunderson i poprowadził ich ciemnym korytarzem do słabo oświetlonego gabinetu zastawionego książkami, w większości jego autorstwa, drukowanymi na przenośnej drukarce.

- Widzę, że nadal masz pełne ręce roboty - zauważył Pagan.

- Tak, jeszcze nadejdzie mój dzień - rzeki grafolog piskliwym głosem. - Koło fortuny wciąż się obraca. Dzisiejsi pomyleńcy jutro stają się pionierami nauki.

Pagan spojrział na tytuły: Hans Gunderson. „Moje lata z grafologią”. Niezła rzecz, ludzie będą się o to zabijać. „Otrzymam trzy wspaniałe gwiazdkowe podarunki”.

Gunderson założył okulary, umieścił abażur na biurku, odsunął kubki po kawie i otwartą puszkę po skondensowanej zupie, gdzie trzymał sztucce, oraz plik nie otwartych kopert.

- Co my tu mamy? Co my tu mamy?

- No i jak? - ponaglił Pagan.

Zaniepokojony ostrym tonem Pagana, Foxie starał się uspokoić Gundersona spokojnym głosem.

- Hans, potrzebujemy twojej opinii na temat tego pisma.

- Hmmmm - mruknął Gunderson wpatrzony w napis.

Heathrow, palenie, myślał Pagan. Po jakiego diabła ktoś prowadzący ryzykowne gierki pozostawia takie przesłanie? Czy ma to być jakaś wskazówka ułatwiająca ustalenie tożsamości? A jeśli tak, to po co? Myśli Pagana lawirowały daleko poza piwnicznym pokojem i wracały do podziemnego tunelu. Był niespokojny i zdenerwowany.

- Pisane krwią - stwierdził Gunderson.

- Opinia godna prawdziwego eksperta - zauważył Pagan. Grafolog podniósł okulary na czoło.

- Słuchaj Pagan, zdecyduj się, albo chcecie poznać moją opinię, albo nie.

- Hans - odezwał się Foxie - naprawdę chcemy poznać twoje zdanie na temat tego pisma.

- Pytałem Pagana, a nie ciebie. - Gunderson nie spuszczał wzroku ze sceptycznego detektywa. - No i? Pagan powoli skinął głową.

- Nie słyszę - powiedział grafolog.

- Tak, Hans. Chcemy poznać twoją opinię. Osiągnąwszy to drobne zwycięstwo, Gunderson uśmiechnął się. Miał zęby starte jak podstarzały gryzoń.

- Wiem, Pagan, że masz mnie za pomyleńca. Jednak analiza odręcznego pisma to dziedzina godna szacunku. Oczywiście nie łudzę się, że cię przekonam, ale pomyśl tylko: ktoś coś pisze, więc musi w pewien określony sposób kształtować literę, odpowiednio przyciskać w pewnych miejscach, a tego typu cechy mówią o stanie jego umysłu. O tym, czy dręczą go obawy, niepokój, czy też niepewność. Niektórzy ludzie ze Scotland Yardu odnoszą się do mnie z większym szacunkiem, dlaczego więc mam tracić czas na udowadnianie własnej wartości właśnie wam?

Pagan już chciał wspomnieć o sprawie sprzed dwóch lat, kiedy to Gunderson popełnił gafę, przypisując charakter pisma zupełnie innej osobie. Nie powiedział jednak ani słowa, bo po co? Gunderson przyglądał się chwilę abażurowi, a potem sięgnął do szuflady po szkło powiększające i

pochylony studiował każdą literę po kolei. Co jakiś czas lekko gwizdał lub mruczał w typowy dla siebie sposób.

- Interesujące zaokrąglenia - stwierdził. - Litery pisane z niezwykłą uwagą, bez pośpiechu, bardzo starannie, przez osobę nie podlegającą żadnej presji.

Rzeczywiście profesjonalna analiza, pomyślał Pagan i spojrział na Foxiego, który z uwagą słuchał słów starego Hansa. Foxie czasami przesadza z tymi swoimi dobrymi manierami; bardziej pasuje do służb dyplomatycznych - mógłby gdzieś w tropikach popijać herbatkę z szalonymi kacykami i literacką angielszczyzną starać się wyjaśnić stanowisko rządu Jej Królewskiej Mości.

- Zwróćcie uwagę, że pomimo wybrzuszonej powierzchni, litery stoją w równiutkim rzędzie

- mówił Gunderson. - Piszący wyznaczył sobie niewidoczne linie, jakie spotyka się w zeszytach u dzieci. Musi więc to być osoba obdarzona wyobraźnią. Biorąc pod uwagę, czym zostały wypisane litery, wyobraźnia ta jest zdolna do ogromnego okrucieństwa.

Mijając sterty książek, Pagan przechadzał się po pokoju ze strapioną miną i oglądał

wywieszzone na ścianach dyplomy, potwierdzające biegłość Gundersona. Osobiście nigdy nie słyszał o nazwach instytucji wymienianych na dyplomach. Na półkach z książkami stały szklane słoiki ze staroświeckimi łakociami, co prawdopodobnie tłumaczyło unoszący się wokół grafologa zapach marcepanu.

Słuchał gwizdania, westchnień i mrużenia Gundersona, choć z dźwięków tych nie dało się nic wywnioskować. Coś odkrył? Coś się potwierdziło? Stanął przy zasłoniętym oknie, odwrócił się i spostrzegł nabiegłe krwią oko Gundersona powiększone w lupie.

- Ktokolwiek to pisał, Pagan, darzy cię ambiwalentnymi uczuciami - powiedział grafolog.

- Jak do tego doszedłeś? - zapytał Pagan.

- Wyjaśnienie tego takiemu sceptykowi jak ty zajęłoby zbyt dużo czasu. Niemniej jednak czasami litery-jak by to powiedzieć, żebyście zrozumieli? - emitują dźwięki. Słowa można niemalże usłyszeć w taki sposób, jakby zostały wypowiedziane. Przypomina to trochę czytanie wiersza, gdy wyczuwa się ton głosu poety, a także jego nastrój. Wygląda na to, że osoba pisząca te słowa pod pewnym względem cię szanuje, Pagan. Z drugiej jednak strony, ten ktoś chce ci pokazać język.

- Jak to pokazać język?

- Sprowokować cię. Chce cię wplątać w intrygę. /

- To wszystko, co możesz powiedzieć na temat tych kilku słów?

- Nie, dopiero zacząłem - rzekł Gunderson. - Nie zapominaj, że zajmuję się analizą pisma już od trzydziestu lat, i co nieco się przez ten czas nauczyłem.

Pagan starał się traktować opinie grafologa bez uprzedzeń, co nie przychodziło mu łatwo.

Ktoś, kto mnie szanuje, a jednocześnie chce mnie sprowokować. Informacja ta w niewielkim stopniu pomoże w ustaleniu tożsamości autora, bo do takiego opisu pasuje mnóstwo osób -

przestępcy, których złapał, jak również terroryści, których przechytrzył. Pagan znalazł sobie fotel, usiadł, założył nogę na nogę i zamknął oczy - czuł, że prawdziwe rozwiązanie zagadki leży w gruntownym przeszukaniu jego własnej pamięci, a nie w spekulacjach Hansa Gundersona. Od Heathrow minął szmat czasu. Słyszał echo szeptu płynącego gdzieś z oddali, lecz milkło ono, zanim w pełni wychwycił je uchem. Wstał z fotela, podszedł do biurka i stanął za Gundersonem.

- Autor nie jest Brytyjczykiem - stwierdził grafolog.

- Jak do tego doszedłeś? - zapytał Pagan.

- Rodowity Brytyjczyk mówiąc „czas”, użyłby raczej słowa time, a nie while. Wyraz while sugeruje, że mamy do czynienia z Amerykaninem.

Pagana nie przekonała całkowicie ta opinia, lecz nie podzielił się swoimi wątpliwościami, nie chcąc się wdawać z Hanssem w dyskusję na temat amerykańskiej wersji języka angielskiego. Obserwował tylko zgarbionego grafologa dalej badającego pismo.

- W słowie still obydwie litery „l” są do siebie bliźniaczo podobne - mówił z przejęciem Gunderson.

- Ta sama wysokość, takie samo zaokrąglenie. Rzadko spotykana konsekwencja.

- Czy to coś oznacza? - zapytał Foxie.

- O tak. I to wiele.

Pagan przewidywał już kolejną niewiele znaczącą odpowiedź, lecz jeszcze raz wstrzymał się od komentarza.

- Na przykład może to sugerować, że autor pragnie osiągnąć równowagę emocjonalną.

Można też wywnioskować, że autor lubi porównywać przeciwstawne aspekty osobowości, szukając w ten sposób symetrii brakującej mu w życiu. Staranne pismo niekoniecznie musi wychodzić spod ręki jednostki zrównoważonej. W gruncie rzeczy może być wprost przeciwnie. Osobiście widziałem nienaganny charakter pisma osób z ciężkimi zaburzeniami psychicznymi.

W głosie Gundersona brzmiało namaszczenie nawiedzonego wykładowcy. Lekko zniecierpliwiony Pagan patrzył, jak biegły znów pochyla się nad napisem. Po kilku minutach stary grafolog odsunął się od abazura i odłożył szkło powiększające.

- Będzie trzeba nad tym spędzić trochę więcej czasu - powiedział. - Dajcie mi jeden dzień, a podam wam pełną analizę na piśmie. Ogarnięty nową falą niecierpliwości Pagan zabrał

abażur.

- Niestety Hans, nie możemy zostawić tu nie zabezpieczonego dowodu rzeczowego. Poza tym to nie moje śledztwo.

- Jak sobie życzysz.

Dla Pagana bardziej liczyła się eksplozja w metrze, niż tajemniczy napis i nieszczęśliwa śmierć młodej prostytutki w Mayfair. Postanowił oddać abażur Scobiemu, bo w gruncie rzeczy to jego dochodzenie i niech on się nim martwi. Jeśli będzie chciał wrócić z abażurem do Gundersona, to proszę bardzo.

- Mogę tylko wyrazić nadzieję, że ją znajdziecie - powiedział Gunderson.

-Ją?

- Te słowa pisała kobieta. Nie powiedziałem tego?

- Jesteś pewien? Na sto jeden procent.

- Przysięgłbyś na rodzinną Biblię? - Pagan wbijał wzrok w grafo-loga.

- Na cały stos.

Pagan wyszedł na korytarz i skierował się w stronę drzwi frontowych, gdzie dogonił go Foxie. Razem wyszli po schodach na ulicę, gdzie hulający wiatr wydawał smętne dźwięki i przynosił zeschnięte liście od strony Regens Park. A więc to kobieta, myślał Pagan.

Zawirowanie w mózgu na chwilę ustało i myśli ogarnęło ukojenie. Poczł jakby rezonujący w głowie kamerton.

Kobieta.

Nie, to niemożliwe.

Nie po dziesięciu latach.

Amsterdam

Generał zostawił bagaż w przechowalni i przechadzał się po arasterdamskim lotnisku, mijając rozjarzone sklepy z biżuterią, kosztownymi strojami i najnowocześniejszymi cudami elektroniki. To tu, to tam zatrzymywał się, żeby popatrzeć na zegarek, pierścionek albo komputer. Uważał, że żądza posiadania takich rzeczy niszczy imperia; że dla nowego magnetowidu rozpadają się społeczeństwa, wygasają dynastie i wypacza się historia. W

odległym Tokio lub Seulu specjaliści od elektroniki spowodowali nieodwracalną śmierć prawie osiemdziesięcioletniego systemu politycznego. Intrygowały go takie rozważania.

Ubiierał się dość tradycyjnie. Kupiony w Nowym Jorku płaszcz z wełny wigonii szył znany mediolański krawiec. Znów nasuwał mu się intrygujący temat rozważań - wyhodowane w Ameryce Południowej zwierzęta ostrzygł jakiś peruwiański pastuch i wysłał wełnę włoskiemu krawcowi, który z kolei sprzedawał swoje płaszcze na Piątej Alei w Nowym Jorku. Generał

popadł w zadumę nad ową kooperacją na skalę całego globu. Wyjął z kieszeni chusteczkę higieniczną i wytarł nos.

O jedenastej przed południem opuścił lotnisko i pojechał taksówką do śródmieścia, gdzie rzesze zaćpanych młodych ludzi, nie zważając na pogodę wylegiwały się na zimnych ławkach. Niektórzy z błogimi spojrzeniami chodzili z miejsca na miejsce, a inni spali na zamarznętej trawie w małym parku, gdzie od czasu do czasu próbował ich obudzić jakiś policjant. Generał domyślał się, że Berlin zmierza w tym samym kierunku - dzieciaki popalają na ulicach trawkę, szprycują się heroiną i coraz więcej młodych ludzi w skórzanych kurtkach i z kolczykami w uszach za jedyne cel w swoim życiu uważa znalezienie sposobu na zaćpanie się. Brak dyscypliny i wytyczonych kierunków postępowania to przynębiające zjawisko, a zachowanie młodzieży jest tylko symptomem złej kondycji całego świata.

- Niezły widok - rzekł płynną angielszczyzną czarny taksówkarz z zadbanymi dreadami.

Generał bez słowa skinął głową.

- Pan tutaj pierwszy raz?

- Nie. - Generał wolał nie spoufalać się z taksówkarzami, bo nie chciał być przez nikogo zapamiętany.

- To wszystko przez te narkotyki - mówił kierowca. - Przestępczość zawsze łączy się z narkomanią.

- Rzeczywiście - powiedział generał. Mijana na ulicy reklama pizzy przypominała mu świecący księżyc.

Zauważył spacerującą po ulicy śliczną nastolatkę w czarnych rozcinanych leginsach i w czarnej krótkiej koszulce. Tragiczny anioł, pomyślał. Domyślał się, że pęknięcia w leginsach są tak samo modne jak agrafki w uszach, szpilki w sutkach i gotyckie tatuaże. Całe pokolenie ma najwyraźniej skłonności do zadawania sobie cierpienia i oszpecania się, co stanowi kolejny dowód moralnego upadku. Przejeżdżając obok dziewczyny, odwrócił głowę i ujrzał

smutek w jej pięknej, młodej twarzy.

Wysiadł z samochodu przy kanale Herengracht. Po wodzie płynęła barką grupa turystów pochłoniętych obserwacją okolicy - smętne twarze wyglądały przez okna. Generał odwrócił

się i szybko poszedł w swoją stronę do małej cukierni.

W środku zajął stolik przy ścianie i spojrzął na zegarek. Przyszedł na spotkanie o osiem minut za wcześnie. Zamówił kawę i ciastko z truskawkami, które w centrum tego zimowego miasta stanowiło

prawdziwie letni akcent. Po pięciu minutach znów spojrzął na zegarek - za dwie godziny musiał być z powrotem na lotnisku. Dokładnie osiem minut po jego przybyciu otworzyły się drzwi i do środka wszedł człowiek w czarnym futrze.

Chociaż Wasilij zmienił się od tamtych dni, chociaż miał przeszczepione i wymodelowane włosy, wyskubane brwi i usunięte operacyjnie wory pod oczami, generał poznałby go zawsze i wszędzie. Nic nie było w stanie zmienić sposobu poruszania się Wasilija, a już na pewno nic nie zatuszowałoby bijącej od niego wulkanicznej energii.

Wydawało się, że nie ma takiej przestrzeni, która zdolna byłaby go pomieścić, i że Wasilij cały czas musi się trzymać w korbach. Dziarskim krokiem podszedł do stolika, usiadł, położył

dłoń na przedramieniu generała i kilkakrotnie zacisnął ją tak mocno, że aż boleśnie.

- Erich, mój przyjacielu, jakże miło znów cię widzieć - powiedział i przysunął krzesło bliżej stolika.

- Wzajemnie - odparł generał.

- Widzę, że Ameryka ci służy. - Wasilij sprawdził palcami jakość tkaniny płaszcza generała.

- Dobra materialne to jeszcze nie wszystko.

Wasilij podniósł palec, a generał zauważył, że w miejscu dawnej, owłosionej brodawki znajduje się teraz tylko niemal niedostrzegalna blizna. Najwyraźniej Wasilij usunął sobie nie tylko wory spod oczu.

- A co u ciebie? - zapytał generał.

- Moskwa się zmienia. - Wasilij przez sekundę sprawiał wrażenie człowieka zagubionego, lecz wyraz ten szybko zniknął z jego twarzy. - Mamy teraz nową klasę przedsiębiorców, choć właściwie należą do niej ci sami ludzie, co dawniej, którzy teraz jednak wyszli z cienia.

Oczywiście pojawia się coraz więcej przestępców, którzy posiadają każdą broń, jaką tylko zdołał wymyślić człowiek: wyrzutnie raketowe, działka przeciwpancerne, karabiny automatyczne. Pojawili się nawet rodzimi neofaszyści, ale to było do przewidzenia w obecnym klimacie, gdy wśród ludzi rośnie niezadowolenie. Gurien-ko przeprowadza naród przez labirynt pełen nieznanymi zapadniami, lecz sam postrzega krajową sytuację inaczej i zamierza teraz odgrywać rolę męża stanu na arenie międzynarodowej. Ścisła dłoń włodarzom Europy, przekonuje ich do naszego kraju i rozgłasza różne banialuki.

Generał nie mógł się powstrzymać od drobnego żartu.

- Widzę, że oprócz innych zmian w społeczeństwie, pojawiły się także operacje plastyczne.

- Ach, zauważyłeś. Próżność dobrze robi, a ja, Erichu, nie przestałem być próżny.

Generał rozejrzał się po cukierkach. Zastanowił się, co mogą widzieć Holenderki popijające kawę i

zajadające ciastka z kremem. Jedynie dwójkę emerytów spotykających się na pogaduszkach przy kawie. Jakże złudne mogą być pozory. Nigdy nie należy wierzyć w to, co się widzi. Nagle przypomniał sobie o Jacobie Streiku i przyszło mu na myśl, że człowiek ten, podobnie jak Wasilij, mógł w jakiś sposób zmienić swój wygląd zewnętrzny. Pomimo zapewnień Saxona sprawa Streika ciągle go niepokoiła.

- Ale nie spotkaliśmy się tutaj po to, żeby ronić łzy nad Gurienką, prawda? - zapytał

Wasilij. - Co tam słyszeć w Ameryce? Generał wzruszył ramionami.

- Amerykanie chlubią się swą skutecznością, chociaż podejrzewam, że trochę na wyrost.

Dobrzy są w interesach, ale czasami ich pośpiech prowadzi do błędów, pomyłek i zaniedbań.

- Rozpiera ich energia nowego świata - rzekł Wasilij i odwrócił się, by wezwać kelnerkę. -

Ja wolę skrupulatność starego świata. Owszem, działamy wolniej, ale nie tracimy z oczu szczegółów.

- Rzeczywiście - przyznał generał. - Nastąpiły jednak takie czasy, że zmuszeni jesteśmy do zawierania osobliwych mariaży.

- Chociaż nie znaczy to, że mamy uważać się za dziwki. Generał wsunął do ust nadziany na widelczyk kawałek ciasta.

- Wasilij, czasami popadam w rozpacz. Bywają chwile, że wszystko widzę w czarnych kolorach i czuję się niepotrzebny, jakbym należał już tylko do przeszłości.

Wasilij roześmiał się głośno.

- Przesadzasz, przyjacielu.

- Czyżby? Wcale nie jestem tego taki pewien.

Wasilij przyjrzał się uważnie szerokim biodrom kelnerki i rzucił się na ciasto, które właśnie przed nim postawiła. Opychał się, jak gdyby od miesiący nie miał nic w ustach. Potem jednym haustem wypił kawę i przeciągnął serwetką po ustach.

- Lepiej spójrz na sytuację z innej strony: my po prostu wykorzystujemy Amerykanów.

Erichu, przecież oni nas nie kontrolują.

- Możliwe, ale to oni dyktują zasady. Gramy według ich reguł.

- Tylko chwilowo - powiedział Wasilij.

- Nie jestem tego taki pewien. Oni mogą stawiać takie żądania, których nie będziemy w stanie spełnić. Mogą narzucać nam niemożliwe do realizacji zadania.

- Jak zwykle za dużo się martwisz. Posłuchaj, Amerykanie pragną tylko jednego, i ty dobrze wiesz, czego. Im chodzi o zysk. Jeśli mają profit, są zadowoleni i szczęśliwi jak świnie w gnoju. U nich wokół zysku kręci się całe życie.

Generał doskonale zdawał sobie sprawę z uproszczeń zawartych w tej opinii. Amerykanie nie interesują się wyłącznie zarabianiem dolarów, choć często tak są postrzegani. Owszem, zysk stanowi dla nich poważną motywację, jednak generał dostrzegał u Amerykanów, z którymi miał dużo do czynienia, wiele innych bodźców do działania. Cechuje ich również silna wiara w to, co robią, i specyficzna ofiarność, ujawniająca się wobec zagrożeń. Nie mając wroga zewnętrznego, Ameryka musiała skierować ową ofiarność do wewnątrz, ku własnemu sercu, gdzie łatwo znaleźć skazy i wady, z którymi nie może sobie poradzić nawet kongres -

wojny narkotykowe, wzrost liczby morderstw, niesprawiedliwość społeczna czy eskalacja przemocy w rodzinach. Chęć rozwiązania tych problemów także stanowi pobudkę do działania. Generał wyrobił sobie pogląd, że Amerykanie - przynajmniej ci, z którymi współpracował - na zewnątrz wyglądają trochę inaczej, niż gdyby przyjrzeć się dokładnie ich niedociągnięciom, a Wasilij nigdy nie był w Stanach Zjednoczonych i dostrzegał jedynie wierzchołek góry lodowej.

- Ale... - odezwał się generał.

- Żadnych ale! Zapomnij o tym! - Wasilij klepnął generała w ramię po przyjacielsku, lecz mocniej, niż to było konieczne. - Erich, przed nami jeszcze wiele do zrobienia. Nie ma dnia, żeby nie pojawiał się jakiś nowy kryzys albo nie dawał znać o sobie jakiś stary problem.

Gruzini rzucają się do gardeł Abchazom, Czeczeni strzelają do Ingu-szów, Mołdawianie nie wiedzą, czy odchodzą, czy się przyłączają, a Jugosławia... - Wasilij zagrzechotał stojącą na talerzyku filiżanką. - Zjednoczenie Niemiec to bomba z opóźnionym zapłonem. Ten kraj już praktycznie zbankrutował. Wraz z Niemcami Wschodnimi odziedziczyli więcej niż sobie wyobrażają. Kraje bałtyckie nie potrafią działać prawidłowo, a listę takich spraw można by ciągnąć w nieskończoność. Czas na nas, Erichu. My jesteśmy gotowi.

- Wiem, wiem - rzekł generał.

- Mamy swoich niezwykle wpływowych ludzi i w małych miasteczkach, i w dużych miastach, i w różnych organizacjach. Powiem nieskromnie, że ja także się do nich zaliczam.

Nie zniknęliśmy z powierzchni ziemi, Erichu, nie poszliśmy w ślady dinozaurów. Zeszliśmy pod ziemię, ale nie umarliśmy, lecz zostaliśmy uśpieni, zahiber-nowani. Ożyjemy i pokażemy zęby. Pamiętaj o tym.

- Staram się nigdy o tym nie zapominać. - Generał rozsiadł się wygodniej i spojrzał na zegarek.

- Więc nie zniechęcaj się.

- Nie, nie, ja się nie zniechęcam. - Pomyślał o młodej dziewczynie czekającej na niego w nowojorskim mieszkaniu i raptem wydała mu się bardzo odległa. Jak to ona mówiła? „Jutro też

będzie dzień"? Chyba jakoś tak. Zastanawiając się, ile jeszcze zostało mu dni, znów pochylił się nad stołem. - Chyba jednak za bardzo się martwię. Wasilij roześmiał się i znów walnął generała w ramię.

- Zmartwienia dobre są dla starych bab. Wszystko pójdzie zgodnie z planem. Ja podjąłem już odpowiednie kroki, jeśli i tobie pójdzie dobrze, to cóż nam może stanąć na przeszkodzie?

General zdobył się na uśmiech i wodząc wzrokiem po cukierni, przypomniał sobie, że wkrótce odlatuje jego samolot. Ociągał się jednak z odejściem, bo po tylu latach spędzonych wśród Amerykanów, przyjemnie mu się siedziało z kimś mającym takie samo przygotowanie ideologiczne jak on, z kimś dążącym do tych samych celów i wyznającym te same idee. Czuł

się swobodnie w jego obecności, bo choć dawniej pomiędzy KGB i Stasi pojawiały się niesnaski, to w obecnych okolicznościach należało o nich zapomnieć.

Nagła myśl o Streiku rzuciła cień na chwilowe poczucie komfortu. Wasilij nie wiedział o Streiku ani o Harcourcie i -jak mawiają Amerykanie - znał sytuację tylko w ogólnych zarysach.

- Może poderwiemy sobie jakieś cizie i zabawimy się? - zaproponował Wasilij.

- Spieszę się na samolot.

- W samolotach wspaniale jest to, że jak się nie zdąży na jeden, to można złapać następny.

Nie myśl o wyjeździe!

- Widzę, że nie straciłeś wigoru.

- Stracę go dopiero, gdy pierwsza szufla ziemi spadnie mi na twarz. - Wstał i pociągnął generała za rękaw.

Gdy wyszli z cukierni, Rosjanin objął ramieniem generała wpatzonego w ciemne wody kanału Herengracht. Lustro wody zafalowało pod nagłym uderzeniem wiatru. Pod mostem przefrunęła odcinająca się od ciemnego tła biała kaczka.

- Weźmiemy taksówkę i skoczmy do dzielnicy czerwonych latarni. Rozejrzemy się po wystawach, aż znajdziemy coś ciekawego.

- Zawsze mogę polecieć następnym lotem - skapitulował generał.

Szedł wzdłuż kanału różnym krokiem. Humor stracił dopiero, gdy napotkali dwóch zaćpanych i histerycznie roześmianych nastolatków. Spojrzał na szaleńczo rozchichotanych chłopców o przekrwionych oczach i pomyślał, że jego młoda przyjaciółka z Manhattanu na pewno nazwałaby ich bezmózgowcami i psycholami.

- Spójrz, Wasilij, tylko na to popatrz.

Rosjanin machnął lekceważąco ręką.

- Naćpane dzieciaki. I co z tego?

- Sytuacja wygląda podobnie w Berlinie, Moskwie i całej Europie. Czy to dla tego pokolenia tak się staramy?

- Oni zeszli na złą drogę i tyle. Generał dotknął dłoni przyjaciela.

- Czy warto tak się dla nich wysilać?

- Och Erich, Erich, oni stracili swoich bohaterów i nie mają autorytetów, na których mogliby się wzorować. Jak mają dążyć do jakiegoś celu, jeśli nie widzą wyraźnej struktury świata? Do nas należy zaprowadzenie porządku i pokazanie im tej struktury. Spójrz na to od takiej strony.

- To niełatwe. - Przygnębiony generał wpatrywał się w wodę.

- Na miłość boską, musisz wierzyć.

Generał westchnął i przypomniał sobie, że powinien znaleźć się na lotnisku, a nie w ramionach jakiejś prostytutki. Oderwał wzrok od wody Herengracht i spojrzał w oczy swego towarzysza, w których ani trochę nie przygasła iskierka żywotności. Widział w nich świat roztaczający przed człowiekiem ogromne możliwości.

Rosjanin wsunął rękę do kieszeni i wyjął brązową, zapieczętowaną kopertę.

- Aha, żebym nie zapomniał - powiedział i wręczył ją generałowi.

- Tak, oczywiście. - Generał schował kopertę do kieszeni płaszcza.

Sprawy zostały załatwione i teraz szli w poszukiwaniu taksówki, przypominając dwóch podstarzałych satyrów.

- Macie na mnie zły wpływ, Wasiliju Budionny.

- Jak najgorszy - odparł Budionny.

Londyn

Dwie godziny po wyjściu od Gundersona Pagan znalazł się w budynku przy Golden Square na chłodnym strychu, wśród kłębowiska rur biegnących między piętami od zepsutego piecyka umieszczonego w piwnicy. Właśnie na strychu, nie mogąc znaleźć innego miejsca, Foxie zainstalował stary rzutnik do slajdów i prowizoryczny ekran z zakurzonej płachty materiału.

„Chyba mogę mówić ci po imieniu, co, Frank? Skoro mamy spędzić w swoim towarzystwie kilka godzin, po co męczyć się z formalnościami? A może bardziej będzie pasowało «mister Pagan»?» Pagan już sobie przypominał jej zgrabne dłonie, długie palce i delikatne nadgarstki. Miała wtedy

paznokcie pomalowane na czarno, a gdy założyła nogę na nogę i spod czarnej spódnicy wyłonił się kawałek gołego uda, odwrócił wzrok. Doskonale zdawała sobie sprawę ze swojej mocy, dzięki której potrafiła urzec i zniewolić mężczyznę.

„Wiesz, zdecydowanie za dużo palisz. Naprawdę powinieneś przestać. Widziałeś kiedyś zdjęcie płuc zaatakowanych przez raka?”

Foxworth włączył projektor i wiązka światła utworzyła na ekranie jasny krąg.

- Za chwilę wszystko znajdę.

- A dlaczego nie ma tego materiału w komputerze? - zapytał Pagan.

- Właściwie jest - rzekł Foxie - tylko nie mamy jeszcze do niego dostępu.

- Jeszcze nas nie przyłączyli?

- Prawidłowo mówi się, że nie jesteśmy jeszcze sprzężeni z serwerem.

Do słownictwa komputerowego Pagan odnosił się z rezerwą. Rozumiał potrzebę wprowadzania nowych technologii i udogodnień, dzięki którym nie trzeba tracić godzin na żmudne poszukiwania, a ważne informacje można zdobywać z tysiąca różnych źródeł za naciśnięciem kilku guzików. Jednakże język komputerowy - wszystkie piksele, konwersje plików, formatowania dyskietek - nasuwał mu myśl, że zalicza się do nowej generacji analfabetów.

Zamknął oczy i czekał. „Może jednak zapalę z tobą, Frank. Od czasu do czasu pozwalam sobie na jednego. To taka moja mała słabosika. Chcesz poznać inne? Niektóre są dość przyjemne. Mam ci opowiedzieć? Chcesz, żebym wyznała ci, co lubię robić? Frank, ty się zaczerwieniłeś?” Pamiętał, jak przechylił się przez stół i wyciągnął rękę z zapalką. Chciał

zapalić jej papierosa, ale ona cofnęła głowę i poparzył sobie palce. Od razu wyczuł, że zrobiła to celowo. „Spróbuj jeszcze raz, Frank. Zupełnie nie rozumiem, dlaczego trzęsą ci się ręce.

Czyżbym miała na ciebie zły wpływ?” Zbliżył do jej papierosa drugą zapalkę. Kobieta nie wciągnęła błękitnego dymu do płuc, tylko dmuchnęła nim prosto w Pagana i uśmiechnęła się.

Spojrzała mu wtedy prosto w oczy, a on poczuł się, jak żelazny opilek wrzucony w pole magnetyczne, pozbawiony energii i siły oporu. Jej uroda oślepiła go. To właśnie ten powab stanowił o jej mocy i dzięki niemu umiała wpływać na ludzi. Potrafiła wyrządzać nim krzywdę z precyzją instrumentu chirurgicznego.

- Od wielu lat nie dawała o sobie znać - powiedział Pagan. - Dlaczego wróciła akurat teraz?

Przecież to się nie trzyma kupy.

- Frank, nie ma jeszcze pewności, że napis zostawiła właśnie ta kobieta - stwierdził Foxie. -

Nie mamy odcisków palców ani żadnych innych dowodów. Trudno uznać za pewnik hipotezę Gundersona plus trochę twoich wspomnień. Sam wiesz, jak często pamięć cię zawodzi.

Nie w tym wypadku, Foxie, myślał Pagan, uwierz mi. Pomieszczenie na strychu wywoływało w nim uczucie klaustrofobii. Gdy dziesięć lat temu znalazł się w pozbawionym okien pokoju przesłuchań sam na sam z tamtą kobietą, czuł to samo, lecz z większą intensywnością, ponieważ wówczas ona dominowała w rozmowie, panowała nad nastrojem przesłuchania i manipulowała napięciem z taką swobodą, jakby grała na klarncie.

„Wytrącam cię z równowagi, prawda? Zupełnie nie wiesz, co wywołuje u ciebie taką reakcję?

Jeśli obydwójce się odprężymy, wszystko pójdzie łatwiej". Jej namiętny głos czasem zamieniał

się w cichy szept, a czasem w lekko szorstki zaśpiew zachrypniętej pieśniarki. Pamiętał, jak zgasła o podłogę papierosa, pochyliła się nad stołem i dotknęła jego dłoni - miała miękkie i ciepłe palce. Pagan nie cofnął ręki ani się nie poruszył; pozwolił na to dotknięcie, ponieważ sprawiło mu przyjemność, ponieważ na kilka sekund całkowicie dał się wciągnąć w pole oddziaływania tej kobiety. Poczul też narastające pożądanie. „Miło byłoby spotkać się w innych okolicznościach, nie sądzisz?, powiedziała. Chyba byłoby nam ze sobą dobrze".

Odwrócił się zawstydzony, że odkryła jego podniecenie. Wtedy poczul, że zdjęła pod stołem but i przesuwa gołą stopą po jego nodze...

Foxie wsunął pierwszy slajd, a Pagan otworzył oczy. Obraz na ekranie był nieostry i prawie czarny.

- Chwileczkę, Frank, muszę wyregulować tego grata.

Pagan oparł się o ścianę; po chwili zdjął pajęczynę, która spadła mu na czoło. Z podziemia na strych, pomyślał. Śledztwo toczyło się w miejscach, których nie lubił. Potrzebował

jakiegoś wyraźniejszego-go kształtu, jakiejś formy, ponieważ czuł się jak człowiek bezradnie ślęczący nad liczydłem ze złośliwie poprzestawianymi koralikami. Jednym z tych koralików była kobieta, której nie widział od dziesięciu lat, o której od dawna nie myślał i którą wyrzucił już ze swej pamięci.

- O, już wszystko w porządku - rzekł Foxie.

Na ekranie pojawiło się zdjęcie mniej więcej dwudziestotrzyletniej kobiety z długimi włosami. Najwyraźniej robione było bez jej wiedzy. Stała odwrócona bokiem, ukazując ładny profil, urodę, hardość i determinację. Ubrana była w typowe dla lat siedemdziesiątych roz-kloszowane spodnie i kurtkę obszytą paciorkami, w jej włosach powiewała wstążka. Sądząc po markach samochodów i widocznych na zdjęciu rejestracjach, w tle znajdowało się jakieś europejskie miasto.

- Rok tysiąc dziewięćset siedemdziesiąty ósmy - powiedział Foxie. - Ateny.

Tak, tak, pomyślał Pagan.

- Jedź dalej.

- Klik - powiedział Foxworth.

Chociaż na drugim zdjęciu znajdowała się niewątpliwie ta sama kobieta, wyglądała zdecydowanie inaczej niż na poprzednim. Włosy miała teraz ścięte po męsku i ubrana była w dwuczęściowy garnitur - który nadawałby się także dla mężczyzny - oraz luźno zawiązany pod szyją krawat. Mimo tego męskiego stroju, wyczuwało się w niej pewną kobiecą delikatność.

Z tyłu, w cieniu, znajdowała się czyjaś nieostra sylwetka. Trudno było określić, czy był to towarzyszący jej mężczyzna, czy też zwykły przechodzień, który przypadkowo znalazł się w zasięgu obiektywu.

Pagan przyjrzał się zdjęciu dokładniej.

- Zrobione w osiemdziesiątym drugim, w Rio de Janeiro - poinformował Foxie - przez brazylijską policję. Nie wiem dokładnie, skąd się u nas wzięło.

- Kim jest ten facet za nią?

- Nikogo mi nie przypomina - Foxie pokręcił głową. - Nie wiadomo nawet, czy jest z nią.

Pagan wpatrywał się w ekran. Analizując rysy twarzy mężczyzny, pomyślał, że skądś go zna, lecz wszelkie skojarzenia umykały mu, zanim zdążył je sprecyzować.

- A mnie się wydaje skądś znajomy.

Foxie przyjrzał się uważniej, lecz ponieważ zdjęcie robione było teleobiektywem, nieznajomy wyszedł na nim nieostro. Zniecierpliwiony Pagan pstrykał palcami. Był pewien, że już gdzieś widział tę twarz, lecz pamięć go zawodziła. Próbował różnych skojarzeń - może to ktoś ze świata mody? Z filmu? Może z reklam kosmetyków? - jednak do niczego to nie prowadziło. Dlaczego nasunęły mu się akurat takie właśnie dziedziny? Co kierowało jego myślami? Miał silne, choć nie oparte na niczym konkretnym, wrażenie, że ten mężczyzna i fotografowana kobieta są razem.

- No dobrze, dawaj dalej - powiedział, choć nie rozszyfrowana postać nie dawała mu spokoju.

- To już ostatnie.

Na ekranie pojawiły się dwa policyjne zdjęcia - z profilu i en face. W obydwu ujęciach kobieta była blada i patrzyła na policyjnego fotografa z pogardą. Na jej twarzy malowała się pewność siebie i był w niej jakiś powab, którym potrafiła sprowokować, a potem opętać mężczyznę. Łatwo sobie wyobrazić, że bycie jej kochankiem równa się wiecznej wojnie o dominację - ciągłym utarczkom, porażkom, bitwom, niepewnym rozejmom i okopom spływającym krwią. Gdzieś na dnie jej oczu czaiła się obawa, lecz Pagan przypominał sobie, że doskonale potrafiła kontrolować wyraz oczu. W jednej chwili wyrażały oziębłość, w następnej pokusę, a zaraz potem dziecięcą niewinność.

- Nowy Jork, osiemdziesiąty czwarty rok - mówił Foxie. - Aresztowana pod zarzutem działalności

wywrotowej. Chciała doprowadzić do obalenia rządu USA.

- A potem uciekła. - Pagan wpatrywał się w jej twarz. - I zapadła się pod ziemię.

- No właśnie. - Foxie zajął do brązowego skoroszytu. - Należała do odłamu ugrupowania o nazwie Weathermen. Odłamek ten odpowiedzialny był za podkładanie ładunków wybuchowych w Waszyngtonie. Jedną z bomb znaleziono przy pomniku Waszyngtona, drugą rozbrojono w garażu obok siedziby Izby Reprezentantów. Dziewczyna wylądowała w federalnym więzieniu Danbury, ale po upływie kilku tygodni udało jej się zbiec. Wyparowała jak kamfora, choć w osiemdziesiątym siódmym widziano ją w Los Angeles i we Frankfurcie.

Również w dziewięćdziesiątym pierwszym rozpoznał ją w hotelu w Deauville przebywający na wakacjach emerytowany agent FBI. Hotel natychmiast otoczyła miejscowa policja, lecz dama zameldowana jako Charlotte Pike zniknęła. Najwyraźniej lubi zwierzęta, jako że podawała się też za Caroline Starling, Carę Raven i Caro-lę Fox' .

Pagan stanął w strumieniu światła padającego z rzutnika.

- My nazywaliśmy ją Carlotta i to imię zaczęła powtarzać prasa. - Słowo „Carlotta”

wywoływało w nim bolesne echa i dwuznaczne uczucia.

Foxie chwilę milczał.

- Frank, czy ta sprawa ma jakieś osobiste podłoże? Skąd masz pewność, że właśnie ta Carlotta zostawiła wiadomość na lampie?

- Musimy się cofnąć o parę lat, Foxie, do tysiąc dziewięćset osiem-' dziesiątego piątego. Z

Belfastu przyszła wtedy wiadomość, że ona ma wykonać robotę na zlecenie jakiegoś odłamu IRA. Miała przemyścić do Anglii ładunki wybuchowe. Przeszukiwaliśmy wszystkich przyjezdnych w portach, na lotniskach i na przejściach kolejowych. Właśnie wtedy zacząłem pracować u Martina Burra. Sześć dni stałem za jednostronnie przezroczystą szybą na Heathrow i lustrowałem każdą osobę przechodzącą przez odprawę. Nudy na pudy, ale donos podobno był autentyczny. Carlotta miała przybyć do Anglii, aby omówić szczegóły przemytu, a ja przez tydzień nosiłem przed nosem jej zdjęcie. - Spojrzał na policyjną fotografię widniejącą jeszcze na prowizorycznym ekranie. - To tutaj szalenie odbiega od rzeczywistości.

1 Pike (ang) - szczupak, statlmg - szpak, >aven - kruk, jo\ - lis Carlotta wygląda, że tak powiem... urzekająco. Chociaż to też jest za słabe słowo.

Złożył ręce przypominając sobie, jaką obsesję wzbudziło w nim wówczas jej zdjęcie. Przez kilka dni żył i oddychał wyłącznie Carlotta, nawiązując pewne zażyłe stosunki z jej wizerunkiem, zanim jeszcze poznał ją na żywo.

- I co się stało?

- Po sześciu dniach oczekiwań ująłem ją na Heathrow.

-No i?

- Zabrałem ją na przesłuchanie. A nie zapominaj, że wtedy wszyscy próbowali ją złapać, każdy chciał się pochwalić, że to on schwytał Carlottę. I Oddział Specjalny, i CID, a nawet FBI ostrzyło sobie na nią zęby. Była przecież zbiegłą przestępczynią. Z dnia na dzień mogłem zrobić wielką karierę, już czułem się bohaterem, liczyłem na szybki awans i błyskawiczny sukces. - Pagan roześmiał się na myśl o zuchwałych ambicjach młodości.

- I co się stało?

- Nie wiem dokładnie, jak to opisać, Rwie, ale ona emanowała jakimś niezwykłym powabem, potrafiła rzucić na człowieka urok. Przez dwa dni siedziałem z nią zamknięty w pokoju przesłuchań, a ona na wszystko miała gotową odpowiedź. Przyjechała niby odwiedzić umierającą ciocię i historia ta jak najbardziej się potwierdziła. A co najdziwniejsze, cholernie trudno było sobie wyobrazić, że ktoś o jej wyglądzie może mieć do czynienia z czymś tak podłym jak terroryzm. Podczas rozmowy nie opuszczało mnie irytujące uczucie, że przesłuchuję anioła; i to w dodatku bardzo ponętnego anioła. Swoim wyglądem wszystkich nas uwiodła i omamiła. Poruszyła serce nawet starego Martina Burra, który znał się na przesłuchaniach jak rzadko kto. Mnie także zauroczyła.

Oszczędził Foxiemu szczegółów - kiedy to dotknęła jego dłoni, a on poczuł burzącą się w żyłach krew i nagły przyływ pożądania -bo jak o tym opowiadać? Dziesięć lat temu był kimś zupełnie innym. Dziesięć lat temu jego małżeństwo trwało dopiero pięć czy sześć miesięcy i był po uszy zakochany w swej żonie - a Carlotta niczym posłaniec piekieł zmusiła go, by sobie uświadomił, że jest zdolny do nielojalności i zdrady. „Frank, to obrączka ślubna?

Opowiedz coś o swojej żonie. Jest ładna? Inteligentna? Wierna? Jesteś z nią szczery?"

Pamiętał, jak dotknęła palcami złotej obrączki, a potem w sugestywny sposób przesunęła dłoń po jego serdecznym palcu. Pamiętał ciepło jej skóry i swój opór. „Frank, musisz się nauczyć odprężyć. Musisz nauczyć się jeszcze wielu rzeczy, prawda? Ile masz lat - trzydzieści trzy, trzydzieści cztery? Właściwie nawet jeszcze nie zacząłeś żyć na dobre".

- Nie mogliśmy jej przetrzymać - mówił - bo nie było powodów. Postanowiliśmy przekazać ją FBI, ponieważ oni mieli więcej przyczyn, żeby jej poszukiwać. - Zamilkł na chwilę. - Wysłali z Waszyngtonu kilku agentów.

-I co?

- Do przybycia naszych kolegów z Waszyngtonu umieściliśmy ją pod strażą w hotelu i właściwie nikt dokładnie nie wie, jak się wymknęła. Były domysły, że przebrała się za pokojówkę i po prostu wyszła. Inna wersja mówi, że przekupiła kelnera obsługującego pokoje i przy jego pomocy uciekła. Ale kto wie, jak było naprawdę? Kilka dni po jej ucieczce miał

miejsce wybuch w bazie RAF-u w Norfolk. Czy stała za tym ona? Nie wiadomo.

Pamiętał, jak minąwszy zgromadzonych na korytarzu policjantów w mundurach, wprowadził Carlottę do hotelowego pokoju. Usiadła na łóżku i powiedziała: „Wygląda nieźle.

Ani za miękkie, ani za twarde, akurat w sam raz". Podniosła głowę, spojrzała na niego, wyciągnęła rękę i kiwnęła palcem. Spod krótkiej spódnicy widać było delikatne uda; spojrzał

na prześwitujące przez jedwabną bluzkę piersi. Poczul zawirowanie myśli, wszystko zaczęło się przewracać do góry nogami. „Frank, może zamkniesz drzwi na klucz? Usiądź przy mnie, to zapalimy. Nikt nam nie będzie przeszkadzać". Rozogniony pożądaniem, zrobił w jej stronę kilka kroków, zapomniał o żonie, o błyskawicznej karierze, a nagła amnezja ograniczyła jego poczytalność. Obserwował, jak Carlotta gładzi ręką kołdrę, rozsuwa i prostuje nogi, a potem gładząc skórę opuszkami palców, wsuwa sobie dłoń między uda. Gdy ręka zniknęła pod spódnicą, przechyliła głowę do tyłu i rozchylając wargi wpatrywała się w Paganą, jakby chciała go przejrzeć na wylot, dotrzeć do głębi duszy. On wiedział, że to tylko gra, lecz w desperacji, nie zważając na konsekwencje, zrobił jeszcze jeden krok - krok przybliżający go do przepaści. Niewidoczna dłoń Carlotty poruszała się między nogami; kilka razy słyszał

wypowiadane szeptem swoje imię. Cały czas patrzyła mu w oczy. „Jak ci się to podoba, Frank? Bierze cię? Co czujesz?" W czyichś innych ustach słowa te zabrzmiałyby pretensjonalnie lub nawet wulgarnie, lecz nie u niej. „Frank, na co czekasz? Zamknij drzwi i chodź. Nie ma co się ociągać". Stał przy łóżku, patrzył z góry na jej twarz, na unoszące się i opadające piersi oraz powolne, hipnotyzujące ruchy dłoni ukrytej w cieniu między udami. I tracąc panowanie, zaczął się poddawać szaleństwu.

Wtedy wyciągnęła do niego rękę. „Frank, Frank".

Nie wiadomo, co by się stało dalej, gdyby właśnie w tej chwili do pokoju nie wszedł

Martin Burr. Jeśli wyczuł unoszące się w powietrzu erotyczne napięcie, to nie dał po sobie poznać. „Trzeba zapewnić zatrzymanej wygodne warunki", powiedział. „Rano wraca do Waszyngtonu". Carlotta uśmiechnęła się i przesunęła dłonią po nogach. Pagan patrzył

niepewnie w okno, a Burr rozglądał się dokoła, jakby się upewniał co do bezpieczeństwa pokoju. Gdy później znaleźli się na korytarzu, Pagan zamknął za sobą drzwi na klucz.

Chociaż nie doszło do fizycznego kontaktu, świadomość intencji i chęci zdradzenia Roxanne na jakiś czas odcisnęła na nim piętno i wpędziła w depresję. Pragnął Carlotty.

pragnął - nie ma na to lepszego określenia - unurzać się w wiarołomstwie. Zwyczajnego, banalnego pożądania nie da się wytłumaczyć w rozumny sposób i trzeba uświadomić sobie, że można mu ulec niezmiernie łatwo, a wtedy wszystkie wysoko cenione wartości typu małżeństwo, kariera i wierność ulatują jak oszalałe ptaki z otwartej klatki. Po jakimś czasie fotografia Carlotty trafiła do akt, a Pagan uznał, że w ten sposób przeprowadził egzorcyzmy i uwolnił się spod uroku. Jednak jeszcze przez wiele tygodni pamiętał ojej twarzy, o dotyku jej dłoni i z udręką rozpamiętywał swe destrukcyjne pragnienia oraz nieznanne aspekty własnego charakteru.

Odszedł od rzutnika i wyrzął przez małe okienko strychu na Golden Square, gdzie zaczynał się południowy ruch. Pracownicy biurowi spieszyli na lunch lub najedzeni wracali do pracy. Jeden indywidualista w prochowcu siedział z termosem w dłoni na ławce.

- Carlotta - powiedział do siebie Pagan. Przez jakiś czas jej imię stanowiło synonim terroryzmu, podobnie jak Baader-Meinhoff, Czerwony Danny, czy też Jig. Od wielu lat nie było o niej wieści, jeśli nie liczyć kilku doniesień o jej sporadycznym pojawianiu się, jak to często bywa w przypadku tajemniczych terrorystów przyciągających zainteresowanie opinii publicznej. Podobno pracowała dla Kadafiego przy organizacji pustynnego obozu szkoleniowego dla przyszłych terrorystów i „udzielała konsultacji” Irlandzkiej Armii Republikańskiej w hrabstwie Armagh. Jednakże nic z tych doniesień nie wynikło, a wokół

Carlotty wytworzyła się legenda. Długoletni terroryści postrzegani są jak zjawisko niezwykle, podobne trochę do UFO.

- Niezłe z niej ziółko, Frank - odezwał się Foxie. - Mamy w aktach materiały z więzienia Danbury. Nasza Carlotta urodziła się w rodzinie uważanej za bogatą, a w pięknym wieku dziesięciu lat uciekła ze szkoły po dźgnięciu koleżanki nożem kuchennym. Nic dziwnego, że nikt nie chciał się z nią przyjaźnić, prawda? W kolejnych szkołach dochodziło do kolejnych brutalnych incydentów. W wieku szesnastu lat związała się z radykalnymi organizacjami podziemnymi. Brała udział w zamachu bombowym w Denver, napadzie na bank w Des Moines i napadzie na pociąg przewożący broń do bazy marynarki wojennej w San Diego. Z

materiałów wynika, że posiada nadzwyczajny iloraz inteligencji i płynnie włada francuskim, rosyjskim oraz niemieckim. Charakteryzuje się, cytuję, „upodobaniem do zadawania przemocy”. Wynika z tego, że nie zawsze kierują nią motywy polityczne, a prawdopodobnie wcale nawet nie interesuje się polityką, która służy jej jedynie za pretekst do stosowania gwałtu.

- A teraz pojawiła się w Londynie - rzekł Pagan, siląc się na obojętność.

- Nie mamy pewności - powiedział Foxie.

- Sądząc po aluzji do Heathrow i palenia papierosów, chyba możemy być pewni.

Powtarzała mi, że za dużo palę, co zresztą było wtedy prawdą. Mówiła, że powinienem rzucić, bo rujnę sobie zdrowie. Tu nikt inny nie pasuje, Foxie.

Zmęczonym wzrokiem spojrzął na Golden Square. Do tej pory wspomnienia o Carlocie ukrywał w zakazanej strefie swej pamięci, w nigdy nie odwiedzanej, zawilgoconej i nieprzyjemnej krypcie.

- Mam wrażenie... - zaczął Foxie.

- Jakie?

- ...że nie mówisz mi wszystkiego. Że coś ukrywasz. Pagan milczał. Miał mu powiedzieć:

„Słuchaj, Foxie, zapragnąłem tej kobiety, chciałem jej ulec i przelecieć ją?”

- Wydaje mi się, że poznałeś ją lepiej niż możesz powiedzieć.

- Gdy przez czterdzieści osiem godzin przebywasz ciągle w czyimś towarzystwie, to dowiadujesz się o nim paru rzeczy - powiedział Pagan. - Zostawmy już tę sprawę.

- Jak chcesz. - Lekko nadąsany Foxie bawił się rzutnikiem. Wiedział, że serce Pagana okryte jest nieprzenikalnym pancerzem. - No dobrze, załóżmy, że Carlotta zabiła tę dziewczynę, ale zostawmy na moment tę sprawę i pójdźmy dalej. W dniu morderstwa dziewczyny niecałą milę od jej mieszkania wybuchła bomba w metrze. Czy pamiętając o terrorystycznej przeszłości Carlotty, można mówić o zbiegu okoliczności?

- Szczerze wątpię. - Pagan odwrócił się od okna i znów spojrzął na ekran z fotografią.

Przypomniawszy sobie zapach hotelowego pokoju - wypolerowanych mebli i jabłek w koszyku na stole. Spotkanie z Carlottą stanowiło tylko króciutki epizod w jego życiu, więc dlaczego te wspomnienia nadal go poruszają? Czyżby z powodu dreszczyku rozkoszy? A może pogardy dla siebie samego?

- Podłożyła bombę w metrze - powiedział Foxie - a potem minęła kilka skrzyżowań, poszła z prostytutką do mieszkania i zadźgała ją na śmierć nożyczkami. Dlaczego? Nie wystarczyły jej setki ofiar w metrze? Potrzebowała innego rodzaju satysfakcji? Woli ręczną robotę?

Pewnie lubi widzieć cierpienie i krew na własne oczy. Pragnie osobiście być obecna przy śmierci ofiary.

- Może i masz rację - odpowiedział Pagan. - Czuła niedosyt, bo nie mogła obserwować twarzy ludzi umierających w metrze, i zapragnęła mocniejszych emocji. Chciała patrzeć w oczy umierającej osobie. - Z rękami w kieszeniach przechadzał się po strychu. - Jeśli to ona podłożyła ładunek w metrze, to i tak nie mamy bladego pojęcia, jaki miała cel. No bo co?

Nieumotywowana zbrodnia? Ja w to nie wierzę. Nie sądzę, żeby Carlottą podłożyła bombę w metrze tylko dlatego, że przytrafił jej się gorszy dzień. Musiała mieć jakiś powód. A co do zostawionej informacji...

- Jak to mówił Gunderson? Chciała ci pokazać język? Może miał rację, może ona chce cię sprowokować? Próbuje powiedzieć coś takiego: „No proszę, Frank, złap mnie. Zobaczmy, czy jesteś taki dobry. Spróbuj szczęścia”.

Pagan wpatrywał się w jasny krąg światła na białym ekranie. Dłuższe patrzenie w jeden punkt może człowieka zahipnotyzować - odpręż się, Frank, zaśnij, wszystko będzie dobrze. W

murach centralnego ogrzewania coś zastukało i przez kilka sekund słychać było głośne wibracje.

- Chodźmy już stąd.

Zeszli ze strychu do gabinetu Pagana.

- Okej - powiedział Pagan, siadając za biurkiem. - Najpierw musimy się dowiedzieć, jakim

sposobem przekroczyła granicę i jak wyjechała, bo zakładam, że już tu się nigdzie nie kręci.

Do tej roboty przydzielimy Billy'ego Ewinga. Niech jak zwykle sprawdzi wszystkie firmy lotnicze i kolejowe. Powiedz mu, jakie lubi stosować wybiegi.

- Załatwione - rzekł Foxie.

Na chwilę Pagan oderwał się od rzeczywistości, próbując wyobrazić sobie Carlottę wchodzącą w godzinach szczytu na stację metra i przeciskającą się przez tłum na peron - nie potrafił jednak utrzymać w myśli takiej wizji, bo rozplywała się niczym trawiona kwasem fotografia. Wstał, aby przejść się po gabinecie.

- Jeśli rzeczywiście wybuch w metrze jest dziełem Carlotty, to kto wydał jej polecenie? -

zapytał. - Kto za nią stoi? Nie sądzę, żeby na chybił trafił wybrała sobie pociąg i wysadziła go. Och, co za cudny pomysł, podłożę sobie w metrze bombę! Nie, nie, ktoś musiał ją wynająć. A nie zadzwoniła i nie zrzuciła winy na, powiedzmy, IRA czy inną organizację terrorystyczną, bo chciała dać mi do zrozumienia, że odpowiedzialność ponosi tylko i wyłącznie ona. Wiedziała, że zobaczę jej napis na lampie i że połączę ze sobą te dwie sprawy.

- Kolejna jej zagrywka, pomyślał, i to szczególnie przebiegła. Znow próbuje mnie zwieść, choć tym razem chodzi o zupełnie inną sprawę.

W drzwiach pojawił się nagle Billy Ewing.

- Mamy już zidentyfikowane wszystkie ofiary. Sprawdziłem resztę nazwisk i nie znalazłem nic nadzwyczajnego. Wszyscy czyści z wyjątkiem pewnej drobnostki, która prawdopodobnie nie ma nic wspólnego z naszym śledztwem.

- Jaka to drobnostka?

- W wagonie był Amerykanin Bryce Harcourt.

Pagan poczuł, że wszystko zaczyna toczyć się coraz szybciej.

- I czego dowiedziałeś się na jego temat?

- Właściwie niczego. Dzień przed wybuchem zgłosił na policji w Hampstead, że ktoś przedziurawił mu wszystkie cztery opony. Zwykły akt idiotycznego wandalizmu, chociaż pewnie opony sporo kosztowały, bo były zamontowane przy najlepszym modelu mercedesa.

- Czy to ten koleś z amerykańskiej ambasady? - zapytał Foxie, gdy Pagan na niego spojrział.

- Tak. Billy, masz adres Harcourta?

- Mam.

- To zapisz mi.

Ewing zanotował adres i podał Paganowi kartkę z notesu. Pracownik ambasady amerykańskiej mieszkał w dzielnicy Hampstead, niedaleko Heath.

Jechali wzdłuż lasku St John's i koło Swiss Cottage. Na drodze do Finchley Pagan widział

bezradnych ludzi kryjących się pod parasolami. Podczas jazdy opowiadał Foxiemu o spotkaniu z Yictorią Can-ningsby, która uważała, że Harcourt był czymś bardzo przerażony.

- Kiedy pierwszy raz wypłynęło jego nazwisko - mówił - nie zwróciłem na nie szczególnej uwagi. Zainteresowałem się, dopiero gdy pojawiło się po raz drugi. Teraz słyszymy je po raz trzeci i to już mnie zaczyna intrygować.

- Ten Quarterman dał ci do zrozumienia, że Harcourt był jakimś analitykiem...

- Co strasznie rozśmieszyło panią Canningsby.

- Dlaczego Quarterman miałby wprowadzać cię w błąd?

- Przychodzi mi do głowy tylko jeden pomysł. Pewnie Harcourt pracował nad jakąś delikatną sprawą. Powszechnie wiadomo, że w ambasadzie przy placu Grosvenor gromadzi się wielu dziwnych ludzi. Quarterman nie chciał rozgłaszać, że Harcourt był jednym z nich.

Przypuszczam, że umniejszając znaczenie zajęcia biednego Bryce[^] chciał uniknąć niepotrzebnych intryg.

Pagan oderwał wzrok od deszczowej ulicy.

- W każdym razie będzie nam piekielnie trudno dostać się na Grosvenor Square, bo sytuacja przypomina tam trochę Kreml. Wystarczy się pokręcić, a w mgnieniu oka masz na karku oddział komandosów piechoty morskiej.

Foxie skręcił samochodem w kierunku Hampstead Heath.

- A założmy, że z powodu swojej pracy Harcourt stanowił cel zamachu. Może nawet jedyny cel?

- Foxie, znowu wracasz do tej koncepcji? Na samą myśl czuję w głowie zamęt. Ktoś, powiedzmy Carlotta, miałby brać na sumienie śmierć ponad setki ludzi, aby zniszczyć jednego człowieka? Na miłość boską, po co? Przecież istnieją bardziej ekonomiczne sposoby likwidowania pojedynczych ludzi. O wiele łatwiej byłoby gdzieś nocą posłać mu kulę w głowę. - Miał ochotę zapalić, ale przypomniał sobie, że całą paczkę zostawił w domu.

Obmacał jednak kieszenie w nadziei, że jakiś papieros wypadł z pudełka. Niestety.

- No dobrze - odwrócił głowę do Foxiego. - Przyjmijmy, że w twojej hipotezie jest element prawdopodobieństwa. Wtedy w naturalny sposób dochodzimy do wniosku, że ktoś unieruchomił

Harcourtowi samochód celowo...

- Żeby go zmusić do jazdy metrem.

- Właśnie. Trzeba go było zmusić do jazdy metrem, bo tam miał zginąć. Dokąd nas to wszystko zaprowadzi?

- Przychodzi mi do głowy pewna niezbyt przyjemna myśl. Frank, cała ta masakra mogła być wywołana dla stworzenia pozorów, na pokaz, przez sprytnego lawiranta.

- Cholernie okrutny pokaz. Foxie, mamy się zająć zamachem terrorystycznym, a rozprawiamy tutaj nad zamordowaniem pojedynczego człowieka. Harcourt to tylko jedna z ofiar figurujących na liście. Nie możemy poświęcać mu zbyt wiele uwagi, bo brakuje nam na to czasu, ludzi i tak dalej. Wszyscy przeżywają szok, cały kraj jest przerażony, a więc śmierć Amerykanina nie może pochłaniać całej naszej uwagi.

- Wysunąłem tylko hipotezę - powiedział Foxworth.

Pokaz, pomyślał Pagan, zasłona dymna, masakra w metrze spowodowana koniecznością zlikwidowania jednego człowieka. Trzeba się jednak liczyć i z taką koncepcją.

Foxie zaparkował samochód przed dobrze utrzymanym wiktoriańskim domem z żółtawej cegły, pamiętającej czasy, kiedy nie budowano jeszcze świata z tandetnych materiałów, murarze znali swój fach, a biznesmeni mogli w niedzielne popołudnie słuchać fortepianowych popisów swoich córek.

Pagan wysiadł z samochodu i spojrzał w kierunku mokrych drzew targanych silnym wiatrem. Ruszył do wejścia domu za Foxiem, któremu wiatr poderwał w górę płaszcz. Na podjeździe stał srebrny mercedes 450SL z przedziurawionymi oponami. Pagan schylił się, obejrzał koła i doszedł do wniosku, że ktoś przebił gumę fachowo.

W budynku mieściły się dwa oddzielne mieszkania. Przy górnym dzwonku znajdowała się tabliczka z nazwiskiem Harcourta, więc Pagan nacisnął dolny dzwonek obok nazwiska Gilman. Po chwili do drzwi podszedł na boso mężczyzna w białym jedwabnym szlafroku i czarnych okularach. Pagan pokazał legitymację, a Yictor Gilman uchylił drzwi i ze środka doleciała woń przesyconego alkoholem oddechu. Ma już trochę w czubie, pomyślał Pagan.

- Czym mogę służyć naszemu drogiemu Scotland Yardowi? - zapytał Gilman. - Co uczynić dla Londynu?

- Chcielibyśmy porozmawiać o panu Harcourcie, pańskim sąsiedzie z góry.

- To dżentelmen w każdym calu - stwierdził Gilman. - Wspaniały człowiek.

- Musimy obejrzeć jego mieszkanie - powiedział Pagan.

Gilman zachwiał się lekko, lecz ze śmiechem przytrzymał się futryny.

- Przepraszam za swoją niedyspozycję, miałem ciężką noc. Koniecznie muszę się dzisiaj wykurować.

- Koniecznie - przytaknął Pagan i minąwszy Gilmana wszedł do holu. Foxie ruszył za nim.

- Macie panowie nakaz? - zapytał Gilman.

- Drogi kolego, nie mam czasu na kurtuazję, Harcourt został zabity.

- Zabity?

- Podejrzewamy morderstwo.

- Dobry Boże, morderstwo? - Jedwabny szlafrok Gilmana rozsunał się, odsłaniając czerwone majtki i gładkie, bezwłose nogi. - Jak to morderstwo?

- Ma pan klucze do mieszkania Harcourta? Gilman zdjął ciemne okulary; miał przekrwione oczy.

- Dlaczego, na litość boską, morderstwa spotykają takich fajnych gości jak Bryce?

Pagan przeszedł przez hol i postawił stopę na schodach. Gilman w rozchełstany szlafroku podążył za nim.

- Nie mam kluczy - powiedział.

- Nie szkodzi. - Pagan był już w połowie schodów, a Gilman włókł się za nim chwiejnym krokiem.

Na górze Pagan stanął przed solidnymi drzwiami mieszkania Harcourta. Zamek yale, pomyślał, prosta sprawa.

- Do dzieła - rzucił Foxiemu.

- To może trochę potrwać, Frank - rzekł Foxworth. - Wyszedłem z wprawy.

Przez chwilę przyglądał się zamkowi, a potem wyjął z kieszeni szwajcarski scyzoryk.

Wsunął cieńsze ostrze w zamek i kilka razy poruszył w środku. Gilman nie otrząsnął się jeszcze po wiadomości o zamordowaniu Harcourta.

- Chyba straciłem wyczucie - powiedział Foxworth wyciągając ostrze z zamka. - Nie da rady.

- Zastosujemy mój sposób. - Pagan cofnął się o krok i mocno kopnął w drzwi. Rozległ się zgrzyt łamanej zasuw, drzwi skrzypnęły i stanęły otworem.

- Zamordowany... nie do wiary - mamrotał Gilman. Nagle beknął i z ust popłynęła mu kleista substancja.

- Może wróci pan do siebie? Lepiej położyć się do łóżka - rzekł Pagan.

- Świetny pomysł. - Powłócząc nogami, podszedł do schodów. - Tak, położyć się, rzeczywiście, muszę się położyć. - Wydał z siebie jeszcze kilka jęków i, ściskając się za brzuch, zszedł na dół.

Pagan i Fosworth weszli do mieszkania Harcourta. W środku znajdowało się niewiele mebli, lecz wszystkie dobrane ze smakiem, i minimaliście pomieszczenie to mogło przypaść do gustu. Dominował chrom i czarna skóra, a stolik do kawy miał blat z jakiegoś przezroczystego materiału. Najwyraźniej Harcourt lubił przestrzeń. W jadalni znajdował się tylko szklany stół i cztery proste krzesła. W sypialni na ścianach nie było żadnych obrazów, a umeblowanie ograniczało się do nocnej lampki i dwuosobowego łóżka z jedwabną pościelą bordo.

Pagan rozejrzał się po pokojach i wszedł do jasnej łazienki wyłożonej płytkami i lustrami.

Szczoteczka stała na swoim miejscu, maszynka do golenia spoczywała jak należy obok tubki z kremem, a wszystkie ręczniki wisiały w pedantycznym porządku. W salonie Pagan zobaczył

sofę, jeden fotel i półkę z książkami - głównie kieszonkowymi egzemplarzami wydawnictwa Penguin Books. Pod nią stało biurko Harcourta, a na nim telefon, automatyczna sekretarka i niewielki stosik rachunków. Jak zwykle podczas przeszukiwania mieszkania zmarłego, Pagana ogarnęło dziwne uczucie naruszania cudzego terytorium. Harcourt stracił życie i nagle należące do niego przedmioty stały się obiektami muzealnymi wyłączonymi z normalnego użytku.

Pagan przejrzał papiery. Harcourt dość rozrzutnie posługiwał się platynową kartą American Express - wśród pokwitowań dominowały rachunki z drogich restauracji, lecz znalazły się też trzy paragony z kwiaciarni; kwiaty dla dziewczyny, pomyślał Pagan. Obok rachunku za elektryczność leżał list od mieszkającej w Chicago młodej kobiety imieniem Louise. Mamy teraz srogą zimę. Chciałabym, żeby wróciło już lato i żebyśmy znów byli razem.

Pagan otworzył szufladę. Znalazł wiele korespondencji od różnych kobiet, przeważnie czułych listów od aktualnych lub byłych kochanek. Najwyraźniej Harcourt należał do mężczyzn potrafiących w ugodowy sposób zrywać romanse. Tu trzeba mieć talent, pomyślał

Pagan.

W drugiej szufladzie leżały nieużywane materiały piśmienne z ambasady amerykańskiej oraz spora kolekcja gumek, spinaczy i pudełek po zapałkach. Nic nadzwyczajnego, żadnego dziennika, ani śladu notesu z planowanymi spotkaniami. Z sypialni wyszedł Fokie.

- Kupował drogie koszule i garnitury - powiedział. - W szufladzie przy łóżku miał spory zapas prezerwatyw.

- Załatany facet - rzekł Pagan, zamykając szuflady biurka. - Ciekawe, że nie bardzo potrafię wyobrazić sobie, jaki był. Wiem, że lubił kobiety, ale co więcej? To miejsce wieje pustką, jak gdyby właściwie nikt tutaj nie mieszkał, a jeśli nawet, to nie zostawiał po sobie żadnych śladów. - Pomyślał o nieporządku w swoim mieszkaniu przy Holland Park, które wprawdzie wyglądało, jakby przeszedł przez nie huragan, ale znać było w nim życie, a tego właśnie brakowało w domu Harcourta.

- Może po prostu był schludny - powiedział Foxworth. Pagan usiadł na sofie.

- Oprócz radia nie ma sprzętu muzycznego, a cóż to za uwodziciel, który nie puszcza kobietom muzyki? Dziwne.

- Nie ma też telewizora.

- To akurat dobrze o nim świadczy.

Foxie spojrział na półkę z książkami, wyjął „Kochanka lady Chat-terley”, przekartkował i odłożył książkę na miejsce.

- Widocznie wolał czytać.

Pagan poszedł do kuchni, gdzie na ścianach wisały garnki i patelnie. Błat elektrycznej kuchenki nie miał ani jednej plamki. W szafce leżały torebki z zupami Baxtera - szkocki bulion i krem z bażanta, a w prawie pustej lodówce dostrzegł tylko pudełko z mlekiem, jabłko skurczone do rozmiarów orzecha, dwa słoiczki z sosem do spaghetti i jedno brązowe jajko z piórkiem przyklejonym do skorupki. Ani na ścianach, ani na drzwiach lodówki nie było żadnych kartek z wiadomościami, żadnych list zakupów ani numerów telefonicznych. W

drugiej szafce stało pół butelki koniaku, nie napoczęta fiolka z antybiotykiem i napoczęta buteleczka tabletek nasennych. Najwyraźniej Bryce niezbyt łatwo zasypiał.

Gdy Pagan wrócił do salonu, Foxie stał przy biurku i oglądał automatyczną sekretarkę.

- Przesłuchajmy wiadomości.

Foxworth cofnął taśmę i włączył odtwarzacz. Po chwili odezwał się damski głos: „Bryce, kochanie, dlaczego nie dzwonisz? Przecież znasz mój numer. Zdecydowałeś się już, czy idziesz na przyjęcie do Robina?” Wiadomość skończyła się. Głos ten z całą pewnością nie należał do Yictorii Canningsby. Następną informację również zostawiła kobieta. „Bryce?”

Mówi Deedee Gauge. Co byś powiedział na wieczorne przyjęcie w przyszły piątek u Daxena?

Pewnie będzie śmiertelnie nudno, bo oni tylko obiecują i obiecują. W każdym razie daj mi znać, zgoda? Całuję”. W głośniku rozległo się cmoknięcie.

- Miał kobiet na pęczki - stwierdził Foxie.

Automatyczna sekretarka na chwilę zamilkła, a potem rozległa się trzecia i ostatnia wiadomość. Tym razem usłyszeli męski głos: „Bryce, tu mówi Jake Streik. Jeśli tam jesteś, podnieś słuchawkę. Muszę z tobą koniecznie porozmawiać. Co tam u ciebie słyhać? Ja mam kłopoty. Posłuchaj, jak dam radę, to zadzwonię jeszcze wieczorem. Radzę ci, posłuchaj mnie i spieprzaj z tego Londynu. Uciekaj przed Grabarzami, rozumiesz mnie? Jak najszybciej wyrwij się z tego gówna. W przeciwnym razie już po tobie... Bryce? Jesteś tam? Bryce?”

Pagan słuchał z napiętą uwagą.

- Puść to jeszcze raz, Foxie.

Foxie przewinął taśmę i zrobił głośniej, ponieważ wypowiedane słowa brzmiały cicho, jakby ktoś dzwonił z innego kraju. Pagan wysłuchał jeszcze raz nagranej wiadomości, a potem podszedł do okna i wyrztał na mokre od deszczu wrzosowiska. Przypomniawszy sobie słowa Yictorii Canningsby: „Chyba nie skłamię, mówiąc, że obawiał się o swoje życie”, a teraz znów ostrzeżenie Streika: „w przeciwnym razie już po tobie”.

- Zdaje się, że facet był czymś przerażony - powiedział Foxie.

- I to-panicznie. Ciekawe, co go łączyło z Bryce'em Harcourtem. Dlaczego namawiał

Harcourta do wyjazdu z Londynu?

- I kim są ci Grabarze? Może Streik użył eufemizmu typu „niewidzialna ręka”.

Pagan odwrócił się od okna. Czuł się dziwnie, jak gdyby w jednej chwili śledztwo poniosło go w niechcianym kierunku. Coraz bardziej stawało się oczywiste, że jedyną przyczyną podłożenia bomby w metrze, jak sugeruje Foxie, był Harcourt. Pagan nie chciał jeszcze całkowicie zaakceptować tej myśli, jednak w jego mózgu pojawiło się kiełkujące nasionko takiej możliwości. Co się działo z tym Harcourtem, że padł ofiarą wybuchu, i że Streik musiał

go ostrzegać. Dlaczego żył w ciągłym strachu? „Uciekaj przed Grabarzami”.

Pagan nie lubił sytuacji, kiedy myśli rozpadają się na drobne włókienka, a wiatr rozwiewa je we wszystkie strony.

- Dobra, zakładamy, że bombę podłożyła Carlotta. Możemy też przypuścić, że jej cel stanowił Harcourt. Co on takiego zrobił, żeby zasłużyć sobie na śmierć? Dlaczego ktoś miałby zlecić Carlocie zamordowanie go? - Usiadł na sofie i bacznie rozglądał się po pokoju.

- Muszę się dowiedzieć, co łączyło Streika z Harcourtem i w co takiego wdepnęli.

- A jak zamierzasz się do tego zabrać?

Pagan wstał, podniósł książkę telefoniczną i poszukał numeru ambasady amerykańskiej.

- Najlogiczniej będzie rozpocząć poszukiwania od rozmowy z Alem Quartermanem. Może on rzuci na sprawę nowe światło.

Wystukał numer i po kilku sygnałach w słuchawce odezwał się kobiecy głos.

- Ambasada Stanów Zjednoczonych.

Pagan poprosił o połączenie z Quartermanem.

- A kto mówi?

- Frank Pagan.

Po dłuższej chwili oczekiwania w słuchawce coś zaszurało, a potem rozległ się głos Quartermana.

- Frank? Czym mogę ci służyć?

- Chciałbym się z tobą spotkać.

- Wypłynęła jakaś ważna sprawa?

- Można to tak nazwać.

- O ile dobrze pamiętam, dziś po południu jestem wolny.

- Znasz hotel Browna?

- Znajdę.

- Spotkajmy się tam za godzinę.

- W porządku - powiedział Quarterman i odłożył słuchawkę. Pagan spojrział na automatyczną sekretarkę, a potem wyjął i schował do kieszeni kasetę.

Na jezdniach Mayfair panował coraz większy tłok. Autobusy przedzierały się przez gęsty deszcz, puste taksówki niknęły w chmurach własnego dymu. Foxie jechał bocznymi ulicami, lecz nawet tam co rusz natykał się na furgonetki dostawcze i samochody osobowe. Miejsce do zaparkowania udało mu się znaleźć o całą przecznicę za hotelem Browna. W holu już czekał

na nich Al Quarterman.

- Proponuję przejść do baru - powiedział Pagan. Przedstawił Fo-xiego, który uprzejmie uścisnął wiotką dłoń Quartermana.

Bar świecił pustkami. Quarterman wdychał hotelowe powietrze, jak gdyby pachniało autentyczną, starą angielskością. Pagan już dawniej zauważył, że większość Amerykanów z przesadnym entuzjazmem odnosi się do wszystkiego, co ma choćby posmak zabytku.

Przypominali mu tym sympatyczne sępy, z zapamiętaniem uczujące na starych kościach, i czasami go wzruszali.

Usiedli przy stoliku w kącie, a Pagan zamówił trzy piwa. Quarterman napił się i mlasnął; jego żółta cera jeszcze bardziej rzucała się w oczy niż poprzednio.

- Co tam, Frank? O co ci chodzi?

- O Bryce'a Harcourta. Quarterman spojrzał na piwo.

- Biedny Bryce, miał straszną śmierć.

- Potrzebuję kilku informacji na jego temat. Na przykład: czym rzeczywiście zajmował się w ambasadzie.

- Zdaje się, że omawialiśmy już tę sprawę.

- Posłuchaj, nie chcę poruszać drażliwych dla was tematów...

- Drażliwych tematów?

- Harcourt miał kłopoty i chcę ustalić, czy w jakikolwiek sposób wiązały się z jego zajęciem w ambasadzie. Jeśli wolno ci powiedzieć...

- Bryce był analitykiem i tyle. Nie wiem, do czego zmierzasz. Nic też nie wiem o jego poważnych kłopotach, bo moim zdaniem było z nim wszystko w porządku. A gdyby miał

jakieś kłopoty, to z pewnością coś bym o tym słyszał. Spotykaliśmy się przecież każdego dnia w pracy, a poza tym utrzymywaliśmy stosunki towarzyskie.

- Czy mówi ci coś nazwisko Streik? Jacob Streik?

- Zachodzisz mnie od tyłu, co? - Quarterman zrobił zamyśloną minę.

- Streik zostawił na automatycznej sekretarce Harcourta rozpaczliwą wiadomość, a właściwie ostrzeżenie - powiedział Pagan.

- Skąd u was to nagłe zainteresowanie Harcourtem? Co was zawiodło do jego mieszkania?

Frank, przecież ten facet zginął w tragicznej eksplozji, padł ofiarą zamachu terrorystycznego, znalazł się w złym miejscu o złej porze. Po co wy grzebiecie w jego życiu?

- Na tym polega nasza praca.

Quarterman kwaśno się uśmiechnął i sięgnął po piwo.

- Nie chcesz powiedzieć, co?

- Wracajmy do Streika. Z czym on ci się kojarzy?

- Niestety, Frank, z niczym. Przykro mi. Pagan rozparł się na krześle.

- Streik wspominał coś o grabarzach i prawdopodobnie Harcourt zrozumiałby, o co chodzi.

Co, według ciebie, to może znaczyć?

- Grabarze? Nie mam pojęcia. - Podnosił szklankę, gdy nagle na jego twarzy odmalowało się zaskoczenie. Wykrzywił się, otworzył usta, upuścił szklankę i bezwładnie zawisł na oparciu krzesła. Przez ułamek sekundy wydawało się, że to nagły zawał serca, lecz zaraz z piersi Quartermana wypłynęła krew. Pagan zerwał się i ruszył w pogoń za zmierzającym do głównego wyjścia mężczyzną w ciemnozielonym płaszczu.

Przebiegł przez bar i dotarłszy do holu, zobaczył go pędzącego chodnikiem. Rzucił się za nim, potrącając dwie odziane w futra staruszki, które nie omieszkały rzucić spod parasola wiązanek przekleństw. Uciekinier był szybszy, młodszy i silniejszy, lecz Pagan, świadom, że zabójca Quartermana może uciec, biegł najszybciej, jak potrafił. Zadyszany i z bólem w płucach pędził ulicą, myśląc o pistolecie bezużytecznie leżącym w szufladzie biurka.

Zabójca skręcił za róg i był już ponad sto metrów z przodu, lecz Pagan, chociaż czuł

tętniącą w głowie krew, nie popuszczał. Człowiek w ciemnozielonym płaszczu zniknął za następnym rogiem, Pagan skręcił za nim. Uciekinier oddalał się z każdym krokiem; wyglądało na to, że zaraz rozplynie się w powietrzu. Długie, jasne włosy smagały go podczas biegu po kołnierzu. Zasapany Pagan zmuszał się do wysiłku; w szybach witryn widział swój rozchełstany płaszcz i zaczerwienioną, mokrą od deszczu twarz.

Zabójca znów zniknął za rogiem.

Dlaczego nikt go nie zatrzyma? Co się stało z postawą obywatelską? Czy w dzisiejszych czasach wszystkich dotknęła znieczulica?

Pagan dotarł do rogu, lecz nie widział ani śladu uciekiniera, który mógł udać się w jednym z wielu kierunków albo nawet wejść do któregoś z budynków. No i co teraz? Oparł się o ścianę; czuł dławienie w krtani; przed oczami widział mroczki. Nie za dobrze z tobą, Frank, wstyd i hańba. Na nagrobku napiszą ci: „zabiegał się na śmierć”. Był cały spocony.

Dłuższą chwilę stał bez ruchu, a gdy odzyskał siły, spokojnym krokiem wrócił do hotelowego baru. Quarterman miał rozpiętą koszulę. Stojący obok Foxie spojrział na Pagana i pokręcił głową.

Dookoła zgromadził się prawie cały personel hotelowy.

- Proszę opuścić pomieszczenie - zawołał Pagan. - Proszę stąd natychmiast wyjść!

- Chyba nawet nie wiedział, co się stało - powiedział Foxworth, gdy bar opustoszał.

Pagan popatrzył na zmarłego, a potem osunął się na krzesło i pokręcił głową. Wytarł ręką mokrą twarz.

- Ciekawe, czego mieliśmy się nie dowiedzieć o Harcourcie i Stre-iku - odezwał się Foxie.

Na szyi pulsowała mu żyła. - Co było aż tak ważne, że morderca w środku dnia zaryzykował strzelanie do człowieka? I to w centrum Mayfair.

Pagan oblizwał spierzchnięte wargi.

Poczuł nagle, że zagubił się w podziemiach metra, że gdzieś źle skręcił i teraz błądzi po pustym tunelu, w którym po zardzewiałych szynach nie jeżdżą już pociągi, że w powietrzu unosi się dziwna woń i nie sposób oddychać, i że wokół nie ma żadnego światła, a wszystko okrył całun mrocznej tajemnicy.

Wenecja

Przed kolacją Tobias Barron był umówiony na krótką rozmowę. Jego gość, Afrykaner Rolfe Van den Kamp, miał spaloną słońcem cerę i harde, błękitne oczy, a w chłodnym klimacie Wenecji najwyraźniej czuł się nieswojo. Barron zaproponował sherry, lecz Afrykaner poprosił o coś „z większym kopem” i zgodził się na czystą whisky. Wypił drinka jednym haustem, był wyraźnie zdenerwowany. Siedzieli naprzeciw siebie w pokoju gościnnym.

- Cieszę się, że tak szybko doszło do tego spotkania - powiedział Van den Kamp.

Barron wzruszył ramionami.

- Żałuję, że w Afryce nie mieliśmy więcej czasu. - W durbańskim hotelu spotkali się na krótką chwilę podczas koktajlu, na którym z reguły prowadzi się zdawkowe rozmowy.

Zamienili wówczas kilka słów o sytuacji politycznej RPA, którą Van den Kamp uznał

oczywiście za katastrofalną. Barron jednak, choć nie mówił tego na głos, uważał, że ludzie pokroju Van den Kampa usiłują stawiać opór niemożliwej do powstrzymania fali i że przejęcie władzy przez czarnoskórych mieszkańców jest rzeczą nieuchronną. Można budować falochrony, można ustawiać na wałach worki z piaskiem, lecz w końcu Rolfe i jemu podobni zostaną zmieceni niczym suche patyki.

- Sam wiesz, Rolfe, jak to jest podczas moich podróży - mówił Barron. - Przyjeżdżam, podpisuję kilka dokumentów, porozmawiam z bankowcami, zobaczę się z przedstawicielem rządowym, wygłoszę mowę i odjeżdżam.

- Jasne, jasne. - Rolfe Van den Kamp spoglądał ze współczuciem.

- Wiem, jakie to męczące. Pozwolisz, że naleję sobie jeszcze jednego drinka? - Nalał

czystej whisky aż po brzegi szklanki. - Nie tylko ty, Tobiasie, wnosisz odrobinę światła na Czarny Kontynent. My cały czas poświęcamy się temu. I to już od wielu lat. Niektórzy nasi czarni chodzą do szkół zawodowych, a nawet do college'ów. Kiedy trzeba, oczywiście my podpisujemy czeki.

„Niektórzy nasi czarni”, pomyślał Barron. Van den Kamp nie potrafił się ustrzec władczości w głosie. W jego świecie posiadanie ludzi na własność było czymś normalnym.

Łatwo sobie wyobrazić, jak ten potomek Holendrów stoi w rozkroku, z dłońmi na biodrach, i wpatruje się w należący do jego rodziny step, na którym panoszy się murzyński nacjonalizm.

Van den Kamp stanowił wymierający gatunek, relikwiny innej epoki.

- Skoro skłonni jesteście pomagać tym, co mieli mniej szczęścia...

- odezwał się Barron i machnął dłonią. - Chciałbym dalej prowadzić akcje charytatywne, oczywiście nie tylko w RPA.

Van den Kamp spojrział na Barrona swymi niebieskimi oczami pełnymi niepokoju, strachu i woli przetrwania. Uśmiechnął się nieznacznie.

- Pełnisz niezwykłą funkcję i ponieważ jesteś białym człowiekiem niosącym ze sobą radość, a nie polityczne frazesy, możesz jeździć, dokąd chcesz. Docierasz do takich miejsc w Południowej Afryce, w jakich innego białego zastrzelono by na miejscu. - Van den Kamp obracał szklankę w potężnych dłoniach. - Myślę sobie czasami... że może o czymś słyszałeś.

- Słyszałem o czymś? - zapytał Barron. - Na przykład o czym?

- O tym i owym. Może dotarła do ciebie jakaś cenna informacja, która przydałaby się moim ludziom?

- Rolfe, o co ci właściwie chodzi? - Barron uśmiechnął się. - Może przejdź do rzeczy... -

Zmienił pozycję na fotelu.

Van den Kamp w zadumie wpatrywał się w szklankę z alkoholem. Podczas poprzedniej rozmowy opowiadał o potrzebie obrony swej rodziny. Barron rozumiał, że odwołuje się do sprawy szerszej niż bezpośrednie więzy krwi, że mówi o stylu życia, o potrzebie przetrwania i sprawowania władzy. Proces demokratyzacji był dla Van den Kampa równie śmieszny, jak niepokojący. Jego nie obchodziły urny wyborcze, bo toczył własną wojnę.

Afrykaner napił się whisky.

- Bojownicy mają AK-47S i uzi. Nie wiemy skąd, ale przecież skądś je muszą mieć.

Chcielibyśmy poznać ich źródło zaopatrzenia.

- I uważasz, że ja mam dostęp do takich informacji?

- Przypuszczam, że tak.

- Rolfe, na świecie aż roi się od handlarzy bronią - mówił Barron. - Obydwaj dobrze o tym wiemy. Wyobrażasz sobie, że bojownicy zwierzają mi się ze swoich tajemnic? Ja spotykam się tylko z burmistrzami i wódzami szczepów. Nie wiem nawet, czy potrafiłbym odróżnić bojownika od zwykłego człowieka. - Uśmiechnął się lekko, jak gdyby sama myśl, że coś go może łączyć z radykałami, wydała mu się śmieszna. Van den Kamp wstał z fotela. Był

potężny i pięknie umięśniony.

- Tobias, jeśli zapomnisz o czarnym kolorze ich skóry, to ujrzysz zwykłych terrorystów.

Barron wzruszył ramionami. Afrykaner przeszedł przez pokój i jednym palcem wystukał na szpiniecie kilka pierwszych dźwięków utworu „Pack Up Your Troubles”, a potem odwrócił się tyłem do klawiatury.

- Musimy zrównoważyć sytuację na swoją stronę.

- Co chcesz przez to powiedzieć? - zapytał Barron. Zdziwiła go logika Afrykanera: jak można zrównoważyć sytuację na czyjąś stronę? To przewrotne nadużycie językowe. Dla Van den Kampa równowaga istnieje wówczas, gdy szala przechyla się na jego stronę.

- Moi ludzie mają pewne pilne potrzeby.

- Na przykład jakie?

Van den Kamp nie odpowiedział na pytanie wprost.

- W Durbanie odniosłem wrażenie, że możesz mi pomóc. Powiedz, czy się mylę.

- Rolfe, przecież nie wiem, jakiej potrzebujesz pomocy.

- Zdawało mi się, że... eee... masz szerokie koneksje.

- Owszem, znam wiele osób, jeśli o to ci chodzi. Mam znajomych w różnych kręgach. W

medycynie, rolnictwie, edukacji. Wszyscy oni pomagają mi i wspierają mnie. Na całym świecie realizuję rozmaite projekty: wykorzystanie płonów na Kubie, pomoc medyczna w Etiopii, systemy irygacyjne w Angoli, a lista ta zawiera wiele pozycji.

Van den Kamp pokręcił głową.

- Sądziłem, iż wiesz, że chodzi mi o coś innego.

Barron milczał. Zdawał sobie sprawę, że sytuacja jest delikatna. Mógł pomóc Van den Kampowi, mógł go skłonić do jasnego wyrażenia prośby, lecz bawiło go czekanie. Podszedł

do kominka z fotografiami przedstawiającymi go w towarzystwie sławnych ludzi. Wiedział, że robią one wrażenie i Afrykaner powinien poczuć, iż spotkanie z Barronem jest dla niego niezwykłym szczęściem.

- Powiem inaczej - rzekł Van den Kamp. - W Durbanie myślałem, że współczujesz nam z powodu przemocy panującej w naszym kraju.

- Naprawdę sprawiałem takie wrażenie?

- Oczywiście mogłem źle cię zrozumieć...

- Rolfe, ja zawsze staram się utrzymać dystans wobec sytuacji kraju, w którym przebywam.

Przepraszam, jeśli powiedziałem coś, co mogło wprowadzić cię w błąd.

Afrykaner z rozczarowaną miną spojrział na klawiaturę szpinetu.

- Liczyłem, że moja podróż nie pójdzie na marne.

- Być może gdybyś powiedział, o co ci chodzi... - zaproponował Barron.

Van den Kamp nie należał do ludzi lubiących niejasności i ucieszył się z możliwości szczerzej wymiany zdań. W jego świecie mężczyźni rozmawiali o brutalnych faktach przy zimnym piwie.

- Okej. W Durbanie odniosłem wrażenie, że ktoś z twoich znajomych mógłby służyć nam pomocą. Barron wbił wzrok w Afrykanera.

- Wszystko zależy od natury pomocy, jakiej oczekujecie. Pewnie nie chodzi wam o inżynierów irygatorów ani specjalistów od AIDS, prawda?

- Myślałem, że wiesz, o czym mówię. Czy mam się wyrazić jeszcze jaśniej?

- Tak samo jak ty, nie lubię błędzenia w ciemności - powiedział Barron.

- No dobra. Dla celów wyłącznie obronnych potrzebujemy uzbrojonych rangeroverów, kewlarowych kamizelek kuloodpornych i granatów ogłuszających. Tobias, mamy nóż na gardle, a uwierz mi, że w ten sposób nie da się żyć.

Barron słuchał. Wiedział, że Van den Kamp należy do ludzi, którzy najpierw wspominają o potrzebie obrony. Nie chciał być uznany za agresora, bo tę rolę zarezerwował dla czarnoskórych.

- Czasami najlepszą obroną jest atak - powiedział.

- Oczywiście - odparł Van den Kamp.

- A więc?

- Szukamy wyrzutni granatów gazowych Webleya, działek Re-mington 870s kaliber 12, automatów Glocka 9 mm, pistoletów HK93 i MP5Ks oraz karabinów Tejas kaliber 0,50 i do tego wszystkiego amunicji. To długa lista.

Przyciskając palce do warg, Barron wspomniął odwiedziny czarnoskórego bojownika Nofomety w durbańskim hotelu. Poglądy Van den Kampa i Nofomety stały ze sobą w sprzeczności, jednakże w gruncie rzeczy obydwaj mieli podobne pragnienia. Chcieli dominacji w przyszłości, rządzenia krajem i prawa do własności.

- Rolfe, mogę przekazać twą prośbę, lecz musisz zrozumieć, że z ostateczną decyzją ja nie mam absolutnie nic wspólnego. - Dystansując się od zagadnienia, Barron zapewniał sobie wszelką

możliwą obronę, budował wokół siebie pancierz. - A zakładając, że spotkam przypadkiem kogoś, kto mógłby wam pomóc, choć to wcale nie takie pewne, to czy mogę mu wspomnieć o rozsądnej sumie pieniędzy?

- Pieniądze to nasz najmniejszy problem.

Barron przyglądał się uważnie Afrykanerowi. Przed spotkaniem przeczytał jego dossier.

Rolfe Van den Kamp, którego osobisty majątek szacowano na około pięć milionów funtów szterlingów, był liderem ruchu prawicowego, mającego na koncie zbrojne konflikty z czarnoskórą ludnością. Jak dotąd nie przejawiali większej aktywności - tu kilka zabójstw, tam kilka podpałek, aby przypomnieć o supremacji białych. Zaszły jednak zmiany, Van den Kamp oraz jego ludzie stali się ambitniejsi i potrzebowali większej siły przebicia do zademonstrowania swojej mocy.

- Na samym początku musimy wyjaśnić sobie jedną rzecz - powiedział Barron. - Nie mogę absolutnie nic ci obiecać. Jestem w stanie co najwyżej skontaktować cię z pewnymi ludźmi, a jeśli oni będą chcieli zrobić interes, to dojdzie do transakcji. Ja nie mam z tym nic wspólnego.

Powiem uczciwie, że nie powinienem nawet cię słuchać.

- Rozumiem - Van den Kamp dokończył drinka i postawił szklanekę na politurowanym wieku szpinetu.

Barron natychmiast ją podniósł, żeby nie zostawiła śladu.

- Wszelkie kwestie dotyczące broni wydają mi się ohydne.

- Ale przekażesz wiadomość w odpowiednie miejsce? Barron skinął głową.

- Zwiedzałeś już Wenecję? - zmienił nagle temat.

- Nie mam na to czasu - odparł Afrykaner.

- Szkoda. Zimą to miasto wygląda naprawdę uroczo. - Barron spojrział na zegarek. -

Wybacz, proszę, ale spodziewam się gości.

- Jasne.

Odprowadził Van den Kampa do drzwi i uściśnął mu dłoń. Kiedy Afrykaner odszedł, w pokoju pojawił się Schialli i zakomunikował, że na kolację przybyli już goście.

- Wszyscy - dodał służący - z wyjątkiem starego.

Barron nawinął wstążkę makaronu na widelec i podniósł do ust. Smakowała anchois i parmezanem. Upił sardyńskiego vermentino, a potem podniósł kieliszek, jakby szukał w winie jakichś nieczystości. Z zadowoleniem odstawił kieliszek, powiódł oczami po siedzących przy stole współbiesiadnikach i utkwiał wzrok w miejscu przygotowanym dla brakującego gościa.

Na prawo od Barrona siedział Henry Saxon w nieodłącznych okularach z grubymi szklami.

Pomimo nieskazitelnych manier wyniesionych z prywatnych szkół i Harvardu, Henry zawsze siedział przy stole spięty, jakby ciągle obawiał się popełnić jakąś gafę. Łatwo się pocił i zawsze miał wilgotne dłonie.

Za Henrym siedział Leo Kinsella, ubrany w trzyczęściowy kosztowny szary garnitur oraz ozdobne skórzane buty, szyte na obstatu-nek przez szewca z Nowego Meksyku. Miał

skromny, niemal ascetyczny wyraz twarzy i mówił z akcentem mającym przypominać innym o jego biednym dzieciństwie wśród zakurzonych wzgórz Oklahomy. Leo szczyił się swoim pochodzeniem oraz tym, że potrafił je przewyciężyć, toteż Barron uważał go za wcielenie Amerykańskiego Marzenia - mrzonki każdego imigranta - o ulicach brukowanych złotem i o ropie tryskającej na ugorach.

Sąsiadem Lea był mrukliwy Montgomery Rhodes. Miał na sobie czarny garnitur przypominający strój pogrzebowego mówcy. Dawniej pracował w tajnym oddziale Agencji Wywiadu Obrony i, jak sądził Barron, nadal mógł być zatrudniany przez tę owianą tajemnicą instytucję. W jego maniackalnym milczeniu i sposobie robienia zapisków na kartkach małego notesiku wyczuwało się jakąś brutalność. Barron nie lubił go, bo przypominał mu ludzką czarną dziurę - nikło w nim światło pomieszczenia, w którym siedział, i rozsiewał taką samą grozę jak martwe zwierzę.

- Panowie - Barron uniósł kieliszek - witani w Wenecji.

Leo Kinsella nie lubił wina ani wykwinnych potraw, a jego kulinarne gusta ograniczały się do steków z rusztu po teksańsku, więc teraz odsunął od siebie talerz.

- Tobias - powiedział - przejdźmy do interesów. Nie mam czasu czekać na spóźnialskich.

Barron spojrzał na Saxona.

- Henry?

Saxon wyciągnął plik papierów i zaczął przeglądać zawarte w nich informacje.

- Mamy kilka próśb o pieniądze oraz o materię! - powiedział swym bezbarwnym głosem.

- Przedstaw to wszystko w skrócie - rzekł Kinsella. - Wiem, Henry, że jak chcesz, potrafisz się streścić. Tylko prawnicy wpadają w zachwyty nad własnym głosem.

Henry Saxon odchrząknął i zerknął ku Barronowi, kwitującemu pobłażliwym uśmiechem maniery Kinselli.

- Lotos prosi o milion dolarów amerykańskich.

- Myślałem, że sprawę pieniędzy już załatwiliśmy. Tobias, rozdaliśmy już wszystko, co było do podzielenia. Nie sądzę, żebyśmy mogli spełnić tę prośbę.

Kinsella spojrzął na Rhodesa, który wyjął notatnik i skrzypiąc stalówką zapisał coś wiecznym piórem marki Waterman.

- Lotos to worek bez dna - kontynuował Kinsella. - Jeśli damy mu teraz pieniądze, choć to jeszcze nie takie pewne, nie wiadomo, kiedy je odzyskamy. Musimy znaleźć jakieś nowe kanały. Nie można ruszyć takiej gotówki, żeby ktoś nie zwrócił na to uwagi, a nie potrzebujemy wtykania nosa w nasze sprawy. Nade wszystko nie chcemy jednak ludzi, których ogarniają nagle skrupuły, prawda? Nie chcielibyśmy, aby ktoś dostał raptem ataku wyrzutów sumienia. Chyba wiecie, o co mi chodzi.

- Leo - powiedział Barron - wyrzutów sumienia nikt nie jest w stanie przewidzieć.

- Tak, tak - odezwał się Rhodes. - Osobiście uważam, że sumienie to towar luksusowy. A w dodatku cholernie drogi i niektórzy ludzie dowiadują się o tym za późno.

Zapadła chwila ciszy.

- Orchidea z Warszawy potrzebuje jednorazowo trzech milionów - znów zaczął wyliczać Saxon.

- Nic dziwnego - powiedział Kinsella. Spojrzął na Tobiasza Barro-na. - Ogromnie się troszczysz o tych ludzi. A Amerykanie coraz bardziej się niepokoją i podejrzewają, że z tego wszystkiego nic nie będzie. Są zdania, że dzielą się już wystarczająco hojnie.

- Z całą pewnością są to dobrze wydane pieniądze - odpowiedział Barron.

- Jezu Chryste - Kinsella uniósł gęste, siwe brwi. - Ile w Polsce może kosztować kupienie głosów wyborczych? Czy on ma zamiar każdemu z osobna płacić za zagłosowanie na komunistów?

- Przypuszczam, że to kosztowna sprawa - stwierdził Barron.

- Pod koniec tego wszystkiego - powiedział cichym głosem Mont-gomery Rhodes - dasz nam rozliczenie. I lepiej, żeby było dokładne.

- Oczywiście - rzekł Barron. Przez chwilę przyglądał się roztaczającemu wokół siebie złowieszczą aurę Rhodesowi. Nikt nie potrafił nigdy określić, czy Rhodes patrzy mu w oczy, czy też nie. A jeśli już patrzył, to nie sposób było odczytać wyrazu jego źrenic. Barron westchnął. Pieniądze uważał za temat plugawy, a spotkania tego typu lubił dlatego, że podczas nich czuł się jak w epicentrum świata. Chociaż uważał politykę za brzydką zabawę dla nędznych ludzi, to myśl, że wszystko trzyma w swoim ręku, narkotyzowała go i pobudzała organizm jak kokaina. To on zebrał różnych ludzi w niezwykle stowarzyszeniu i to on znajdował środki potrzebne do działania. Siedział niczym pajak w środku stworzonej własnoręcznie pajęczyny.

Kinsella, Rhodes i inni z całej Europy oraz Stanów Zjednoczonych nigdy by się nie zrzeczyli, gdyby nie wpływy i koneksje Tobiasza Barrona - chociaż wcale nie interesowały go ich partykularne cele. Na chwilę poszybował myślami gdzieś poza pokój spotkania, poza Wenecję, poza Europę i stał się czymś w rodzaju satelity krążącego wokół Ziemi, obserwującego i przetwarzającego informacje oraz szukającego na Ziemi okazji. Nagle, jakby pod wpływem niezwyklego strumienia elektryczności, wyraźnie poczuł własną „jaźń”. Gdyby ktoś teraz zgasił światło, Barron z pewnością świeciłby w

ciemności jak lampa.

- Mniszek chce amunicji - powiedział Saxon, przerzucając stronę.
- Określił dokładnie ile? - zapytał Rhodes.
- Tyle samo, co przedtem - odpowiedział Saxon. Rhodes oparł pióro o kartkę.
- Siedemset pięćdziesiąt tysięcy sztuk amunicji do uzi.
- Co oni wyprawiają z tymi kulami? - zapytał Kinsella. - Jedzą je, czy co?

Rhodes odwrócił się do Barrona.

- Oni mnie wykończą - powiedział. - Składają zamówienie jak w jakimś supermarkecie i nie mają zielonego pojęcia o logistyce. Owszem, niektóre miejsca nie sprawiają problemu, ale z innymi mamy prawdziwe urwanie głowy. Ostatnio do Jugosławii, czy jak tam się to teraz nazywa, przemycaliśmy amunicję i broń w konwojach ONZ. Kule w workach z mąką, a karabiny maszynowe w pudłach z antybiotykami.
- Nie sądzę, Monty - powiedział Barron, dolewając sobie wina do kieliszka - aby w tym wypadku pojawiły się jakieś problemy nie do przewyciężenia. Angola to nie Jugosławia.
- Mam nadzieję - mruknął Rhodes.

Barron odwrócił się do Henry'ego Saxona, byłego pracownika Departamentu Stanu, byłego doradcy Pentagonu do spraw Europy Wschodniej, przerzucającego teraz kolejną kartkę. W

tym momencie otworzyły się drzwi i Barron odwrócił głowę do spóźnionego przybysza.

Ostatni gość, wbrew życiu, jakie miał za sobą, charakteryzował się dość przyjemną powierzchownością. Dziecko z odrobiną wyobraźni ujrzałoby go w roli chodzącego po domu towarowym świętego Mikołaja.

- Wybaczcie, proszę, to spóźnienie. Z powodu pogody rozkłady lotów wariują.
- Zdejmij płaszcz i siadaj - powiedział Barron. - Dopiero zaczęliśmy i niewiele straciłeś. -

Nie spuszczał oczu ze starego człowieka idącego na swoje miejsce i wieszającego płaszcz na oparciu krzesła.

- Zjesz coś? - zapytał.

- Nie - starszy pan pokręcił głową. - Przekąsiłem trochę podczas lotu i chyba mam lekki rozstrój - mówiąc to dotknął brzucha i usiadł.
- Może wina?

- Tak, to może wspomóc trawienie.

Barron podał mu przez stół butelkę i obserwował, jak generał nalewa wina i podnosi kieliszek do ust, a potem z rozkoszą przymyka oczy.

- Doskonale - powiedział. - Wspaniałe. - Rozejrzył się po twarzach wokół stołu i dodał: -

Wracajcie do interesów, proszę bardzo.

- Dziękujemy za pozwolenie - rzekł Rhodes. W jego głosie zabrzmiała ironiczna nuta, co Barron uznał za niegrzeczne, lecz jeśli staruszek ją dosłyszał, to nie zwrócił na nią uwagi.

Umykały mu niektóre niuanse potocznej angielszczyzny.

- Mamy raport spisany w Berlinie przez Jarzębinę.

Generał odstawił kieliszek, pochylił się do przodu i skoncentrował. Uważał kryptonimy wymyślone przez Barrona za absurdalne. Kwiaty i drzewa - co ten Barron myśli, że to ogród botaniczny? Jarzębina to kryptonim mieszkającego w Berlinie Zachodnim człowieka, który w okresie podziału Niemiec służył zarówno Stasi, jak i KGB, był członkiem partii, a po zjednoczeniu - zwanym Wende, czyli niemieckim bękartem, wyciągniętym na świat szczypcami chciwości i oportunisty - udało mu się ukryć swoje oddanie Wschodowi.

Wiernie służył Moskwie i Berlinowi Wschodniemu, a ponieważ pracował na wysokim stanowisku, mógł przekazywać ważne informacje.

- Zgodnie z raportem w Berlinie wszystko zostało przygotowane i cały proces będzie przebiegał bez zakłóceń.

Barron dostrzegł w oku generała drobną iskierkę radości.

- Od Sezama z Pragi. - Saxon przeszedł do następnego raportu. - Przygotowania trwają i sukces jest spodziewany w tych dniach.

Staruszek rozparł się na krześle i złożył ręce na brzuchu. Czuł błogą satysfakcję - Jarzębina w Berlinie. Sezam w Pradze.

Saxon złożył plik papierów.

- To by były najważniejsze sprawy.

- Pozostaje nam jeszcze kwestia Ślimacznicy - powiedział Kin-sella, wkładając kciuki do kieszonek kamizelki. Spojrzył na Barrona, który wypił już wino i wodził palcem po brzegu kieliszka.

- Zapewniono mnie - odezwał się generał - że nie będzie żadnych trudności.

- Chyba nie muszę powtarzać, że moi ludzie się niepokoją - powiedział Kinsella. Miał

szeroką szczękę, dzięki której wyglądał jak emerytowany bokser.

- Ależ skąd - uśmiechnął się Barron. - Ty to wiesz, ja to wiem. - Wytrzeł usta lnianą serwetką. Do pokoju wszedł z kawą Schialli, postawił tacę na stole i odszedł z typową dla siebie wyniosłością.

Gdy Barron rozlewał kawę do filiżanek, zapanowała cisza, a jemu się wydawało, że słyszy ścierające się w powietrzu pragnienia i ambicje. Generał oczywiście tęsknił za minionym światem i kierował się pragnieniem zemsty oraz powrotu do przeszłości. On i jemu podobni -

a w całej Europie było ich wielu - szczerze wierzyli, że można cofnąć zegar i zlikwidować nowo powstałe państwa.

Dalej Saxon, któremu prawdopodobnie nie odpowiadała rola sprawozdawcy -jemu, który kończył najlepsze szkoły i piastował wysokie stanowiska w rządzie, a teraz korzystał ze swoich szerokich koneksji. Co naprawdę czuje Henry Saxon? Barronowi wydawało się zawsze, że ten człowiek chciałby mieć wysoki status i dostęp do władzy, aby mógł zostawić po sobie na świecie jakiś znak, choćby mały i niewiele znaczący. Pod pewnym względem można go uznać za pijawkę - za kogoś, kto wysysa krew z ludzi potężniejszych od siebie.

Następnie Kinsella, który wykorzystywał swą oklahomską fortunę do budowania ogromnej maszyny politycznej, mającej już w Ameryce wielu skrytych sympatyków, często ludzi wpływowych, bojących się, że nie zrealizują swoich ambicji finansowych; dostrzegli oni w ostatnich latach kurczenie się swych ogromnych zysków i opadający w dół wykres nie spodobał im się. Przywykli bowiem do radosnych zestawień rachunkowych i cierpieli na myśl o spadku dochodowości. Żyli wygodnie w świątyniach wielkiego bogactwa, w których jedynym znanym bóstwem był zysk, a teraz nagle dostrzegli na witrażach skazy.

I na koniec Rhodes, jak dotąd zawsze stojący po stronie Kinselli. Obydwaj reprezentowali ciemniejsze gwiazdy firmamentu amerykańskiej polityki - cechował ich głęboki patriotyzm oraz niekwestionowana wiara we flagę USA i panowanie swego kraju na świecie. Rhodes przeżył fiasko w Zatoce Świń, poniżenie w Wietnamie, porażkę w tak zwanej wojnie narkotykowej oraz koniec wygodnej stabilizacji z czasów zimnej wojny. Miał wiele krzywd do wyrównania i wiele ran do wyleczenia i teraz, podobnie jak pozostali, ustawiał świat od nowa.

Wszyscy oni, myślał Barron popijając kawę, w taki lub inny sposób są szerzycielami chaosu.

Saxon odkaszlnął, zasłaniając dłonią usta, i powiedział:

- Jest jeszcze sprawa naszego zbiegłego przyjaciela.

- O niego nie ma się co martwić - machnął ręką Barron.

- Puściły mu nerwy i tyle - powiedział Rhodes. - To nic ważnego. Dał nogę, ale my go znajdziemy. A właściwie, co ten sukinsyn wie, co? Saxon, myślisz, że może nam namieszać?

- Henry, jeśli zacznie śpiewać, będzie to głos wołającego na puszczy - rzekł Barron. -

Nawet gdyby wiedział więcej, niż nam się wydaje, to nie ma żadnych dowodów. Kto może potwierdzić jego słowa?

- Złapanie go jest tylko kwestią czasu. - Poirytowany Rhodes głęboko zaczerpnął

powietrza. - Nie zamierzam wyciskać z siebie siódmych potów z powodu tego Chwasta.

- Chwast, jak trafnie określiłeś go kryptonimem - powiedział generał uważnie przysłuchujący się rozmowie - jest naszą pomyłką. Kto go skaptował? Kto jest za niego odpowiedzialny?

- Winę ponoszę tylko i wyłącznie ja - rzekł Barron. Jak dobry aktor zawarł w swym głosie odpowiednią dawkę pokory i żalu. - Wydawał się wiarygodny, a potrzebowaliśmy kogoś z jego doświadczeniem. Nikt się nie spodziewał, że może nas wystawić do wiatru.

- Błąd w ocenie - powiedział uroczyście starszy pan. - Twój błąd.

Montgomery Rhodes zdjął przyciemnione okulary i odsłonił swe dziwne oczy - jedno zielone, drugie niebieskie.

- Posłuchaj, jeśli chcesz znać prawdę, to ja zarekomendowałem Chwasta. Jeżeli nastąpił

błąd w ocenie, popełniłem go ja. Facet miał przez piętnaście lat pewne powiązania z Centralną Agencją Wywiadowczą. W szpiegowskim żargonie nazywano go „źródłem zaprzeczalnym”, czyli w razie wpadki nikt nie przyznałby się do znajomości z nim. Był więc luźno powiązany z CIA i dlatego go wybraliśmy. - Rhodes mówił powoli i spokojnie, jak gdyby chodziło mu nie o przekazanie generałowi informacji, lecz o zahipnotyzowanie go. - Ale nie ma się nim co przejmować. Zarzuciliśmy sieć i już niedługo w nią wpadnie. Nie należy do najbystrzejszych. Możesz być spokojny.

Barron zastanowił się nad życiem Chwasta, które toczyło się - według Rhodesa - w tajemniczym kraju zamieszkanym przez ludzi o niejasnych powiązaniach z CIA, Mossadem, MI6 czy jakąś inną tajną organizacją, przez fantastów, nieudanych poetów, bezrobotnych polityków, poszukiwaczy szczęścia oraz drobnych hochsztaplerów o wygórowanym mniemaniu o sobie, a więc przez międzynarodową grupę wyrzutków, łudzących się, że jako szpiedzy przeżyją romantyczną przygodę. Kto mógł przypuszczać, że Chwast wykręci taki numer? Ludzkich zachowań nie da się przewidzieć.

Dobrym przykładem tej tezy był Bryce Harcourt.

W pokoju od jakiegoś czasu panowała cisza, atmosfera stawała się coraz gęstsza. Wszyscy wiedzieli, że jakikolwiek konflikt na tym etapie jest niebezpieczny, bo plan Ślimaczka nabrał rozpędu.

- No to zdaje się, że wszystko na razie już załatwiliśmy - przerwał ciszę Leo Kinsella. - W

razie czego, dopóki to wszystko się nie zakończy, jestem w hotelu Grunwald.

Amerykanie wyszli i pozostał tylko generał. Wyjął z kieszeni brązową, opieczętowaną kopertę oraz mały okrągły przedmiot owinięty w papier z dziecinnymi wzorkami, przedstawiającymi kłownów,

słonie i foki na kolorowych piłkach. Barron nie otworzył

pakunku przypominającego prezent dla dziecka, lecz od razu zajrzał do koperty i zobaczył kartę identyfikacyjną z pustym miejscem na fotografię.

- Nie podoba mi się ten Chwast.
- Szuka go cała rzesza ludzi.
- I nic z tego nie wynika.
- Zapomnij o nim. Udawaj, że Streik wcale nie istnieje.
- Łatwo powiedzieć.

Barron uśmiechnął się porozumiewawczo i ujawszy Niemca pod rękę odprowadził go do drzwi.

- Wszystko będzie dobrze, Erichu - powiedział. - Obiecuję ci.

Po odejściu gościa wolno zamknął drzwi.

Czasami trudno mu było uwierzyć, że Erich Schwarzenbach należał dawniej do najwyższych rangą oficerów jednego z najskuteczniejszych na świecie systemów obrony państwa - Stasi, że trzymał klucze do archiwów i miał w głowie tajne hasła komputerowe, pozwalające na dostęp do życiorysu niemal każdego obywatela Wschodnich Niemiec.

Po wyjściu gości Barron siedział przez chwilę w swoim gabinecie, obserwując ruchy statków i śledząc migające na mapie kursory. Fal-con zbliżał się właśnie do brzegów Madagaskaru, gdzie bez przeszkód będzie można spełnić prośbę Van den Kampa. Ten statek towarowy, płynący pod nikaraguańską banderą, miał zarzucić kotwicę trzydzieści mil na zachód od wyspy, skąd przejmie na pokład ładunek dostarczony promem z Tambohorano.

Towar ten zaspokoi potrzeby Nofomety, a nie do końca zapełni magazyny statku; zostanie przynajmniej trochę miejsca na materie! zamówiony przez Van den Kampa. Dostarczanie Falconem dwóch przesyłek jednocześnie Barron uznał za rozwiązanie świetne pod względem logistycznym i ekonomicznym. Nofometo odbierze przesyłkę pod osłoną nocy w porcie Shepstone i Falcon popłynie dalej na południe po Oceanie Indyjskim, aby na pełnym morzu, pomiędzy East London a Umzimvubu przekazać materie! Van den Kampowi.

Wysłał dwa faksy -jeden do kapitana Falcona, a drugi na lądowisko zorganizowane na mokradłach w pobliżu Jacksonville na Florydzie, gdzie regularnie załadowywano samoloty transportowe. Później otworzył kopertę od generała i wytrząsnął na stół kartę identyfikacyjną.

Włączył ostrą lampę i w świetle żarówki przyjrzał się dokumentowi. Idealny, pomyślał.

Będzie w sam raz.

Już miał wyjść z gabinetu, gdy nadszedł z Kuby faks podpisany przez niejakiego Hectora Camocondo, wiceministra obrony narodowej. Barron przeczytał informację pełną biurokratycznych fraz, z której aż się prosiło czytać między wierszami. Fax dotyczył projektu ośrodka badań rolniczych w prowincji Guantamo i zawierał „wstępną zgodę” - cokolwiek to znaczy - na budowę. Jednakże muszą być spełnione „pewne warunki”, które należy przedyskutować, i dlatego w przeciągu dwóch tygodni Barron powinien się zjawić w Hawanie. Uśmiechnął się - z powodu zawikłań kubańskiej biurokracji nikogo, kto dosłownie odczyta przesłaną wiadomość, nie zdziwi, że wiceminister obrony zajmuje się planami rolniczymi.

Barron pogładził palcami papier faksowy. Niedawno wiceminister Camocondo odkrył u kubańskich bojowników o wolność śmiertcionośną broń, a zwłaszcza tak zwany superkarabin, będący marzeniem każdego snajpera, czyli Tejas. Równowaga została zachwiana, a armia powinna o co najmniej jeden krok wyprzedzić podziemne ugrupowania. Zawsze wszystko dzieje się tak samo: jedna strona stara się wyprzedzić drugą, stara się lepiej przygotować, lepiej uzbroić i zyskać większą skuteczność w zadawaniu śmierci.

Barron wyszedł z gabinetu i zamknął drzwi na klucz. Z sypialni na górze dolatywał

łagodny kobiecy śpiew - dziwnie melancholijny i poruszający. Postawił nogę na schodach i zasłuchał się.

Londyn

Nie składasz mi na bieżąco sprawozdań - powiedział George Nimmo do Pagana. - Znowu robisz wszystko po swojemu, chociaż wyraźnie ci tego zakazałem. Dlaczego nie wiedziałem nic na temat tego Harcourta? I teraz jeszcze ta sprawa z Quartermanem. Mamy dwóch martwych pracowników amerykańskiej ambasady, z czego ja będę musiał się gęsto tłumaczyć. Frank, minister spraw wewnętrznych jest niezadowolony i naciska na niego, żeby rozwiązać jakoś tę sytuację.

Pagan siedział w ascetycznym gabinecie Nimma. Zdał mu sprawę z przebiegu śledztwa, lecz przedstawił skróconą wersję, ponieważ zbyt wiele szczegółów mogłoby doprowadzić komisarza do przegrzania mózgu. Złożył ręce na kolanach i opowiedział o zastrzeleniu Quartermana. Morderca strzelił z pistoletu z tłumikiem w barze hotelowym, a potem uciekł

ulicami Mayfair. Co takiego wiedział Quarterman, że zabójca zdecydował się na tak ryzykowne przedsięwzięcie? Jaką znał tajemnicę? Nikt do nikogo nie strzela w środku miasta, o ile nie lęka się śmiertelnie konsekwencji wyjawienia jakiejś tajemnicy. Przecież można się zaciąć w ciemnym zaułku i poczekać na odpowiednią okazję. Ktokolwiek zabił

Quartermana, nie chciał ryzykować, że Al w chwili słabości lub dla wybielenia siebie zbyt wiele wyjawia dwóm londyńskim gliniarzom.

Pagan był zmęczony, sfrustrowany i dręczyły go demony o wiele gorsze, niż wymówki George'a Nimma czy niezadowolenie ministra spraw wewnętrznych. Miał wrażenie, że zamknięto go w klatce, gdzie czekają na niego nieznane zasadzki, albo że układa skomplikowaną układankę, która ma dać obraz przypominający bezkształtne kleksy atramentowe.

- Harcourt był zamieszany w coś... io... nielegalnego - powiedział Nimmo. - Czy to właśnie chcesz mi powiedzieć?

- Ściśle rzecz biorąc, sugeruje taką możliwość informacja nagrana na automatyczną sekretarkę. Na razie nic więcej nie da się powiedzieć.

Nimmo skrzywił się, jakby w wiśni zamiast pestki znalazł karalucha.

- Szukałeś pomocy u Quartermana, a teraz i on nie żyje, choć nic nie zdążył ci powiedzieć.

- Rozmasował sobie szczękę. - Niedługo pewnie po wszystkich ulicach Londynu będą się poniewierać zwłoki naszych amerykańskich przyjaciół. Zobaczyc Londyn i umrzeć.

- Posłuchaj, prowadzę śledztwo w sprawie katastrofy, a nie radę do spraw turystyki -

powiedział Pagan podniesionym głosem. Krew napłynęła mu do głowy. - Idę tam, gdzie prowadzi mnie śledztwo. I nie ja, na litość Boga, zastrzeliłem Quartermana. Zupełnie się nie spodziewałem takiego obrotu sprawy. Zadałem pytanie, myślałem, że otrzymam odpowiedź, a w następnej chwili przede mną leżał już trup.

Nimmo wstał.

- Nie podnoś na mnie głosu, Pagan. Wypraszam to sobie.

Pagan spojrzał w okno. Był wykończony i puściły mu nerwy, lecz nie zamierzał

przepraszać Nimma za swój wybuch. Takie wyładowanie było z psychologicznego punktu widzenia pożyteczne i stanowiło balsam dla zgnębioj duszy. W każdym razie komisarz wypadł jak przewrażliwiony nauczyciel, besztający ucznia, a Pagan nie poczuwał się do winy.

- Zrozum, znajdujesz się w niepewnej sytuacji. Twoja praca wisi na przysłowiowym włosku. Mogę przeciąć go jednym kiwnięciem palca. Nie zapominaj o tym... Pagan.

Nimmo usiadł z powrotem, zaczerwieniony. Miał typowy dla polityków dar popadania z jednego nastroju w drugi i opanowywnia emocji w mgnieniu oka. Umiejętność taka świadczy o płytkości uczuć i braku serca.

- Minister spraw wewnętrznych zamierza się spotkać z ambasadorem USA Williamem J.

Caanem. Oczywiście będę obecny na tym spotkaniu i stanę wobec pytań zadawanych przez obie strony.

- Życzę powodzenia - powiedział Pagan.

- A teraz, co z tą kobietą? Z tą Carlottą?

- Sprawdzamy ją. Prawdopodobnie opuściła już kraj i, jeśli przekraczała normalnie granicę, to

powinien pozostać po tym jakiś ślad.

- Niezły z niej numer - rzekł Nimmo. - Czytałem akta. Myślisz, że ona może stać za tym zamachem?

- Nie mogę powiedzieć nic pewnego. W każdym razie istnieje takie prawdopodobieństwo.

I niczego więcej już ode mnie nie wyciągniesz, George. Przez chwilę Nimmo milczał.

- Jest jeszcze jedna rzecz. Nie podoba mi się, jak traktujesz Gladstone'a i Wrighta. To doświadczeni ludzie, mogą ci się przydać, a co ty z nimi wyprawiasz? Wysyłasz ich do Cricklewood w sprawie jakiegoś postrzeleńca. - Spojrzał na tackę z dokumentami, wziął

jedną kartkę i popatrzył na tekst. - Ten Dracowitz okazał się nieszkodliwym idiotą, mieszkającym w ponurej piwnicy pełnej zarosłych pajęczynami, kieszonkowych wydań dzieł

Lenina i pułapek na myszy, które najwyraźniej dość niechętnie opróżnia.

- Myślałem, że warto będzie dowiedzieć się o nim co nieco - powiedział Pagan. A więc Gladstone i Wright składają raporty bezpośrednio Nimmowi. Właściwie nie powinienem się temu specjalnie dziwić, pomyślał.

- Do takiej roboty możesz wysyłać mundurowych. Gladstone i Wright niepotrzebnie się przedzierali przez pół Londynu.

Pagan skinął głową w geście mogącym oznaczać zgodę i wstał z krzesła. Nimmo spróbował uśmiechnąć się pojednawczo.

- Frank, takie śledztwo nie może być twoją osobistą sprawą. Sam powinieneś o tym wiedzieć, przecież jesteś profesjonalistą. W takich przypadkach nie ma miejsca na konflikty dotyczące stylu działania. Nie muszę ci chyba przypominać, że działamy zespołowo, prawda?

Pagan odburknął coś niezobowiązująco. Czasami trudno mu było zachować uprzejmość, zwłaszcza, gdy ktoś chciał go zmusić do powiedzenia czegoś, czego nie czuł. Często za fałszywą ugodowość płaci się zbyt wiele - utratą uczciwości wobec siebie i szacunku do własnej osoby.

- Rozumiemy się? - zapytał Nimmo.

- Tak - odparł oschle Pagan. - Rozumiemy się.

- W takim razie liczę na twoją poprawę. Natychmiast daj mi znać, gdy dowiesz się czegoś na temat tej Carlotty. A na razie uważam, że nie powinniśmy ujawniać jej personaliów.

Trzymajmy się z dala od prasy, bo nie chcę żadnych spekulacji. Lepiej też, żeby ona nie została ostrzeżona. Zgadzasz się ze mną?

-Tak.

- Aha, masz tutaj analizę od McCluskeya. - Nimmo wręczył Pa-ganowi leżący na biurku plik kartek. Nawet McCluskey musiał składać raporty najpierw komisarzowi. Pagan nie winił

za to specjalisty od wybuchów, nie uważał go za zdrajcę, bo przecież ten tylko wypełniał rozkazy.

Po wyjściu z gabinetu szefa zszedł na dół. Foxie czekał w samochodzie. Deszcz przestał padać, lecz dzień był nadal równie piękny jak wyświechtany płaszcz.

Pagan zajął miejsce dla pasażera.

- No i co? - zapytał Foxie. - A może nie powinienem pytać?

- Nie powinienes.

- Rozbrykał się?

- Jak dziki mustang.

- Jedziemy na Golden Square? - Foxworth zapuścił silnik.

Pagan skinął głową. Podczas jazdy obserwował mokre ulice. Słońca i informacji, myślał z tęsknotą. Kto zastrzelił Quartermana? Czym Harcourt zasłużył sobie na śmierć z ręki Carlotty

- o ile rzeczywiście to ona maczała w tym palce? Kim jest Jacob Streik?

Umysł miał równie jasny jak ten ponury dzień.

Spojrzał na raport McCluskeya, ale nie spieszyło mu się z otwieraniem, jakby świadomość, że oglądał go już Nimmo, umniejszała jego znaczenie. Frank, bądźże bardziej wyrozumiały, spróbuj polubić George'a i dostosować się do sytuacji. Mimo wszystko przecież pracujemy zespołowo. Żadne zespołowo - jesteśmy przeciwnikami i koniec, panie Nimmo. Nadajemy na różnych częstotliwościach.

- Foxie, zdaje się, że masz przyjaciela w MI6, prawda?

- McLarena? Raczej nie nazwałbym go przyjacielem. Po prostu chodziliśmy razem do szkoły.

- Skontaktuj się z nim i zapytaj o Jacoba Streika. Może mają w aktach coś na jego temat.

Warto spróbować.

- Musiałbym go zaprosić na popijawę. Dopiero zalany w trupa robi się otwarty.

Foxie zaparkował w Soho, weszli do budynku przy Golden Square i w milczeniu wjechali windą na górę, a potem zasiedli w gabinecie Pagana.

- Komuś nie spodobało się towarzystwo, w jakim przebywał Al Quarterman, więc uznano go za potencjalne zagrożenie i musiał zostać usunięty.

- Albowiem z grobu przemówić już nie sposób - zauważył Fox-worth.

- Ciekawe co Al Quarterman mógł wiedzieć o działalności Harco-urta? - głośno myślał

Pagan. - Jedno jest pewne, Harcourt nie był niewinnym analitykiem, a Quarterman wiedział, czym się naprawdę zajmuje.

- W ambasadzie amerykańskiej coś śmierdzi - rzekł Foxie.

- Pewnie. Tylko jak się dowiedzieć, skąd dochodzi ten smród? Mamy związane ręce.

Naprawdę niewiele możemy zrobić, żeby nie wywołać skandalu dyplomatycznego.

Pagan wstał i zaczął się przechadzać po gabinecie. Nie mógł wyrzucić z myśli obrazu nagłej i brutalnej śmierci Quartermana. Wziął raport Dicka McCluskeya i przeczytał

naszpikowany terminologią techniczną tekst. Do ładunku użyto plastiku o nazwie C-4, wyprodukowanego w Czechach. Eksplozję wywołał detonator nieelektryczny. McCluskey opisywał fragmenty mechanizmu sprężynowego znalezione na miejscu wybuchu, a nawet dołączył do raportu rysunek. Mechanizm przypominał walec z wbudowaną przegrodą; w jednej części znajdowała się sprężynka, a w drugiej zapalnik. Kwas przepalił blokadę sprężynki, która z kolei poruszyła zapadkę powodującą iskrzenie. Przyglądając się rysunkowi McCluskeya, Pagan podziwiał zmyślność urządzenia i dziwił się, jak rzecz tak niepozorna mogła wywołać taki ogrom szkód.

Próbował wyobrazić sobie dłonie i palce konstruujące ten mechanizm i starał się przywołać na myśl obraz Carlotty montującej w jakimś pokoiku tę miniaturową bombę. A może to nie ona? A może dostała gotowe urządzenie? Ale miała spore doświadczenie z materiałami wybuchowymi i dobrze się na nich zna, więc po co miałyby się zdawać na kogoś innego?

Do gabinetu wszedł Billy Ewing i zamknął za sobą drzwi.

- Frank - burknął rozdrażniony - na miłość boską, nie mogę nosa wydmuchać, żeby ten Gladstone i Wright nie patrzyli mi na ręce. Możesz z nimi coś zrobić?

- Zgodnie z rozkazem Nimma, zostali nam przydzieleni na czas trwania śledztwa. Co my wiemy, muszą wiedzieć oni. A co oni wiedzą, wie Nimmo. To szpiedzy.

- Może przydziel im jakąś brudniejszą robotę - zaproponował Ewing. - Nie mamy jakichś śladów prowadzących do północnej Walii czy innego zadupia?

- Zobaczymy, co się da zrobić. - Można by im przydzielić rolę łączników pomiędzy tunelem metra a siedzibą przy Golden Square, pomyślał, chociaż nie wiedział jeszcze, na czym dokładnie miałyby polegać ich zajęcia. Niemniej jednak oficer łącznikowy to dla Wrighta i Gladstone'a tytuł dobry i dodający im ważności, a przydzieleni do tunelu, przynajmniej częściowo znikną z oczu.

- Na razie może zainteresuje cię wiadomość, że niejaka Karen Lamb, posiadająca paszport amerykański, odleciała z lotniska Heathrow tej samej nocy, kiedy została zamordowana prostytutka z Mayfair. Poleciała liniami Air France do Paryża. Czy to może być ta twoja kobieta?

Karen Lamb czyli Karen Jagnię; przedtem Caroline Szpak, Charlotte Szczupak - Pagan zastanawiał się nad różnymi wersjami przybieranych imion i nazwisk. Karen Lamb to poważna kandydatka.

- Według Air France miała bilet do Nicei, lecz z jakichś powodów nie przesiadła się w Paryżu. Być może tam została, a być może wynajęła samochód i pojechała gdzie indziej.

Żadna z linii lotniczych działających w Paryżu nie wiozła pasażerki o takim nazwisku.

Prawdopodobnie miała więcej paszportów, więc niewykluczone, iż zmieniła tożsamość.

Poinformowałem francuską policję, ale nie ma się co ludzi; ich pomoc ma swoje granice. A nawet gdyby udało im się wytropić ją na swoim terytorium, to zważywszy jej sławę, sami by ją przydybali.

Pagan miał znajomego w Surete, Claude'a Quistreberta, który przed kilku laty pomógł mu w poszukiwaniach niemieckiego terrorysty Gunthera Ruhra, lecz dopóki nie było absolutnej konieczności, wolał nie prosić o pomoc tego zamkniętego w sobie Francuza.

- Skutecznie zniknęła nam z oczu - stwierdził Ewing. - No, chyba że nasi francuscy koledzy jakoś się wykażą.

Quarterman nie żyje, Carlotta zniknęła, ślepy zaułek.

- Znalazłeś coś na temat Jacoba Streika? - zapytał Pagan.

- Nic a nic.

Paganowi zamajaczyła przed oczami ambasada przy Grosvenor Square - amerykańska flaga, wielki kamienny orzeł oraz kolejka oczekujących na wizy przyszłych emigrantów, chcących zamienić jedną recesję na drugą. Przedsiónek demokracji i dwóch milionów sztuk broni palnej w rękach obywateli. Oto pańska zielona karta, proszę przy najbliższej sposobności kupić sobie broń. Nowicjuszom na ogół polecamy colta.

Jak sforsować tę tajemniczą fortecę, zastanawiał się. Gdzie należy się zwrócić, by uzyskać stały wstęp do ambasady? Od czego zacząć? Musiał się skontaktować z kimś o rozleglejszej wiedzy na ten temat. Odruchowo podniósł słuchawkę i wykręcił numer Martina Burra. Były komisarz odebrał po drugim sygnale.

- Frank Pagan? Słyszałem, że wróciłeś do roboty. Ciężko, co?

- Aż za ciężko - odparł Pagan.

- Dobrze ci to robi. Czym mogę służyć?

- Chciałbym ci zająć kilka minut.

- Przyjedź za godzinę.

- Świetnie.

Odłożył słuchawkę. Był głodny, nie pamiętał, kiedy ostatnio cokolwiek jadł. Mając teraz godzinę czasu, postanowił wstąpić gdzieś na kanapkę. Włożył płaszcz, a gdy był w pół drogi do wyjścia, odezwał się Foxie:

- W razie czego gdzie cię szukać?

- Idę po radę do wyroczni - powiedział. - Wrócę najszybciej jak się da.

Foxworth zmarszczył czoło. Pagan potrafił być czasem denerwująco tajemniczy. I jak tu z takim wytrzymać? On przecież woli szukać drogi w labiryncie na własną rękę.

Wyszedłszy z budynku przy Golden Square, Pagan postawił kołnierz płaszcza i ruszył w kierunku najbliższego baru. W ostatniej chwili zauważył idącą z przeciwka dziewczynę.

- Zaskoczony, co? - zapytała Brennan Carberry. Nie potrafił ukryć zdziwienia.

- No cóż, dzwoniłam pod numer, który mi dałeś, ale nikt nie odbierał, więc z typowo jankeską zaradnością zadzwoniłam do Scotland Yardu. Tam, wykazując się sporą wytrwałością, dowiedziałam się, gdzie cię szukać. - Uśmiechnęła się i pociągnęła go za rękaw.

Poszli razem przez plac ku wąskiej uliczce prowadzącej do Piccadilly Circus. Brennan wzięła go pod rękę, czym sprawiła mu prawdziwą przyjemność. Miał wrażenie, jakby się nieco przejaśniło; za gęstymi chmurami świeci przecież słońce.

Ugryzł kanapkę z jajkiem w majonezie. Dziewczyna patrzyła na niego popijając kawę, wyraźnie rozbawiona jego pośpiechem przy jedzeniu.

- Chyba niewiele czasu poświęcasz na posiłki, co? - zapytała.

- W ogóle mam za mało czasu - odparł Pagan. - W każdym razie traktuję jedzenie jak paliwo napędzające organizm. Dla kogoś z twoim zawodem to chyba bluźnierstwo.

- Jeszcze gorzej. Czy wiesz, że każdy kęs powinno się pogryźć co najmniej piętnaście razy?

- Chryste, nigdy się na coś takiego nie zdobędę. Chyba wiecznie siedziałbym w barze.

Położyła łokieć na stole i oparła na dłoni podbródek. Jej spojrzenie wytrąca mu trochę z równowagi, myślał Pagan. Obok wnikliwości dostrzegał w jej brązowych oczach miły, figlarny błysk. Ucieszył się z jej niespodziewanego towarzystwa, było mu bardzo przyjemnie, jednak czuł się pod jej spojrzeniem dziwnie niezdarzy i ociężały. Speszył się, gdy kawałek jajka upadł mu na talerzyk. Wytarł usta papierową serwetką, zmiął ją w palcach i poczuł, że postąpił źle, choć nie miał pojęcia, dlaczego.

Spojrzał na zegarek. Do spotkania z Martinem Burrem pozostało mu jeszcze pół godziny.

- Przeszkadzam ci w czymś - powiedziała.

- Mam spotkanie.

- Niepotrzebnie mówisz przeproszającym tonem. Nie możesz rzucać wszystkiego tylko dlatego, że ja przyszedłam. To dotyczy również jajka.

Odgarnęła z czoła kosmyk włosów. Dzięki temu sympatycznemu gestowi Pagan ujrzał ją w trochę innym świetle. Spojrzał uważnie na jej pięknie ukształtowane usta, które przy uśmiechu nadawały twarzy wyraz uczciwości i otwartości. Nie zauważył ani cienia fałszu czy aktorstwa i nie wiedział

właściwie, po co doszukuje się jakiejś skazy. Stare nawyki - przez lata poszukiwań ukrytych motywów ludzkich zachowań i krążenia po mrocznych strefach ludzkiego serca, umysł Pagana się wypaczył. Czasami zauważał, że nie potrafił przyjmować rzeczy takimi jakie są i oceniać ich po wyglądzie. Nabrał policyjnej mentalności, a po tak wielu latach trudno przezwyciężyć stare nawyki.

Odsunął talerzyk i przykrył kawałek jajka zmiętą serwetką.

- Widziałam twoje nazwisko w porannej gazecie - powiedziała. - Przeczytałam, że pracujesz nad eksplozją w metrze. Nie mogłabym przeszkadzać ci w tak poważnej sprawie.

Domyślam się, że zajmując się takimi rzeczami, musisz się jakoś opancerzyć.

- Wcale nie jestem tego pancerza taki pewien - odparł Pagan. -Z wiekiem coraz mi trudniej znosić cudzą śmierć. Zabawne, bo myślałem, że będzie odwrotnie. - Spojrzał na serwetkę i dostrzegł plamę po majonezie. Podniósł głowę i, patrząc Brennan w oczy, przez chwilę nie uwierzył, że doszło do zamachu w metrze, że ktoś zginął, że błądzi w gąszczu tajemnic Quartermana, Harcourta, Streika czy Car-lotty. Wszyscy oni stali się na chwilę zjawami z innego wymiaru.

Brennan Carberry pochodziła z prostszego świata, gdzie świeci słońce, śpiewają ptaki i każdej nocy na gwiazdzistym niebie pojawia się księżyc w pełni. Jezu Chryste, Frank, zejdź

na ziemię, bo zaczynasz myśleć o niebieskich migdałach. Z powodu ładnej, miłej kobiety nie można zapominać o całym świecie.

- Domyślasz się już, kto podłożył bombę? - zapytała. Pokręciła głową i podniosła rękę. -

Nie, lepiej zapomnij o tym pytaniu. To nie moja sprawa, a i tobie przydałoby się od niej na chwilę oderwać. Powiem ci, że nie wyglądasz za dobrze. Sprawiasz wrażenie zestresowanego.

- To chyba przez światło. Przy jarzeniówkach zawsze kiepsko wyglądam.

- Pewnie. Założę się, że się nie wyspałeś i nie dbasz o siebie. Poza tym odżywasz się nieprawidłowo.

- Tak jest... mamusiu.

- Jesteś blady i masz cienie pod oczami. - Pagan miał ochotę na papierosa, na haust nikotyny. Jednak postukał tylko palcami w blat stołu i zauważył swe połamane paznokcie.

Czyż nie jest to oznaka złego odżywiania i braku witamin? - Pewnie powinienem się napić świeżego soku z pomarańczy, zjeść surową marchewkę i przekąsić wykwinną sałatą, o której wczoraj wspominałaś.

- Chyba przydałoby ci się coś więcej niż sałata - powiedziała i spojrzała na niego znad-filizanki kawy. ,

Czyżby na swój sposób z nim flirtowała? Nie trzepotała rzęsami ani nic z tych rzeczy, ale wyraźnie

widać było w jej oczach, że cały czas o nim myśli.

- A ty co byś mi zaleciła? - zapytał.

- Tydzień w sanatorium, codzienny trening, masaże i wystarczającą ilość snu. Na razie nie masz czasu na żadną z tych rzeczy.

- Poza tym terapia ta wydaje mi się torturą. - Nie miał nadwagi, od wielu lat ważył tyle samo, lecz zła kondycja miała inne przyczyny. Zbyt długo prowadził siedzący tryb życia, za dużo jeździł autostradami i palił zbyt wiele papierosów.

Pochyliła się nad stołem i nagle dotknęła jego dłoni. Struchlał na chwilę, przypomniawszy sobie rozmowę w Hiltonie i swoją nadzieję na pocałunek.

- Jak długo zostajesz w Londynie? - zapytał.

- Zależy.

- Od czego? Wzruszyła ramionami.

- Od różnych rzeczy. Jeśli mi się spodoba... Przywiązałam się do hotelu Hilton. Spotykam stale miłych staruszków z Idaho, którzy pokazują mi zdjęcia swoich dzieci. Czuję się jak w amerykańskim klubie. My, Amerykanie, nie umiemy podróżować. Jedną nogą zawsze pozostajemy w Stanach. - Paganowi bardzo się podobało, że Brennan potrafi spojrzeć na siebie z dystansu.

- Pewnie chcesz zobaczyć pałac Buckingham, zmianę warty, Parlament i inne ciekawe rzeczy. Przez chwilę milczała.

- Właściwie miałam nadzieję, że skorzystam z twojej propozycji pokazania mi miasta. Ale oczywiście nie jest to najlepsza pora.

Pagan zapragnął nagle wziąć dziewczynę za rękę i zaprowadzić we wszystkie te miejsca, które nie przestawały go urzekać: na ulicę Pali Mali, do Regent's Park. Miał też słabość do jeziora Serpentine, do niektórych dzielnic Chelsea oraz do leniwych spacerów po ogrodzie botanicznym w Kew.

- Rzeczywiście, masz rację co do pory. - Znów spojrzął na zegarek. Do spotkania z Martinem Burrem pozostało piętnaście minut, a stary cenił punktualność. - Brennan, zadzwonię do ciebie do Hilto-na. Tylko że nie wiem kiedy, po prostu nie wiem. Przykro mi.

- Nie musisz czuć się do niczego zobowiązany. Nie chciałabym ci przeszkadzać.

- Nie przeszkadzasz.

- Gdy następnym razem zgłodniejesz i będziesz chciał poświęcić trochę czasu na jedzenie, daj mi znać, a jeżeli nie będzie mnie w hotelu, zostaw wiadomość. - Znowu dotknęła jego ręki, tym razem nieco dłużej. Nie miał ochoty wstawać ani odchodzić. I co teraz? Co zaszło między nim a tą

dziewczyną? Pojawiły się różne uczucia i emocje. Wśród nich wyczuł

dreszczyk pożądania - pragnę jej.

Rzucił okiem na szybę barowego okna, gdzie padający deszcz utworzył sieć krętych strumyków. O ileż łatwiej byłoby posiedzieć tu z Brennan Carberry, niż wychodzić do prozaicznego świata. Westchnął i wstał.

- Przykro mi, że muszę cię tak nagle opuścić. Odszedł, a przed drzwiami obejrzał się.

- Będę niezadowolona, jeśli nie zadzwonisz. Naprawdę.

Coś jest w tym jej uśmiechu, myślał, coś, co przywodzi na myśl radość. Wyszedł na ulicę w poszukiwaniu taksówki. W drodze ciągle myślał o Brennan - że jest młodsza od niego, że należy do innego pokolenia, że niewiele mają ze sobą wspólnego. Schlebiało mu, że dziewczyna się nim interesuje, lecz gdzieś w głębi duszy słyszał ciche, ledwie możliwe do uchwycenia pytanie: „Frank, co ona może w tobie widzieć?” Kwestia ta nie dawała mu spokoju aż do samego Knights-bridge.

Martin Burr mieszkał przy cichym skwerku. Mieszkanie pochodziło z dziewiętnastego wieku, miało wysokie sufity i marmurowe kominki, lecz było okropnie zagracone. Stało tu zbyt wiele krzesel, stołów, sof, a przejście przez każdy pokój stanowiło prawdziwy tor przeszkód. Burr z orzechową laską i ciemnoszarą opaską na oku -które stracił służąc w marynarce podczas drugiej wojny światowej -serdecznie przywitał Pagana, uśmiechnął się, uścisnął mu dłoń i poklepał go po ramieniu.

- Marcia zrobiła z tego jakiś skład - powiedział, wskazując laską na meble. - Mówię jej, żeby trochę tego wysprzedać, ale nie słucha. Mówi, że jeszcze nie wie, czego będzie potrzebować w domku na wsi. A tymczasem, dopóki ten dziwny twór zwany umysłem kobiety nie podejmie decyzji, wszystko stoi tu jak na jakiejś aukcji.

Dopiero teraz Pagan zdał sobie sprawę, jak bardzo tęskni za Bur-rem, pomimo różnic, które kiedyś ich dzieliły. W przeciwieństwie do George'a Nimma, Burr rozumiał, na czym polega praca w policji, i trzymał się z daleka od polityki, co powinno być przykładem dla wszystkich komisarzy. Burr nie usiłował trzymać wszystkiego żelazną ręką, lecz pozwalał swoim ludziom na samodzielną pracę i interweniował jedynie w naprawdę koniecznych przypadkach.

- Jeśli dasz radę, przejdź do mojego gabinetu. - Burr pokazał Pa-ganowi drogę przez korytarz i po chwili obydwaj znaleźli się w podłużnym, wąskim pokoju wypełnionym książkami. Na biurku obok stosów kartek stał szumiący komputer. Używając laski zamiast palca wskazującego, Burr kiwnął w stronę biurka.

- Jak się pewnie domyślasz, Frank, spisuję wspomnienia. Gdy tylko odszedłem na rentę, zadzwonił do mnie wydawca, pogadaliśmy sobie i zanim się zorientowałem, już podpisałem umowę. Nigdy nie zajmowałem się przelewaniem słów na papier, a to cholernie trudna sprawa. Nie wiem, jak ci pisarze sobie z tym radzą, naprawdę.

Pagan podszedł do okna wychodzącego na smutny o tej porze roku ogród. Ujrzał widok będący

kwintesencją rozkładu, zniszczenia i zimy, jakby wiosna nie gościła tutaj od tysiąca lat.

- Zrzuć te papiery na podłogę i usiądź - powiedział Burr.

Pagan zdjął z krzesła kilka kartek i usiadł. Patrząc na Burra pomyślał, że szef na emeryturze jakby się skurczył. Miał na sobie szary wełniany sweter, stare bawełniane spodnie i miękkie kapcie; dawno się nie golił. Podczas służby w policji zawsze chodził w tradycyjnych garniturach.

- Chyba wiem, co cię dręczy, Frank. Nie wyglądam już jak dawniej, co?

Pagan zaczął zaprzeczać, lecz Burr lekko szturchnął go laską w brzuch.

- Nie kręć, Frank, bo zawsze byłeś kiepskim łgarzem. Policjantem, owszem, dobrym, choć trochę zbyt upartym, ale kłamać nie umiesz. Teraz patrzysz na mnie i myślisz: ale się biedaczek zestarzał. Spisuje wspomnienia jak jakiś emerytowany generał albo ktoś w tym rodzaju.

- Zawsze widziałem cię tylko w garniturach - rzekł z uśmiechem Pagan.

- Teraz rzadko je już wkładam. - Burr westchnął i spojrzał na komputer, jak gdyby był to jakiś nieznany obiekt przybyły na biurko z innej galaktyki. - Niemniej emerytura ma swoje dobre strony, pod warunkiem, że nie tracisz kontaktu ze światem. Sekret w tym, aby zawsze być dobrze poinformowanym i nie dać się zahibernować. Jak to się mówi? Trzeba być au couranf.

Pagan nie zamierzał komentować przestarzałych powiedzeń Burra, który właśnie, jak to miał w zwyczaju, poprawiał sobie opaskę na oku.

- Nadstawiam ucha w stronę śmieci - mówił Burr - i doszły mnie słuchy o George'u Nimmo. To facet nie w moim typie i zawsze uważałem, że bardziej nadałby się do polityki.

Ma drapieżny sposób bycia i nie potrafi się obchodzić z ludźmi. Spójrz, jak cię potraktował.

Bez żadnego cackania wyleciałeś na zbity pysk. - Smutno pokiwał głową. - Niemniej Nimmo objął stanowisko komisarza i tyle. Nie ma co jęczeć ani biadolić z powodu faktów dokonanych. Po prostu w policji zaszły zmiany.

- To mało powiedziane.

- Ściągnęli cię z powrotem do tego bałaganu w metrze, tak? Makabra. Zrobiłeś już jakieś postępy?

- Wyłynęło na wierzch imię Carlotty.

- Carlotty? - Burr rozmasował dłonią podbródek. - No, to poważna sprawa. Są dowody?

- Jeszcze nie. W nocy po zamachu niedaleko stacji metra zabiła młodą prostytutkę. Na razie wiemy tylko tyle.

- Carlotta, Carlotta - powiedział do siebie Burr. - Zawsze miałem uczucie, że lubi mrok. To

oczywiste, że musi pracować pod osłoną ciemności, ale myślałem, że pragnie czegoś więcej.

Że potrzebuje... jakby to powiedzieć? Uznania? Podziwu dla swego okrucieństwa?

Zbiorowego aplauzu? Właśnie tak mi się wydawało. O ile dobrze pamiętam, zauważyłem u niej nie tylko rzucającą się w oczy urodę... W przeciwieństwie do ciebie.

Nic nie umknie uwadze Martina Burra, pomyślał Pagan.

- Myślałem, że odeszła na emeryturę - rzekł Martin.

- Tak by się mogło wydawać.

- Oni chyba nigdy nie odchodzą na emeryturę, co? - Burr patrzył zamyślonym wzrokiem. -

Coś zawsze ciągnie ich z powrotem do krwi. Nic nie robiąc, czują się niespokojni, znudzeni i potrzebują jakiegoś odurzenia.

Do diabła z odurzeniami, pomyślał Pagan i spojrzawszy na Martina Burra, dostrzegł

przetarte łokcie swetra. Wstał z fotela, by znów wyjrzeć na zmoczony deszczem ogród. Na chwilę powędrował myślami ku Brennan Carberry. Dlaczego wybrała sobie na przyjazd do Londynu tak potworną porę? Dlaczego nie przyjechała, gdy on był wolny?

- Są pewne komplikacje i dlatego zwracam się do ciebie. - Spojrzał na byłego szefa.

- Świetnie. Uwielbiam komplikacje. Mów.

- Potrzebuję pewnych informacji z ambasady amerykańskiej.

- Ach tak. Domyślam się, że w dodatku nie są to informacje, które można tak po prostu uzyskać od ich przedstawiciela, co?

- Zgadza się.

- Chcesz się dostać do wnętrza maszyny, że tak powiem.

- To prawda.

- I ma to jakiś związek z zamachem w metrze.

- Na to wygląda.

Martin machinalnie przekładał laskę z ręki do ręki.

- Wal śmiało. Powiedz, co już wiesz, a czego chciałbyś się dowiedzieć.

Pagan pokrótce przedstawił opowieść o Harcourcie, śmierci Quar-termiana i wiadomości od Streika.

W kieszeni miał wyjętą z automatycznej sekretarki kasetę, lecz postanowił na razie jej nie puszczać, jak gdyby się obawiał spowolnienia toku narracji.

Burr zainteresował się nagle i ożywił, bo prośba Pagana stanowiła ekscytującą odskocznnię od życia emeryta, nudzącego go bardziej niż przyznawał. Mruczając pod nosem, kuśtykał po wąskim pokoju, omijając kufry, fotele i staromodne puste klatki na ptaki.

- Ambasada amerykańska to twierdza - zauważył.

- Miałem nadzieję, że ty będziesz coś wiedział - powiedział Pagan. Burr oparł się na lasce.

- Spośród wymienionych nazwisk Streik nic mi nie mówi, Harco-urt niestety także nic, ale Quarterman to chyba któryś z chłopców Williama Caana.

- Jak to, któryś z jego chłopców?

- Frank, co ty wiesz o Caanie?

- No cóż, niewiele, raczej nie obracam się w kręgach dyplomatycznych - odparł Pagan.

- Jest ambasadorem od - ile to już? - od dwóch lat. Dorobił się fortuny na elektronice, na systemach obronnych, na komputerowym oprogramowaniu do pocisków dalekiego zasięgu i tego typu rzeczach. Poparł prezydenta podczas kampanii wyborczej i w nagrodę dostał miłą placówkę dyplomatyczną. Wszystko cacy, cacy. - Podeszedł do biurka i pochylił się. -

Nawiedzany widmem deficytu budżetowego prezydent postanowił ukrócić rozrzutność Pentagonu, co żadnemu politykowi nie przychodzi łatwo, zważywszy, że naraża się taką decyzją przemysłowi obronnemu i kolesiom z Pentagonu, którzy przywykli do kupowania coraz to nowych zabawek. Nagle święty Mikołaj okazał się sknerą, pończochy przestały w szybkim tempie napępniać się pieniędzmi i cała branża na tym cierpi: i dostawcy, i kontrahenci, i chłopcy z działu badawczo-rozwojowego, i inni. Typowy efekt domina.

Zrezygnuj z nowego pocisku, a zaszkodzisz wszystkim zainteresowanym. - Burr wzruszył

ramionami. - Nie mówię, że Caan osobiście poniósł straty, ale przyszłość całej branży nie rysuje się w różowych kolorach... No nic, to tylko garstka informacji, żebyś lepiej poznał

Williama J. Caana. Kilka razy spotkałem go osobiście, wielką wagę przykładam do prawa i porządku, ale nie zgrywa kowboja. Wprost przeciwnie, to facet w wielką ogładą, choć jak na moje stateczne angielskie poglądy, trochę zbyt się narzuca. Niemniej jest bardzo kulturalny, rok studiował w Cambridge i jakiś czas na Sorbonie. Pagan zastanawiał się, po co mu ten portret Caana, ale wolał nie przerywać komisarzowi.

- Mówi się, że każdy ambasador nadaje placówce swój charakter. W przypadku Caana twierdzenie to się sprawdza. - Burr podniósł palec wskazujący, jakby sprawdzał kierunek wiatru. - Od dawna powszechnie wiadomo, że ambasada amerykańska ma, że tak powiem, również ciemniejsze strony.

- Upiory?

Burr spojrział na swój palec ze zgrubiałymi stawami.

- Jak wolisz. W każdym razie od czasu, gdy Caan objął rządy na Grosvenor Square, zaczęło tam napływać dużo więcej skomplikowanego sprzętu elektronicznego niż dawniej. Rząd Jej Królewskiej Wysokości wyraża opinię, że jeśli Amerykanie chcą sobie montować w ambasadzie wymyślne urządzenia, to jest to wyłącznie ich sprawa. Jednak na tym nie koniec zmian w ambasadzie. Większość starego personelu odeszła i ściągnięto nową obsadę. Może to dostosowywanie się do nowego porządku, a może ambasador dostał nową mio-tłę...

Burr przerwał i spojrział na Pagana, który poczuł się lekko spięty, choć za bardzo nie wiedział dlaczego. Miał sucho w gardle i pukał palcami w blat biurka.

- Chcesz mi coś przez to powiedzieć.

Na ustach Burra pojawił się tajemniczy uśmiech.

- Frank, może i ambasada leży w samym centrum Londynu, ale stanowi terytorium amerykańskie, jak na przykład... Kentucky. Z tą tylko różnicą, że po Kentucky możesz swobodnie wędrować. Zgodnie z protokołem dyplomatycznym my nie wtrącamy się w wewnętrzne sprawy ambasady. Niemniej to tu człowiek coś mimowolnie usłyszy, to tam mu się obije o uszy jakaś plotka i potem, zgodnie z ludzką naturą, zaczyna kojarzyć poszczególne informacje.

- I co z tych skojarzeń wynika? - zapytał Pagan.

- Niektórzy nowi ludzie... jakby to ująć? Caan zrezygnował z dobierania młodych, żądnych kariery dyplomatów i właściwie nie wiadomo, gdzie znajdował ludzi, czasami bardzo osobliwych.

- Na przykład jakich?

- Na przykład Quartermana. Służył jako oficer w armii amerykańskiej, kilkakrotnie odbywał służbę w Wietnamie i, o ile wiem, był twardzielem. Trudno taką przeszłość uznać za idealną karierę dla dyplomaty. Jednakże Caan - albo ktoś działający w jego imieniu, bo być może nie on osobiście przeprowadzał rozmowy kwalifikacyjne - skądś go wytrzasnął i nadał

mu niejasny tytuł Oficera do spraw Projektów Specjalnych.

- Projekty Specjalne? To może być interesujące - powiedział Pagan.

- Amerykanie uczynili z nadawania oficjalnych tytułów prawdziwą sztukę. W każdym razie, o ile wiem, Caan zatrudnił także kilku emerytowanych pułkowników, którzy również służyli w Wietnamie, lecz po zakończeniu tej wojny ich kariera przestała rozwijać się w błyskawicznym tempie. Słyszałem coś o politycznych szykanach, brudnych sztuczkach i tego typu sprawach. Ci ludzie mają ręce unurzane we krwi. Oczywiście w przenośni, lecz niewykluczone, że i dosłownie. W Wietnamie z całą pewnością nie grali w krykieta.

- I wszyscy, jak Quarterman, są Oficerami do spraw Projektów Specjalnych?

- No właśnie. Na dodatek Caan przyjął kilka osób z doświadczeniem w rozmaitych transakcjach finansowych - na rynkach pieniężnych, na Wall Street i tak dalej. Nie pytaj mnie o nazwy ich stanowisk, bo tego nie wiem.

Pagan przez chwilę zastanawiał się nad tą informacją.

- Zatrudniania weteranów z Wietnamu nie można jeszcze uznać za ciemniejszą stronę ambasady.

- Być może.

- A finansiści... - Pagan wzruszył ramionami - może są tutaj, aby przekonywać inwestorów, kto wie?

- Rzeczywiście, kto wie? - Opierając się na lasce, Burr przeszedł przez pokój. - Jedno co mogę powiedzieć, to że pod dachem ambasady przy Grosvenor Square zgromadziło się paru typków spod ciemnej gwiazdy. - Stary komisarz uśmiechnął się do Pagana. - Nie znam nazwisk tych ludzi, z wyjątkiem Quartermana, bo jego akurat poznałem podczas jakiegoś spotkania w towarzystwie Caana. Reszta to tylko domysły i na dodatek bardzo niejasne.

Pagan milczał, zastanawiając się nad ludźmi, których Martin nazwał typkami spod ciemnej gwiazdy. Czuł, jak wciąga go wir niejasności i plotek. Sięgnął do kieszeni i wyjął kasetę Harcourta.

- Chciałbym, żebyś tego posłuchał.

Burr wskazał automatyczną sekretarkę stojącą obok komputera na biurku wśród płataniny przewodów.

- Spróbuj włączyć.

- Pagan włożył kasetę i nacisnął klawisz odtwarzania. Zrobił głośniej i w podłużnym pokoju rozbrzmiały słowa Streika: „Bryce, tu mówi Jake Streik. Jeśli tam jesteś, to podnieś słuchawkę. Muszę z tobą koniecznie porozmawiać. Co tam u ciebie słyhać? Ja mam kłopoty.

Posłuchaj, jak dam radę, to zadzwonię jeszcze wieczorem. Radzę ci, posłuchaj mnie i spieprzaj z tego Londynu. Uciekaj przed Grabarzami, rozumiesz mnie? Jak najszybciej wyrwij się z tego gówna. W przeciwnym razie już po tobie... Bryce? Jesteś tam? Bryce?"

Nagranie dobiegło końca. Burr stał chwilę wpatrzony w automatyczną sekretarkę, a potem wcisnął cofanie i jeszcze raz wysłuchał taśmy.

- Uciekaj przed Grabarzami - powiedział do Pagana. - Interesujące, bardzo interesujące.

- Dlaczego?

- Jakies dwa, trzy lata temu mówiło się o istniejącej w ambasadzie grupie ludzi zwanych Grabarzami przez duże G. Specjalizowali się w takich rozrywkach jak morderstwa, szantaże, w razie potrzeby

prali też pieniądze. Gdy widzieli w tym korzyść, potrafili się nawet mieszać do brytyjskiej polityki. Słyszałem, że pewnego ministra lubiącego się w małych chłopcach Grabarze zmusili do przyznania wysoce korzystnej koncesji amerykańskim firmom, prowadzącym interesy z tej strony Atlantyku. Podobno umieli robić niezłe zdjęcia. - Burr odchrząknął. - Oczywiście to nie wszystko. I chociaż w plotkach jest zwykle wiele przesady, to Grabarze potrafili zaaranżować wypadek lub doprowadzić do czyjegoś zniknięcia, a byli w tym podobno bardzo sprawni. To, że działali w obcym kraju, nie stanowiło dla nich żadnej przeszkody. Byli wśród nich antyamerykańscy radykałowie, umykający przed amerykańskim wymiarem sprawiedliwości, i tym podobni.

Pagan uświadomił sobie, że mylili się z Foxiem, wysuwając całkiem rozsądne przypuszczenie, że „grabarze” to jedynie eufemizm, jakim Streik określił ludzi, dybiących na Harcourta. Informacje Burra obaliły to założenie.

- Naprawdę wierzysz w istnienie takiego ugrupowania? - zapytał. - Czy ono działa nadal?

- Frank, przedstawiam ci tu jedną z pogłosek, którą człowiek łapie jednym uchem, a drugim zazwyczaj wypuszcza. Nikt nie wiedział, od czego to wszystko się zaczęło, ani kiedy się skończyło, a do dzisiejszego dnia nie miałem o Grabarzach żadnych nowych wieści. Plotkom nie można zbyt ufać. Sam powinieneś to wiedzieć.

- Lecz jeśli Grabarze istnieją, to możliwe, że należą do nich niektórzy pracownicy ambasady.

- Oczywiście, że to możliwe. Wszystko jest możliwe. A nawet jeśli Grabarze jeszcze istnieją, to co ty możesz w tej sprawie uczynić? Ambasada przecież nigdy się do nich nie przyzna. Caan nie przyjmie cię u siebie w gabinecie i nie powie: No, Frank, co byś chciał

wiedzieć o Grabarzach? - Burr pokręcił głową. - Poza tym Caan na pewno niemalże z urzędu musi ignorować taką sytuację. W ambasadzie mogą się kręcić brudne interesy, ale że tak powiem, raczej w podziemiach. Do Caana nie wszystko dociera. Możliwe nawet, że naprawdę nie wie, co się dzieje w jego placówce. A może przymyka oko; mimo wszystko to ambasador.

Jakżeby mógł mieć coś wspólnego z nielegalnymi działaniami? Widzisz jakiś problem, Frank? Możesz pokazać palcem, gdzie? Możesz wskazać winnych? Nie, nie możesz, bo nie potrafisz.

Pagan słyszał w głowie echo słów Streika. Potrafił wysnuć tylko jeden wniosek - że Harcourt i Streik jakoś weszli Grabarzom w drogę. Nic więcej.

- Jednej rzeczy nie rozumiem - powiedział. - Jeśli Harcourt zawadzał jakoś Grabarzom, to co w tym wszystkim robi Carlotta? Wynajęli ją do podłożenia bomby?

Burr westchnął ciężko.

- Frank, nie mam nawet zamiaru zadawać sobie takich pytań. Nie zamierzam się doszukiwać żadnych powiązań. Na początek trzeba udowodnić istnienie Grabarzy.

Oczywiście Burr miał rację. Grabarze mogli być niejasnym mitem podsycanym przez ludzi

- a pojawia się takich na świecie coraz więcej - chcących oczernić wszystko, co amerykańskie. Dokąd prowadzi ten trop? Pagan miał jedynie garść informacji, które przelatywały mu przez palce.

- Marcia chce, żebyśmy pojechali na wakacje do jakiegoś cholernego Tangeru - powiedział

Burr zmieniając temat. Poklepał Pagana po ramieniu. - Zachciewa jej się słońca, bazarów, kebabów i tego typu rzeczy. A mnie nie.

- Dlaczego?

- Bo jestem stary wariat. - Uśmiechnął się. - Lubię angielską zimę i wzrusza mnie oczekiwanie na wiosnę. - Roześmiał się i postukał laską w podłogę. - Wpadnij kiedyś, niekoniecznie z interesem.

- Wpadnę - powiedział Pagan.

- I uważaj na siebie. Słyszysz, Frank?

- Słyszę.

Na dworze zrobiło się już ciemno. Taksówkę złapał dopiero przy Harrodsie i w zamyśleniu pojechał na Golden Square. Im więcej się zastanawiał, tym mniej wiedział. Wsiadając z taksówki, czuł w głowie zupełną pustkę.

Londyn

Brytyjski sekretarz spraw wewnętrznych, Arthur Wesker, nie lubił amerykańskiego ambasadora. Niechęć ta wynikała z charakteru wzajemnych stosunków pomiędzy tracącą na światowym znaczeniu Wielką Brytanią a Stanami Zjednoczonymi, które według Weskera wyobrażały sobie, że odgrywają rolę międzynarodowej policji i mogą rządzić światem.

Oprócz tego mówiący z akcentem Lancashire i noszący rogowe okulary sekretarz spraw wewnętrznych boleśnie odczuwał kontrast pomiędzy swoim robotniczym pochodzeniem, plebejską wymową i manierami a oglądą i wytwornością Williama Caana - chociaż starał się tego nie okazywać.

Siedzący naprzeciw nich George Nimmo najwyraźniej czuł się absolutnie swobodnie w towarzystwie ambasadora, co Wesker z zazdrością przypisywał jego wykształceniu w snobistycznych szkołach. Oczywiście - komisarz może być na luzie w towarzystwie ludzi władzy, bo ma odpowiednią klasę. Spotkali się w klubie sekretarza spraw wewnętrznych, gdzie na ścianach wisiały amatorskie obrazy olejne malowane przez byłych członków, którzy zyskali pewien rozgłos i sławę albo też popadli w zapomnienie.

Sekretarz potrząsnął głową i na ramiona marynarki poleciały mu drobinki łupieżu. Nie najlepiej dopasowany garnitur stanowił kolejne źródło rozgoryczenia, jako że dbający o swój wygląd Caan wyglądał, jakby wyszedł prosto z salonu mody. Amerykanin miał doskonale ostrzyżone siwe włosy, a na ręku złoty zegarek, który sekretarz uznał za zbyt pretensjonalny.

Trzeba przyznać temu Caanowi, myślał, że ma pewien urok. Zachowuje się bardzo uprzejmie, bez cienia zdenerwowania.

- Z tego co rozumiem - odezwał się ambasador - wasza policja chce nas wypytać o Ala Quartermana.

Sekretarz pozwolił odpowiedzieć George'owi Nimmo.

- Tak, w ramach śledztwa w sprawie zamachu bombowego.

- I w ramach tego śledztwa wasz człowiek, niejaki Pagan, ma prawo wyważyć drzwi do mieszkania Bryce'a Harcourta i myszковать po jego rzeczach?

Nimmo nic nie wiedział o wyważeniu drzwi i informacja ta lekko wytrąciła go z równowagi.

- Niestety Pagan bywa czasami nieobliczalny. Caan uśmiechnął się.

- Nie kieruję swej krytyki osobiście do pana, panie Nimmo. A może George? Mów mi William. Wiadomo, że policjanci wykazują się czasem zbytnim entuzjazmem i gorliwością.

Wykonują niezmiernie trudną pracę; nasza policja również daje się czasem ponieść emocjom.

Jest to typowe i nieuniknione. Na przykład nie tak dawno w Los Angeles nagrywano pewne wydarzenia na taśmę wideo. Odbyło się to w ferworze akcji, a przecież nie zawsze można przewidzieć zachowanie swoich podwładnych. - Caan obciągnął rękawy, ukazując przez chwilę złote spinki do koszuli.

Sekretarz Wesker popatrzył na George'a Nimma. Ledwie się spotkali, a już mówią sobie po imieniu. Poczul się wyobcowany, chociaż to on zaprosił ich do swojego klubu.

- George - powiedział - widzę, że ambasador jest człowiekiem ugodowym.

- A czemuż by nie? - wtrącił rażno Caan i spojrzął na Nimma. - Sojusznicy powinni sobie pomagać. Zastanawiam się tylko, czemu miało służyć przesłuchiwanie Quartermana. Al spotkał się już z Paganem, aby się podzielić podejrzeniami co do śmierci Harcourta w metrze.

Zaraz potem Pagan pojechał do Hampstead, bez nakazu włamał się do mieszkania Harcourta i poprosił Quartermana o spotkanie. Tragedia... - Ambasador zapalił małe, czarne cygaro. - Nie przeszkadza panom?

Nie przeszkadzało. Ambasador mógłby skrócić sobie papierosa z najbardziej śmierdzącego tytoniu i nikomu by to nie przeszkadzało. Zaciągnął się i wypuścił ustami niebieską strużkę dymu.

- Pagan podejrzewał Harcourta o udział w jakichś dwuznacznych przedsięwzięciach.

- Dwuznacznych? Chcesz powiedzieć, że Bryce w toalecie na stacji metra nagabywał

mężczyzn? A może preferował bicz i kajdanki?

Sekretarz uśmiechnął się zdawkowo, a Nimmo w typowy dla siebie sposób ryknął śmiechem.

- Mówiąc dwuznaczne, miałeś na myśli oczywiście nielegalne? -rzekł ambasador.

-Tak.

- Jakie prawo złamał Bryce?

- Dokładnie nie wiem, bo nie mogę się zbytnio wtrącać do śledztwa moich wyższych oficerów. Frank Pagan na pewno nie bez powodu uznał, że Bryce Harcourt miał do czynienia z czymś nielegalnym. Chociaż często kwestionuję jego metody, to wierzę w jego opinie. Z

zasady nie ingeruję w śledztwa wyższych oficerów.

Sekretarz odwrócił wzrok. Nimmo potrafił niezwykle sugestywnie kłamać. Podszedł kelner ze srebrną tacą i Wesker zamówił trzy kawy.

- Panowie, posłuchajcie - powiedział Caan, pykając cygarem. -Nie mam prawa ingerować w działania brytyjskiej policji. Ja tylko reprezentuję w Zjednoczonym Królestwie interesy swojego kraju; takie są moje obowiązki i tyle mi wolno. Jednakże mam pewne zobowiązania wobec własnego personelu. Przeszukam gabinet Harcourta i jeśli coś znajdę, dam wam znać.

Sekretarz sięgnął do kieszeni po starą fajkę i napełnił ją tytoniem. Kilka listków wyleciało mu ze skórzanego woreczka na spodnie. Czuł się odsunięty na bok. Jego motto życiowe brzmiało: „Siedź cicho i pozwól innym załatwiać sprawy”. Nimmo i Caan mogli rozwiązywać swoje problemy sami i najwyraźniej się dogadywali. Poza tym gdyby rząd Jej Królewskiej Mości przywiązywał większą wagę do śmierci amerykańskich dyplomatów, nie on siedziałby tutaj. Osobiście wolałby być już w Lancashire, spacerować po łąkach ze swoimi labradora-mi i rzucać im patyk, bo właśnie w taki sposób najlepiej odpoczywał.

- Moja propozycja jest następująca - powiedział Nimmo do ambasadora. - Będziemy cię informować o wszystkich elementach śledztwa dotyczących personelu ambasady. Oczywiście za zgodą pana sekretarza.

- Udzielam zgody - rzekł Wesker. - Nie mam żadnych pytań.

- W duchu współpracy - powiedział Caan.

- Naturalnie. - Nimmo spojrzał na swój kieliszek porto. - Pierwszy będziesz wiedział, jeśli zainteresujemy się którymś z waszych ludzi. Zostaniesz z góry uprzedzony.

- Właśnie to chciałem usłyszeć - powiedział ambasador. - Teraz jestem już spokojny i mogę się delektować wyśmienitym winem. Na zdrowie. - Pociągnął łyk porto i chociaż było wyjątkowe podłe, przełknął je bez skrzywienia. Odstawił kieliszek i spojrzał na Nimma. -A tak z ciekawości, jak się posuwa śledztwo?

- Znamy już rodzaj użytego ładunku i wiążemy z zamachem pewne nazwisko, ale to jeszcze nie pewnego.

- Czy mogę poznać to nazwisko? - Caan strząsnął popiół z cygara. - A może nie powinienem być wtajemniczony?

- To właściwie jest imię. Carlotta - rzekł cicho Nimmo. Caan spojrzał niepewnie gdzieś w dal.

- Carlotta? Na pewno? Od wielu lat nic nie było o niej słyhać.

- Może Pagan się myli. Nie wiadomo.

- Carlotta należy do ery spodni-dzwonów, haszyszu i jointów - powiedział Caan. Zmusił się do uśmiechu, który wydał się Weskero-wi - nie wiedzącemu, co to są jointy - trochę nieszczerzy. - Gdy myślę o Carlocie, czuję zapach kadzidła.

- A gdy ja o niej myślę - odezwał się sekretarz - czuję zapach krwi.

Przez chwilę Caan milczał, a potem spojrzał na zegarek i wstał.

- No, panowie, przykro mi, ale niestety musimy już kończyć. Uciekam. - Uścisnął rękę Weskerowi, a potem zwrócił się do Nimma: - George, pozostajemy w kontakcie.

- Oczywiście - przytaknął Nimmo.

- Palant jeden, nie wypił porto - powiedział Wesker, gdy Caan odszedł. - A co tam. -

Sięgnął po kieliszek ambasadora, wytarł brzeg serwetką i dopił wino. - Co się ma marnować, prawda, George?

Lyon

Jacob Streik zjechał na pobocze i zamglonym wzrokiem spojrzał na tablicę. Lyon 36 km.

Ile to będzie? Około dwudziestu mil? Pomimo wielu lat spędzonych we wschodniej Europie nie przyzwyczał się do jednostek metrycznych, jakby w ten sposób chciał przekonać sam siebie, że pozostał swojskim, amerykańskim facetem czującym się dobrze tylko z uncjami, jardami i pintami.

Powinien znaleźć gdzieś książkę telefoniczną, wyszukać numer Audrey i zadzwonić do niej. Musi jednak zachować przeczność i zastosować jakiś stary szyfr, a wtedy - na wypadek ewentualnych problemów - ona go ostrzeże. Audrey zawsze była lojalna, rozsądna i nie dopuściłaby do jego wpadki.

Jechał dalej. Piętnaście kilometrów od granicy miasta zaparkował na stacji benzynowej.

Popołudnie zamieniło się w zmierzch, od strony autostrady wiał wiatr i przyginał gałęzie drzew obrastających pastwisko z samotnym koniem, który przyglądał się Streikowi pełnym żalu wzrokiem.

W budce telefonicznej nie znalazł spisu numerów, więc smagany wiatrem ruszył

podjazdem w stronę budynku. Nad drzwiami kołysał się skrzypiący szyld. Streik zawahał się przed wejściem do środka. A jeśli jego twarz stała się już znana w całej Francji? Do diabła z tym, przecież musi zdobyć książkę telefoniczną.

Zaczerpnął głęboko powietrza i wszedł do betonowego budynku, gdzie zastał pochylonego nad książką rachunkową starego człowieka z butlą tlenową podłączoną do nosa plastikowymi rurkami. Staruszek podniósł głowę; butlę tlenową miał na stałe przyczepioną do boku i wydawał z siebie syczenie typowe dla ludzi o chorych płucach.

- Monsieur? - zapytał oschle.

- Mówi pan po angielsku?

- Anglais? Non. Pas cTanglais. Je regrette.

- Dobra, patrz mi na ręce. - Streik wykonał ruch przypominający przykładanie słuchawki do ucha, a staruszek z uśmiechem wskazał mu budkę telefoniczną po drugiej stronie podjazdu.

Amerykanin westchnął, usiłując zachować cierpliwość.

- Posłuchaj, tam nie ma spisu. Rozumiesz? Nie ma książki telefonicznej. Nie ma...

Chryste... nie ma livre.

- Livre?

- Liwe des nombres - rzekł z nadzieją Streik.

Człowiek z butlą tlenową zastanawiał się chwilę nad słowami Stre-ika. Miał zaawansowaną rozedmę płuc; Streik nigdy jeszcze nie słyszał, żeby ktoś tak charczał.

- Nombres du telephone - powiedział Streik.

- Aaa - rzekł staruszek i wyjął z szuflady książkę telefoniczną. Streik przekartkował ją i szybko znalazł literę „R”. A jeśli wyszła za mąż i zmieniła nazwisko? A jeśli nie ma jej w spisie? Nerwowo przerzucał sfatygowane kartki. Audrey, Audrey, gdzie jesteś?

R, R, R. Przesuwał palec po nazwiskach i w końcu znalazł - Audrey Roczak. Wyjął

długopis i zapisał numer na grzbiecie dłoni, a potem rzucił książkę na ladę i wyszedł na porywisty wiatr, który dostawał się pod kurtkę, pod spodnie i groził zmieceniem Streika z powierzchni ziemi. Jacob Streik, zagubiony w kosmosie.

W budce telefonicznej wrzucił do aparatu monetę, wystukał numer i dłuższy czas słuchał

sygnału. Nie ma jej w domu, pomyślał. Musiała wyjść po zakupy albo na kolację. Umysł

Streika wyrzucał z siebie kolejne możliwości, które sypały się jak monety z automatu do gry.

Wreszcie Streik zaczął się modlić, żeby Audrey odebrała.

- Halo. - Od razu poznał jej lekko zachrypły od papierosów głos. Westchnął głęboko.

- Chciałem zapytać, czy są w Adrii jeszcze wolne miejsca?

Nastąpiła dłuższa chwila milczenia. Streik starał się wyobrazić sobie twarz Audrey. Ile lat minęło od ich ostatniego spotkania. Osiem? Dziewięć?

- Czy chodzi panu o Adrię na placu Wacława? - zapytała szeptem.

- A jest jakaś inna?

- Gdzie ty, do diabła, jesteś?

- Niedaleko. Musimy się spotkać. Powiedz gdzie, trafię.

- Znasz te okolice?

- Jak ciemną stronę księżyca.

- Księgarnia Eton przy Rue du Płat. Znajdziesz?

Streik poczuł się kompletnie zagubiony. Z tego, co wiedział, Lyon mógł przypominać Rio albo Adelaidę. Można wjechać w nieznany świat, kluczyć jednokierunkowymi uliczkami, wpaść w skomplikowaną sieć skrzyżowań i nigdy nie znaleźć Rue du Płat ani księgarni Eton.

- Jak się zgubisz - powiedziała Audrey - zapytaj o Place Belleco-ur. Na prawo od tego placu odchodzi Rue du Płat.

- Bellecour?

- Zgadza, się. Będę na ciebie czekać w księgarni. W razie czego pod placem znajduje się podziemny parking. - Odłożyła słuchawkę.

Streik wyszedł z budki i podbiegł do samochodu. Koń patrzył na niego z pastwiska jak na swego odwiecznego towarzysza broni, bowiem mężczyzna i koń od zawsze wspólnie zmagają się z okrucieństwami świata. Streik żałował, że nie może go dosiąść i popędzić w dal aż po horyzont. Wio, Siwy.

Wsiadł do samochodu i nagle ogarnął go paraliż. Zamknął oczy, oparł spocone czoło o kierownicę i przed oczami z całą wyrazistością stanęła mu twarz młodego niemieckiego autostopowicza. Nagle ogarnął go smutek i wyrzuty sumienia. Przypomniawszy sobie strzał z pistoletu, upadającego chłopaka,

legitymację w portfelu i poczuł ból w sercu. Zmaganie z sumieniem było dlań dziwnym przeżyciem. To tylko nerwy, myślał, nie mam na nie czasu, a takie rozpamiętywanie to dla mnie zbytni luksus. Słyszał, jak szalejący wiatr brutalnie targa szyldem na stacji.

Adria na placu Wacława. Stare hasła, stare szyfry. Dawniej często się zmieniały. Czy poleca mi pan hotel Koruna przy Opatovickiej 16? Czy w restauracji V Krakovske serwują smaczne dania?

Otworzył okno, aby zimne powietrze ochłodziło mu twarz. Wiatr wciskał się do oczu, nosa i ust. A jeśli Audrey jest śledzona? Jeśli cały czas pozostaje pod obserwacją? Nie, dałaby przez telefon jakiś znak. Taka już jest - na pewno znalazłaby sposób na ostrzeżenie go. Nie pozwoliłaby mu wpaść w pułapkę... chyba że... Chyba że sama nie wie, iż jest obserwowana.

Nie, to niemożliwe. Takie rzeczy wyczuwa się instynktownie, a ona ma mózg jak antena satelitarna i potrafi wyłapać wszystkie krążące wokół niej sygnały.

Zamknął okno i zajrzał do pogniecionej mapy. Lyon wyglądał jak płatanina ulic otoczonych dwiema rzekami - Rodanem i Saoną. Na długim, wąskim cyplu odnalazł plac Bellecour. Dobrze, jakoś tam dojedzie, to nie powinno być trudne, wystarczy się skoncentrować i zwracać uwagę na drogowskazy.

Włączył silnik i pojechał autostradą w stronę Lyonu. Silny wiatr ściągał samochód na bok, a Streik miał wrażenie, że leci papierowym odrzutowcem.

Na trzypasmowej autostradzie obojętnie mijały go ze świstem inne samochody i przez chwilę dzięki anonimowości poczuł się bezpieczniej. Zniknęły płaskie tereny i po bokach zaczęły wyrastać reklamy, budynki fabryk i bloki mieszkalne. Znalazł się w dużym mieście, gdzie był tylko jeszcze jedną istotą zagubioną w ogólnym zamęcie. Czuł się z tym dobrze.

Z autostrady zjechał przy tablicy z napisem Centre Yille. Z każdą chwilą pojawiała się coraz więcej tablic informacyjnych. Wybrał sobie drogowskaz z napisem Bellecour i skręcił

w odpowiednią drogę. Przez jakiś czas jechał wzdłuż rzeki, lecz nie miał pojęcia, czy Rodanu, czy też Saony. Jeśli Saony, to czy ma skręcić w prawo, czy w lewo? A jeśli to Rodan? Na przeciwległym brzegu zauważył domy z szerokimi tarasami i oświetlony kościół rysujący się wyraźnie na tle zmierzchającego nieba, ale takie punkty orientacyjne nie są w stanie pomóc komuś, kto zabłądził.

Zwolnił i próbował spojrzeć na mapę leżącą na fotelu dla pasażera, co wywołało niecierpliwą kakofonię. Był rozsierdzony, zdezorientowany i najchętniej otworzyłby okno i kazał się wszystkim odpieprzyć, ale zamiast tego postanowił skręcić w wąską boczną uliczkę.

Piesi swobodnie spacerowali środkiem ulicy, a zakochane pary zajadały z torebek dania McDonalda i na ten widok Streik poczuł nagły przyływ tęsknoty za krajem. Naszła go ochota na jajko McMuffina, na coś, co by nie miało posmaku czosnku.

Dojechał do zakazu wjazdu przy drodze tylko dla pieszych. Musiał się wycofać, co komplikowało sprawę. Przyszło mu na myśl, by zostawić tego cholernego saaba i pójść dalej pieszo, lecz w bagażniku miał odzież oraz wszystkie zebrane dokumenty, których nie mógł

zostawić na pastwę losu. Tylko spokojnie, pomyślał, nie ma się co spieszyć. Spójrz na mapę i jedź swoją drogą.

Nagle usłyszał z tyłu huk i instynktownie schylił głowę. Po chwili wyprostował się i dostrzegł grupę dzieciaków goniących za samochodem piłkę. Patrzyły na niego ze skruchą.

To piłka, myślał, to tylko piłka. Lecz równie dobrze mogła to być kula, granat lub cokolwiek innego. Odgłos uderzeń piłki o ścianę kościoła skojarzył mu się z wystrzałami z pistoletu automatycznego i poczuł się zupełnie bezbronny. Wyoś się stąd w diabły, Jake.

Spojrzał na zabytkowy kościół i wyczytał z tablicy, że jest to parafia St-Martin d'Ainay.

Według mapy plac Bellecour znajdował się zaledwie kilka przecznic dalej. Zawrócił ciasnym łukiem i wjechał na drogę, którą tu przybył. Na rogu placu JanMot i bulwaru Tilsitt zauważył

grupkę zmarzniętych kloszardów, podających sobie butelkę czerwonego wina. Dostrzegł

rozbiegane oczy jednego z nich i poczuł pokrewieństwo z ludźmi, którzy nie umieją się przystosować do świata.

Jadąc bulwarem Tilsitt zauważył drogowskaz na Bellecour, skręcił w odpowiednią ulicę i dojechał do otoczonego drzewami dużego placu, pośrodku którego stała zaśnieżona rzeźba jakiegoś króla czy generała na koniu. W poszukiwaniu miejsca do zaparkowania objechał plac wokoło.

Szybko zajął wolne miejsce przy rogu Place Poncet, wysiadł, zabrał mapę i zamknął

samochód. Tak, stąd już niedaleko. Musi tylko znaleźć Rue du Płat i księgarnię Eton.

Zachowaj spokój, idź powoli i nie poddawaj się panice.

Dyskretnie zerkając w mapę, szedł cały spięty i czuł zaciskającą się na szyi pętlę. Co jakiś czas oglądał się za siebie, jakby w obawie przed pościgiem. Człowiek z gazetą stojący przez sklepem Yvesa Saint Lau-renta podniósł głowę i spojrzał na Streika - oni jednak nie chowają się za płachtami gazet ani nie czekają za rogiem pykając fajkę; wszystko to tylko mit. Jak tylko cię namierzą, zaraz się na ciebie rzucą i już po tobie.

Dotarł do narożnika placu Bellecour i zatrzymał się. Kwartał dalej znajdował się początek Rue du Płat. Czy ma tak po prostu wejść do księgarni, gdzie czeka na niego Audrey? Teraz miał już pewność, że ktoś ją śledzi i podsłuchuje jej telefony - takie jest życie. Wyobrażenie sobie czegokolwiek innego byłoby nonsensem. Czuł napięcie, jakby wisiał na włosku nie mogącym utrzymać jego ciężaru, a jedno cięcie wystarczyłoby, żeby upadł i zamienił się w hamburgera. Stał bez ruchu w środku wielkiego, obcego miasta koloru piasku, słyszał

jeżdżące wokół samochody i czuł dolatujący z wnętrza kawiarni Bellecour zapach smażonej cebuli. Miał wrażenie, że całe jego życie zmierzało do tego ostrego zakrętu, do tego miejsca przepojonego zapachem cebuli i spalin. Czuł się jak w pułapce, atakowany przez cebulę, dym i śmierć.

Zamiast iść na Rue du Płat, wszedł do kawiarni, usiadł przy stoliku obok drzwi i poprosił

kelnerkę o kieliszek wina. Mówiła doskonale po angielsku i nie musiał łamać sobie języka tą straszną francuszczyzną. Stukając palcem w stolik czuł ogarniające go od środka zimno.

Kiedy kelnerka przyniosła wino, zapytał, czy może skorzystać z telefonu, więc zaprowadziła go do lady, podniosła słuchawkę i podała mu. Musiał wyglądać jakoś dziwnie, ponieważ spojrzała na niego z niepokojem i zapytała.

- Dokąd chciałby pan zadzwonić, monsieur? Podał nazwę księgarni, a kelnerka odszukała numer, nakręciła i oddała mu słuchawkę. Grzecznie podziękował.

- Księgarnia Eton - odezwał się męski głos.

- Czy mówi pan po angielsku? - zapytał Streik.

- Monsieur, to angielska księgarnia - odpowiedział mężczyzna.

- Mam do pana prośbę. Proszę się rozejrzeć po księgarni. Czy jest u pana klientka?

- Owszem, jest.

- Czy dobiega pięćdziesiątki?

- Ależ, proszę pana, nie może pan oczekiwać ode mnie, żebym odgadywał wiek kobiety.

- Chciałbym z nią porozmawiać.

Nastąpiła cisza, a potem odezwał się głos Audrey.

- Jestem w kawiarni Bellecour - powiedział.

- Znam to miejsce.

- Upewnij się, że nikt cię nie śledzi, dobrze? Jeśli wszystko wyda ci się w porządku, wejdź tutaj. Ale jeśli cokolwiek będzie budzić zastrzeżenia, cokolwiek, przejdź obok i idź do domu.

- Odłożył słuchawkę, posłał kelnerce uśmiech i wrócił do stolika. Czekał. Audrey szła teraz pewnie kilka skrzyżowań dalej, spoglądała na wystawy sklepowe, obserwowała odbicia w szybach i zmieniała kierunek marszu, aby się upewnić, że wejdzie do kawiarni całkowicie bezpieczna.

Streik przygryzł dolną wargę. Wypił wino, zamówił następne i szybko opróżnił drugi kieliszek. Alkohol nie zadziałał, nie przyniósł ani odrobiny ukojenia. Wyglądając na ulicę zastanawiał się, czy Audrey zachowała jeszcze swą dawną spostrzegawczość. A jeśli straciła wprawę? A jeśli... W takich pytaniach można ugrzęznąć po uszy. Zapalił papierosa. Przy trzecim kieliszku wina zobaczył, jak Audrey wchodzi do kawiarni, uśmiecha się i nagle wszystko wydało mu się piękne i przyjemne.

Podeszła do stolika, usiadła, otworzyła torebkę i wyjęła złotą papierośnicę.

- Jake, w jakie ty gówno wdepnąłeś? - Dotknęła jego dłoni.

- Moja najwspanialsza Audrey - powiedział. - Od razu do rzeczy, co? Bez owijania w bawełnę.

Zapaliła gitana i krzywiąc wargi wydmuchnęła dym w bok. Miała piękne niebieskie oczy i ciemnorude kędzierzawe włosy. Była w długim tweedowym płaszczu i cygańskiej spódnicy do kostek - zawsze lubiła taki styl. Nadal było w niej coś z hipiski lat sześćdziesiątych: duże kolczyki w kształcie półksiężyców, kryształowy wisiorek w stylu new agę i bluzka wyglądająca tak, jakby ktoś poplamił ją pastelowymi farbami. Miała długie palce i błyszczące paznokcie.

- Miło znów cię widzieć. Nie, bardziej odpowiednie będzie słowo wspaniale - powiedział

Streik. Pomyślał o Pradze, Warszawie, Berlinie Wschodnim i wszystkich innych starych miejscach, i o tamtych wspaniałych czasach. - Dlaczego musieli odejść i rozpieprzyć nasz świat?

- Czasy się zmieniają, Jake - odparła. - Postęp.

- Tak, postęp. Nieźle nam się wiodło, póki nie pojawił się Gorba-czow z tymi swoimi przewrotnymi ideami, prawda?

- To były najwspanialsze czasy. - Szturchnęła go w ramię. - Ale to już zupełnie inny świat i trzeba się przystosować. Nic nie stoi w miejscu.

- Tak, tak, próbowałem się przystosować. - Nagle poczuł się bezpiecznie. Serce, jeszcze przed chwilą drżące jak owca prowadzona na rzeź, uspokoiło się. Spojrzał Audrey w oczy i dostrzegł w nich dojrzałość oraz spokój.

Zgasiła na wpół wypalonego papierosa i poprosiła kelnerkę o ci-tron pressE.

- No, Jake, co się z tobą dzieje? Przed czym uciekasz?

- Popełniłem błąd i związałem się z Grabarzami. Wydęła policzki i pokręciła głową.

- Z Grabarzami? Jake, to coś o wiele gorszego niż błąd.

- Wiesz, jak to jest. Nudziło mi się, chciałem, żeby coś się działo, i zapragnąłem odświeżyć sobie smak starego fachu.

- Nasz stary fach uległ zmianie. Jake, musisz się z tym pogodzić. Ja już zaakceptowałam fakt, że nie można stanąć na drodze historii. Usunęłam się na bok i nie tęsknię za starymi czasami.

Zaczęła mu kreślić palcem kółka na dłoni. Jej dotyk sprawiał mu przyjemność i przynosił

ukojenie. Powieki zrobiły mu się ciężkie i nagle zapragnął odrobiny snu w ciepłym i bezpiecznym miejscu.

- Jesteś szczęśliwa? - zapytał.

- Nie narzekam. Mam małe mieszkanie przy Rue de Marseille i mieszkam tam ze swoimi kotami. Zajmuję się tłumaczeniami. Kiedyś trochę malowałam, ale już całe wieki nie miałam pędzla w ręku. I tak sobie żyję. Nie jest to ekscytujący styl życia, ale mnie odpowiada. -

Cofnęła rękę, wyjrzała przez okno, a potem znów zwróciła się do Streika. - Jak głęboko w tym siedzisz?

- Bardzo głęboko.

- Co się działo?

- Operacja typu Włóczęga.

- I chciałeś się z tego wyrwać?

- Zaczęło się robić cholernie gorąco, Audrey.

- Zbyt wiele wiedziałeś?

- Tak, wiedziałem zdecydowanie za dużo. Znasz ich i wiesz, że zajmują się ciemnymi interesami. Gdy dojdą do wniosku, że człowiek przestał być dla nich cenny i może im zagrażać, zaczynają się niepokoić. A Grabarze nie biorą jeńców.

- I dlatego uciekasz?

- Do upadłego. - Skinął głową.

- Powiedz coś w więcej o operacji Włóczęga.

- Grabarze przrzucali pieniądze do bardzo osobliwych miejsc, a mnie i mojemu znajomemu nie bardzo się to podobało i wtedy zauważyłem, że zaczynają się wokół mnie gromadzić czarne chmury. Właściwie miałem gdzieś, co robią z pieniędzmi, i nie zamierzałem rozprawiać o tym na prawo i lewo, ale oni zaczęli mnie podejrzewać. Założyli podsłuch na mój telefon, śledzili mnie, i poczułem się bardzo zagrożony. A wiadomo, że oni nie cieszą się reputacją dobrotliwych. Doszło więc do takiej alternatywy: albo siedzę na tyłku i czekam na wyrok losu, albo się zmywam. - Roześmiał się, co go samego zdziwiło. - I

przeżyłem.

- Zawsze taki byłeś.

- Mam ze sobą notatki na temat każdej transakcji i każdej dostawy. Wszystko spisywałem.

- Człowieku, przecież to niebezpieczne papiery.

- Tak, dobrze to ujęłaś.

- A co masz zamiar z nimi zrobić? - zapytała Audrey. Wzruszył ramionami.

- Miałem taki pomysł, żeby oddać je komuś z władz. Audrey zakrztusiła się śmiechem.

- Ryzykant z ciebie, Jake. Gdzie ty znajdziesz we władzach kogoś, komu możesz zaufać?

- Jest przecież Ten Jeden - rzekł Streik. - Nosilem się z zamiarem, Audrey, tylko się nie śmieję, dostarczenia ich do Białego Domu, prosto do rąk prezydenta.

Audrey zasłoniła usta dłonią.

- Przepraszam cię.

- Jezu, przecież prosiłem, żebyś się nie śmiała.

- Streik, nawet gdyby prezydent miał nieskazitelnie czyste ręce, jeździł na wspaniałym, białym rumaku i był synem matki Teresy z Kalkuty oraz Johna Wayne'a, to czy mógłby ci pomóc? Nie dopuszczono by cię do niego bliżej niż na milę. Twoje papiery trafiłyby na biurko jakiegoś zasmarkanego asystenta, który zrobiłby jedno z dwojga. Albo przekazałby je do Langley, albo wsadziłby cię do wariatkowa. Tak czy inaczej byłoby po tobie... Po tylu latach, Jake, wciąż wierzysz w Amerykę, co? Nadal ci się wydaje, że światło bijące od prezydenta może naprawić każde zło. I teraz wciskasz mi tu głodne kawałki.

- Tak, to chyba nałóg. Przez chwilę Audrey milczała.

- Jak mam ci pomóc? Znaleźć ci kryjówkę?

- Audrey, po głowie kotłują mi się różne myśli i potrzebuję trochę miejsca i czasu, aby wszystko sobie przemyśleć. Boże, muszę się poważnie zastanowić.

Audrey sięgnęła po swój napój.

- Może mogłabym ci pomóc się zadekować, ale oczywiście nie u siebie w domu.

- Nie chcę cię narażać na ryzyko - powiedział. - Samo spotkanie ze mną jest już wystarczająco niebezpieczne. Audrey, ci ludzie mnie szukają, a wiesz, że są w tym dobrzy. -

Wyjrzał na ulicę. - Na pewno nikt cię nie śledził?

- Przynajmniej tak mi się wydaje.

- I nic dziwnego w pobliżu nie widziałaś? Nie działo się nic niezwykłego?

Pokręciła głową.

- Na razie nie.

Streik pochylił się nad stołem; znów był zdenerwowany, w głowie miał mętlik.

- Na pewno wiedzą o naszej dawnej współpracy. Nie mogą tego nie wiedzieć, mają archiwa, o jakich ci się nie śniło. Komputery mogą im powiedzieć, jaką masz grupę krwi i kiedy ostatni raz byłeś w kiblu. Właściwie niepokoi mnie to, że nie siedzą ci na ogonie.

Audrey z uśmiechem wzruszyła ramionami.

- Może wyszłam z wprawy i nie zauważyłam ich? Streik jeszcze raz wyjrzał na ulicę. Znów miał poczucie zagrożenia, instynkt podpowiadał mu, by uciekał.

- Gdzie masz samochód? - zapytała.

- Po drugiej stronie placu.

Wstała od stołu, dorodna, prawie otyła. Położyła mu dłoń na ramieniu.

- Chodźmy.

Nie chciał opuszczać kawiarni, bo na dworze wystawiał się na atak, jednak w końcu wstał i poszedł za Audrey w stronę drzwi.

- Dokąd idziemy? - zapytał.

- Ciebie niech o to głowa nie boli.

Otworzyła drzwi i Streik z ociąganiem wyszedł na dwór. Powietrze było mroźne, oddech zamieniał się w parę, czuł, że wargi ma jak z marmuru. Idąc placem Bellecour, mijali bezlistne drzewa i uliczne latarnie. Mimo zimna Streik był cały spocony.

- Chodź, chodź - mówiła Audrey. Wprawnym okiem rozglądała się dokoła i nie było po niej widać zdenerwowania. Przypominali dwójkę ludzi idących francuską ulicą do kina albo do teatru. Gdy wzięła go pod rękę, wrażenie, że stanowią zwyczajną parę, jeszcze się pogłębiło.

- Oto samochód. - Wskazał na saaba.

- Daj kluczyki.

Audrey otworzyła drzwi i usiadła za kierownicą. Streik niepewnie zajął miejsce pasażera.

W gardle miał sucho, jego język sprawiał wrażenie zdechłej jaszczurki leżącej na pustyni.

Kobieta włożyła kluczyki do stacyjki, a Streik przeraził się nagle, że do zapłonu przymocowano bombę i po przekręceniu kluczyka samochód eksploduje. Klik, kluczyk przekręcony, silnik pracuje. Życie składa się z wyroków i odroczeń, pomyślał. Starał się zrelaksować.

Nagle pękła przednia szyba. Streik zasłonił się rękami i krzyknął.

W pierwszej chwili myślał, że jakiś dzieciak rzucił kamieniem lub innym przedmiotem.

Audrey odwróciła głowę do tyłu, a on pochylił się, łapiąc jednocześnie przyjaciółkę za rękę, jakby musiał się chwycić czegoś solidnego. O, Audrey, Audrey, rzeczywiście straciłaś wprawę.

- Jezu - powiedziała. Cofnęła samochód prosto na stojące z tyłu BMW, przekreśliła kierownicę i ruszyła do przodu. Streik wyglądał przez pokrytą pajęczyną pęknięć szybę.

Człowiek z twarzą zasłoniętą podniesionym kołnierzem strzelił z odległości jakichś sześciu metrów. Po chwili oddał jeszcze jeden strzał i tym razem Streik poczuł uderzenie w klatkę piersiową. Próbował zaczerpnąć powietrza, ale ból był tak ostry, że zgiął się wpół. Miał

dziwne, narkotyczne wrażenie, że unosi się nad dachami Lyonu niczym urwany ze sznurka latawiec.

- Audrey, ja krwawię. I to jak cholera.

Jego głos zdawał się należeć do kogoś innego i dochodzić z jakichś odległych okolic.

Uświadamiał sobie mgliście, że samochód jedzie naprzód, że z tyłu rozlegają się strzały, że kule uderzają o metal, że pękają następne szyby. Później Lyon zamienił się w serię błyszczących świateł, neonów i ulicznych latarni. Streik jeszcze nigdy w życiu nie czuł tak paraliżującego bólu, który zdawał się żyć własnym życiem niczym złośliwy rak. Gdzieś z oddali słyszał głos Audrey: „wytrzymaj, Jake, wytrzymaj”. Nie był jednak przekonany, czy to się dzieje naprawdę, i raptem wszystko dookoła stało się jakieś nierzeczywiste. Ulice, budynki, światła na skrzyżowaniach i cała reszta pojawiała się tylko w nieregularnych przebłyskach świadomości. Z bólu zapomniał, jak się nazywa i dlaczego jedzie samochodem z przestreloną szybą po mieście, które zapewne istnieje tylko w jego wyobraźni.

- Wytrzymaj, Jake, nie poddawaj się. Wyjdziemy z tego. Streikowi zdawało się, że jadą przez most. Odwrócił się do przyjaciółki i wypowiedział słowa, których wcale nie miał na myśli.

- Umieram. Cholera jasna, umieram.

- Nie, Jake, wszystko będzie dobrze.

Będzie dobrze, pomyślał. Oparł głowę o fotel i czuł, że ból go pokonuje. Zamknął oczy.

- Na litość boską, nie zasypiaj.

Streik jednak już spał, coraz głębiej i głębiej staczał się w podwodną otchłań świata zielonych wodorostów i falujących przedmiotów ze srebra. Wtedy podpłynął do niego człowiek z głową potarganą podwodnymi prądami, i gdy Streik otworzył oczy, poznał

starego, dobrego Bryce'a Harcourta.

Cześć, Jake.

Ostatnią jego myślą było pytanie, jak można mówić pod wodą i nie utopić się.

Wenecja

Zapatrzona w sufit kobieta zrzuciła nogą pościel i leniwym ruchem, jakby chciała się podniecić, przesunęła palcami po sutkach, a potem położyła dłoń na płaskim brzuchu.

Dopiero co umilkły dobiegające z dołu głosy. Wiedziała o odbywającym się tam spotkaniu znajomych Barrona, którzy debatowali nad planem Ślimacznica. Nazwa ta wydawała jej się dziwna i tajemnicza. Zajrzała do słownika i znalazła kilka znaczeń tego słowa, lecz najbardziej przypadła jej do gustu definicja, iż jest to rodzaj pnącego bluszczu. Potem poszybowała myślami ku bardziej abstrakcyjnym obrazom i w jej umyśle zaczęły się pojawiać i rozpadać przeróżne kształty. Czuła, że traci kontrolę nad swym wewnętrznym żyroskopem.

Usiłowała skierować myśli na coś konkretnego, na ciało Norweżki spotkanej kiedyś na promie do Cherbourga albo na opalone ciało Barrona kontrastujące z bielą jej własnej skóry.

Od niechcenia przesunęła dłonią po gęstych włosach łonowych, po czym położyła ją na biodrze. Żadne wspomnienie jej nie poruszało, nic nie chciało się zmaterializować. Ani twarze, ani ciała, ani chwile namiętności - nic a nic.

Usiadła i przycisnęła palcami powieki. Nagle zaczęła myśleć o ojcu - o unieruchomionym na wózku inwalidzkim ślepy młody człowiek, interesującym się w życiu jedynie swą posiadłością w Karolinie Północnej. Zawsze otoczony służbą, trochę szalony z powodu ciosu, który sparaliżował go w wieku czterdziestu kilku lat, lubił snuć mroźne krew w żyłach, rasistowskie monologi na temat historii rodziny, niewolnictwa, starych czasów i seksualnych występków swoich przodków. „Wszędzie ci cholerni Mulaci. Można spotkać ludzi o wszystkich możliwych odcieniach skóry”.

Śmiał się z zaskakujących rzeczy. Był złośliwy i z jakichś bliżej nie sprecyzowanych powodów psychopatyczną nienawiścią darzył katolików. Powiedział kiedyś, że cierpi na papieżofobię, a w obecności księdza drętwieją mu mięśnie i nie może przełknąć śliny.

Przechodząc obok katolickiego kościoła zawsze się otrząsał i zamykał oczy.

Od wielu lat nie myślała ani o nim, ani o wiotkiej damie z Południa z rodziny o bajecznych tradycjach, swojej matce, która po pijanemu rozprawiała o czarnuchach i Latynosach zagarniających dla siebie cały kraj i o tym, że wkrótce dojdzie do takiej sytuacji, jak w Republice Południowej Afryki, gdzie biali są w mniejszości. Matka była blada, niemal przezroczysta i pozostała jej w pamięci jako zjawy powiązana ze światem duchów. Nadal słyszała jej głos istoty na wpół żywej: „Dziecko, tatuś i ja rozmyślamy nad wysłaniem cię do kliniki doktora Lannłgana. To prawdziwy cudotwórca i doskonale radzi sobie z problemami pacjentów, moja droga”. Problemy, pomyślała. Zaciekawilo ją, co się dzieje z rodzicami i czy jeszcze żyją. Chociaż właściwie jakie to ma znaczenie? Przecież odcięła się od przeszłości.

Weszła do łazienki i dokładnie zamknęła za sobą drzwi. Na wykafelkowaną podłogę padł

cień jej sylwetki. Gdy odkręciła wodę i stanęła pod prysznicem, wszedł Barron. Przez mleczną szybę widać było, jak się rozbiera; potem otworzył drzwi pod prysznic i stanął przed nią nago.

- Wszyscy już poszli - powiedział. - Jesteśmy sami.

Jesteśmy sami, pomyślała, tylko ty i ja, Barronie. Otarła wodę z oczu i spojrzała uważnie na jego ciało. Pragnęła go, ale to pożądanie było oddzielone od niej samej. Czasami zdawało się jej, że obserwuje samą siebie z boku.

- Rozmawialiście o Ślimacznicy - powiedziała.

- A ty podsłuchiwałaś.

- Nie rozumiem, dlaczego nic więcej nie chcesz mi powiedzieć.

Poprawiła temperaturę wody i stanęła tak, aby strumień wody spływał jej po włosach i twarzy. Barron zbliżył się, a ona od razu sięgnęła mu między nogi i wprowadziła go w siebie.

Oparła głowę o kafelki na ścianie, do otwartych ust spływała jej woda. Barron zaczął ją całować; w przeciwieństwie do innych mężczyzn, których znała, potrafił zachować rytm dostosowany do jej potrzeb. Umiał intuicyjnie wyczuć wysyłane przez nią impulsy, zupełnie jakby słuchał tykania jej wewnętrznego metronomu. Patrzyli sobie w oczy. Na jego twarzy malowało się napięcie i skupienie, chociaż ona chciała dojrzeć u niego czułość, litość i współczucie. Być może wszystkie te uczucia istniały, a ona tylko nie umiała ich dostrzec.

Skąd może mieć pewność? Przecież teraz nie można niczego być pewnym - nawet własnej tożsamości.

Szczytowała zaskakująco szybko, a potem niespodziewanie ogarnęło ją uczucie samotności. Gdy osunęła się na kolana, Barron chwycił ją za łokcie i pomógł stanąć na nogi.

Narzucił jej na ramiona duży biały ręcznik, otworzył drzwi kabiny prysznicowej i przeszli do sypialni. Mokra położyła się na łóżku, a on trzymając ją za rękę, wpatrywał się w jej twarz.

Wyglądała na smutną i cierpiącą. Pogładził ją po mokrych włosach.

- Nie musisz mnie traktować jak jakiegoś pieprzonego inwalidę - odezwała się.

- Tak to odebrałaś? - zapytał. Znów odpłynęła, dryfując na tereny będące białymi plamami jej jaźni.

- Głaszczesz mnie po głowie, jakbym leżała na łożu śmierci. Położył się obok niej, ujmując jej nieruchomą i niechętną dłoń.

- Barron, wyjdźmy gdzieś, chciałabym się przejść po moście Rial-to albo pójść do baru Harry'ego. Chciałabym zrobić coś normalnego, coś zwyczajnego, obojętnie co. Chciałabym odetchnąć świeżym powietrzem. Tutaj czuję się jak uwięziona w trumnie.

Na dworze zapadł zmrok. Barron opuścił nogi z łóżka.

- Weźmy łódź - powiedziała. - Przepełniemy na Burano i wstąpimy do trattorii Pescatori.

Spojrzał na nią myśląc, że tak trudno jej czegokolwiek odmówić. Nie rozumiał swej słabości do tej kobiety. Jej życie stanowiło skomplikowany labirynt, po którym pisane mu było błądzić. Wstała z łóżka i ze skupioną i zaciętą miną przechadzała się po pokoju. Barron znał ten stan - właśnie gromadziło się w niej napięcie. W każdej chwili mogła wybuchnąć złością albo zapaść w milczenie trwające czasem po kilka dni, co było najgorsze ze wszystkiego.

- No dobrze - powiedział po chwili zastanowienia. - Pod osłoną nocy możemy popływać, możemy nawet zawędrować na Burano, ale nie możemy się pokazywać w miejscach publicznych, w żadnych restauracjach ani barach. Po cichutku popłyniemy na Burano i wrócimy przez Porto di Lido.

- Zawsze musimy czekać na zmrok, prawda* Barron? - spytała. -

To ja jestem tą pieprzoną czarną damą z twoich sonetów. - Nachyliła się nad łóżkiem i groźnie wyszczerzyła zęby. - Jestem twoim osobistym wampirem, co?

- Nie żyjemy normalnie.

- No to opowiedz mi o normalnym życiu.

Prowadzona przez Schiallego łódź pruća czarne, zimne wody Ca-nal Grandę, płynąc w stronę Bacino di San Marco. Barron i jego towarzyszka mieli na sobie grube płaszcze, szaliki i rękawiczki. Stali na rufie. Była gwiazdzista, jasna noc, w pałacach stojących wzdłuż kanału paliły się światła. Płynąca z przeciwka motorówka wzbudziła fale i lekko rozkołysała ich łódź. Piękne niebo, dźwięk fal obmywających burty i piękne budowle sprawiły, że Barron stał

się otwarty, rozmowny i objął kobietę ramieniem.

- Nigdy o nic nie pytasz - powiedział, całując ją w czoło. - Przez wszystkie lata naszej znajomości ani razu nie spytałaś, skąd pochodzę, z jakiego wywodzę się środowiska.

Dlaczego?

- A powinno mnie to obchodzić? - Na zasłoniętą szalikiem twarz padło mijane światło.

Wyglądała w nim niezwykle młodo i pociągająco.

- Powinno czy nie, chcę ci zdradzić tajemnicę pochodzenia To-biasa Barrona. Byłem, jak to się mówi, podrzutkiem. Kimkolwiek była moja droga matka, porzuciła mnie na schodach klasztoru Sióstr Miłosierdzia w Nowym Jorku. - Znalazł się nagle w świecie katechizmu, spowiedzi, kazideł, terroru księży i nieświeżego zapachu habitów. Wspominał ten okres, jak można by wspominać wieloletnie więzienie w lochu.

Przez chwilę kobieta sprawiała wrażenie zainteresowanej opowieścią.

- Barron, jakoś nie wyobrażam sobie ciebie w takich okolicznościach.

- Wyrwałem się stamtąd najszybciej jak się dało. Mając szesnaście lat uciekłem i zamieszkałem w Nowym Jorku. Odkryłem w sobie talent aktorski i występowałem trochę na mało znaczących scenach.

- O tak - zauważyła. - Dobry z ciebie aktor.

Wpłynęli do basenu świętego Marka, a światła miasta zostały z tyłu.

- Najbardziej nie lubiłem okresów oczekiwania pomiędzy jedną pracą a drugą - mówił. -

Dlatego też wyjechałem do kraju wielkich szans, do Kalifornii. Tam odkryłem w sobie inne talenty.

- Pozwól, że zgadnę. Leciały na ciebie bogate kobiety.

- Bogate i samotne.

- Zostałeś więc żigolakiem i w ten sposób się wzbogaciłeś.

- Tak, zwłaszcza dzięki jednej z nich, Amandzie Wrigley. Mieszkała w La Jolla i po jej śmierci okazało się, że uczyniła mnie jedynym spadkobiercą. Cóż więc mi mogło grozić, skoro miałem w kieszeni niespodziewane dwa miliony dolarów? A to były w Ameryce jeszcze te czasy, kiedy można było zainwestować i mieć pewny zysk. Inwestowałem więc na giełdzie, w akcje, w obligacje, w nieruchomości. Rynek działał na moją korzyść. Wszystko to pewnie brzmi zabawnie.

Nagle wybuchnął śmiechem, a kobieta przyglądała mu się zaskoczona.

- Właśnie wtedy zacząłem zmieniać personalia, bo siostry nazywały mnie Paul Smith, a ja nie chciałem nosić tak prozaicznego nazwiska. Przeżyłem tak zwany okres francuski, gdy nazywałem się dość pretensjonalnie - Michel Leclair. Później zapragnąłem nazywać się bardziej z brytyjska i przez krótki czas przedstawiałem się jako Roger Dickinson-Brown, bo podobały mi się nazwiska z łącznikiem.

Przez moment w milczeniu wracał myślami do czystych, błękitnych wód w Palm Springs i Beverly Hills, gdzie poznawał bogate kobiety, poszukujące rozrywki i emocjonalnego związku z kimś, kto mógłby wyrwać je z osamotnienia.

- Zbiłeś majątek, pieprząc smutne, podstarzałe matrony - powiedziała. - Domy w każdym zakątku świata, samochody, jachty, samoloty. Nadajesz się do opowieści o amerykańskim sukcesie. Dzięki za szczerłość, Barron.

Ponieważ ona wykreowała swą postać podobnie jak Barron, opowieść o jego dziejach przygnębiła ją. Mierziła ją myśl, że może być do niego podobna i że łączą ich jakieś przeklęte więzy. A może Barron trzymają przy sobie, bo ona stanowi odbicie jego potrzeb? Może zatraciła już dawne poczucie własnego ja i teraz jest tylko tym, kim każe jej być Barron?

Zadrżała z zimna.

- Udało ci się zmienić siebie, a teraz chcesz zmieniać świat. Robisz postępy.

- Zmieniać świat? Nie posunąłbym się tak daleko. Ja pomagam tylko pewnym ludziom zdobyć to, czego najbardziej pragną. Jestem jedynie dostawcą.

- Czyżby? A może filantropem? Barron, bądźże realistą. Władza uderza ci do głowy.

Odpowiada ci rola tego, który siedzi i pociąga za sznurki, a marionetki podskakują. Ach, jakież ten Tobias mądry. Nie o to ci chodzi?

- Naprawdę tak myślisz?

- Tak, czasem tak myślę. A czasami nie myślę wcale i wtedy mój umysł staje się cudownie czysty.

Wziął sobie jej spostrzeżenia do serca. „Jakież ten Tobias mądry. Pociąga za sznurki, a marionetki podskakują”. Prawdopodobnie niewiele mijala się z prawdą, rzeczywiście ludzie tańczyli tak, jak on im zagrał. Odbywał rozmowy telefoniczne, po których zachodziły zmiany w miejscach, gdzie nigdy nie był i nigdy nie pojedzie. Wysyłał pociągi i statki w trasy, których sam nigdy nie przemierzył.

- Problem z twą władzą polega na tym - mówiła - że jesteś odizolowany od świata.

Otoczyłeś się grubym kokonem i nic do ciebie nie dociera.

- To niezupełnie prawda - powiedział, patrząc ponad ciemną wodę. Łódź wpływała do Porto di Lido, znad Zatoki Weneckiej nadciągały chmury przesłaniające gwiazdy.

- Czy kiedykolwiek kochałeś? - zapytała. Typowo babskie pytanie, pomyślał, i nie wiadomo dlaczego uśmiechnął się.

- Pewnymi uczuciami obdarzam ciebie.

Zastanawiał się chwilę nad tym, co powiedział, chciał jakoś sprecyzować swoje słowa, ale nie bardzo wiedział, jak wyrazić to, co naprawdę czuje.

- Ja się zupełnie nie znam na uczuciach - powiedziała. - Nie wiem czym są ani skąd się biorą, ani jak je rozpoznać.

Odwrócił do siebie jej twarz i objął ją ramieniem. Słowo „uczucia” wypowiedziała tak, jakby pochodziło ono z jakiegoś martwego języka. To go zasmuciło i poczuł ukłucie w sercu.

- Jak określisz uczucia, które do mnie żywisz? - zapytała.

- To wielce złożone pytanie - postanowił uniknąć precyzowania tej myśli. - Ostatnio przydarzyło mi się wiele skomplikowanych rzeczy i potrzeba mi trochę więcej...

prostolinijności. Wkrótce nadejdzie dzień, kiedy Tobias Barron wymyśli sam siebie od nowa.

- Kolejna inkarnacja?

- A czemuż by nie?

- Czy w nowym układzie rzeczy znajdzie się miejsce także dla mnie?

- Mam nadzieję. Tak to sobie wyobrażam.

Nie miała pewności, czy chce się znaleźć w przyszłości Barrona. Czasami tego pragnęła, a czasami nie. Często wpadała w zasadzki własnych zmiennych nastrojów. Zanim poznała Barrona, radziła sobie sama, więc znów będzie mogła się sama o siebie zatroszczyć. Nie podobała jej się kontrola, jaką nad nią roztoczył; nie chciała być kolejną marionetką podskakującą za pociągnięciem sznurka.

Barron sięgnął do wewnętrznej kieszeni płaszcza i wyjął małą laminowaną kartę.

- Proszę, to dla ciebie.

- Prezent?

- W pewnym sensie.

Odwróciła kartę pod słabe światło płynące z rufy. Karta identyfikacyjna wystawiona została przez Rosyjską Służbę Wywiadowczą, następczynię KGB, na nazwisko niejakiej Alisy Baranowej, lat 37, wzrost 1,71 m, szatynki, bez znaków szczególnych. Pośrodku widniała jej własna fotografia.

Carlotta otrzymała kolejną tożsamość.

Berlin

Karl-Heinz Buchboden obserwował pierwszą demonstrację rozpoczynającą się o dziesiątej wieczorem przed budynkiem Pałast der Republik na placu Marksa i Engelsa. Milczący pięcioletni tłum zebrał się, aby wyrazić swoje rozczarowanie, niezadowolenie i strach.

Uczestnicy chowający twarze pod szalikami i kołnierzami płaszczy w obawie przed rozpoznaniem, pokutującej tu jeszcze od czasów Stasi, berlińskiego muru i zależności państwa, uważali siebie za ofiary zjednoczenia Niemiec. Powody marszu łatwo można było odczytać z niesionych flag i transparentów - ludzie stracili domy, miejsca pracy i bezpieczeństwo zapewniane przez socjalistyczne państwo. Stali się obywatelami trzeciej kategorii w nowych Niemczech, do których początkowo odnosili się z entuzjazmem oraz nadzieją na wolność i sukces; później się okazało, że nie pasują do swego nowego kraju, nie rozumieją go ani sami nie są w nim rozumiani.

Zagubione duszyczki, pomyślał Karl-Heinz Buchboden. Na czele kolumny maszerował

siwowłosy, zawzięty przywódca, Heinrich Ge-phart, niczym prorok wołający na puszczy.

Buchboden podążał w pewnej odległości za nim.

Demonstranci maszerowali w złowroziej ciszy wzdłuż Unter den Linden. Część niosła latarki, a inni świece z płomieniami tańczącymi w podmuchach chłodnego wiatru. Na nocnym niebie unosił się policyjny helikopter. Demonstrantom towarzyszyła eskorta radiowozów, albowiem każda forma protestu może się zamienić w gwałtowne zamieszki. Buchboden zauważył, iż część gapiów drwiącym gestem podnosiła pięści, część gwizdała, a część przyglądała się manifestantom z pewną rezerwą, bo najstarsi spośród nich jeszcze pamiętali trochę inne parady, odbywające się na Unter den Linden w latach trzydziestych.

Obywatele byłego NRD, zwani Osis, nie zwracali uwagi na prześmiewców. Wyglądało na to, że pięć tysięcy ludzi kierowanych wspólną wolą ślepo dąży do tego samego celu. Dookoła rozbrzmiewał uliczny zgiełk, kierowcy samochodów trąbili klaksonami i gniewnie błyskali światłami. Od czasu do czasu kolumna manifestantów rozpadała się, gdy wjeżdżała w nią ciężarówka, jednak przeważnie udawało im się zachować jedność i porządek. Owszem, byli rozczarowani, lecz Gephart nauczył ich słowa godność. Pragnęli zachować godność w każdych okolicznościach.

Idący wśród manifestantów Karl-Heinz Buchboden co pewien czas rozcierał zmarznięte dłonie. Gdy przechodził obok wózka z hamburgerami, owionęła go fala ciepła.

- Lenie śmierdzące - orzekł sprzedawca, wyglądający na Turka. - Zawsze tylko wyciągają rękę po datki od państwa. Może i przyzwyczaili się do tego, ale dlaczego ja mam ich utrzymywać? Dlaczego ja mam płacić na Osis? Niech sami się wezmą do roboty.

Buchboden bez entuzjazmu przyznał mu rację.

- Nigdy bym nie podejrzewał, że powiem coś takiego - kontynuował sprzedawca. - Ale wolałbym, żeby przekłety mur został na swoim miejscu. - Gniewnym wzrokiem zmierzył

Buchbodena, który tylko kiwał głową. Dawno minęła euforia wywołana zjednoczeniem, z balonu uleciało powietrze, pozostawiając tylko żal i gorycz. Początkowa radość ze zjednoczenia Niemiec zamieniła się w pasmo niechęci i gorzkich uraz. Buchboden zdawał

sobie sprawę, że jeśli ktoś ma pretensje, to jest to już przynajmniej jeden powód do wywołania zamieszek.

Szedł dalej. Manifestanci dotarli do skrzyżowania z Friedrich-strasse i kierowali się w stronę Bramy Brandenburskiej, na jezdniach wokół nich zapanował zamęt, na chodnikach zebrało się wielu widzów patrzących z rozbawieniem lub wznoszących wrogie okrzyki. Osis na zawsze powinni zostać Osis. Komu potrzebni ci ludzie i ich problemy? Całe życie spędzili w innym ustroju, który teraz się rozpadł, a jeśli nie potrafią się przystosować, to tym gorzej dla nich.

Tłum demonstrantów zatrzymał się przed Bramą Brandenburską. Nie wiadomo skąd pojawiła się niewielka trybuna i wszedł na nią Heinrich Gephart z mikrofonem w dłoni. Jego słowa ginęły wśród zgiełku trąbiących taksówek i autobusów, lecz ludzie stojący najbliżej rozumieli, o co chodzi: zjednoczenie Niemiec było tylko i wyłącznie kiepską zagrywką polityczną. Politycy obiecywali wspaniałe rzeczy, a nie dotrzykali żadnej obietnicy.

Własność Niemiec Wschodnich została zagarnięta przez przedwojennych właścicieli z Zachodu. Nie ma miejsc pracy, nie ma przyszłości, Niemcy ze Wschodu traktowani są jak gastarbeiterzy. Gephart miał aparycję aktora i talent oratorski.

Stojący w tłumie Buchboden spojrzął na zegarek. Gephart krzyczał i wymachiwał rękami, chociaż jego słowa nie docierały zbyt daleko. Buchboden wyszedł z tłumy. Przez chwilę obserwował śmigłowiec najpierw krążący nad Bramą Brandenburską i lecący nad park Tiergarten, a później z warkotem wracający tą samą drogą.

Buchboden zatrzymał się przy radiowozie z dwoma umundurowanymi policjantami o naburmuszonych minach. Na tylnym siedzeniu leżała broń szturmowa, hełmy i kuloodporne tarcze.

Nikt nie wiedział, kto wystrzelił pierwszy. Nikt nie miał pojęcia, skąd nadleciała pierwsza kula. Gephart został trafiony w szyję i ściskając mikrofon w dłoni, spadł z trybuny. Potem nastąpił krótki i intensywny ostrzał z broni automatycznej gdzieś spoza Bramy, najprawdopodobniej od strony parku.

- Jezu Chryste! - Młody policjant wyskoczył z samochodu i chwycił karabin. Chwilę później wygramolił się jego otyły partner żujący gumę. Buchboden widział demonstrantów rozbiegających się na oślep, padających na ziemię i zakrywających sobie głowy rękami.

Nagle z radiowozów wyłoniło się mnóstwo policji, lecz drogę do centrum ostrzału blokował

im tłum. W krzyku, zamęcie i ogólnej dezorientacji nikt nie mógł się połapać, ile osób zostało rannych, a ile zabito. Policji udało się w końcu dotrzeć do Bramy, ale napastnicy zdążyli się już rozplątać w ciemności. Park znajdował się w polu widzenia oficerów nadzorujących manifestację z helikoptera, ale meldowali potem, że nic nie widzieli.

Karl-Heinz Buchboden podszedł do swojego zaparkowanego przy rosyjskiej ambasadzie samochodu. Wsiadł i pojechał w stronę zamieszkaną przez tureckich imigrantów dzielnicy Kreuzberg, gdzie pachniało wschodnimi przyprawami, a w oknach restauracji serwujących kebab do późnej nocy paliło się światło.

Po drodze podsłuchiwał policyjne meldunki. W zakodowanych rozmowach wyczuwało się pośpiech i panikę. Wszystkie samochody patrolowe znajdujące się w promieniu pięciu mil wzywano pod Bramę Brandenburską.

Buchboden nastawił radio na odbiór miejscowej stacji. W wieczornych wiadomościach pojawiły się pierwsze doniesienia - wypaczone, niepełne i przesadzone. Radiowcy lubili przedstawiać na gorąco tragiczne wydarzenia, by ubarwić szarą rzeczywistość. W kierunku Bramy Brandenburskiej wyruszały szwadrony dziennikarzy, kamerzystów i fotoreporterów.

Buchboden zaparkował za Moritzplatz na chodniku przy Ora-nienstrasse. Zamknął

samochód na klucz i dalej ruszył pieszo. Wszedł do małej tureckiej kawiarenki, wypił dwie filiżanki mocnej, słodkiej kawy i wypalił kilka papierosów. Przez jakiś czas obserwował

kelnerkę, w której żyłach najwyraźniej płynęła krew zarówno turecka, jak i nordycka. Kręciła się po

kawiarni, ścierała stoliki i zmieniała popielniczki. Buchboden spojrzął na ścienny zegar; od zastrzelenia Ge-bharta minęła godzina. Po następnych piętnastu minutach wstanie, wyjdzie z kawiarni i wolnym krokiem uda się w kierunku Kotbusser Tor.

Z kuchni ktoś krzyknął po turecku i dziewczyna zniknęła na zapleczu, a kiedy wyszła, oparła się łokciami o ladę i spojrzała na Buch-bodena.

- Słyszał pan? - zapytała.

- O czym?

- Mówili właśnie, że przed Bramą Brandenburską była strzelanina i zginęło dwadzieścia pięć osób. Nie wiadomo, kto strzelał, ani dlaczego.

- Nie, nie słyszałem. - Buchboden pokręcił głową.

- Był jakiś wiec, jakaś manifestacja, dokładnie nie wiem, i zaczęli strzelać. W tym mieście... - Wzruszyła ramionami, odwróciła się od lady i nalała sobie szklankę soku pomarańczowego.

- Co też się na tym świecie wyprawia - powiedział Buchboden.

Wstał, położył na stoliku kilka monet, powiedział dobranoc, wyszedł na ulicę i skierował

się w stronę Kotbusser Tor. Znalazł się w egzotycznej, niebezpiecznej okolicy, pełnej sprzedawców kebabów oraz nocnych klubów podejrzanej konduity, barów dla homoseksualistów, jugosłowiańskich restauracji i greckich knajpek. Zawsze intrygowała go ta część dzielnicy Kreuzberg, ponieważ zbrodnia wisiała tutaj w powietrzu, a niemal za każdymi zamkniętymi drzwiami sprzedawano i kupowano narkotyki.

Otwarte do późna w nocy sklepy z odzieżą oferowały przecenione dżinsy, buty Doc Martens i ozdoby dla punków. Zewsząd dolatywał zapach przypraw i baraniny pieczonej na ruszcie. Pomimo chłodu, wielu ludzi spacerowało po ulicach, oglądało wystawy i spieszyło na rozmowy do urzędu imigracyjnego. Buchboden lubił ten ruch, gwar i zgiełk. Spojrzął na zegarek i nagle cały zeszytniał.

Nie pierwszy raz widział tych ludzi i nie pierwszy raz słyszał ich śpiew na tle odgłosu ciężkich butów stąpających po betonie oraz trzasku szyb i samochodów rozbijanych kijami baseballowymi. Umknął w boczną uliczkę. Nadal słyszał śpiew i podniesione gniewne głosy.

W jednej chwili, nie wiadomo skąd, jakby na komendę niewidzialnego dowódcy, pojawiło się ich trzystu, a może czterystu. Na rękawach skórzanych kurtek oraz na chustkach opasujących głowy nosili insygnia swoich przodków - swastykę. Mieli wygolone głowy, wytatuowane różne części ciała, łańcuchy, czarne buciory i błyszczące noże. Z irracjonalną nienawiścią dumnie kroczyli ulicą i ze śpiewem na ustach zrywali szyldy i rozbijali wystawy.

Nagle ktoś rzucił koktajl Mołotowa w budkę z kebabem, co stało się dla hałastry sygnałem do dalszych działań. Kolejne płonące butelki posypały się na restauracje, bary, do mieszkań i do samochodów. Jeśli napastnicy natknęli się na opór któregoś z właścicieli, który podczas wielu lat

niepokojów etnicznych zdążył się uzbroić, odpowiadali nożami, łańcuchami, kijami baseballowymi, skórzanymi paskami nabijanymi kolcami i naostrzonymi stalowymi grzebieniami, ale również strzałami z rewolwerów i pistoletów półautomatycznych.

Ukryty w ciemności Buchboden wstrzymał oddech. Obserwował to apokaliptyczne dzieło, po którym w całej okolicy pozostawały tylko śmierć i płomień ognia. Postępowali metodycznie, jak gdyby kierująca nimi siła nie działała na oślep. Ekspłodowały samochody, płonęły budynki, waliły się stropy. W powietrzu unosił się zapach płonącej gumy, popiołu i wędzonego mięsa. Cała akcja trwała pięć do sześciu minut.

Później, jak na jakiś tajemniczy znak, tłum się rozproszył - jedni umknęli w kierunku dworca Garlitzer, inni pobiegli ku Reichenberger Strasse, a reszta zniknęła w bocznych uliczkach odchodzących od Oranienstrasse. Rozsypali się w małe grupki i pozdejmowali swastyki.

Buchboden wyszedł z zaułka. Dookoła ujrzał leżących na chodniku pogorzalców, zapłakane kobiety, pocieszające się nawzajem i wrzeszczące dzieci w osmalonych ubrankach.

Wszędzie panował chaos - na kilka przeraźliwych minut przepadło wszelkie poczucie ładu, jak gdyby tamtymi młodymi ludźmi chwilowo zawładnęło jakieś kolektywne szaleństwo i ulegli zbiorowej halucynacji. Omijając płonące samochody, Buchboden szedł ulicą i widział

trzech mężczyzn schylonych nad martwą kobietą, słyszał płacz i gniewne przekleństwa. Za potłuczonymi szybami szalał ogień, a pomarańczowe płomienie na dachu zdawały się sięgać nieba.

Dobrze się spisali.

Przestępując przez rannych i martwych, doszedł do rogu. Oparta o ścianę leżała tam Greczynka z roztrzaskaną czaszką i twarzą zalaną krwią. Wokół niej kręcił się bezradny i przestraszony mężczyzna, najprawdopodobniej jej mąż. Błagalnym wzrokiem spojrzął na Buch-bodena. Pomóż mi, zrób coś, błagam cię. Buchboden poszedł dalej; nie mógł pomóc, nie mógł zrobić nic. Okazał człowiekowi współczucie, a co jeszcze mógł począć? Słyszał

syreny straży pożarnej i karetek pogotowia. Noc znów wypełniała się hałasem. Dźwięki zwiastujące porządek, prawo i spokój przybywały za późno. Znów za późno.

Kilka metrów od siebie Buchboden zauważył samochód patrolowy i trzech wysiadających ze środka policjantów uzbrojonych w karabiny. Podszedł bliżej, ale nie rozpoznał żadnego z nich. Pokazał im kartę identyfikacyjną, a oni natychmiast mu zaszalutowali.

- Narozrabiali tu skinheadzi i młodzi naziści. Jeśli przedrzecie się przez ten bałagan, to może jeszcze kilku złapiecie. - Wskazał ręką na ulicę, gdzie kolejny samochód eksplodował, rozbijając wystawę księgarni. Ktoś krzyknął.

Przybyło więcej patroli i policjanci rozbiegli się po ulicach. Strażacy w pośpiechu rozwijali gumowe węże. Z dwu karetek pogotowia wyskoczyli pielęgniarze z przygotowanymi noszami. Lekarze i pielęgniarki, chodząc po ulicy, zastanawiali się od czego zacząć.

Buchboden zapalił papierosa. Szaleństwo w zimową noc - miasto tutaj wyglądało tak, jakby dom wariatów rozpuścił swych nieuleczalnych pacjentów. Istne piekło.

Na miejscu zdarzenia znajdowało się około dwudziestu samochodów policyjnych i cały czas nadjeżdżały karetki pogotowia oraz wozy strażackie. W stronę Buchbodena szedł

Grunwald, kolega pracujący z nim w tym samym biurze przy placu Luftbrücke. Młody, naiwny optymistą.

- Trudno w to uwierzyć - powiedział, wolno kręcąc głową. Był to gest człowieka z natury uczciwego.
- Nie widzę żadnych powodów... - Spojrzał na zniszczoną ulicę. - Kiedy tu przyjechałeś?

- Przed chwilą - odparł Buchboden.

- Słyszałeś już o tej sprawie z Osis? Buchboden odparł, że nie.

- Przy Bramie Brandenburskiej zginęły dwadzieścia trzy osoby. I dlaczego? No dlaczego? -

Grunwald był rozwścieczony, jakby obudziła się w nim dzika bestia.

- To dla mnie zbyt trudna do rozwiązania zagadka - odpowiedział Buchboden. - Zagadka ludzkiego okrucieństwa.

- Ludzkie okrucieństwo - powtórzył Grunwald, jego gładko ogolona twarz błyszczała w świetle ognia. - Raczej diabelskie.

Buchboden zastanawiał się przez chwilę nad tym stwierdzeniem. Nie, słowo „diabelskie”

tutaj nie pasuje. Położył młodzieńcowi rękę na ramieniu. Grunwald popatrzył na niego z rozpaczą.

- Najpierw strzelanina pod Bramą Brandenburską, a teraz to. To musi być dzieło diabła.

- Grunwald, ja nie wierzę w udział pozaziemskich mocy - powiedział Buchboden. - To wszystko uczynił człowiek. Grunwald jakby go nie dosłyszał.

- Co tu się dzieje? Co tu się, kurwa, dzieje?

Buchboden wzruszył ramionami. Już miał przed oczami jutrzejsze gazety i analizy obydwu wydarzeń. Felietoniści i redaktorzy będą się zastanawiać, czy druga demonstracja została zaplanowana wcześniej, czy też była spontaniczną odpowiedzią na przemoc pod Bramą Brandenburską. Będą spekulować o możliwości istnienia związku pomiędzy obydwojmi aktami przemocy i dziwić się takiemu okrutnemu zbiegowi okoliczności. Rozlegną się lamenty, bicie w piersi i wyrazy głębokiego zatroskania stanem narodu niemieckiego, ponieważ od czasów drugiej wojny światowej Niemcy tradycyjnie analizują swoje zbiorowe ego na łamach prasy. Buchboden wszystko to wyraźnie widział. Nawet nie będzie musiał

czytać gazet. „Naród walczy sam ze sobą. Znow podniosła głowę bestia prymitywizmu.

Widmo krąży nad krajem". I tak dalej, i tak dalej.

Nagle zwrócił uwagę na dwóch umundurowanych policjantów ciągnących po chodniku mniej więcej osiemnastoletniego młodzieńca w czarnej skórzanej kurtce, ciężkich butach i z gotyckim tatuażem na grzbiecie dłoni. Z rany na czole chłopca lała się krew. Spojrzał na Buchbodena wzrokiem narkomana.

- Dorwaliśmy go w jakimś zaułku - powiedział jeden z policjantów. - Chciał się schować, sukinsyn.

- Nie mam z tym nic wspólnego - odezwał się młodzieniec butnie. - Macie jakichś świadków? Co? Buchboden pchnął go na ścianę.

- Skąd masz tę ranę na czole?

- Nie wiem. Ktoś mnie uderzył, to moja sprawa. Przechodziłem tu przypadkiem i tyle.

- Zabierzcie go do mojego gabinetu, to zaśpiewa innym głosem - powiedział Buchboden do jednego z policjantów. - Jak złapiecie jeszcze kogoś, też dawać go do mnie. Będzie zabawa.

Puścił młodzieńca, a ten od razu złapał się za czoło.

- Ja w tym nie brałem udziału.

Buchboden odwrócił się. Wiedział, że czeka go długa noc - przesłuchiwanie opornych dzieciaków, które nie mają nic do powiedzenia. Cały incydent traktowały jak rodzaj happeningu, jakby to coś usprawiedliwiało. Poza tym wszystkie będą obojętne i nadąsane.

Nawet znany ze swych zdolności do prowadzenia przesłuchań Karl-Heinz Buchboden nie zdołał nic z nich wyciągnąć. W każdym razie jako Jarzębina wcale nie będzie się starał.

Londyn

W biurze Pagan znalazł informację od Nimma. Zgodnie z ustaleniami zawartymi podczas spotkania z amerykańskim ambasadorem żądam, aby w przyszłości przed podjęciem jakichkolwiek czynności dochodzeniowych dotyczących ambasady amerykańskiej lub też jej personelu kontaktować się ze mną osobiście. Pod żadnym pozorem nie wolno odstępować od tego polecenia. Poza tym czekam na raport o postępach w dochodzeniu.

Pagan odsunął kartkę na bok.

Wyobrażał sobie pogawędkę Nimma, Caana i sekretarza spraw wewnętrznych. Domyślał

się podskórnych prądów krążących podczas tej konwersacji - ambasador był kordialny, Nimmo usiłował udobruchać ambasadora, a sekretarz słuchał z typową dla siebie miną narkomana.

Nie bardzo wiedział, jak zareagować na pismo komisarza. Mógłby mu donieść o rozmowie z Burrem, ale wiedział, że Nimmo uzna informacje od swego poprzednika za plotki szerzone przez starego

człowieka, którym rządzi szaleństwo albo jakaś uraza. Willie Caan miałby być zamieszany w ciemne sprawy? Niemożliwe, nie do pomyślenia; ambasador pozostaje poza podejrzeniami, nie można oczerniać niewinnego człowieka. On przecież zabrał dzieci zarażone HIV na wycieczkę do Disneylandu, jest filantropem. Poza tym reprezentuje kraj, od którego Wielka Brytania - choć trudno to wyjaśnić - oczekuje współpracy i poparcia.

Od spotkania z Burrem Pagana nękały piętrzące się niejasności. Jeżeli Grabarze istnieją, a Caan o tym wie, to wówczas jest zamieszany - choćby nieświadomie - w śmierć Bryce'a Harcourta, co z kolei oznacza istnienie pewnych powiązań pomiędzy ambasadorem i Carlottą. I jeśli Caan będzie otrzymywać na bieżąco informacje na temat śledztwa od Nimma albo od sekretarza spraw wewnętrznych, to co z tego wyniknie? Że cokolwiek Pagan przekaze George'owi Nim-mo, trafi to do ambasady na placu Grosvenor. Nie uchowa się żaden sekret, a tajność dochodzenia będzie tylko ponury żartem.

A ambasador uzyska dostęp do informacji, i to dostęp błyskawiczny.

Przejęty tymi rozważaniami spacerował po gabinecie. Nie mógł pójść prosto do George'a i wyraźnie mu powiedzieć, żeby o niczym Caana nie informował, bo Nimmo z pewnością go zlekceważy. Wyjście było jedno - trzeba dostarczać komisarzowi jedynie wiadomości ściśle wyselekcjonowane. Jeśli George poczuje się ignorowany albo oszukiwany, to pal go lichu.

Nie wolno wykładać przed nim wszystkich kart.

Do gabinetu wszedł Billy Ewing.

- Właśnie to nadeszło. - Położył na biurku papier faksowy. Była to wiadomość z Paryża, z Surete, podpisana przez Claude'a Quistre-berta, a skierowana do Pagana i dotyczyła osoby podającej się za Ka-ren Lamb, która w paryskiej wypożyczalni Hertza wynajęła samochód. W

deklaracji podała, iż jedzie do Marsylii, ale samochód został znaleziony w Chartres, a sama Karen Lamb zniknęła.

Ślad się urywa, pomyślał Pagan.

- Urządza sobie zabawy - powiedział Ewing. - Wypożycza samochód u Hertza i zostawia wiadomość, dokąd jedzie, ale udaje się w innym kierunku, do miejsca, skąd zabiera ją ktoś inny, albo znajduje sobie w Chartres nowy środek transportu. Skutecznie zaciera za sobą ślady, a my nadal nie wiemy, gdzie przebywa.

Pagan usiadł na krześle. Zastanawiał się, czy Carlotta zmieniła wygląd. Mogła przejść operację plastyczną, ucharakteryzować się i zmienić się nie do poznania. Nawet gdyby zamieścić jej fotografię w prasie, co by to dało? Jak zwykle jedynie serię fałszywych sygnałów i doniesień od bardziej lub mniej postrzelonych osobników. A dodatkowego zamieszania zupełnie im nie potrzeba.

Zamknął oczy i myślał o zdjęciu zrobionym Carlocie w Rio de Janeiro oraz o niewyraźnej postaci w tle, która przez chwilę wydała mu się znajoma. Do niczego to jednak nie prowadziło. Sylwetka

rozmywała się gdzieś w odległych zakątkach pamięci. Kim jest ten facet?

- Gdzie Foxie? - zapytał Ewinga.

- Kazał ci przekazać, że idzie złapać jakiegoś McLarena. Mówił, że będziesz wiedział o kogo chodzi.

Pagan ze znużeniem rozmasował powieki.

- Jak będzie mnie potrzebował, niech zadzwoni do mnie do domu.

Wrócił do mieszkania, zasiadł w fotelu i wsłuchiwał się w znajome dźwięki - warczenie lodówki, stukanie bojlera nagrzewającego wodę - które z jakichś powodów brzmiały mu dziwnie. Być może długo nie było go w domu albo potrzebował w życiu jakichś zmian.

Zastanawiał się nad istnieniem domniemanych Grabarzy, rozważał rolę ambasadora Caana i Jacoba Streika. Później niespokojnym krokiem wędrował po mieszkaniu. W kuchni rozpakował kanapkę z szynką kupioną w pobliskim sklepie. Trochę mdła, pomyślał, Brennan Carberry zaproponowałaby prawdopodobnie musztardę Dijon albo jakąś inną egzotyczną przyprawę, o jakiej nigdy nie słyszał. Chodząc z pokoju do pokoju żuł kanapkę, a potem odłożył ją na nocny stolik. Nie dopisywał mu apetyt, w głowie kłębiły się rozmaite nazwiska, ewentualności i powiązania - istny chaos.

W mieszkaniu czuł się jak w trumnie i poczuł, że musi gdzieś wyjść. Przebrał się, włożył

czysty płaszcz i zszedł na dół. Wsiadł do camaro i nie wyznaczając sobie żadnego celu, pojechał przed siebie. W głębi serca jednak wiedział, dokąd zmierza. Dlaczego nie chce się przed sobą przyznać? Minął ciemne połączenie Hyde Parku i wjechał na Park Lane. Zatrzymał

samochód przed hotelem Hilton, wszedł do westybulu i zapytał w recepcji o Brennan Carberry. Skierowano go do telefonu, wykręcił numer, a dziewczyna podniosła słuchawkę i powiedziała:

- Cześć, Frank.

- Skąd wiedziałaś, że to ja? Masz dar jasnowidzenia?

- Nie, ale nie znam nikogo innego w Londynie. Gdzie jesteś?

- W westybulu.

- Tak? No to chodź na górę.

Podszedł do windy i jadąc na dziewiąte piętro, zastanawiał się, co on tutaj robi. Z jednej strony odpowiedź na to pytanie nie sprawiała mu żadnych trudności - miał różne kłopoty, czuł

się osamotniony, a dziewczyna mu się podobała. Z drugiej jednak strony istniało dodatkowo jeszcze coś trudnego do uchwycenia. Czy on chce się angażować w jakikolwiek związek? A jeśli tak, to czy podchodzi do tego poważnie? Boże uchronij, pomyślał. Nie, nie, to musi być coś innego - na przykład chwilowe zaślepienie lub też zwykłe pragnienie zaspokojenia potrzeb.

Gdy wysiadał z windy, stała w drzwiach pokoju, była boso i miała na sobie czarną, aksamitną sukienkę do kolan. Na jego widok uśmiechnęła się i wyciągnęła rękę.

- Wejdz - powiedziała.

Wszedł do środka, a ona zamknęła drzwi.

- Mam nadzieję, że ci nie przeszkadzam - odezwał się.

- Zależy jak to rozumieć. Można przeszkadzać ludziom na różne sposoby i nie zawsze musi to być nieprzyjemne.

Spojrzał na nią uważnie i zauważył w jej twarzy ulotny wyraz oczekiwania i nadziei.

Rozejrzawszy się po pokoju, dostrzegł na łóżku porozrzucone gazety i kolorowe czasopisma, a na nocnym stoliku otwarte pudełko czekoladek. Paliła się tylko jedna lampka, tworząc kojący nastrój. Pagan był skrupowany i zastanawiał się, dlaczego Brennan tak na niego działa. Przypomniawszy sobie upuszczone jajko i zmiętą serwetkę. Miał uczucie, że gdyby przytulił tę dziewczynę, złamałby jej kręgosłup lub doprowadził do jakiegoś innego nieszczęścia.

- Powinienem już iść - powiedział, spoglądając na zegarek.

- Nie rozśmieszaj mnie, przecież dopiero przyszedłeś. Usiądź, uspokój się, rozluźnij. Zjedz czekoladkę. Proszę. Podsunęła mu pudełko.

- Staram się nie jeść słodczy.

Czy poddanie się żądzy oznacza zapomnienie o kłopotach? Czy można potraktować Brennan Carberry jako raketę umożliwiającą ucieczkę poza orbitę ziemską? Do góry i w drogę do miejsca, gdzie nie ma zagadek i nikt nie prowadzi dochodzeń. Nagle pożądanie nasiliło się i ukazało mu nowe możliwości; poczuł, że rozkwita. Przypomniawszy sobie, jak w barze dotykała jego ręki, przypomniał sobie ciepło jej dłoni i zapragnął teraz poczuć je jeszcze raz. Skąd więc te zahamowania?

- Posłuchaj... - zaczął, choć nie miał przygotowanej dalszej części zdania. Prawdopodobnie chciał przedstawić swoje wymyślane obiekcje i usprawiedliwienia. Jestem tak stary, że mógłbym być twoim ojcem, ty wkrótce wrócisz do Stanów, więcej się nie zobaczymy... i tym podobne.

- Nie, to ty posłuchaj - powiedziała stanowczo. - Z całą pewnością coś nas łączy. A może się mylę?

- Nie, nie mylisz się.

- To się zaczęło od chwili poznania, tu, w tym hotelu. Gdy odchodziłeś, tylko podałam ci rękę, chociaż pragnęłam cię pocałować. Można powiedzieć, że zadziałała między nami biochemia, chociaż wolałabym użyć mniej medycznego zwrotu.

- Zauroczenie - zaproponował.

- Nie. - Pokręciła głową. - To brzmi zbyt płytko. - Musnęła jego rękę, a później swobodnie opuściła dłoń. - Frank, dajmy spokój nazwie. Teraz jesteśmy we dwoje w tej sypialni... I co dalej? Co pocniemy z tym... czymś?

Pagan nie poruszył się. Czuł w sobie krążące bez celu cząsteczki energii. Władzę nad nim przejmowało pożądanie, lecz nie wykonał żadnego ruchu przybliżającego go do Brennan. Ona zrobiła pierwszy krok - odważny, a zarazem ostrożny - przyciągając jego dłoń do swej piersi.

Przytrzymała ją tam dostatecznie długo, aby poczuł dotyk aksamitu, a później wsunęła jego palce pod sukienkę i ułożyła je na nagiej piersi. Miała delikatną, jedwabistą skórę. Czuł bicie jej serca i myślał o krążącej w żyłach życiodajnej krwi.

Patrzyła na niego pytająco.

Powoli ułożył ją na łóżku i zrzucił wszystkie gazety. Spojrzała mu prosto w oczy, uśmiechnęła się, a potem przyłożyła palce do warg. Pochylił głowę, ich usta się zetknęły, oddychali równomiernie, pragnęli tego samego. Brennan lekkim ruchem rozpięła i zsunęła z ramion sukienkę. Pagan sycił się widokiem jej pięknych włosów, piwnych oczu oraz zapachem ciała; chciał, aby ta chwila trwała wiecznie.

Gdy wyszeptała jego imię, usłyszał szum oceanu w znalezionej na plaży muszli. Położył

twarz na jej piersiach i przez chwilę trwał w bezruchu. Nie ma co się spieszyć, zegary nie istnieją. Czuł zalew wrażeń - sutki twardniejące mu przy ustach, fascynujące żyłki biegnące pod skórą piersi i mały pieprzyk za uchem. Zauważył na poduszce błyszczące w świetle lampy pudełko czekoladek. Dziewczyna zdjęła mu z ramion płaszcz i marynarkę, odpięła guziki koszuli i wsunęła dłoń na nagą pierś. Gdy sięgnęła do sprzączki paska, wstrzymał

oddech. Czuł na skórze chłód jej dłoni. Miał wrażenie, że wyzwala się z kajdan niewoli, a ona jest jego oswobodzicielką.

- Frank - powtórzyła. - Frank.

Szepty, ciepły oddech, muśnięcia języka, kiedy ostatnio to przeżywał? Człowiekowi uważającemu samotność za sposób na życie wystarczy jedno wydarzenie, jedna zmiana, aby ujrzeć świat w innych kolorach i spojrzeć na wszystko z odmiennej perspektywy. Zatopił

twarz w jej włosach i smakował je ustami. Czuł napór jej bioder.

- Weź mnie - wyszeptała.

Tak, pomyślał, nie może być innego rozwiązania. Spojrzeli sobie prosto w oczy. W tej chwili byli sobie tak bliscy, że uznał całe swe życie od śmierci Roxanne za zwykłą stratę czasu. Przestał myśleć o tamtym małżeństwie, o starym smutku, o minionych cierpieniach i poczuł się jak nowo narodzony. Kiedy w nią wchodził, obok podniecenia ogarnęło go nagłe ukojenie i błogi spokój.

Przyłgnęła do niego mocniej, objęła nogami.

- O tak, Frank, wspaniale.

Gwałtowny wybuch namiętności, a jednocześnie powolność ich pieszczot urzekły Pagana.

Byli do siebie tak cudownie dopasowani, iż miał wrażenie, że są kochankami od dawien dawna. Ona utwierdzała go w tym przeświadczeniu, powtarzając szeptem jego imię i dążąc do usatysfakcjonowania go tak gorliwie, jakby miało to być najważniejsze wydarzenie w całych dziejach świata. Kiedy wspólnie osiągnęli orgazm, ich ciałami wstrząsnął równoczesny dreszcz. Nawet po zakończeniu mieli ochotę trwać w uścisku. Przez dłuższy czas leżeli w poczuciu intymności i milczeli. Byli jak ludzie, którzy uciekli przed obojętnym, istniejącym gdzieś na zewnątrz światem.

- Frank - powiedziała gładząc go po twarzy.

Wydawało mu się, że jeszcze nigdy w życiu nie słyszał swojego imienia wypowiedzianego w ten sposób. Akcentowała je tak, jakby było formą szyfru zrozumiałego tylko dla nich dwojga. Czy to nie miłość pozwala odkryć rozkosz wymawiania pewnych słów? Czy to nie miłość nadaje słowom nowe znaczenia i sprawia, że brzmią inaczej? Miłość, miłość, myślał w euforii.

- Chcę ci zadać dziwne pytanie. Obiecuj, że nie będziesz się śmiał.

- Obiecuję.

- Czy wierzysz w reinkarnację?

- W reinkarnację?

- Chyba postradałam zmysły, ale mam wrażenie, że już kiedyś musieliśmy się znać.

Uśmiechnął się.

- Może to i prawda - powiedział.

Ona miała całkiem poważną minę.

- Na pewno. Ja wierzę w poprzednie wcielenia. Czasem dzieją się dziwne i niesamowite rzeczy, a ja nie potrafię ich wyjaśnić.

- Ani ja. - Czy mógł uwierzyć w reinkarnację, poprzednie wcielenia i dusze zmarłych wędrujące przez wieczność? Tak, teraz byłby w stanie przewyciężyć grawitację i zatańczyć na księżycu. Miłość! Na litość boską, o czym on myśli? Przecież nie jest już dzieckiem i nie wierzy w miłość od pierwszego wejrzenia, która spada jak grom z jasnego nieba. Zdażył się na to uodpornić.

Poluźnili objęcia, ona oparła głowę na łokciu, a on położył się na wznak.

- Frank - powiedziała patrząc mu na twarz. - Wyjaśnij mi, jak to się stało. Co takiego jest między nami?

- Sam nie wiem. Wcale nie chcę tego analizować, bo wszelkie takie roztrząsania spłycają sprawę.

- Z innymi mężczyznami... - Zawahała się. - Nigdy przedtem nie zaznałam z nikim takiej...

bliskości. - Wyglądała na zafrapowaną jakimś nagłym problemem metafizycznym.

Słowa „z innymi mężczyznami” padły cieniem na jego uczucia. Czyżby był zazdrosny? Nie bądź naiwny, Frank, przed tobą oczywiście musieli być jacyś inni mężczyźni. Czego ty się spodziewasz?

Odwrócił wzrok i wpatrywał się w sufit. Przeżywał szok poorga-zmowy. Brennan ujęła dłonią jego penis, pociągnęła i znów stał się twardy. Wzięła go do ust i odgarnąwszy włosy z czoła, poruszyła głową.

- Chciałam cię spróbować - powiedziała. Odwrócił się i ujrzał na jej twarzy zdumiewającą szczerłość i młodość.

Usiadła na nim okrakiem, włosy spadały jej na twarz, biorąc go w siebie, odchyliła głowę do tyłu. Sam był zdumiony swoją gotowością. Obserwował napięte mięśnie na jej szyi, ruch małych piersi i intrygujący owal pępka. Skąd się biorą te zasoby pożądania?, myślał. Skąd u niego tyle wytrzymałości? Nie mógł oderwać od niej oczu, rozkoszował się jej przymkniętymi powiekami, rozchyłonymi ustami i posągową linią talii. Szczytując po raz drugi, czuł się poruszony do najgłębszych zakątków świadomości. Brennan upadła na niego bez ruchu i ciężko oddychała. Dotyk jej twarzy na ramieniu sprawiał mu rozkosz.

Długą chwilę panowała cisza.

- Opowiedz mi o swoim świecie - odezwała się. - I o swoim życiu.

- Co byś chciała wiedzieć?

- Wszystko jedno. Chcę, żebyś do mnie mówił.

Gdy Pagan zaczął opowiadać, nie mógł skończyć. Otworzył się jak człowiek na spóźnionej o wiele lat spowiedzi. Opowiadał o swoim małżeństwie, o pustce, jaka po nim zapanowała, o różnych kobietach, które przychodziły i odchodziły, o swojej pracy, o wrażeniach z tunelu metra, o zmasakrowanym pociągu, o terroryzmie i o wszystkim, co mu ciążyło na sercu. A ona z uwagą wpatrywała mu się w oczy.

- W porównaniu z twoim, moje życie wydaje się takie nudne - powiedziała w pewnym momencie. - Ty spotykasz tylu ludzi, masz do czynienia z różnymi typami, a jak upływa moje życie?

- Przede wszystkim twoje życie trwa zdecydowanie krócej niż moje - powiedział. Zdanie to odbiło się echem w jego myślach i trochę go przygnębiło. Dlaczego ta wspaiała młoda dziewczyna wybrała właśnie jego? Dlaczego oddała się jemu? Może nie ma w tym nic skomplikowanego, a rówieśnicy wydają jej się po prostu nudni i niedojrzali? Ale dlaczego akurat ja, zastanawiał się - czterdziestoparoletni gliniarz bez żadnych osiągnięć?

Pogładziła palcem jego wargi.

- Czy zawsze ścigaszą złych ludzi?

Słowo „złych” zabrzmiało w uszach Pagana niewinnie.

- Większość z nich to wariaci, których strach spotkać w ciemnej ulicy. Oprócz tego są jednak jeszcze błądzący fanatycy oraz indywidualiści, którzy stosując przemoc, zaspokajają swą potrzebę służenia jakiejś wspólnej sprawie. Właściwie trudno wyznaczyć między nimi wyraźne granice.

Cały czas gładziła go po wargach.

- A czy któryś z nich spodobał ci się albo ci zaimponował?

- Tylko Cairney - powiedział po chwili namysłu.

- Cairney?

- Tak. Patrick Cairney. Był z IRA i miał pseudonim Jig.

- Dlaczego ci się spodobał?

- Różnił się od pozostałych przede wszystkim tym, że nienawidził przemocy. Wznosił się ponad okrutny, nieumotywowany terrorizm, a poza tym był dobry w swoim fachu. Zawsze starał się ze wszystkich sił, aby nie ucierpiał nikt prócz tego, kogo obrał sobie za cel. Myślę, że można to zjawisko nazwać terroryzmem dyskretnym. Poza tym sądzę, że Jig miał wiele godności osobistej. Ściagałem go wiele miesięcy, pojechałem za nim nawet do Ameryki.

- I co się z nim stało?

- Został zabity. - Pagan nie chciał się rozwodzić nad tą kwestią. Nie chciał wspominać Jiga.

Pamiętał ostateczne starcie w rezydencji pod Nowym Jorkiem i skomplikowane relacje panujące w tym ponurym mauzoleum będącym domem ojca Cairneya - senatora USA i sponsora IRA - który z nostalgii za dzieciństwem spędzonym w Irlandii nazwał swą amerykańską siedzibę Roscommon.

- W jaki sposób?

- A co za różnica?

- Żadna. - Odgarnęła włosy z czoła. - Jestem tylko ciekawa.

- Zastrzeliła go macocha, paskudna kobieta działająca na kilka frontów jednocześnie.

Udawała sympatię do IRA, żeby wprowadzić w błąd męża, starego republikanina zbierającego w Stanach fundusze dla Sprawy. W rzeczywistości jednak powiązana była z lojalistami Ulsteru.

- Mieszają mi się już te różne strony irlandzkiego konfliktu - powiedziała marszcząc czoło.

- Nie tylko tobie.

- Co się stało z ojcem Jiga? - zapytała po chwili milczenia.

- Jego też zastrzeliła. Tak jak syna.

- Kobieta z charakterem.

- Tak, bez dwóch zdań. Cofnęła dłoń od jego twarzy.

- Opowiedz jeszcze o innych.

- Naprawdę chcesz tego słuchać?

- Chcę wiedzieć wszystko - powiedziała. - Wszystko, co się da.

Wiedzieć wszystko, co się da. Czy to możliwe? Kiedy w końcu przestał mówić i w pokoju zapadła cisza, na zegarze dochodziła siódma rano. Jak to się stało, że tak długo przesiedział w tym pokoju? Czas leci, nie czeka. Pagan czuł suchość w gardle, ale było mu lekko na sercu, bo od wielu lat nikomu nie spowiadał się z całego swojego życia.

- Jestem zmęczona. Nie odchodź, dopóki nie zasnę - powiedziała.

- Dobrze.

Wsunęła się pod kołdrę i zamknęła oczy. Pagan położył się, obejmując Brennan i rozmyślał

o jej życiu, o którym prawie nic nie wiedział. Uważnie wsłuchiwał się w rytm oddechu dziewczyny, a gdy uznał, że zasnęła, po cichu wstał. Ubrał się i na hotelowym papierze zostawił jej wiadomość: Kochana Brennan, jakoś się z tobą skontaktuję, Frank.

Wyszedł na korytarz.

Na dworze było zimno, a w okolicach Hyde Parku szalała ulewa, on jednak nie zwracał

uwagi na pogodę. Wsiadł do poobijanego ca-maró i pojechał w kierunku Soho i placu Golden.

Powrót do rzeczywistości, myślał. Ale ta rzeczywistość w dziwny sposób się zmieniała.

Na Piccadilly minął stację metra, otoczoną nadal policyjnymi taśmami. Kilku mundurowych policjantów stało beczynnie przy wejściu. Skręcił w boczną uliczkę z nadzieją uniknięcia ulicznego tłoku wokół Piccadilly Circus.

Czuł w sobie przyływ siły i energii. Wciąż myślał o Brennan Car-berry i najchętniej zawróciłby i pojechał z powrotem do hotelu Hil-ton, zatopił się w jej ramionach i trwał w takiej rozkoszy aż do

końca życia. Proszę, panie Nimmo, oto moja rezygnacja. Dziękuję i dobranoc. Wiedział jednak, że nie uczyni czegoś takiego. Zawsze każdą sprawę musiał

doprowadzić do końca i nigdy go nie kusiło, żeby rezygnować. Pokusy w twoim wieku, Pagan?, pomyślał. Powinieneś już trochę zmądrzeć.

Dlaczegoż by więc nie uznać incydentu z Brennan Carberry za miłą zabawę w łóżku i dać temu spokój? Co mu w tym stoi na przeszkodzie? W pewnym momencie swego życia człowiek jest bliżej końca niż początku i zaczyna wtedy pragnąć czegoś głębszego, prawda?

Jednakże próby wyobrażenia sobie przyszłości z Brennan Carberry spełzały na niczym i to go martwiło.

W pobliżu placu Grosvenor ujrzał mokrą od deszczu amerykańską flagę. Wielki orzeł z budynku ambasady błyszczał w świetle ulicznych latarni, które pomimo świtu paliły się nadal.

W kilku oknach widać było światła.

Pagan zaparkował samochód, wysiadł i podszedł do budynku. Z innego samochodu wyłonił się mężczyzna z aktówką i przeszedł obok stojącego na warcie żołnierza piechoty morskiej.

Pagan podążał wolnym krokiem i wyobrażał sobie wchodzących dawniej do budynku Bryce'a Harcourta i Ala Quartermana; żołnierz marines zza szklanych drzwi przyglądał mu się z ponurą czujnością.

Czemu nie?, pomyślał. Dlaczego by nie spróbować?

Ruszył po schodach na górę, wartownik ani drgnął. Dopiero kiedy Pagan dotarł do szklanych drzwi, naprężył się, przyciskając dłonie w białych rękawiczkach do ud, lecz wyraz jego twarzy pozostał taki sam. Pagan popchnął drzwi.

- Czym mogę służyć? - zapytał wartownik. Pagan wyjął z portfela legitymację Oddziału Specjalnego, a Amerykanin uważnie sprawdził fotografię.

- Chcę się widzieć z ambasadorem - powiedział Pagan, zaskoczony swym własnym zdenerwowaniem. Nie wolno tracić rezonu. Nie można zdradzać niepokoju.

- Ma pan wyznaczone spotkanie? - Wartownik oddał legitymację.

- Nie, nie mam, ale ambasador mnie przyjmie.

- Czyżby?

Pagan spojrział żołnierzowi przez ramię; na ścianie wisiała fotografia prezydenta oraz wskazówki kierujące do różnych biur. Do Działu Wiz, do Działu Kart Stałego Pobytu, do Działu Informacji, do Działu Doradztwa Obywatelom Amerykańskim. Gdzieś z oddali słychać było pracujący odkurzacz.

- Zasadniczo - rzekł wartownik - aby spotkać się z ambasadorem, trzeba mieć ustalony termin wizyty.

- Czy może mi pan wyświadczyć przysługę? - poprosił Pagan. - Proszę go powiadomić, że tutaj jestem, a sam pan zobaczy, co się stanie.

Sądząc po minie, Amerykanin miał ochotę odmówić, ale wskazał Paganowi krzesło i poprosił o oczekiwanie. Pagan usiadł, a on sprężystym krokiem zniknął za drzwiami. Ponieważ ambasada intensywnie promowała turystykę, pod nieobecność wartownika Pagan oglądał

prospekty zachęcające do odwiedzenia Florydy i obejrzenia Everglades oraz Wielkiego Kanionu.

Przed oczami zaczęły majaczyć mu fantazje, w których trzymając się z Brennan Carberry za rękę, oglądają górę Rushmore i kochają się na jachcie płynącym po jezioru w Minnesocie, podczas gdy na tle zachodzącego słońca przefruwa klucz dzikich gęsi. Kiedy on oglądał

kolorowe broszurki, do budynku zaczęły schodzić się sekretarki, recepcjonistki, a także niewiadomych funkcji mężczyźni w prochowcach. Ambasada budziła się do życia.

- Czy pan Pagan?

Podniósł głowę i ujrzał młodego, świeżo ogolonego i pachnącego wodą kolońską mężczyznę o bystrym spojrzeniu. Z identyfikatora wynikało, że nazywa się Peter Butterworth i jest wicekonsulem.

- Czy mogę zobaczyć pańskie dokumenty?

Pagan podał mu legitymację, a on porównał jego twarz ze zdjęciem.

- Proszę zrozumieć moją ostrożność, panie Pagan. O spotkanie z ambasadorem proszą czasem różni bardzo dziwni ludzie.

- Oczywiście - rzekł Pagan z porozumiewawczym uśmiechem. Butterworth przypiął

Paganowi identyfikator z napisem „Gość oficjalny”.

- Proszę za mną - powiedział.

Pagan wstał i poszedł za nim korytarzem z granatową wykładziną i ścianami przystrojonymi portretami byłych prezydentów. W równym szeregu wisieli obok siebie Roosevelt, Eisenhower, Harry Truman i Ford. Bez cienia wątpliwości było to terytorium amerykańskie i Pagan miał wrażenie, że prosto z Londynu przeniósł się do Stanów Zjednoczonych. Ciekawiło go, co by było, gdyby nagle skręcił i, wymykając się Butterworthowi, zaczął myszkować po korytarzach, otwierać drzwi i zaglądać do pokoi w poszukiwaniu śladów Grabarzy. Pewnie wybuchłaby panika, odezwałyby się alarmy i pojawili uzbrojeni komandosi piechoty morskiej.

- Tędy proszę - powiedział Butterworth, a gdy weszli do windy, nacisnął guzik. Jechali w milczeniu i wicekonsul tylko raz uprzejmie uśmiechnął się do Pagana. Z windy wyszli na inny korytarz, Butterworth otworzył jakieś drzwi, minęli starszą sekretarkę, która popatrzyła na Pagana bez cienia

zainteresowania na twarzy, po czym wicekonsul otworzył kolejne drzwi, lecz tym razem zrobił to z pewnym namaszczeniem.

Wreszcie znaleźli się w sanktuarium.

- Panie ambasadorze, oto Frank Pagan - powiedział Butterworth i zniknął.

William Caan wyszedł zza dużego biurka i długo, mocno i przyjaźnie uścisnął Paganowi dłoń.

- Oczywiście słyszałem o panu - powiedział z akcentem, który Paganowi kojarzył się z Harvardem: lekko przeciągając samogłoski.

Caan miał idealnie ułożone włosy i nieskazitelnie gładką skórę; bił od niego blask, jakby dopiero co wykąpał się w deszczówce.

- Przepraszam, że nie poprosiłem o wyznaczenie spotkania - powiedział Pagan, rozglądając się po gabinecie udekorowanym fotografiami przedstawiającymi w większości amerykańskie krajobrazy: góry Blue Ridge, pusta preria, czerwone skały Północnej Arizony.

- Nic nie szkodzi - powiedział Caan, wracając na swoje miejsce. - Proszę siadać.

Pagan zajął krzesło naprzeciw ambasadora.

- Chciałem złożyć kondolencje z powodu Ala Quartermana - powiedział. - To było dla mnie zupełne zaskoczenie. Czuję się odpowiedzialny. - Wiedział, że poruszając tę sprawę musi wygrać.

- Trudno pana o cokolwiek obwiniać - rzekł Caan. - Wykonywał pan tylko swoje obowiązki. Przecież prowadzi pan śledztwo.

- Wydawało mi się, że Al może mi dostarczyć pewnych informacji. - Lekko wzruszył ramionami. Wiedział, iż aby sprawdzić reakcję Caana, musi teraz wyłożyć karty na stół, odwołując się do swych podejrzeń na temat działalności prowadzonej dawniej w ambasadzie.

- Dyskutowałem już o tej sprawie z waszym sekretarzem spraw wewnętrznych oraz z panem Nimmo. Nasze spotkanie odbyło się w bardzo przyjaznej atmosferze, Frank.

O, już po imieniu, miły gest. Pagan spojrział ambasadorowi w błękitne oczy. Nagle wyobraził sobie Billa Caana w koszuli bez rękawów i krótkich spodenkach, jak siedzi przy grillu i widelcem odwraca kotlety, podczas gdy rodzina radośnie biega za piłką po trawniku.

Ambasador podniósł onyksowy przycisk do papieru i gładził go, jak gdyby w ten sposób chciał uspokoić nerwy.

- Słyszałem, że wypłynęło imię Carlotta?

Pagan pokiwał głową. Nimmo sporo musiał wygadać, na pewno mu zaufał. Komisarzowi

imponowało spotkanie z ambasadorem „tak, panie ambasadorze, nie, panie ambasadorze”.

- Byłem zaskoczony - mówił Caan. - Myślałem, że zaszyła się pod ziemią. Jesteś pewien, że to prawdziwa informacja?

- Mam istotne powody, aby tak uważać.

- Nie jesteś jednak w stu procentach przekonany.

-Nie.

- Rozumiem - odpowiedział Caan. Odłożył przycisk. - Jeśli znajdziesz Carlottę, może się rozpętać wojna. Poszukuje jej wiele służb i z całą pewnością my, Amerykanie, też się o nią upomnimy.

- Jasne, będziemy się musieli uporać także z tym problemem. - Pagan nie chciał wdawać się w rozmowę o Carlocie, chociaż zaintrygował go fakt, że Caan o nią pyta i w łagodny sposób zgłasza do niej swe prawa. Być może obawia się, że Carlotta ma zbyt wiele do powiedzenia. - Na czym polegało zajęcie Bryce'a Harcourta w ambasadzie?

- Był analitykiem, i to dobrym. Ale o tym na pewno już wiesz. Domyślam się, że podejrzewasz go o udział w jakichś innych przedsięwzięciach.

- Takie mam poszlaki - rzekł Pagan.

- Poszlaki często bywają mylne, Frank. Opierając się na nich, można na przykład wywazać cudze drzwi - powiedział z uśmiechem ambasador.

Boże, co za wspaniały uśmiech, pomyślał Pagan, taki otwarty, czarujący, przyjazny. Caan potrafiłby skłonić żebraka do naruszenia zapasu pieniędzy ukrywanych skrzętnie pod podłogą. To dla pana, panie Caan, proszę to rozdać biedakom.

- Frank, kieruję bardzo skomplikowaną instytucją. Mam tutaj departament bezpieczeństwa, handlu, imigracji i wiele innych. Szczycę się tym, że osobiście dokładnie wiem o każdej sprawie prowadzonej w każdym gabinecie tego budynku.

- Przecież ja temu nie zaprzeczam - rzekł Pagan. - Z pewnością jednak zrozumie pan też złożoność moich problemów, panie ambasadorze. Ktoś zamordował Quartermana, a ja nie wiem, ani kto, ani dlaczego. Ludzie nie giną bez powodu.

- Nie potrafię ci pomóc - odparł Caan. - Nie jestem policjantem.

- Zamierzałem zapytać Quartermana, co wie na temat życia Bryce^ Harcourta. Czy jest to wystarczający powód do zabicia człowieka?

- Żyjemy w skomplikowanych czasach, sam dobrze o tym wiesz. Nas, Amerykanów, często oskarża się o sprawy, z którymi nie mamy nic wspólnego. Na świecie pełno jest ludzi chowających do nas urazę, zresztą w wielu przypadkach uzasadnioną. Nie będę się teraz wdawał w te sprawy. Niemniej

jednak niektórzy ludzie szczerze nas nienawidzą, a czasami jesteśmy nawet celem nienawiści całych krajów. Nasi dyplomaci bywają porywani i mordowani. Skąd można wiedzieć, jaką urazę ktoś żywił do Quartermana? Był

Amerikaninem, a w dzisiejszych czasach zdarza się, że taki powód wystarcza do zabicia.

- Możliwe - rzekł Pagan. - Niepokoi mnie jednak zbieżność w czasie oraz to, że do morderstwa doszło w mojej obecności, gdy chciałem zadać pewne pytania. To poważny niepokój, panie ambasadorze.

Caan rozejrzał się po gabinecie, jakby chciał znaleźć jakiś przedmiot, który sprzątaczką przesunęła w inne miejsce.

- Frank, jestem równie mocno poruszony, jak ty. Zapewniam cię, tak samo jak przedtem zapewniałem sekretarza spraw wewnętrznych, że mam zamiar zbadać sprawę Harcourta i jego związki z Quartermanem. Jeśli znajdę coś niepokojącego, poinformuję cię odpowiednimi kanałami.

Odpowiednimi kanałami, pomyślał Pagan. To zupełnie nic nie znaczy. Kanały często bywają zapchane biurokratycznymi papierzy-skami. Nic mi po tym. Przez dłuższą chwilę przyglądał się ambasadorowi, który - trzeba mu to przyznać - potrafił płynnie mówić i sprawiać wrażenie, że rozmówca jest dla niego najważniejszą osobą na świecie.

Pagan zdecydował się na niebezpieczne zagranie. Cóż bowiem miał do stracenia?

- W automatycznej sekretarce Harcourta znalazłem pewną wiadomość.

- Po włamaniu do mieszkania - rzekł z uśmiechem ambasador.

- Było to ostrzeżenie dla Harcourta od jakiegoś Streika. - Postanowił bez owijania w bawełnę przejść do sedna. Twarz ambasadora nawet nie drgnęła.

- Jakiego rodzaju ostrzeżenie?

No dobrze, rzucimy piłkę i zobaczymy, na ile ten Caan potrafi grać.

- Streik radził Harcourtowi trzymać się z daleka od Grabarzy. Stało się. Piłka w grze.

- Od Grabarzy?

Pagan rozparł się na krześle i obserwował Caana, który wstał -być może odrobinę zbyt gwałtownie - i obszedł biurko. Oparł się o blat i skrzyżował nogi. Paganowi wydawało się, iż dostrzegł w jego twarzy drobną, trudną do określenia zmianę, lecz być może było to tylko złudzenie. Tak czy inaczej ambasador wydawał się nieco podenerwowany. Nagle złudzenie przysło, a Caan szeroko się uśmiechnął.

- Frank, zdaje się, że ktoś cię nabrał.

- Jak to?

Caan z rozdrażnieniem pokręcił głową.

- Ci cholerni Grabarze to nonsens, z którym już dawno się uporałem. Przynajmniej tak mi się wydaje.

- Czyżby? - Pagan miał uczucie, że sytuacja odwraca się na jego niekorzyść, a wszelka inicjatywa może ją tylko pogorszyć.

- Kiedyś ciągle słyszałem plotki na temat jakiejś działającej tutaj grupy złoczyńców.

Podobno maczali palce w nieczystych sprawach. Rzekomo nazywali siebie Grabarzami. W

każdym razie kiedy ja objąłem stanowisko, zrobiłem dokładną czystkę. Teraz to już żaden sekret, że niektórzy dawni pracownicy ambasady... - Caan pochylił się konfidencjonalnie i położył Paganowi rękę na ramieniu. - Powiedzmy, że istniały pewne związki pomiędzy dyplomatami a owymi nieczystymi sprawami, i tak to zostawmy. Oni wcale nie łamali prawa, Frank. Oni bronili amerykańskich interesów, których nie można bronić na drodze dyplomacji.

Ale zapewniam cię, że teraz w tym budynku nie działa żadna organizacja pod nazwą Grabarze. Masz na to moje słowo.

Dobry jest, pomyślał Pagan, w jednej okrągłej wypowiedzi potwierdził istnienie nieformalnego ugrupowania działającego kiedyś na terenie ambasady, a jednocześnie zaprzeczył istnieniu Grabarzy, traktując ich jak wymysł oszczerców. Paganowi wydawało się, iż jest przedmiotem doskonałej manipulacji.

- No to jak traktować ostrzeżenie Streika? Jako kiepski żart?

- Jako żart, jako złośliwość, jako powtórzenie plotki. Nie znam tego Streika, więc trudno mi powiedzieć cokolwiek o jego motywach.

Pagan spojrział ambasadorowi w oczy. Jego zręczność imponowała mu, ale po każdej sztuczce nadchodzi moment zastanowienia się nad jej zasadą i wówczas prawda wychodzi na jaw. Zagrania Caana były w gruncie rzeczy zbyt tandetne i płytkie, przypominały sekreta-rzyk z laki pełen ukrytych drzwiczek i tajnych skrytek. Pagan chętnie dobrałby się do niego z siekierą w dłoni.

- Chyba powinienem obrać inny kierunek śledztwa - powiedział i podniósł się z krzesła. -

Dziękuję za poświęcony mi czas.

- Grabarze - powiedział Caan, kręcąc głową. - Nie do wiary, że jeszcze ktoś o nich pamięta.

Przy drzwiach uścisnął Paganowi rękę.

- Frank, gdybyś czegokolwiek jeszcze potrzebował, moje drzwi stoją przed tobą otworem.

- Dziękuję.

Od sekretariatu do wyjścia znów eskortował go Butterworth. Na placu Grosvenor Pagan wsiadł do samochodu, ostatni raz rzucił okiem na ambasadę i odjechał. Nie ujechał pół

kwartału, gdy w przednią szybę uderzył gołąb i z trzepotem skrzydeł ześlizgnął się w bok.

Pagan zastanowił się, czy ma to być jakiś omen, a jeśli tak, to jaki.

O godzinie dziesiątej nieopodal Trafalgar Square w wiktoriańskim pubie Foxworth spotkał

się z Alistairem McLarenem z MIS. Zeszłego wieczoru w pubie Soho czekał na niego godzinę, ale McLaren, mający słabe poczucie czasu i rzeczywistości, nie pokazał się, i teraz solennie przeproszał, opowiadając pijacką historyjkę zaczynającą się od przyjęcia w greckiej dzielnicy, które przekształciło się dziwnie w inną imprezę w Wimbledonie, a potem, wiadomo jak to jest, człowiek przestał panować nad sytuacją... McLaren najwyraźniej pił przez całą noc. Nigdy nie upijał się do upadłego i zawsze był wtedy wesoły i zycziwy dla świata. Miał

przekrwioną twarz i rozrośnięte, krzaczaste brwi, czym przypominał niedźwiedzia.

Przytrzymał się mosiężnej balustrady barku i często w środku zdania, jakby poszukując w sobie resztek trzeźwości, zamykał oczy.

Pijacka kariera McLarena trwała już dość długo i obejmowała pobyty w szpitalach, leczenie w ośrodkach terapeutycznych i na oddziałach odtrucić, a także członkostwo w klubach Anonimowych Alkoholików i inne tym podobne incydenty. Utrzymał się w pracy jedynie dzięki rozległym znajomościom oraz dzięki temu, że ludzie darzyli go sympatią i traktowali jak równego gościa. Nie dopuszczano go do poważniejszych spraw i miał wyraźnie ograniczony zakres obowiązków. Z roku na rok upadał coraz niżej, lecz prawdopodobnie tak się już stoczył, że wcale nie zdawał sobie z tego sprawy. Gdyby pozbawić go wszystkich oficjalnych tytułów, okazałby się zwykłym urzędnikiem uzupełniającym akta.

- No, jak tam Foxie, staruszk, co u ciebie słyhać? Wciąż w niewoli u Pagana?

- Cały czas - odparł Foxworth i zamówił dla siebie brandy, a dla McLarena szkocką.

- Nie mogę znieść tego Pagana - rzekł McLaren.

- Nie jest to człowiek twojego pokroju - odparł Foxie. McLaren pokręcił potężną, niekształtną głową.

- Mój drogi, tu w grę nie wchodzi klasa człowieka. Nie, nie, nie, klasa jest passę. Nie słyzałeś? Wszystkie te bzdury poszły już w diabły. - Wykonał gest przypominający wypuszczanie ptaszka z klatki. - Pagan mnie denerwuje z innych powodów. Ja lubię takich facetów, co potrafią się zabawić. Takich, co umieją cieszyć się życiem.

- Przypuszczam, Alistair, że Pagan ma własną definicję radości. McLaren odstawił jedną szklanę i chwycił za następną.

- Powiem ci jedno. Nie chciałbym zasiadać z nim do kielicha.

- Sam nie wiem. Czasami bardzo przyjemnie spędzałem czas w jego towarzystwie.

- Nie mogę sobie wyobrazić, żeby w towarzystwie Pagana mogło być przyjemnie -

powiedział McLaren. - Podobno ma świra na punkcie starego rock and rolla, a to już o czymś świadczy. On żyje przeszłością, nie idzie z duchem czasu, zasklepia się w historii. - Strzelił

palcami sugerując, że Pagan jest przeciwieństwem jego samego, a więc człowieka żyjącego chwilą i będącego we wszystkim na bieżąco.

Opierając się chęci bronienia Pagana, Foxie nic nie powiedział, bo chciał jak najszybciej opuścić pub. Spróbował brandy i odstawił kieliszek na bok. McLaren przetrząsał kieszenie tweedowego garnituru w poszukiwaniu papierosów. Znalazł kawałek ułamanego peta, zapalił

i, choć ledwie mógł go utrzymać, zaciągnął się chciwie.

- Na zdrowie - powiedział, gdy w końcu wypalił papierosa. - A więc masz do mnie prośbę, tak?

- No właśnie - rzekł Foxie.

- Wkurzające już są te wszystkie wewnętrzne przepychanki, co? Jeden wydział ma pretensje do drugiego, ty jesteś po jednej stronie, a ja po drugiej, ten oddział wywiadu spiera się z innym i tak dalej, i tak dalej. Szersza współpraca wyszłaby nam wszystkim na dobre. Co by komu przeszkadzała odrobina kooperacji? Przecież stoimy po tej samej stronie, no nie?

- Masz rację.

- Działamy pod jedną flagą, mój chłopcze. Może ostatnio trochę się złachmaniła, ale to nadal nasza flaga.

McLaren zaczął grzebać w przepastnych kieszeniach i wyciągać na wierzch rozmaite drobiazgi - monety, zapalki, celofanowe paski, okruchy tytoniu.

- Po twoim telefonie przejrzałem akta i chyba coś dla ciebie znalazłem. Możesz zająć się tym, póki szukam? - Skinął na pustą szklaneczkę. Foxie mimo wewnętrznego sprzeciwu wobec beznadziejności życia McLarena postawił mu podwójną whisky.

- Dziękuję. Zaraz ci znajdę. - McLaren napił się i zgarnął do kieszeni wyjęte na blat drobiazgi. Foxworth z niesmakiem spojrział na kupkę śmieci, a McLaren penetrował drugą kieszeń, wyciągając z niej następną porcję drobiazgow, między innymi kawałki kart z zawodnikami baseballa.

- Po co ci, na litość Boga, kartki z baseballistami? - zapytał Foxie.

- To moje stare hobby. Gdy nie zdałem do Cambridge i ojciec wysłał mnie na studia do Yale, zachwyciłem się tą grą, a także hot dogami, colą i wesołymi wieczorami. Ach, to były czasy. -

McLaren oblizwał usta. - Tęsknię za tym wszystkim. Brakuje mi tej odrobiny próżniactwa. Ameryka to naprawdę spełnienie snów.

McLaren zabrał się za kieszenie spodni.

- O właśnie, znalazłem. - Wyjął zmiętą kartkę papieru i uśmiechnął się z triumfem. -

Proszę, to dla ciebie. - Podał kartkę Foxiemu. -Zaciekawiło mnie - mówił - że zainteresowaliście się tym Streikiem. - Chcąc w ostatniej chwili powstrzymać czknięcie, przyciągnął podbródek do piersi. - Od czasu do czasu dostarczał CIA informacje z Pragi, a czasem z Warszawy. Kilka razy wykorzystaliśmy go we wspólnych akcjach. W każdym razie pozostaje nieuchwytny, trudno ustalić, gdzie przebywa. Ostatnio mieszkał na Manhattanie.

Foxie spojrzał na kartkę z beużytecznym - z powodu zniknięcia Streika - adresem 23 East Street. Słowa „Nowy Jork” wypisane były koślawo, co świadczyło o dręczącym McLarena kacu.

- A to co? - zapytał Foxie.

McLaren zmrużył oczy i spojrzał na kartkę.

- A tak, Audrey Roczak.

-Kto?

- Współpracownica Jacoba Streika z Pragi i Warszawy. Byli sobie bardzo bliscy, przyjaźnili się. Może nawet coś więcej, jeśli wierzyć plotkom. Możesz spróbować poszukać Streika przez nią. Mieszka w Lyonie.

- Masz jej adres?

- Niestety. Wiem tylko, że mieszka w Lyonie. Ale powinieneś bez trudu ją odnaleźć.

Foxie skinął głową i odszedł od baru, zostawiając prawie nietknięty kieliszek brandy.

- Chyba jeszcze nie idziesz, co? - McLaren był najwyraźniej wstrząśnięty perspektywą samotnego picia.

- Muszę, Alistair.

- Nie masz litości.

Foxie wzruszył ramionami. Wezwał barmana, zamówił dla McLarena kolejną podwójną szkocką i wyszedł z pubu.

Pagan stał w gabinecie przy oknie i wyglądał na plac. W świetle szarego smutnego dnia widok przypominał jakieś przygnębiające miasto Europy Wschodniej. Brakuje tylko pomnika Lenina, pomyślał. Starając się stłumić wrażenie, jakie zrobiła na nim przebiegłość ambasadora, zastanawiał

się nad tą poranną wizytą. „Słyszałem plotki na temat jakiejś działającej tutaj grupy złoczyńców. Podobno maczali palce w nieczystych sprawach. W tym budynku nie działa żadna organizacja pod nazwą Grabarze". Pierwsze zdanie było poufnym potwierdzeniem i zostało wypowiedziane tylko po to, aby uwiarygodnić drugą informację.

Caan zastosował ten chwyt retoryczny w sposób najdoskonalszy z możliwych.

Jednakże Pagan nie dał się nabrać. Rozpaczliwy, pełen strachu głos Streika brzmiał dla niego bardziej przekonująco niż elokwencja Caana. Nie wziął poważnie także tego, jak ambasador wytłumaczył ostrzeżenie Streika.

Przycisnął czoło do szyby, a jego myśli podryfowały od Caana do Brennan Carberry, do stłuczki i do spotkania na bulwarze. Dziewczyna nie tylko uszkodziła mu samochód, lecz także poruszyła serce i sprawiła, że na niczym nie mógł skupić rozbieganych myśli. Pojawiła się znikąd, zawładnęła jego sercem i nagle stracił grunt pod nogami - nie potrafił odczytać własnych myśli, nie znał jej zamiarów, nie wiedział, czy jest dla niej tylko urlopową miłostką, czy też zanosí się na poważniejszy związek i zmianę w życiu...

Odszedł od okna, przesunął dłonią po twarzy, zmarszczył brwi i podniósł słuchawkę telefonu. Wykręcając numer, czuł niechęć do samego siebie i smutek z powodu utraty w życiu rzeczy najistotniejszej - zapomniał bowiem, co znaczy zaufanie do drugiej osoby. Zmusił się do odłożenia słuchawki. Frank, nie rób tego, pomyślał. Niech będzie, jak jest, i obserwuj, jak sprawy potoczą się dalej. Jednak ręka odmówiła mu posłuszeństwa, znów sięgnęła po słuchawkę i tym razem Pagan bez wahania wykręcił cały numer. Telefon dzwonił bardzo długo, wreszcie ktoś odebrał. Pagan przedstawił się.

Usłyszał w słuchawce mrukliwy głos wyrwanego ze snu Artiego Zuborica.

- Pagan, wiesz, która godzina?

- Około piątej rano.

- Do jasnej cholery, od pięciu czy sześciu lat nie dajesz o sobie znać, a teraz budzisz mnie w środku nocy? Lepiej, żebyś miał poważny powód.

Pagan zawahał się. Możesz jeszcze odłożyć słuchawkę, myślał. Przepróś Zuborica, zostaw telefon w spokoju i zapomnij, że w ogóle coś takiego przyszło ci na myśl.

- Pagan, ja czekam - burknął Zuboric, który nawet o bardziej przyzwoitych porach nie grzeszył uprzejmością.

- Mam prośbę.

- Małą czy dużą?

- Małą - odparł Pagan.

- Mów. - Zuboric wysłuchał prośby, a potem zapytał: - To wszystko?

- Wszystko.

- I po toś mnie, kurwa, budził? Oddzwonię.

Połączenie zostało nagle przerwane i Pagan odłożył słuchawkę. Dręczony wątpliwościami wrócił do okna. No dobra, już po wszystkim, teraz Zuboric się odezwie. Czuł się jednak jak zdrajca, miał moralnego kaca, jakby zrobił coś niedozwolonego. Można jeszcze raz zadzwonić do Zuborica i wszystko odwołać.

Wyjrzał przez okno. Na placu, patrząc w okno jego gabinetu, stał mężczyzna w ciemnozielonym płaszczu. Przez moment patrzyli sobie w oczy, a potem tamten wyjął spod poły płaszcza pistolet, podniósł go wyprostowaną ręką i wycelował prosto w okno.

Wstrząśnięty Pagan ledwie usłyszał odgłos dwóch wystrzałów, a zanim zdążył zareagować, na głowę posypały mu się okruchy szkła, kawałki betonu i drzazgi nadgniłej framugi.

Zamachowiec pobiegł przez plac w stronę ulicy James.

Pagan rzucił się do szuflady biurka, wyciągnął pistolet Bernardel-li, zbiegł schodami w dół

i wypadł na dwór, kierując się w tę samą stronę co napastnik. Mężczyzna w zielonym prochowcu nie pozostawił jednak po sobie ani śladu - zniknął pomiędzy ludźmi zmierzającymi w kierunku Piccadilly Circus.

Pagan jednak, rozglądając się na boki i przepychając przez tłum, biegł dalej. Nie zważał na zdziwione spojrzenia, jakimi ludzie obrzucali pistolet w jego dłoni. Większość schodziła mu z drogi, podejrzewając, iż mają do czynienia ze zbiegłym szaleńcem.

Na Piccadilly Circus musiał zrezygnować. Wśród tłumu taksówek, autobusów, samochodów osobowych i pieszych przechodniów nie sposób byłoby odnaleźć nikogo. Pagan poszedł w stronę wlotu ulicy Regent i mijając ulicznego sprzedawcę, dojrzał w porannej gazecie nagłówek artykułu złożony tłustym drukiem: **TERROR W BERLINIE**. Niewiele obszedł go ten tytuł, ponieważ cały czas myśląc o człowieku w zielonym płaszczu, przypominał sobie pościg ulicami Mayfair za zabójcą Quartermana.

Zanim odszedł, spojrzął na posąg Erosa, który w dziennym świetle zdawał się blaknąć.

Londyn

Jesteś pewien, że to ten sam? - zapytał Foxworth.

- Na sto procent nie, bo nie widziałem go od przodu, gdy strzelał do Quartermana, ale jestem przekonany, że to on.

Pagan i Foxworth siedzieli w pubie przy ulicy Beak. W środku panował typowy dla południowych

godzin zgiełk. W powietrzu unosił się zapach sosów, piwa, mokrych parasoli i siarki ze spalonych zapalek. Chociaż to Pagan zaproponował wyjście na lunch, teraz odłożył

na talerz zjedzoną do połowy kanapkę z tuńczykiem, ponieważ ryba z majonezem smakowała mu jak sierść jakiegoś zwierzaka.

- Ciekawy zbieg okoliczności, prawda? - powiedział. - W godzinę po rozmowie z Williamem Caanem ktoś próbuje mnie zastrzelić. Foxie napił się jasnego piwa z małej szklanki.

- Caanowi nie podoba się kierunek, w jakim zmierza śledztwo...

- Dlatego chce... chce je przerwać. - Chociaż strzały z pistoletu wstrząsnęły Paganem, mówił spokojnie. Gdyby strzelec podszedł choćby odrobinę bliżej....

- A może chciał ci tylko przekazać ostrzeżenie.

- Rozsądna hipoteza.

- Od Grabarzy.

- To znów ciekawa hipoteza.

W drodze na lunch Pagan opowiedział partnerowi o rozmowie z Burrem, spotkaniu z Caanem i o nieprzekonywującej informacji na temat Grabarzy i teraz Foxie rozpatrując nowe fakty, miał wrażenie, że krąży na karuzeli, na której co chwila pojawiają się nowe wirujące koła.

Przez dłuższą chwilę Pagan milczał, wsłuchując się w gwar głosów, szczęk sztucców i w opowiadany przez kogoś kiepski dowcip.

- Sam nie wiem. Możliwe, że facet chciał mnie tylko postraszyć i przystopować.

Wziął szklankę ze szkocką, posmakował i whisky wydała mu się strasznie wodnista.

Usłyszał w głowie odległe echo wystrzałów.

- Zarysowuje mi się pewna koncepcja. Otóż gościem, który wynajął Carlottę, mógłby być na przykład Caan - powiedział.

- Tylko że musiałby być niezwykle ostrożny i uważny, bo bezpośredni udział nie wchodzi w rachubę.

- Nie mówię, że zadzwonił do Carlotty ani że spotkał się z nią osobiście. Mógł się trzymać o sto lat świetlnych od niej i nawet nie kiwnąć palcem w jej stronę. Nie ufam mu, ale nawet przez chwilę nie uważałem, że stoi bezpośrednio za Carlottą. Musi być pomiędzy nimi jakiś pośrednik. Wyobraźmy sobie, że Caan chce się pozbyć Har-courta, a jednocześnie nie chce, żeby Grabarze zabijali jednego ze swoich. Nie życzy sobie, żeby to była robota wewnętrzna, bo woli zachować tajemnicę i wynająć mordercę nie mającego żadnych powiązań z Grabarzami. Dlatego kontaktuje się z osobą trzecią, która z kolei angażuje Carlottę... Być może nawet bez jego wiedzy i zgody.

Pagan wiedział, że rozumowanie to oparte jest na nikłych przesłankach. W głowie bez przerwy pojawiały mu się mniej lub bardziej logiczne wytłumaczenia.

- Nawet jeśli nie było tak, jak mówimy, to niewątpliwie musimy wycisnąć z Caana jak najwięcej informacji. Ja miałem wszystko przekazywać George'owi, on wzię! na siebie obowiązek donoszenia o wszystkim Caanowi, a kiedy Caan uznał ten sposób za niewystarczający do uzyskania kontroli nad śledztwem, postanowił usunąć mnie z drogi.

- Jeśli nadal mają cię na muszce... - Foxie nie dokończył.

- To ciebie również.

- Błyskotliwa konkluzja - rzekł Foxie. - I wspaniałe perspektywy.

- Ani przez chwilę nie wątpiłem, że jeśli będziemy sprawiać im kłopoty, spróbują jeszcze raz. Z całą pewnością jesteśmy obserwowani.

Pagan odsunął kanapkę, westchnął i rozejrzał się po zatłoczonym barze. Z wyglądu trudno wywnioskować, kto jest potencjalnym mordercą. Mężczyzna przy kości wciśnięty w kąt i zajadający widelczykiem ciasto? Zwijający skręta długowłose chłopak w skórzanej kurtce? A może roześmiana dziewczyna przy wejściu? Tego się nie da ustalić.

Wyjął z kieszeni skrawek papieru, który Foxie dostał od pijanego McLarena, i przyjrzał mu się uważnie.

- A co do Streika, to mamy niejaką Audrey Roczak z Lyonu, która według McLarena z nim współpracowała.

- Alistair sugerował też, że mogli nawet być dla siebie kimś więcej niż tylko współpracownikami. Pracowali na zlecenie w czasach zimnej wojny. Byli łącznikami.

- Można wierzyć w informacje McLarena?

- Raczej tak.

- Lyon mocno zawęża obszar poszukiwań. Przynajmniej geograficznie.

- Tak, tylko że Audrey Roczak nie odbiera telefonu - powiedział Foxie.

- Byłeś kiedyś w Lyonie? Foxie pokręcił głową.

- Chociaż zawsze w dziwny, niewytłumaczalny sposób coś mnie tam ciągnęło - powiedział.

- Podczas naszej nieobecności całym bałaganem może się zająć Billy Ewing - powiedział

Pagan.

- To się nie spodoba komisarzowi.

- Zanim o tym się dowie, będzie już za późno na pretensje. - Wstał i zderzył się z ubranym w mokry płaszcz, palącym papierosa mężczyzną, który natychmiast zaczął go przesadnie przeproszać. Pagan rozejrzał się po ludziach i poszedł do drzwi. Czuł unoszącą się ponad wszystkim aurę beznadziei - ludzie mieli miny żałobników czekających na wniesienie nieboszczyka, z którym niewiele ich łączyło.

Spojrzał na stojący nad barem mały telewizor z wyłączonym głosem. Na ekranie po płycie lotniska kołował samolot, zatrzymał się, otwarto drzwi i ze środka wyszła grupa ubranych w czarne płaszcze mężczyzn o wyprostowanych sylwetkach, charakterystycznych dla wszystkich ochroniarzy świata. Potem z samolotu wyłonił się Władimir Gurienko i podtrzymywany przez świtę ruszył schodkami w dół. Machał ręką do ludzi, uśmiechał się do kamery, a wiatr rozwiewał mu potargane włosy. Na dole przywitał się z otyłym premierem o wyrazie twarzy tak cnotliwym, że miało się wrażenie, iż człowiek ten wie o bardzo ponurem życiu. Pagan nie darzył sympatią tego byłego prawnika, członka parlamentu i partyjnego przywódcy, czuł za to pewien podziw dla Rosjanina. Przyznawał się do tego niechętnie, albowiem mimo wszystko Gurienko był politykiem, a więc już to samo przez się stanowiło skazę na jego osobowości. Niemniej jednak Pagan uważał go za coś więcej niż tylko produkt zniedołężniałej polityki rosyjskiej, a mianowicie za człowieka odważnego, wizjonera, mającego silną osobowość oraz - tak, tak - duszę, czym różnił się korzystnie od większości półgłówek stojących na czele rządów z całego świata. Pamiętał słynne zdjęcie Gurienki z Placu Czerwonego, zrobione tuż po zamachu przeprowadzonym przez grupę odsuniętych od władzy generałów i zwolenników twardej linii w polityce; fotografia przedstawiała go z zakrwawionym bandażem na głowie, rewolwerem w dłoni i wściekłością na twarzy. Pagan uważał za nieprawdopodobne, aby Gurienko rzeczywiście strzelał podczas tych wydarzeń, podobała mu się jednak symboliczna wymowa tej typowo rosyjskiej postawy. Scenka ta dawała pojęcie o determinacji, z jaką Gurienko zamierza trzymać się w przyszłości kierunku obranego przez swój kraj. Premiera brytyjskiego rządu w żaden sposób Pagan nie potrafił

sobie wyobrazić z pistoletem w dłoni.

- Komuch zawsze będzie komuchem - powiedział jeden z klientów pubu, z fajką w zębach.

- Zapamiętajcie to sobie. - Spojrzał zaczepnie na Pagana, jakby chciał wszcząć typową knajpianą dyskusję prowadzącą donikąd. - Ludzie w jego kraju nie mają co jeść, nie mają czym się ogrzać zimą, a on jeździ sobie po Europie jak jakiś zaki-chany monarcha. Kogo on zgrywa, co? Co on sobie myśli?

Pagan nie miał zamiaru wdawać się w jałową dysputę. Oderwał wzrok od telewizora, wyszedł z pubu i na mokrej ulicy postawił kołnierz płaszcza.

- Foxie, zarezerwuj bilety na najbliższy lot. Muszę tylko zapakować przybory toaletowe na wypadek, gdybyśmy zostali w Lyonie na noc. Jak będziesz gotowy, przyjedź po mnie. Aha, pamiętaj powiedzieć Ewingowi, że przejmuje dowodzenie.

- Frank, jesteś pewien tego posunięcia? To dość poważna sprawa.

- A czy oprócz Jacoba Streika mamy jakieś poszlaki?

-Nie.

- No właśnie. -1 odchodząc dodał: - Uważaj na siebie.

- Zawsze uważam. - Foxie dziarskim krokiem poszedł w dół ulicy Beak, a Pagan skierował

się ku parkingowi, gdzie wcześniej zostawił samochód. Zanim wszedł, obszedł camaro dookoła, ukląkł, by obejrzeć podwozie, sprawdził koła. Nie znalazł żadnych śladów włamania, żadnych ukrytych ładunków ani żadnych uszkodzeń, więc otworzył drzwi, wszedł i po chwili wahania przekręcił kluczyk w stacyjce. Samochód zapalił od razu.

Pojechał do Holland Park, wszedł do budynku i, mijając mieszkanie panny Gabler, usłyszał zza drzwi chóralne śpiewy odtwarzane z płyty na staroświeckim gramofonie. Szybko wbiegł

po schodach, wszedł do mieszkania i zatrzasnął za sobą drzwi. W garderobie odszukał

skórzaną torbę i zapakował do niej dwie koszule, bieliznę i skarpety. Z łazienki przyniósł

grzebień oraz pastę i szczoteczkę do zębów. W pokoju gościnnym podszedł do okna i ostrożnie wyjrzał zza zasłony. Na szarej ulicy nie było nikogo, a przynajmniej nikogo nie było widać. Oczywiście ktoś mógł siedzieć w zaparkowanym samochodzie albo prowadzić obserwację spośród bezlistnych drzew parku - tego nie dało się stwierdzić. Pagan podniósł

słuchawkę, wykręcił numer do hotelu Hilton i poprosił o połączenie z pokojem Brennan.

Odebrała po drugim sygnale.

- Właśnie się kąpałam - powiedziała zdyszczonym głosem. - Wiedziałam, że będziesz dzwonił. Kiedy się spotkamy? - Poruszyło go szczere pragnienie w jej głosie.

Milcząc przez chwilę, wyglądał przez okno. Wydawało mu się, że coś jest nie tak, choć zupełnie nie wiedział, skąd się to wrażenie bierze. Spojrzał na biblioteczkę zawierającą głównie wydania kieszonkowe oraz oprawione w skórę tomiki poezji, własność Roxanne.

Ilekcję je otwierał, co nie zdarzało się ostatnio często, książki wydzielają zapach stęchlizny.

Z telefonem w ręku podszedł do kuchennych drzwi i uchylił je energicznie. Nad zlewem paliła się lampka rzucająca blask na całe pomieszczenie. Nie pamiętał, czy zostawił ją włączoną. Z jakichś niewytłumaczalnych powodów zaniepokoiły go równo i zwyczajnie poustawiane naczynia na suszarce.

- Halo? Frank? Zasnąłeś?

- O, przepraszam, zamyśliłem się.

- Wszystko u ciebie w porządku?

- Tak, tak - skłamał. I to nie tylko z powodu zamachu na jego życie, ale także ze względu na dręczące go wątpliwości i telefon do Artiego Zuborica.

- Kiedy się spotkamy?

- Wyjeżdżam na parę dni - odpowiedział. - Chociaż wcale mi się to nie podoba.

- Rozumiem. Taka praca.

- Chcesz wiedzieć, co wolałbym robić? Mam ci powiedzieć? - Zamknął oczy.

- Powiedz.

- Chciałbym wejść do twojego pokoju, zamknąć drzwi na klucz i powoli, bardzo powoli, najwolniej jak się da, delikatnie, tak, żebyś wcale nie poczuła, zdjąć z ciebie wszystko...

- To mnie podnieca - powiedziała.

- Więc połóż się na łóżku i dogadżaj sobie, a i mnie doprowadzisz do szaleństwa.

- Frank, przewody telefoniczne zaczynają płonąć.

- Nie tylko one. - Poczuł, że ma erekcję i wydało mu się, że nagle odmłodził. Nie zwykł

prowadzić takich rozmów i wyobrażać sobie takich obrazów. Rzadko zachowywał się jak telefoniczny erotoman w zdewastowanej budce telefonicznej.

- Dotykam się - powiedziała.

Wyobraził sobie, jak leży naga, może z narzuconym płaszczem kąpielowym, z włosami swobodnie zapiętymi spinką i kilkoma kosmykami opadającymi na twarz.

- Niesamowicie na mnie działasz - powiedziała.

- Nie rozpieszczaj mnie.

- Rzecz w tym, Frank, że sama też się pieszczę.

Wyrzał przez okno na niewielki park z oczekującymi wiosny pustymi rabatkami i ogołocionymi z liści wierzbnami. Życie powinno być o wiele prostsze, pomyślał. Wszystko powinno się układać, cienie powinny zostać rozjaśnione, a wątpliwości rozwiane. Nad wszystkim mógłby panować rozsądek. Niestety, sprawy wyglądają inaczej.

- Wrócę z Francji jak najszybciej.

- Z Francji? Zazdroszczę ci.

- Nie ma czego. Obiecuję, że kiedyś zabiorę cię do Paryża.

- I będziemy spacerować po bulwarach, trzymając się za ręce.

- Oczywiście. Obiecuję.

- Frank - odezwała się i na chwilę zamilkła. - Powiedz, że to nie zabawa. Powiedz mi, że to coś więcej niż tylko przelotny romans.

- Tak, to naprawdę coś więcej - odrzekł. Muszę zadzwonić do Zuborica i powiedzieć, żeby zapomniał o mojej prośbie. Chyba jeszcze nie jest za późno.

- Nie zniosłabym rozczarowania. Nie poradziłabym sobie ze złamanym sercem.

- Nie będzie żadnych rozczarowań ani złamanych serc. Obiecuję ci.

Kiedy odłożył słuchawkę, ogarnęła go przemożna chęć, by jeszcze raz zadzwonić do Brennan i wszystko wyjaśnić, ale zamiast tego z dziwną pustką w duszy zaczął się przechadzać po mieszkaniu. Ocknął się zadumany przy warczącej lodówce.

Coś z tą kuchnią jest nie tak, pomyślał. Coś tu się zmieniło. Otworzył szuflady. Noże i widelce leżały tam, gdzie powinny, łyżeczki zajmowały swoją przegródkę, wszystko pozostawało tak, jak zawsze. A jednak... nie mógł sobie uzmysłwić, co go niepokoi. Nie potrafił uchwycić tej rzeczy. Być może chodziło tylko o włączone światło nad zlewozmywakiem? Czyżby poprzedniego wieczoru, wyjeżdżając w pośpiechu z domu, zapomniał je wyłączyć? Może to tylko rozbudzona wyobraźnia sugeruje, że podczas jego nieobecności ktoś tutaj był i przeprowadził profesjonalną rewizję w poszukiwaniu nie wiadomo czego? Wzdrygnął się na myśl, że Bryce Harcourt czuł się podobnie, opowiadając Yictorii Canningsby, że jest śledzony, obserwowany i że gnębią go jakieś niejasne podejrzenia.

Sięgnął na plecy, dotknął pistoletu, lecz nie poczuł się ani trochę pewniej. Wrzucił do skórzanej torby paszport i zasunął zamek. Słyszając klakson samochodu Foxwortha ucieszył

się, że może wyjść z mieszkania i zamknąć za sobą drzwi na klucz, chociaż pod jego nieobecność tajemnicze duchy kryjące się w szafkach i garderobie będą kontynuować swoje poszukiwania. W połowie drogi na schodach usłyszał dzwonek telefonu, ale nie miał ochoty wracać i podnosić słuchawki; nie wiedział, że to dzwoni Artie Zuboric.

Po drodze na lotnisko Heathrow Pagan pokazał Foxiemu zjazd prowadzący do wąskiej dróżki między uczepionymi zboczy podmiejskimi domkami.

- Zaparkuj tutaj - pokazał miejsce przy narożnym sklepie spożywczym, gdzie na zakratowanej wystawie piętrzyły się produkty rodzime i orientalne - płatki kukurydziane i kasza kuskus, marmolada i słoiczki z piklami, a także pudełka z cynamonem i garam masalą.

Foxie wyłączył silnik rovera.

- I co teraz? - zapytał.

- Posiedzimy chwilę i poobserwujemy.

Foxie spojrział na zegarek.

- O szesnastej trzydzieści mamy odprawę.

- Zdążymy.

Pagan siedział spokojnie, patrzył na przemian to przed siebie, to w boczne lusterko po stronie pasażera, lecz nie widział nic prócz szarych domów. Przez ponad pięć minut ulicą nie przejechał żaden pojazd, a potem pojawiła się furgonetka dostawcza, z której akwizytor wyładował przeznaczone do sklepu paczki. Następnie obok rovera przeszła tylko grupka uczniów machających tornistrami. Foxie znów spojrział na zegarek.

- Już wystarczy? - zapytał.

- Nie wiem. - Pagan zmienił pozycję na fotelu i znów rozejrzał się po ulicy. Wszystko wyglądało całkiem zwyczajnie, latarnie uliczne rozświetlały strugi zimnego deszczu. Jeżeli ktoś śledził ich na autostradzie, to nie zjechał tym samym zjazdem co oni. Pagan schował ręce do kieszeni. Po następnych pięciu minutach absolutnej ciszy w oknie sklepu zapaliło się światło, a na chodnik padł cień krat. Konstrukcja tego budynku pozwoliłaby sklepowi wytrzymać prawdziwe oblężenie.

- Dobra, jedziemy.

- Z powrotem na autostradę?

- Chyba nie. Pojedź bocznymi drogami.

- To zajmie dużo czasu.

- Nie martw się, zdążymy.

Jadąc podmiejskimi drogami, mijali budynki fabryczne oświetlone makabrycznymi, pomarańczowymi lampami. Co jakiś czas Pagan odwracał się do tyłu, lecz widział tylko puste podmiejskie uliczki i okna domów migających niebieskim światłem odbiorników telewizyjnych. W końcu dotarli do drogowskazów prowadzących ku He-athrow, a ulice zrobiły się bardziej ruchliwe. Pagan odprężył się.

- Chyba ich zgubiliśmy... - powiedział. - O ile było kogo gubić... - Człowiek dziwnie szybko przyzwyczajają się do myśli, że ktoś go może śledzić, i rozwija w sobie pewne umiejętności obronne, nastawiając swą antenkę na odbiór wszelkich sygnałów niebezpieczeństwa.

Wjechali w tunel prowadzący do lotniska, znaleźli wolne miejsce na parkingu i przeszli do Terminalu 2. W zatłoczonym budynku podczas rewizji bagażu Pagana celnik, znalazłszy pistolet oraz legitymację Oddziału Specjalnego, mrugnął porozumiewawczo, jak gdyby wspólnie brali udział w

jakimś spisku.

W poczekalni Pagan zignorował zakaz i zapalił papierosa, ale po kilku zaciągnięciach wyrzucił go. Spojrzał na tablicę odlotów i zadumał się nad zmiennymi kolejami śledztwa.

Zaczynali w podziemiu, a teraz mieli się wzbić ku niebiosom - z jednej skrajności w drugą, jak gdyby poszczególne elementy układanki porzucane były pomiędzy ziemią a niebem.

Wenecja

Faksem i modem nadchodziły liczne wiadomości z różnych części świata. Jedna została nadana w Berlinie, lecz nie zrobiła na Barronie większego wrażenia, gdyż zdjęcia z tego miasta oglądał już w telewizji. Druga wiadomość przyszła z Czech i dotyczyła wybuchu bomby na praskim zamku, gdzie zginął prezydent Svobodin wraz ze swoimi czterema ministrami. W czasach starego reżimu, jeszcze przed dojściem do władzy reformatorów Svobodina, Barron zwiedzał zamek w Pradze. Był też na wycieczce w galerii malarstwa, w katedrze świętego Wita, widział kaplicę świętego Wacława oraz klejnoty koronne.

Kolejne wiadomości wysłano z Belfastu i Somalii, a także z Kuwejtu, skąd wojskowi reprezentanci rodziny królewskiej, zmagającej się z nieoczekiwanym zmniejszeniem rezerw gotówkowych, prosili o renegotjacje warunków płatności. Przyszła także informacja z Min-ndanao, gdzie powstańcy gromadzili broń potrzebną do bezustannych walk z działającym w Manili rządem.

Ostatnia przesyłka wysłana została z Lyonu. Brzmiała krótko i zwięźle: Chwast został

usunięty. Wiadomość ta sprawiła Barronowi większą ulgę niż się spodziewał, bo chociaż wiedział, że wcześniej czy później Streik zostanie wyeliminowany, udzieliła mu się jakaś częśćka niepokoju generała. Wstał zza biurka i przyglądając się ściennej mapie myślał, że cały świat płonie niczym podpałka w kominku.

Już miał wyjść z gabinetu, kiedy zadzwonił zastrzeżony telefon, którego numer znali jedynie nieliczni. Barron podniósł słuchawkę i przedstawił się. Usłyszał po drugiej stronie zachrypły szept:

- Tobias, wiem, że Frank Pagan poszukuje Carlotty. Nie mówiłeś nic, że to ona bierze w tym udział. Nie powiedziałaś ani słowa, w jaki sposób chcesz załatwić tamtą sprawę.

Zupełnie nie rozumiem, co jest grane.

Przez chwilę Barron milczał; z rozdrażnieniem nawijał na palec przewód telefoniczny.

- Skąd, u licha, Pagan zdobył tę informację? - zapytał.

- Nie mam pojęcia.

- Możesz się dowiedzieć?

- Pagana da się jakoś przystopować, ale nie podoba mi się, cholera jasna, takie załatwianie sprawy.

Nic nie wspominałeś o Carlocie...

- Tak to czasami bywa. - Nie była to odpowiedź zbyt adekwatna do sytuacji, ale żadna inna nie przychodziła mu do głowy. Odłożył słuchawkę, opuścił gabinet, zamknął drzwi na klucz i przeszedł do kuchni. Carlotta stała przy lodówce i popijała swój ulubiony sok z czerwonych pomarańczy.

Patrząc na nią Barron miał wrażenie, że w głowie płonie mu lont przytwierdzony do laski dynamitu. Z poczuciem zagrożenia usiadł przy kuchennym stole i złożył przed sobą ręce.

Bezskutecznie próbował odzyskać wewnętrzny spokój, ponieważ w myślach cały czas kołatało mu się echo telefonicznej wiadomości.

- Barron, coś cię gnębi?

Wstał od stołu. Nie wiedział od czego zacząć. Balansował na linie - najlepiej byłoby zapytać wprost, lecz Carlotta może wpaść w furię i to dopiero będzie kłopot. Podeszedł do niej, ujął w dłonie jej twarz i spojrzał prosto w oczy.

- Powiedz mi, co robiłaś w Londynie?

- Co to? Czas na podchwytliwe pytania czy co? Przecież wiesz, co robiłam, bo sam mnie tam wysłałeś. Barron czuł, że coś ściska mu gardło.

- Carlotta, co robiłaś w Londynie?

- Nie podoba mi się, jak robisz taką poważną minę. - Wyrwała mu się, podeszła do okna i podniosła roletę. Na moło palił papierosa gondolier o brzydkiej twarzy gargulca.

- Przed chwilą miałem telefon z Londynu.

- To bardzo miło - odpowiedziała.

- Nie, wcale nie było mi miło, nawet przez ułamek sekundy. Mam ci powiedzieć, czego się dowiedziałem? Oni już znają twoje imię.

- Oni czyli kto?

- Policja. Jak do tego doszło? Jak według ciebie do tego doszło?

- Skąd mogę wiedzieć?

- Poszukują cię. - Złapał ją za nadgarstki.

- Puść mnie, Barron.

- Coś spieprzyłaś, cholera jasna. - Puścił jej ręce.

- Spieprzyłam? - Spojrzała wyzywająco.

- Musiałaś być jakoś nieostrożna. Zostawiłaś jakiś ślad, co? Jakąs sugestię, jakąs aluzję, czy cholera wie co jeszcze.

- Nie krzycz na mnie - powiedziała, zatykając sobie uszy. - Nic za sobą w Londynie nie zostawiłam. Wykonałam robotę i wyjechałam. Nikt mnie nie widział. Dotarła do ciebie zwyczajna, nic nie warta plotka.

- Chcesz mi powiedzieć, że wytrzasnęli sobie twoje imię z sufitu?

Wpatrywał się w nią, zły, że stracił panowanie nad sobą, a przede wszystkim dlatego, że pozwolił jej wówczas jechać do Londynu, nie wiedząc, jakie dokładnie ma plany. Powiedziała mu, że jeśli ma wykonać robotę, to on musi zaufać jej i jej metodom - a on wyraził zgodę i nie zainteresował się szczegółami.

- Toby, zupełnie nie wiem, kto ci przekazał taką wiadomość - powiedziała. Cofnęła nogę za siebie i aktorskim gestem opuściła głowę. Znał to przedstawienie - gdy nie potrafiła zapanować nad dziejącymi się wokół niej sprawami, w sposób typowy dla zbesztanego dziecka robiła nadąsaną minę i udawała strach.

- Informacja pochodzi ze źródła pewnego w stu procentach.

Obserwował, jak Carlotta dziecinnie zwracając stopy do środka, styka palce nóg, i chowa ręce za plecami. Ponieważ ubrana była w jego - za dużą na siebie - lnianą koszulę, jeszcze bardziej przypominała małe dziecko. Barron jednak nie dał się nabrać na te gierki.

- Jesteś poszukiwana przez policję. Rozumiesz, co do ciebie mówię? Toby, oni mnie nie znajdą, nie wiedzą, gdzie mnie szukać.

Nagle na własne oczy ujrzał jej metamorfozę. Z małej, zmartwionej dziewczynki stała się zimną, hardą i wyrachowaną kobietą, która nie zgadza, się ze światem, podnosi bunt i fałszuje rzeczywistość.

- To twoje zabezpieczenia nawaliły, a teraz oskarżasz mnie o swoje błędy. Tak Barron.

gdzieś wśród twoich ludzi musi być przeciek.

- Nie sędzę.

- Nie? A niby dlaczego? Łudzisz się, że stworzyłeś organizację perfekcyjną, a na pewno ktoś się wygadał. Ktoś za dużo powiedział w niestosownym miejscu, a ja nie mam zamiaru za to odpowiadać.

Barron rozważał taką ewentualność, ale była ona absolutnie niemożliwa. O udziale Carlotty nie wiedział nikt - ani Kinsella, ani Rhodes, ani generał. A Willie Caan też wcale nie chciał o tym wiedzieć. Jedynie Schialli ją widywał, lecz on, nawet gdyby ją rozpoznał, nigdy nie pisnąłby na ten temat ani słowa. O Carlocie nie wiedział nikt. O kimś takim jak ona nie rozmawia się ze

wspólnikami, bo po co wysłuchiwać gadania o jej kapryсах, nieobliczalności i niezrów-noważeniu psychicznym? Barron nie miał na to najmniejszej ochoty.

- Nie mogło być przecieku z mojej winy - powiedział cicho.

- Jesteś pewny siebie jak cholera, Barron. Myślisz, że masz stuprocentowe zabezpieczenia, co? Że ukryjesz się za swymi sławnymi przyjaciółmi? Że zasłania cię działalność charytatywna? Nie zawsze będziesz spotykać swoje nazwisko w plotkarskich rubrykach.

Gdzieś kiedyś pęknie jakieś ogniwo i już po tobie. To będzie twój koniec.

W rozdrażnieniu podszedł do bufetu. Już miał jej powiedzieć, że ktoś taki jak ona nie ma prawa wymawiać mu ukrywania się w cieniu i zmian tożsamości, ale się powstrzymał.

Rzadko kiedy wygrywał z nią sprzeczki.

Zbliżył się, chwycił ją za ręce i położył je sobie na piersiach.

- Carlotta - powiedział bardzo spokojnie. - Nasze przedsięwzięcie wymaga realizacji szczegółowych i żmudnych planów w całej Europie i w Stanach Zjednoczonych. Pochłania dużo czasu i masę pieniędzy, a tu się nagle okazuje, że brytyjska policja zna twoje personalia.

Czy ty to rozumiesz?

Spojrzała na niego szeroko otwartymi oczami.

- Już ci mówiłam, że nie wiedzą, jak wyglądam, ani że jestem we Włoszech. Znikając we Francji, zatarłam za sobą wszystkie ślady.

Pokręcił głową. Nie potrafił do niej dotrzeć, nie umiał jej wytłumaczyć, jak będzie wyglądać dochodzenie, ani do jakich źródeł informacji policja ma dostęp, bo ona zamknęła się w twardej skorupie i po prostu nie chciała tego zrozumieć.

- Policjant nazwiskiem Pagan zna twoje imię. Już samo to jest niepokojące. A jest jeszcze dużo więcej problemów. Wkrótce, zapewne bardzo niedługo, wśród policji całej Europy będzie aż huczało od informacji. Zostaną wysłane prośby o udział Interpolu, listy gończe trafią do wszystkich posterunków. A na tym nie koniec. Do gry wkroczy FBI i Bóg jeden wie, kto jeszcze. Słyszysz mnie?

Karcenie jej nie miało żadnego sensu. Poczuł raczej, że powinien jej bronić jak drobnej, słabej istoty, nie mogącej liczyć na niczyje wsparcie. Przez chwilę zamyślił się nad dziwnymi i niezłębionymi tajemnicami ludzkiego serca.

- W Londynie musiało coś się stać - powiedział cicho. - Zastanów się dobrze i opowiedz mi wszystko. Zamknęła oczy.

- Na początku przez tydzień go obserwowałam - odezwała się monotonnym głosem.

- Nie zauważył cię?

- Barron, jeśli ja tego nie chcę, to nikt mnie nie zauważy. - Otworzyła oczy i spojrzała na niego z pogardą. - Harcourt miał nawyk wprowadzania częstych zmian do swoich rutynowych czynności, ale zmiany te sięgały pewnych granic, ponieważ nie grzeszył zbytnią wyobraźnią.

Z ambasady wychodził zazwyczaj pomiędzy piątą a szóstą, czasami wracał do domu metrem, czasami samochodem, a czasami taksówką. Jeden raz zdecydował się na autobus.

Przerwała, aby napić się soku. Barrona zastanowił dziwny wyraz jej twarzy.

- Wieczory spędzał zazwyczaj w towarzystwie kobiet. Pewnego razu zabrał jedną do domu w St John's Wood. Zaparkowałam w pobliżu i czekałam. Jak pewnie wiesz, podczas uprawiania miłości często człowiek staje się nieostrożny i jego czujność słabnie; myślami jest zupełnie gdzie indziej, czuje swoją dominację, a czasami nawet czuje się wszechmocny. Gdy Harcourt wyszedł z domu i ruszył w stronę samochodu, obserwowałam go, a kiedy znalazł się jakieś sześć metrów od samochodu, wyjęłam ze schowka pistolet i poszłam w jego stronę. W

ostatniej chwili odwrócił głowę, spostrzegł mnie w świetle lampy ulicznej i uśmiechnął się, ponieważ byłam dla niego zwyczajną kobietą, która w żaden sposób nie mogła mu zagrozić.

Dwukrotnie strzeliłam w serce, a gdy upadł, oddałam jeszcze jeden strzał w czaszkę. Potem wróciłam do samochodu i odjechałam.

- I na tym koniec?

- Tak, to już wszystko.

- I nikt cię nie widział?

- Barron, zaufaj mi trochę, do cholery.

- Jesteś pewna na sto procent, że Harcourt nie żyje?

- Boże drogi!

Przeszedł na drugą stronę kuchni z myślą, że coś w tej opowieści mu nie pasuje, że jakiegoś elementu tam brak, lub coś zostało po-przestawiane. Odwrócił się do Carlotty i nagle go olśniło. Dlaczego z żadnego ze swych źródeł informacyjnych nie słyszał o zamordowaniu Bryce'a Harcourta? Dlaczego nie dotarł do niego żaden raport na ten temat, ani nie ukazała się w gazetach żadna notatka? Dlaczego nazwisko Harcourta ani razu nie padło w telewizji?

Odpowiedź mogła być tylko jedna - opowieść Carlotty była kłamstwem. Tylko dlaczego kłamie? Po co sfabrykowała powiastkę o morderstwie?

Zanim zdążył się odezwać, usłyszał zza kuchennych drzwi jakieś dźwięki. Przyłożył palec do ust, nakazując Carlocie milczenie, i otworzył drzwi. Na progu stał generał w płaszczu z wigonii z twarzą

zaczerwienioną od chłodu.

- Służący pozwolił mi wejść - powiedział cicho. - Przepraszam, że przeszkadzam. -

Spojrzał na Carlottę i z uśmiechem na ustach odwrócił głowę. W gruncie rzeczy jednak na jego twarzy malowała się oziębłość, a wzrok miał twardy jak żelazna sztaba.

Przez chwilę panowała niezręczna cisza. Barron uśmiechał się niepewnie. Ciekaw był, od jak dawna generał stał za drzwiami i co usłyszał.

- Przyszedłem w złym momencie?

- Ależ skąd, Erichu. - Barron otrząsnął się z osłupienia. Wyszedł z kuchni, wziął generała pod łokieć i przeprowadził go na drugi koniec pokoju w nadziei, że Carlotta zostanie w kuchni. Ona jednak miała inne zamiary. Poszła za Barronem i pomogła doprowadzić generała do sofy.

- Tobiasz, nie przedstawiś nas sobie? - zapytała.

- A... tak... oczywiście. - Barron skinął głową. - Carla, poznaj generała Schwarzenbacha.

- Carla? - zapytał generał.

- Czasami - odpowiedziała.

- Tylko czasami? - Generał zrobił zdziwioną minę.

- Chodzi jej o to... - zaczął Barron.

- Chodzi mi o to, że zmieniam imiona w zależności od sytuacji. -Mówiąc to usiadła obok generała i zalotnie pogładziła go po ręce. Barron patrzył w napięciu.

- Coś w rodzaju kameleona - powiedział generał.

- Strzał w dziesiątkę.

- Zmiana imienia i nazwiska bywa niekiedy bardzo wygodna. Ludzie zmieniają personalia, kiedy chcą zniknąć albo mają powody, by się ukrywać przed wymiarem sprawiedliwości. -

Spojrzał na Barrona. - Czyż nie tak, mój drogi?

Barron pokiwał głową. Chciał zapanować nad przybierającą niepomyślny obrót sytuacją.

Był pewien, że generał od dłuższego czasu podsłuchiwał pod drzwiami i musiał słyszeć całą sprzeczkę, wzmiankę o londyńskiej policji i dyskusję na temat przecieku informacji. A generał nie należał do głupich - jeśli przysłuchiwał się ich rozmowie, to musiał słyszeć imię Carlotta, zatem, biorąc pod uwagę jego przebiegłość, poczynił odpowiednie spostrzeżenia i wyciągnął wnioski.

- Napije się pan czegoś, panie generale?

- Raczej nie.

- Abstynent? - zapytała Carlotta.

- Czasami lubię wypić, ale nie teraz. - Mrużąc oczy, wbił w nią wzrok i uśmiechnął się nieszczercze. - My się chyba skądś znamy. Nie spotkaliśmy się już kiedyś?

- Możliwe. Spotykam wielu ludzi. Ale pana nie pamiętam, generale. - Pociągnęła go za łokieć. - A gdzie pańska armia, skoro jest pan generałem?

- Niestety, rozpadła się.

-NN?

- NN? Nie rozumiem.

- Nie szkodzi - powiedziała.

- Powiedz, co to znaczy, proszę cię. Zawsze chętnie wzbogacam swój angielski.

Carlotta wstała z sofy, spojrzała na Barrona i podeszła do okna.

- Nieobecna nieusprawiedliwiona.

- Aha. - Generał zrobił minę, jakby starał się zapamiętać nowy termin, a potem spojrzał na Barrona. - Musimy porozmawiać. Na osobności.

- Dlaczego? - Carlotta odwróciła się od okna. - Tobias pozwoli mi zostać w pokoju, prawda Toby? Nie wyrzucisz przecież małej, biednej Carli, prawda?

Carlotta zartowała i wyśmienie się bawiła. Podeszła do Barrona i położyła mu dłoń na biodrze.

- Nie każ mi odchodzić. Tobias, przecież nie jesteś męską, szowinistyczną bestią. Chyba nie uważasz, że miejsce kobiety jest w kuchni, co? - Z przesadnym cmoknięciem pocałowała go w policzek.

Barron nic nie odpowiedział; był zaniepokojony, że Carlotta wydała się generałowi znajoma. Czy to możliwe, żeby ich drogi już się kiedyś zeszły?

Niemiec wstał z sofy.

- Czy jest tu gdzieś miejsce, gdzie możemy zostać sam na sam? -zapytał.

- Oczywiście.

Carlotta była wyraźnie podekscytowana. Barron znał te jej nastroje, kiedy zachowywała się jak pod działaniem narkotyku. Gdy chciała sprowokować jakieś wydarzenie, kiedy z uporem maniaka

realizowała swój szaleńczy scenariusz, nie sposób było się z nią porozumieć.

Generał wyraźnie budził w niej złość.

- Ach, ci faceci - powiedziała. - Ale dobrze, pozwolę sobą pomiatać. Tobias, co mam robić? Ugotować rosół? Zaparzyć herbatę? No, mów.

- Carla!

- Panie generale, piekę wyśmienite ciasto, musi pan spróbować. No co, Tobias, mam się spieszyć?

- Carla, proszę cię. - Zaczynała się robić nieprzyjemna, a on nie umiał jej powstrzymać.

- Prosisz mnie? Czy mam to rozumieć jako zgodę? Muszę poszukać fartucha, przecież nie będę piec ciasta w twojej koszuli, no nie? A w każdym razie nie w najlepszej. W kuchni łatwo się pobrudzić, prawda, panie generale? - Mówiła szybko, podniesionym głosem.

Barron spojrzał na kręcącego głową generała.

- Barron, to chyba niezbyt sprzyjająca chwila na rozmowę.

- Jak to, generałku? Przecież to wspaniała chwila. - Carlotta zaczęła przed nim tańczyć, potrząsając pierściami. - Podśluchiwało się pod drzwiami, co? Ty, ty, niedobry generałku. Niu, niu, niegrzeczny chłopiec.

- Carla, pan generał z pewnością jest na tyle dobrze wychowany, że nie podsłuchuje cudzych rozmów. - Czemu ona już nie wyjdzie, myślał. Długo jeszcze zamierza tak się bawić?

- Tak? Myślisz, że jest dobrze wychowany? A przecież nie patrzy na mnie. Według mnie generał to stary łotr. - Popchnęła generała i wybuchnęła teatralnym śmiechem.

Stary Niemiec stał bez ruchu i gniewnie patrzył na Barrona, obwiniając go o niestosowne zachowanie Carlotty. Na jego twarzy odmalował się chytry wyraz, którego Barron bardzo nie lubił.

- Zrobię herbaty - powiedziała Carlotta. - Proszę nie uciekać, słyszy pan, panie generale? -

Tym razem przeciągnęła słowa jak dama z Południa. Poszła do kuchni i zamknęła za sobą drzwi.

- To moja dawna przyjaciółka - usprawiedliwiał się Barron, stojąc przy szpinecie. - Ma za sobą ciężki okres. Rozwód, te rzeczy, sam rozumiesz. Przyjechała na kilka dni z Ameryki.

Przepraszam za jej zachowanie. - Chciał jak najszybciej zmienić temat, więc powiedział, że ma wiadomości na temat Streika.

- Na temat Streika? - powtórzył generał. - Tak, o niego też miałem zapytać...

- Mamy go. Znalazł się pod dobrą opieką i już nie trzeba się nim przejmować.

- Nie trzeba?

- Już nam zszedł z drogi. Już nie będzie nikomu szarpał nerwów. Generał machnął ręką, jak gdyby sprawa Streika przestała być ważna.

- Tak to już jest na tym świecie, ludzie przychodzą i odchodzą. Poznają się, rozstają, żyją z dala od siebie.

Barron zastanawiał się, o co generałowi może chodzić.

- A czasami zapominamy o spotkanych ludziach, o widzianych miejscach. Ja miałem kiedyś w życiu rozległą władzę...

-Wiem, wiem...

- Pozwól mi dokończyć. Charakter mojej pracy wymagał wielu znajomości, zatrudniania asystentów, pomocników, współpracowników, informatorów. Ich personalia i zdjęcia trafiały do archiwów. Siedziałem na tak wielkiej górze informacji, że innym wydawałoby się to nie do zniesienia. Tak się składa, że mam wyśmienitą pamięć, która oddaje mi ogromne usługi. -

Skinął głową w kierunku kuchennych drzwi. - Powiadasz, że ta dziwna przyjaciółka rozwiodła się w Ameryce i przyjechała, aby zapomnieć o swoich małżeńskich niepowodzeniach, tak?

- Zgadza, się.

Generał uśmiechnął się i popukał w głowę.

- A ja uważam, że nie.

- Nie rozumiem cię, drogi generale.

- Och, Barron, Barron. Ty mnie chyba masz za głupca.

- Bynajmniej.

Generał zrobił krok do przodu i znowu popukał się palcem w głowę.

- Tutaj wszystko mam zakodowane i wystarczy klucz, aby się dostać do wszystkich informacji.

Otworzyły się drzwi kuchenne i do pokoju weszła Carlotta z tacą. Barron od razu wyczuł, że nastrój jej się zmienił i emocje opadły.

- Rozpuszczalna kawa - powiedziała. - Nie mogłam znaleźć herbaty.

Z uśmiechem postawiła tacę na stoliku. Niedobrze, pomyślał Barron, niedobrze z dwóch drobnych powodów.

Po pierwsze, w kuchni nie ma rozpuszczalnej kawy, a po drugie, Carlotta doskonale wie, gdzie jest herbata.

Ona doskonale zna to mieszkanie.

Tu się szykuje coś niedobrego.

- Przyniosłam też herbatniki. Lubi pan, panie generale? - zapytała. - Polewane czekoladą.

Tobias ma do nich słabość, prawda Toby?

Generał spojrział na tacę, a Carlotta błyskawicznie znalazła się za nim. Zniknęła na chwilę Barronowi z oczu i nie widział jej ruchu, dopiero nagła zmiana wyrazu twarzy generała i szeroko otwarte usta przykuły jego uwagę. Starszy pan, odwracając się do Carlotty, wymachiwał rękami jak człowiek bezskutecznie szukający oparcia.

- Boże drogi -jęknął. - Boże drogi.

Upadł na kolana, złapał za brzeg stolika i zrzucił tacę na podłogę. Podniósł głowę, spojrział

na Barrona; w jego oczach odbiło się zaskoczenie i przerażenie. Nóż po raz drugi, a potem po raz trzeci wbił mu się z chrzęstem w ciało; ostatkiem sił próbował na czworakach umknąć przed ciosami Carlotty. Na podłogę lała się krew.

Carlotta raz za razem zadawała pchnięcia, krew trysnęła generałowi na twarz i spływała po policzkach na szalik. Niemiec przeczoł-gał się do Barrona i złapał go za nogawki spodni.

Carlotta wbiła mu nóż prosto w kark, a on jęknął, puścił wysmarowane krwią spodnie Barrona, przewrócił się na bok, wybełkotał coś po niemiecku i legł nieruchomo. Cały czas jednak oddychał, a raczej ział z otwartymi ustami; z gardła wydobywało mu się rżenie, co jakiś czas unosiły się piersi. Carlotta wbiła mu nóż pod mostek i jak przy jakiejś makabrycznej sekcji zwłok, pociągając ostrzem w dół rozplatała ciało.

W białej koszuli poplamionej na czerwono stanęła wyprostowana nad ciałem generała; nogi, twarz i włosy miała spryskane krwią, jakby ktoś pochłapał ją farbą. Struchlały Barron patrzył, jak klęka obok generała.

- Spotkałam go kiedyś - powiedziała takim tonem, jakby mówiła do siebie. - W Berlinie.

Byłam tam tylko raz, właśnie wtedy. Chciał mi dać robotę do wykonania, ale nie spodobał mi się. W ogóle nie lubiłam tych typów ze Stasi i wolałabym wcale z nim nie współpracować.

Teraz rozpoznał mnie od razu, więc co miałam robić? - Podniosła głowę i spojrzała na Barrona. - Przecież nie chciałbyś, żeby mnie zidentyfikował, prawda? Nie możesz narażać swych cennych planów na niebezpieczeństwo.

Znalazłszy się nagle w samym środku okrutnego koszmaru, Barron z przerażeniem zrobił

krok do tyłu. Nie, to się nie mogło wydarzyć, to nie dzieje się naprawdę. Nie potrafił oderwać oczu od beznamiętnego spojrzenia trupa, od poplamionego dywanu i poszarpanego ubrania generała. Wszechogarniająca czerwień chwyciła go w pułapkę i nie mógł nawet poruszyć palcem. Cały pokój nurzał się we krwi. Barron nie mógł uwierzyć, że przed chwilą był

świadkiem bestialskiego mordu.

- Wybacz mi - powiedziała Carlotta. - Zapomniałam, że nie lubisz takich widoków.

Barron nic nie mówił. Mimo że zamknął oczy, nadal widział krew. Znowu powrócił obraz generała czołgającego się po dywanie, idącej za nim Carlotty, podnoszonego i upuszczanego noża, znów usłyszał, jak stalowe ostrze rozdziera ciało i tkaninę. Brakowało mu tchu, czuł

kłucie w sercu, miał wrażenie, że powietrze w pokoju, niczym w rzeźni, przesycone jest zapachem surowej krwi.

Carlotta wstała i upuściła nóż, który upadł tuż obok głowy generała. W srebrzystej stali odbijała się purpurowa krew. Barron otworzył oczy i odwrócił głowę.

- No co? - zapytała. - Co miałam zrobić? Pozwolić mu odejść? Barron, jemu nie można było ufać. Jeśli nie przeszkodziłby nam od razu, to poczekałby, aż Ślimacznica będzie w zaawansowanym stadium. Wiem tylko jedno: pewnego dnia wygadałby się, że wie o naszej znajomości. Nie rozumiesz tego? Przez niego trafilibyśmy za kratki i posiedzielibyśmy do końca naszych dni. Zabiłam go zarówno dla swojego, jak i dla twojego dobra.

Co takiego? Czy ona chce powiedzieć, że zabiła generała, aby mnie ochronić? Z takim przedstawieniem sprawy nie mógł się zgodzić. Drżącą ręką nalał sobie koniaku i wypił

jednym haustem. Od ciepła alkoholu zrobiło mu się niedobrze i słabo. Zaczęły go swędzić nogi i ręce. Odstawił pusty kieliszek, przeciągnął dłonią po twarzy.

- Niedobrze ci? - zapytała. - Boisz się?

Popatrzył na resztkę bursztynowego płynu na ściankach kieliszka. Odbity w lustrzanej powierzchni świat był odwrócony do góry nogami. Barron spojrział na nóż spoczywający przy policzku generała, a potem przeniósł wzrok na Carlottę, której twarz pozostawała bez wyrazu.

Przeszła przez pokój i cała zakrwawiona, z mokrymi dłońmi przytuliła się do niego.

- Teraz już wiesz.

Co wiem? - zastanawiał się.

- Zabijanie to nie abstrakcja. To nie tylko faksy i telefony z odległych punktów na świecie.

To nie tylko strzelający do siebie ludzie z egzotycznych krajów. Zabijanie to rzeczywistość, dzieje się tu i teraz. Nie podoba ci się, co? A niby co takiego sobie wyobrażałeś? Myślałeś, że ciebie to nie

dotyczy, że masz jakiś immunitet, że możesz tylko przekazywać polecenia i spać spokojnie z myślą, że nie ponosisz żadnej bezpośredniej odpowiedzialności? Boże drogi!

„Zabiłam go zarówno dla swojego, jak i dla twojego dobra”. Słowa Carlotty kołatały mu się po głowie. Zastanawiał się z przerażeniem, czy zamordowanie człowieka to jej sposób okazywania miłości.

- Barron, popatrz na niego - powiedziała ostro.

Barron doznał dziwnego uczucia, jak gdyby jego głowa odłączyła się od reszty ciała, które znalazło się zupełnie gdzie indziej i było tylko zlepkiem chaotycznych odruchów.

Carlotta ujęła go za twarz i odwróciła mu głowę, tak by musiał widzieć generała, który po śmierci sprawiał wrażenie, jakby uszło z niego powietrze i stracił kształty.

- Witam w realnym świecie - powiedziała. - Teraz chyba już jesteś gotów usłyszeć, jak naprawdę umarł Bryce Harcourt.

Lyon

Padał deszcz i zbliżała się godzina dziewiąta, gdy Pagan i Foxworth odjeżdżali taksówką z lotniska w Lyonie. Foxworth podał taksówkarzowi adres Audrey Roczak przy ulicy de Marseille, nieopodal miasteczka uniwersyteckiego na wschodnim brzegu Rodanu. Mostem Galleni przejechali przez rzekę i przy skrzyżowaniu Rue de Marseille z Rue Salomon taksówkarz stanął. Pierwszy wysiadł Foxie, rozłożył parasol i przytrzymał go nad głowę Pagana, choć przy takiej ulewie parasol prawie wcale nie pomagał. Zapłacili i taksówka odjechała.

- Odstępująca okolica - odezwał się Foxie.

- Tylko dla turysty - zauważył Pagan. - Jakiego numeru szukamy?

Foxworth znał adres na pamięć. Minęli ciemne wystawy sklepu hydraulicznego, zakład szlifierski i małe bistro, gdzie krzesła ustawiono już na stołach, a jakiś człowiek zamiatął

podłogę.

Mieszkanie Audrey Roczak znajdowało się nad bistro. Przy drzwiach wejściowych wisiała tablica z nazwiskami. Pagan poświecił sobie zapalniczką, a znalazłszy nazwisko Roczak, przycisnął dzwonek i nie zdejmował palca przez dobre trzydzieści sekund. W

mieszkanu nikt nie odbierał domofonu.

- No i co teraz? - zapytał Foxie, drżąc z zimna pod parasolem. Pagan spojrzał na opustoszałą ulicę. Deszcz spływał mu po twarzy i moczył podróżną torbę.

- Albo znajdziemy sobie ciepłe miejsce do posiedzenia, albo dzwonicmy do wszystkich po kolei, aż nam ktoś otworzy.

Ulica nie wyglądała zachęcająco. W okolicy nie było widać ani przytulnych kafejek, ani małych pensjonatów, ani żadnych oznak życia, z wyjątkiem przejeżdżających co jakiś czas samochodów, wobec czego Pagan znów odwrócił się do domofonu i zaczął naciskać wszystkie sześć guzików po kolei.

W końcu drzwi otworzyła drobna kobieta ubrana w coś w rodzaju wieńca z pawich i strusich piór. Mniej więcej pośrodku kolorowej kompozycji znajdowała się pomarszczona twarz o ciemnej karnacji. Pagana doleciał zapach kamfory.

- Bon soir - odezwał się Foxie. - Nous cherchons Audrey Roczak.

- Cóż za paskudny akcent - odezwała się po angielsku drobna kobieta. - Widać, że jest pan Anglikiem. I to z południowych hrabstw.

- Tak, tak - powiedział Foxie. - Z Surrey.

- Za każdym razem udaje mi się zgadnąć. Zawsze. Ja pochodzę z Kent, ale to już stare dzieje. - Potrząsnęła piórami i spojrzała na Franka Pagana. Przypominała mu zniszczonego, trochę zbyt mocno wypchanego ptaka, z zakurzonej witryny nieczynnego zakładu wypy-chacza zwierząt. Jej niebieskie oczka patrzyły z uwagą i odrobiną niepokoju. - A pan kim jest?

- Z policji - odpowiedział, pokazując legitymację.

- Z londyńskiej? Ojej. Londyńscy policjanci szukają Audrey. No no. Co ona przeskrobała?

- zapytała i otworzyła szerzej drzwi, wpuszczając Pagana i Foxwortha do środka.

- Zgodnie ze zwyczajem muszę powiedzieć, że pani Roczak może się okazać pomocna w prowadzonym przez nas dochodzeniu - rzekł Pagan.

- Och, jak to wspaniale brzmi. Zupełnie jak w jakiejś powieści kryminalnej. Czytaliście Dorothy L. Sayers? Pagan odparł, że nie zna tej autorki.

- Myślę, że wyszła już z mody. Bywalcy bibliotek przyzwyczaili się teraz do facetów biegających z tomiganami, czy jak tam to się nazywa. Może wejdziecie do mnie i wysuszycie się trochę?

„Tomigany”, pomyślał Pagan i z uniesionymi brwiami spojrzał na Foxiego, a potem poszedł korytarzem za pierzastą kobietą do przestronnego pokoju, gdzie na ścianach wisiało około setki oprawionych w ramki i opatrzonych autografami fotosów filmowych i teatralnych.

W kącie stało czarne, błyszczące pianino, a na nim rośliny doniczkowe i dalsze fotografie.

Chińskie papierowe lampiony, zasłony ozdobione smokami oraz zbiór morskich muszel świadczyły o ekscentrycznych upodobaniach i sentymentach gospodyni.

- Nazywam się Deirdre Chapman - powiedziała drobna kobieta. - Na pewno o mnie nie słyszeliście, bo niby skąd. Jesteście na to za młodzi. - Wskazała ręką w kierunku wiszących na ścianie fotografii.

Pagan rozpoznał wizerunki Maurice'a Chevaliera, Edith Piaf, Jeana Gábina i kilku innych zmarłych gwiazd, na przykład Frankiego La-ine'a i Rosemary Clooney.

Na wszystkich zdjęciach widniała dedykacja dla Deirdre.

- W szczytowym okresie sławy występowałam w dużych salach koncertowych. Byłam szansonistką. Odłóżcie te torby i siadajcie przy kominku. Opowiecie mi o Audrey.

Deirdre Chapman nalała z karafki sherry do trzech kieliszków i postawiła je na plecionej tacce.

- Częstujcie się. Nie chcę słyszeć żadnego „nie piję na służbie”. Obydwaj policjanci wzięli kieliszki, wzniesli toast i z rozbawieniem spojrzeli po sobie.

- Wysłałam za Francuza. Mówię to na wypadek, gdybyście pytali, dlaczego mieszkam w tym mieście.
- Z lekką kokieteryą, jak za dawnych czasów, zamrugła powiekami, jakby chciała powiedzieć: „chłopcy, nie zawsze byłam stara”. - Pod koniec kariery śpiewałam w Paryżu i tutaj przeszłam na emeryturę. Henri zmarł przed trzema laty, a ja tutaj pocieszam się wspomnieniami o dawnym blasku.
-Usiadła w zielonym, wiklinowym fotelu koło kominka. -

A teraz powiedzcie mi, w co się władowała Audrey?

Pagan napił się ciężkiego, rozgrzewającego sherry.

- Jak już mówiłem, raczej nie zrobiła nic złego. Mamy tylko nadzieję, że odpowie na kilka naszych pytań i koniec. Najwyraźniej jednak nie ma jej w domu.

- Co takiego? Przyjechaliście do Lyonu po odpowiedź na parę pytań? Rozczarowujecie mnie. Miałam nadzieję na jakąś wielką aferę. -Spojrzała na Pagana. - A co do Audrey, to mogę wam powiedzieć, że to kobieta z przeszłością.

- W jakim sensie?

- Otaczają... hm... aura tajemniczości. Na pewno nie jest tym, za kogo uchodzi. Mnie nie zwiódą koty ani olejne obrazy. Wystarczy raz na nią spojrzeć, a już człowiek wyczuwa mnóstwo tajemnic.

Pagan zastanawiał się, czy warto tracić czas na rozmowy o aurach i przeczuciach Deirdre Chapman, będących zapewne produktami ubocznymi jej bujnej wyobraźni. Mieszka samotnie, tęskni za zmarłym mężem, czyta kryminały - z takich składników można wypichcić bardzo rozbudowane teorie.

- Czy Audrey zachowywała się ostatnio jakoś dziwnie? A może mówiła coś niezwykłego?

- Nie rozumiecie mnie, co? Mówię tu o instynkcie, o intuicji, o przeczuciach. Nie musiała się zachowywać dziwnie, żeby być tajemniczą. Ja to widziałam w jej oczach, w jej sposobie bycia.

- Co takiego było w jej oczach? - zapytał znudzony Pagan.

- Zmęczenie dźwiganiem tajemnic. Jak ją zobaczycie, zrozumiecie, co usiłuję wam powiedzieć. -

Zakołysała kieliszkiem sherry, jakby rozdrażniła ją tępota Pagana. Przechyliła się na fotelu, wydeła wargi i popatrzyła na niego badawczo.

Pagan milczał. Chciał, żeby Foxworth przejął pałeczkę, bo miał więcej cierpliwości do postrzeleńców. Poza tym Foxie miał dobre maniery.

- Pani Chapman, kiedy widziała ją pani po raz ostatni? - zapytał.

- Właściwie to madame Delacroix. No ale przecież skąd miał pan wiedzieć, prawda?

Foxie zaprezentował jeden ze swych uprzejmych uśmiechów. Potrafiłby oprowadzać po zabytkach wycieczki podstarzałych turystów i odpowiadać uprzejmie na wszystkie pytania.

- Cóż, po raz ostatni widziałam Audrey wczoraj, jakoś późnym popołudniem, chyba około siedemnastej. Rzeczywiście, zbiegała ze schodów na złamanie karku, a muszę przyznać, że nie należy do osób żyjących w pośpiechu. Zapytałam ją, dokąd tak pędzi co tchu i... to zupełnie do niej niepodobne... zbyła mnie opryskliwie. Normalnie zawsze trochę sobie gawędzimy o drobiazgach, wiecie, jak to jest. Wczoraj jednak...

- Nic nie powiedziała? - zapytał Foxie.

- Bąknęła coś, że musi kupić farby przed zamknięciem sklepu dla plastyków! Dobrze sobie!

- Najwyraźniej wspomnienie tego niecodziennego wydarzenia zdenerwowało Deirdre Chapman.

- Farby? - zapytał Foxie.

- Tak. Audrey próbowała malować. Boże, jakie paskudztwa, same czernie i brązy. Ale założyłem się, że od wielu miesięcy nie wzięła pędzla do ręki. Pokazała kilka swoich obrazów marszandowi, ale on nie zachęcił jej do dalszych prób. A to wielki cios w ego Amerykanki.

Oni chyba wszyscy mają problemy z ego, prawda?

- A więc od tamtej chwili nie widziała jej pani ani nie słyszała.

- Zgadza się.

Nalała sobie do kieliszka niewielką ilość sherry i podsunęła karafkę Paganowi i Foxworthowi, ale zgodnie odmówili.

- Zabrała ze sobą jakieś bagaże? - zapytał Pagan.

- Miała chyba tylko podręczną torbę. Martwią mnie jej koty, a ma ich chyba ze sześć czy siedem. Jeśli nie wróciła na noc, to kto by je nakarmił? Zostawiać zwierzaki same to zupełnie nie w jej stylu.

Pagan odstawił na stolik pusty kieliszek. Zmęczenie dawało o sobie znać. Kiedy ostatnio spał?

- Czy ktoś o nią pytał?

- Oprócz was nikt.

- Na pewno nie domyśla się pani, dokąd mogła pójść?

- Nie wiem, być może do swojej pracowni, to niedaleko.

- Zna pani adres? - zapytał Pagan.

- Adresu nie znam, ale mogę wam powiedzieć, gdzie to jest.

- Będziemy zobowiązani - rzekł Pagan i wyjął notatnik. Chciał jak najszybciej wyjść z tego pokoju, który - dzięki zapachowi naftaliny, starych piór, wywoskowanych mebli i roześmianym nieżyjącym już ludziom na zdjęciach - działał na niego usypiająco. Źle się czuł

w cudzych grobowcach.

- Słucham - powiedział, trzymając ołówek w pogotowiu. Deirdre Chapman wstała, a jej pióra jakby oklapły na wieść o rychłym odejściu niespodziewanych gości.

- No dobrze. Znacie to miasto? - zapytała. Pagan pokręcił głową.

- Macie samochód?

-Nie.

- W takim razie złapcie taksówkę i poproście kierowcę, żeby jechał do Vieux Lyon i wysadził was przy placu St Jean. Zapamiętacie? Pagan potwierdził, a pani Chapman mówiła dalej:

- Zaraz za placem znajduje się wąska uliczka, nie pamiętam nazwy, ale na rogu jest kawiarenka o nazwie Bip. Niech pan zapisze. Miniecie kawiarenkę i przejdziecie jakieś dwadzieścia metrów, aż znajdziecie się przy maleńkim sklepiku z lalkami.

- Z lalkami - powtórzył służbiście Pagan.

- Na wystawie jest pełno lalek, marionetek, pacynek i tym podobnych. Właśnie nad tym sklepikiem Audrey ma pracownię.

Pagan zamknął notes. Foxworth, wyczuwając jego zniecierpliwienie, grzecznie podziękował dawnej szansonistce za pomoc i gościnę.

Pani Chapman odprowadziła ich do drzwi wyjściowych. Na dworze wciąż padał okropny deszcz.

- Było mi bardzo miło - powiedziała. - Mam nadzieję, że znajdziecie tego, kogo szukacie.

- My również - rzekł Pagan.

- Mam też nadzieję, że Audrey nie wpadła w poważne kłopoty.

Unosząc głowę, podsunęła Paganowi policzek do pocałowania na do widzenia. Cmoknął ją głośno z teatralną ostentacją, Foxworth zrobił to samo, a potem wyszli, zostawiając za sobą podśpiewującą „My Funny Valentine” Deirdre, która wróciła do swojego pokoju pełnego pamiątek przeszłości.

Foxworth otworzył parasol.

- Musimy znaleźć taksówkę, zanim się potopimy - powiedział Pagan.

- Dziwna staruszka z tej Deirdre.

- Rzeczywiście dziwna. Miałem ochotę nakarmić ją okruszynami chleba.

Po przejściu kilku przecznic złapali taksówkę, dojechali do placu St Jean i zaczęli się rozglądać za kawiarnią Bip. Pagan starał się wyobrazić sobie, jak wygląda Lyon latem, kiedy jest ciepło, a turyści siedzą przy stolikach wystawionych na chodniki i grzejąc się w słońcu leniwie popijają wino. Trudno było uwierzyć, że ten bezlitosny, zimny deszcz przestaje kiedykolwiek padać. Pomimo światła w oknach restauracji, siedzących tam ludzi i dźwięków dolatującej skądś muzyki, miasto sprawiało wrażenie opustoszałego.

Obok kawiarni Bip skręcili w wąziutką uliczkę i odnaleźli sklepik opisany przez Deirdre Chapman. Ze skąpo oświetlonej wystawy oczami pełnymi wrogiej obojętności spoglądały wszelkiego rodzaju drewniane lalki. Wyglądały, jakby czekały, aż ktoś wsączy w nie życie, i budziły niepokój niczym na wpół żywe trupy. Pagan przyglądał im się przez chwilę, a potem podszedł za Foxiem do drzwi znajdujących się tuż obok sklepu.

- To chyba tutaj - rzekł Foxie i spojrzał do góry na okno z opuszczoną zasłoną, zza której sączyło się światło. Przy drzwiach nie znalazł dzwonka, lecz jedynie dużą, żelazną kołatkę w kształcie lwiej łapy. Kilka razy zastukał w drzwi i czekał. Nie działało się nic. Stojący pod parasolem Pagan obserwował drzwi.

- Takich wrót nie da rady wywalić - stwierdził.

- To prawda.

- Pukaj dalej.

Foxie kilkakrotnie podnosił kołatkę i stukał nią o drewniane drzwi. Pagan stanął na brzegu chodnika i spojrzał w zasłonięte okno. Nie dostrzegł żadnego poruszającego się cienia.

- Co teraz? - zapytał Foxie.

Strużka deszczu spłynęła po parasolu i spadła Paganowi na nos.

- Chodźmy na drugą stronę - zaproponował. - Może znajdziemy tylne wejście.

Doszli do końca uliczki i skręcili w ciemny zaułek, prowadzący najprawdopodobniej na tyły budynku, w którym Audrey Roczak miała swą pracownię.

- To chyba tu - powiedział Foxie, wskazując stare, kamienne schody prowadzące do drzwi.

Pagan zastanawiał się, dlaczego tylne wejścia zazwyczaj tak bardzo różnią się od frontowych.

Od frontu rosła róże, bluszcz, wznoszą się doryckie kolumnienki, a z tyłu rdzewieją poręcze i piętrzą się sterty śmieci.

Zaczynał zapadać zmrok. Weszli po schodach do drzwi, Foxie nacisnął klamkę, ale były zamknięte na klucz.

- Przydałyby się latarki - mruknął. - Nie ma pewności, że jesteśmy w odpowiednim miejscu. A co będzie, jeśli sforsujemy drzwi i okaże się, że trafiliśmy na niewinną rodzinę burżujów zajadających ziemniaki po Lyonie?

Pagan nacisnął klamkę, zasuwana zamka stawiała opór, ale pomiędzy framugą i drzwiami pojawiła się wąska szczelina. Gdyby tylko mieć jakiś twardy przedmiot, który wszedłby w szparę... Gdy nad tym myślał, raptownie otworzyły się drzwi i ujrzał rudowłosą kobietę w długiej sukience i z pistoletem w dłoni.

- Co jest? Zasrańcy jedni - powiedziała, celując pistoletem prosto w Pagana, który oślepiony blaskiem elektrycznego światła zasłonił oczy i zrobił krok do tyłu. Patrzenie w otwór lufy przypominało spoglądanie w mroczną przepaść.

- Pieprzeni zasrańcy - powiedziała. Po sposobie trzymania broni obydwaj wiedzieli, że ruda kobieta wie, jak się z nią obchodzić i nie będzie się dwa razy zastanawiała, czy pociągnąć za spust. Przyglądając jej się uważniej, Pagan dostrzegł duże kolczyki w uszach i gniewnie wygięte, uszminowane usta.

- Panna Roczak? - zapytał.

Lekko uniosła broń, celując prosto w głowę Pagana. Wiedział, że Audrey Roczak działała kiedyś w niebezpiecznych miastach Europy

Wschodniej i miała do czynienia z przekazywaniem tajnych informacji, listami chowanymi w kapsułkach, szyframi, hasłami i „punktami kontaktowymi”. Rozbudzona wyobraźnia podsuwała mu coraz groźniejsze obrazy.

- Panno Roczak - powtórzył. Pistolet powędrował kilka milimetrów w dół. - Szukamy mężczyzny nazwiskiem Streik. Jacob Streik.

- Nigdy nie słyszałam o kimś takim. Pagan westchnął.

- Proszę się zastanowić.

- Ty mnie chyba nie słuchasz, koleś.

- Wprost przeciwnie. Uważnie pani słucham, tylko nie wierzę w pani słowa.

- Nie dociera do ciebie, że nie znam i nigdy nie znałam żadnego Jacoba Streika. Macie trzydzieści sekund na wycofanie się, bo w przeciwnym razie użyję tego. - Potrząsnęła pistoletem w kierunku Paga-na, a potem wycelowała w Foxiego.

- Jesteście starymi towarzyszami broni - mówił Pagan. - Służyła pani z nim w Pradze i w Warszawie. Daj spokój, Audrey, przecież nie będziesz do nas strzelać. Ty o tym wiesz i my wiemy. Chcemy się tylko dowiedzieć paru rzeczy o twym kumplu. Podobno wpadł w tarapaty...

- Tak, pewnie, a wy oczywiście chcecie mu pomóc.

- O ile to będzie w naszej mocy.

- Dwadzieścia sekund - powiedziała. Pagan podniósł rękę.

- Pokażę ci dokumenty.
- Mam gdzieś wasze legitymacje. Trzymaj łapy z daleka od kieszeni. Nie mam nastroju do zabawy.
- Przyjechaliśmy z Londynu. Jesteśmy ze Scotland Yardu...
- A ja jestem córką cara.
- Audrey - mówił Pagan. - Dobrze wiesz, że Jake ma kłopoty. My też wiemy, że chcą go dorwać Grabarze.

Przez moment Audrey Roczak milczała. Nadal trzymała wycelowaną broń, jednak w wyrazie jej oczu zaszła zmiana. Na wzmiankę o Grabarzach najwyraźniej zrodziły jej się w głowie pewne wątpliwości i zmięła.

- No dobra, pokażcie legitymacje. Tylko powoli. Pagan wyjął portfel, podał Audrey Roczak, a ona otworzyła go i podniosła do światła.
- Frank Pagan - powiedziała. Ze starego, dobrego Wydziału Specjalnego. - Przeniosła wzrok na Foxwortha. - A ty?

Foxie wyjął legitymację, a kobieta obejrzała ją krytycznym okiem, ponieważ w jej świecie wszystkie laminowane karty identyfikacyjne były podejrzane i nie znaczyły właściwie nic.

Pagan zastanawiał się, ile razy w życiu musiała używać fałszywych dokumentów. Gdy spoglądała po kolei na legitymacje, a potem na Pagana i Foxwortha, w jej wzroku pojawił się lekki cień niepewności.

- Nie nasłali was Grabarze - powiedziała. Pagan pokręcił głową.
- Chcemy tylko porozmawiać z Jacobem Streikiem. Dłuższy czas milczała z odwróconą głową, jakby wsłuchiwała się w krople deszczu spadające na foliowe worki ze śmieciami.
- Mówicie, że chcecie mu pomóc?

Pagan skinął głową.

Nieznacznym ruchem pistoletu poleciła im wejść do środka, potem kopnięciem zatrzasnęła drzwi, a gdy szli po schodach, zatrzymała się.

- Prawdopodobnie się spóźniliście - powiedziała oschłym tonem.

Puk, puk, puk. Początkowo Streikowi wydawało się, że ten dźwięk pochodzi z niewymownie bolącej klatki piersiowej, lecz w przebłysku przytomności zrozumiał, że pukanie dobiega ze świata zewnętrznego, cokolwiek ten zwrot oznacza. Kontury obrazów się rozmywały, różne rzeczy pojawiały się i znikwały, nie mógł jasno myśleć. W kleszczach potwornego bólu człowiek zatracą swoje człowieczeństwo i staje się wcieleniem własnego cierpienia, staje się niemym świadkiem

swojego konania. Puk, puk, puk. Dźwięk ten, zanim dotarł do uszu Streika, zamieniał się w gwałtowne, natrętne łup, łup, łup i chociaż umierający Amerykanin chciał wstać i coś z tym zrobić - nie miał pojęcia co - czuł, że nie może się poruszać, zaschło mu w ustach i gardle, kończyny odmawiają posłuszeństwa i nawet bicie serca słyszał tak słabo jak tupot umykającej myszy.

Umieram. Początkowo myśl ta sprawiała mu radość, ale potem zaszła pewna zmiana i ze strachem otworzył oczy. Rozejrzał się po nigdy wcześniej nie widzianym pokoju i dostrzegł

ogarki świec wetknięte w zakurzone butelki po winie, stalaktyty z wosku, sztalugi, słoiczki z pędzlami oraz stare, poplamione farbami gazety na podłodze.

Umieranie to niezbyt przyjemna rzecz. Niewiele dobrego można powiedzieć na ten temat.

Nikt nie porusza tej kwestii w pisanym do domu liście z podróży. Ach, rodzino, szkoda, że was ze mną nie ma. Głowa z powrotem opadła na poduszkę, a Streik zawołał ochrypłym głosem Audrey - przypomniał sobie o niej - nie usłyszał jednak żadnej odpowiedzi. Spojrzał

w kierunku światła padającego spod wystrzępionego abażura na splekanym suficie. Jeszcze nigdy w życiu, przenigdy, nie czuł się tak bardzo samotny.

Ale oto i ona. Audrey podeszła do sofy, na której leżał, nachyliła się i poprawiła czerwony od krwi pled; Streik słyszał pobrzękiwanie kolczyków i widział migające w nich refleksy świetlne.

- Jake - powiedziała jakby gdzieś z oddali. - Słyszysz mnie, Jake? Z nadludzkim wysiłkiem skinął głową.

- Jake, ten człowiek jest z Wydziału Specjalnego Scotland Yardu. Chce z tobą pomówić.

Streik usiłował podnieść rękę, ale zaraz bezwładnie mu opadła. Pomyślał o Szkocji i nagle stanęła mu przed oczami wizja whisky, dudów i samotnych górskich szczytów; dopiero po chwili prawidłowo skojarzył nazwę. Tego faceta o szarych oczach i zaciśniętych ustach nie trzeba się obawiać, pomyślał, lecz w pełnym współczucia wzroku Anglika dostrzegł własną śmierć.

- Audrey - odezwał się. - Daj mi coś... przeciw... bólowego.

Kobieta z bezradnym spojrzeniem odeszła, przyniosła tabletkę i położyła mu na języku.

Ból, który już dawno przekroczył wszelkie granice cierpienia, zadawał mu prawdziwe katusze.

- Jestem Frank Pagan - odezwał się przybysz.

Nazwisko to wydało się Streikowi skądś znajome, ale jaką może mieć pewność, że już kiedyś je słyszał, na łożu śmierci, gdy pamięć kompletnie zawodzi?

- Słyszysz mnie pan? - zapytał Pagan.

Streik poruszył głową, zmrużył oczy i zwilżył językiem wargi. Gdzieś w tle widział światło

migoczące na sylwetce Audrey.

- Chodzi mi o pana i Bryce'a Harcourta - powiedział Pagan.

- O, Bryce - wymamrotał Streik.

- Muszę wiedzieć, w co byliście zamieszani. Może mi pan powiedzieć?

1 W dosłownym tłumaczeniu nazwa Scotland Yard brzmiałaby Szkocki Dziedziniec (przyp. tłum.)

Audrey mówiła coś z pretensją w głosie, lecz Streik nie słyszał słów. Starał się myśleć o Harcourcie i Londynie.

- Jak tam Bryce? - zapytał.

- Nie żyje.

Streik zdziwił się, chociaż nie był bardzo zaskoczony. Czuł jedynie odrobinę żalu. Być może, gdy człowiek umiera, cieszy się z towarzystwa znajomych w nadziei, że wspólnie zabawią się na czarnym bankiecie i razem przeżyją ten koszmar.

- Czy może pan rozmawiać? - Pagan nachylił się bliżej.

- Tak - powiedział Streik łamiącym się głosem.

- Czym się zajmowaliście wspólnie z Bryce'em? - Słodkawy oddech Pagana zalatywał alkoholem.

- Pieniędzmi.

- Pieniędzmi? - Pagan starał się jak najbliżej nachylić głowę.

-1 to milionami.

- Woził je pan do Bryce'a, tak? Dla Grabarzy, tak?

Usiłując kiwnąć głową, Streik myślał, że śmierć to wcale nie taka prosta sprawa, jak mówią ludzie. Lecz jeszcze bardziej skomplikowane wydało mu się wyjaśnienie Paganowi złożoności układów łączących go z Harcourtem, przejazdów z Ameryki do Londynu, bezpiecznego przewozu przesyłek dyplomatycznych - zawsze toreb podróżnych, a nie walizek

- niedostępnych dla celników, bo chronionych napisem „Własność Stanów Zjednoczonych Ameryki”. Znow ogarnęła go panika.

- Audrey, cholera jasna, Audrey, ja umieram.

Złapał ją za rękę. Przyszedł mu na myśl ksiądz, ostatnie namaszczenie, poczuł zapach śmierci i

zapraǳał nagle rozgrzeszenia za zabicie niemieckiego autostopowicza. Jednak księża pod pewnym względem przypominają policjantów - kiedy trzeba, nie ma ich na miejscu.

- Wyjdiesz z tego - powiedziała Audrey. W jej oczach czaiło się kłamstwo.

- Tak, tak - powiedział Streik, a drugie, niepotrzebnie wypowiedziane słowo, zakłóciło mu rytm oddechu.

- Od kogo dostawaliście pieniądze? - zapytał Pagan. Streikowi nagle wydało się, że widzi nad sobą unoszącą się jak balon, bladą twarz Harcourta.

- Bryce? Co u ciebie, staruszk?

- Niech pan spróbuje się skoncentrować - powiedział Pagan. - Mówił pan, skąd dostawaliście pieniądze.

- Pieniądze? - Nagle Bryce zniknął, umilkły miłe słowa, Streik powrócił na ziemię.

- Kto wam dawał pieniądze?

- A tak - wystękał Streik z zaschniętymi wargami i sztywnym językiem. - Od różnych... facetów.

- Zna pan ich nazwiska?

- Na przykład Monty Rhodes...

- Rhodes? Miał powiązania z Grabarzami? Streik jęknął.

- Działał w ich imieniu po stronie USA.

- I kto jeszcze? Jakies inne nazwiska?

- Nie znałem nazwisk, tylko twarze. - Nagle zabolało go w piersi i miał wrażenie, że ostre zęby wbijają mu się w ścianki serca, a haczykowate szpony wyrywają wątrobę. Bezwolnie odpływał ku morzu śmierci. Wydawało mu się, że z brzegu kiwa do niego Montgomery Rhodes w słonecznych okularach.

- Na co szły te pieniądze?

Streik pamiętał, jednak zanim zdążył cokolwiek powiedzieć, wstrząsnęły nim konwulsje, jęknął, złapał się za piersi, zemdlilo go, w ustach zebrała się gęsta ślina. Gdy Audrey przyłożyła mu do czoła mokry ręcznik, ból na chwilę osłabł i umierający znów dostrzegł

twarz Pagana. Obraz jednak był nieostry, a potem nagle nastął cudowny moment jasności, gdy wszystko stało się proste i oczywiste.

- Razem z Bryce'em - odezwał się - przejrzelismy to.

- Co takiego przejrzeliscie? Powiedz mi, Jake.

Streik spojrzal na Audrey, a ona skinela glową na znak, ze temu czlowiekowi mozna powiedziec prawde. Czul w sobie dziwna, blyskawiczna zmiane pogody - po sniezhnej burzy pojawily sie kolorowe teczki. Spojrzal Paganowi prosto w szare oczy. Slyszal, ze Audrey mowi cos o tym, by zaprzestali przepytywania i o cierpieniach rannego czlowieka, ale z twarzy Pagana mozna bylo wyczytac, ze chcialby wysluchac do konca opowieści z loza smierci.

- Rozprowadzalismy pieniadze - mowil Streik. - Rozrzucalismy jak gnój po polu.

- Na co szly?

Pamiec wsiakala, jak nieczystosci w glebe. Umierala razem z cialem. Streik myslal o zblizajacej sie czerni. O niebycie. O nicości. Spojrzal na twarz Pagana.

- Rany, czlowieku - jeknal. Dlaczego ten Pagan nie kapuje, o co chodzi? Czy on sobie wyobraza, ze czas na tym swiecie plynie w nieskonczoność? - Zamet... broń... wiadomo... -

Czul, ze popada w coraz glębszy letarg, który musi byc smiercia. Znów ogarnela go panika, nie chcial odchodzic, nie byl jeszcze gotow na spotkanie ze Stworca, lecz byc moze zaden Stworca wcale nie istnieje i w takim razie nie ma sie co martwic, ze wyrzuty sumienia z powodu tamtego Niemca beda go dręczyć przez wieki...

Nagle poczul potrzebe dotkniecia czegoś, zakotwiczenia sie, i chwycil Pagana za rękaw przemoczonego plaszczka.

- Tamci faceci uwazali, ze pokój zle wplywa na interesy. Ze nie da sie robic biznesu, kiedy panuje stabilizacja...

Trzymaj sie plaszczka, Jake, nie puszczaj, nie wolno ci.

- Jaka role odgrywala w tym wszystkim Carlotta? - zapytal Pa-gan.

Streik otworzyl usta. Carlotta... To mi powinno cos mowic, myslal. Nie potrafil jednak niczego skojarzyc. Wpatrzony w Pagana, kręcac glową, czul, ze odchodzi, ze traci resztki przytomności, ze jego swieca sie dopala. O Boze, nie pozwól, zeby tak to wszystko zostalo; nie chce odchodzic, nie zabieraj mnie, prosze, oszczedz mnie i pozwól mi odpokutowac, a obiecuję od tej pory byc czlowiekiem prawym.. Jednak dlon osunela mu sie po reke Pagana i opadla na lozko, a glowka spoczela na poduszce; sapnal, zadrzal i poczul lagodny, lecz stanowczy napór zapomnienia.

- Nie chcialem zastrzelic tego dzieciaka - powiedzial i zamknal oczy. Usta mu sie rozchylily z delikatnym cmoknieciem.

Audrey Roczak przykryla twarz Streika prześcieradlem, miala zaczerwienione oczy.

Wysłuchując się w padający za oknem deszcz, Pa-gan odszedł od zwłok. Czuł, że obok niego stoi Fokie. Przez pewien czas nikt nic nie mówił.

- Wiedziałaś, że się nie wykaraska - odezwała się w końcu Audrey, zapalając papierosa. -

Myślałam tylko, że nikt go tutaj nie znajdzie i uda mu się umrzeć w spokoju. Pewnie ta wścibska szansonist-ka powiedziała wam, gdzie mnie znaleźć. Stara oszustka. Nigdy nie poznała nikogo z tych zdjęć i wszystkie podpisała sama. Nawet jej nieboszczyk mąż to czysty wymysł, bo zawsze była starą panną - dodała z gniewem i smutkiem. - Jake miał w bagażniku samochodu dokumenty. Możecie je sobie wziąć, jemu już się na pewno nie przydadzą.

Wyciągnęła zza sztalug torbę, wyjęła z niej plik papierów i podała je Paganowi takim ruchem, jak gdyby dotykała czegoś obrzydliwego. Papiery sporo ważyły. - Może to wam coś pomoże.

Nie wiem, może dzięki temu coś się wyjaśni.

Pagan złożył kartki i ostrożnie schował je do wewnętrznej kieszeni płaszcza. Chciał zajrzeć do nich dopiero później, gdy już znajdzie się z dala od nieboszczyka.

- Biedaczysko - rzekła Audrey. - Przez całe życie chciał brać udział w czymś wielkim. A dopuszczono go tylko do drugorzędnej siatki szpiegowskiej. Straszne, co?

Pagan odwrócił wzrok od ciała Streika. Całe pomieszczenie wypełniła śmierć. Spojrzał na płótna oparte o ścianę. Były dokładnie tak ponure, jak opisywała Deirdre Chapman, a płynące z nich przygnębienie nie miało nic wspólnego z brakiem artyzmu.

- Jedno jest pewne. - Audrey Roczak zaciągnęła się papierosem. -Jeśli pracujecie dla Grabarzy, to dzisiaj nie macie co liczyć na żadną zapłatę.

Pagan czuł jeszcze na ręce dotyk palców zmarłego. Chciał jak najszybciej wyrwać się z tego ohydneho pomieszczenia i wyjść na świeże powietrze.

- No, panie Pagan, dowiedział się pan czegoś, czy chce pan jeszcze mnie przesłuchać?

Zanim Pagan zdążył odpowiedzieć, rozległ się brzęk szkła, framuga okna się wygięła, zasłony pofrunęły do góry i nagle huknęło, pojawił się czerwony płomień, a po nim wypełniający każdą szczelinę gęsty dym.

Wenecja

Przed wyspą Murano na wzburzonej, ciemnej wodzie umilkł silnik łodzi. Balansując ciałem po rozchybotanym pokładzie, Schialli ostrożnie przeszedł na rufę, gdzie pod baczynym okiem Barrona wziął zwłoki generała za ręce i z lekkim sapnięciem uniósł go do góry. Carlotta, w kapeluszu rybackim i długim, czarnym płaszczu przeciwdeszczowym, chwyciła nieboszczyka za kostki.

Barron usiłował myśleć o trupie jak o czymś, co nigdy nie było ludzką istotą, lecz przed oczami stale przewijały mu się okrutne obrazy - nóż przebijający plecy generała, dłonie umierającego człowieka

zaciskające się na mankietach jego własnych spodni, spojrzenie Carlotty, mówiącej: „to nie abstrakcja, to rzeczywistość”. Równie rzeczywisty był teraz widok Carlotty i Schiallego, podnoszących trupa, przekładających go za rufę i rzucających na głębiny, gdzie niczym wielką, zdechłą rybę w niewiadomym kierunku poniosą go wodne prądy.

Schialli wrócił za ster, zapalił silnik i zawrócił łódź w stronę Wenecji. Carlotta zdjęła kapelusz, wstrząsnęła włosami i całym ciałem przyłgnęła do Barrona. Słabe światło rufowe oświetlało jej ożywioną twarz, błyszczące oczy i zarumienione od deszczu policzki.

- Widzisz, Tobie, jakie to proste?

- Widzę - odezwał się Barron.

- Jak go wyrzuci na jakąś plażę, to i tak nikt go nie zidentyfikuje, bo nie ma żadnych dokumentów, nic a nic. Może zdarzył mu się wypadek, może popełnił samobójstwo, a może żebracy jednemu spośród swoich wyprawili taki pogrzeb? Wszystko skończone. Już po strachu.

Tak, tak, myślał Barron wpatrzony w światła Wenecji. Wyobrażał sobie, jak prądy morskie rzucają ciałem generała na wszystkie strony, jak wciągają go wiry, jak rozszarpują wodne stworzenia. Słyszał wodę chlupoczącą o kadłub łodzi i przez chwilę wydało mu się, że generał może zmartwychwstać, chwycić dłońmi za burtę i wynurzyć z wodnych czeluści swą zbielełą głowę. Ach, ta rzeczywistość. Zamknął oczy i poddał się wrażeniu nierealności.

Chociaż czuł dotyk śliskiego materiału płaszcza Carlotty i dłoń głaszczącą go po policzku, nie poruszył się. Czyjej się wydaje, że to morderstwo wzmocni ich związek? Przybliży Barrona do jej mrocznego świata? Czy śmierć generała ma stanowić pomost pomiędzy ich duszami?

Tobias, witaj w moim świecie, bądź mi towarzyszem podczas mych polowań w nieludzkich miejscach. Tańcz ze mną walca na grobach wszystkich zmarłych.

Wbrew woli przyszła mu na myśl śmierć Bryce'a Harcourta i jednocześnie przypomniał

sobie słowa Carlotty. „Chcesz wykończyć faceta, i to tak, żeby nie było wiadomo, o co chodzi, co? Jak to zorganizować? Większość ludzi wpadłoby na pomysł wynajęcia anonimowego mordercy, który wyłania się z mroku i w mroku ginie. Bach, bach i po wszystkim. Ale to banalne. Kompletny brak wyobraźni. Poza tym takie coś zwraca uwagę.

Gliny znajdują tylko jednego trupa, więc mają możliwości dokładnego węszenia, gdzie się da, i w końcu mogą wysledzić prawdę. Trzeba więc tak wszystko zaaranżować, żeby nie mieli na to szans. Trzeba ich sprowokować do śledztwa, któremu nie będą mogli sprostać. Trzeba całą sprawę pogmatwać. Wystarczy wywołać katastrofę. Wtedy szukaj wiatru w polu”.

Katastrofa. Szukaj wiatru w polu. Pogmatwać sprawę. Starał się rozumować tak jak ona, lecz próby te przypominały przeglądanie się w potłuczonym zwierciadle. Nie potrafił zgłębić jej logiki. Przez chwilę coś mu świtało, ale zaraz potem znów przestawał rozumieć jej sposób myślenia. Kojarzył tylko wybuch w metrze, śmierć i ludzkie cierpienie.

„To genialny plan. Każdy myśli, że za wybuch odpowiadają Irlandczycy albo inni terroryści. Z tymi wnioskami zgodzą się wszyscy, więc poszukiwania ruszą złym torem”.

Widział wtedy w jej oczach fanatyczną zaciekłość, jak u ludzi doświadczających przeżyć mistycznych. Jej żarliwość była niemal religijna, a jej determinację dałoby się porównać jedynie do wiązki promieni laserowych, palącej wszystko, co się pojawi na jej drodze.

Ażeby zamordować Bryce'a Harcourta, zabiła ponad setkę ludzi.

Usiłował się skupić na tym fakcie, lecz cały czas słyszał w uszach jej głos. „Jeśli nie chcesz ubrudzić rąk, to nie baw się w błocie, złotko. Zajmij się tym, co robisz najlepiej. Zamknij się w tym swoim pokoju, czytaj faksy, dzwoń do różnych ludzi, zwołuj tajne spotkania, śledź

swoich wysłańców i dalej organizuj akcje dobroczynne, w które tak bardzo wierzysz. A jeśli chodzi o zabijanie, to daj sobie spokój. Zostaw je innym. Staralam się osłaniać cię przed tym, ale nie mogę robić tego wiecznie. Ja naprawdę próbowałam cię chronić przed tymi wszystkimi nieprzyjemnościami”.

Zostaw zabijanie innym, pomyślał. Miała rację, oczywiście, że miała całkowitą rację. On był organizatorem, ale nie mordercą. Ludzie umierali, ale on nie brał za to odpowiedzialności.

Śmierć była dla niego abstrakcją traktowaną jedynie w kategoriach liczbowych. A ludzie umierali na różne sposoby - podczas trzęsienia ziemi, strzelanin, wybuchów bombowych i wypadków. Świat się kręcił. Aż w końcu nadszedł kres.

Ale...

Otworzył oczy, spojrzął na światła miasta i zadrżał z zimna. Wenecja wydawała mu się tak odległa jak jakaś fatamorgana, jak złudzenie optyczne. To ty zawarłeś wszystkie kontakty, myślał. To ty rozbudowałeś wszystkie siatki. Ty przekazywałeś instrukcje i rozkazy, ty pociągałeś za sznurki. Ty i nikt więcej tylko ty. Pragnąłeś władzy i bycia w centrum wszystkich wydarzeń. Podobało ci się przedstawianie klocków i figurek żołnierzyków.

Obracałeś się w najwyższych kręgach, jadałeś w cudownych restauracjach i ekskluzywnych klubach, gdzie właściciele przychodzili ścisnąć ci rękę i osobiście zapraszać do stolika, spacerowałeś po zacisznych przedsiionkach władzy, a chłopiec, który zaczynał życie jako podrzutek na schodach klasztoru w cholernym Poughkeepsie i którego wychowywały zakonnice, chłopiec ten umarł, został pogrzebany i przestał istnieć. Wznosiłeś się niczym rakieta nie zostawiająca za sobą żadnych śladów. Tak, tak.

Na początku było przecież tak łatwo - abstrakcyjne transakcje na papierze, dyskretne spotkania z ludźmi pokroju Rhodesa, Kinselli i Willie Caana, telefoniczne rozmowy z bezosobowymi głosami: „To-bias, wydaje nam się, że mógłbyś nam w tej sprawie pomóc, twoje kontakty mogłyby nam przynieść korzyści, chodzi o licencje na drukowanie pieniędzy”.

Wszystkie te wydarzenia wiązały się z wypadkami w odległych miastach, z wypadkami tak

oderwanymi od rzeczywistości, jak te pokazywane w kronice filmowej wyświetlanej w ciemnym kinie. Pamiętał oglądany dawno temu porysowany, stary film o brytyjskich żołnierzach zasłaniających nosy przed fetorem zgnilizny, którzy spychali ofiary obozu zagłady w Belsen do dołów, i czuł się wtedy, jakby oglądał jakąś inscenizację, mającą jedynie znikomy związek z realnym światem. On sam również nigdy tak naprawdę z niczym nie był

związany, ani z historią, ani ze sobą samym, ani z kobietami płacącymi za jego usługi. A teraz, myślał, teraz...

- Barron, zapomnij o tym. Już po wszystkim. Stało się. Pomyśl o nim jak o starej walizce, której spokojnie można pozwolić utonąć.

Tak, to prawda, musi zapomnieć. Bo cóż innego mu pozostaje? Spojrzawszy na Carlottę, zdumiał się niewinnym wyrazem jej twarzy. Jak gdyby nigdy nic, płynęła sobie na przejażdżkę po bajecznym mieście pograżonym w ciemności, a generała zupełnie wymazała z pamięci.

Dotknęła jego odzianej w rękawiczkę dłoni.

- Biedny Tobias. Nic z tego nie rozumiesz, prawda? Rządziłeś pieniędzmi i ludźmi, plotłeś gęstą pajęczynę, lecz nigdy nie widziałeś, jak to wszystko wygląda naprawdę. Dopiero teraz poczułeś zapach krwi, moje złotko.

Nad łodzią pojawił się nocny ptak, zatoczył krąg i odfrunął. Barron popatrzył na szyld baru Harry'ego i hotel Bauer Grunwald, myśląc o siedzących gdzieś tam, ubranych w garnitury Kinselli i Rhode-sie. Czekają na wejście do akcji Ślimacznicy, Rhodes popija koniak, a Kinsella odstawia gorzką whisky i przechodzi do wielkiego, komfortowego salonu, żeby być może połączyć się telefonicznie ze współnikami i kolegami, oczekującymi niecierpliwie wiadomości na Bermudach, w Coral Gables, w Waszyngtonie i wszędzie, gdzie zebrali się nieprawdopodobnie bogaci ludzie o politycznych ambicjach, ludzie pragnący wprowadzić chaos, pragnący zebrać żniwo podczas totalnego zamieszania.

Barron był jednym z nich.

Carlotta wycisnęła na jego ustach namiętny pocałunek i Barron poczuł się nieswojo - i to nie tylko dlatego, że od nocnego powietrza zmarzły jej wargi. Jakaś siła bijąca od jej ust ciągnęła go do środka, czuł na dziąsłach nerwowe ruchy jej języka, słyszał urywany oddech.

Miał wrażenie, że coś go ciągnie w otchłań grobowca. Wsunęła mu ręce pod płaszcz, a potem w spodnie, ale nic nie znalazła. Najwyraźniej pocałunek przypieczętował jego zniechęcenie.

- Toby, coś się stało? Awaria sprzętu? - odsunęła się z cichym chichotem. - Nie możesz zapomnieć, co? Za dużo jak na twoje możliwości? Popsułeś sobie humor?

Barron milczał. Spoglądał na kilwator za łodzią i myślał o generale dryfującym gdzieś na wodzie w kolorze czarnej, bezksiężycowej nocy.

- Nie przejmuj się. - Objęła go w pasie. - To tylko drobna porażka. Przejdzie ci. Wszystko mija,

wszystko ulega rozkładowi. Zapamiętaj to sobie, Barron.

Odeszła kilka kroków, oparła się o burtę i patrzyła na wodę. Wszystko ulega rozkładowi.

Była opanowana i pewna siebie.

Schialli skręcił z Canal Grandę, przycumował łódź i pomógł Car-lotcie wysiąść. Potem we trójkę podeszli do domu i Schialli otworzył kluczem drzwi. W windzie ciszę przerywało jedynie postukiwanie bloczków, na których wjeżdżała kabina. W mieszkaniu panował chłód.

Pokój, gdzie zginął generał, śmierdział płynem czyszczącym, którym Schialli usunął krew z dywanu.

Służący dyskretnie zniknął, zostawiając Barrona sam na sam z Carlottą.

- No widzisz - powiedziała, zataczając wokół ręką. - Nic się nie zmieniło. Życie toczy się dalej.

Barron nalał sobie bourbona, podszedł do kominka i jednym ruchem ręki zrzucił na podłogę wszystkie fotografie, które zamieniły się w stertę potłuczonego szkła. Marcos, Arafat, Castro, Willie Caan i wszyscy inni leżeli rozbici na podłodze.

- Chcesz się uwolnić, co? - zapytała. - Chcesz zniszczyć przeszłość, czy siebie?

Barron spojrzał na nią z drugiego końca pokoju. Przeszkadzał mu zapach chemikaliów.

Chciał coś powiedzieć, ale słowa uwięzły mu w gardle. Usiadł w fotelu, wychylił bourbona i spojrzał na porozbijane fotografie. Carlottą zrzuciła płaszcz, podeszła do niego, pochyliła się nad fotelem i macierzyńskim gestem pogłaskała go po włosach. Odwrócił od niej głowę.

- Masz skrupuły, Tobias? Dręczą cię wyrzuty sumienia? O Boże. I pomyśleć, że miałam cię za faceta, którego nic nie rusza. Za pana Zimnokrwistego w białym, nieziemskim stroju.

Myślałam, że potrafisz latać, szybować i suchą stopą przejść przez wodę. A teraz coś podcięło ci stare skrzydła. Teraz nawet nie możesz oderwać się od ziemi. Biedny Tobias. Ty nie rozumiesz, że świat z natury jest okrutny. Przecież zwierzęciu łatwiej przychodzi zadawanie cierpienia niż spontaniczne akty dobrej woli, dobroczynność czy miłość.

Spojrzał w miejsce, gdzie wyzionął ducha generał. Tam gdzie przedtem znajdowały się plamy z krwi, dywan był odbarwiony i różowawy. Carlotta stanęła przed nim, rozstawiła nogi i z podciągniętą spódnicą usiadła mu na kolanach. Czuł na udach bijące od niej ciepło.

- Toby, daj już wreszcie spokój. Dotknij mnie. - Wzięła go za bezwładną rękę, wsunęła ją sobie pod spódnicę i gładziła miękką skórę na wewnętrznej stronie uda. Gdy dotknął palcami jej krocza, odrzuciła głowę do tyłu. - No dalej, Tobie, na co czekasz, przecież chcesz mnie przelecieć, no nie? Chcesz tego z całego serca. No już, już. Zerznij mnie. Słyszysz?

Zdjęła mu płaszcz i rozpięła rozporek. Barrona przerażał fakt, że w tym przesiąkniętym śmiercią miejscu Carlotta potrafi go podniecić. Cały czas przypominał sobie wbijany i wyciągany nóż,

rozharatane ciało i starca wijącego się na dywanie. Potem w jego myślach pojawił się obraz rozniesionego w pył pociągu metra.

Carlotta ściągnęła go z fotela na podłogę. Pozwolił jej położyć się pod sobą, podciągnął jej spódnicę i nagle ogarnięty okrutną potrzebą, porozrywał bieliznę, wszedł w nią i raz za razem napierał z brutalną determinacją, bez odrobiny czułości ani uczucia, pragnąc się uwolnić od wizji okrutnego gwałtu, którego był świadkiem tu, w tym pokoju. Patrząc jej w oczy, nie widział żadnej urazy, jak gdyby mówiła: Dalej, dalej, rznij mnie, zrań mnie, jeśli myślisz, że potrafisz. A on rzeczywiście z całej siły pragnął zadać jej cierpienie. Napierał coraz silniej i głębiej, a ona prosiła tylko: „mocniej, mocniej, mocniej”, jakby nic nie było w stanie zaspokoić jej potrzeb.

Skończył w niej i legł cichy i nieruchomy. Słyszał bicie swego serca i pulsującą krew.

Mimo wyczerpania zauważył, iż leży dokładnie w miejscu, gdzie zginął generał. Widział pod sobą odbarwione smugi na dywanie. Wstrzymał oddech, Carlotta obserwowała go zdumiona, że zestawienie seksu z morderstwem wywołało w nim taki wstrząs. Zaciągnęła go w to miejsce celowo, zgodnie z planem.

Barron leżał bez ruchu, z głową przyciśniętą do szyi Carlotty. Czuł się zniewolony jej obecnością.

Po jakimś czasie wysunęła się spod niego, wstała, wygładziła spódnicę i przyklękała, chwytając go ręką za kark.

- To tutaj, to tutaj, mój kochany Barronie. Teraz lepiej to czujesz, no nie? Prawda, że lepiej? - Trzepnęła go w policzek. W tonie jej głosu wyczuł nutkę władczości.

Ociężałym ruchem podniósł się na łokcie.

Nagle znalazł się myślami w zatłoczonym londyńskim metrze, wśród zamieszek w Berlinie i przy wybuchu w Pradze. W głowie pojawiały mu się mapy szlaków, którymi statki przewoziły broń na Kubę, do Irlandii Północnej, Somalii, na Filipiny i we wszystkie te miejsca, gdzie realizował swoje scenariusze o tak miło brzmiących kryptonimach. Zdawało mu się, że tonie i zaczyna mu brakować tlenu.

Carlotta wzięła go za rękę.

- Musisz się pozbierać. Nie wolno roztkliwiać się nad przeszłością. Słyszysz? Oto lekcja numer jeden, mój mały. Nikt nie jest w stanie wskrzesić zmarłego.

Odwrócił się na plecy i spojrzał na fioletowo-różowy żyrandol z wisiorków z weneckiego szkła.

- Lekcja numer dwa. Kiedy już pogrzebałeś zmarłego, twoje życie toczy się dalej. - Wyjęła z kieszeni bluzki rosyjską kartę identyfikacyjną, którą od niego dostała, i rzuciła ją na dywan.

- A teraz załóżmy, że rozmawiamy o tej sprawie. Że rozmawiamy o tym, co przyszłość ma do zaoferowania Alisie Baranowej.

Barron podniósł gładką, laminowaną kartę. Carlotta spostrzegła, że trzęsą mu się palce.

Triumfowała nad nim i po kolei wysadzała filary, na których opierała się jego pewność siebie.

Opanował go niepokój, runęła wiara w siebie, czuł wyrzuty sumienia. Wszystkie hermetycznie uszczelnione przegrody męskości zostały naruszone.

Teraz ona objęła panowanie. A kto panuje, ten jest wolny. Wyzwoliła się spod jego jarzma, wciągając go do swego świata. Nie potrzebowała już Barrona. Pomyślała nagle o Londynie, o nożyczkach i o spływającym krwią pokoju. Zabiłam, żeby się uwolnić, żeby się wyzwolić spod panowania Barrona. Zrobiłam to dla dobra własnej osobowości. I, choć nie ma to z nim nic wspólnego, pozostawiłam po sobie znak. W zaśniedziałym ze starości, srebrnym lustrze obserwowała wtedy swą podniesioną w górę pięść zaciśniętą na nożyczkach i nagle przypomniała sobie Franka Pagana. Młodego, błyskotliwego oficera, który w sali przesłuchań nie mógł oderwać oczu od jej nóg, który eskortował ją do aresztu w hotelowym pokoju.

Pamiętała jeszcze jego zapach - tę piżmową woń wydzielaną przez mężczyzn chcących ją przelecieć - pamiętała wibracje świadczące o gotowości. Nie jest już młody i być może nie rozpiera go już taka sama żądza jak dawniej, stał się być może sflaczały, przybity i utracił

młodzieńcze ambicje. Pomyślała o napisie na abażurze. Ciekawa była, jak Pagan zareagował.

Na pewno przypomniał ją sobie i być może przywołał z pamięci także tamto pożądanie i jej gierki. Gierki, którymi nadal się zabawia.

- Powiedzmy, Tobias, że rozmawiamy o Ślimacznicy.

Jakiś czas później Barron zamknął się na klucz w gabinecie i usiadł, tępo wpatrzony w pliki najnowszych wiadomości. Czuł, że świat wymyka mu się spod kontroli i staje się tylko nieprzewidywalnym, przynoszącym same kłopoty miejscem. Z mniejszym niż zazwyczaj entuzjazmem wyciągnął faksy, a potem spojrzął na elektroniczną mapę ścienną, jakby nic z niej nie rozumiał. Czuł się niczym człowiek, który wiele lat temu rozpoczął układanie mozaiki i teraz zapomniał, czemu podjął się tego dzieła. Czuł się osaczony przez śmierć i to go przygnębiało. „Lekcja numer dwa. Kiedy już pogrzebałeś zmarłego, twoje życie toczy się dalej”.

Zadzwoił prywatny telefon. Podniósł słuchawkę z ociąganiem, jak człowiek spodziewający się złych wieści. Natychmiast rozpoznał głos.

- Mam nowe informacje dotyczące naszego przyjaciela Pagana. Barron milczał.

- Niestety, pomimo najszczerszych wysiłków nie osiągnęliśmy efektów. Ten facet chyba w czepku się urodził.

Barron rozparł się wygodniej na krześle. Migające na mapie ściennej światełka przypominały mu odległe gwiazdy.

- Muszę wycofać swoich ludzi. Nie mogę ich narażać na wpadkę. Chyba wiesz, co mam na myśli?

Tobias, teraz twoja kolej. Barron nadal milczał.

- Jesteś tam jeszcze? Barron przytaknął.
- Tobias, ty musisz się tym zająć. Rozumiesz?
- Rozumiem.
- Możesz to zrobić?
- Oczywiście.
- Bez żadnych przekrętów?
- Bez żadnych przekrętów.
- Tylko bez żadnych teatralnych gestów.
- Naturalnie, William, nic z tych rzeczy.

Połączenie zostało przerwane. Barron odłożył słuchawkę, ale tylko na krótką chwilę.

Lyon

Pagan nie lubił szpitalnych zapachów, zacisznych oddziałów ani nerwowych pielęgniarek.

Szyję zbadał mu francuski lekarz, chudy, skrupulatny człowiek, doskonale mówiący po angielsku, czym Pagana trochę drażnił.

- Ma pan szczęście, panie Pagan. Ma pan niesłychane szczęście.
- Jasne - zgodził się. - Mam szczęście jak cholera. Ale, na litość boską, nie interesują mnie jakieś powierzchowne oparzenia na szyi. Chcę wiedzieć, co się dzieje z moim współpracownikiem.

Spróbował wstać z łóżka, ale po środku przeciwbólowym był bardzo osłabiony, a poza tym rozebrano go i miał na sobie jedną z tych śmiesznych, szpitalnych koszul, których jedynym celem jest chyba tylko upokorzenie człowieka. Rozejrzał się po sali przypominającej wąską, jasnozieloną trumnę. Na ścianie na haczyku wisiały ubrania.

- Nie nazwałbym tych oparzeń powierzchownymi - powiedział doktor, spoglądając zza połówek okularów.

W wejściu pojawiła się siostra zakonna. Światło lampy stojącej na biurku lekarza odbiło się od jej krucyfiks.

- Czy ktoś powie mi w końcu, co jest z Foxworthem? - odezwał się Pagan, a siostra spojrzała na niego i zmarszczyła brwi. Była młodą, ładną Wietnamką.

- O, jest pan bardzo niesforny - powiedziała, grożąc mu palcem. Weszła do sali.

Najwyraźniej uważała, że lepiej zna się na obrażeniach Pagana niż sam lekarz. Obejrzała i pomacała gazowy opatrunek sięgający szczęki, ale Pagan prawie wcale nie poczuł jej dotyku.

Czuł natomiast, że każdy gwałtowniejszy obrót głowy lub jej pochylenie sprawia mu ból. Ale co z tego? Przecież zamiast leżeć w tym cholernym szpitalu, może po prostu chodzić wyprostowany.

- Jest pan w szoku pourazowym - mówiła siostra. - Proszę się nie przejmować, być może jutro pan wyjdzie.

- Chcę się zobaczyć z Foxworthem - powiedział. Lekarz wzruszył ramionami.

- ' Panie Pagan, pańskiemu przyjacielowi szczęście me dopisało tak bardzo.

- Co pan chce przez to powiedzieć? - W pierwszej chwili poraziła go przerażająca myśl, że Foxie mógł zginąć od pierwszej fali po-uderzeniowej, później jednak odrzucił taką ewentualność. Pamiętał, jak w karetce pogotowia pielęgniarze przykładali nieprzytomnemu Foxiemu do ust maskę tlenową. Pamiętał też szaleńczą jazdę ulicami Lyonu, wyjące syreny, a potem zgrzyt metalu, gdy wysuwano nosze z Foxworthem. Wspomnienia jednak były postrzępione i niewyraźne. Środek uśmierzający nie pozostał bez wpływu na proces myślowy.

Co jakiś czas przyływała i odpływała fala odczuć przypominających odrywanie się od własnej jaźni.

- Stał trochę bliżej okna niż pan - odezwała się siostra. W świetle lampy jej oliwkowa skóra wydawała się ciemniejsza niż w rzeczywistości. Zakonnica miała wypukłe kości policzkowe, długie rzęsy, i Pagan zastanawiał się, co pchnęło ją w objęcia Chrystusa.

- Chciałbym się z nim zobaczyć - powiedział.

- Nie wolno panu wstawać z łóżka - zauważył lekarz. Siostra okazała się bardziej uległa.

- Jeżeli podniesie się pan bardzo ostrożnie, zaprowadzę pana do przyjaciela. Proszę. -

Podąła mu rękę i pomogła wstać z łóżka. Lekarz protestował po francusku, ale siostra nie zwracała na niego uwagi. - Jeśli trzeba, proszę się o mnie oprzeć.

Objęła go w pasie i we dwójkę, wolnym krokiem, ruszyli przez pomalowany na zielono korytarz, mijając wiszące na ścianach krzyże i religijne obrazki. W szklanej gablocie stał

otoczony sztucznymi kwiatami gipsowy posążek Matki Boskiej z rozłożonymi na boki ramionami oraz z leżącą u stóp owieczką, która wyraźnie prosiła się o odmalowanie.

Zakonnica otworzyła jakieś drzwi. W przyciemnionej sali leżał wsparty na poduszkach Foxie. Jedną rękę wystającą spod pościeli miał zanurzoną w plastikowym pojemniczku z częściowo już roztopionymi kostkami lodu. Gdy Pagan podszedł do łóżka, Foxie odwrócił głowę - miał błędne

spojrzenie człowieka pogrążonego w głębokich medytacjach, suche i popękane wargi oraz rozszerzone źrenice. Z kącika ust spływała mu strużka śliny. Do zdrowej ręki podłączona była kroplówka.

- Frank, co się stało? - zapytał. - Pamiętam tylko jakiś cholerny wybuch.

Pagan usiadł na brzegu łóżka, a zakonnica dyskretnie usunęła się na bok.

- Panie Pagan, on musi odpocząć. Potrzebuje spokoju. Został ciężko poparzony.

Pagan patrzył partnerowi w twarz. Na czole, w miejscach, gdzie ogień liźnął skórę, pojawiły się czerwone plamy. Mimo wszystko również i Foxworthowi dopisało szczęście.

Gdyby ogień sięgnął kilka centymetrów niżej, mógłby stracić wzrok.

- Nie wyglądasz najlepiej, staruszk.

- Bo i nie najlepiej się czuję. Straciłem przytomność i jeszcze nie mogę się połapać.

Jesteśmy we Francji?

- Tak, we Francji. - Pagan próbował zachować koncentrację i jasność umysłu, lecz środek, który mu wstrzyknięto, musiał być bardzo silny.

- Jezu, jak mi się chce spać. - Foxworth zrobił żalostną minę.

- To przez środki odurzające - rzekł Pagan.

- Wiem, wcale się nie skarzę. Ogólnie rzecz biorąc, nie czuję się najgorzej... Właściwie nawet mógłbym z tego zrezygnować.

Pagan spojrzał na zanurzoną w lodzie rękę Foxiego. Na kilka sekund Foxworth zamknął

oczy i wydawało się, że zapadnie w narkotyczny sen, ale po jakimś czasie uchylił powieki.

- A co z Audrey Roczak? Pagan pokręcił głową.

- Powiedziano mi, że cała siła uderzeniowa poszła na nią.

- Biedula. - Podźwignął głowę i z niesmakiem spojrzał na poparzoną rękę. - Frank, co wydobyliśmy ze Streika? Powiedział nam coś? Zakonnica dotknęła ramienia Pagana.

- Musi pan już kończyć - powiedziała - pański przyjaciel potrzebuje snu. Dajmy mu spokój.

- Frank, będą mnie tu trzymać?

- Wszystko na to wskazuje. Porozmawiamy jeszcze później.

- Musieli nas śledzić, no nie? - zapytał Foxie. - Cały czas depczą nam po piętach ci cholerni Grabarze.

- Najwyraźniej.

- Proszę pana - odezwała się nalegająco siostra. Pagan z trudem wstał i w ślad za zakonnice wyszedł z sali na korytarz.

- Jak długo go potrzymacie? - zapytał.

- Trudno powiedzieć, może z tydzień. Wszystko zależy od lekarza.

Cały tydzień, pomyślał Pagan. Szedł korytarzem, powłócząc nogami w lichych, szpitalnych kapciach. Spojrzał na Matkę Boską stojącą w gablotce ze szkła, które załamując światło, zaciemniało jej łagodną twarz. Nigdy nie należał do ludzi religijnych, nie nawrócił się też cudownie w tym francuskim szpitalu, gdzie zakonnice uwijały się, gorliwie spełniając chrześcijańskie posługi, ale gdyby był wierzący, mógłby się teraz zwrócić do Madonny ze słowami wdzięczności za ocalenie i za to, że odniósł tak niewielkie obrażenia podczas wybuchu ładunku wrzuconego przez okno do pracowni Audrey Roczak. Lecz w sercu nie odzywały mu się żadne hosanny ani dziękczynne modlitwy.

- No, proszę wracać do łóżka - odezwała się siostra. Posłusznie wszedł do wąskiej zielonej sali i pod baczynym okiem zakonnicy położył się do łóżka.

- Proszę mi obiecać - powiedziała - że aż do jutra nie będzie się pan starał stąd wydostać.

- Obiecuję.

Zakonnica uśmiechnęła się i opuściła salę. Pagan leżał wpatrzony w sufit. Co wydobyliśmy ze Streika, pytał Foxie. Powiedział nam coś? Przypomniawszy sobie wybuch, pożar, płonąca sukienkę Audrey Roczak, Pagan zadrżał i zamknął oczy. Co właściwie Streik powiedział? Że przychodziły do niego pieniądze, od niego wędrowały do Harco-urta, a od Harcourta do...

Starał się odtworzyć w myśli rozmowę lub raczej to, co z niej zapamiętał, lecz miał luki w pamięci. Pieniądze, myślał, i to według Streika miliony dolarów.

Gdy opuszczał nogi przez krawędź łóżka, zaboląa go szyja. Czuł się dziwnie uduchowiony i miał wrażenie zaledwie znikomego kontaktu z rzeczywistym światem. Podszedł do wiszących na ścianie ubrań. Koszula przykrywała kaburę z pistoletem. Włożył rękę do wewnętrznej kieszeni płaszcza i wyciągnął zwinięte papiery otrzymane od Audrey Roczak.

Zabrał je do łóżka i na leżąco zaczął przeglądać. Bolały go oczy.

Pismo było bardzo równe, każda literka starannie wykaligrafowana. Najwyraźniej Streik rzetelnie prowadził księgowość, przypuszczając, że nadejdzie kiedyś dzień rozliczeń.

Spisywał wszystkie daty, nazwiska, miejsca.

Waszyngton, 6 lipca 1993, trzy torby odebrane od Montgomery Rhodesa, przypuszczalna suma -2,5 min dolarów.

Nowy Jork, 5 września 1993, dwie torby otrzymane od nieznanego mężczyzny z czarnego buicka vermont o rejestracji 865 AX7, przypuszczalna suma ~ 2 min dolarów.

Norfolk, Wirginia, cztery torby z przypuszczalną sumą okoto 4 min dolarów otrzymane od nieznannej kobiety z czerwonego chevy z rejestracją Wirginii Zach. 12RP925; 20 września 1993.

Pagan przejrzał ponad dwadzieścia kartek; na trzech występował człowiek nazwiskiem Rhodes. Streik zdawał sobie sprawę z wysokości sum w każdej transakcji, bo prawdopodobnie on ponosiłby odpowiedzialność, gdyby po drodze jakieś pieniądze zginęły.

Te zapiski miały stanowić dla niego formę zabezpieczenia, choć w końcu jednak mu nie pomogły.

Pagan zmuszał się do skupienia. Pytanie brzmi, co ja mam z tymi informacjami zrobić.

Numery rejestracyjne do niczego zapewne nie zaprowadzą, bo z całą pewnością większość samochodów była po prostu wypożyczana przez ludzi z fałszywymi dokumentami. A gdyby nawet samochody nie były wypożyczane i dałoby się dotrzeć do prawowitych właścicieli, to jakie to przyniosłoby korzyści? Ludzie dostarczający gotówkę Streikowi wyparliby się znajomości z kimś takim, a wszystkie te dokumenty uznaliby za fikcyjne. Streika, podobnie jak Grabarzy, łatwo można się wyprzeć.

I gdzie się podziała cała ta gotówka? Bez dowodów transakcji o pieniądzach nic nie wiadomo - mogły sobie orbitować wokół Słońca. Nawet gdyby ktoś zdołał udowodnić, że Streik dostarczał pieniądze Grabarzom, a zatem amerykańskiej ambasadzie, natknąłby się na przeszkodę nie do pokonania - na immunitet dyplomatyczny. W bagażach dyplomatów może przejechać wszystko, nawet pieniądze, broń czy narkotyki. A gdyby jakimś cudem ktoś udowodnił, że pieniądze docierały do ambasady i były rozrzucane „jak gnój po polu”, według słów Streika, to gdzie tak naprawdę ginęły? Paganowi brakowało konkretów. Właściwie miał

puste ręce. A więc ponieśli porażkę. Wyobrażał sobie reakcję Nimma, gdyby zaczął z nim rozmowę na ten temat, wyobrażał sobie Williego Caana wściekającego się z powodu takich pomówień, wyobrażał sobie brzęk tłuczonych filiżanek w zacisznych salach ministerstwa spraw zagranicznych. Z pewnością zostałby ośmieszony i wydalony na zawsze. „Grabarze?

Drogi kolego, rozgrzebywanie dawno zamkniętych spraw donikąd nie prowadzi”.

Oparzenia na szyi zaczynały dotkliwie piec. Zmagając się z sennością, złożył papiery Streika i przypomniał sobie jego słowa: „pokój źle wpływa na interesy”. Jakie interesy?

Żałował, że nie potrafi lepiej się skoncentrować.

Do sali weszła wietnamska zakonnica z poruszoną miną.

- Panie Pagan, przyszli do pana policjanci. Próbowałam im wytłumaczyć, że nie nadaje się pan do

przyjmowania gości, ale oni bardzo nalegają.

Żandarmeria, pomyślał Pagan. Pewnie, że nie może obejść się bez glin. Eksplozja w centrum Lyonu musiała zwrócić ich uwagę. Szybko schował dokumenty Streika pod kołdrę.

- Nie mogę ich do pana nie wpuścić - dodała siostra.

Pagan wzruszył ramionami. Czuł napływającą falę oszołomienia.

- Niech wejdą.

Zagryzając dolną wargę, zrobiła zatroskaną minę - wygląda jak anioł miłosierdzia, pomyślał - i otworzyła drzwi. Natychmiast w sali pojawili się mężczyźni o surowych twarzach. Kilku nosiło mundury.

W środku grupy stał, io, George Nimmo.

Przez chwilę Pagan z nieprzyjemnym uczuciem lawirował pomiędzy jasnością umysłu a zamroczeniem, co było wynikiem działania środka odurzającego oraz pojawienia się George'a Nimma. Podniósł głowę ku wiszącemu na ścianie krucyfiksowi, który wydał mu się tak realistyczny, jakby został sklonowany z komórki Chrystusa, a nie wy-rzeźbiony w drewnie.

- Pagan - odezwał się Nimmo.

- George, miło cię widzieć. - Pagan odruchowo dotknął opatrunku na szyi i skrzywił się.

- Co ty tu, do diabła, wyrabiasz? W coś ty się wplątał, na miłość boską? - Nimmo był

czerwony na twarzy, jakby miała go trafić apopleksja.

- Chyba podszedłem za blisko do ognia - stwierdził Pagan.

- I poważnie się poparzyłeś - rzekł Nimmo, zaciskając ze złości pięści. - Naprawdę poważnie.

Trzeba mu przyznać, myślał Pagan, że chociaż wygląd go zdradza, to nad głosem potrafi zapanować. Nimmo zbliżył się o krok i Pa-ganowi wydawało się przez chwilę, że zaraz dostanie w twarz, lecz takie działanie zdecydowanie nie pasowałoby do stylu Nimma. Nie był

człowiekiem czynu; wolał przekładanie papierów i wydawanie poleceń, lubił też, gdy ktoś mu podpowiadał, co robić. Jego bronią była biurokracja.

- Skąd się wzięłeś we Francji? Dlaczego ja nic o tym nie wiedziałem? Dlaczego o twoich lekkomyślnych eskapadach muszę się dowiadywać dopiero od francuskiej policji?

Pagan nic nie mówił. Środek odurzający pozwalał mu nie przejmować się gniewem komisarza. Bardziej zajmowały go ostatnie słowa Streika niż wrzaski George'a Nimma.

- Ci panowie - Nimmo wskazał na francuskich przedstawicieli prawa - mają podstawy, by żądać tłumaczeń. I całkiem słusznie. Nie można wpadać na czyjś teren i szerzyć tam zniszczenia. Dobrze o tym wiesz, Pagan. Ciebie też obowiązuje regulamin. Nie poinformowałeś o swoich planach ani mnie, ani tych tutaj ludzi. No bo po co? Jak zwykle musiałeś zrobić wszystko po swojemu, bez oglądania się na nikogo. Jesteś chodzącym nieszczęściem. Zostajesz odsunięty.

- Od czego?

- A jak myślisz? - Nimmo podszedł jeszcze bliżej. Zaciskał dłonie tak mocno, że zbieleły mu knykie.

- Czy mam rozumieć, że nie biorę już udziału w śledztwie? - Pagan uniósł brwi, robiąc niewinną minę.

- Nie rób ze mnie durnia. Dobrze wiesz, o co mi chodzi. Tobie nie pozwoliłbym kierować ruchem ulicznym, nie mówiąc już o prowadzeniu śledztwa w sprawie zamachu bombowego.

- Rozumiem - powiedział Pagan. Słowa Nimma w niezwykły sposób dodawały mu sił. Im więcej szef go beształ, tym lepiej się czuł i tym szybciej wracał do zdrowia. - To niedobrze.

Zwłaszcza teraz, gdy zrobiłem postępy.

- Postępy? Tak to nazywasz? - Nimmo prychnął kpiąco i zatoczył ręką po sali. - Masz powiedzieć naszym francuskim kolegom, co dokładnie robiłeś w Lyonie.

- Podążałem za tropem.

- No i? Słucham.

- Najwyraźniej komuś nie spodobało się to, co robię. - Przez ułamek sekundy kusiło go, żeby rzucić nazwisko Caana i dodać oliwy do ognia, ale się powstrzymał.

- Czy ten tak zwany trop miał coś wspólnego z twoją paranoiczną obsesją na punkcie naszych amerykańskich przyjaciół?

- George, to wcale nie paranoiczna obsesja. W każdym razie rzeczywiście istnieje związek pomiędzy śmiercią Bryce'a Harcourta i moją wizytą w Lyonie.

Nimmo rozluźnił dłonie i odwrócił się do grupy francuskich policjantów. Besztając i wyrzucając Pagana na ich oczach, odgrywał krótkie przedstawienie. Wiedział, jak grać pod publiczność.

- I ten tajemniczy ślad zaprowadzi nas do Carlotty, tak?

- Być może.

Nimmo przespacerował się w kółko z rękoma założonymi z tyłu.

- Narażając Wydział Specjalny na spore wydatki, a kolegę na poważne obrażenia, podążałeś za

jakimś niepewnym śladem, który w ostatecznym rezultacie może doprowadzić do Carlotty, a może i nie doprowadzić. Wybacz, ale nie widzę w tym wszystkim sensu.

Przez chwilę Nimmo milczał, jakby zbierając siły przed nowym wybuchem. Wbrew pozorom jednak stracił impet, wrócił do grupy francuskich policjantów i zamienił kilka słów z mężczyzną w długim, grubym płaszczu - najwyraźniej swoim odpowiednikiem w Lyonie.

Pagan znów poczuł się słabiej. I co teraz będzie? Wróci do Londynu w kajdankach George'a Nimma? Zostanie przewieziony pod eskortą na lotnisko i odesłany najbliższym lotem do domu? A potem cofnięcie pensji i banicja w mieszkaniu przy Holland Park? Jaśniejszą stroną sytuacji był fakt, że istniała jeszcze Brennan Carberry, której twarz cały czas majaczyła mu w myślach. Nie ma mowy, pomyślał pocieszony, Nimmo nie może go wyrzucić. Przynajmniej nie od razu. Głowa do góry, Frank. Rób swoje.

Nimmo zbliżył się kilka kroków do łóżka.

- Dobra, zgadzamy się.

- Kto i na co się zgadzał

- Noc przeleżysz w szpitalu, a rano jak najwcześniej polecimy do Londynu. - Podszedł jeszcze bliżej. - Ciesz się Pagan, że nie trafiłeś do paki.

- Błogosławię swój los.

- Jak wrócisz do domu - Nimmo pokręcił głową - nie będziesz miał co błogosławić.

- A co mi zrobisz? Zorganizujesz publiczną chłostę? Postawisz mnie pod pręgierzem? Już widzę te plakaty: niecny policjant poniżył swym zachowaniem komisarza.

Nimmo zignorował drwinę i wyszedł z sali, a francuscy policjanci podążyli za nim. Pagan został sam i leżał bez ruchu. Sięgnął pod pościel, wyjął papiery Streika i rzucił je na kołdrę.

Jake, przemów do mnie, myślał. Powiedz mi coś więcej. Zabierz mnie do miejsc kryjących się za tymi skrawkami informacji. Ukaż mi całość. Wstań z grobu i przemów do mnie.

Spojrzał na kartki papieru wzrokiem człowieka czekającego podczas seansu spirytystycznego na wieści z zaświatów.

Bryce Harcourt i Jacob Streik. Carlotta i bomba w metrze. Transfery dużych sum pieniędzy. Grabarze. Współudział Caana. Nie potrafił sobie poradzić z tyloma niejasnościami, jego mózg nie był w stanie tego znieść. Cokolwiek mu wstrzyknięto, działało to na zasadzie przyptywów i odpływów. Chwile jasności i koncentracji następowały na przemian z momentami znużenia i chaosu.

Jeszcze raz spojrzał na pismo Streika. Głowa opadała mu na piersi, szum w uszach usypiał.

Skoro pokój źle wpływa na interesy, myślał, to musi to być biznes czerpiący zyski z wojny i anarchii. Przypomniawszy sobie o fortunie Williama Caana, która, według Martina Burra, wyrosła na komputeryzacji systemów obronnych. Jak to powiedział wtedy Burr? Wystarczy zrezygnować z jednego pocisku, a cierpi na tym cała branża? Wszyscy dostawcy, pośrednicy, kontrahenci, ludzie z zespołów badawczo-rozwojowych również zaczynają narzekać.

Fabryki plajtują, na betonie zaczynają się pnieć chwasty, tabliczkę NA SPRZEDAŻ pokrywa grzyb, wszyscy od dobrze opłacanego dyrektora w dół zaczynają się mieć coraz gorzej.

A wszystko to dlatego, że pokój źle wpływa na interesy.

Ten wątek się urywał, a twarz Caana uleciała jak obłok dymu w ciche popołudnie. Czas przytomności minął i w głowie Pagana pozostały tylko na wpół ukształtowane myśli oraz gmatwanina hipotez. Jeszcze do tego wróć, myślał, muszę odpocząć, a potem znów się tym zajmę.

Zamknął oczy, lecz zobaczył pełną zawziętości twarz Nimma, więc natychmiast podniósł

powieki. Nie chciał się przejmować komisarzem. Nie. Jedyne, czego chciał, czego wręcz potrzebował, to była chwila rozmowy z Brennan. Właśnie takie pragnienie pojawiło się w jego zatrutym umyśle. Tęsknił za dźwiękiem jej głosu, za jej kojącym dotykiem, wyobrażał ją sobie, jak leży na łóżku w hotelowym pokoju i przyciska usta do słuchawki telefonicznej. Nie chciałbym cię martwić, powiedziałaby, ale wydarzył się mały wypadek. A może wcale by o tym nie wspomniała? Może opowiedziałaby tylko o wnioskach, do których doszedł wcześniej czyli - że ją kocha. Była to odważna deklaracja, świadcząca o tym, że jest gotów ponieść ryzyko i wszelkie konsekwencje.

Uniósł głowę. Na stoliku przy łóżku stał aparat telefoniczny. Przypuszczał, że można się z niego połączyć tylko ze szpitalną centralą, ale i tak postanowił spróbować. Podniósł

słuchawkę i ku swemu zaskoczeniu usłyszał sygnał. Dodzwonił się do centrali międzynarodowej i otrzymał połączenie z recepcją hotelu Hilton w Londynie. Podał numer pokoju Brennan. W pokoju nikt nie odpowiadał. Rozczarowany odłożył słuchawkę, opuścił

głowę na poduszkę i zaczął się zastanawiać, dokąd Brennan mogła wyjść tak późnym wieczorem. Prosta sprawa, pomyślał. Była w teatrze, bo tam chodzą wszyscy Amerykanie przyjeżdżający do Londynu, a teraz siedzi przy drinku w nocnym barze i rozmyśla o nim.

Skoro to takie logiczne wytłumaczenie, to dlaczego ogarnął go niepokój?

Znów zachciało mu się spać, lecz obraz Brennan i jej pustego pokoju nie pozwalał mu zasnąć. Z optymizmem człowieka zakochanego jeszcze raz wykręcił numer do hotelu Hilton.

Znów w jej pokoju nikt nie odbierał słuchawki. Zostawił u recepcjonistki wiadomość i z powrotem zamknął oczy. Obraz Brennan nie znikał. Spróbował sobie przypomnieć, czy Roxanne opętała go równie mocno, ale nie potrafił przywołać przeszłości. Co rusz zapadał w płytki sen, chociaż starał się z tym walczyć. Musi sobie wszystko przemyśleć, a więc musi zachować przytomność. Kim, do diabła, jest ten Rhodes, który zaprzętał myśli Streika na łożu śmierci? Ta sprawa wydała mu się

najpilniejsza do wyjaśnienia. Jego otępieły umysł

całkowicie opanował Rhodes.

Jeszcze raz sięgnął po słuchawkę i wykręcił numer do Billy'ego Ewinga przy Golden Square. Szkot był w paskudnym humorze.

- Frank, gdzie ty się, do diabła, podziewasz? Tu się odbywa prawdziwy przewrót pałacowy.

Gladstone i Wright zajęli twój gabinet, przeglądają twoje notatki i rozwalają wszystko, co im się napatoczy. Nawet wzięli mnie na przesłuchanie. Zachowywali się jak gestapo: „O czym ci mówił Pagan? Jakie masz przed nami tajemnice?” A teraz te skurwiele ze świty Nimma buszują po całej siedzibie. Jezu Chryste.

- Billy, potraktuj to jak koniec pewnej krótkiej epoki - rzekł Pagan. - Mam dla ciebie drobne zadanie.

- Słuchaj, kazali mi dać znać, gdy tylko się ze mną skontaktujesz...

- Ale nie zrobisz tego, no nie?

- A jak myślisz?

- Znajdź mi dane o niejakim Rhodesie. O Montgomerym Rhode-sie, to Amerykanin. Może coś mamy na jego temat. A potem mi gmem dzwoń do mnie pod numer... - Pagan spojrział na aparat telefoniczny i podyktował Ewingowi numer. - Nie znam kierunkowego do Lyonu, więc musisz sam sprawdzić.

- Frank, zrobię co w mojej mocy, ale sprawy tak się mają, że nawet nie wiem, czy dostanę dopuszczony do komputera bliżej niż na sto metrów. Oni go opanowali. Zresztą tak jak wszystko. Czuję się tu jak podczas jakiejś inwazji.

- Spokojnie, Billy. Zrób, o co proszę.

- Nie odkładaj jeszcze słuchawki. Jest dla ciebie wiadomość od Zuborica z Nowego Jorku.

Cholernie marudny facet.

Pagan prawie zupełnie zapomniał o Zuboricu. Zamknął oczy.

-1 co tam?

- Przeczytam ci dosłownie.

Ewing czytał wiadomość oficjalnym, pozbawionym emocji tonem. Nie, nie, nie, myślał

Pagan, Zuboric musi się mylić. Przecież to nie ma sensu. Przekręcił nazwisko albo to błąd komputera. Nie, nie. Poprosił o powtórne przeczytanie wiadomości, lecz zanim Billy zdążył

spełnić prośbę, połączenie zostało przerwane - przez operatora sieci w szpitalu lub, co bardziej prawdopodobne, przez dyżurnych prowadzących podsłuch w siedzibie przy Golden Square. Pagan opadł na poduszkę i znów zamknął oczy. Czasami komputerom coś się pokręci, do oprogramowania wkradają się przecież chochliki, wirusy krążą po łączach - i zawsze wtedy wychodzą z komputera informacje fałszywe lub spaczne. Czasami informatyk źle wklepie dane, czasami psuje się klawiatura i powstają literówki. Ciągłe się słyszy o takich wypadkach. To tu, to tam mówi się o błędach, o bankowych przelewach na konta niewłaściwych osób, o rachunkach za pobór energii elektrycznej opiewających na niebotyczne sumy. Każdy zna horrory z udziałem komputerów...

A wiadomość od Zuborica...

Wiadomość od Zuborica też musi być taką pomyłką. Dezinformacją - oto właściwe określenie.

Z jakichś jednak powodów wiedział, że jest inaczej. Wiedział to od samego początku. Cały czas trzymał zaciśnięte powieki i nie chciał ich podnieść. Wcale nie chciał myśleć.

- Frank...

Przekręcił głowę i oblizał spierzchnięte wargi. Popadł w dziwny stan, kiedy granica dzieląca rzeczywistość od fantazji się zaciera, kiedy człowiek zaczyna sobie zdawać sprawę, że nie ma ważnej wizji ani do świata snu, ani do świata jawy. Niemniej jednak palce dotykające grzbietu jego dłoni były jak najbardziej prawdziwe, podobnie zresztą jak szept oraz światło lampy migoczące na włosach zaczesanych do tyłu tak starannie, że ani jeden kosmyk nie opadał na twarz. Siedziała na brzegu łóżka. Była ubrana w czarną skórzaną kurtkę, czarny podkoszulek i jasnoniebieskie dzinsy. Wydała mu się równocześnie surowa i piękna, i pomimo okrutnej wiadomości od Artie Zuborica, gwałtownie zapragnął jej dotknąć.

- Frank...

Chciał wymówić jej imię, lecz nagle zdał sobie sprawę, że w ostatnich sekundach świat się zmienił i nie wiadomo, jak to imię brzmi.

- Zginęłaś w wypadku na nartach w Yermont, w 1988 roku. Skręciłaś kark podczas zjazdu.

Zgon na miejscu. Brennan Carberry nie istnieje.

Wenecja

Osiem minut przed trzecią nad ranem na lotnisku Marco Polo wylądował samolot z Londynu. Z pokładu zszedł po trapie otoczony chmarą ochroniarzy Gurienko i został

odeskortowany do samochodu, który podwiózł go kilkaset metrów do przystani. Wszystko odbywało się w oszałamiającym tempie i przypominało jakiś szalony taniec. Prezydent wysiadł za Budionnym i znalazł się w otoczeniu goryli ze słuchawkami w uszach oraz mikrofonami w klapach marynarek. Tworzyli oni coś na kształt kręgu sunącego pomiędzy tłumem dziennikarzy i fotoreporterów, którzy nie mieli szans dostać się w pobliże prezydenta.

Gurienko został wsadzony na łódź otoczoną tuzinem mniejszych łódek z włoskimi i rosyjskimi ochroniarzami.

Kiedy się już usadowił w luksusowej kabinie na łodzi i zapalił papierosa, zapragnął po raz pierwszy spojrzeć na Wenecję, lecz wiecznie czujny Budionny stanowczo odradził mu odsuwanie zasłony, gdyż to mogłoby go niepotrzebnie narazić.

- Na co narazić? - zapytał Gurienko.

- Nigdy nic nie wiadomo - odparł Budionny.

Prezydent z niezadowoleniem wydmuchnął dym. Całe życie pragnął obejrzeć światła nad Canal Grandę, a teraz odmawiano mu tej przyjemności. Mijali pałace Loredan, Farsetti, Grassi, Ca' Foscari - a jemu nie wolno było odsunąć zasłony i popatrzeć. Poczul się jak kochanek, któremu zabroniono spojrzeć w twarz najdroższej.

Zaczął chodzić po zasłoniętej kabinie tam i z powrotem. Miał wrażenie, że podróżuje w zalakowanej puszcze i taka ostrożność stanowi lekką przesadę. Zgasił papierosa.

- Czuję się jak w klatce - powiedział. - To mnie strasznie frustruje.

- Wydaje mi się, że dokładnie wiem, co czujesz - uśmiechnął się Budionny.

- Za czasów studenckich marzyłem, żeby pojechać właśnie do Wenecji. Nie do Londynu czy Paryża, ale właśnie do Wenecji... W czasach, kiedy ciężko było u nas z wyjazdami za granicę, zaczytywałem się w historii tego miasta, oglądałem zdjęcia i albumy malarstwa.

Ciągnęło mnie tu. A ty mi teraz, Budionny, nie pozwalasz wyjrzeć przez okno.

- Jestem za ciebie odpowiedzialny. Poza tym będziesz jeszcze miał szansę obejrzenia wszystkiego, co zechcesz. Teraz usiądź sobie i bądź cierpliwy. - Budionny otworzył

broszurkę z wypisanym na maszynie harmonogramem wizyty. - Lunch z włoskim premierem i członkami gabinetu. Potem spotkanie w cztery oczy z premierem, który właściwie wolałby spotkać się z tobą w Rzymie, ale okazał wyrozumiałość dla twoich zamiłowań artystycznych.

Po spotkaniu krótka wycieczka po Wenecji, a wieczorem Berlin.

Krótką wycieczką, myślał Gurienko, jak jakiś turysta. A on pragnął rzeczy prawdopodobnie niemożliwej - wystarczającej ilości czasu do obejrzenia w Wenecji wszystkiego. Nawet w Londynie podczas spotkania z surowym premierem, a potem podczas dwóch godzin spędzonych w towarzystwie amerykańskiego ambasadora Caana, kiedy to usłyszał od tego przymilnego człowieka, typowego wytworu Nowego Świata, zapewnienia o priorytetowej pozycji rosyjskich reform w polityce zagranicznej Stanów Zjednoczonych, cały czas rozmyślał o Wenecji. Później w czasie kolacji z francuskim prezydentem w Paryżu, gdzie z udawaną pewnością siebie mówił o przyszłości Rosji, przyłapał się na odpływaniu myślami do miasta Vivaldiego. Kiedy Francuz rozpytywał o kwestie społecznego poparcia dla nowej konstytucji rosyjskiej, Gurienko krążył myślami daleko od

Paryża.

Przez chwilę przyglądał się Budionnemu. Ubrany w szary garnitur, białą koszulę i jaskrawy jedwabny krawat, bardzo się różnił od starego Wasilija. Gdyby spojrzeć na zdjęcie Budionnego sprzed dziesięciu lat. ujrzałoby się człowieka zupełnie innego - szarego działacza partyjnego w wypchniętych portkach. Teraz prenumerował londyńskie i nowojorskie magazyny mód, po zakupy wyjeżdżał za granicę -do Paryża, Amsterdamu i Mediolanu - i zawsze powracał obładowany pudełkami z koszulami, garniturami i butami. Wprawił sobie też sztuczne zęby pasujące do strojów i przeszczepił włosy. Ostatnio zrobił się z niego prawdziwy dandys, pomyślał Gurienko. Budionny nigdy nie potrafił zrozumieć, dlaczego Wenecja ma być tak atrakcyjna. Prędzej można by się doczekać upałów na Syberii niż wyjaśnić mu, na czym polega urok tego miasta. Jego życie wypełniały przeładowane harmonogramy zajęć i ciągły niepokój. Był jak zahukany człowiek wiecznie łypiący oczami na boki.

Łódź zwolniła, silnik umilkł, kadłub uderzył o nabrzeże. Gurienko znów znalazł się w istnym pancerzu z ludzi; został odeskortowany do pomostu, a potem pod osłoną parasoli odprowadzony do hotelowego foyer. Miał ograniczone pole widzenia i zaledwie rzucił okiem na marmury, żyrandole i gruby czerwony dywan. Nagle przypomniał mu się czytany jeszcze na uniwersytecie, pochodzący z lat dwudziestych fragment wiersza Maxa Eastmana: Jedynym zagrożeniem jest sam strach. Ten piszący po rosyjsku i angielsku stary nowojorski bolszewik miał rację, a Budionny i jego bufoni z ochrony nigdy nie czytali tego wiersza.

Zamknęły się drzwi i winda pojechała na najwyższe piętro mieszczące pokoje oraz apartamenty w całości zarezerwowane dla rosyjskiej delegacji. Tam zostanie uwięziony aż do czasu, kiedy znów będzie wypadało pokazać się światu.

W windzie, wciśnięty pomiędzy Budionnego a jego goryli, poczuł zawrót głowy. Drzwi otworzyły się posuwistym ruchem, w holu czekał na nich kierownik ze sztucznym powitalnym uśmiechem i służalczym gestem wskazał im drogę. Jesteśmy dumni, że zechciał

się pan zatrzymać właśnie u nas i tak dalej, i tak dalej. Gurienko skinął głową, odwzajemnił

oficjalny uśmiech i czym prędzej ruszył do swojego apartamentu, składającego się z dwóch sypialni, dwóch łazienek oraz salonu z mnóstwem kwiatów, koszów z owocami oraz winem chłodzącym się w srebrnym kubałku.

Pod kierunkiem Budionnego ochroniarze sprawdzili dokładnie wszystkie pomieszczenia, powtarzając po raz kolejny te same czynności wykonane już przed przybyciem prezydenta.

Badali apartament elektronicznymi urządzeniami, sprawdzili telefony, spróbowali wybranych na chybił trafił owoców, napili się wina, przeszukali bukiety z kwiatami. Co właściwie spodziewali się znaleźć? Nadajniki schowane między płatkami? Ładunki wybuchowe w łodygach? Wreszcie odeszli usatysfakcjonowani lub raczej - jak się po nich można było spodziewać - prawie usatysfakcjonowani. Zdumiony ich zapałem i niemym oddaniem Gurienko został sam na sam z Budionnym. Zmęczony rozsiadł się na sofie i położył nogi na oparciu.

Przypomniał sobie inny fragment wiersza Eastmana. Lecz oni są słabi i płytkie ich czuwanie. Chciał zacytować ten fragment Budionne-mu, ale w świetle szefa prezydenckiej ochrony poezja zupełnie się nie liczyła, była tylko luksusem paru postrzelonych dziwaków z minionej epoki.

Budionny nacisnął guzik telewizyjnego pilota. Na ekranie pojawiła się grupa tancerzy w błyszczących ubiorach - radośni młodzieńcy w strojach toreadorów oraz długonogie dziewczyny w króciutkich spódniczkach. Właśnie takie pikantne przedstawienia najbardziej go bawiły. Gurienko znów poczuł się rozgoryczony. On siedzi tutaj przy jakimś idiotycznym programie telewizyjnym, podczas gdy dookoła rozciąga się miasto będące jednym wielkim dziełem sztuki, wytworem ludzkiego geniuszu. Kolejna stracona szansa. Co za życie...

- Pięknie, pięknie, całkiem nieźle - mówił Budionny wpatrzony w tańczące dziewczęta.

Gurienko wziął pilota i wyłączył telewizor.

- Ale nie dla mnie - powiedział. Budionny roześmiał się.

- Każdy powinien doceniać urodę ładnych dziewczyn. Moim zdaniem to właśnie one są prawdziwymi dziełami sztuki, a nie stare płótna wiszące na zagrzybionych ścianach.

Patrząc w martwy ekran telewizora, Gurienko doszedł do wniosku, że dusza Budionnego to przypadek nie do odratowania.

- Czy harmonogram uwzględnia odwiedzin w Scuola Grandę di San Rocco?

- Ależ oczywiście. Myślisz, że lekceważę twoje prośby? - szef ochrony udał obrażę. Był

świetnym aktorem z szerokim repertuarem przesadnych min.

- Chciałem się tylko upewnić - powiedział Gurienko. Nazajutrz będzie miał przynajmniej okazję znaleźć się w Scuola przed płótnami Tintoretta - choć zabraknie mu czasu na dłuższą kontemplację. Ale przynajmniej zobaczy je na własne oczy. „Pokłon Trzech Króli”,

„Ucieczkę do Egiptu” i „Rzeź niewiniątek”.

Budionny ziewnął, zakrywając usta dłonią.

- No, muszę się trochę przespać, zostawiam cię samego. W razie czego, mam pokój tuż obok.

Gurienko popatrzył za nim i powiedział dobranoc. Kiedy został sam, rozebrał się, otworzył

walizkę i wyjął z niej brązowy płaszcz kąpielowy. Później położył się na łóżku, wziął mały przewodnik po Wenecji i odszukał strony poświęcone Scuola. „Ukrzyżowanie” jego skromnym zdaniem to najlepsze dzieło malarza. Poza tym jeszcze „Zbieranie manny” i „Wąż miedziany”. Wiedział, że doświadczy tego samego uczucia, co zawsze podczas obcowania z dziełem geniusza - podziwu, spokoju serca i ukojenia myśli. Dzięki wielkiej sztuce można spojrzeć na wszystko z dystansem; ona też przypomina o moralności.

Zamknął przewodnik, wyjął małą plastikową fiolkę i zgodnie z zaleceniem Świetlany połknął dwie tabletki multiwitaminy.

Wasilij Budionny przekręcił klucz w drzwiach swego pokoju. Energicznym ruchem zatarł ręce. Czuł, że ma wysokie ciśnienie, że serce bije mu zbyt mocno i zbyt szybko. Podczas lotu z Paryża wyszedł do toalety i zażył łagodny lek uspokajający. Wtedy też tak długo oglądał swe odbicie w lustrze, aż poczuł się nieswojo. Wydało mu się, że widzi w lustrze obcą twarz.

W jaki sposób historia wypowie się o Wasiliju Budionnym? Będzie go oczerniać czy gloryfikować? A może będzie o nim milczeć? Może nigdy nie zostanie ujawniona jego rola w wydarzeniach, a prawda wyjdzie na jaw nie wcześniej niż po upływie stulecia? Jakież to ma znaczenie?

Badanie historii to sprawa ludzi, którzy się jeszcze nie narodzili. Nawet w chwili gdy on przegląda się w lustrze, gdzieś w obcym mieście, na przykład Mińsku, w jakimś łóżku kopuluje para ludzi, sperma przepływa z mężczyzny do kobiety, następuje zapłodnienie jajeczka i powstaje embrión. Ten embrión w przyszłości może stać się historykiem, rzutkim, młodym człowiekiem, który postanowi napisać pracę doktorską o życiu i czasach Wasilija Budionnego. Nieważne, czy będzie to praca demaskatorska, czy też opis bohaterskich czynów. On z całą pewnością służy ojczyźnie.

Ułożył się na sofie, zrzucił buty, włączył telewizor i z przyjemnością oglądał tańczące dziewczyny. Zgrabne tyłeczki, myślał. Biedny Gurienko - na pewno byłby szczęśliwszy jako administrator na jakiejś zabitej dechami prowincji, gdzie wieczorami mógłby pisać wiersze i zgłębiać tajemnicę ciem przyciąganych do światła biurkowej lampy.

Lyon

To ty, kurwa, jesteś? - zapytał Pagan. Patrząc na twarz dziewczyny, myślał o tym, że pewnych rzeczy nie da się pojąć od razu, lecz potrzeba do tego czasu i dystansu. Trzeba się znaleźć z daleka od epicentrum wybuchu, żeby ogarnąć ogrom wyrządzonych szkód.

Dziewczyna przyglądała mu się z poważną miną.

- Nie ufasz mi - odezwała się. - Pewnie nie mogłeś się powstrzymać, żeby mnie nie sprawdzić, co?

- Stare nawyki.

- I to bardzo złe - powiedziała cicho.

Prześladował go zapach spalonej terpentyny i płonących płócien. Nie potrafił zapanować nad wirującymi myślami. Przypomniała mu się namiętność, jaka ogarnęła ich w łóżku.

Głupiec z ciebie, mówił w duchu. Taki stary, a jeszcze sentymentalny. Samotny człowiek zbyt beztrosko poczyną sobie z resztkami uczuć.

- Kim jesteś? - zapytał ponownie.

-A jak myślisz?

- Bądź tak dobra i oszczędź mi zagadek.

Milczała. Najwyraźniej zbierała myśli i chociaż wyglądała tak jak zwykle, Pagan miał

wrażenie, że zachowanie spokoju kosztuje ją mnóstwo wysiłku. Był wyczulony na niepokój innych ludzi. Na swój widocznie w mniejszym stopniu - rzucił się na ślepo w romans z tą dziewczyną, ugrzązł po uszy, a gdy postanowił ją sprawdzić, było już za późno. Na usta cisnęły mu się pytania. Ojej tożsamość. O to, skąd się dowiedziała, że on jest w Lyonie.

Dlaczego kłamała. O słodkie słówka i całą tę fasadę.

- Personalia Brennan Carberry miały być ułatwieniem - powiedziała. - I spełniły swoje zadanie.

- Zdobyłaś świadectwo urodzenia zmarłej dziewczyny i pod jej nazwiskiem wystąpiłaś o paszport. - Pagan usłyszał swój oschły ton maskujący wewnętrzną wściekłość.

- Falszywe papiery - powiedziała. - Sam wiesz, jakie to łatwe. Wystarczy jeden telefon i już otrzymujesz świadectwo urodzenia. A reszta jest już dziecinnie prosta.

Tak, myślał, dziecinnie prosta. Na ułamek sekundy przypomniał sobie jej ciało na łóżku w pokoju hotelowym. Obraz ten jednak dotyczył jakby kogoś zupełnie innego, jakiegoś drugiego Franka Pagana. Nagle poczuł się wyzuty z wszelkiej energii. Jak gdyby ktoś, przecinając przewody, spowodował wyłączenie systemów zasilających.

Dziewczyna chciała pogłodzić go po przedramieniu, ale on szybko zabrał rękę.

- „Powiedz mi, że to coś więcej niż tylko przelotny romans. Nie zniósłabym rozczarowania.

Nie poradziłabym sobie ze złamanym sercem”.

- Dobrą masz pamięć - powiedziała. Sięgnęła po dużą, skórzaną torebkę. Położyła ją sobie na kolanach, otworzyła i wsunęła dłoń do środka.

- Niektóre rzeczy zapamiętuje się łatwo - powiedział. - Zwłaszcza bajery. - Nagły przyptyw goryczy uświadomił mu poniesioną klęskę.

- Wcale tak nie myślisz, prawda?

- Miałaś kiepski scenariusz. Kto ci pisał kwestie? A może sama improwizowałaś pod wpływem chwili? - Wyrzucał sobie, że okazuje złość, lecz czegoż innego można było się spodziewać? Że pozostanie obojętny? Nie potrafił się opanować. Okłamała go i to o wiele bardziej niż tylko podając się za zmarłą kobietę. Skąd wiedziała, gdzie go znaleźć? Co tu się dzieje na tej szpitalnej sali w zalanym deszczem francuskim mieście?

Patrzyła mu prosto w oczy. Dostrzegł w jej spojrzeniu jakieś rozrzewnienie. Zapragnął, aby było

prawdziwe, lecz zaraz się opamiętał. Ta kobieta jest oszustką i dobrą aktorką. Składa się z samego fałszu. Nie warto pamiętać o niczym innym.

Jedną rękę cały czas trzymała w torebce, jakby zapomniała, po co ją tam włożyła.

- Wszystko zostało zaplanowane - mówił. - Od samego początku. Mam rację?

- Zbyt szybko...

- I to, że wjechałaś na mój samochód, i to jak wkroczyłaś w moje życie, i to, w jaki sposób manipulowałaś moimi... uczuciami. Wszystko to zostało ukartowane. Wszystko to znalazło się w tym samym, cholernym scenariuszu. Robiłaś sobie wcześniej próby? Powtarzałaś swoje kwestie przed reżyserem czy przed kimś innym, kto tym wszystkim dyryguje? „Frank Pagan to łatwizna. Długo był sam, więc łatwo będzie go poderwać. Wystarczy dodać odrobiny blasku do jego mrocznego życia. Jasne, możesz go zaciągnąć do łóżka i męczyć tak długo, aż zacznie bzdurzyć o miłości”. - Teraz już całkowicie dał się ponieść wściekłości. Zauważył, że napędza go nie proste, pojedyncze uczucie, ale mieszanina emocji - żalu, cierpienia i upokorzenia.

- Owszem, tak się zaczęło. - Uśmiechnęła się lekko. - Ale polubiłam cię. Obudziły się we mnie niebezpieczne uczucia, których wcale nie było w planie.

Uczucia, powtórzył za nią w myśli. Nawet teraz miał ochotę dotknąć jej i usłyszeć, jak mówi: „Ej, ja tylko żartuję. Okrutny dowcip, ale dowcip. Ha, ha, ha, Frank, niech nasze życie toczy się jak dawniej”. Wiedział jednak, że będzie inaczej.

- Kto ci wydawał polecenia? Kto pociągał za sznurki i wprawiał cię w ruch? Kto ci kazał odgrywać tę rolę? Kto się za tym wszystkim kryje?

Nie odpowiedziała.

- Frank, chciałabym, abyś wszystko zrozumiał. - Wyjęła z torebki jakiś dokument i położyła go na kołdrze. Pagan nie miał zamiaru tego oglądać, cokolwiek to było.

- Przyjrzyj się temu - powiedziała.

Ani drgnął. Gdzieś w głowie usłyszał złośliwe zatrzaśnięcie drzwi i przekręcany w zamku klucz. Nigdy nie zamierzał ich już otwierać.

- Popatrz na to...

Powolnym, niepewnym ruchem sięgnął po dokument. Był to amerykański paszport.

- No i co z tego?

- Zajrzyj do środka.

Otworzył paszport na stronie, gdzie znajdowała się jej fotografia. Wyglądała młodo i niewinnie, patrzyła prosto w obiektyw aparatu, na jej buzi nie widać było ani krzty fałszu.

Osobie o takiej twarzy nie można było nie wierzyć. I zaufałem jej, pomyślał.

Podniósł wzrok i przyglądał jej się bez słowa.

- Przyjrzyj się dokładniej - powiedziała.

Nie bardzo wiedział, o co jej chodzi. Znów spojrzał na zdjęcie i jego wzrok padł na nazwisko właścicielki paszportu. Był jednak w takim stanie, że nazwiska zupełnie się dla niego nie liczyły; przecież można je zmieniać do woli.

Wypowiedział je na głos i coś mu się nie zgadzało.

Dziewczyna patrzyła w oczekiwaniu. Jeszcze raz powtórzył przeczytane imię i nazwisko.

Katherine Cairney. Gdy człowiek długo powtarza jakieś słowa lub je rozbiera na części, zaczynają one tracić jakikolwiek związek z rzeczywistością. Katherine Cairney. Być może jest to zbyt trudny do rozwiązania anagram?

- Ty zabiłeś mojego brata, Frank.

Brata... To go zaskoczyło. Słowa miewają czasami różnorakie znaczenia.

- Moim bratem był Patrick Cairney. I ty, właśnie ty, Frank, go zabiłeś.

Patrick Cairney - Jig.

Pagan osunął się na poduszkę, paszport wypadł mu z ręki. Marzył o jakimś lekarstwie, które oswobodziłoby go z tego koszmaru.

- Moim zadaniem było mieć cię na oku. Chciałam cię tylko poznać i dowiedzieć się o wszystkich czynach i słowach brata. Pragnęłam za twoim pośrednictwem zdobyć informację o nim i dostać się do jego duszy... a reszta... reszta przyszła sama, bo ciągnęło mnie do ciebie.

Pewnie, że cię ciągnęło, pomyślał - jak kruka do padliny. Krew na mokrej drodze, gorączkowe machanie skrzydeł i szpony zaciskające się na zwłokach.

- A więc wykonywałaś zadanie?

- Zgadza się.

- Dla kogo?

- Nieważne.

- Dla mnie ważne.

- Teraz to już się nie liczy - pokręciła głową. - Sytuacja się zmieniła. - Wyjęła z torby mały pistolet z przykręconym tłumikiem. Pagan spojrział na broń i wydała mu się ona plastikową zabawką, jego myśli zapędziły się gdzieś w ślepą uliczkę. Wycelowwała w niego lufę, a on na chwilę odwrócił głowę.

- Ja mam być zabity - powiedział - a ty zostałeś wyznaczona do wykonania egzekucji.

Zacisnęła dłoń na pistolecie. Pagan przesunął się w jej stronę.

- To, co ci ktoś naopowiadał, że ja zabiłem twojego brata, jest gównem warte.

- Ależ oczywiście, że go zabiłeś, Frank. Ty go wytropiłeś, ty go złapałeś i ty pociągnąłeś za spust.

Twarz dziewczyny, której się teraz przyglądał, twarz Katherine Cairney wydawała mu się zupełnie obca.

- Posłuchaj mnie uważnie. Owszem, tropiłem Patricka, miałem za zadanie aresztować go, ale na tym koniec. Ostatnia rzecz, jakiej mógłbym pragnąć, to była jego śmierć. Chociaż był

najgroźniejszym człowiekiem z IRA, nie zabiłbym go. Na miłość boską, przecież zastrzeliła go jego własna macocha.

Opowiadałem ci już o tym w innym świecie, pomyślał.

- Jezu, Frank, ciągle mi wyjeżdżasz z tymi bujdami. Tak brzmiała wersja oficjalna, dzięki niej opinia publiczna czuła się usatysfakcjonowana, a policja i FBI miały czyste ręce. Ale to była jawna mistyfikacja. I ty ciągle wciskasz mi takie bzdury...

- Kto ci naopowiadał, że go zabiłem? Dla kogo ty pracujesz? Kto ci płaci?

- Tu nie wchodzi w grę żadne pieniądze.

- A więc pracujesz za darmo, tak?

- Pracuję dla Sprawy.

- Ach, oczywiście, dla Sprawy, wybacz, że na chwilę o niej zapomniałem. Szlachetna Sprawa przez duże S. Sprawa Patricka Cairneya. - Pagan zmuszał się do ironii. Na chwilę zamknął oczy. Wszystkie skojarzenia rozchodzą się od jakiegoś centralnego punktu, jedne kręgi podążają za innymi i wywołują migotanie. Tylko że nie mógł wykryć miejsca, gdzie załamuje się lustro wody i powstają fale. Jeśli ona pracuje dla tak zwanej Sprawy, to jak się do tego mają Grabarze? Kto ją wysłał do Lyonu? Ambasador William Caan? Słodki Willie nie potrafił zapanować nad sytuacją za pośrednictwem Nimma, więc zwrócił się do dziewczyny. Pagan trochę się zagalopował, mógł uznać Caan. To bardzo możliwe...

Wydawało mu się, że został skazany na szukanie w zdezorganizowanym świecie nieznanych powiązań, które nigdy nie dadzą się uchwycić.

Dziewczyna przesunęła pistolet lekko do przodu, jak gdyby jakaś siła od tyłu popchała jej rękę. Pagan patrzył jej prosto w oczy.

- Potrafisz zabijać?

- Chyba tak.

- Do tego potrzeba czegoś więcej - mówił. - Musisz być pewna na sto, a nawet więcej niż na sto procent. Masz taką pewność? - Spojrzał na ścianę, gdzie wisiał jego płaszcz, a pod nim kabura z pistoletem. Nie miał jednak najmniejszych szans dostania się do płaszcza, zanim dziewczyna pociągnie za spust.

- Tak, mam taką pewność - powiedziała.

Zastanawiał się, czy w jej głosie brzmi stanowczość, czy tylko brawura. Nie potrafił

odpowiedzieć sobie na to pytanie. Potrzebował miejsca, potrzebował przestrzeni do wykonania manewru i sprawdzenia zdolności dziewczyny.

- Brennan, Katherine, czy kim ty tam jesteś, w co ty się, do diabła, wplątałaś? Pracujesz dla Sprawy. Dla starej, dobrej Sprawy polegającej na mordowaniu. Pozwól, że zgadnę.

Regularnie płaciłaś datki NORAIID lub jakiemuś innemu zbierającemu fundusze ugrupowaniu, które specjalizuje się w poruszaniu miękkich serc Irlandczyków na wygnaniu.

Kiedyś przy okazji wciągnęli cię do aktywnej działalności i teraz się okazało, że masz zabić człowieka z powodu jakiegoś absurdalnego kłamstwa, że jakoby zabił on twojego brata. Cóż, przykro mi z powodu Patricka, ale nie ja go zabiłem.

Pagan przerwał, choć wiedział, że musi mówić dalej, ponieważ dopóki ona słucha, dopóty on będzie żył. Prosta sprawa.

- Gówno prawda - powiedziała. - Nie zgadłeś, Pagan.

- Nie? No to spróbuję jeszcze raz. Przerwij mi, jeśli się mylę. Zastrzel mnie, gdy przekroczę granice. Wydaje mi się, że wszystko wygląda tak. Młodą dziewczynę wychowywał ojciec, który, tak się złożyło, należał do najważniejszych amerykańskich sponsorów IRA. Opowiadał o dawnej chwale, o twardej walce o wolność i dorzucał się do wielkanocnej kwesty, bo to zawsze wywołuje przyspieszone bicie serca. Boże, co za wspaniałe rzeczy. Towarzysze broni, bojownicy, twardzi, odważni mężczyźni. Karmił cię martyrologią, opowiadał stare historie o bohaterach zabijanych z zimną krwią przez Brytyjczyków. Może nawet brał cię na kolana i uczył pieśni buntowników. Może byłaś jak mała Shirley Tempie i wyśpiewywałaś niezrozumiałe dla siebie słowa.

- Nie trafiłeś, mylisz...

- Tylko że stare pieśni mijają się z rzeczywistością, nie mają nic wspólnego z ludźmi umierającymi w Anglii lub Irlandii, prawda? W każdym razie w najmłodszych latach przeszedłś dogłębną indoktrynację - dokładnie tak samo jak twój brat - i wyrastałaś z wiarą we wszystkie te bzdury, którymi cię karmiono. A teraz ktoś posługuje się tobą jak narzędziem.

Naciągając prawdę, próbuje cię wmanewrować w morderstwo. Wiesz co? Patrząc na ciebie i widząc miłą, skrzywdzoną dziewczynę, która nie ma pojęcia, co robi.

- To ty, Pagan, nie masz o niczym pojęcia. Za dużo myślisz. Masz się za cwaniaka, co? -

Przycisnęła mu pistolet do piersi, a on przechylił głowę i patrząc na tłumik, zastanawiał się, czy nie przeholował i nie powiedział więcej, niż to dla niego bezpiecznie. Panowała delikatna równowaga i nie wiedział, w którą stronę można się poruszyć. Serce waliło mu jak młot.

- Ja cię o nic nie obwiniam - mówił. - Ty na to nie masz wpływu. Przeszedłś pranie mózgu i teraz mózg musi wyschnąć...

- Zamknij się.

- Nie wiesz, w jaki sposób zdystansować się od starych opowieści taty, co? Jesteś więźniem historii, która nigdy nie była tak romantyczna, jak uważał twój ojciec. Była raczej okrutna i niewdzięczna, i zbyt wielu ludzi zginęło bez powodu. Poza tym, złotko, mamy jeszcze jeden paradoks. Ty nawet nie jesteś Irlandką. Jesteś Amerykanką i znasz Irlandię tylko z opowieści, przez co masz tak ograniczony pogląd na ten problem, że aż bierze śmiech...

- Domyślam się, że jedynie słuszny pogląd prezentujesz ty - powiedziała. - I zamknij się, do jasnej cholery.

- A dlaczego? Moje słowa chyba cię nie niepokoją, co?

- Nie potrzeba mi twojego moralizowania. Stajesz się męczący i banalny.

- Nie chcesz słuchać niczego, co podważyłoby twoje przekonania, ponieważ one są nietykalne i nie podlegają krytyce. A mogłabyś mi opisać, jak wyglądała moja żona po wybuchu bombowym, który zgotowali jej twoi kolesie? Chcesz znać szczegóły? Chcesz usłyszeć, co z niej zostało? Chcesz wiedzieć, co czułem, gdy poszedłem do kostnicy zidentyfikować szczątki Roxanne? Wesołych Świąt, Frank, oto drobny prezent od IRA. Baw się dobrze.

- Trwa wojna. A tak to już jest, że zawsze na wojnie zdarzają się ofiary...

- Wojenne ofiary? Masz na myśli kobietę stojącą w Wigilię na przystanku autobusowym?

Ależ oczywiście, ona jest wrogiem. Z całą pewnością jest wrogiem. Wysadźmy ją w powietrze, ją oraz parę innych osób na zakupach. Przecież zamiast prezentów mogą mieć w pudełkach broń dla lojalistów. Nigdy nic nie wiadomo.

Nagle poczuł się zmęczony, osaczony przez wspomnienia i wydawało mu się, że wyrzucił z siebie

zbyt dużo słów. Spojrzał na twarz dziewczyny i dostrzegł rozdrażnienie oraz determinację. Cały jej powab zniknął, jakby od samego początku był tylko iluzją.

Przypomniał sobie teraz, że podczas pierwszego spotkania przygnębiła ją opowieść o śmierci Roxanne. Kolejny popis sztuki aktorskiej i nic więcej. „Na ckliwe filmy zabieram chusteczki higieniczne i w niektórych momentach płacę jak bóbr”. Znow kłamstwa. Od początku do końca same kłamstwa. A ty, Pagan, z własnej woli kupiłeś bilet wstępu do tego gabinetu krzywych luster.

- Naprawdę przykro mi z powodu twojej żony - powiedziała.

- Wybacz, ale mam powody wątpić w twą szczerość.

Gdyby się postarał dostatecznie mocno, jeszcze teraz potrafiłby przywołać z pamięci smród kostnicy i szpitalnych środków odkażających. Nadal miał przed oczami białe kafle i stalowe szuflady, w których trzyma się zwłoki.

- Możesz sobie myśleć, co chcesz. Nic mnie to nie obchodzi. Żadne z twoich słów nie zmieni tego, co mam do wykonania.

- Ani przez chwilę na to nie liczyłem. Przecież masz rozkazy, prawda? Musisz je wykonywać jak dobry szeregowiec.

Przesunął wzrok z jej twarzy na pistolet przyciśnięty do swoich piersi. Wystarczyłaby tylko chwila, myślał, wystarczyłoby jedno machnięcie, jeden ruch ręką. Byłoby to jednak bardzo niepewne posunięcie, bo dziewczyna, by wypełnić rozkaz, musi oddać tylko jeden strzał. Aby akcja się powiodła, on musiałby wykazać się doskonałym refleksem - a właśnie tego ostatnio mu brakowało. W napięciu zastanawiał się nad szansami powodzenia, nad tym, czy wystarczy mu czasu i miejsca. Zastanawiał się też, jak zareaguje ona i on sam.

- Wiesz co? Żal mi cię - powiedział.

- Daruj sobie. Nic mi po twojej litości.

- Żałuję też, bo myślałem, że między nami naprawdę coś było. Na krótką chwilę podniosłaś mnie na duchu.

- Było miło, ale się skończyło.

- Dla mnie było to coś więcej niż chwila przyjemności. Zacząłem wówczas rozumieć sens...

życia, można by powiedzieć. Zabawne, co? Ja mówię o życiu, a ty o odbieraniu go.

- Tak, ja mam zamiar odebrać ci życie - powiedziała, a Paganowi wydawało się, że słyszy w jej głosie nutkę żalu. Być może jednak było to po prostu złudzenie wywołane silnym pragnieniem. Ludzka rzecz.

- No to dlaczego, do cholery, nie pociągniesz za ten spust? Nie ma na co czekać. - Spojrzał

w wylot lufy, spodziewając się usłyszeć huk. To będzie ostatni dźwięk w twoim życiu, Frank.

- Zrób to za jednym zamachem, celuj od razu w serce. Nie trać czasu na frajer-skie strzały w brzuch czy ramię, bo chcę to mieć za sobą jak najszybciej. Wolałbym nie leżeć tu z uszkodzonym nerwem w kałuży krwi. Wykonaj robotę rzetelnie. Celuj tutaj. - Podniósł rękę i wskazał na środek swej klatki piersiowej. - O tutaj. To się nazywa... - Przerwał na chwilę, zastanawiając się nad następnym słowem. - ..serce. Wiesz gdzie jest umiejscowione, prawda?

Dostrzegł na jej twarzy cień wahania. Nic wielkiego, ale wystarczyło, by się zorientować, że nigdy dotąd nikogo nie zabiła. Była no-wicjuską w stosowaniu przemocy. O kilka centymetrów odsunęła pistolet od jego piersi.

- Rozsądny ruch - zauważył. - W przeciwnym razie cała zachlapałabyś się krwią. A przecież wcale ci na tym nie zależy, prawda? Nie chcesz urządzić krwawej jatki. Egzekutorzy nie plamią się krwią swoich ofiar.

Spojrzała mu prosto w oczy.

- Zagadujesz mnie.

Czas uciekał. Pagan popatrzył na pistolet. Wydawało mu się, że słyszy uderzenia okiennic o szyby. Wyobrażał sobie całkowitą ciemność. Rusz się, myślał. Zrób coś. Dziewczyna jeszcze raz odsunęła pistolet, ale ani na moment nie zadrżała jej ręka i celowała prosto w pierś. Do idealnego dystansu dzielącego broń od ofiary brakowało jeszcze kilkunastu centymetrów. W jej wyobraźni jestem już martwy, myślał Pagan, a ona sama z pistoletem bezpiecznie schowanym w torebce biegnie korytarzem do wyjścia...

- Panie Pagan? Nie słyszał otwierania drzwi.

Do sali weszła cicho wietnamska siostra. Trzymała w ręku tackę ze szklanką wody.

- Czas zażyć leki - powiedziała, a potem spostrzegła dziewczynę z pistoletem i zamarła w bezruchu.

Dziewczyna odwróciła głowę w stronę drzwi, a Pagan, z wysiłkiem wyplątawszy się z pościeli, chwycił ją za rękę i odepchnął pistolet na bok; wyciszony strzał chybił celu i w szpitalnej sali rozległ się świst kuli. Pocisk trafił zakonnicę w czoło. Drobną kobietą - anioł

miłosierdzia - upadła na podłogę, tonąc w fałdach obszernego białego habitu. Szklanka z wodą roztrzaskała się na kawałki. Rozwścieczony Pagan, wykręcając dziewczynie rękę, zmusił ją do wypuszczenia pistoletu. Opierając mu się z dziką zawziętością, szczypała go w szyję i twarz. Próbowwała go kopnąć kolanem w krocze, lecz on zrobił unik, jednym uderzeniem w twarz powalił ją na łóżko i, gdy leżała, wymierzył jej następny cios. Podniosła się szybko i waląc na oślep pięściami, z wściekłością ruszyła do ataku. Większość jej ciosów przyjął na ręce. Później popchnął ją z powrotem na łóżko i podniósł z podłogi pistolet.

Podszedł do leżącej zakonnicy. Ujrzał szeroko wytrzeszczone oczy, lekko rozwarte, miłe usta i czoło zalane spływającą na brwi krwią.

- Kolejna ofiara twojej wojny - powiedział. - Kolejny wypadek. Tak byś to nazwała?

- Nie musiało do tego dojść. - Siedziała zdyszana na brzegu łóżka. - To ty mnie zmusiłeś do strzału.

Wrócił do łóżka i przyłożył jej pistolet do szyi. Hamował się, by nie zastrzelić jej na miejscu. Pragnął właśnie tego - zmieść ją z powierzchni ziemi i wyeliminować ze swego życia. Nagle jednak wydała mu się słaba, bezbronna, i dojrzał w jej twarzy mieszaninę niepewności i przygnębienia. Inny człowiek mógłby się teraz zdobyć na przebaczenie, mógłby usprawiedliwić ją wychowaniem, indoktrynacją, manipulowaniem i oszustwami, z jakimi miała do czynienia, mógłby tłumaczyć jej postępek życiem w cieniu słynnego, legendarnego brata. Ale Pagan nie był tym innym człowiekiem. Nie był świętym. Nie mógł

okazać Katherine Cairney wielkoduszności, bo przed wielu laty uczucie to w śmierdzącej kostnicy doznało poważnego uszczerbku, a teraz, kilkanaście minut temu, zostało ranione śmiertelnie. Jego wściekłość nie miała granic. Przycisnął lufę pistoletu do szyi dziewczyny.

- Mów coś - powiedział surowo. Bez słowa zamknęła oczy.

- Mów.

- Nie mam nic do powiedzenia.

Zmusił ją do położenia się na łóżku, z całej siły przycisnął kolanem i mocniej szturchnął

pistoletem. Myśląc o chwilach spędzonych z nią w łóżku, wspomniał zatraconą delikatność i czułość. Czy to właśnie rozżłościło go bardziej niż cokolwiek innego? Bo śmierć niewinnej kobiety leżącej na podłodze najwyraźniej tylko przepełniła kielich goryczy.

- Kto przydzielił ci to zadanie? Kto wydał rozkaz?

- A dlaczego niby miałabym ci to powiedzieć?

Wszystko ma swoje granice, pomyślał, i ty właśnie do nich dotarłeś. Gotów był teraz z całą brutalnością użyć przemocy. Ta okrutna reakcja poważnie go zaniepokoiła. Uniósł pistolet i przez chwilę trzymał go w górze, tak jak trzyma się nóż przed zadaniem ciosu. Wyobraził

sobie kolbę uderzającą o kość i twardy metal rozcinający tę zakłamaną twarz. Dokładnie wiedział, że musi wyglądać w jej oczach jak człowiek obłąkany, pozbawiony rozsądku i niebezpieczny. Wiedział też, że nigdy dotąd nie widziała nikogo w takim stanie.

Patrzyła na pistolet tak, jakby już leciał w jej stronę i jakby już czuła miazdzące twarz uderzenie. Pagan widział w jej oczach i wyczuwał, że jest załamana i boi się. Z jednej strony zdawała się rozumieć, że on jeszcze nie ma zamiaru jej zabijać, a z drugiej strony rozumiała jednak także, że za chwilę poczuje ból, którego może nie znieść.

- Odpowiedz - ponaglił ją. Podniósł rękę wyżej, zamierzył się. Patrzył na siebie z boku; własne

zachowanie budziło w nim jednocześnie zachwyty i obrzydzenie. Widział w sobie bestię uwolnioną z klatki. Czuł się wytracony z równowagi.

- Nazwisko nic ci nie powie.

- Zobaczymy.

- Zejdź ze mnie, do cholery, bo nie mogę oddychać.

- Trudno.

Do twarzy napłynęła jej krew, szamotała się, próbowała zaczerpnąć powietrza.

- Tobias Barron.

- Barron - powtórzył Pagan.

Znał to nazwisko z plotkarskich rubryk, których nigdy nie czytał, uważając je za idiotyczną paplaninę dokumentującą upadki i wzloty grupy ludzi, którzy z różnych przyczyn uważani są za sławnych. Jednak podczas przeglądania gazet lub czasopism plotki i robione z ukrycia zdjęcia wbrew woli zapadają w pamięć. Ów nigdy nie usypiający twór, gnieźdzący się w ludzkiej głowie, przechowuje pośród zwałów bezużytecznych informacji nazwiska ludzi o wątpliwej sławie.

- Znany filantrop, pan Dobroczyńca, chodząca akcja charytatywna. Przyjaciół najświetniejszych ludzi. A więc to on wydał ci rozkaz i powiedział, co masz robić.

Początkowo dziewczyna próbowała się spod niego wydostać, ale po pewnym czasie zrezygnowała. Chociaż Paganowi nie podobało się własne postępowanie, widok dziewczyny wierzgającej w powietrzu nogami sprawiał mu satysfakcję.

- Co dokładnie ci powiedział?

- Że ty jesteś wrogiem Sprawy... że trzeba cię mieć pod obserwacją. .. Puść mnie, proszę cię.

On jednak nie chciał jej jeszcze uwolnić, wołał, żeby cierpiała pod jego ciężarem.

- Nie mogę... oddychać.

- Już to mówiłaś.

Patrząc na nią z góry, przypomniał sobie nagle jeszcze jedną rzecz o Barronie. Wyłowił

coś, co krążyło pod powierzchnią świadomości. Przypomniał sobie, że to on był tym skądś znajomym mężczyzną obok Carlotty na zdjęciu robionym w Rio.

Barron.

Barron i Carlotta...

.. wrócił myślami do podziemnego tunelu, ujrzał wrak pociągu, piętrzące się na peronie worki z ciałami, i wyobraził sobie jak Carlotta, w godzinach szczytu spokojnie przedzierając się przez tłum ludzi, realizuje swą morderczą misję. Nie było tu zaciętości IRA ani okrutnej fanatycznej walki przeciwko brytyjskiej okupacji. Bojownicy o Sprawę nie wynajęliby Carlotty, bo mają własnych morderców, ludzi bliższych sercom dowództwa - albowiem obcym nie wolno dostąpić świętości. Carlotta nie otrzymała rozkazów z Dublina ani Belfastu.

Musiały przyjść z innego miejsca.

- Nigdy nie słyszałaś o Brysie Harcourcie i Jacobie Streiku, prawda? Nigdy nie słyszałaś o ugrupowaniu zwanym Grabarze?

- Nie wiem, o czym mówisz...

Pagan puścił ją, wstał z łóżka i szybkim krokiem poszedł po ubranie. Patrzyła na niego z niepewnością i strachem. Przed chwilą widziała w nim dziką bestię i teraz nie była pewna, czy zwierzę zostało poskromione, czy też nadal dyszy zemstą. W pośpiechu zrzucił szpitalny strój, włożył koszulę, przypiął kaburę z pistoletem, a broń dziewczyny schował do kieszeni płaszcza.

- Zostałaś wykorzystana, złotko - powiedział. - Wykorzystana i sponiewierana. Witaj w klubie.

Odkasznęła kilka razy, zasłaniając sobie usta pięścią, a potem wytarła wargi w rękaw.

- Nie rozumiem cię...

- Zostałaś okpiona, wykorzystana i sponiewierana. Oto, co się stało. Barron powiedział ci, że będziesz występować w imieniu IRA, bo wiedział, że wtedy wyrazisz zgodę. Zagrał na twoich sentymentach. Owszem, być może ma on jakieś powiązania z tak zwaną Sprawą. Ale tu chodzi o coś jeszcze. O coś większego niż IRA. Nawet nie próbuj zgadywać, o co. Zostałaś wrobiona w niezłą przewalankę, czy jak to tam nazwać. A wszystko sprowadza się do tego, że jesteś głupią suką, która stoczyła się na dno.

Odkasznęła ponownie i potrząsnęła głową.

- Ty nic nie wiesz...

- Swoje wiem. A ty posłuchaj i postaraj się zrozumieć. Na terenie ambasady amerykańskiej potajemnie działają Grabarze. Obracają ogromnymi sumami pieniędzy, i to najprawdopodobniej za wiedzą ambasadora. Nie wiem jeszcze, na co ta gotówka idzie. Być może część trafia do skarbcza IRA, nie wiadomo. Reszta jednak... - Wzruszył ramionami. -

Pieniędźmi zajmowali się głównie dwaj mężczyźni. Jeden nazywał się Streik, a drugi Harcourt. Streik umarł, a Harcourt zginął w zamachu bombowym dzięki uprzejmości niejkiej Carlotty. Pewnie o niej słyszałaś.

- Rzeczywiście, znam ją ze słyszenia. Do czego zmierzasz?

- Nie przypuszczam, żeby Barron poinformował cię o planie zamordowania w metrze setek ludzi, mam rację?

- My nie mamy z tym nic wspólnego - odparła. - Nie masz podstaw, żeby myśleć inaczej.

Powiedziała „my”, a więc siedzi w tym wszystkim po uszy. Tyle tylko, że nie rozumie prawdziwej natury tego, w czym siedzi.

- Bombę podłożyła Carlotta i teraz zaczynam się domyślać, że zrobiła to na polecenie twojego szefa Tobiasa Barrona. Pokręciła głową.

- Niemożliwe. Absolutnie niemożliwe. Wszystko to jest szyte grubymi nićmi.

- Dlaczego? Skoro mógł wydać rozkaz zabicia mnie, to dlaczego nie miałby pozwolić Carlocie na wysadzenie w powietrze metra? Sądzisz, że mogłaby go odstraszyć liczba ofiar?

Ty też uważasz, że zabicie pojedynczego człowieka można tolerować, a zabicie setki jest nie do pomyślenia? Ach, cóż za wrażliwość! Na miłość boską, kobieto, przejrzyj wreszcie na oczy.

- Chyba postradałeś zmysły. Ty nie znasz Barrona. Nie usankcjonowałby śmierci na taką skalę.

- Może mi odbiło - powiedział Pagan - ale muszę przyznać, że wzrusza mnie twoja wiara w tego człowieka. Ja jestem bardziej sceptyczny, co chyba naturalne w tych okolicznościach. -

Przerwał nie odrywając wzroku od jej pełnej niepewności i lęku twarzy, a potem zapytał: -

Czy wytłumaczył ci, dlaczego proste polecenie trzymania mnie pod obserwacją awansowało do rozkazu zabicia mnie?

- Powiedział, że za dużo wiesz.

- O czym?

- Nie pytałam. Uznałam, że ma swoje powody.

- Coś ci powiem o jego powodach. Za bardzo zbliżyłem się do niego i zacząłem wkraczać na zakazane tereny. Zakłóciłem mu prywatność, a jemu z tym niewygodnie. Poza tym wiem o Carlocie i to nie daje mu spokoju; w przeciwnym razie nie wysyłałby cię tutaj. Wie, że pierwsza próba zabicia mnie w Lyonie się nie powiodła, więc wysłał cię z nadzieją, że dokończysz zadania.

Pagan nie spuszczał z niej oczu. Przeszła mu chęć skrzywdzenia jej, przeminęła fala gniewu. Wściekłość w takim natężeniu rzadko trwa długo, ponieważ wyczerpuje organizm i pozbawia energii. Był już teraz spokojniejszy, chociaż nadal niepokoił się nietypowym dla siebie wybuchem brutalności, z jaką potraktował dziewczynę.

- Wiesz, gdzie jest teraz Barron? - zapytał, siłąc się na spokojny ton.

Pokręciła głową.

- Myślisz, że ci uwierzę? - zapytał.

- Twoja sprawa - odpowiedziała.

Zrobił krok do przodu i spojrzał na nią z góry.

- Nie chcę ci zrobić krzywdy, ale zrobię. Dobrze o tym wiesz. Nie odpowiedziała.

Zastanawiał się, czy byłby w stanie ją uderzyć i ile to by go kosztowało. Postanowił zmienić taktykę.

- Myślisz, że to co mówię o Barronie, jest kłamstwem. Być może, ale nie masz żadnej pewności. Po prostu nie wiesz. Uważasz, że mylę się twierdząc, że tobą manipulował.

Możliwe, ale na twoim miejscu wolałbym się tego dowiedzieć. Chciałbym poznać prawdę i dowiedzieć się, czy rzeczywiście ktoś mną manipuluje. Ale ciebie naturalnie prawda nie interesuje, co? Prawda nie pasuje do twoich wyobrażeń. Mogłaby kolidować z przyjemnym i prostym czarno-białym obrazem świata.

- Owszem, interesuje mnie prawda...

- A zatem?

- Pagan, jak możesz tak podchodzić do tej sprawy?

- Wolisz inny sposób? - zapytał. - Dobrze wiesz, że jestem do tego zdolny.

- Teraz już wiem - powiedziała, unosząc głowę. Pagan skończył się ubierać. Zebrał z podłogi dokumenty Streika i pieczołowicie schował je z powrotem do kieszeni płaszcza.

- A więc jak będzie?

Dziewczyna milczała. Patrzyła wzrokiem człowieka pokonanego.

- Znam jego numer telefonu i nic więcej.

- To zadzwoń do niego i powiedz, że mnie zabiłaś.

-1 co potem?

- Powiesz, że chcesz się z nim zobaczyć.

- A jeśli się nie zgodzi?

- Powiedz, że masz ważną sprawę, przekonaj go, postaraj się wywrzeć dobre wrażenie, przecież

masz talent aktorski.

Ignorując złośliwą uwagę, przyłożyła dłonie do twarzy. Włosy opadały jej na ramiona i wyglądała jak zabłąkane, bezbronne dziecko. Pagan jednak ten widok nie wzruszył.

- Tam masz telefon - powiedział, wskazując stolik przy łóżku. -Zadzwoń od razu.

Podniosła słuchawkę, nakręciła pierwsze cyfry, ale zaraz odłożyła ją z powrotem.

- Nie mogę - stwierdziła.

- Wolisz nie sprawdzać, czy mam rację, prawda? Przecież dobry staruszek Barron nie mógłby zrobić nic złego, co?

- Odwal się.

Podniosła słuchawkę, wykręciła numer i czekała, pukając palcami w stolik. Po chwili Pagan usłyszał z jej ust, że został zabity. Powiedziała to lekko przerażonym głosem i wypadła dość przekonywająco. Potem poprosiła o spotkanie, chwilę milczała i odkładając słuchawkę, zapisała coś w notesie.

- Umówiłam się.

- Gdzie?

- W Wenecji.

Idąc do drzwi, spojrzął na martwą kobietę i zrobiło mu się jej strasznie żal. Nie miał jednak ani chwili do stracenia i nie mógł dać się ponieść emocjom. Na korytarzu było pusto, a drogę do wyjścia oświetlały słabe żarówki. Trzymał dziewczynę za łokieć.

- Co teraz? - zapytała.

- Jedziemy do Barrona.

Ruszyli korytarzem, minęli pustą portiernię i w końcu wyszli na ulicę.

Z ciemności wyłonił się John Downey.

- Wyszliście zaczerpnąć świeżego powietrza, co? A może chcecie pospacerować sobie po ciemku? Albo podziwiać widoki? Cholera.

- Tak, John, coś w tym rodzaju.

- Niestety nic z tego. - Downey ubrany był w zwyczajny, obszerny prochowiec i trzymał

ręce w kieszeni. Pagan nie miał wątpliwości, że ściska odbezpieczony pistolet. - Nimmo zostawił wyraźne polecenie, że nie wolno ci opuszczać tego miejsca. Mamy kaprysy, co Pagan? Trochę nam

odbiło, no nie?

- Zależy, co rozumiesz przez określenie odbiło - rzekł Pagan. Nie chciał się wdawać w bójkę z Johnem Downeyem, bo wątpił, czy starczyłoby mu na nią sił.

Downey przerzucił ciężar ciała na drugą nogę i z niechęcią spojrział na dziewczynę. Był

potężnym i silnym mężczyzną, choć zapadnięte policzki i wypomadowane wąsy sprawiały złudne wrażenie, że najlepsze lata ma już za sobą i łatwo można sobie z nim poradzić. Kiedy jednak Downey musiał, potrafił grać bardzo ostro; słyszał ze „stosowania nacisku fizycznego”

podczas przesłuchań. Wpatrywał się w Pagan zaciętym wzrokiem i w jego oczach mignął

zjadliwy błysk starej urazy. Nic nie sprawiłoby mu takiej przyjemności, jak zastrzelenie Pagana.

- Pagan, wiesz, że tylko czekam na jeden twój fałszywy ruch.

W geście poddania Pagan uniósł ręce do góry. Wiedział, że jeśli chce ominąć Downeya, musi działać szybko, ponieważ w razie niepowodzenia druga okazja się nie powtórzy. Z

podniesionymi rękami, pochylony trochę do przodu, zrobił półobrót. Teraz, pomyślał, trzeba działać natychmiast. Z całej siły, na jaką mógł się zdobyć, zamachnął się lewą ręką i wyrznął

Johna Downeya w krtani. Nie był to piękny cios, ale dostatecznie mocny, aby Downey poleciał na ścianę. Za drugim razem Pagan walnął go pięścią w szczękę i przy wtórze trzasku pękających chrząstek głowa Downeya poleciała do tyłu i uderzyła o ścianę. Wtedy Pagan kopnął go w brzuch, a Downey osunął się na ziemię zgięty pod nietypowym kątem, jak gdyby powypadały mu kości ze stawów. Jednak nawet wówczas, jakby dodała mu sił nienawiść do Pagana, próbował wstać. Pagan jeszcze raz zamachnął się nogą, trafił go w skroń i Downey rozciągnął się na plecach.

Pagan przekroczył go i cały zdyszany podszedł do dziewczyny, która przyglądała się zajściu z wytrzeszczonymi oczami. Serce waliło mu jak szalone, był zgrzany, jakby wyszedł

prosto z ognia.

- Masz samochód? - zapytał, łapiąc ją za rękę.

- Mam, wynajęty.

- No to spływamy stąd w diabły. I to szybko.

Wenecja

Rano niespodziewanie zrobiło się w Wenecji słonecznie, prawie wiosennie, jeśli nie liczyć faktu, że było jedynie cztery stopnie powyżej zera. Deszcz przestał padać, niebo było jasne i czyste. Mroczne zaułki ożyły po nocy i zamieniły się w przytulne skwerki. Martwe, zimowe miasto przynajmniej na chwilę poderwało się do życia. Po moście Rialto spacerowały tłumy ludzi, wytrwali turyści

wynajmowali gondole, a pozostali szli spacerem na plac Świętego Marka, tam przystawali w zachwycie, a kiedy zachwyt mijał, karmili gołębie okruchami chleba, kupowanymi u okolicznych sprzedawców za niebotyczne ceny.

Barron wyszedł na balkon. Przechylił się przez balustradę, żeby spojrzeć na płynący dołem kanał. Zastanawiał się, dokąd prądy mogły ponieść ciało generała. Według Carlotty ciało wypłynęło gdzieś na morze i zniknęło. Barrona jednak dręczyło dziwne przeczucie, że zwłoki generała przydryfują w końcu pod jego okno, a on spojrzy w dół i spostrzeże wpatrzoną w siebie, rozpulchnioną przez wodę twarz. Całą noc wyobrażał sobie kołyszącego się na falach trupa w przemoczonym ubraniu.

Wrócił do mieszkania. Carlotta schodziła właśnie z sypialni po schodach. Ubrana była w oficjalny granatowy żakiet, spódnicę do kolan i ciemne wyglansowane buty. Miała dyskretny makijaż. Włosy gładko zaczesła do tyłu z równiutkim przedziałkiem pośrodku.

- Jak wyglądam? - zapytała.

- Oficjalnie - odparł Barron.

- To świetnie. - Zeszła ze schodów. - Miałaś ciężką noc. Prawie wcale nie spałaś.

- Tak, rzeczywiście.

- Denerwujesz się?

Zdenerwowanie jest w tej sytuacji niezbyt adekwatnym określeniem - pomyślał Barron.

Przyglądał się Carlocie, która w zadziwiający sposób dostosowywała swoje ruchy do rodzaju stroju. W zwiewnych sukienkach poruszała się płynnie niczym frunący anioł. W obcisłych spódnicach prowokacyjnie kołysała biodrami i wyzywająco wykrzywiała wargi. A w stroju takim jak teraz stawiała szybsze, krótsze niż zazwyczaj kroki i człowiek spodziewał się niemal, że mógłby uzyskać od niej poradę w kwestii finansowej. Anioł, dziwka, biz-neswoman, wielokrotna morderczyni - dla Carlotty nie ma żadnych ograniczeń, ponieważ nie może być ograniczeń tam, gdzie brakuje istoty osobowości. A o Carlocie nie da się powiedzieć: Proszę, oto prawdziwa ona. Taka jest naprawdę.

- No, Barron - odezwała się, stukając papierosem w wieczko srebrnej papierośnicy. -

Wspaniały dzień. Dobrze się składa, że świeci słońce. - Wyglądając przez okno, zapaliła papierosa i schowała papierośnicę w małej, dobranej do stroju torebce. Odwróciła się i uśmiechnęła na widok twarzy Barrona. Ona była spokojna i opanowana; nie było po niej widać ani cienia zdenerwowania. Oto cała Car-lotta, myślał. Ożywa dopiero wtedy, gdy staje się kimś innym - tym razem Alisą Baranową, pracownicą rosyjskiej ochrony.

Podeszła do Barrona, położyła mu ręce na ramionach i dmuchnęła dymem prosto w twarz.

Każdy jej ruch i każdy gest zdradzał stuprocentową pewność siebie.

- I co? Nic nie masz do powiedzenia? - zapytała.

- Przecież wiesz, co masz robić - odpowiedział. - Niczego nie zapomniałaś?

- Nie, dokładnie przerobiliśmy każdy drobiazg. - Czule przyłożyła mu dłoń do policzka. -

Wszystko pójdzie jak z płatka. W życiu szkoda czasu na zmartwienia. W każdym razie od zmartwień człowiek się starzeje, a ty przecież nie chciałbyś wyglądać na swój wiek, prawda?

Poczuł zapach jej palców.

- Traktuj ten dzień jak każdy inny - mówiła. Lekko uszczypnęła go w policzek. Ten pozornie niewinny gest sprawił, że Barron poczuł się jak wymagające opieki dziecko. Istniały pomiędzy nimi związki bardziej skomplikowane niż sieć korytarzy mrowiska. Idziesz w jedną stronę i nagle znajdujesz się w pomieszczeniu, którego nigdy dotąd nie widziałeś. Skręcasz gdzie indziej, dochodzisz do ślepego końca i, wycofując się, mijasz prawie nieznanne miejsca, niemniej jednak przez cały czas czujesz, że jesteś na tropie tej kobiety, i to cię zmusza do dalszych poszukiwań. Ale nikt nigdy jej nie znajdzie, ponieważ jej tam nie ma.

- Jak każdy inny dzień - powtórzył.

- No właśnie. - Odsunęła się od niego, spojrzała na zegarek, wyjęła z torebki puderniczkę, otworzyła ją i przez chwilę przeglądała się w lusterku. Zrobiła nagle surową minę i ze ściągniętymi brwiami spojrzała znad puderniczki na Barrona. - Alisa Baranowa.

Najprawdopodobniej wychowywałam się w Smoleńsku. Moim ojcem był, powiedzmy, inżynier stalinowiec, i to oddany. Lojalny członek partii, nie trawiący nowego ustroju. Moja matka uczyła w szkole dla pielęgniarek i była bardziej liberalna od ojca. Kiedy miałam dziesięć lat, posłała mnie do szkoły baletowej, ale zabrakło mi talentu. Co dalej? Cóż, poszłam na uniwersytet, uczyłam się języków obcych, poznałam biegle francuski i niemiecki.

Potem zwerbował mnie wywiad. Tak w zarysie wyglądało moje życie.

Uśmiechnęła się zadowolona z wymyślonej przeszłości. Carlotta przestała dla niej istnieć.

Schowała puderniczkę do torebki i wyjęła czarny cylindryczny przedmiot. Barronowi przypomniał się kolorowy papier, w który generał miał zapakowaną tę rzecz. Nie chciał

jednak teraz myśleć o generale.

- Mały, prosty ładunek - powiedziała. - Aż dziw bierze, że taki drobiazg przyniesie tyle zniszczenia. - Odłożyła przedmiot na miejsce i zamknęła torebkę. - A co się stanie, kiedy przestanę już być Alisą Baranową?

- Jeszcze dziś wieczorem wyjedziemy na dłuższe wakacje.

- I zostawimy to wszystko? - zatoczyła ręką wokół siebie.

- Na jakiś czas - odpowiedział Barron.

- A później będziemy żyć długo i szczęśliwie?

- Postaramy się.

Patrzył, jak idzie do drzwi. Kusiło go, żeby ją zatrzymać, żeby nie pozwolić jej wyjść z mieszkania, jakby pewna jego część, pewne resztki sumienia, chciały wszystko cofnąć. Nie powiedział jednak ani słowa. Było już za późno na wprowadzanie zmian. On zrobił swoje, a reszta nie zależy już od niego.

- Do zobaczenia - powiedziała i odeszła, a jej pożegnalne słowa zawisły w powietrzu. Do zobaczenia. Chwilę chodził po pokoju, a potem zatrzymał się przy kominku i wspominał

wszystkie rozbite fotografie. Obserwując przedtem, jak Schialli w milczeniu zmiata rozbite szkło, nic nie czuł - ani smutku ani żalości. Miał tylko wrażenie, iż pamiątki te stały się już bezużyteczne.

Znów wyszedł na balkon i oblało go ostre słońce padające na zniszczone budowle Wenecji.

W świetle dnia czuł się zagrożony.

Spojrzał na zegarek i pomyślał o dziewczynie, która zadzwoniła z Lyonu i powiedziała, że sprawa Pagana została zakończona. Zastanawiał się, po co chciała się z nim widzieć. Zarówno teraz, jak i w przeszłości dziewczyna zawsze wydawała mu się zachwycająca. Pozwolił sobie na chwilę nostalgii i wspomnień o jej ojcu, Harrym Cairneyu, oraz o wspólnie prowadzonych interesach - Harry zbierał pieniądze dla ukochanej Irlandii, a Barron dostarczał mu broń. W

tamtych czasach życie wydawało się o wiele łatwiejsze. Przyszedł mu na myśl syn Harry'ego, Patrick, ale było to wspomnienie słabe i krótkie.

Spoglądając w dół na wody kanału, zaczął się zastanawiać nad Rhodesem i Kinsellą, którzy w hotelowych apartamentach z niepokojem oczekują wiadomości na temat Ślimacznicy.

Marsylia

Pagan uznał, że jazda na lotnisko w Lyonie nie ma sensu, bo kiedy tylko w szpitalu znajdą zwłoki pielęgniarki albo kiedy Downey odzyska przytomność, najpierw właśnie tam zaczną go szukać. Z mniej więcej tego samego powodu postanowił nie obierać sobie za cel lotniska w Genewie - znajdowało się dostatecznie blisko, aby w krótkim czasie wziąć je pod obserwację. Kazał dziewczynie jechać do odległej o dwieście pięćdziesiąt kilometrów Marsylii.

Ażeby uniknąć rozmowy, która albo wypadłaby sztucznie, albo byłaby wzajemnym obrzucaniem się pretensjami, Pagan włączył radio. Najpierw przez kilka minut słuchali jazzu, a później sygnał zaczął się urywać i przez muzykę przebił się nieprzyjemny, mówiący po włosku baryton. Pagan cały czas walczył ze snem, wyglądał przez okno i unikał patrzenia na dziewczynę. W samochodzie panowało napięcie tak wyraźnie wyczuwalne, jakby było trzecim pasażerem siedzącym w milczeniu na tylnym fotelu.

Dziewczyna wyłączyła radio. Pagan miał wrażenie, że chce coś do niego powiedzieć, i z całej siły zapragnął, aby się na to nie zdobyła. Nie chciał słyszeć, co ma do powiedzenia; wołał milczenie.

Spojrzał na czerwone wskaźniki deski rozdzielczej, rzucił okiem na autostradę i zaczął się przyglądać mijanym wiejskim domkom, bezlistnym drzewom i niewielkim lokalikom. Po niebie wędrowało chłodne, poranne słońce.

Chociaż oceniał dziewczynę już łagodniej, przyłapał się na myśli o raportach, jakie musiała składać Barronowi. Jak wiele prawdy przed nim odsłaniała? Ciekawe jak formułowała takie donosy? „Tobias, jest dokładnie tak, jak sobie zaplanowałam. Myślę, że naprawdę się we mnie zakochał. Mówi mi o swej pracy praktycznie wszystko”. Przygnębiały go takie rozważania. Nie mógł się pogodzić ze zdradą - czuł się jak po zjedzeniu pomarańczy naszpikowanej arsenikiem. A najgorsze było to, że pomarańcza mu smakowała i nadal miałby na nią ochotę.

Gdy myślał o Barronie, z wściekłości aż robiło mu się niedobrze. Taki dobroczyńca i opiekun słabych, głodujących oraz poszkodowanych przez los, i cóż się kryje za tym wizerunkiem? Powiązania z Carlottą, przypuszczalnie również z zamachem bombowym, a także z Grabarzami i z Williamem J. Caanem. Wszystko to trybiki jednej, niezwykle skomplikowanej maszyny. Barron cały czas oplata zniszczony świat girlandami dobroczynności - otwiera kliniki, szkoły i przekazuje dary potrzebującym - w perfidny sposób osłaniając swoją prawdziwą działalność .

Dziewczyna odwróciła do niego głowę.

- Chciałabym, żebyś wiedział, dlaczego związałam się z Barro-nem.

Pagan nic nie mówił. Gestem dał do zrozumienia, że nic go to nie obchodzi.

Przez następne kilka kilometrów dziewczyna znów milczała, a potem odezwała się, jak gdyby sama do siebie:

- Czasami zdaje mi się, że znam go od zawsze. Kiedyś regularnie bywał w naszym nowojorskim domu. W pokoju zamkniętym na klucz rozmawiali z moim ojcem po kilka godzin. Byłam tylko dzieckiem, więc cóż mogłam z tego rozumieć? Ot, dwóch dorosłych rozmawiających o biznesie. Nic więcej. Kiedy przestawali omawiać interesy, Barron robił się bardzo... wesoły, tak, to chyba odpowiednie słowo. Lubił gry. Nauczył mnie grać w szachy, grywaliśmy razem w krokieta i warcaby. Zawsze przywoził mi prezenty.

- Dobry wujaszek Tobias - mruknął Pagan.

- Na jakiś czas wyjechałam do szkoły z internatem - ciągnęła dziewczyna, nie zrażona jego tonem. - Podczas wakacji odwiedzałam go w Coral Gables na Florydzie. Zawsze miał dla mnie czas i woził mnie swoim wielkim krążownikiem szos. Zabierał mnie do restauracji i chociaż miałam trzynaście, czternaście lat, traktował jak dorosłą osobę. Nigdy nie posunął się dalej, poza zwykłą uprzejmość...

Pagan nie chciał słuchać dalszych wspomnień o wujaszku Tobiasie.

- Co za sielanka - powiedział. - Cieszę się razem z tobą. Fajnie mieć szczęśliwe wspomnienia. Były długie dni i zachody słońca na Florydzie. Nauka gry w szachy.

Restauracje na powietrzu. Cudownie. Spojrzała w jego stronę, a on odwrócił głowę.

- I słodka, mała dziewczynka wyrosła na potencjalną morderczynię - mówił. - Wujaszek Tobias miał na nią zły wpływ. Typowa sprawa.

- Pagan, on mnie do niczego nie zmuszał. Sama podjęłam decyzję.

- On tylko przedstawił ci propozycję. Znajdź mi haka na tego Pa-gana. Nie przejmuj się, jeśli będziesz musiała zaciągnąć go do łóżka, bo to w imię sprawiedliwości. Jeśli tak cię podszedł, to zachował się jak zwykły alfons. A potem przyszła następna propozycja. Coś nowego. Coś innego. „Droga Katherino, obawiam się, że będziesz musiała zabić tego Pagana.

Nie masz nic przeciwko temu, prawda?" A może mówi do ciebie Kate?

- Próbuję ci wszystko wyjaśnić - powiedziała.

- Ciekawe, skąd u ciebie taka pałaca potrzeba. Mnie to gówno obcho...

- Nie wierzę w to, co mówisz o Barronie. Stąd właśnie potrzeba. Twoje słowa zupełnie nie pasują do Barrona, jakiego ja znam.

- Próbujesz bronić kogoś, kto wydał ci rozkaz zabicia człowieka? Chcesz mi powiedzieć, że w zasadzie to dobry człowiek? Przykro mi, złotko, nie przekonałaś mnie.

- Posłuchaj - rzekła gniewnie. - On był dla mnie dobry. Po śmierci ojca... cholera, wcale nie powinnam była zaczynać z tobą rozmowy. I tak nie słuchasz!

- Tu masz rację.

Chwyciła mocniej kierownicę, wcisnęła pedał gazu i brawurowo wyprzedziła konwój powolnych ciężarówek. Potem lekko przyhamowała i złość gdzieś z niej uleciała.

- Masz strasznie zawężone horyzonty. Za długo ścigasz terrorystów i straciłeś zdolność realnej oceny sytuacji. Widzisz nie istniejące rzeczy. Imputujesz podłe motywy ludziom, którzy na to nie zasługują. Mylisz się strasznie, obwiniając Barrona o sprawę Carlotty i wybuchu w metrze. Okej, chciał cię zlikwidować, ale nie postradał zmysłów i każe zabijać tylko wtedy, kiedy to jest rzeczywiście konieczne, a nawet wówczas bardzo tego żałuje...

- Ach, wyrzuty sumienia - wtrącił Pagan. - Gdy podpisywał na mnie wyrok, trzęsły mu się ręce, wydmuchiwał w chusteczkę nos i oczy zaszyły mu łzami.

- Jesteś skurwiel.

- Jeśli chodzi o takich ludzi ja ty czy Barron, to jestem nie tylko skurwielem, ale prawdziwym monstrem.

- Nigdy nie zrozumiesz, jaką rolę odegrał w mym życiu. - Chwilę patrzyła na niego, a potem przeniosła wzrok z powrotem na drogę. - W wieku piętnastu lat zrozumiałam, że Barron pomaga

Sprawie. O udziale ojca wiedziałam już wcześniej. Jakże mogłabym nie wiedzieć? Wszystko działało się na moich oczach. W tym się nie mylisz. Po śmierci ojca na jakiś czas wyjechałam do Barrona na Florydę. Miałam siedemnaście lat, byłam załamana śmiercią ojca i brata, i właśnie wtedy Barron poprosił mnie o załatwienie pewnej sprawy.

Naprawdę prostej rzeczy. O przewiezienie koperty z Belfastu do Nowego Jorku.

Skorzystałam z szansy, chociaż nie wiedziałam, co w tej kopercie jest, i nawet mnie to nie obchodziło. Przypuszczam, że przewoziłam pieniądze albo czek. Wiedziałałam tylko, że pracuję dla... I to mnie ekscytowało, bo wreszcie robiłam coś naprawdę.

- A jedna prosta sprawa ciągnie za sobą następną - odezwał się Pagan. - I następną. Po jakimś czasie byłaś gotowa na coś naprawdę wielkiego. A mianowicie Franka Pagana.

Kiwnęła głową.

- Byłam szczęśliwa z powodu tego zadania. Czy ty to rozumiesz? Dla mnie oznaczało to, że jestem już dorosła i można mi zaufać. Barron chciał mnie wykorzystać do czegoś ważnego.

Oczywiście znałam twoje nazwisko, wiedziałam o tobie i o Patricku, więc bardzo chciałam zająć się tą sprawą. Taki sam zapał czułam także, gdy zaczęła być mowa o zabiciu cię.

Pagan wyprostował nogi, rozmasował sobie kark i starał się przyjąć taką pozycję, żeby kołnierzyk nie urażał poparzonych miejsc. Wyrzwał przez okno i zobaczył bloki mieszkalne oraz zakłady przemysłowe. Gdzieś płonął ogień i czerwone języki płomieni strzelały w kierunku nieba. Nad Zatoką Lwią chmury zaczynały zasłaniać osamotnione słońce.

- A ty teraz chcesz mnie przekonać, że Barron to kłamca, więc nic dziwnego, że nie chcę w to uwierzyć. Nie mogę polegać wyłącznie na twoim słowie. Nie ma mowy. Przecież ty przedstawiłeś mi tylko szaloną bajeczkę, która mogła się zrodzić w twojej wyobraźni.

Pagan spojrzął na jej profil i zrobiło mu się trochę smutno. Już ją stracił, a przynajmniej stracił idealne wyobrażenie o niej. Coś przeminęło, coś uległo zniszczeniu. Nie było jednak sensu myśleć na ten temat - to by do niczego nie prowadziło. Pojawiła się w jego życiu, potem zniknęła i amen. Smutek był tu zupełnie nie na miejscu. Trzeba się wznieść ponad emocje i zachować zimną krew.

Przyjechali na marsylskie lotnisko. Pagan wsunął pistolet z tłumikiem do schowka. Weszli do terminalu i zbliżyli się do kontuaru linii Air France. Kiedy Pagan wymienił cel podróży, recepcjonistka o nierozgarniętej twarzy spojrzała na niego ze zdziwieniem.

- Niestety, nie ma bezpośredniego połączenia z Wenecją. Trzeba lecieć przez Rzym.

- A może inne linie mają loty bezpośrednie? Na przykład Alitalia. Kobieta cierpliwie wystukała coś na klawiaturze komputera.

- Alitalia też nie ma bezpośredniego połączenia. Tymi liniami trzeba by polecieć najpierw do Mediolanu. Niestety.

Niestety. Pagan zdał sobie sprawę, że wpadł w pułapkę własnych hipotez i założeń. Jechał

do Marsylii z błędnym przekonaniem, że natychmiast uda mu się złapać bezpośredni lot do Wenecji, że wystarczy kupić bilet, machnąć paszportem, presto, presto, kawa przy oknie i już lotnisko Marco Polo.

- Więc jak najłatwiej się tam dostać? - zapytał.

- Dziewięta dwadzieścia pięć do Rzymu. Przylot o dziesiątej czterdzieści pięć. Stamtąd do Wenecji o czternastej dwadzieścia pięć. - Kobieta zamrugła długimi rzęsami przypominającymi nóżki pająka.

- Dobrze, lecimy do Rzymu - powiedział.

Patrzył, jak stuka w klawiaturę, potem ożywa drukarka i pojawiają się dwa bilety. Zapłacił

kartą kredytową, schował bilety do kieszeni, a później razem z dziewczyną przeszli się po terminalu. Zgodnie z wyświetlanymi rozkładami lotów była godzina ósma trzydzieści.

Zostało im jeszcze trochę czasu. Kupił w automacie kawę, pomyślał o papierosie, ale zaraz zrezygnował.

Spojrzał na wystawę sklepu z typowo francuskimi towarami - słoiczkami musztardy z Dijon, bagietkami, winami. Zwrócił uwagę na swe odbicie w szybie. Był blady i zmęczony.

Stojąca za nim dziewczyna wyglądała jak cień. Przypomina trochę postać z wyblakłego zdjęcia, które długo leżało w portfelu.

Usiadł, aby dopić kawę. Dziewczyna zajęła miejsce obok. W końcu Pagan zgniótł kubek i wyrzucił do kosza na śmieci. Spojrzał na rozkład lotów.

- A co będzie, gdy już dolecimy do Wenecji? - zapytała.

- Pójdziemy do Barrona.

- Razem?

- Najpierw wejdiesz ty, a ja z bronią pójdę za tobą. Ciebie się spodziewa. Tylko ja go zaskoczę.

- Tak po prostu?

-Tak.

- Nie podoba mi się ten plan.

- Dlaczego? Masz poczucie, że go zdradzasz?

- Możliwe.

- Ach, serce mi pęka - powiedział.

Wsunęła dłonie między kolana i przez dłuższą chwilę milcząc wpatrywała się w podłogę.

W końcu odezwała się cichym głosem.

- Dziwne, ale przykro mi, że z nami...

- Nie chcę tego wysłuchiwać - rzekł Pagan. - Jeśli czegoś żałujesz, zachowaj to dla siebie.

Podniosła głowę i spojrzała mu w oczy. Milczała. Zdenerwowany Pagan wstał i zaczął się przechadzać po terminalu. Dziewczyna podążała kilka metrów za nim. Zwrócił uwagę na znajdujące się przy wejściu stoisko z porannymi gazetami. Z krzykliwych nagłówek wynikało, że w Pradze na Hradczanach miał miejsce okrutny zamach, w którym zginął

prezydent Syobodin i kilku jego ministrów. Zdjęcia przedstawiały dym unoszący się nad potężnym zamczyskiem.

Zmęczony bombami i zamachami, trawiony nienawiścią Pagan przesuwiał wzrokiem po pierwszych stronach włoskich, francuskich i angielskich dzienników. Na fotografiach pojawiał się drobny, spłoszony, wręcz zdezorientowany przez flesze aparatów Władimir Gurienko. Trzy pojedyncze ujęcia ukazywały go wymieniającego uścisk dłoni z angielskim premierem i francuskim prezydentem.

A na trzecim - witającego się z amerykańskim ambasadorem Wil-liamem J. Caanem na schodach ambasady USA w Londynie. Caan wydawał się zadowolony, Gurienko zaś miał

wymuszony, zdradzający napięcie uśmiech człowieka, który musi dźwigać brzemień kłopotów skłóconego, podzielonego na frakcje narodu.

Pagan przyjrzał się urodziwej twarzy ambasadora, a potem zaczął czytać tekst. Treść artykułu znowu pobudziła do życia mrok drzemiący gdzieś w zakamarkach jego umysłu.

Pagan był zbyt zaabsorbowany zamachem w tunelu i postaciami Streika, Carlotty i Brennan Carberry, aby zwracać jeszcze uwagę na wydarzenia w szerokim świecie. Nie mógł się zajmować posunięciami polityków, bo własne problemy cisnęły mu się natarczywie do głowy, jak urywane tykanie zabytkowego zegara, dolatujące co pewien czas z sąsiedniego pokoju.

Caan witał Gurienkę.

Gurienko, pisano w artykule, udaje się właśnie do Wenecji na spotkanie z włoskim premierem. Prezydent, jako koneser sztuki, zwiedzi także Scuola Grandę di San Rocco...

Wenecja. Wenecja zimą.

Tam rezyduje Barron...

Tam może być Carlotta...

Wyjął gazetę ze stojaka i dokładnie przyjrzał się zdjęciu z nadzieją, że zobaczy pod nim coś więcej, że dostrzeże inny wymiar - jak gdyby miał przed sobą nie doniesienia z najbliższej przeszłości, ale wąską szczelinę, przez którą można zajrzeć w przyszłość.

Dziewczyna stanęła przy nim i spojrzała mu przez ramię.

- Coś nie tak? - zapytała.

Zastanawiając się nad wyrazem jej twarzy, odłożył gazetę na stojak.

- Mam nadzieję, że tylko ze mną - odparł.

Wenecja

Szybkim krokiem szła wąskimi uliczkami miasta, odświętnie przystrojonego na przyjęcie prezydenta Rosji. Łopoczące na wietrze flagi wydawały odgłos przypominający smaganie biczem i wydawało się, jakby miasto nawiedziła chmara drapieżnych ptaków. Słońce oświetlało skwerki, zażywe kobiety w futrach przechadzały się po alejkach, dzieci biegały tam i z powrotem. Mimo wszystko uradowały ją słowa Barrona. Ciekawe, jaką zaplanował

dla nich przyszłość? Wyjadą razem na jakąś karaibską wysepkę i tam się zestarzeją? Będą razem spacerować po migoczących w słońcu plażach i jadać posiłki na stiukowych tarasach?

Nie, jej szczęście nie mogło tak wyglądać. To był mały, nudny świat Barrona.

On czuła się szczęśliwa teraz, robiąc to, co robi, ekscytując się bliskością śmierci. Krew szybciej krążyła jej w żyłach. Była pełna energii i determinacji, wydawało jej się, że widać unoszącą się wokół niej aurę i płomień jarzący się w głębi oczu. Barronowi nigdy nie udało się jej zrozumieć, bo okazywał się słabeuszem, kiedy trzeba było spojrzeć w oczy światu, na którym żyje. Jaką on mógłby zaoferować jej przyszłość?

Przechodząc przez mostek, słyszała stukot własnych pośpiesznych kroków. Mijając most Rialto prawie wcale nie zwracała uwagi na sprzedawców oferujących jedwabne chustki, podkoszulki i biżuterię. Te rzeczy należały do innego świata, który nie miał nic wspólnego z Alisą Baranową z Smoleńska. Ona była tutaj obca, przyjechała jako turystka, przechadzała się po mieście i mrużąc oczy wystawiała twarz do słońca.

Po drugiej stronie Canal Grandę, idąc zacienioną alejką, mijala kawiarenki pełne ludzi i gwaru rozmów. Alisa Baranowa nie rozumiała po włosku. Nie wiedziała, jak wejść do kafejki i zamówić coś do picia inaczej, jak tylko pokazując palcem pozycję w karcie dań i kiwając przepaszająco głową, tak jak to mają w zwyczaju turyści. Mogła myśleć o ojcu inżynierze i zastanawiać się, jak znosi okrutną rosyjską zimę. Albo o matce, o troskliwej mamie ze zmarszczkami na czole i wokół ust, której o tej porze roku pierzchną i pękają ręce. Mogła się zatrzymać i kupić kartkę pocztową, płacąc w nieporadny sposób, jak obcokrajowiec nie znający miejscowej waluty. Tak, na takie rzeczy Alisa mogła sobie pozwolić.

Z cienistej alejki wyszła prosto na zalany słońcem skwerek. Do Scuola było już niedaleko.

Podniosła głowę, spoglądając na powiewające flagi. Dokoła pełno było stojących w grupkach policjantów i żołnierzy z przerzuconymi niedbale przez ramię karabinami automatycznymi.

Niektóre alejki zostały wręcz zamknięte dla ruchu. Troskliwa Wenecja chroniła swego gościa

- człowieka nazwiskiem Gu-rienko. Dokoła unosił się odwieczny odór kanałów i starych, wilgotnych, stale obmywanych wodą kamieni.

Przeszła na obstawiony wojskim placyk San Rocco, gdzie zgromadzili się dziennikarze i kamerzyści. Reporterzy, komentatorzy i analitycy pchali się, aby być jak najbliżej gmachu Scuola. Tu i tam podały gniewne słowa; jeden z żołnierzy zabrał szczególnie natarcywowemu fotoreporterowi aparat i rozbił go o ziemię.

Zanim Alisie Baranowej pozwolono przejść do drzwi budynku -posępnego miejsca niszczonego od zimowej wilgoci i letnich upałów - musiała pokazać kartę identyfikacyjną.

Była dokładnie czternasta.

We wnętrzu budynku, w głównej, okrytej mrokiem sali, pomimo ciepła ciał krzątających się pracowników ochrony, było chłodno. Wiedziała, że chodzi tu o zachowanie trwałości dzieł

Tintoretta - w zbyt wysokiej temperaturze popękałaby farba. Przeszła przez detektor metali, a siwowłosy rosyjski agent ochrony we włoskim dwurzędowym garniturze uważnie obejrzał

kartę identyfikacyjną i uśmiechnął się. Zrozumiała, że to właśnie ten człowiek otworzył przed nią drogę do wykonania zadania. Później nie będzie już żadnych przeszkód i wszystko pójdzie gładko.

Weszła do sali. Pośrodku umieszczono długi stół i rozstawiono po bokach dziesięć krzeseł.

Wszędzie dookoła trzydziestu pracowników i pracownic rosyjskiej ochrony badało ściany za pomocą elektronicznych urządzeń wykrywających. Sprawdzali też podłogi, krzesała, stół i wszystko inne. Agenci na wysokich aluminiowych drabinkach sprawdzali sufit. Przez całą długość podłogi ciągnęły się czarne, grube przewody elektryczne. Przenośne komputery połączone ze wszystkimi elektronicznymi wykrywaczami wyświetlały wykresy podobne do tych, jakie w szpitalu pokazują akcję serca.

Podniosła głowę i popatrzyła na obrazy obojętnym wzrokiem; Alisa Baranowa nie miała artystycznej natury. Takie dzieła jak „Pokłon Trzech Króli” czy „Obrzezanie” nie robiły dla niej żadnego wrażenia. Nie urzekały jej ciemne barwy ożywione gdzieś plamkami czerwieni i złota.

Nagle podszedł do niej zdenerwowany i zmartwiony człowieczek w okularach bez oprawki

- najwyraźniej kustosz muzeum.

- Ja się na to nie zgadzam, ja się na to nie zgadzam - mamrotał pod nosem, chodząc z miejsca na miejsce i upewniając się, że nikt nie dotyka dzieł sztuki rękami. - Co za profanacja, co za straszna

profanacja. Czy do nich nie dociera, że te wszystkie obrazy są bezcenne? Dlaczego wybrali akurat to miejsce, skoro mają do wyboru tysiąc innych? Ach, ci politycy, wyobrażają sobie, że kręci się wokół nich cały świat.

Alisa Baranowa, udając, że nic nie rozumie, odeszła od niego, zmieszała się z pracownikami ochrony i, starając się wyglądać słuźbi-ście, przybrała pełną zatroskania minę.

Rozpłynęła się w tłumie. Umiejętnie udawała zainteresowanie, skrupulatność i zaangażowanie w wykonywaną pracę. Po prostu kamuflaż doskonały.

- Pani jest nowa?

Alisa Baranowa odwróciła się. Surową twarz trzydziestokilkuletniej kobiety, która zadała to pytanie, pokrywała nadmierna ilość szminki i różu.

- Nigdy wcześniej pani nie widziałam - powiedziała kobieta. Alisa uśmiechnęła się niewinnie.

- Przydzielono mnie w ostatnim momencie - odparła.

- Sądząc po akcencie, pochodzi pani z Leningradu.

- Tak, mieszkałam tam przez jakiś czas, ale potem rodzice się przeprowadzili. - Wzruszyła ramionami. Nie spodziewała się rozmowy po rosyjsku, chociaż, pomimo rzadkich okazji, mówiła tym językiem zupełnie płynnie.

Rosjanka zerknęła na siwowłosego mężczyznę stojącego przy wejściu i z porozumiewawczym spojrzeniem odwróciła się do Alisy.

- Chyba rozumiem.

- Co pani rozumie? - Alisa poczuła drobne drgnięcie serca.

- Że jest pani jego najnowszym nabytkiem - odrzekła kobieta z przesadnym makijażem.

Alisa ze zdziwieniem potrząsnęła głową.

- Czyim nabytkiem?

- Moja droga, nie ma się czego wstydzić. On nas zmienia jak rękawiczki. Przecież wiadomo, że jesteś dla Budionnego dziewczyną miesiąca.

Czy warto temu zaprzeczać? Można przecież bezpiecznie brnąć dalej.

- Myślałam, że nikt nie wie - powiedziała skromnym, nieśmiałym głosem.

Rosjanka położyła Alisie dłoń na ramieniu.

- On ma nienasycony apetyt. Wszyscy o tym wiedzą. - Roześmiała się serdecznie, lecz była w tym śmiechu jakaś oschłość, brzmiał dziwnie znacząco, a może nawet złowieszczo. - Życzę ci powodzenia, bo tego teraz potrzeba ci najbardziej.

Alisa odeszła w głąb sali z szarego kamienia. Tam odwróciła się i spojrzała na mężczyznę nazwiskiem Budionny, który przyglądał się jej z drugiego końca pomieszczenia. Czyżby ten ruch powieki oznaczał porozumiewawcze mrugnięcie? Po chwili Budionny się odwrócił.

Poczuła się jak bohaterka jakiegoś romansu. Powinnam się teraz spłonić?

Uklękała i zajęła się badaniem parkietu. Udając profesjonalne podejście, sprawdzała, czy elektrycy czegoś nie przeoczyli - chociaż to oczywiście absolutnie niemożliwe. Namacała palcami ciemną, starą, podniszczoną listwę narożną, o której opowiadał jej Barron. „Na pewno ją znajdziesz. Pójdź tam, kiedy już skończą pracę elektrycy”.

Alisa zakasłała, sięgnęła do kieszeni i podniosła do ust chusteczkę. Wyłuskała z niej mały, cylindryczny przedmiot, a potem wsunęła go pod listwę i zręcznie przykleiła krótkim kawałkiem taśmy. Elektrycy sprawdzali już to miejsce, więc nie wrócą tutaj. Wstała i odeszła od przyklejonego do listwy przedmiotu. Przemierzyła całą salę, minęła

„Wniebowzięcie” i skierowała się do wyjścia. Budionny znów na nią spojrzał, ale z jego twarzy trudno było cokolwiek wyczytać. Uniósł brew i lekko uklonił się Alisie.

- To pani jest przeziębiona? - zapytał.

Barron mówił, że powinna spodziewać się takiego hasła.

- Tak, to ja - odpowiedziała.

- Wszystko przez tę porę roku. Proszę wracać do hotelu i nic się nie przejmować.

- Dobrze. Dziękuję.

Odprawił ją lekceważącym ruchem ręki. Alisa wyszła ze Scuola i przepchnęła się między żołnierzami i dziennikarzami okupującymi plac San Rocco. Wyszedłszy z obstawionego terenu, spojrzała na zegarek. Była czternasta trzydzieści. Zadanie zostało wykonane. Przeszła przez most Rialto i postanowiła pospacerować sobie po placu Świętego Marka, a może nawet wstąpić na kawę do któregoś z lokali pod arkadami. Potem wróci do mieszkania Barrona przy Calle dei Avocati i fikcyjna postać Alisy Baranowej przestanie istnieć.

Wenecja

O czwartej Frank Pagan i Katherine Cairney przylecieli na lotnisko Marco Polo i przeszli przez terminal obstawiony pr/ez sporą liczbę czujnych miejscowych policjantów. Pagan wiedział, że wypatrują szykujących się do rzucania ciastkami albo wygrażania trzonkami siekier różnej maści dziwaków, szaleńców i radykałów oraz wyznawców spiskowej teorii dziejów, którzy mają tendencję do organizowania wieców wszędzie tam, gdzie pojawiają się prominentni politycy, i których policja

prewencyjnie zamyka na jedną noc w areszcie.

Z przystani popłynęli łodzią do miasta. Podczas oczekiwania w rzymskim terminalu na przesiadkę, obserwowali ciemne, ponure niebo, a tutaj, w Wenecji, niespodziewanie powitało ich jasne, niemal oślepiające słońce. Na łodzi Pagan przyglądał się współpasażerom -dwójce obarczonych plecakami Finów o niespotykane czerstwych i zdrowych twarzach oraz hałaśliwemu Anglikowi z silną lornetką, który przemawiał do swej nieśmiałej żony takim tonem, jak gdyby słowa były pociskami, a nie środkiem porozumienia. „Boże drogi, pamiętam jak żem przyjechał tu razem z Duffy. Aleśmy mieli radochę, a tę Wenecję tom tak wtedy poznał, jak dziury we własnej kieszeni”.

Pagan wyszedł na pokład, a Katherine podążyła za nim. Pomimo słońca było chłodno.

Zadrzał z zimna, schował ręce do kieszeni i pomyślał, że w innych okolicznościach mogłoby nawet być romantycznie - cudowna Wenecja i atrakcyjna dziewczyna u boku. Ale z pewnością nie teraz.

Gdy łódź zaczęła się zbliżać do Canal Grandę, gdzie promienie słońca penetrowały podniszczone gmachy przybrzeżnych pałaców, rozmyślał o Barronie, zastanawiając się jak ma postępować z człowiekiem, o którym praktycznie nic nie wie. Odwrócił się do dziewczyny, która w okularach o bursztynowych szklach wyglądała teraz na napuszoną i niedostępną.

- Czy Barron może mieć jakąś ochronę? - zapytał, nie patrząc na nią. - Jakąś broń albo wynajętych goryli? Wzruszyła ramionami.

- To chyba sam będziesz musiał sprawdzić. Złapał ją za rękę.

- Dobrze się zastanów.

Z wyniosłym uśmiechem wyszarpnęła rękę. Pagan zauważył, że trochę się go boi. Miała minę osoby przebywającej w towarzystwie człowieka o nieprzewidywalnych reakcjach.

- Odwiedzałam go tylko na Florydzie, a tam żadnych uzbrojonych ludzi nie zauważyłam.

Miał tylko kucharza i służącą. Nikogo więcej nie pamiętam. Ale skąd mam wiedzieć, czy tu w Wenecji nie ma całej armii?

Spoglądając na brzegi Canal Grandę, co jakiś czas widział trzepoczące na wietrze transparenty. Prawie wcale nie znał włoskiego, ale rozumiał znaczenie takich gestów. Miasto oficjalnie witało Gurienkę.

Taki sam niepokój, jaki ogarnął go podczas lotu z Marsylii do Rzymu, teraz dopadł go tutaj, w mieście na wodzie, i nasilił się na widok powiewających transparentów oraz niewinnych przechodniów spacerujących w promieniach jasnego słońca. Wydawało mu się, że czuje w powietrzu zapach nieszczęścia, tak jak człowiek czuje czasem burzę, zanim jeszcze usłyszy grzmot lub zobaczy błyskawicę. Usunął to wrażenie w cień, w miejsce, gdzie zabutelkowane uczucia fermentują po pewnym okresie leżakowania. Teraz jednak zaczęły bulgotać niemal od razu - Gurienko, fotografia w gazecie na lotnisku w Marsylii. Jeżeli jest tutaj Carlotta, to skoro potrafiła wysadzić w powietrze pociąg londyńskiego metra, czymże byłaby dla niej jeszcze jedna śmiertelna ofiara?

Jeżeli jest tutaj...

Wysiedli na łód kilka metrów od mostu Rialto i ruszyli brzegiem kanału. Na lotnisku Pagan kupił plan Wenecji i teraz, odwracając się tyłem do wiatru, próbował zorientować się w terenie. Zobaczył jednak tylko pogmatwaną sieć uliczek i kanałów. Zawsze miał trudności z orientacją w obcych miastach, nawet tych zbudowanych na przejrzystym planie, ale już tutaj nie mógł się dopatrzeć żadnej logiki.

Spojrząwszy na wodę, zobaczył przepływające barki towarowe z owocami i warzywami, poruszające się ospale gondole i bzyżące jak komary tramwaje wodne, vaporetti. Wodząc palcem po planie, znów próbował się skoncentrować.

- Mam tę ulicę - odezwał się w końcu. - Musimy przejść przez Rialto i kierować się na plac Świętego Marka. - Powiew wiatru zarzucił mu mapę na twarz.

- A więc prowadź.

Po przejściu kilku metrów dotarli do Campo delia Pescaria, gdzie z targu rybnego sływał

ulicą szlam i krew patroszonych ryb. Gdzieś tam poniewierały się też wnętrzności kałamarnic, pogniecione krewetki, ości kiełbi, resztki węgorzy i wydłubane rybnie oczy, a wszystkim tym zajadały się miejscowe koty. Stąpali więc ostrożnie pomiędzy stertami łusek i rybniej skóry oraz różowymi, niezidentyfikowanymi narządami. Jakiś człowiek splukiwał te odpadki strumieniem wody z gumowego węża; w powietrzu unosił się przegniły zapach martwego oceanu.

Przeszli przez Rialto i wkroczyli w labirynt alejek i uliczek, które czasem niespodziewanie otwierały się na piękne placyki. Pagan miał uczucie, że błąkają się po jakichś tunelach łączących ze sobą sześciennie pudła. Takie błądzenie po labiryncie pasowało do ich sytuacji.

Nie wiedzieli bowiem, czy idą w dobrym kierunku i czy skręcają gdzie należy. Poza tym przecież Pagan mógł się całkowicie mylić w swoich założeniach - zdjęcie Barrona i Carlotty, mimo wszystko, było robione wiele lat temu. Tych dwoje już od dawna może nie mieć ze sobą nic wspólnego. Tylko po co wówczas Barron wydawałby rozkaz przeprowadzenia egzekucji? Mordowanie Pagana nie miałoby żadnego sensu, gdyby nie stanowił on zagrożenia dla czegoś, w co Barron jest zaangażowany...

W końcu dotarli do placu Świętego Marka, gdzie zakonnice oprowadzały wycieczkę uczniów, a turyści fotografowali wieżę i bazylikę. Zachodzące nad placem miedziane słońce budziło niezapomniane wzruszenia. Gołębie podrywały się do lotu, ludzie spacerowali pod arkadami, a artyści sprzedawali kiczowate akwarele.

Na środku placu Pagan stanął, obejrzał się na dziewczynę i dostrzegł w jej okularach blask zachodzącego słońca. Ogarnął go zachwyt; wszystko dokoła jakby się sprzysięgło, aby wywołać w nim nie pasujące do sytuacji poczucie spokoju. Wyobraził sobie, że przytula Katherine, całuje ją w czoło i ogarnia go kojąca niepamięć. Jak-365 że przyjemnie byłoby zapomnieć o powodach przyjazdu

w to miejsce, myślał, zapomnieć o zdradzie dziewczyny, zabrać ją do cichego pensjonatu z popękany sufitem i łuszczącą się farbą na karniszach, i paść na skrzypiące łóżko, rozklekotane zabawami kochanków.

Nagle zerwał się wiatr, unosząc papiery, okruchy chleba i ulotki turystyczne - banalność tych przedmiotów ściągnęła Pagana na ziemię. Usłyszał łopot flag i chwilowy nastrój ustąpił

nieokreślonymu niepokojowi.

Znów pomyślał o Gurience. Jakie byłyby konsekwencje jego zamordowania? Oczywiście chaos. Niestabilna Rosja, którą stronnicy Gurienki ledwie utrzymują w ryzach, natychmiast rozleciałaby się w pył, a jej zwłoki zostałyby rzucone na żer żarłocznych sępów, zarówno twardogłowych, jak i reformatorów; stare niesnaski pomiędzy entuzjastami zmian a zwolennikami jałowej stabilizacji mogłyby doprowadzić nawet do wojny domowej.

Znów poczuł ból głowy, pulsujące łupanie pomiędzy oczami i usłyszał głos Streika: „Pokój nie sprzyja interesom”. Pokój źle wpływa na interesy - zwłaszcza kiedy, tak się składa, ktoś robi interesy na śmiercionośnej broni.

A właśnie tego rodzaju biznesem zajmuje się William J. Caan. Na broni wyrosła jego fortuna.

Wydawało się Paganowi, że znalazł prawidłowe rozwiązanie i że odszukał zagubiony fragment pasujący do obrazka. Jeśli narysować linię łączącą Caana i Grabarzy z Carlottą, to pośrodku znajdzie się łącznik - Tobias Barron, który upoważnił Carlottę do zamordowania Bryce'a Harcourta, który prawdopodobnie nie lubi swojego zajęcia, lecz boi się tak samo jak Streik, i który być może gotów byłby puścić farbę... Początkowo wydawało mu się, że znalazł

rozwiązanie zagadki, ale zaraz się zreflektował. To jeszcze nic pewnego, bo w razie braku powiązań pomiędzy Carlottą i Barronem, całe to rozumowanie warte jest funta kłaków.

Idąc z dziewczyną pod arkadami, zajrzał do planu.

- Skręcamy w lewo - powiedział i weszli na uliczkę pełną pizzerii, trattorii i sklepów spożywczych z wystawami zawalonymi szynkami i kielbasami. Na ten widok Pagan zrobił się głodny. Nawet nie potrafił sobie przypomnieć, kiedy po raz ostatni coś jadł. Słońce zaczęło się chylić i nad miastem rozpościerał się mrok.

- Musimy znaleźć Calle delia Manola - powiedział Pagan. Gdy wchodzili na skwerek ukryty w cieniu padającym od liszajowatych terakotowych ścian, wiatr podwiał mu płaszcz i Pagan poczuł nagły chłód.

Przeszli przez niewielki mostek i znaleźli się na drugim placu o nazwie Campo Sant'

Angelo. Nagle nie wiadomo skąd na ich drodze pojawił się podśpiewujący pod nosem pijak.

Pagan miał tak zszarpane nerwy, że natychmiast chwycił za broń, ale pijaczek zatoczył się, minął ich i zniknął gdzieś w bocznej alejce.

- Prawie jesteśmy na miejscu - odezwał się Pagan. Potem stanął, dla pewności jeszcze raz zajrzał do planu, i skierował się na drugą stronę skwerku ku wąskiej, ponurej uliczce pozbawionej słońca.

- Mamy. Calle dei Avocad - powiedział i zatrzymał się, ponieważ nagle opuściły go resztki pewności siebie. Wydało mu się, że śni szaleńczy sen, w którym zupełnie osamotniony człowiek trafia pomiędzy dziwnie powykrzywiane budowle, na kręte ulice prowadzące donikąd, przed oczy bezkształtnych twarzy wyglądających przez mroczne okna, i jest tak przerażony, że aż musi się obudzić.

Weszli w uliczkę.

Nagle zapaliły się latarnie. Ich światło podkreśliło delikatne rysy twarzy Katherine. Ona też się wahała i myślała, jak zareagowałby Pagan, gdyby uparła się nie spełnić jego żądania - lecz w końcu zrezygnowała z rozważania takiej ewentualności. Kuląc się na coraz mocniejszym wietrze, poszukiwali numeru, pod którym mieszkał Barron. W końcu znaleźli trzypiętrowy, ciemny dom wciśnięty pomiędzy podobne budynki. Na górnych częściach masywnych drzwi z poczerńałego drewna widniały lwie łby wyrzeźbione tak realistycznie, że czuło się prawie zapamiętałość karmiących samic. Pagan pomyślał o pracowni Audrey Roczak w Lyonie - o jej życiu, które stało się teraz pełne niedostępnych drzwi i nieosiągalnych miejsc.

- Naciśnij dzwonek. Ja będę za tobą. W żaden sposób nie próbuj go ostrzegać, nawet o tym nie myśl.
- Wyciągnął z kabury pistolet i ukrył go pod płaszczem.

Dziewczyna stała nieruchomo i wpatrywała się w Pagana.

- Naciśnij dzwonek - powtórzył.

Wbiła wzrok w ziemię i przestąpiła z nogi na nogę.

- Na litość boską - powiedział zniecierpliwiony. Sam wyciągnął rękę i przyłożył kciuk do guzika. Z głębi domu doleciało dzwonenie. Cofnął się o kilka kroków.

Drzwi nie otworzył sam Tobias Barron, lecz blady, lekko przygarbiony człowiek w czarnym ubraniu. Zauważył tylko dziewczynę.

- Czy signorina Cairney? - zapytał.

Dziewczyna bez entuzjazmu skinęła głową. Czekający w napięciu Pagan spodziewał się z jej strony jakiegoś ostrzegawczego krzyku albo ukradkowego gestu, lecz ona zwyczajnie ruszyła do wejścia.

- Proszę, jest pani oczekiwana - powiedział Schialli, otwierając szerzej drzwi.

W tym momencie Pagan wyskoczył z ukrycia, wyciągnął pistolet i przyłożył służącemu lufę do głowy.

- Cofaj się - powiedział. - Trzymaj ręce przy ciele i cofaj się. Rozumiesz, co mówię?

Zdezorientowany służący przyglądał się dziewczynie.

-Kto to jest?

Pagan wszedł do środka i kopnięciem zatrzasnął za sobą drzwi. Zwrócił uwagę na westybul wyłożony kamiennymi płytami i oświetlony żyrandolem z weneckiego szkła.

- Kto to jest?- powtórzył Schialli. Dziewczyna milczała ze zgnębiłą miną.

- Gdzie Barron? - zapytał Pagan, patrząc na żółtawą twarz Schiallego, w którego ciemnych oczach malowało się zaskoczenie i trwoga.

Zbity z tropu służący usunął się na bok. Pagan zauważył kamienne schody, na które nie padało światło żyrandola.

- Zadałem ci pytanie - powiedział, przesuwając lufę na czoło Schiallego. Nagle znów doszła do głosu jego wyobraźnia; może pod kamiennymi płytami zainstalowano system alarmowy uruchamiany naciśnięciem nogi lub innym tajnym sygnałem i za chwilę pojawi się tutaj cała gromada uzbrojonych ludzi.

- Nie zmuszaj mnie, żebym je zadał jeszcze raz - rzekł Pagan i mocniej przycisnął lufę.

Trzymając ręce w kieszeniach skórzanej kurtki, dziewczyna spojrzała na kamienne schody, na których mignął jakiś cień.

Na górze pojawiła się sylwetka człowieka. Służący w ciemnym stroju odwrócił się do schodów i bezradnie rozłożył ręce. Postać na schodach poruszyła się i zeszła w krąg padającego z żyrandola światła. Mężczyzna jedną rękę trzymał na poręczy schodów, a drugą w kieszeni marynarki.

Przyglądając się jego opalonej twarzy, Pagan poczuł zmieszanie, wywołane po części otaczającą Barrona aurą autorytetu, a po części zaskoczeniem, że postać na zdjęciu okazała się rzeczywista i że fotograficzny wizerunek stał się ciałem.

- O, Katherine i Frank Pagan - odezwał się Barron. - Cóż za niespodzianka. - Spojrzał na dziewczynę, uśmiechnął się i lekko skłonił głowę. Miał głęboki głos akwizytora, który potrafi nakłonić człowieka do podpisania niepotrzebnej polisy ubezpieczeniowej na życie.

-Rozczarowałaś mnie, dziewczyno.

Katherine Cairney milczała. Barron najwyraźniej dobrze się czuł, patrząc na wszystko z góry, i nie zamierzał schodzić niżej.

- Dobrze, że możemy sobie darować prezentację - odezwał się Pagan.

- Z zainteresowaniem śledziłem pańską karierę, panie Pagan -powiedział z uśmiechem Barron. - Zresztą sam pan już o tym wie. -Skinął do Katherine i do niej skierował dalsze słowa. - Chyba prosiłem cię o zbyt wiele, prawda? Obawiam się, Katherine, że nie byłaś jeszcze gotowa. Widocznie w twych żyłach nie płynie ta sama krew, co u brata.

Na wspomnienie o bracie dziewczyna ruszyła do przodu i podeszła do schodów.

- Powiedziałeś mi, że Pagan zastrzelił Patricka. On temu zaprzecza.

- I ty mu wierzysz? - zapytał Barron. - Przekładasz jego wersję ponad moją?

- Sama nie wiem, w co mam, do diabła, wierzyć.

- Czuję się urażony - rzekł Barron, lecz jego słowa nie brzmiały przekonująco. Z jakichś powodów Pagan nie mógł sobie wyobrazić, że Barron może być urażony; sprawiał wrażenie człowieka opanowanego i kontrolującego swe emocje.

- Tobias, jeśli mnie okłamałeś... - odezwała się dziewczyna, ale nie dokończyła. W jej głosie brzmiała nadzieja i obawa przed rozczarowaniem.

- Zwracam ci uwagę, że to ty mnie okłamałeś - rzekł Barron. - Twierdziłaś, że Pagan nie żyje, a ja na własne oczy widzę go całego i zdrowego. Katherine, nie sprzeczejmy się o kłamstwa.

- Powiedz jej prawdę, Barron - odezwał się Pagan. - A potem jeszcze powiedz jej o Carlocie i o bombie w metrze. Wspomnij też o swym zaangażowaniu w Sprawę i opowiedz, jak ją wykorzystujesz do własnych celów.

Przez chwilę Barron przyglądał się Paganowi w milczeniu. A później, ponieważ Pagan nie zabierał głosu, przemówił.

- Nie mam ochoty na dysputy o Patricku Cairneyu. Czy to ma znaczenie, kto go zabił? Nie sądzę. Trupa to nic nie obchodzi. - Spojrzał na swe opalone dłonie, jakby chciał sprawdzić, czy nie pojawiły się na nich jakieś skazy. - Poza tym historii nigdy nie da się odtworzyć.

- Ale można ją analizować - powiedział Pagan.

- Oczywiście, wokół każdego przeszłego wydarzenia można zbudować mnóstwo interpretacji.

- Albo mnóstwo kłamstw.

- Pagan zabił Patricka Cairneya, Pagan nie zabił Patricka Cair-neya - Barron spojrzał na dziewczynę. - Możesz sobie wybrać. Ostatecznie jakaż to różnica?

- Dla mnie to różnica - powiedziała. Postawiła nogę na pierwszym stopniu, jakby chciała wejść na górę i stanąć naprzeciw Barro-na; Pagan zdziwił się jej stanowczością. Niełatwo było zbić jaz tropu, a wykręty Barrona tylko dodawały jej energii.

- Coś jest albo białe, albo czarne - mówiła. - Skoro Pagan nie zabił Patricka, to o co jeszcze go oskarżasz?

- To Pagan wykonuje zawód polegający na oskarżaniu ludzi, moja droga. On tak zarabia na życie.

- Tobiasz, nie odpowiedziałeś mi.

Barron odsłonił w uśmiechu idealnie białe zęby.

- Od jak dawna się znamy, Katherine? Od wielu, wielu lat. A od kiedy znasz Pagana? Od kilku dni?

Jest przekonujący, pomyślał Pagan. Mówi swobodnym, pewnym siebie tonem.

- Twój tato należał do moich najdroższych przyjaciół. Niejeden raz prosił mnie, żebym, w razie gdyby coś mu się stało, roztoczył nad tobą opiekę. I spełniałem tę jego prośbę. Chyba nie zaprzeczysz, że troszczyłem się o ciebie.

- Nie zaprzeczę - pokręciła głową.

- Ale masz wątpliwości.

- Owszem, mam wątpliwości, bo nie odpowiedziałeś mi na pytanie i stale unikasz odpowiedzi.

Barron zszedł jeden stopień niżej i zatrzymał się. Podniósł rękę wnętrzem dłoni do góry, chwilę patrzył na nią zmęczonym wzrokiem, a w końcu westchnął i trochę się rozluźnił.

- Nudzi mnie ta rozmowa. Jeśli chcesz wierzyć swojemu przyjacielowi z policji, to proszę bardzo, decyzja należy do ciebie.

- Ona chce otrzymać jasne i proste odpowiedzi - wtrącił Pagan. - To chyba nic trudnego, prawda?

Dziewczyna opuściła ręce wzdłuż ciała i zacisnęła pięści.

- Zaprzeczasz temu wszystkiemu na temat Carlotty? Zaprzeczasz, że ją znasz? No mów, na miłość boską! Powiedz przynajmniej tyle.

Barron milczał. Patrzył na nią tak, jakby chciał powierzyć jej jakąś niezaprzeczalną prawdę, a jednocześnie dać jej radę: „Widzisz, moja droga, żyjemy w paskudnym świecie i czasami robimy paskudne rzeczy. Widocznie nic na to nie można poradzić. Nie zrażaj się tak łatwo do ludzi”.

- Spotykam wielu ludzi. Podróżuję po świecie, wymieniam uściski dłoni i ucinam pogawędkę z wieloma różnymi osobami. Poznałem już chyba ludzi wszelkiego typu.

- Co, do cholery, chcesz przez to powiedzieć? Że naprawdę ją znasz?

Barron nie odpowiedział.

- Tobiasz, bawisz się ze mną w kotka i myszkę.

- W nic się nie bawię.

- Znasz Carlottę? Masz coś wspólnego z zamachem w metrze? Odpowiedz mi.

Barron wyglądał tak, jakby zastanawiał się nad odpowiedzią.

- Moja droga, zaczynasz się upodabniać do swojego przyjaciela Pagana. Musi mieć na ciebie zły wpływ. Wielka szkoda.

- Odpowiedz mi, do jasnej cholery!

Dziewczyna miała napiętą twarz i krzyczała głosem, jakiego Pagan jeszcze u niej nie słyszał.

Barron zszedł o kolejny stopień niżej i spojrzał na Pagana.

- Czy musi pan trzymać pistolet tak jak teraz? Nie mam w domu żadnej broni, więc ten gest jest trochę na wyrost.

- Będę trzymać pistolet, tak jak trzymam. - Pagan przyglądał się przez chwilę rysom jego twarzy zniekształconym trochę przez światło żyrandola. Na początku Barron sprawiał

wrażenie młodszego, lecz było to tylko złudzenie. Teraz wyglądał jak podrzędny aktorzyzna, czekający na mistrza charakteryzacji. Owszem, miał twarz urodziwą, ale zmęczoną, poszarzałą i wymagającą pociągnięcia pędzlem artysty. Chociaż starał się prezentować pewność siebie, widać było, że jest zmęczony.

- Gdzie ona jest? - zapytał Pagan.

- Dobre pytanie.

- A więc proszę o dobrą odpowiedź. - Pagan spojrzał na Katherine Cairney. Miała skonsternowaną minę, jakby właśnie otrzymała wiadomość zaszyfrowaną kodem nie do złamania. Reputacja dobrego wujaszka Tobiasa legła w gruzach i jeszcze było słychać huk zwałonego na ziemię pomnika - Pagan zastanawiał się, czy Katherine myśli właśnie w ten sposób. Zrobiło mu się jej żal, ale było to uczucie słabiutkie i zaraz przeminęło.

- Trudno odpowiedzieć na to pytanie, panie Pagan. Ona różni się od innych. Jest nieprzewidywalna. - Mówiąc to Barron patrzył na dziewczynę, a nie na Pagana. Wydawało się, że poczuł nagłą chęć wytłumaczenia się ze sprawy Carlotty.

- „Nieprzewidywalna” to nie jest dla niej najodpowiedniejsze określenie - rzekł Pagan. -

Może raczej „okrutna” albo „podła”, albo „morderczyni”. Przecież ona to chodzący koszmar.

Sam to powinieneś wiedzieć najlepiej, Barron. Przecież ty o wszystkim decydujesz, ty podpisujesz czeki i tyją finansujesz. Choć wydajesz pieniądze nie tylko na nią.

- Bez obrazy, ale to dość prostackie wnioski - odpowiedział Barron. - Carlotta postępuje dokładnie tak, jak jej się podoba. Taka już jej natura. Robi tylko to, co chce.

Mówił o Carlocie w taki sposób, że trudno byłoby nie dostrzec jego uczucia. Pagan od razu się

zorientował, że Carlottę i Barrona łączą bardzo bliskie stosunki, ale jakoś nie mógł

sobie tego wyobrazić. Wiedział o ich związku, ale nie potrafił go zrozumieć. Jeżeli Barron darzy ją uczuciem i jeżeli dobrze ją zna, to co można sądzić o stanie jego umysłu?

Przypomniał sobie jednak twarz i zachowanie Carlotty. Bez odrobiny wysiłku potrafiła uwieść mężczyznę, miała nieodparty powab i Pagan zastanawiał się, czy Barron wpadł w jej sidła tak samo jak on sam przed wielu laty? Dlaczegoż by nie?

- Nie sądzę. - Pokręcił głową. - Myślę, że robi to, co ty chcesz. Wszystko na to wskazuje.

Weźmy Bryce'a Harcourta. Ty i twoi przyjaciele - między innymi William Caan - chcieliście usunąć go z drogi, bo cholernie się bał z powodu tej całej gotówki, więc powierzyłeś tę sprawę Carlocie. A ponieważ ona nie zaspokoiła swych żądz zamordowaniem ponad setki ludzi w metrze, pokieroszowała jeszcze jakąś biedną dziwkę...

- Jaką dziwkę? - zapytał Barron.

- Nic nie wiedziałeś? Nie poinformowała cię? Pozwól więc, że ja to zrobię. Zamordowała w Mayfair prostytutkę i zostawiła dla mnie wizytówkę. Osobiście dla mnie. Sam chyba wiesz, że dla niej poharatanie człowieka nożyczkami to spora przyjemność, niezła frajda. Ale nawet wówczas musiała sobie zorganizować coś ekstra. No i wypisała krwią na lampie wiadomość dla mnie. Dobry dowcip.

Przez jakiś czas Barron milczał. Z jego miny nie dało się nic wywnioskować. Był mistrzem kamuflażu i ukrywania emocji. Nawet jego niepewność i znużenie zdawały się służyć temu efektowi.

- Gdzie ona jest? - zapytał Pagan.

Barron w milczeniu zszedł kilka stopni w dół.

- Tutaj, w Wenecji, razem z tobą. Bo tutaj rozgrywa się cała akcja, prawda?

- Jaka akcja, panie Pagan? - Barron spojrzał na zegarek.

- Zamordowanie Gurienki. Zaprzecz, jeśli się mylę. - Pagan mówił teraz z całkowitą pewnością. Mówił o planowanym zamachu na Gurienkę i o tym, że „pokój nie sprzyja interesom”. Między tymi dwoma zdaniem aż się prosiło postawić znak równości, chociaż na razie nie było to jeszcze takie jasne.

Barron patrzył z dystansem, jak gdyby znajdował się całkowicie gdzie indziej i myślał o czymś zupełnie nie związanym ze słowami Pa-gana. Potem jednak nastąpiła zmiana nastroju.

Na jego twarzy pojawił się cień. Pagan pomyślał, że poruszyła go wiadomość o okrutnej śmierci prostytutki w Mayfair, ale zaraz zmienił zdanie. Skoro bowiem wysłał Carlottę, by podłożyła bombę w metrze, to czym dla niego może być krew jeszcze jednej młodej dziewczyny? Możliwe, że należy do ludzi, którzy potrafią sortować bestialskie czyny i umieszczać na półkach z napisami „Konieczne”

albo „Niepotrzebne”. A niewykluczone też, że jest nieczuły i tak odporny na śmierć jak sama Carlotta.

Barron zszedł ze schodów, zrobił kilka kroków po kamiennych płytach i zatrzymał się w pobliżu Pagana.

- Morderstwo? Tak mocnych oskarżeń nie należałoby się spodziewać po doświadczonym policjancie. A może opiera się pan na przeczuciach, co?

- Poniekąd.

- Ach, przeczucia - rzekł Barron z odrobiną pogardy w głosie. - Tu trzeba czegoś solidniejszego. Ale pan nic takiego nie ma, prawda panie Pagan? Nie ma pan żadnych dowodów. Nie może pan dowieść, że cokolwiek łączy mnie z Carlotta. Nie ma pan nic na potwierdzenie śmiesznego oskarżenia o zamiar zorganizowania morderstwa politycznego.

Mówi pan, że Carlotta zabiła w Londynie prostytutkę. Okej, świetnie, ale nie ma pan w ręku Carlotty, czyż nie? Wie pan co?

Pan blefuje. Dla pana życie to jeden wielki pościg, prawda? RzUCA się pan na głębokie wody, nie mając pojęcia o działaniach prądów wodnych. Nawet nie umie pan pływać. No i w takiej sytuacji zaczyna pan iść na dno. I proszę, jak łatwo pociągnął pan za sobą naszą piękną przyjaciółeczkę... - Wskazał na Katherine. - A człowiek tonący, panie Pagan, chwytA się brzytwy. Właśnie w takiej sytuacji pan się znalazł. Proszę uważać na skaleczenia.

Pagan nieznacznie poruszył pistoletem. Był w tym geście cień pogroźki.

- Doprawdy, panie Pagan, wolałbym, żeby pan to odłożył - rzekł Barron, znów spoglądając na zegarek. - Jeżeli naprawdę wierzy pan w tę swoją straszliwą teorię o morderstwie, to dlaczego nie zadzwoni pan na policję i nie przedstawi swoich domysłów. Powie pan im o swoich podejrzeniach, a ludzie z Parrocchia di San Zaccaria być może panu pomogą. Z

pewnością pana wysłuchają. Albo jeszcze lepiej niech pan dotrze do Gurienki i z nim zamieni kilka słów. Ciekawe, czy pozwolą się panu do niego zbliżyć. A jeśli nawet, to proszę sobie przygotować bardziej przekonującą historyjkę. - Ponownie zerknął na zegarek. - Zdaje się, że ma teraz w planie oglądanie jakichś obrazów.

Pagan zrozumiał, że Barron go prowokuje. Próbował znaleźć jakiś dowód, coś, co mógłby rzucić Barronowi w twarz i wytrącić go z równowagi. Nie miał jednak na podorędziu nic przekonującego, nic co mogłoby Barrona zaniepokoić. Przychodził mu na myśl Streik, Caan, Grabarze, ale żadne z tych słów nie miały dostatecznej siły przebicia. Na poprzednią wzmiankę o Caanie, Barronowi nawet nie drgnęła powieka.

- Proszę mi teraz wybaczyć, ale mam do załatwienia kilka spraw - powiedział Barron, po raz kolejny spoglądając na zegarek. Później podszedł do Katherine i złapał ją za podbródek.

Dziewczyna odskoczyła jak oparzona. - Zasmuciłaś mnie, Katherine.

- Do diabła z tobą, Barron. Okłamałeś mnie! - krzyknęła.

- To ty tak twierdzisz.

- Mówiłeś, że Pagan stanowi zagrożenie dla Sprawy, że powinien zostać wyeliminowany...

- Moja droga, w dzisiejszych czasach mamy do czynienia z wieloma sprawami - mówił. -

Jakże można je od siebie oddzielać? Bez względu na chwyt retoryczny, wszystkie te sprawy wymagają jednej rzeczy. Kontroli. Zapanowania nad sianym przez nie strachem. One aż tak bardzo od siebie się nie różnią. Pojawiają się i znikają, a ja do każdej podchodzę z jednakową uwagą, ponieważ patrząc z szerszej perspektywy rozumiem, o co się ta ich walka toczy.

Ubierają swe czyny w piękną retorykę, lecz przecież wszystko to w gruncie rzeczy działalność gangsterska.

- Nie do wiary, Barron, że ty coś takiego mówisz. Razem z moim ojcem...

- Darzyłem pana senatora nadzwyczajnym szacunkiem. Naprawdę podziwiałem i jego, i sprawy, którym się poświęcał.

- Pomimo że w nie nie wierzyłeś?

- Nigdy nie mieszałam wiary z tym, w co się angażuję. Jesteś jeszcze za młoda, żeby zrozumieć, iż na tym świecie największą siłą skłaniającą ludzi do działania nie są przekonania polityczne ani potrzeby duchowe, ani nawet pragnienie pokoju na całym świecie, lecz prosty, zwyczajny konformizm. Któregoś dnia być może to zrozumiesz.

- I to z powodu konformizmu nie wspomniałeś mi o Carlocie i zamordowaniu Gurienki...

- Chryste, jakim znowu zamordowaniu? To tylko nieprawdopodobny wymysł Pagana. -

Westchnął i znów wyciągnął do niej rękę. Odtrąciła ją energicznie.

- Oj, Katherine, Katherine. Moja ty słodka Katie. - Jego głos przeszedł niemal w szept. Na ułamek sekundy Pagan dostrzegł w dziewczynie dziecko spacerujące za rękę z wujaszkiem Tobiasem po zalanych słońcem, przystrzyżonych trawnikach, gdzie rosną wierzby, a w powietrzu unosi się zapach dymu z grilla. Teraz jednak niebo pokryła szarość i minęły sielskie czasy.

- Łapy przy sobie - powiedziała. - Nie dotykaj mnie.

- Ach, co za szkoda, co za smutek.

Pagan wycelował w Barrona pistolet. Żyrandol rzucał z góry niezwykle światło przypominające deszcz złotych monet.

- Nie powiedziałaś mi do tej pory. gdzie znaleźć Carlottę.

- Mówię szczerze, nie wiem. - Barron cofnął się do schodów i wszedł kilka stopni w górę.

Uniósłszy pistolet, Pagan strzelił mu nad głowę. Kula zaplątała się pomiędzy szkiełkami żyrandola i błyszczące fragmenty szkła z odrobiną tynku posypały się na podłogę.

- To był zabytek - odezwał się Barron bez cienia emocji. - Szkoda, że pan to zrobił.

Pagan poczuł nagłą chęć strzelania do wszystkiego wokół. Do zabytkowych krzeseł, do resztek zwisającego nad głowami żyrandola, do obrazów na ścianach.

- Pochodził z osiemnastego wieku, będzie bardzo trudno znaleźć podobny. - Barron pokręcił głową, odwrócił się i znów ruszył do góry.

Nagle nie wiadomo skąd na schodach nad Barronem pojawiła się ona. Stała w słabym świetle z założonymi na piersiach rękami. Barron zatrzymał się w połowie schodów.

- Prosiłem, żebyś nie wychodziła. Prosiłem cię. Zeszła kilka stopni niżej i stanęła naprzeciw niego.

- Pozwolisz mu odejść? - zapytała cicho, choć nawet z daleka Pagan słyszał drzenie w jej głosie. - Pozwolisz mu stąd wyjść? Dziewczynie też? Chcesz ich puścić?

- A co on może? - zapytał pojednawczo Barron. - Jakie ma możliwości działania? Nikt go tu nie posłucha. Ja się nim nic, a nic nie przejmuję. A ty co proponujesz? Znowu morderstwo?

Chcesz może zostawić za sobą kolejną wiadomość wypisaną krwią?

Zwróciła się twarzą do uszkodzonego żyrandola i Pagan zauważył, że czas prawie wcale nie nadszarpnął jej urody. Patrzyła wprost na niego; dokładnie pamiętała pokój przesłuchań, hotel i to, jak łatwo go uwiodła. On stał nieruchomo. Jej niespodziewane pojawienie się zupełnie go zaskoczyło. Wyłaniając się z cienia, sprawiła, że zaczął powątpiewać we własne zmysły.

- Nie przejmujesz się nim nic, a nic - powiedziała z kpiną do Barrona. Nie odrywała oczu od Pagana, który wyobrażał ją sobie w metrze, jak podkłada bombę, znika w tłumie ludzi, a potem dzga nożyczkami biedną dziewczynę z Mayfair. Była dla niego zjawą utworzoną przez zwierciadlane odbicia i znikającą pomiędzy kłębami kolorowego dymu. - Nie przejmujesz się nim nic, a nic - powtórzyła podniesionym głosem. - Ty jesteś ponad to wszystko, prawda? Ty jesteś nietykalny. Nadal nie dostrzegasz zagrożenia. Nie dociera do ciebie? Pagan z tą dziewczuszką wyjdą stąd i co dalej? Zapomni o rozmowie z tobą? Myślisz, że w jednej chwili zrezygnuje z dalszych działań, zakończy śledztwo i wyjdzie z pustymi rękami, uznając, że zabrnął w ślepą uliczkę? Naprawdę tak myślisz?

Barron wzruszył ramionami.

- Przecież on nic nie ma. Nie potrafi nic udowodnić. I nic nie może zrobić. - Podniósł rękę, pokazując jej zegarek. - A czas leci.

- Ech, Barron, Barron - odezwała się łagodniejszym tonem. - Ciągłe jeszcze żyjesz w świecie marzeń, prawda? Po tym wszystkim, co się stało, zamykasz się w swojej wieży i sądzisz, że nikt cię tam nie tknie. Ty durniu. Ty biedny, żaloszny durniu. Niczego się nie nauczyłeś.

Barron spojrział na Pagana, a z jego miny można było wyczytać myśl, że ten gliniarz nie ma ikry i wcale nie chce dalszej gry, bo woli się wycofać. Pagan natomiast widział walkę, jaka toczyła się pomiędzy siłą woli Barrona a stanowczością Carlotty. Wiedział też, kto zwycięży.

Zastanawiał się, jak wygląda ich wewnętrzny świat, na ile są ze sobą zżyci. Jeśli łączy ich uczucie, może nawet miłość, to na czym ono polega? Musi chyba przypominać surowe mięso emocji wrzucone na arenę, na której Barron i Carlotta jak dzikie zwierzęta walczą o lepsze kąski.

Postawił nogę na pierwszym stopniu, lufę pistoletu skierował w górę. Wiedział, że poblądła Katherine stoi obok, czuł targający ją gniew. Wszedł na schody.

- Carlotta - odezwał się, potrząsając bronią. Czas płynie... Czas płynie... - dźwięczały mu w głowie słowa Barrona.

Patrzyła na niego przez chwilę silnym, stanowczym wzrokiem. W jej oczy nie dało się patrzeć zbyt długo, ponieważ ona z pewnością nie odwróciłaby głowy. Potrafiła patrzeć bez drgnięcia powiek, co stanowiło kolejny dowód, że w jej wnętrzu gnieździ się bestia. Za chwilę zmieniła taktykę - uśmiechnęła się i przybrała łagodny wyraz twarzy. Pagan jednak znał już jej pozorne przemiany i aktorskie sztuczki.

- Pagan, aresztujesz mnie teraz?

- Coś w tym rodzaju.

- Masz czas na spełnienie wszystkich wymogów prawnych?

Spojrzał na uśmiechnięte usta. Poruszyła się tak szybko i niespodziewanie, że nie mógł

nadażyć za nią wzrokiem. Usłyszał tylko: „Pagan, łap mnie”, śmiech i dziwne kłapanie, a zaraz potem zobaczył, jak popchnięty Barron traci równowagę, przewraca się do tyłu i leci w dół z głową podskakującą po schodach jak kamień. Pagan uskoczył w bok, Barron poleciał

dalej i wypowiadając imię Carlotty, uderzył o podłogę.

Sama Carlotta zdążyła zniknąć. Pagan słyszał z innych schodów jej kroki i dobiegający z ciemności głos. „Pagan, łap mnie, Pagan, łap mnie”. Najpierw wiadomość wypisana krwią na lampie, a teraz głos odbijający się echem po wielkim domu. Rzucił się za nią, słyszał, że biegnie półtora piętra ponad nim. Biegł na oślep, kierując się tylko odgłosem kroków uciekającej Carlotty. Gdzieś przez okna wpadało słabe światło ulicznych latarni.

Biegąc dalej pod górę, usłyszał trzaśnięcie drzwi, a potem następne, jakby Carlotta próbowała go zmylić. Chciała, żeby pomyślał, iż zniknęła w którymś z licznych pokoi tego domu. Pagan nie zastanawiał się nad niczym - gnany złością biegł przed siebie i koncentrował

się tylko na tym. Dał się wciągnąć Carlocie do gry w chowanego, chociaż nie znał jej zasad; nie wiedział też, czy ona próbuje go dokądś zwabić, czy po prostu gra na zwłokę. Z trudem łapiąc oddech, biegł pod górę, ponieważ czy tego chciał, czy nie, musiał ją złapać, gdyż w ostatecznym rezultacie wszystko sprowadzało się do jej ujęcia. Znalazł się na kolejnym podeście, musiał mieć przed sobą schody prowadzące na najwyższy poziom domu, chyba że trafił do budynku o nieskończonej liczbie pięter, zaprojektowanego specjalnie, by mamić ludzkie zmysły. Znów usłyszał trzaśnięcie drzwiami, potem jeszcze jedno i jeszcze jedno.

Carlotta mogła być dosłownie w każdym miejscu. Gdy dotarł wreszcie do szczytu schodów, słyszał jej głos wszędzie dookoła.

Ujrzał jej sylwetkę w otwartych drzwiach oświetlonego pokoju. Stała bez ruchu. Nie widział, czy jest uzbrojona, choć przypuszczał, że biegnąc przez cały dom, mogła skądś zabrać pistolet - nie ufał oświadczeniu Barrona, że w tym miejscu nie ma żadnej broni. Ruszył

w stronę Carlotty. Zmęczonym, gardłowym szeptem wypowiedział jej imię.

- To się nazywa berek - powiedziała.

- Już po zabawie - rzekł Pagan.

- O nie, jeszcze nie. - Cofnęła się do pokoju i zanim zdążył zablokować drzwi, zatrzasnęła je kopnięciem. Gdy udało mu się wreszcie dostać do pokoju, zauważył Carlottę biegnącą w stronę szklanych drzwi balkonu. Nagle zatrzymała się i odwróciła.

Rozłożyła ręce w geście oznaczającym kapitulację, ale Pagan nie przestawał mieć się na baczności. Trudno było uwierzyć, że ta kobieta to morderczyni; ten sam kłopot miał przed wielu laty i ten sam kłopot pojawił się także teraz. Zrobiła tak przekonująco niewinną minę, że musiał sobie na siłę przypomnieć, dlaczego ją ściąga.

- Stój spokojnie - powiedział. Wspomniawszy pokój przesłuchań, jej smukłe nogi, hipnotyzujące oczy, przyciągające wzrok zgrabne palce, wspomniawszy jej zachowanie w hotelu i podniecenie, jakie go wtedy ogarnęło.

- A jak nie? Zastrzelisz mnie? Nie odpowiedział.

- Nie sądzę - odezwała się za niego. - Ludzie są przeważnie na to za słabi. Na przykład Barron albo ty. Wy tylko przybieracie pozę. Barron rozkoszuje się władzą, bo ona działa na niego jak pobudzający narkotyk. Gdy dorwie się do władzy, czuje siłę i satysfakcję. To jego poza.

Ty hołubisz prawo i porządek, bo nie radzisz sobie z chaosem. Tak wygląda twoja poza.

Dostrzegłam ją już przed wielu laty, a ty wcale się nie zmieniłeś. Zaskoczyłam cię wtedy, co, Pagan? Miałeś się nad czym głowić. Pokazałam ci ciemną stronę twej jaźni i to ci się wcale nie spodobało.

- Masz rację, nie spodobało mi się to, co zobaczyłem.

- Ale przecież to część twojego ja. Wolisz ją ignorować, ponieważ niechciane żądze ci przeszkadzają. Idziesz przez życie, nie zwracając uwagi na swoje demony. Po prostu zaprzeczasz ich istnieniu. Prosta sprawa. Oto jest sobie policjant Frank Pagan, dobry, przestrzegający prawa obywatel, prawdziwy harcerzyk. Ale gdzieś w zakamarku jego serca słychać dziwne szmery. Odzywa się coś, czemu strach spojrzeć w oczy. Spokojnie, Frank, wszyscy mamy takie potworki. Sztuka polega na poznaniu ich. A kiedy już ci się to uda, życie staje się prostsze. Co jakiś czas popuszczasz im wodze i pozwalasz robić to, co chcą.

- Ty popuściłaś im wodze w Londynie.

- Tak, dałam im do dyspozycji cały dzień. Miały to, czego chciały, a mianowicie wolność.

Kiedyś też powinieneś tego spróbować.

Zbliżyła się do niego i poczuł jej zapach. Przyjrzał się jedwabnej sukience opinającej ciało.

Widział w jej oczach rozwiązanie.

- Nigdy nie zapomniałeś naszego spotkania, prawda? Cały czas za tobą chodziło. I za każdym razem, gdy wypływało na powierzchnię, zastanawiałeś się, co takiego w tobie siedzi, czy jesteś zdolny do popełnienia zdrady, do kłamstwa, do niewierności. Wtedy cały twój świat zaczynał się trochę chwiać. Tamtego dnia chciałeś mnie przelecieć...

- Tak... - Zabawne, ale przyznanie się do tego wcale go nie żenowało.

- Pragnąłeś tego tak bardzo, że się to czuło.

- Stare dzieje...

- Nie tak bardzo. - Spojrzała na pistolet. - Zostawiając wiadomość, chciałam ci się przypomnieć. Chciałam, żebyś sobie przypomniął, że dziesięć lat temu owinęłam cię sobie wokół palca i że nadal to potrafię. Wtedy napytałam ci kłopotów i teraz też nie będzie ci łatwo.

- Nie sądzę. Czasy się zmieniły.

- Ale nie zmieniły się podskórne pragnienia. One nigdy się nie zmieniają. Zawsze czają się gdzieś w ciemnym zakamarku. Trzymasz je w ukryciu, ale tam są. I coś ci powiem: nigdy się ich nie pozbędziesz.

Zastanawiając się nad owym ciemnym zakamarkiem, doszedł do wniosku, że Carlotta przynajmniej częściowo ma rację. Podeszła bliżej. Złapała go za klapę marynarki i pocierając materiał palcami, popatrzyła na pistolet.

- Prędzej mnie przelecisz niż zastrzelisz.

- Raczej nie - powiedział. Uśmiechnęła się uwodzicielsko.

- Pagan, ja cię znam. To ci się nie podoba, ale ja cię znam. A znam cię dlatego, że jesteśmy przeciwieństwami. Ty szanujesz zasady, a ja nie. Ty chcesz, żeby wszystko miało sens, a ja nie. To, co tobie się wydaje końcem, jest dopiero początkiem. Wszystko zależy od perspektywy. A twoja bardzo się różni od mojej. - Cofnęła się o krok i zaczęła oglądać swoje gładkie, różowe paznokcie. - To, co tobie się wydaje cenne, dla mnie jest nic nie warte.

Miłość to dowcip. Dobroć to zawsze egoizm. Ludzkie życie jest tyle warte, co fałszywa moneta. Ty widzisz wagon wyładowany ludźmi, a ja widzę tylko jedną twarz. Ty widzisz prominentnych polityków, a ja ludzi, którzy nie mają żadnego wpływu na bieg rzeczy.

Prominentni politycy.

- Znów podłożyłaś ładunek wybuchowy? Tak jak w metrze.

- Prawdziwy z ciebie detektyw. Zgadłeś.

- Kiedy ma eksplodować?

- Kiedy ma eksplodować?

- Dość tej zabawy, Carlotta. Kiedy ma eksplodować?

Grała na zwłokę, zwodziła go. Odwróciła się i ruszyła w stronę szklanych drzwi. Nie widział jej twarzy. Przeczynał, że coś knuje - chce wyciągnąć niespodziewanie broń i strzelić albo coś w tym rodzaju. Ona jednak tylko wskazała palcem na drzwi po drugiej stronie pokoju i powiedziała:

- Wiesz, co tam znajdziesz, jeśli je otworzysz? Duszę Tobiasa Barrona.

Pagan spojrział we wskazanym kierunku i w chwili, kiedy oderwał wzrok od Carlotty, ona z niewyobrażalną siłą natarła ciałem na szklane drzwi. Zanim jeszcze potłuczone szkło zdążyło spaść na podłogę, rzucił się za nią, i wypadł na mały balkon. Zdążył tylko zobaczyć, jak Carlotta przechyla się przez balustradę i skacze w ciemną otchłań kanału. Usłyszał głośny plusk. Podeszedł do balustrady, spojrział w dół, ale mimo kilku snopów światła kanał tonął w ciemności i nie było widać ani śladu życia. Kilka razy zawołał ją po imieniu w nadziei, że usłyszy z dołu odpowiedź, ujrzał nawet ruch na łódce cumującej przy brzegu - ale był to tylko biały kot ruszający na nocne łowy. Zawrócił do pokoju. W drzwiach stała Katherine Cairney i patrzyła na niego badawczo. Nagle zapragnął znaleźć się jak najdalej od tego miejsca.

- Muszę iść... - Minawszy ją, szybkim krokiem zbiegł po schodach na dół, gdzie na kamiennej podłodze leżał Barron z wykręconą głową. Po policzku spływała mu krew. Zęby -

nie wyglądające już tak doskonale jak poprzednio - porozcinały mu wargi. Na czole miał

kilka granatowoczerwonych rozcięć w miejscach, gdzie czaszka uderzała o kamienne płyty. Z

uszu płynęła krew.

Służący w czerni bezradnie krążył po westybulu.

- Nie żyje - odezwał się.

Pagan nie odpowiedział. Ruszył do drzwi i zniknął w ciemności.

37 Wenecja

Turienko marzył. Siedział pośrodku długiego stołu w niedogrzejanej sali głównej Scuola naprzeciw włoskiego premiera - drobnego, łysiego człowieczka, zachwyconego, że może gościć w swoim kraju prezydenta Rosji i że na miejsce spotkania została wybrana akurat Wenecja. Czyż nie tutaj bowiem przecinały się szlaki dawnej Europy? Czyż nie stąd promieniowała na cały świat kultura i cywilizacja? Potem premier zaczął mówić o demokracji, demokratycznych ideałach i groźbie faszyzmu, aż w końcu poruszył temat sztuki.

Według Gu-rienki było to tylko nudne gędzenie i słuchał bardzo nieuważnie.

Co jakiś czas odrywał wzrok od Włocha i wodził okiem - gdzież by indziej? - po wiszących na ścianach obrazach. Zachwycały go i poruszały. Zdawało mu się, że słyszy, jak przemawiają do niego delikatnym szeptem. Aż dygotał z niecierpliwości.

Gdy tylko premier skończy, on będzie mógł się przechadzać od jednego płótna do drugiego, każde dokładnie oglądać, ignorować eksperta - gadułę o sumiastych wąsach - który miał opowiadać o zaletach poszczególnych dzieł. Gurienko nie potrzebował lekcji historii sztuki, potrafił wczuć się w obraz, wejść do świata pomiędzy ramami i pogрузić się całkowicie w subtelnej grze kolorów i cieni.

Stojący pod ścianą ochroniarze rozglądali się czujnym wzrokiem. Byli zadowoleni, że strzegą obiektu akurat w Wenecji, gdyż muzeum znajdowało się na wyspie, co ułatwiało im zadanie. Kilku oficjalnych reporterów z nabożeństwem trzymało aparaty fotograficzne.

Gurienko zmienił pozycję, bo poczuł, że zeszywniały mu kości. Wilgoć jeszcze potęgowała chłód, a w powietrzu dawało się wyczuć zapach pleśni. Właśnie chłodem i wilgocią Budionny wymówił się z udziału w spotkaniu. Powiedział, że boli go głowa, że chyba się przeziębził i zostanie raczej w hotelu. Bzdura, myślał Gurienko. Na pewno ogląda telewizję, popijając wódkę i obzera się. Może nawet dla rozrywki wziął sobie jakąś tutejszą dziewczynkę.

Włoski premier najwyraźniej skończył swoją kwestię, gdyż wszyscy dygnitarze, sekretarze i współpracownicy zebrani na cześć Gu-rienki zaczęli bić brawo. Gurienko również klaskał, choć bardziej z ulgi niż z podziwu. Wstał z krzesła i w jednej chwili otoczyli go różni ludzie -

premier, wicepremier, burmistrz Wenecji oraz ekspert do spraw sztuki. Dlaczego nie może zostać sam i pospacerować sobie po Scuola? Dlaczego tak bardzo się narzucają z dogadzaniem mu?

- Tędy, panie prezydencie - odezwał się ekspert, wziął go lekko pod ramię i poprowadził w stronę obrazów.

Gurienko uśmiechnął się. Zniesie tego człowieka, ale nie ścierpi jego gadania. Sztukę powinno się

kontemplować w samotności. Jest to bowiem osobiste przeżycie polegające na porozumieniu między widzami a dawno zmarłym artystą. Zawiera nawet elementy seansu spirytystycznego, pomyślał Gurienko.

Zdyszany Pagan przeciął Campo Sant' Angelo i pobiegł przez Calle delia Mandola do mostku, który zaprowadził go na plac Campo Manin. Nie miał pojęcia, gdzie znajduje się Scuola di San Rocco, ani czy Gurienko rzeczywiście tam będzie. Gazeta na lotnisku w Marsylii wspominała o tym miejscu, a także Barron nadmienił od niechcienia, że Rosjanin ma w planie oglądanie jakichś obrazów. Wszystko zatem zależało teraz od szczęścia i od tego, czy zostało dość czasu.

Dokąd teraz iść? Zostać po tej stronie Canal Grandę, czy przeprowić się na drugą? Wenecja jawiła mu się jak nieodgadniony labirynt ślepych uliczek, zawiłych alejek i mostków, któremu nie jest w stanie sprostać żaden kartograf. Przestraszył się swym brakiem orientacji.

Pierwszą jego myślą na Campo Manin było: „Jak, do diabła, znaleźć tę cholerną Scuola?”

Cały czas miał w uszach słowa Bar-rona: „Czas leci... Czas leci”...

Dobra, trzeba kogoś zapytać. Trzeba znaleźć kogoś, kto choć trochę rozumie po angielsku, i zapytać o drogę. Trzy razy z rzędu nie dopisało mu szczęście - dziwnym trafem, zaczepiając przechodniów na Campo Manin, natykał się tylko na zimowych turystów; zaczepił Turka, parę Amerykanów w średnim wieku, podróżujących po zabytkowych miastach Europy, oraz zgrabną, długowłosą dziewczynę w skórzanej kurtce z ćwiekami, mówiącą tylko po włosku.

Non capisco, non capisco.

Karta się odwróciła, gdy zagadnął starszego pana z parasolem. Człowiek ten okazał się emerytowanym profesorem literatury - chodzącym o wiele wolniej, niż życzyłby sobie tego Pagan - który mógł go zaprowadzić do przystanku tramwajów wodnych Sant' Angelo, skąd odchodzi prom, który przepływa kanał i zatrzymuje się na przystanku San Toma, skąd jest już tylko kilka kroków do San Rocco. Są tam drogowskazy i wystarczy, że Pagan będzie się nimi kierował. Alternatywę stanowi pieszy marsz przez most Rialto oraz Campo San Polo, choć to długa i okrężna droga przez parrocchia, czyli okolicę, w której łatwo się zgubić.

Zeszli z Campo Manin i wolnym krokiem, wzdłuż Rio di Luca, przeszli kawałek do Canal Grandę, gdzie emerytowany profesor wskazał przystanek wodnego tramwaju vaporetto. Nie było widać żadnych oznak życia.

- Tutaj musi pan poczekać.

- Nie mogę czekać - odpowiedział Pagan i spojrzał przez kanał na drugi brzeg. Jak to może być daleko? Trzydzieści, może pięćdziesiąt metrów? Niewiele.

Starszy pan uśmiechnął się, jakby niecierpliwość stanowiła ten defekt charakteru, który jemu już dawno udało się wyeliminować.

- Oczywiście, signore, zawsze można przepłynąć w pław.

- Właśnie to mi przyszło do głowy. - Pagan wyobraził sobie, że schodzi do wody i rozpaczliwie brnie do przeciwległego brzegu.

- Pozostają jeszcze drogie taksówki wodne. - To rzekłszy, profesor skinął głową w kierunku niewielkiej łodzi zacumowanej kilka metrów dalej.

Pagan natychmiast ruszył do łodzi, zajrzał do środka i ujrzał siwowłosego mężczyznę w grubym swetrze i gumiakach, zjadającego kanapkę tramezzino. W ślad za nim nadszedł

profesor, by pomóc Anglikowi w potrzebie. Rozmawiał z taksówkarzem po włosku, co jeszcze bardziej zniecierpliwilo Pagana. Ile pozostało czasu? Jeżeli Carlotta umieściła w Scuola ładunek wybuchowy, to kiedy zostanie zdetonowany?

- Przewiezie pana za dwadzieścia tysięcy lirów - odezwał się profesor. - To kosmiczna cena.

Kosmiczna czy nie, Pagan się zgodził i podziękowawszy profesorowi, wsiadł na łódź.

Przewodnik włączył silnik, dało się wyczuć wibracje. Pagan odwrócił głowę i stukając dłonią w mosiężną poręcz, wpatrywał się w drugi brzeg. Czym się zakończy ten pośpiech i bieganina? Motorówka tak gwałtownie przybiła do brzegu, że wpatrzony w weneckie światła Pagan aż się zachwiał.

- San Toma - oznajmił taksówkarz.

Przeprawa zajęła nie więcej niż minutę. Pagan wcisnął taksówkarzowi do ręki pieniądze.

- Niestety, mam tylko funty - powiedział i zeskoczył na brzeg. Tam przytrzymał się drewnianej poręczy. Dał taksówkarzowi wszystko, co miał, czyli około siedemdziesięciu funtów szterlingów, co stanowiło całkiem niezły zarobek jak za minutę pracy. Pagan ruszył w drogę, bezskutecznie poszukując punktów orientacyjnych, o których wspomniał profesor.

Szedł szybkim krokiem, od czasu do czasu podrywał się do biegu. W końcu natrafił na małą, niebieską tabliczkę ze strzałkami -jedną kierującą ku San Polo, a drugą do San Roc-co.

Ciekawe, jak to daleko, zastanawiał się. Był zmęczony; czuł się, jakby napędzające go baterie były już na wyczerpaniu.

Zorientował się, że jest przy Scuola, gdy zobaczył oddziały policji i ochrony, ostre światła telewizyjnych reflektorów, tłumy ludzi oraz stragany z kawą, herbatą i kanapkami, cały ten cyrk, urządzany z okazji przyjazdu ważnych mężów stanu. Samą Scuola oświetlały reflektory na pływających bojach, tak że sunące po ścianach snopy światła sprawiały wrażenie, jakby cała budowla unosiła się i dryfowała kilka centymetrów nad ziemią.

Natychmiast zauważył, że nie uda mu się dostać bliżej budynku, ponieważ drogę blokują ustawieni za żółtą taśmą żołnierze z bronią. Musiał jednak spróbować coś zrobić, choć dobrze wiedział, że naraża się przy okazji na zastrzelenie. Przepchnął się pomiędzy fotoreporterami, dziennikarzami i grupką

gapiów. Za sobą słyszał okrzyki: „Co za chamstwo, gdzie leziesz głąbie, uważaj trochę, koleś”. Rozpychając się łokciami, wylał komuś kawę na płaszcz. Dotarł

wreszcie do miejsca, gdzie musiał się zatrzymać, ponieważ włoski żołnierz wycelował mu w pierś karabin.

Pagan podniósł ręce, pokazując, że nic nie ma, a potem ostrożnie sięgnął do kieszeni płaszcza po legitymację, na co żołnierz odbezpieczył broń i dźgnął go lufą. Widać było, że Włoch szybko straci cierpliwość; miał rozkaz, by nie brać żadnych jeńców. Przypomniał

sobie wykład dowódcy na temat radykalizmu włoskiego społeczeństwa, w którym działa wielu ekstremalnych pravicowców, komunistów i niedobitków Czerwonych Brygad, uważających Gurienkę za zdrajcę depreczającego ideały Stalina. Pagan mógł należeć do każdego z tych niebezpiecznych ugrupowań.

- Popatrz - powiedział Pagan, pokazując mu kartę identyfikacyjną, która dla żołnierza równie dobrze mogłaby być legitymacją biblioteczną. - No, popatrz, na litość boską -

powtórzył.

Na twarzy Włocha odbił się niepokój, gdy grupka stojących nieopodal dziennikarzy, widząc, że coś się dzieje, podeszła bliżej. Posypały się pytania i każdy chciał obejrzeć kartę Pagana, urozmaicając sobie nudne oczekiwanie na coś ciekawszego. Jechali przecież za Gurienką z Londynu przez Paryż do Wenecji, a później mieli obowiązek towarzyszyć mu w Bonn oraz w Brukseli, i wysłuchiwali regularnie następujących po każdym spotkaniu przemówień, w których głowy państw omawiały wyniki rozmów. Dlatego też zaintrygowało ich wydarzenie, odbiegające od codziennej rutyny.

Dopytywali się, co Pagan chce zrobić, czy ma pokojowe zamiary, czy demonstruje niechęć do Gurienki, czy jest radykałem i o co dokładnie mu chodzi. Żołnierz znów popchnął go w tył. Jeden z dziennikarzy - potargany, zalatujący alkoholem Irlandczyk z Radio Tele-fis Eireann - bąknął coś na temat brutalności typowej dla militarystycznego reżimu. Pagan poczuł, że wszystko wymyka mu się z rąk, że nie panuje nad sytuacją; denerwowali go tłoczący się pismacy i zagradzający drogę żołnierz. Nie spodziewał się aż takiego oporu. Nie potrafił przekonać włoskiego wartownika, a dziennikarze zasypywali go natrętnymi pytaniami. Żołnierz jeszcze raz dźgnął go karabinem, tym razem dając do zrozumienia, że jest od włos od pociągnięcia za spust. Dostał wyraźny rozkaz niewpuszczania za taśmę nikogo, kto nie ma zezwolenia.

Nagle zza strażnika wyłonił się wysoki Włoch w granatowej marynarce i okularach.

Sprawił wrażenie człowieka opanowanego, acz stanowczego. Nic nie było w stanie zbić go z tropu. Przemawiał przez niego sam rozsądek wspomagany przytwierdzonym do paska pistoletem. Popatrzył na Pagana przenikliwie, wziął kartę identyfikacyjną i uważnie ją przejrzał.

- Daleko ma pan do domu, panie Pagan. Nawet bardzo daleko. Uniósł żółtą taśmę i wpuścił

za nią zdeterminowanego Anglika. Wejście Pagana do zakazanej strefy znów ożywiło dziennikarzy i

zaczęły się pytania, błaganie o informacje, groźby, przekleństwa i domysły, kim może być ten facet, któremu pozwolono wejść za taśmę na święty teren.

Pagan został zaprowadzony do miejsca, gdzie natychmiast otoczył go rój włoskich agentów ochrony i przeprowadzono rewizję. Znalaziono i skonfiskowano pistolet w kaburze. Kartę identyfikacyjną nadal trzymał agent w okularach.

- Nazywam się Androtti. Zostałem tutaj przydzielony do ochrony.

- Nie ma czasu na ceregiele - mówił Pagan. - Ja pracuję w sekcji antyterrorystycznej Wydziału Specjalnego...

- To już przeczytałem na karcie. Znam pana przydział. Nie znam natomiast powodów pańskiej obecności tutaj. Proszę mi to wyjaśnić.

- Raczej nie ma na to czasu.

- Jak to?

- Jesteście w kiepskiej sytuacji. Mam powody, by sądzić, że w budynku podłożono ładunek wybuchowy.

Androtti uniósł brwi, zdjął okulary i przetarł szalikiem szkła.

- Jakie są te powody?

- Za długo byłoby wyją...

- Czego się pan po mnie spodziewa? Że przerwę oficjalne spotkanie i zarządzę ewakuację budynku na jedno pańskie słowo? Muszę wiedzieć coś więcej.

- Przecież, kurwa, mówię, że nie ma na to czasu.

- Pan pozwoli, że sam o tym zadecyduję. - Włoch założył okulary i przez chwilę wyglądał

jak duchowny w oczekiwaniu na spowiedź.

- Chryste Panie - powiedział Pagan. Spojrzał na wejście do Scu-ola i przez chwilę zastanawiał się, co by było, gdyby się rzucił w tamtą stronę. Poleciałyby kule i huk wystrzałów zakłóciłby nocny spokój. Nawet nie dotarłby do wejścia.

- Panie Pagan, czekam na wyjaśnienia.

- Raczej mnie pan nie zrozumie, a to miejsce w każdej sekundzie może wylecieć w powietrze.

- Muszę mieć coś na potwierdzenie pańskiej hipotezy. Gdybym chciał wierzyć w każdą zwariowaną historyjkę...

- To nie jest zwariowana historyjka... Androtti podniósł rękę.

- Proszę mi wszystko wyjaśnić. Proszę podać dostateczny powód, żebym mógł przerwać toczące się w budynku spotkanie.

Przez chwilę Pagan milczał. Patrzył na Androttiego i gromadę stojących za nim agentów.

Nie ma najmniejszej szansy na ominięcie ich. A nawet gdyby mu się udało, to co zdziałałby w środku? Gdzie rozpocząłby poszukiwania?

- Okej, to pański pogrzeb, przyjacielu - powiedział. - Jeśli to miejsce wyleci w powietrze, w co nie wątpię, to pańska głowa pójdzie pod topór. Pańska, a nie moja. Ja pana ostrzegałem, zrobiłem wszystko, co w mojej mocy. Pana przysypią popioły, a nie mnie. Ja sobie spokojnie i bezpiecznie wracam do Londynu. Pan się będzie tłumaczyć z niedopełnienia obowiązków służbowych. Odpowiada panu taka perspektywa?

Androtti zrobił krok do przodu. W ruchu tym była lekka groźba, jakby słowa Pagana podważające jego kompetencje uwłaczały włoskiej dumie. Zbliżył twarz do twarzy Pagana.

- Drogi panie, my uznaliśmy ten obiekt za bezpieczny. Rosjanie sprawdzili go po nas i też uznali za bezpieczny. Nagle pan wyskakuje jak Filip z konopi i twierdzi, że coś zaniedbaliśmy.

- Właśnie tak twierdzą. - Pagan wzruszył ramionami i cofnął się. - Skoro pan zamierza się ze mną kłócić, to ja odchodzę. Reszta zależy od was. Proszę o zwrot broni i legitymacji. W tej sytuacji nie mam na co czekać.

Spojrzał na budynek i pomyślał o śmiertelnym zagrożeniu. Wyobraził sobie eksplozję, erupcję ognia i złowieszczą lunę unoszącą się nad miastem.

Androtti wyraźnie się wahał. Pagan nie potrafił określić, czy bardziej boi się o budynek Scuola Grande, czy też o swoje stanowisko. Włoch odwrócił się, spojrzał na wejście do galerii, a potem znów popatrzył na Pagana, świadomego, że każda sekunda przybliża ich do katastrofy.

Agent w okularach powiedział coś pośpiesznie po włosku, a podlegli mu ochroniarze rzucili się w stronę wejścia do gmachu.

- No dobrze - zwrócił się do Pagana. - Zobaczymy.

W jednej chwili zrobiło się zamieszanie, z galerii zaczęli wybiegać ludzie, Gurienko wyszedł ponaglany przez towarzyszących mu sekretarzy, doradców i ochroniarzy. Kilka sekund później wbiegła do gmachu grupa kobiet i mężczyzn z aluminiowymi walizkami pełnymi sprzętu elektronicznego. Wszyscy wyglądali na ludzi przyzwyczajonych do działań narażających ich na nagłą śmierć.

Androtti chwycił Pagana mocno za łokieć i odciągnął od budynku Scuola do miejsca, gdzie wojsko zaczęło rozpędzać tłum, wyraźnie niezadowolony, że manewruje się nim bez żadnych wyjaśnień. Ktoś po włosku i po angielsku nakazywał przez megafon natychmiastowe opuszczenie placu.

Włoch poprowadził Pagana w cichą uliczkę prowadzącą do niewielkiego mostku przez Rio delia Frescada. Nad kanałem suszyła się na sznurach nie zdjęta na noc bielizna. W słabym świetle z okien koszule, zwisające rękawami w dół, wyglądały jak duchy. Androtti wyjął z kieszeni płaszcz cygaro i zapalił je połączoną zapalniczką Zip-po. Dmuchał dymem Paganowi przez ramię.

- I co teraz? - zapytał Pagan. Szeleszcząca bielizna denerwowała go, bo wydawało mu się, że to czyjś szept.

- Poczekamy, zobaczymy.

Zapach cygara i wiszące w powietrzu niebezpieczeństwo denerwowały Pagana. Czuł się zawieszony w miejscu, gdzie czas odmierzają jedynie chronometry zainstalowane przez Carlottę - obłąkane mechanizmy, tykające nierytmicznie, raz wolniej, raz szybciej, raz wcale.

Wyobraził ją sobie, jak gdzieś w Wenecji idzie zmarznięta i mokra zaciemnionym brzegiem kanału, jak szuka miejsca, gdzie mogłaby się na pewien czas ukryć, aby potem - gdy będzie już gotowa - znów wkroczyć do akcji. Ciekawe, kiedy i gdzie?, pomyślał.

Opierając się o kamienny parapet, zamknął oczy. Czuł, że zbliżył się do granic własnej wytrzymałości. W głowie miał tylko nielogiczny melanz twarzy i głosów - Barrona, Carlotty, Katherine Cairney oraz innych, którzy pojawiali się w jego umyśle i zaraz znikali.

- Zdaje się, że przysporzył pan zdenerwowania paru osobom, panie Pagan. Rozpoznałem pańskie nazwisko, jak tylko zobaczyłem legitymację. Otrzymaliśmy ze Scotland Yardu pismo, że musi pan być przesłuchany w trybie pilnym. Chodzi o jakąś zabitą zakonnicę z francuskiego szpitala, napaść na oficera policji, łamanie prawa, niesubordynację. Całkiem pokaźna lista.

Obrotny ten Nimmo, pomyślał Pagan, szybko się uwinął z rozesłaniem pisma po europejskich policjach.

- Aresztuje mnie pan?

- Zobaczymy.

- Skoro wiedział pan, że jestem poszukiwany, to dlaczego chciał pan słuchać, co mam do powiedzenia?

Androtti popatrzył na rozzarzony koniuszek cygara, uśmiechnął się i wzruszył ramionami.

- Powiedzmy, że miał pan zdesperowane spojrzenie człowieka przekonanego o swej prawdomówności. W innym razie zatrzymałbym pana i przekazał zwierzchnikom. Jeżeli ma pan... - Wyrzucił cygaro do kanału. - Nie mam powodu zatrzymywać pana. Wróci pan do Londynu i tam będzie się pan musiał wypowiadać przed swoim bóstwem.

- Ja nie mam bóstwa - mówił Pagan zmęczonym głosem - tylko same demony.

- Chyba wszyscy je mamy.

Pagan zapatrzył się w wodę. Po drugiej stronie mostku ukazał się młody człowiek, agent Androttiego.

- No i co?

- Znaleźliśmy - powiedział młodzieniec. - Właściwie poszło łatwo. Ktoś musiał być bardzo pewny siebie... Albo bardzo bezczelny. Wyliczyliśmy, że ładunek wybuchłby za jakieś dwie minuty.

- Za dwie minuty - powtórzył wstrząśnięty Androtti. - A więc został pan bohaterem, panie Pagan.

Bohater, pomyślał obojętnie Pagan. Nie czuł się podekscytowany, nie czuł żadnej ulgi, nie czuł, że czegoś dopiął. Czuł jedynie pustkę i wyczerpanie. Androtti oddał mu broń i kartę identyfikacyjną.

- Proszę - powiedział i przez moment milczał. - Musimy usiąść gdzieś spokojnie, panie Pagan, bo chciałbym wysłuchać pańskiej opowieści w całości. Jak pan się w to wplątał? Jak to się zaczęło? Kto ponosi za to odpowiedzialność? Wiele osób będzie panu chciało zadać takie pytania.

- To zajmie trochę czasu.

- Na pewno go znajdę - powiedział Włoch.

- Ale jutro - rzekł Pagan.

- Wolałbym jeszcze dzisiaj w nocy. Jutro może pan wymknąć się do Anglii. Trudno przewidzieć pańskie posunięcia.

- Jutro. Daję słowo, że nigdzie się nie wymknę.

- Słowo Anglika? Co to dzisiaj warte?

- Jutro. Teraz muszę odpocząć. Androtti miał niepewną minę.

- Proszę do mnie zadzwonić jutro o dziewiątej rano. - Podał Paganowi wizytówkę.

- Punkt dziewiąta - obiecał Pagan.

- Jeżeli pan się nie odezwie, zaczniemy poszukiwania.

- Domyślam się.

Pagan wracał do Calle dei Avocati, do domu Barrona. Otaczająca go bezwietrzna noc przypominała czarną otchłań. Bocznyymi uliczkami i alejkami dotarł do Rialto, przeszedł na drugą stronę i ruszył ku ciemnej przestrzeni placu Świętego Marka. Miał wrażenie, że ktoś go śledzi i obserwuje - i to nie Androtti, ani jego ludzie. Chociaż odwracając się, nie widział

nikogo, wydawało mu się, że idzie za nim Carlotta. To tylko wybujała wyobraźnia, myślał.

Jeszcze przez długi czas będzie czuł obecność tej kobiety. Półświadomie będzie się spodziewał, że ją

zobaczy, skręcając za róg, wsiadając do samochodu albo wyglądając przez okno na mały park nieopodal swojego mieszkania. Dziwnie prześladowała go myśl, że Carlotta swobodnie chodzi po świecie. Że jest wolna.

Na Calle dei Avocati zauważył otwarte drzwi domu Barrona. Wszedł do środka. Zwłoki właściciela leżały przykryte prześcieradłem, a po służącym i po Katherine Cairney nie było śladu. Gdy szedł w stronę schodów, pod stopami zgrzytały mu kawałki szkła. Zatrzymał się i spojrzał na prowizoryczny całun z prześcieradła.

Minął zwłoki i ruszył po schodach na górę do pokoju, z którego Carlotta wyskoczyła przez balkon. Nocne powietrze napełniło pomieszczenie zapachem pleśni. Ciekawe, gdzie jest Katherine?, myślał. Rozejrzała się dokoła, a potem odeszła?

Spojrzał na drzwi prowadzące - zgodnie ze słowami Carlotty - do duszy Tobiasa Barrona.

Były prawdopodobnie zamknięte na klucz. Podeszedł bliżej i nacisnął kłamkę. Ustąpiły. Gdy wszedł do środka, siedząca na obrotowym krześle Katherine Cairney odwróciła się. Szafy z aktami miały powysuwane szuflady, teczki leżały na wierzchu, całe biurko było zavalone papierami. Z dłoni Katherine zwiślał długi kawałek taśmy faksowej.

- Coś się stało? - zapytała.

- Nie, zdążyliśmy na czas - odpowiedział Pagan. Chciał jeszcze coś dodać, ale nagle zwrócił uwagę na wnętrze pokoju. Na ściennej mapie elektronicznej niespokojnie migały diody. Włączone ekrany komputerowe ukazywały dane opatrzone dziwnymi nazwami ziół i kwiatów.

- Klucz do tego pokoju znalazłam przy Barronie - powiedziała cicho Katherine. - Miał tu przed sobą cały świat. - Mówiła tonem pozbawionym emocji, jakby recytowała z pamięci rymowanąkę. - Próbowałam wyobrazić sobie jego uczucie, kiedy siedział tutaj i dotykał tego wszystkiego palcami. - Skinęła w stronę dokumentów, a potem na rolkę papieru. -

Interesująca lektura. - Była stłamszona i przygnębiona. - Gdziekolwiek zapanował chaos, tam Barron wkraczał ze swymi interesami. Zamówienia na broń z Somalii, Angoli, Kuby, Bośni...

Do wyboru. Ze wszystkimi tymi miejscami miał coś wspólnego. A jeżeli gdzieś było za mało zamętu jak dla jego potrzeb, gorliwie go rozniecał. Pompował pieniądze do wszystkich newralgicznych miejsc na świecie. Do Berlina, do Pragi, do Moskwy. Najwyraźniej chodziło mu o destabilizację słabych państw, o prowokowanie rozlewu krwi, o szerzenie anarchii i zamętu. Niezła inwestycja. Ładujesz kilka milionów tu, kilka tam, prowokujesz sytuacje służące twoim celom i czerpiesz krociowe zyski z handlu bronią. Tam jest wszystko. Możesz sam sobie poczytać. A Bóg wie, co jeszcze zawierają te komputery...

Pagan podniósł głowę i spojrzał na gołą jarzeniówkę; zwrócił uwagę na delikatny dźwięk.

Zdychała ćma. Wykluła się zbyt wcześnie, w zbyt chłodnym okresie, i teraz, przyklejona do jarzeniówki, trzepotała skrzydełkami. Pagan szczerze jej współczuł.

- Prośby o pieniądze i materiały z Niemiec, z Gruzji, z Polski, z Afganistanu.

Potwierdzenia wysłania ładunku do RPA, Gwatemali, Panamy... Irlandii. Moja droga Irlandia.

- Przerwała i uśmiechnęła się smutnie. - Dostarczał broni każdemu, kto wykładał gotówkę.

Trzeba mu przyznać, że nie był stronniczy. Nie obchodziło go, czy wspiera IRA, czy lojalistów. Układał się i z jednymi, i z drugimi.

Wskazała głową na biurko, teczki i pootwierane szuflady.

- A tam jest cała reszta spraw. Prośby o dotacje, o wspomnienie akcji charytatywnych.

Wszędzie prowadził jakąś działalność dobroczynną: w Kalkucie, w Mozambiku, w Peru.

Korespondencja przychodziła z całego świata.

Ze zmęczeniem przesunęła dłoń po twarzy. W geście tym było zakłopotanie i rozczarowanie.

- Myślałam, że go znam - mówiła. - Naprawdę tak myślałam.

Pagan spojrział na ekrany komputerów. Przyjdą eksperci, włamią się do systemów, poznają wszystkie tajemnice Barrona i zbadają każdą roślinkę, którą zasadził. Przeanalizują każde źdźbło, każdy listeczek. „Pokój nie sprzyja interesom”. Tak, nigdy w dziejach ludzkości pokój nie przynosił zysków. To bardzo przygnębiająca konkluzja.

- Nie potrafię sobie wyobrazić, że kiedykolwiek da się to wszystko wyświetlić -

powiedziała. - Nie sposób wyobrazić sobie, że ludzie związani interesami z Barronem po prostu zaprzestaną działalności. Spraw, w które był zaangażowany...

- Nie sposób przerwać z dnia na dzień - wtrącił Pagan.

- No właśnie.

Na biurku, przy jednym z komputerów stała fotografia Carlotty, starannie upozowanej, koniuszkami palców muskającej wargi. Pod zdjęciem widniała dedykacja: Barronowi od kochającej Carlotty. Kochająca Carlotta, pomyślał Pagan, podnosząc ramkę. Odstawiając ją po chwili, poczuł dreszcz.

Katherine podniosła się z krzesła. Podeszła do wpatzonego w nią Pagana i chwyciła go za łokieć, ale zaraz ze wzruszeniem ramion opuściła rękę. Ominęła go i podeszła do drzwi.

Nagle zawahała się i odwróciła.

- Mamy sobie coś do powiedzenia? Pagan nie bardzo wiedział, co robić.

- Ty miałaś rację. Ja się myliłam.

- Dla mnie to żadna satysfakcja.

Kusiło go... Pomimo zmęczenia, pomimo wszystkich logicznych obiekcji, jakie mu przychodziły na myśl... Kusiło go, żeby jej dotknąć.

- Kto wie, może jeszcze kiedyś zejdą się nasze drogi? - powiedziała. - Może spotkamy się kiedyś przy lampce wina i pogadamy o tym wszystkim z dystansem? Albo ze złością.

Wszystko jedno.

- Być może.

Odwrócił się i spojrzał w kierunku balkonu. Chciał się wychylić, ale nie mógł... Nie mógł, póki słyszał jej ruchy, póki słyszał jej kroki na kamiennych schodach, ani nawet kiedy doleciało go trzaśnięcie masywnych frontowych drzwi. Później dopiero spojrzał na nieruchomy kanał, zastanawiając się, co stracił, a co zyskał. W domu brzmiało jeszcze echo kroków Katherine Cairney, a kiedy w końcu umilkło, zapanował smutek.

Epilog

Padało od kilku dni, nie milkło bębnienie kropel w rynnach, w rynsztokach woda występowała z brzegów. Mimo to Pagan czuł jednak, że to już ostatni poryw zimy. Nocny wietrzyk niósł powiew świeżości i wiosny. Po spotkaniu z Androttim i przedstawieniu szczegółów interesujących Centralną Agencją Wywiadowczą, MI6, Wydział Specjalny oraz sekcje dochodzeniowe dbające o bezpieczeństwo różnych zagranicznych rządów, Pagan opuścił Wenecję i jeździł z miejsca na miejsce, unikając wszystkich, którzy chcieli zadać mu jakieś pytania.

Był zdania, że ma prawo do prywatności i że wszystko, czego chcą się dowiedzieć, można znaleźć w systemach komputerowych Barrona albo w papierach Streika, które zostawił

Androttiemu. Nie zależało mu na oglądaniu swego nazwiska w druku ani nie cieszyła go perspektywa rozmów, wywiadów i ingerencji w jego życie, które nagle stało się własnością publiczną. Chciał się z nim spotkać Gurienko. Włoski rząd wyrażał dozgonną wdzięczność za ocalenie reputacji służb ochrony państwa. Bez przerwy znajdował się na łamach gazet i tęsknił za anonimowością.

Przejrzał wiadomości i otworzył gazetę na artykule o Barronie oraz stworzonej przez niego piramidzie terroru. Prasa, schlebując gustom żadnym psychologii dla ubogich, rozprawiała o czarnym i białym aspekcie duszy Barrona. Pierwszy był przyczyną chaosu i zamętu wynikającego ze sprzedaży broni, drugi - znajdował wyraz w aktach dobroczynności. Czyż człowiek ten nie był przykładem dualizmu typowego dla serca każdej ludzkiej istoty? -

zapytywał z odrobiną przesady jeden z dziennikarzy.

Kupa bzdur, myślał Pagan. Dobroczynnością Barron zajmował się tylko w tych miejscach, w których mógł szerzyć zło. Idealna równowaga. Do tego, co robił, podchodził gospodarnie.

Sprzedawał broń każdemu, kto chciał ją kupić. Jeżeli gdzieś interesy zaczynały kręcić się gorzej, przy

pomocy przyjaciół wpompowywał w dane miejsce pieniądze, bo był pewien, że je odzyska. Niesłychanie proste. Rozbój w biały dzień.

Jeżdżąc bez celu pociągiem lub autobusem z jednego deszczowego miasta do drugiego, Pagan przemykał po ciemnych zaułkach Europy, meldował się w hotelach pod zmyślonymi nazwiskami i udawał, że nie mówi po angielsku. Był tylko pojawiającym się i znikającym obcym człowiekiem. Przestał się golić, kilka dni spędził w łóżku, słuchając deszczu, a kiedy zgłodniał, szedł coś przekąsić pod osłoną ciemności, choć i tak wiedział, że jego anonimowość nie potrwa długo. Prędzej czy później będzie musiał wypłynąć. Lecz najpierw musi się na to przygotować.

W Saint-Etienne przeczytał, że aresztowano Williama J. Caana, choć nie podano żadnych przyczyn. W Clermont-Ferrand dowiedział się z drobnej notatki w gazecie, że wielu agentów Agencji Wywiadu Obrony USA zawieszono w czynnościach służbowych. Gdy dojeżdżał do Limoges, nagłówki prasy światowej krzyczały o skandalach - szacowni biznesmeni z USA i Wielkiej Brytanii zostali aresztowani, urzędnicy nadużywający prawa trafili do więzienia w Niemczech, wobec polityków rosyjskich zastosowano areszt domowy. Fidel Castro poinformował, w jaki sposób amerykańska broń trafiała do rąk kubańskich partyzantów, a członek kuwejckiej rodziny królewskiej popełnił samobójstwo - typowa akcja z czarą trucizny, pomyślał Pagan. W Pentagonie kilku generałów z czterema gwiazdkami odesłano na wcześniejszą emeryturę, oficjalnie „ze względu na cięcia budżetowe”. W Londynie człowiek opisywany jako „ekspert od amerykańskiej obronności”, niejaki Montgomery Rhodes, został

znaleziony w podręcznym hoteliku koło Euston z podciętymi żyłami - list samobójczy dyskretnie wsunięto pod buteleczkę z pikantnym sosem.

Ani razu nikt nie wspomniał, że któraś z tych spraw ma bezpośredni związek z Tobiasem Barronem, choć kilka razy jego nazwisko pojawiało się w doniesieniach, zazwyczaj gdzieś na uboczu albo w formie aluzji. Czasami wypływało też nazwisko Carlotty. Widziana była w Meksyku, w Los Angeles, w Nowym Orleanie, a raz nawet - przez grzybiarza z Montany.

Pewien dziwak, którego doprowadziły do szaleństwa monotonne równiny Kansas, twierdził, że została napromieniowana przez UFO. Była kimś ulotnym, tajemniczym, nieodmiennie łączonym w prasie z wątkiem melodramatycznym całej afery. Próbowano ją kojarzyć z satanistami, różnymi ruchami charyzmatycznymi i wszelkimi możliwymi spiskami. Niczym grzyby po deszczu pojawiali się jej niegdysiejsi kochankowie, którzy sprzedawali pisane w pierwszej osobie opowieści o zdobytych przy niej doświadczeniach seksualnych. Jeden z nich był zubożałym markizem, drugi projektantem mody, a jeszcze inny byłym prezenterem strojów z Pakistanu. Na ogół wszyscy twierdzili, że zachowywała się w łóżku w sposób co najmniej wyuzdany.

Pagan jechał dalej przed siebie. Ze wszystkich środków lokomocji najbardziej polubił

autobus, bo w nim przebywał największe odległości. Można było postawić kołnierz i godzinami jechać przez spowite ciemnościami tereny w towarzystwie śpiących pasażerów.

Z Rouen zadzwonił do Foxwortha pod jego domowy numer w Londynie.

- Frank, gdzie ty się, do diabła, podziewasz? - zapytał Foxie.

- Gdzieś we Francji.

- Tylko tyle?

-Tak.

- Wszyscy cię szukają.

- A niech szukają. Wyzdrowiałeś już?

- Jako tako. Czytam Anselma, a potem mam w planie Thomasa Mertona. Zastanawiam się nad karierą mistyka. Zamierzasz wrócić do Londynu?

- Tak. Niedługo - odpowiedział Pagan.

- Nimmo puszy się, jak nie wiem co. Ma podobno dostać szlachectwo. Oślepia wszystkich blaskiem swej chwały. Mimo wszystko to dzięki jego geniuszowi Frank Pagan został

przywrócony do służby. No i proszę, jak dobrze wszyscy na tym wyszli. Teraz będzie sir George Nimmo. Któregoś dnia powiedział w telewizji coś mniej więcej takiego, że zna miejsce twego pobytu, ale szanuje twoją potrzebę prywatności.

- Niech mu będzie na zdrowie - rzekł Pagan. Nazwisko Nimma odbijało mu się po myślach nieprzyjemnym echem.

- Bez przerwy dzwonią do mnie dziennikarze i pytają o ciebie. Jak się z nim pracowało?

Jakim jest człowiekiem? Czy może pan nam o nim opowiedzieć? Interesuje ich wszystko.

Frank, stałeś się sławny.

- Sława szybko przemija - stwierdził Pagan.

- Jasne. Opowiadam im o tobie wszystko, co najgorsze. Że masz skłonności autokratyczne, że jesteś despota, że jesteś grubianinem. -Foxie roześmiał się. - Prawdę powiedziawszy, omija cię wiele zabawy. CIA praktycznie przejęła ambasadę USA i zrobił się totalny har-mider.

Nikt nie może się dostać nawet w pobliże ambasady. Najwidoczniej odkryli dokumenty obciążające Caana. Prezydent nakazał Izbie Reprezentantów przeprowadzenie szeroko zakrojonego dochodzenia, sekretarz spraw wewnętrznych wniósł skargę w sprawie nadużycia immunitetu dyplomatycznego i wykorzystywania ambasady do obracania własną gotówką, i zrobił się niezły cyrk wokół całej sprawy. Budzę się w nocy i słyszę świst topora, naprawdę.

Pagan nadal był w drodze. Czasami rozmyślał o przyszłości, lecz stanowiła ona tylko zagmatwaną mapę. Po przyjeździe do Paryża zatrzymał się w hotelu przy Rue Mazarin i dostał pokój z widokiem

na skrzyżowanie z bulwarem St Germain. Rozmyślał o Katherine Cairney. Obiecał jej wycieczkę do Paryża - tyle że działało się to w poprzednim wcieleniu. Co pewien czas pojawiała się w jego myślach i zastanawiał się, gdzie może teraz być, czy myśli o nim tak jak on o niej -nie chciał jednak popadać w sentymentalizm. Była, minęła. Stała się tylko historią i wspomnieniem. A z tego już nic się nie wyłoni.

Mimo to jednak, gdy wychodził z hotelu i spacerował po St Germain ku St Michel, czuł

obok siebie jej cień. Wędrował w kierunku Sekwany, snuł się wąskimi uliczkami dzielnicy Ile de la Cite i tam najbardziej doskwierała mu nieobecność Katherine.

Wszedł do małej kafejki, zamówił kawę i pomyślał, że jak na ironię z powrotem znalazł się tam, gdzie był, zanim ona pojawiła się w jego życiu. Bez względu na to, czy przebywał w zalanym deszczem Paryżu, czy na brzegu rzeki w Cork, czy na ulicy w Dublinie, czy też obserwował pełnię księżycy w Albie - zawsze był sam. A samotność doskwierała mu jak bolesny wrzód.

Zastanawiał się, czy samotność to jego przeznaczenie. Skończył kawę, odstawił filiżankę i przez mokre od deszczu okno wyjrzał na ulicę. Rozbawiła go myśl, że Katherine niczym bohaterka romansu mogłaby teraz wyłonić się z deszczu, ruszyć biegiem w jego stronę po błyszczącym bruku, zgubić pantofelek, roześmiać się i nie zwracając uwagi na...

Nic takiego w życiu się nie zdarza.

Wodził palcem po brzegu filiżanki, a później wyjął paczkę papierosów i zerwał folię.

Zapalił zapałkę i patrzył jak płonie w popielniczce. Zagubiony w myślach nie zauważył

przechodzącej ulicą wysmukłej kobiety ubranej w męską marynarkę w pepitkę, kapelusz nasunięty na czoło i czarne rękawiczki.

Chwilę patrzyła na niego przez okno, a potem zniknęła w strugach deszczu. Zanim wyszedł

z kawiarni, na ulicy było już pusto.

Table of Contents

[Rozpoczni](#)